

LISA
UNGER
WYSPA NIEPRAWDY
Przekład Tomasz Konatkowski



*Dla Jeffrey,
bo dla kogóždy innego?
We dnie i w nocy, tylko ty.
Wciąż i na zawsze.*

CZĘŚĆ PIERWSZA

Podróż

*Rozpaczliwie pragnąc przywrócić do życia
coś, co mogło w ogóle nie istnieć, jedno po
drugim roztrzaskiwaliśmy się o skaliste
brzegi Heart Island. Zniszczyliśmy przez
to miejsce, które tak bardzo wszyscy
kochaliśmy, zmieniliśmy je w ziemię
odrażającą i jałową, na której nie może
pojawić się miłość i na której nic już nie
wzrośnie.*

Z pamiętnika Caroline Love Heart
(1940–2000)

Prolog

Birdie Burke stała na kamieniu i patrzyła, jak pierwszy brzask nadaje niebu kolor przydymionego różu. Znajdowała się na zimnym, skalistym brzegu jeziora, którego fale rozbijały się u jej stóp. Poza szmerem lekkiego wiatru w koronach drzew można było usłyszeć tylko odległy krzyk nura. Zrzuciła szlafrok i powiew chłodnego powietrza sprawił, że na jej ciele pojawiła się gęsia skórka. Gdy Birdie wychodziła z domu, jej mąż jeszcze spał. Nikt nie mógł jej tu zobaczyć, inne wyspy widać było jedynie od północy i od południa.

A jeśli nawet dałoby się ją podejrzeć... to któż by chciał przypatrywać się ciału siedemdziesięcioletniej kobiety w kostiumie kąpielowym? Większość ludzi odwróciłaby wzrok z zażenowaniem, mimo że Birdie była osobą szczupłą i wysportowaną. Wiedziała, że w pełnym ubraniu wygląda bardzo szykownie. Wciąż uważała się za całkiem atrakcyjną kobietę, jednak miała wrażenie, że nikt już na nią nie patrzy, że nikt się jej tak naprawdę nie przygląda.

Czas pozbawił jej ciała świeżości, zniknęła gdzieś kremowa cera i błysk we włosach. Nawet jeśli Birdie czuła się podobnie jak wtedy, gdy miała dwadzieścia lat, nie można już było w niej dostrzec tamtej dziewczyny. Wiedziała, że dotyczy to wszystkich. Żadna z jej rówieśniczek nie rozpoznawała osoby, którą oglądała na co dzień w lustrze. Większość przyjaciółek i znajomych Birdie uczestniczyła w zażartej bitwie z rozpoczynającą się starością, angażując całe zastępy osobistych trenerów, chirurgów plastycznych, kosmetyczek i lekarzy medycyny estetycznej, których zadaniem było zatrzymanie czasu. Jakie to niemądre – myślała zawsze Birdie. Jeśli jest jakaś bitwa, której nie można wygrać, to właśnie ta. Nie oznaczało to wcale, że nie dbała o siebie, ani że nie rozumiała, na czym polega walka skazana na porażkę.

Powoli weszła do zimnej wody, a po chwili szybko zanurzyła się aż po ramiona. Mimo że była przyzwyczajona do nagłego ochłodzenia organizmu, całe ciało zdawało się buntować, serce przyspieszyło, a w stawach pojawił się ból. Zaczęła płynąć, uważnie wymierzając kolejne pociągnięcia ramion, mocno pracując wciąż silnymi nogami. Zwykle stopniowo się rozgrzewała, a wówczas woda stawała się przyjemnie chłodna, rześka, działała odświeżająco.

Dziś jednak było inaczej. Może woda była o kilka stopni za zimna? A może po prostu Birdie się zestarzała? Nie potrafiła odnaleźć właściwego rytmu. Przepłynęła zaledwie krótki odcinek i już myślała o zawróceniu.

Kiedy była młodsza, bez większego wysiłku okrążała wyspę, czasami dwukrotnie. Wchodziła do wody w tym samym miejscu co dziś, po zachodniej stronie domu, w jedynym punkcie, w którym dało się bezpiecznie zanurzyć w jeziorze. Wypływała na tyle daleko, by uniknąć rzucenia przez fale na wysokie, ostre skały, które otaczały prawie całą wyspę. Uwielbiała zimny dotyk wody, czuła radość, gdy jej serce zaczynało bić szybciej, a szczupłe, mocne ciało niosło ją obok pomostu, potem wzdłuż zachodniego brzegu, a w końcu, po kolejnej zmianie kierunku o dziewięćdziesiąt stopni, z powrotem do punktu, w którym rozpoczęła. Jeśli była w dobrej formie, opłynięcie wyspy zajmowało jej około pół godziny.

Wtedy woda wydawała się nieco cieplejsza. Wczesny poranek, gdy dzieci jeszcze spały i nie domagały się jej uwagi, był prywatnym czasem Birdie. Marzyła, żeby takie chwile – czas spokoju i wolności – nigdy się nie kończyły. Oczywiście teraz, kiedy mogły naprawdę trwać bez końca, kiedy była w stanie spędzić cały dzień, nie niepokojona przez nikogo, nie okazało się to wcale tak przyjemne, jak to sobie wyobrażała przed laty. Birdie nie wiedziała, dlaczego zwykle tak się dzieje, że kiedy już się uzyska to, czego się pragnie, jest to zaledwie cieniem marzeń z przeszłości.

Dotarła do pomostu, co stanowiło mniej więcej jedną czwartą trasy, i z irytacją stwierdziła, że musi się poddać. Nie dałaby rady przepłynąć całego dystansu. Niechętnie zawróciła i dopłynęła do miejsca, w którym pozostawiła swój miękki różowy szlafrok. Sztywnym krokiem wyszła na ląd. Była rozczarowana, a nawet trochę zła na siebie, że zabrakło jej sił do pełnego okrążenia wyspy. Nie lubiła przypominać sobie o swoim wieku. Kiedyś, dawno temu, nikt nie mógł jej pokonać.

Trudno, może to i lepiej – Birdie czekało mnóstwo pracy. W niedzielę mieli pojawić się tutaj wszyscy zaproszeni członkowie rodziny. Zawsze, gdy przybywali goście, miała tak wiele zajęć... Jej mąż, Joe, nie był zbyt pomocny – przejmował się drobiazgami, takimi jak dobór wina czy muzyki, albo gier, w które powinni zagrać, za to cała ciężka robota, czyli zakupy, gotowanie i sprzątanie, spadała na Birdie. Pojutrze, przed zachodem słońca, jej dzieci i wnuki będą siedzieć przy kolacji, przy długim stole jadalnym. Błoga cisza jej wyspy zostanie zakłócona. I znów zacznie się praca.

Sama to sobie wrzucasz na głowę, Birdie – regularnie powtarzał jej mąż. – Może byś spróbowała się trochę odprężyć i odpocząć? Wszyscy byliby równie zadowoleni, gdyby dostali hamburgery z grilla, ziemniaki pieczone w folii i sałatkę warzywną.

Tak, to prawda – wszyscy oprócz Birdie.

Była tak zamyślona, że dostrzegła go dopiero wówczas, gdy zawiązała szlafrok, wsunęła klapki i odwróciła się, by ruszyć z powrotem do głównego budynku. Minęła chwila, zanim zdała sobie sprawę, że pośród drzew ktoś stoi.

Bez okularów nie potrafiła zidentyfikować tego człowieka. Któż to mógł być, na litość boską? Na pewno nie mąż. Postać była wysoka, ale szczupła, a nie atletyczna jak Joe. Któryś z sąsiadów? Nie, to niemożliwe – Birdie usłyszałyby, jak nadpływa łódź.

– Kto tam jest? – zawołała.

Postać stała w bezruchu, sprawiała wrażenie niematerialnego bytu. Birdie nie była w stanie skupić na niej wzroku. Poczowała lekki dreszcz strachu, ale ruszyła w kierunku mężczyzny. Nie należała do osób, które uciekają od zagrożeń. Miała zasadę, że zawsze trzeba zmierzyć się z problemem.

– Proszę powiedzieć, kim pan jest! – rozkazała.

Nie spodobało się jej brzmienie własnego głosu. – Czy ty zawsze musisz być tak cholernie władczą? – brzmiała kolejna ulubiona uszczypliwość Joego. – Nie jesteś królową, na litość boską!

– Znajduje się pan na terenie prywatnym! – dodała.

Obcy nie odpowiedział. Co to mogło być? Czy tam w ogóle ktoś stał? Może to tylko złudzenie optyczne?

Przyspieszyła kroku. Gdy podeszła bliżej, miała wrażenie, że postać zniknęła wśród drzew. Birdie nie zdawała sobie sprawy, że ma tak kiepski wzrok. Kiedy dotarła do miejsca, w którym stał ten człowiek, nie znalazła niczego, żadnego śladu czyjejs obecności. Ale ktoś tu przecież musiał być! Jeszcze nie zwariowała i nie miała starczych omamów. Naprawdę kogoś widziała. Na pewno.

Wspięła się na skały, które zajmowały zachodnią część wyspy i zeszła w stronę pomostu. W ciągu ostatniego tygodnia nie padało zbyt wiele, więc powyżej poziomu wody kamienie były dość suche, choć i tak nieco niebezpieczne. Birdie jednak maszerowała pewnym krokiem, chodziła przecież po tych skałach przez całe życie. Jej stopy czuły się tu równie dobrze jak wówczas, gdy była jeszcze małą dziewczynką, nastolatką, młodą kobietą. Poruszała się szybko, wiedziała, które kamienie są obluzowane, które zbyt ostre, a po których można bezpiecznie stąpać. Gdy w czasie deszczu i burzy jezioro robiło się niespokojne, po tej stronie wyspy nie dało się przejść. Fale rozbijały się o strome brzegi, skały stawały się śliskie, ostre, zdradliwe. Jedynym sposobem okrążenia wyspy było wówczas zejście do wody i jej opłynięcie.

Skręciła i zobaczyła jasnoszary pomost rysujący się na tle stalowobłękitnej tafli jeziora. Nad głową Birdie rozległo się gęganie, klucz bernikli kierował się już na południe. Dni stawały się coraz chłodniejsze, w tym roku nic nie zapowiadało ocieplenia.

Na wodzie kołysała się stara łódź wiosłowa. Ich łódź z kabiną również była bezpiecznie przycumowana do knag pomostu i osłonięta przed deszczem. I to wszystko, Birdie nie dostrzegła żadnej innej jednostki, a przecież musiałaby tam być, gdyby ktoś przypłynął z wizytą. To jedyne miejsce na wybrzeżu wyspy, w którym dało się przybić do brzegu i nie zniszczyć przy tym poważnie łodzi.

Dokładnie na południe od tego miejsca leżała Cross Island. Dopiero dwa lata temu ktoś postawił tam dom, przez większość życia Birdie wyspa pozostawała niezamieszka. W dzieciństwie Birdie, jej brat i siostra czasami wsiadali na łódkę i wiosłowali na drugą stronę wąskiej cieśniny, żeby zbadać teren. Jednak matka, kiedy tylko ich na tym przyłapała, zawsze przywoływała ich z powrotem.

– Nie płyńcie tam! – mówiła zagniewana i zaniepokojona. – Ta wyspa nie należy do nas.

Wracali z ponurymi minami, cicho narzekając na niesprawiedliwość losu. Nikt nie śmiał kłócić się z matką, kiedy przybierała ten groźny wyraz twarzy. Rzadko się denerwowała, prawie nigdy nie podnosiła głosu. Ale to spojrzenie... Wystarczyło napotkać jej wzrok, a każdy milknął i posłusznie wypełniał jej polecenia.

Birdie patrzyła na Cross Island. Dostrzegała zarysy postawionego tam domu, brązowe dachówki widoczne między drzewami, okna odbijające różowe światło porannego brzasku. Budynek jej się nie podobał, wydawał się obcy. Zresztą z samą wyspą też wiązały się nieprzyjemne wspomnienia. Na ogół ignorowała ten dom, udawała, że go tam nie ma, podobnie jak w wypadku wielu innych spraw, które sprawiały jej ból.

Obejrzała się w stronę, z której nadeszła, a potem popatrzyła na północ, gdzie było widać jej dom. Wąska ścieżka wysypana żwirem biegła od pomostu w górę do głównego budynku, a potem obiegała go i prowadziła do domku dla gości i dalej, za nim, aż do noclegowni. Birdie nie dostrzegła nikogo. Nie podążyła za nią żaden cień, żaden intruz. Niebo od strony lądu pociemniało, pojawiły się na nim burzowe chmury.

Na sąsiednich wyspach znajdowały się prywatne domy. Hotele i pensjonaty z innych wysp miały wprawdzie wahadłowe połączenia z lądem, ale na jeziorze nie było taksówek wodnych. Jeśli ktoś chciał się dostać do prywatnej posiadłości, musiał skorzystać z własnej łodzi.

Ostatnio w okolicy miała miejsce seria włamań. Przez większość roku wiele domów było niezamieszkałych, o czym nieproszeni goście doskonale wiedzieli. Brali łódź i płynęli na wyspę, włamywali się do domu, kradli cenne przedmioty, dewastowali mienie, a czasami nawet robili sobie kilkudniową imprezę. Birdie poczuła gniew, gdy dowiedziała się o tych zdarzeniach. Typowe. Zawsze gdzieś czaili się jacyś „oni”, sfrustrowani, przekonani, że mają prawo zabrać albo zniszczyć coś, na co ktoś inny tak ciężko pracował. Zawsze znalazł się ktoś biedniejszy, kto patrzył na ciebie z zazdrością i oburzeniem, czekając tylko, aż spojrzysz w inną stronę, bo wówczas będzie miał okazję cię okraść. I jakoś zawsze uchodziło to takim ludziom bezkarnie.

Mniej więcej tydzień po tym, jak usłyszała o kradzieżach, Birdie udała się do miasteczka i kupiła niewielki rewolwer. Często pozostawała na wyspie sama. Joe nie lubił spędzać tutaj czasu tak bardzo jak ona i wracał do mieszkania w mieście, gdy miał już dosyć samotności – a może raczej miał dosyć jej towarzystwa? W końcu to miejsce nie było jego miejscem, to nie do jego rodziny należała Heart Island przez trzy pokolenia, to nie on spędzał tu każde szkolne wakacje, jak robiła to Birdie. Kto jak kto, ale ona nie zamierzała się tutaj bać i współczuć ludziom, którzy odważyliby się jej cokolwiek zabrać. Trzymała rewolwer w pudełku, w wysokiej szafce kuchennej. Gdy spędzała samotnie noc, przekładała go do szuflady nocnego stolika.

Birdie przyspieszyła kroku, kontynuując okrążanie wyspy, aż dotarła w końcu na jej najwyższy punkt, Skalę Widokową, bo taką nazwę nadały temu wzniesieniu dzieci państwa Heart, czyli Birdie, jej siostra Caroline oraz ich brat Gene. Powierzchnia wyspy nie przekraczała półtora hektara. Z tego punktu obserwacyjnego Birdie widziała wszystkie budynki otoczone wysokimi skałami i drzewami. Ścieżka była właściwie jedyną drogą, którą dało się teraz chodzić po wyspie. Prowadziła z noclegowni do domku gościnnego i głównego budynku, a potem na pomost. Była oświetlana słabym światłem odpowiednio rozmieszczonych lamp słonecznych wbitych w ziemię. Kiedyś znajdował się tutaj tylko jeden budynek – ten, który teraz pełnił funkcję domku dla gości. Nie było wtedy ścieżki prowadzącej z pomostu do wejścia, wszyscy musieli wspinać się między drzewami na polanę. Nikt już nie korzystał z tej drogi, zwłaszcza w ciemnościach nocy. Lepiej było trzymać się ścieżki.

Stojąc w najwyższym punkcie i spoglądając w dół, Birdie uznała, że – jakkolwiek trudno było w to uwierzyć – mogła paść ofiarą przywidzenia. Nigdzie nie było widać łodzi pozostawionej na brzegu ani przycumowanej do skały. To jedyny sposób, aby tu dotrzeć, zatem logika podpowiadała, że Birdie wcale nie widziała tego, co wydawało się jej, że widzi. Następnym razem weźmie ze sobą okulary, albo założy soczewki przed wejściem do wody.

Jej nieżyjąca siostra, Caroline, powiedziałaby pewnie, że Birdie ujrzała ducha. Caroline i matka Birdie, Lana, wierzyły, że na wyspie mieszkają istoty z innego świata. Podobno nad przepaścią spacerował czasami pewien mężczyzna, pojawiała się też kobieta, która przystawała na Skale Widokowej. Była jeszcze jakaś inna historia, której Birdie teraz nie mogła sobie przypomnieć. Kompletnie głupstwa! Nigdy nie zdarzyło się jej zobaczyć niczego podobnego. Caroline twierdziła, że to dlatego, że Birdie jest osobą pragmatyczną i cyniczną, a w związku z tym nie zasługuje na spotkanie zjawy. Mimo że Birdie nie potrafiła wytłumaczyć tego, co przed chwilą zobaczyła, nie zamierzała szukać ponadnaturalnych wyjaśnień. Niepokoiła się o swój wzrok, może nawet o zdrowie psychiczne, ale w żadnym razie nie myślała o duchach.

Obeszła wyspę dookoła i wróciła do punktu wyjścia. Kępa drzew była teraz tylko rozmazaną czarną linią, Birdie patrzyła tam przez chwilę w nadziei, że postać w jakiś sposób się zmaterializuje – choćby jako cień, poruszana wiatrem gałąź – i uda się znaleźć wytłumaczenie tego, co się wydarzyło. Widziała jednak tylko swoich starych znajomych: sosny, brzozy i klony, niezmiennie szumiące na wietrze.

W końcu wróciła do domu na śniadanie. Rano była w dobrym nastroju, teraz jednak uległ on pogorszeniu. Czuła nieuzasadnione wzburzenie, jakby dostała właśnie jakąś straszną wiadomość albo przypomniawszy sobie coś, o czym próbowała zapomnieć.

Pod „Niebieską Kwoką” panował wyjątkowy gwar, a Emily od początku swojej zmiany zaliczyła już co najmniej trzy wpadki różnego rodzaju. Jednemu z klientów źle wydała resztę, a innemu przyniosła nie to zamówienie co trzeba. A teraz jakiś dzieciak wybiegł z toalety, nie rozglądając się, i wpadł jej pod nogi, gdy szła wąskim korytarzem między kuchnią a salą jadalną. Poczuli, że tacka, na której stały szklanki wody z lodem, wysuwa jej się z rąk. Emily zatrzymała się gwałtownie, by uniknąć zderzenia, lecz szklankom i tacy już to się nie udało.

Chłopiec popędził dalej korytarzem, ale pozostałe zdarzenia rozegrały się w dramatycznie zwolnionym tempie. Cztery naczynia przepłynęły obok Emily, rozpryskując fontanny wody, a kostki lodu na moment zawisły w powietrzu. W jej głowie pojawiło się krótkie „nie!”, które rozbrzmiewało echem przez jakiś czas. Po chwili rozległ się głośny brzęk tłuczonego szkła. Emily odsunęła się od sterty błyszczących odłamków i patrzyła na nią w milczeniu. O Boże... nie. Dlaczego niektóre dni zaczynają się kiepsko, a potem stają się tylko gorsze?

Angelo, chłopak z kuchni, rzucił się na pomoc. W jednej dłoni trzymał mopa, w drugiej wiaderko, wyglądał jak jakiś restauracyjny ratownik. Po chwili pojawiła się Carol, właścicielka lokalu.

– Co się stało? – zapytała.

– Upuściłam to. – Nie dało się ukryć. Emily nie zamierzała opowiadać całej historii o dziecku, ani wspominać, że drzwi toalety nie powinny otwierać się na zewnątrz, na korytarz, albo że przydałoby się powiesić tabliczkę z napisem „Prosimy o ostrożne otwieranie drzwi”. Carol przyjrzała się powstałemu bałaganowi i przyłożyła do czoła pulchną dłoń ze starannie wypielegnowanymi paznokciami. Emily nie mogła powstrzymać się od spojrzenia na biżuterię szefowej – duży pierścionek zaręczynowy z diamentem i pierścionek z rubinem, „rodowy”, jak mówiła o nim Carol. Oba błyszczały niczym gwiazdy.

– Angelo się tym zajmie. Zamówienie dla twojej czwórki jest już gotowe. Zaniesiesz je, a ja pójdę po wodę – powiedziała Carol zmęczonym, ale pozbawionym złości głosem. Carol nigdy nie była niemila. – Spróbuj się trochę ogarnąć, Emily. Nie wiem, o czym dzisiaj myślisz, ale na pewno nie o pracy.

Emily skinęła głową. – Przepraszam.

Carol spojrzała na nią znad tacy ze zbitymi szklankami. Miała sympatyczną okrągłą twarz, zaróżowione policzki i ładne niebieskie oczy o ciemnych rzęsach. Była niska, przy kości, miała ciało matki. Emily pomyślała, że Carol rzeczywiście trochę przypomina kwokę: tustawą, dumnie kroczącą i gdaczącą. Najchętniej przytuliłaby głowę do jej piersi i wyplakała się serdecznie.

– Co się dzieje, kochanie? – spytała Carol. – Chciałabyś o czymś pogadać?

– Nie – odparła Emily. Spróbowała się uśmiechnąć. – Nic mi nie jest. Przepraszam, Angelo – dodała.

Chłopak klęczał na podłodze i szorstkimi dłońmi zbierał wielkie odłamki szkła. Spojrzał na Emily ciemnymi oczami wiernego szczeniaka: szeroko otwartymi i trochę zakochanymi.

– Nie przejmuj się tym – powiedział.

Emily wiedziała, że Angelo się w niej podkochuje. Wyszczrzył zęby w uśmiechu, jakby klęczenie przed nią sprawiało mu przyjemność. Poczuli, że się rumieni, a po chwili biegła już za Carol, która zaczęła do niej przemawiać. Carol zawsze mówiła szybko, cicho, ale konkretnie. Nie interesowała jej, czy rozmówca ma coś do powiedzenia, za to musiał przynajmniej udawać, że słucha.

– Jeżeli pomylisz zamówienie, zwłaszcza w przypadku kogoś takiego jak Barney, który przychodzi codziennie o tej samej porze, żeby zjeść to samo danie, klienci gotowi są pomyśleć, że ich nie znamy, że o nich nie dbamy. Gdybyś pracowała w T.G.I. Friday’s albo Chili’s, pewnie nie miałyby to wielkiego znaczenia, jednak tutaj, w moim lokalu, jest inaczej. Właśnie bezpośredni kontakt z gośćmi odróżnia sieciówki od niezależnych restauracji. A jeżeli pomylisz się przy wydawaniu reszty, klienci zaczną nas uważać za niegodnych zaufania albo niekompetentnych. Rozumiesz mnie, Emily?

Emily wiedziała, że nie było to zaproszenie do udzielenia odpowiedzi.

– Upuściłaś coś? – kontynuowała Carol. – Trudno, każdemu może się to zdarzyć, ale zwykle dzieje się tak, kiedy jest się myślami gdzie indziej. Jesteś zdenerwowana nieudanym przedpołudniem. Najlepiej odpocznij parę minut, kiedy już obsłużysz tę czwórkę. Wyjdź na zewnątrz i trochę odetchnij. Ja przejmę twój rewir. Kiedy wrócisz, zaczniemy dzień od nowa, dobrze?

Emily energicznie pokiwała głową, a potem zaniosła zamówienie rodzinie siedzącej przy czteroosobowym stoliku pod oknem. Naleśniki dla dziewczynki, grzanka z jajkiem dla chłopca, jajecznicza z białek z brokułami dla mamy, a dla taty – omlet z serem i chili con carne, z pieczonymi ziemniakami i dodatkowym kawałkiem bekonu – trzeba było widzieć, jakie mamuśka posłała mu spojrzenie, kiedy to zamawiał. Rzeczywiście wyglądał na takiego, który mógłby zrzucić parę kilogramów, ale na pewno nie chorowitego czy niezdrowego – ot, po prostu zwalisty facet, który lubił sobie podjąć. Pewnie miał podwyższony poziom cholesterolu i właśnie dlatego na twarzy jego żony pojawił się ten gniewny i jednocześnie zaniepokojony grymas, kiedy Emily postawiła na stole talerz z daniem.

– No! – powiedziała kobieta. – Nieźle to wygląda! – Miało to oczywiście znaczyć: „Kochanie, czy naprawdę zamierzasz to zjeść?”. Tak przynajmniej zdawało się Emily. Była w tym dobra – w rozpoznawaniu min, odczytywaniu mowy ciała. Bardzo często miała wrażenie, że wie, co naprawdę myślą ludzie, nawet jeśli mówią coś zupełnie innego. Odkryła to już dawno temu.

Przyniosła do stolika butelkę keczupu, a potem zgodnie z sugestią Carol wyszła na zewnątrz od zaplecza. Zajęła miejsce na ławce, na której wszyscy przysiadali na papierosa, i spojrzała w niebo. Dzień był ciepły i wilgotny, białe chmury wisiały wysoko na niebie. Lekki podmuch wiatru sprawił, że liście wysokich dębów górujących nad ogrodzeniem parkingu zatańczyły i zaszumiały. Wzięła głęboki oddech, starając się trochę uspokoić.

Dlaczego tam chodzisz i tyrasz dla tej głupiej krowy? – Dean dziś rano zadał takie pytanie. Nie chciał, żeby szła do pracy. Chciał, żeby z nim została w domu. Nie lubił Carol. Dean chyba nie lubił nikogo, kogo lubiła Emily. Nie bardzo wiedziała, co z tego wynika.

– W jedno przedpołudnie ze mną zarobisz więcej niż przez cały tydzień w tej „Grubej Kwoce”.

– „Niebieskiej Kwoce”.

– Nieważne – odparł. Zapalił papierosa, chociaż wiedział, że rano robiło się jej niedobrze od tego smrodu. – Nie musisz tak harować.

Nie podobało mu się, że pracowała jako kelnerka. Jego matka też była kelnerką, a Dean źle znosił, gdy Emily robiła coś, co przypominało mu o matce.

– To praca niższej klasy – dodał.

Emily nie uważała, żeby jakakolwiek uczciwa praca była „pracą niższej klasy”, niezależnie od tego, co Dean miał na myśli. Carol odnosiła się do niej z szacunkiem. Klienci – pewnie dlatego, że „Niebieska Kwoka” nie należała do najtańszych restauracji w mieście – byli na ogół uprzejmi, dawali nieźle napiwki. Do tego Emily całkiem nieźle radziła sobie jako kelnerka. Lubiła rozmawiać z ludźmi, okazywać życzliwość, pogawędzić o tym i owym ze stałymi gośćmi. Carol zawsze dbała o to, żeby Emily coś zjadła przed rozpoczęciem swojej zmiany albo po jej zakończeniu. Każdy mógł częstować się kawą i gorącą czekoladą. „Niebieska Kwoka” była najlepszym miejscem, w którym Emily miała okazję pracować.

Dean wściekł się na nią, kiedy mimo wszystko postanowiła wyjść z domu, i właśnie dlatego pojawiła się w pracy roztrzęsiona i przygnębiona. No, przynajmniej to był jeden z powodów. Nie lubiła, kiedy się wściekał, ale gdyby nie chodziła do pracy i nie miała stałej pensji, byłoby jej trudno przetrwać kolejne tygodnie. A wtedy musiałyby pożyczyć pieniądze od matki, czego nie mogła teraz zrobić. To

zresztą zupełnie inna historia.

Rzeczywiście, Dean mógł zarobić mnóstwo kasy. Nie zawsze jednak zarabiał, i jakoś rozchodziło się to równie szybko, jak przychodziło. Na dodatek raz na jakiś czas znikał na parę dni, kiedyś nawet na cały tydzień. Wtedy myślała, że już nie wróci, i wcale nie była zbyt ucieszona, kiedy wreszcie znów pojawił się w domu.

– Już lepiej?

Obok ławki stanął Angelo. Pachniał cytrynowym płynem do mycia naczyń. Emily spojrzała na niego, chłopak uśmiechnął się nieśmiało i skierował wzrok w niebo. Zawsze był dla niej miły. Niespodziewanie zapragnęła ująć go za rękę.

– Dzięki, że po mnie posprzątałeś. – Spłótła dłonie na kolanach.

– Nie ma za co.

Angelo chyba chciał jeszcze coś dodać, ale w końcu się rozmyślił. Już parę razy próbował się z nią umówić. Powiedziała mu w końcu, że kogoś ma, wtedy przestał składać propozycje, jednak wciąż się do niej uśmiechał z nadzieją. Myślała, że będzie na nią zły, albo zacznie się wrednie zachowywać, skoro dała mu kosza, jednak nic takiego się nie stało. Angelo traktował ją równie życzliwie jak dotąd. Z jakiegoś powodu uznawał, że chłopak musi mieć sympatyczną matkę, kogoś, kto nauczył go szacunku wobec kobiet. To było w nim naprawdę fajne.

– Chyba powinnaś wracać do środka – powiedział. – Carol musi się zająć jakąś papierkową robotą w biurze.

– OK – odparła Emily.

Carol przechowywała utarg z całego tygodnia w sejfie za biurkiem w swojej kanciapie. W piątki zajmowała się wszystkimi zestawieniami. Wieczorem po zamknięciu restauracji zabierała pieniądze do banku, do nocnej wrzutni. Emily słyszała, jak mąż Carol, Paul, mówi, że to zły pomysł. Uważał, że powinni robić to codziennie, po drodze do domu, żeby nie trzymać zbyt dużo gotówki w lokalu. Carol zgodziła się z tym, ale Emily nie zauważyła, żeby coś się zmieniło.

Carol miała swoje przyzwyczajenia, każdego dnia wszystko musiało być zrobione w ten sam sposób. Nie lubiła zmian. Od otwarcia do zamknięcia „Kwoki” wszystkie czynności – przygotowywanie kawy, wyciskanie soku z pomarańczy, napełnianie solniczek, pieprzniczek i cukiernic, przecieranie baru i stolików – stanowiły część powtarzalnego rytuału.

Ta cecha Carol przypadła Emily do gustu. Szefowa była osobą przewidywalną i godną zaufania. Nikt nie miał żadnych wątpliwości, czego oczekuje i jak zareaguje. Dla Emily było to uspokajające, bo zwykle nie potrafiła zgadnąć, co może doprowadzić Deana do wybuchu. Deana albo matkę... Nigdy nie wiedziała, czy spodziewać się z ich strony życzliwości, czy też okrucieństwa. W „Niebieskiej Kwoce” istniała tylko jedna zasada: ciężko pracuj i bądź miła dla ludzi, a nie będziesz mieć żadnych problemów. Zdaniem Emily ta reguła powinna dotyczyć całego życia. Niestety, świat oczywiście nie działał w ten sposób.

Gdy weszła do restauracji, istotnie poczuła, jakby dzień zaczął się od nowa. Emily pozwoliła, by ogarnął ją rytm tego miejsca, i przez resztę zmiany funkcjonowała już zgodnie z rutyną. Koniec z pomyłkami. Po zakończeniu pracy Carol przygotowała dla Emily klopsa z purée ziemniaczanym i sosem, a do tego sporą porcją smażonych warzyw. Emily wprawdzie nie wspominała, że jest głodna, ale zjadła wszystko i stwierdziła, że mogłaby zjeść jeszcze więcej. Zobaczyła, że Carol na nią patrzy. Po chwili szefowa podeszła i usiadła naprzeciwko niej w boksie.

Między porą śniadania i obiadu w „Niebieskiej Kwoce” robiło się nieco spokojniej, przy stolikach było jedynie paru klientów: matka karmiła małego chłopca, podając mu łyżką owsiankę, jakiś starszy człowiek czytał gazetę, mężczyzna i kobieta przy dwójce koło okna trzymali się za ręce.

– Smakowało ci? – spytała Carol. Postukała w talerz opróżniony przez Emily.

Emily chętnie wylizałaby cały sos, gdyby nikt na nią patrzył.

– Paskudztwo – odparła. – Zwracam to do kuchni.

Carol uśmiechnęła się i poklepała ją po grzbiecie dłoni.

– Nie jadłaś śniadania.

– Nie jadłam – przytaknęła Emily. Przypomniał jej się Dean, naburmuszony, siedzący z papierosem przy stole nad kubkiem kawy. Wołała wyjść z domu bez śniadania niż dalej się z nim kłócić. I dym, i jego nastrój, były wystarczająco toksyczne, żeby stamtąd uciec.

– Wszystko w porządku, moja droga? – spytała Carol.

– W porządku. Naprawdę. Przepraszam za to, co się stało. To się już nie powtórzy.

– Nie przejmuj się tym, dziecko. – Carol odchyliła się na krześle. Emily dostrzegła, że szefowa rozgląda się szybko po wnętrzu restauracji. Jeśli zobaczyłaby, że coś jest nie tak, zerwałaby się z miejsca, naprawiła co trzeba, i szybko wróciła do stołu. Najwyraźniej tym razem wszystko zyskało jej aprobatę. – Każdy miewa gorsze dni. Jak ci idzie w szkole?

– Dobrze – odparła Emily. – Świetnie.

Carol przez chwilę wpatrywała się w Emily, znów lekko klepnęła jej dłoń, a potem wstała.

– OK – powiedziała. – To dobrze.

Emily patrzyła, jak Carol kieruje się w stronę kuchni, by sprawdzić, czy wszystko jest przygotowane na porę lunchu. Bardzo chciała poprosić Carol, żeby została; chciała komuś opowiedzieć o tym, że musiała zrezygnować ze szkoły, że jej się nie udało i że będzie próbowała zapisać się na niektóre zajęcia na jesieni, kiedy powinno być trochę lepiej z kasą, o ile Dean nie będzie nadal potrzebował pomocy. Matka Emily przestała opłacać chesne, bo nie zносиła Deana i nie akceptowała faktu, że ktoś taki mieszka z jej córką. Z kolei Emily nie zarabiała tyle, żeby wystarczało na czynsz, jedzenie i całą resztę, nie mówiąc o zajęciach w szkole pomaturalnej.

Nie mogła jednak tego wszystkiego powiedzieć, bo przecież Carol nie była ani jej matką, ani przyjaciółką, tylko przełożoną. Lepiej o tym nie zapominać. Emily już kiedyś popełniła ten błąd i zbliżyła się zbyt blisko do ludzi, dla których pracowała. Kiedy musieli ją zwolnić z jakiegoś powodu, było to o wiele dotkliwsze. Sprawiali też wrażenie bardziej rozzarowanych, gdy zawiódła ich zaufanie. A zawsze tak to się kończyło.

– Mogę zostać na zmianie obiadowej, jeżeli jestem potrzebna – powiedziała Emily. Starając się, żeby nie zabrzmiało to jak prośba, chociaż rzeczywiście przydałyby się dodatkowe pieniądze.

Carol odwróciła się przy drzwiach i zastanawiała się przez chwilę.

– W grafiku jest teraz Blanche. Ale dzięki za propozycję. – Machnęła rękami i dodała: – Jesteś młoda. Rozerwij się dziś trochę.

Emily zabrała swoje rzeczy z zaplecza i wyszła z restauracji. Na zewnątrz powitała ją lekka mżawka, chociaż niebo było na ogół błękitne. Słońce i deszcz, ale ani śladu tęczy. Dean miał odebrać Emily z pracy; pozwoliła mu wziąć samochód i rano dotarła do restauracji autobusem. Jednak nie przyjechał. Cóż za niespodzianka.

Stała przez chwilę przy bocznej ścianie budynku. Mogła się schować pod markizą, żeby nie zmoknąć, ale nie chciała, by ktoś zobaczył, że znowu musi czekać. Wreszcie, po prawie dwudziestu minutach, ruszyła na przystanek.

W autobusie wyjęła telefon i zadzwoniła do matki. Matka z nią nie rozmawiała, ale Emily codziennie zostawiała wiadomość na sekretarce.

– Cześć, mam – powiedziała. – Właśnie wyszłam z restauracji, wracam do domu autobusem. Dean miał dziś rozmowę o pracy, więc wziął mój samochód. Zastanawiałam się, czy nie chciałabyś przyjechać do nas w niedzielę na kolację. Dom wygląda naprawdę nieźle, fajnie by było, gdybyś go zobaczyła. – Zamilkła na moment, mając nadzieję, że matka odbierze. – No dobrze, kończę. Kocham cię. Zadzwoni do mnie.

Emily wierzyła, że matka kiedyś znów zacznie się do niej odzywać, choć na razie nic takiego się nie stało. Ich ostatnia kłótnia polegała na wzajemnym przekrzykiwaniu się. A może tylko Emily wrzeszczała?

– Z tym chłopakiem jest coś nie tak! – oświadczyła matka. Siedziała przy kuchennym stole i paliła papierosa. Zawsze kiedy Emily myślała

o matce, Marcie, wyobrażała ją sobie właśnie tak: przy tym stole, opartą łokciami o laminowany blat, wpatrzoną w bliżej nieokreślone miejsce, z papierosem w dłoni. Dlatego tak nie znosiła zapachu dymu tytoniowego.

– Zamieszkanie z nim to najgorsza rzecz, jaką możesz zrobić. Ten gość na pewno strasznie cię skrzywdzi. I nie waz się zachodzić w ciężę! Twoje życie wtedy się skończy.

A potem Martha powiedziała, że nie zamierza płacić chesnego, dopóki Dean się nie wyprowadzi. Emily nie potrafiła tego zrozumieć – skoro matka była przekonana, że Dean złamie jej córce życie, to dlaczego chciała jej odebrać jedyną szansę na uzyskanie wykształcenia, przecież zawsze powtarzała, że to podstawa sukcesu?

– Nie pozwolę, żeby te pieniądze trafiły do niego.

To prawda, w ostatnim semestrze Emily zrezygnowała z zajęć, a chesne, które jej zwrócono, przekazała Deanowi. Tak, rzeczywiście to zrobiła. Martha dowiedziała się o tym, ponieważ biuro kwestora przysłało jej rozliczenie. Emily powinna była się domyślić, że tak zrobią, nigdy jednak nie potrafiła niczego porządnie zaplanować. Dean potrzebował tych pieniędzy – właściwie wciąż nie wiedziała, na co. Akurat wtedy wydawał się bardzo zdesperowany. A zajęcia dotyczyły filmu, były fakultatywne, nie miały żadnego znaczenia dla jej specjalizacji, czyli wychowania przedszkolnego.

Ostatnia wizyta u matki skończyła się awanturą. Emily krzyczała:

– On mnie kocha!

Jakaś część jej umysłu patrzyła na to z boku, nie mogąc uwierzyć, ile złości się w niej mieści. Emily zwykle nie uciekała się do wrzasku, jednak czuła się wtedy tak, jakby coś chciało rozerwać jej pierś i wydostać się na zewnątrz.

– Zazdrościsz mi, bo nikt nigdy cię nie kochał tak, jak on mnie!

Matka siedziała i wpatrywała się w ścianę pokrytą tapetą, niedbale trzymając papierosa między palcami. Wyglądała na starą, zmęczoną, zużytą kobietę. Emily najbardziej obawiała się, że właśnie tak kiedyś skończy, przy kuchennym stole, że będzie wyglądała, jakby życie ją zupełnie stłamsiło i wszystko przestało ją obchodzić.

Starsza kobieta, która siedziała obok Emily w autobusie, klepnęła ją w udo i podała chusteczkę. Emily przyjęła ją bezwiednie. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że płacze.

– Dziękuję – powiedziała i otarła oczy.

– Ciężko jest być młodym – oznajmiła kobieta. Była ubrana w ładny niebieski płaszcz przeciwdeszczowy i miała srebrnosiwe włosy. Jej dłonie lekko drżały. – Pamiętam. Człowiek wtedy tak wiele pragnie...

– A potem jest łatwiej?

Pasażerka zachichotała i położyła miękką, suchą dłoń na dłoni Emily. – Niespecjalnie, kochanie.

Świetnie, pomyślała Emily. Po prostu świetnie.

Jak to się wszystko zaczyna, jak się zaczyna życie? Jak się przekracza granicę między byciem dzieckiem wożonym ze szkoły na trening piłkarski, do sali zabaw, do centrum handlowego, a studiami i pierwszą pracą? Jak wygląda droga od pierwszej pracy do pierwszej randki z przyszłym mężem, a potem do tego, co się w końcu dzieje z twoim życiem, kiedy stajesz się mamą dwójki dzieci, płacącą rachunki przez Internet na laptopie stojącym na kuchennym blacie? Czy to jest tak, że każde zdarzenie, każda decyzja, łączy się z następną, aż w końcu powstaje ciąg wypadków, który nazywamy życiem? Jak to się zaczyna? – zastanawiała się Chelsea, przyglądając się swojej matce, Kate. I jak kończy?

– Nie możesz w tym iść.

Gdy Chelsea zeszła po schodach, mama nawet na nią nie spojrzała, nawet nie zerknęła znad papierów rozłożonych na kuchennej wyspie. Skąd wiedziała, że Chelsea jest ubrana w czarną miniówkę, buty do kolan i fioletowy dzianinowy sweterek niezakrywający pępka? Skąd wiedziała. I chociaż nie powiedziała tego z gniewem ani ze złością, ton jej głosu był stanowczy. Żadnych dyskusji. Chelsea instynktownie zrozumiała, że opinia wyrażona przez matkę wyklucza wszelkie płacze, marudzenie i prośby.

– Jasne – stwierdziła. I nie było to „jasne” wypowiedziane z przekąsem, po prostu zwykłe stwierdzenie. Odwróciła się na pięcie i znów weszła na górę.

Właściwie to i tak nie chciała zakładać tego swetra. Nie lubiła zbytnio swojego brzucha – był tłustawy, ciastowaty. Przez całe popołudnie z zażenowaniem zasłaniałaby go splecionymi rękami. Co innego Lulu, która miała absolutnie doskonałą figurę i ani grama zbędnego tłuszczu. Poruszała się z kocią gracją, jej kształty wydawały się idealnie zsynchronizowane z otoczeniem, żaden element jej ciała – cera, usta, szpiczaste piersi – nie miał wad. W towarzystwie swojej najlepszej przyjaciółki, jeszcze z czasów przedszkolnych, Chelsea czuła się jak pokraka. Przeglądała teraz zawartość szafy, sprawdzając i odrzucając kolejno dżinsową koszulę, różowy T-shirt z nadrukiem i marszczoną bluzkę, którą przysłała jej babcia, a której nigdy do tej pory nie nosiła. Co założyłaby Lulu?

Lulu prawie nic nie jadła – mieściła się w rozmiarze zero. Z drugiej strony nie była też zbyt inteligentna... Chociaż nie, to nie do końca prawda. Mimo że Lulu miała problemy z ortografią, a Chelsea zawsze pomagała jej w nauce – a czasami nawet odrabiała za nią lekcje – to jej przyjaciółka była na swój sposób błyskotliwa. Nawet jeśli nie ogarniała matmy i angielskiego, zawsze wydawała się bardziej towarzyska i zorientowana w świecie niż Chelsea. Lulu po prostu nie interesowała się szkołą.

Inna cecha jej koleżanki: miała niewyparzony język. Czy zawsze tacy szczupli, wspaniale wyglądający ludzie muszą być tacy wredni? Skąd się brało ich przekonanie o własnej wyższości? I dlaczego inni wciąż im nadszkakiwali, mimo że zachowywali się tak beznadziejnie? Skąd się to brało? Kolejne pytania w nieskończonym ciągu wątpliwości, które nękały Chelsea i które nie znajdowały zadowolających odpowiedzi. Zbyt wiele pytań!

Chelsea zdjęła z wieszaka swoją ulubioną liliową tunikową bluzkę i założyła ją zamiast sweterka, pozostawiając czarną minispódniczkę. Natychmiast poczuła się pewniej i swobodniej. W tych ciuchach nie było nic specjalnego – nie były ani wyzywające, ani superszpanerskie, ani dziwaczne albo frajerskie. Wniosek z tego, że nikt nie zwróci na nią uwagi z powodu ubrania. Podobnie zresztą jak z powodu jej całkiem ładnej, ale właściwie nie pięknej twarzy, ani prostych, długich do ramion włosów w kolorze pszenicy, ani też chłopięcej sylwetki. No i bardzo dobrze. Bardzo dobrze...

Matka weszła do pokoju i schyliła się, żeby podnieść sweter, który Chelsea rzuciła na podłogę.

– Skąd to masz? – Kate trzymała go w górze, wyglądał na straszliwie mały, jak ubranko dla lalki. Chelsea niemal czuła za niego wstyd, wyobraziła sobie, jak się kuli pod wpływem karcącego spojrzenia mamy.

– Pożyczyłam od Lulu.

– Hm... – Mama złożyła sweter i położywszy go na łóżku, usiadła obok. – Posłuchaj, Chelsea... Bycie piękną nie polega na ostentacyjnym prezentowaniu własnego ciała.

– Wiem.

No naprawdę, jak mogłaby o tym nie wiedzieć?! Przecież gadały o tym setki razy. „Piękno jest we wnętrzu człowieka. Chodzi o inteligencję, pewność siebie, świadomość tego, kim się jest”. A także: „Urody nie można kupić”. Albo: „Piękno nie kryje się w makijażu i perfumach”. No i jeszcze: „Nie ma jednego obowiązującego wzorca urody”. Tak, Chelsea w gruncie rzeczy uważała te hasła za prawdziwe, szkoda tylko, że świat na razie nie potrafił ich zrozumieć.

– Nie musisz nic robić, i tak jesteś piękną dziewczyną – powiedziała Kate. – Może Lulu uważa, że musi nosić seksowne ciuchy, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Chelsea rzuciła мамie spojrzenie, które, miała nadzieję, w dostatecznym stopniu wyrażało jej sceptycyzm. – Nie powiesz mi chyba, że Lulu i tak nie wygląda wspaniale?!

Jej matka uśmiechnęła się, tym swoim specjalnym uśmiechem „cierpliwej mamusi”. Z jakiegoś powodu Chelsea strasznie to wkurzało.

– Są różne rodzaje piękna – powiedziała Kate.

– Nie ma chłopaka, który nie chciałby z nią być – oświadczyła Chelsea. Czy pobrzmiwała w tym zazdrość? Na pewno nie. A może jednak?

Kate uniosła brwi.

– Co masz na myśli, mówiąc „z nią być”?

– Wiesz przecież. – Chelsea poczuła, że się rumieni. – Nieważne.

Spojrzała na leżący między nimi sweterek. Był jaskrawy, wyglądał dość tandetnie; po paru praniach na pewno straciłby kolor i się zmechacił. Nie przetrwałby jednego sezonu.

– Poza tym – dodała mama – podoba mi się ta bluzka. Wyglądasz...

Chelsea uniosła dłoń.

– Tylko nie mów, że ślicznie.

– Chciałam powiedzieć, że ładnie, ekstra... Stylowo. Świetnie ci w tym kolorze.

Kate wstała i zmierzwiła palcami włosy córki, a potem ucałowała ją w czoło i wyszła z pokoju. Chelsea wsadziła sweterek do torby. Może zdecyduje się przebrać w centrum handlowym, a może po prostu zwróci go Lulu.

– Bądź gotowa za kwadrans! – zawołała Kate już ze schodów. – Muszę jeszcze odebrać twojego brata z treningu.

„To mój przyrodni brat”, chciała odpowiedzieć Chelsea, jednak się powstrzymała. Nie powinna tak mówić, wszystkich to irytowało i uprawiało w przygnębienie. Także ją samą. Zresztą przecież nie myślała o Brendanie w ten sposób. Był jej bratem pod każdym względem, zwłaszcza jeśli chodzi o to, jak umiał ją wkurzyć.

– Dobrze – powiedziała po prostu.

Usiadła przy komputerze i ruszyła myszką. Wygaszacz ekranu zniknął i pojawił się profil Chelsea na Facebooku. Przejrzała listę aktualności. Stephanie informowała w swojej wiadomości, że spędza czas na beznadziejnej nauce do letniego egzaminu z rachunku różniczkowego. Swoją drogą ciekawe, jak można było jednocześnie uczyć się i publikować posty na fejsie? „Nudy!”, napisała Stephanie. „Komu w ogóle jest

potrzebny rachunek różniczkowy?!". Chelsea odpisała: „Trzymaj się, dziewczyno!”.

Jej kolega Brian twierdził, że jest strasznie „nakręcony” z powodu wyjazdu na obóz piłkarski. Chelsea wiedziała, że to nie do końca prawda: Brian zawsze grzał ławę, wchodził na boisko zawsze jako ostatni. Napisała: „Załatw ich wszystkich!”. Z kolei Josie poszła zrobić sobie manicure. „Mogłabym przysiąc, że te Chinki mówią o mnie paskudne rzeczy”. Josie ciągle myślała, że ludzie mówią o niej paskudne rzeczy, prawdopodobnie dlatego, że sama zawsze wrednie obgadywała wszystkich innych. Chelsea tym razem nie odpisała.

Miała stu dziewięciu znajomych na Facebooku, a każdy z nich najwyraźniej zawsze robił coś, czym warto było się pochwalić na swoim profilu. Czasami, gdy czytała te wiadomości, czuła się nieco zaniepokojona. Wiedziała, co myślą i co robią inni ludzie, czy są zmartwieni albo podekscytowani, przygnębieni albo zakochani.

Napływał nieprzerwany strumień informacji o jej przyjaciółach, dalszych kolegach i koleżankach, osobach ze szkoły, których zaproszenia do grona znajomych zaakceptowała, ponieważ tego chcieli, ale których wcale nie uważała za prawdziwych przyjaciół; o krewnych z Waszyngtonu i o drugiej żonie dziadka. Chelsea często zastanawiała się, jaki powinna wpisać status w związku z tym, co właśnie robi, aby poczuć się częścią tej sieci. Niezależnie od tego, co udało jej się opublikować, miała wrażenie, że czegoś temu brakuje. Jej tata, Sean, który nie cierpiał Facebooka, zwykł mawiać: „Dawno, dawno temu ludzie rozmawiali ze sobą. Nie zamieszczaliśmy informacji o naszych myślach ani uczuciach na jakiejś cyfrowej tablicy ogłoszeń, którą każdy może przeczytać. Wiedzieliśmy, co robimy i co robią nasi bliscy. I wiesz co? To w zupełności wystarczy”.

Zdaje się, że rodzice Chelsea bronili jakichś idei, które nie całkiem przystawały do rzeczywistości. Zawsze starali się zniechęcić ją do świata takiego, jakim był naprawdę, a przekonać do takiego, jakim być powinien. Czasami było to dość męczące. Chciała im powiedzieć: „Dajcie spokój. Przegraliście, świat jest do bani i gadaniem tego nie zmienicie, ile byście nie próbowali”. Ale jak mogła to zrobić, skoro podchodzili do sprawy z taką powagą i mieli tak szczere intencje?

Chelsea dostała nowe zaproszenie do znajomych. Kliknęła ikonę z wesołymi niebieskimi główkami i pojawiło się małe okno. Niejaki Adam McKee chciał, żeby dołączyła do grona jego przyjaciół. Nie miała pojęcia, kto to taki, ale chłopak wyglądał super, miał nastroszone ciemne włosy i ciemne oczy z długimi rzęsami.

Poczuła lekkie zaciekawienie. Kto to był? I dlaczego wysłał jej tę prośbę? Kliknęła jego nazwisko, żeby sprawdzić, do której szkoły chodzi i jakich mają wspólnych przyjaciół. Był uczniem liceum w Brighton, w sąsiednim miasteczku. Na liście wspólnych znajomych znalazła się tylko jedna osoba: Lulu. Normalka. Lulu przyjaźniła się ze wszystkimi, chociaż na temat większości z nich miała zawsze coś okropnego do powiedzenia.

To wszystkie informacje o Adamie McKee, do jakich mogła uzyskać dostęp bez zaakceptowania jego prośby. Postanowiła zapytać Lulu o tego faceta. Nie chciała nawiązywać kontaktu z człowiekiem, którego nie знаła, nawet jeśli był takim superciachem. Opublikowała wiadomość: „Idę do galerii na zakupy i koktajl z Lulu. Jest jeszcze ktoś chętny? Spotkajmy się przy restauracjach!”. Było to trochę głupie, ale nic lepszego w tym momencie nie była w stanie wymyślić.

– Chelsea, idziemy! – z dołu rozległ się głos matki. Coś spowodowało zmianę jej nastroju, w głosie pojawiło się napięcie. Taka potrafiła być Kate – w jednej chwili całkiem normalna, a za moment opryskliwa i niespokojna. Chelsea odkryła, że najlepiej w takiej sytuacji udawać, że się tego nie dostrzega. Akurat to nieźle jej wychodziło.

Jak to możliwe, że już jest w południe? Dlaczego kolejne dni mijają w szaleńczym pośpiechu? Gdy Kate wracała po odwiezieniu dzieci do szkoły albo na półkolonie, przez moment dom był wypełniony złotym blaskiem, a dzień zdawał się rozpościerać przed nią i oferować nieskończenie wiele możliwości tego, co mogłaby zrobić. Jednak po chwili, nim się spostrzegła, była już jedenasta. A potem – druga. O trzeciej Kate znów wsiadała do samochodu, żeby odebrać dzieci i porozwozić je na rozliczne zajęcia.

Nie próżnowała, zawsze miała coś do roboty, a mimo to jakoś nie udawało jej się uzyskać postępów w żadnym z naprawdę ważnych przedsięwzięć, które planowała zrealizować. Oczywiście w domu było nieskazitelnie czysto, pranie zawsze zrobione, kolacja przygotowana, a lodówka pełna niezbędnych i lubianych przez domowników produktów. To zasługa Kate, dbała o swoją rodzinę. Tyle że nie potrafiła uznać tych wszystkich zadań za naprawdę ważne. Stanowiły niezbędne minimum; musiała je wykonać, aby uniknąć całkowitej porażki w trakcie odgrywania najważniejszej roli w życiu. Nie oznaczało to, że nie miała innych sukcesów – działała na przykład w szkole, w spółdzielni zajmującej się produkcją żywności organicznej. W ciągu ostatniego roku osiągnęła bardzo dużo, ale najwyraźniej to nie wystarczało.

– Chelsea, idziemy! – zawołała. Nie chciała, żeby jej głos zdradzał napięcie, jednak wiedziała, że to się nie udało. Po chwili jej córka spłynęła po schodach. Patrząc na Chelsea, Kate poczuła znajome ukłucie w sercu. Ta dziewczyna nie miała pojęcia, jaka jest piękna, a przez to wydawała się jeszcze piękniejsza. Czasami, kiedy Kate spoglądała na rozkołysane biodra córki, na jej młeczną skórę i połyskujące jak złotyści len włosy, zaczynała się bać. W takich momentach pragnęła okryć Chelsea płachtą i schować ją przed światem; myślała o burkach, klasztorach i prawach regulujących obyczajny ubiór. Jak w ogóle można ochronić kogoś tak ślicznego? W jaki sposób powstrzymać brudne łapska tego świata przed dotarciem do tak atrakcyjnej osoby? To po prostu niemożliwe, trzeba zaakceptować ten smutny fakt. Można jedynie nauczyć Chelsea chronić samą siebie.

– Co się stało? – spytała Chelsea, gdy znalazła się już na dole. – Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Nic – odparła Kate. Zmusiła się do szerokiego uśmiechu, a potem dotknęła gładziutkiego policzka córki. – Nie patrzę na ciebie w żaden szczególny sposób. Chodź, spóźnimy się.

Chelsea przepłynęła obok Kate, pozostawiając za sobą zapachy pudru, szamponu i mydła Ivory – czyste, niewinne aromaty dzieciństwa. W jakiś sposób sprawiły, że Kate poczuła się spokojniejsza. Wyszła za córką do samochodu.

– Wiesz, nie jestem przekonana do tego spotkania w centrum handlowym – powiedziała, zapinając pasy.

– A co jest złego w centrum handlowym?

Co jest złego?! Przecież to twierdza masowej konsumpcji, miejsce handlu śmieciowym jedzeniem, środowisko naturalne wszelkiej maści zbrojców, pedofilów i porywaczy, a do tego ulubiony cel terrorystów, przynajmniej według telewizji. I zdaje się ostatnio w jakimś tygodniku pojawił się artykuł o młodych ludziach uprawiających seks w toaletach... Znajdowali się dzięki jakiejś aplikacji na smartfony i umawiali, żeby to zrobić. Kate miała nadzieję, że to tylko kolejna miejska legenda, jednak nie miała odwagi, żeby zapytać o to Chelsea.

– Cóż, to bardzo nieekologiczny sposób spędzania piątkowego popołudnia – stwierdziła. – Poza tym w niedzielę wyjeżdżamy. Dziś wieczorem musimy zacząć przygotowania.

Na samą myśl o wyjeździe poczuła ucisk w żołądku. Podróż. Ta straszna podróż. Zbliżała się nieuchronnie, a Kate robiła się przez to nerwowa i zgryźliwa w stosunku do Seana i dzieci.

– Wiesz, mam... – zaczęła Chelsea. Dziewczyna była zbyt mądra i zbyt dobrze znała Kate, żeby uwierzyć w te głupie wytłumaczenia jej niechęci wobec wizyty w galerii handlowej. – Wskaźnik przestępstw popełnianych przez nieznaną osobę nigdy nie był tak niski. Porwania i morderstwa w centrach handlowych to anomalia statystyczna.

– Mówisz zupełnie jak Sean – odparła Kate. Jak zwykle była jednocześnie dumna i poirytowana z powodu inteligencji swojej córki. Podejrzała nawet, że jej poziom jest znacznie wyższy niż u niej samej, choć mgliście przypominała sobie, że w młodości też była osobą inteligentną, bystrą i błyskotliwą.

– Nie będę włóczyć się bez celu po galerii – stwierdziła Chelsea, jak zawsze pragmatyczna. – I tak potrzebuję paru rzeczy na wyjazd.

– A czego konkretnie?

– Jakiegoś polaru i sportowych butów. – Wzruszyła ramionami. – Turystycznych ciuchów.

– Możesz zapłacić swoją kartą.

Kate i Sean podarowali Chelsea kartę kredytową na piętnaste urodziny. Karta była związana z ich kontem, ale wydatki podlegały ścisłej kontroli, a planowane zakupy musiały zostać wcześniej zaakceptowane, z wyjątkiem sytuacji awaryjnych. Nigdy nie mieli z tym problemów. Chelsea była taka jak jej matka – stanowiła wzorzec uczciwości. Za to Brendan, jej młodszy brat, to zupełnie inna historia. Nie będą tacy przekonani do dawania mu karty, kiedy osiągnie odpowiedni wiek. To kochany chłopak, ale spryciarz, a do tego miał naturę buntownika.

Centrum handlowe pyszniło się bielą wśród pieczołowicie uporządkowanego otoczenia niczym pełen megalomanii pomnik zbytku. Kate podjechała do wejścia. Patrzyła, jak jej córka zbiera rzeczy z siedzenia i rozpina pas.

– Spotkamy się tutaj o szóstej – powiedziała Kate. – Masz telefon?

– Jasne – odparła Chelsea i pochyliła się, żeby dać matce szybkiego całusa. Otworzyła drzwi i wyskoczyła na zewnątrz.

Kate opuściła szybę. – Wyślij mi SMS-a! – zawołała.

Chelsea uniosła dłoń w geście potwierdzenia, ale nie odwróciła się. Po chwili pochłonęły ją wielkie obrotowe drzwi.

Kate nie myślała o tym od bardzo dawna, ale nagle przypomniała sobie dramatyczne sceny, które rozgrywały się, kiedy odwoziła dzieci do przedszkola. Chelsea przyklejała się do niej jak małpka, płacząc i krzycząc: – Nie zostawiaj mnie, mammo! – Ze wszystkich zdań, które da się wypowiedzieć, to wyraża chyba najwięcej rozpaczy.

Mamusia zawsze wraca, kochanie. Baw się dobrze – mawiała łagodnie Kate, próbując delikatnie wyzwolić się z uścisku małych, ale silnych rąk córki. Odjeżdżała z poczuciem winy i jednocześnie rozpaczliwym pragnieniem uzyskania paru godzin dla siebie.

Za to Brendan uciekał, nie oglądając się za siebie, nawet gdy był jeszcze maluchem. Czuł się pewniej, nie był dzieckiem, które – jak Chelsea – przeżyło trudny i bolesny rozwód rodziców. Świat Brendana miał zawsze solidne podstawy; związek Kate z ojcem chłopca, Seanem, był stabilny i pełen miłości. Chelsea pochodziła z pierwszego, nieszczęśliwego małżeństwa Kate, która wiedziała, że musiało to zostawić ślad na osobowości córki, mimo że Chelsea uważała Seana za swojego tatę, a przez większość życia była szczęśliwa i spokojna. Niestety jej biologiczny ojciec, Sebastian, nawet dziś wywierał destabilizujący wpływ na rodzinę. Kate odetchnęła głęboko kilka razy, by odpędzić od siebie poczucie winy i gniew, które natychmiast wróciły, gdy zaczęła myśleć o tych zdarzeniach. Próbowowała się od tego uwolnić. Cóż można było na to poradzić? Życie to nie bajka, ani dla Chelsea, ani dla nikogo innego.

Parkowała już przy boisku, gdy zadzwonił telefon. „Co znowu?!”, pomyślała, choć nie miała żadnego powodu, żeby tak zareagować. Z wyjątkiem rozmowy z byłym mężem, który zawsze potrafił wprawić ją w kiepski humor, nic specjalnego się dziś nie wydarzyło. Takie podejście – „co znowu?!” – było charakterystyczne dla matki Kate, która zawsze słysząc dźwięk dzwonka u drzwi albo odgłos telefonu sprawiała wrażenie osoby niezmiernie udręczonej, jakby właśnie była tak zajęta, że w żadnym razie nie mogła ze wszystkim nadążyć. Kate musiała się otrząsnąć, jak zwykle wtedy, gdy zdarzało jej się myśleć w sposób, który przypominał jej Birdie.

– Halo, słucham? – starała się, by jej głos zabrzmiał optymistycznie i przyjaźnie, zachęcająco.

– Cześć. – To brat Kate. Wyczuła coś w tonie jego głosu i od razu wiedziała, dlaczego dzwoni.

– Nie mów tego, Teddy – powiedziała. Nie, żaden Teddy, choć w taki sposób Kate nazywała go przez całe życie. Już ponad dziesięć lat temu kazał mówić na siebie Theo. Wszyscy jego przyjaciele, jego partnerka i współpracownicy znali go jako Theo. Jedynie Kate i rodzice wciąż używali dawnego zdrobnienia.

Kate dostrzegła Brendana, który machał do niej z boiska. Wyglądał na drobniejszego od innych chłopców. Odmachała mu i uniosła palec, dając znak, żeby chwilę poczekał.

– Przepraszam – powiedział brat. Odetchnął głęboko. – Nie mogę, po prostu nie mogę tego zrobić w tym roku.

– Musisz. Przecież mi obiecałeś.

Zobaczyła, jak chłopcy wbiegają na boisko. Brendan rzucił matce szybkie, niespokojne spojrzenie i zajął miejsce na placu. Usłyszała wysoki dźwięk gwizdka i odgłos zachęcających okrzyków rodziców.

– Wiem, moja droga – powiedział Theo. – Ale właśnie doszedłem do wniosku, że nie mogę dalej tego robić.

Kate wyczuła, że brat nie zamierza zmienić zdania.

– Nie jestem taki jak ty – dodał.

– O co ci chodzi?

– No wiesz... – Był zmęczony i nieco rozdrażniony. – Ojciec jest po twojej stronie. Ja nie mogę liczyć nawet na to.

Ogarnęło ją dziecinne wzruszenie. Mrugnęła, żeby powstrzymać łzy napływające do oczu. Czuła gniew, rozczarowanie i smutek – dobrze znane zwiastuny poprzedzające każde rodzinne spotkanie. Tym razem pojawiły się wcześniej i Kate przeczuwała, że raczej zagoszczą na dłużej. Nie odpowiedziała.

– Posłuchaj, Kate – Theo odezwał się mimo jej milczenia. – Jestem już na to za stary. Nie zamierzam jechać przez cały dzień, żeby dać się zamknąć na jakiejś wyspie razem z ludźmi, którzy mnie znieważają. Kiedyś w końcu trzeba się nauczyć mówić „nie”.

Westchnęła głęboko z irytacją. Znieważają?! Chyba trochę zbyt melodramatyczne określenie, prawda? Ale to też reakcja typowa dla matki. Birdie zawsze była gotowa dyskutować o znaczeniu słów, byle tylko uciec od przykrej prawdy.

– A co z dziećmi? – spytała. Też czasami potrafiła zagrać na uczuciach. – Tęsknimy za tobą.

– Przyjedziemy do was na Święto Dziękczynienia.

– Teddy, nie zostawiaj mnie samej... – Trudno, przeszła już do błagań.

– Zrozum, Kate – odparł brat. – Ty też nie musisz tam jechać.

Ależ musiała to zrobić! Istniały tysiące powodów, jedne powiązane z drugimi, wielka, splątana sieć oczekiwań, lęków i obowiązków.

– Muszę kończyć – oświadczyła. Zabrzmiało to zimno, nie chciała, żeby tak było.

– Kate...

– Mecz Brendana właśnie się zaczyna. A ja staram się dotrzymywać obietnic złożonych członkom mojej rodziny.

– Oj, przestań! – Teraz on też był wkurzony. – Mówisz zupełnie jak ona.

To był cios poniżej pasa. Zupełnie niepotrzebny. Przypomniał jej, że chociaż bardzo kochała Theo, to w ich relacjach było wciąż sporo napięcia. Jakżeby zresztą mogło być inaczej? W jaki sposób dzieci Birdie i Joego Burke'ów mogły mieć jakąkolwiek nadzieję na prawdziwą bliskość? Od kogo się miały jej nauczyć? Na pewno nie od rodziców. Może to zresztą i lepiej, że brat nie przyjedzie na spotkanie.

– Do widzenia, Theo. – Kate rozłączyła się.

Siedziała przez jakąś minutę z głową opartą o kierownicę, aż usłyszała gwizdek sędziego obwieszczający początek gry. Wysiadła z samochodu i wyjęła z bagażnika wielki baniak wody i pomarańcze, które obiecała przywieźć trenerowi. Należy wywiązywać się z obietnic. Dlaczego nikt już o tym nie pamiętał?

Chelsea nie mogła rozmawiać ze swoim biologicznym ojcem, Sebastianem, jeśli w tym samym pomieszczeniu nie znajdowała się jej matka, więc gdy zobaczyła jego imię i numer na wyświetlaczu, nacisnęła klawisz „Odrzuć”. I nie chodziło wcale o ustalenia prawne, po prostu uzgodniła tę sprawę z Kate już parę lat temu.

Gdy była młodsza, zawsze po rozmowach telefonicznych z ojcem pograżała się w nieukojonym smutku z powodów, których nie była w stanie wyrazić słowami. Może działało się tak dlatego, że to właśnie on wydawał się taki smutny i obcy; a może dlatego, że czasami w złości mówił straszne rzeczy na temat jej mamy. Często składał wielkie obietnice, których w żaden sposób nie był w stanie dotrzymać, nawet jeśli bardzo tego pragnął. Na przykład: „W przyszłym roku pojedziemy razem na tydzień do Disney World. Tylko ty i ja”. Chelsea wiedziała, że wyrok sądu rodzinnego nie zezwala na tygodniowe wycieczki, początkowo zresztą ojciec nie miał prawa do żadnych spotkań sam na sam. Co smutniejsze, ona nie chciałaby z nim tam pojechać, nawet gdyby mama wyraziła na to zgodę.

Czasami po jego telefonach, kiedy jeszcze była mała, długo płakała na kolanach matki; wydawało się wtedy, że nigdy nie przestanie szlochać. Gdy Kate była obecna przy rozmowie, nawet jeśli nie mogła usłyszeć tego, co mówi tata, Chelsea czuła się lepiej, jakby jej życie zyskiwało solidne podstawy, stawało się przewidywalne i bezpieczne. Jeśli mama była w pobliżu, Chelsea po odłożeniu słuchawki nie miała wrażenia, że cały świat wokół niej jest zbudowany na piasku, że jest miejscem, w którym także dorośli nie wiedzą, co jest prawdą. Dlatego właśnie zawarła umowę z Kate w kwestii telefonów.

Ojciec stał się teraz trochę innym człowiekiem, ponownie się ożenił – przynajmniej w pewnym sensie. Twierdził, że to „małżeństwo duchowe”, chociaż najwyraźniej uniknął formalności prawnych. Przestał pić. Nie wściekał się już, nie perorował z furją, jak mu się kiedyś zdarzało. Ostatnio ponownie odniósł sukces jako pisarz, więc był bardziej zadowolony z życia.

Przed paroma laty formalnie przeprosił Chelsea i Kate za wszystkie krzywdy, których doznały przez jego alkoholizm. To był element programu dwunastu kroków AA. – Albo element jego kampanii promocyjnej – jak twierdziła mama. Pierwsza od dziesięciu lat książka ojca, która odniosła sukces, dotyczyła bowiem właśnie spustoszenia, jakie alkohol poczynił w jego życiu i karierze literackiej. Nosiła tytuł *Na dnie kieliszka*. Małżeństwo Sebastiana z matką Chelsea zostało w niej podobno przedstawione w przejaskrawiony sposób, ze wszystkimi paskudnymi szczegółami. Kate poprosiła Chelsea, żeby nie czytała tej książki, dopóki nie będzie nieco starsza. Zgodziła się na to. Z radością dotrzyma tej obietnicy. Szczerze powiedziawszy, nie chciała dowiadywać się niczego o rozwalonym małżeństwie swoich rodziców ponad to, co już wiedziała.

Od czasu przeprosin – niezależnie od tego, jakie były ich przyczyny – mama przestała sztywnieć na samo wspomnienie byłego męża. W zeszłym roku Chelsea mogła spędzić dwa weekendy z Sebastianem i Jessiką, jego drugą „żoną”, a jednocześnie jego agentką literacką, która była „w porządku”, nawet Kate tak uważała. Ojciec prosił o kolejny wspólny weekend, jednak Chelsea wciąż znajdowała jakieś wymówki, a Kate w żadnym razie nie zmuszała córki do podjęcia decyzji.

Chelsea nie potrafiła powiedzieć, dlaczego unikała kolejnego spotkania. Ojciec i Jessica robili wszystko, aby uprzyjemnić jej pobyt. Wsypywali ją prezentami – dostała iPhone’a, ciuchy, a w przeznaczonym dla niej pokoju miała telewizor z płaskim ekranem. Spełniali jej wszystkie zachcianki. Jednak ojciec patrzył na nią tak, jakby czegoś pragnął i czegoś od niej oczekiwał – jakichś uczuć, które chyba powinna żywić, a które nie istniały. Wiedziała, że ojciec na nie zasłużył i że nie mógł ich w żaden sposób kupić. Było jej z tego powodu przykro. Kochała go, naprawdę kochała, ale to jakoś nie wystarczało. Chodzi o to, że kiedy przebywała z ojcem, nigdy nie była naprawdę w domu. Oboje o tym wiedzieli.

– Powinnaś wykorzystać sytuację na maksa – oświadczyła Lulu. – Niech ci kupi w przyszłym roku samochód.

Zaczęły rozmawiać o Sebastianie w sklepie Forever 21. Lulu raczej nie zauważyła, że ktoś do Chelsea dzwonił. A może jednak? Chyba że po prostu czytała przyjaciele w myślach, jak jej się to często zdarzało.

– Aha – rzuciła Chelsea. – Świetny pomysł.

Nie zamierzała prosić ojca o samochód ani o nic innego. Nawet ten iPhone wywołał w domu trochę zamieszania. Chelsea przypuszczała, że Sean mógł planować taki prezent na jej urodziny, ale oczywiście nikt nie powiedział ani słowa. Sean był jej ojczymem, jednak nigdy nie myślała o nim w ten sposób, to jego nazywała na co dzień tatą. Mimo to nigdy by mu nie przyszło do głowy, żeby robić jej jakieś wyrzuty z powodu jej relacji z prawdziwym ojcem i wszystkiego, co się z tym wiązało.

– No, serio – powiedziała Lulu, jakby uważała, że niedostatecznie jasno przedstawiła swoje zdanie. – Wiesz, on ma teraz kasę! A jest ci coś winien.

– Dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy?

Lulu wruszyła ramionami. Podniosła z półki kusą koszulkę bez rękawów, ufarbowaną metodą tie-dye. – Co o tym sądzisz?

– Super – odparła Chelsea.

Zastanawiała się, jak to jest, kiedy się wygląda świetnie w dowolnym ciuchu, i kiedy nikt ci nie mówi, w co się należy ubrać, a czego nie wolno zakładać. Lulu przyjrzała się jeszcze raz koszulce, a potem odłożyła ją na miejsce. Chelsea nie byłaby zaskoczona, gdyby Lulu wetknęła towar do torby, mimo że jej koleżanka nie musiała przejmować się ograniczeniami wydatków. Lulu miała własną kartę kredytową, a jej rodzice płacili za wszystko, nie zadając żadnych pytań. Mimo to Lulu regularnie podkradała różne drobiazgi: a to bluzkę, a to szminkę, a to pluszową maskotkę ze sklepu Hallmark. – Dlaczego? – spytała kiedyś Chelsea. – Dlaczego to robisz? Lulu rzuciła jej nieco zdziwione spojrzenie, jakby nigdy się nad tym nie zastanawiała. – Nie mam pojęcia.

– Widziałam go w *Today Show* – powiedziała Lulu. Rzuciła Chelsea ironiczne spojrzenie znad regału z legginsami do jogi. W głośnikach słychać było piosenkę Rihanny. „Uwielbiam sposób, w jaki kłamiesz” – zawodziła piosenkarka.

– Tak? – rzuciła Chelsea.

Nie lubiła występów ojca w telewizji. Mężczyzna, którego widziała na ekranie, był kiepską imitacją człowieka, którego znała. Kimś sztucznym i fałszywym. Wszyscy koniecznie musieli jej powiedzieć, że właśnie widzieli go w telewizji, albo że zauważyli jego książkę w księgarni. Robiło to na ludziach wrażenie. Okazywali to, patrząc na Chelsea z podziwem albo zdumieniem – a czasami, jak jej się wydawało, ze współczuciem. Nie znosiła tego. Bo nie wiedzieli naprawdę, kim był ten człowiek, znali tylko wersję, którą on sam zdecydował się opowiedzieć. Jedynie Chelsea i jej matka znały całą prawdę. A napisanie bestsellera czy pojawienie się w ogólnokrajowym programie telewizyjnym nie stanowiło zadośćuczynienia za inne sprawy, w żadnym razie. Nie, Chelsea nie była na niego wściekła ani nic takiego. Postanowiła zmienić temat.

– Dostałam dziś zaproszenie do znajomych od całkiem fajnego faceta. Adam McKee, znasz kogoś takiego?

Lulu ruszyła w kierunku wyjścia.

– Może – odparła. – Jak on wygląda?

– Nastroszone czarne włosy, brązowe oczy. Mieszka w Brighton.

Lulu odpowiedziała wystudiowanym wrzuceniem ramion, przywdziewając maskę obojętności.

– Nie wiem. Pokażesz mi go?

„Czy ona coś kombinuje?”, zastanawiała się Chelsea. Z Lulu nigdy nic nie wiadomo. Choć były sobie tak bliskie, zdarzało się, że Chelsea

nie była pewna, co zamierza zrobić jej przyjaciółka. Lulu niekiedy coś ukrywała, przynajmniej przez jakiś czas – na przykład w zeszłym roku, gdy straciła dziewictwo, albo gdy po raz pierwszy spróbowała trawki. Chelsea jeszcze nie zrobiła żadnej z tych rzeczy.

– Jest na liście twoich znajomych na fejsie – powiedziała.

– Kochanie... – powiedziała Lulu głosem osoby znużonej życiem. Właśnie wyszły z Forever 21 i skierowały się do części restauracyjnej. – Mam pięciuset znajomych. Nie mogę pamiętać wszystkich.

Chelsea wyjęła telefon z torebki, wyświetliła prośbę i pokazała ekran Lulu.

– No, rzeczywiście niezły – powiedziała Lulu, wyciągając jej komórkę z dłoni. – Wygląda znajomo.

– Przyjmujesz zaproszenia od osób, których nie znasz? Nie powinnaś tego robić – stwierdziła Chelsea.

Lulu teatralnie wywróciła oczami. Uważała Chelsea za osobę zbyt nerwową, zbyt sztywną. Klóciły się o to od dawna.

– Czy nie po to właśnie jest Facebook? Żeby poznawać ludzi?

– Hej – rzuciła Chelsea. – A nie słyszałaś nigdy o internetowych zboczeńcach? No wiesz: cześć, mam szesnaście lat, jestem przystojniakiem, spotkajmy się w Starbucksie! A potem: ups, przepraszam, mam trzydzieści lat, jestem seryjnym zabójcą, przejedziesz się teraz ze mną moim autem? W bagażniku?

– Jezuu, Chelsea! – Lulu roześmiała się krótko i położyła dłoń na ramieniu koleżanki. – Wyluzuj.

Nacisnęła „Akceptuj” i obdarzyła Chelsea chytrym uśmiechem.

– Lulu!

– Masz nowego znajomego! Powiedz mu, żeby się z nami spotkał.

– Nigdy w życiu.

Lulu odsunęła się z telefonem w dłoni. Zanim Chelsea zdołała ją powstrzymać, Lulu zaczęła stukać palcami w wyświetlacz.

– Co ty robisz?! – spytała Chelsea, gdy dogoniła Lulu przy miękkich fotelach ustawionych w przejściu między sklepami Coach i Tiffany.

Lulu opadła na skórzaną kanapę i rozciągnęła się wygodnie, a potem oddała Chelsea telefon.

– Napisałam mu, żeby spotkał się z nami przy restauracjach, koło Panda Express.

– Chyba żartujesz! – Chelsea była przerażona, a jednocześnie podekscytowana. Przecież całkiem niedawno sama zrobiła matce wykład na temat niskiego prawdopodobieństwa popełnienia zbrodni przez nieznaną osobę. – To szaleństwo! Jak mogłaś?!

– To zadzwoni do mamy – rzuciła Lulu wyzywająco. – Niech przyjedzie i cię odbierze. Ja na niego zaczekam.

Lulu i Chelsea były przyjaciółkami od czasów przedszkolnych. Chelsea była tą inteligentną, a Lulu tą ładną, Chelsea ostrożną, Lulu niesforną. Chelsea była sumienna i pracowita, Lulu robiła wszystko po łebkach. Obie miały wyznaczone role i obie umiały je odgrywać, zwłaszcza wówczas, gdy przebywały razem. Jak dotychczas ich przyjaźń opierała się na wzajemnej równowadze. Lulu starała się nieco zepsuć Chelsea, Chelsea odciągała Lulu znad krawędzi. Ostatnio jednak Lulu podążała w rejony, w których Chelsea nie czuła się zbyt pewnie. Teraz rzeczywiście pomyślała, żeby zadzwonić do matki. Miała złe przeczucia, a Kate zawsze mówiła, że warto zwrócić na nie uwagę. „Jeśli jesteś nerwowa, jeśli ci się coś nie wydaje właściwe ani dobre, twoja intuicja usiłuje ci coś powiedzieć. Postaraj się jej posłuchać”.

Lulu obdarzyła przyjaciółkę szerokim uśmiechem. Szczerze mówiąc, Chelsea wcale nie zamierzała stąd wychodzić. Naprawdę chciała osobiście poznać Adama McKee. I wołałaby, żeby nie spotkał wcześniej Lulu.

– Jestem głodna – oświadczyła. Wsadziła telefon do torby i spojrzała na przyjaciółkę.

Lulu wstała i otoczyła Chelsea ramionami. Pachniała truskawkami i papierosami. – Kochasz mnie przecież – powiedziała Lulu.

– Tak – odparła Chelsea. Lekko uściśnęła przyjaciółkę i wydołała się z jej objęć.

Ruszyły do restauracji. Chelsea powtarzała sobie, że przecież sama napisała na profilu o spotkaniu w centrum handlowym. Kiedy Lulu zaakceptowała prośbę Adama, mógł od razu zobaczyć, dokąd dziewczyny się wybierają. Poza tym jakie było prawdopodobieństwo, że jest naprawdę kimś innym? A gdyby nawet, to jakie jest prawdopodobieństwo, że tu się pojawi? Brighton nie było daleko, ale nie było też blisko.

– Nie przejmuj się, Chaz. – Lulu używała tej irytującej ksywki. – Czy to pierwszy seryjny zabójca, którego spotkamy? Od razu gościa splewimy.

– Bardzo zabawne – rzuciła Chelsea. Parsknęła sztucznym śmiechem, który sobie wymyśliła, gdy były małe. – No naprawdę, straszna z ciebie numerantka.

Lulu ujęła dłoń Chelsea i ścisnęła ją mocno. Lulu zawsze lubiła kontakt fizyczny, często okazywała czułość. Chelsea to uwielbiała: jej przyjaciółka potrafiła sprawić, że czuła się najważniejszą osobą na świecie. Przy sklepie ze sprzętem surfingowym kręciła się grupka chłopaków. Chelsea zauważyła, że wszyscy odwrócili głowy, żeby popatrzeć na Lulu, która przeszła obok nich, nie zaszczycając ich nawet spojrzeniem.

Dean Freeman przyglądał się odjeżdżającemu autobusowi. Wiedział, że wsiadła do niego Emily i wiedział, że po raz kolejny sprawił jej zawód. Pojazd niemiarko ruszył z przystanku, wyrzucając kłęby czarnego dymu z rury wydechowej. Ten widok z jakiegoś powodu wstrząsnął Deanem. Emily nie powinna jeździć autobusem, zasługiwała na znacznie lepszy los, i to on odpowiadał za to, żeby prędzej czy później tak się stało.

Mimo wszystko wszedł do restauracji. Gdy dzwonek nad drzwiami oznajmił jego przybycie, Carol uniosła głowę znad kasy. Deanowi nie spodobał się sposób, w jaki na niego patrzyła – tak jakby zrobił coś złego albo miał taki zamiar. To było spojrzenie nauczycieli, wychowawców, inspektorów do spraw nieobecności, policjantów. Jakby cię znali, jakby potrafili wykryć każde kłamstwo, o którym jeszcze nawet nie zdążyłeś pomyśleć. Jakby wiedzieli wszystko. Ludzie patrzyli na Deana Freemana w ten sposób przez całe życie. Nie mógł się doczekać dnia, kiedy wreszcie udowodni im wszystkim, że gówno o nim wiedzą, że nie mają zielonego pojęcia, kim jest i czego potrafi dokonać.

– Cześć, Carol – powiedział. Przybrał miły wyraz twarzy, który zawsze stosował wobec matki Emily, potencjalnych pracodawców i w ogóle wszystkich, których chciał jakoś do siebie przekonać. – Czy Emily jeszcze jest?

– Cześć, Dean – odpowiedziała Carol. Zdjęła okulary, przytrzymywane na szyi łańcuszkiem z koralików, i pozwoliła by opadły na jej duży biust. Dean nie mógł się powstrzymać od gapienia się na piersi Carol, mimo że była od niego znacznie starsza. – Jej zmiana skończyła się ponad godzinę temu. Emily zjadła coś i wyszła.

– Aha – odparł. Zrobił rozczarowaną minę. – Nie zdążyłem jej odebrać. Przedłużyła mi się rozmowa w sprawie pracy.

Carol powoli skinęła głową, taksując go zmrużonymi oczami. Czyżby mu nie wierzyła? Jakim prawem wątpiła w to, co mówi, nawet jeśli rzeczywiście było to kłamstwo? Tego właśnie nie znosił w tej kobiecie. Uważała, że jest lepsza od innych, zachowywała się tak, jak zwykle się zachowują ludzie przy forsie.

– I jak ci poszło? – spytała.

– Co poszło?

– Rozmowa w sprawie pracy. – Uśmiechnęła się do niego wyrozumiale. Dean nigdy nie potrafił stwierdzić, czy ludzie sobie z niego kpią.

– No wiesz, nieźle – powiedział. – Biznes trochę teraz kuleje z powodu kryzysu, ale ludzie przecież ciągle coś budują i robią remonty, co nie? Na pewno coś szybko znajdę.

– Jeśli tylko o czymś się dowiem, dam ci znać.

– Byłoby fajnie. Dzięki. Słuchaj, mógłbym skorzystać z toalety?

Wrócił wąskim korytarzem, skorzystał z łazienki, a wychodząc, rzucił jeszcze po raz ostatni okiem na wnętrze restauracji. Tylne drzwi wejściowe prowadziły bezpośrednio do kuchni i zawsze były zamknięte od środka. Długi korytarz o ścianach wyłożonych boazerią wiódł do

biura. Dean przeszedł do końca i stanął w drzwiach. W pokoju siedział Paul, podpierał głowę ręką i energicznie stukał palcami w kalkulator.

– Cześć, Paul – rzucił Dean.

Mężczyzna uniósł głowę i uśmiechnął się, i to był prawdziwy uśmiech, a nie ten fałszywy grymas, którym zawsze obdarzała Deana Carol.

– Cześć, Dean. Jak leci?

– Nie narzekam. Jak twoja bryka?

– Stary... – Paul z zachwytem pokręcił głową. – Szalona z niej dziecina. Uwielbiam ją prowadzić.

Paul miał nowego dodge'a chargera – z czarną karoserią, czarnym wnętrzem i czarnymi kołami. Dean widział go po drodze na parkingu. Był piękny. Ciekawe, czy kiedykolwiek będzie go stać na takie auto. Miał nadzieję, że tak, i to kiedy jeszcze będzie młodym człowiekiem, a nie starszym panem jak Paul. Wiedział, że ten wóz z pełnym wyposażeniem kosztuje mniej więcej czterdzieści kawałków. Dla Deana była to niewyobrażalna suma pieniędzy. Teraz nie był w stanie uzbierać tyle, ile potrzebował, a to zaledwie ułamek tej kwoty. Z trudem oparł się chęci zarysowania tego błyszczącego czarnego lakieru.

– Pamiętaj, że obiecałeś mi przejażdżkę – powiedział Dean. Omiótł wzrokiem pomieszczenie.

Wiedział, że sejf znajduje się pod biurkiem, i że rzadko z niego korzystają. Wiedział także, że nie ma tu kamery. Obok komputera leżał rzucony niedbale płócienny bankowy woreczek na pieniądze. Warto po raz kolejny posprawdzać wszystkie szczegóły.

– Kiedy zechcesz, stary – powiedział Paul. – Nie ma sprawy.

Paul ponownie spojrzął na swoje rachunki. Dean poczuł się zlekceważony. Trochę go to wkurzyło. Za kogo oni się uważali?! Wrócił do restauracji i krótko pomachał Carol na pożegnanie.

Brad czekał w samochodzie. Wyglądał na niespokojnego i zdenerwowanego. To właśnie on zaproponował, żeby zrobić jeszcze jeden rekonesans w tym miejscu, mimo że Dean zdążył mu przekazać już wszystko, co musiał wiedzieć.

– Gdzie twoja dziewczyna? – zapytał Brad, gdy Dean usiadł za kierownicą. Stary mustang Emily wyglądał całkiem nieźle z zewnątrz, ale nadawał się już na złom. W środku wszystko było zniszczone, mimo że Dean próbował co nieco połatać, korzystając z zestawu do naprawy tapicerki. Śmierdziało tu papierosami i śmieciowym żarciem, głównie dlatego, że obaj z Bradem niedawno palili fajki i jedli hamburgery z McDonald'sa.

– Już wyszła. Pewnie właśnie jedzie do domu.

Dean znów pomyślał o autobusie ruszającym z przystanku, starając się nie okazywać ogarniających go uczuć. Brad nie był facetem, przed którym chciało się odsonić duszę. Przypominał bezdomnego psa: nie wolno było pozwolić, by wyczuł strach, smutek lub wewnętrzną słabość. Jeśli zatopił w kimś kły, należało złamać mu szczękę, żeby się uwolnić z uścisku.

Brad rzucił Deanowi nieodgadnione spojrzenie.

– Te drzwi można otworzyć tylko od środka – powiedział. Sięgnął do deski rozdzielczej i wziął ostatniego papierosa Deana. Zapalił go ostatnią zapalką. Brad zawsze był egoistycznym skurwielem.

– Sprawdzalesz? – spytał Dean. – A jeżeli ktoś cię zauważył? – Był bardziej urażony niż zaniepokojony. Brad nie wierzył jego słowom. Nigdy nie wierzył.

– Jeśli dziewczyny nie będzie w środku – powiedział Brad – to mamy problem. Nie możemy przecież wejść głównym wejściem, no chyba że chcesz, żeby zrobiło się nieprzyjemnie.

– Nie chcę – odparł Dean nieco zbyt szybko. Zaczepnął powietrza. – Nikomu nie stanie się nic złego.

Brad gwałtownie wypuścił dym z płuc. Przyjrzał się skórkom swoich paznokci, jakby nie wiedział, że są poszarpane, krwawiące, obgryzione do żywego mięsa.

– No to ta twoja dziewczyna musi tam być i nam otworzyć.

– Będzie – odparł Dean. – Jasne, że będzie.

Emily nie miała pojęcia o ich planach. Nawet Dean nie zdawał sobie sprawy, że podświadomie myśli o takiej akcji, dopóki na początku zeszłego tygodnia nie pojawił się Brad. Dean był mu winien trochę pieniędzy; stary dług, jeszcze z dawnych lat, z Florydy. Brad zapowiedział, że pewnego dnia pojawi się, żeby uzyskać zwrot kasy, ale do tego czasu Dean może się nie przejmować. Ten czas właśnie nadszedł. Niestety, Dean był akurat całkowicie splukany. Zresztą zawsze był splukany. Urodził się splukany.

Próbował jakoś pozbiierać się do kupy, ale odnosił wrażenie, że cały świat sprzysiągł się przeciwko niemu. Przez pewien czas szło mu całkiem nieźle. Pracował w Constance Construction, niewielkiej, dobrze prosperującej firmie, z której usług chętnie korzystali wszyscy majątni obywatele w okolicy, kiedy chcieli zbudować dom. Lubił swojego szefa, Ronny'ego Constance'a. Dean był karany, a mimo to Ronny dał mu szansę.

– Nie obchodzi mnie to, kim wtedy byłeś – oświadczył w dniu, w którym przyjął Deana do pracy. – Interesuje mnie tylko, kim jesteś teraz. Czy będziesz przychodził do pracy? Czy będziesz uważny, czy będziesz się starać? Jak będzie, Dean?

W ciągu swojego beznadziejnego życia Dean był spokojny i zadowolony jedynie wówczas, kiedy coś konstruował. W szkole nie mógł znaleźć sobie miejsca: zbyt dużo gadania, za mało robienia. Nie był w stanie słuchać gościa stojącego przy tablicy i nawijającego o sprawach, które go kompletnie nie obchodziły. Nie znosił czytania, litery pływały i skakały mu przed oczami, plątały się, nie łączyły w sensowną całość. Zajęcia techniczne go uratowały. Gdy brał coś w ręce i zmieniał to w inny przedmiot, niepokój, który towarzyszył mu przez cały czas, rozplątywał się i znikał.

Dean często myślał, że gdyby skończył szkołę średnią, mógłby założyć firmę, tak jak Ronny. Jednak po śmierci ojca zaczął się szlajać z Bradem i jego braćmi. Od tej pory było już tylko coraz gorzej. Skończyło się udziałem w rozboju z użyciem broni. Dean na szczęście był nieletni, ale i tak trafił do zakładu poprawczego. Prowadzono tam zajęcia, szkolenie zawodowe i inne temu podobne bzdety, co nawet było OK. Ale właśnie w zakładzie zaczął brać prochy. Narkotyki były wszędzie; od innych osadzonych, a także od strażników, można było dostać wszystko, czego dusza zapagnie. Dean najchętniej sięgał po oksykodon – prochy szybko przywracały mu spokój. Znacznie łatwiej jest wziąć tabletkę, niż zbudować regał na książki.

Po poprawczaku ruszył na północ, aby znaleźć się jak najdalej od dawnych kumpli. Wujek Deana na pewien czas udostępnił mu pokój nad garażem, potem poznał go z Ronnym. A potem Dean spotkał Emily. Była najładniejszą, najśliczniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widział. Przez pewien czas wszystko układało się idealnie. Miał dobrą pracę, nie brał i nie pił – stwierdził, że nie potrzebuje prochów, gdy pracuje fizycznie. Miał Emily, a do tego wprowadził się do jej przytulnego domku.

Przez moment wydawało mu się, że doprowadził swoje życie do porządku. Tyle że, niestety, wyszło nieco inaczej. Zresztą wszystkim, których znał, jakoś zawsze wychodziło nie tak, jak trzeba, zawsze coś musiało się popsuć. Właśnie to przydarzyło się wcześniej jego ojcu. Akurat wtedy, gdy się uspokoił – trach, czwarte stadium raka płuc. Właśnie wtedy, kiedy przestał być walniętym, agresywnym, wstrętnym skurwysynem, który bez opamiętania lał Deana i jego matkę, jakiś lekarz powiedział mu, że ma przed sobą jeszcze trzy miesiące życia. Okazało się, że miał dwa.

Przez swój charakter Dean ciągle łądował się w kłopoty. Prawdę mówiąc, nie przypominał sobie zbyt dokładnie bójki z Ronnym ani powodów, dla których się zaczęła. Czasami po prostu tracił panowanie nad sobą. Wtedy to miało coś wspólnego z szafką, którą właśnie montował. Poszło o jakiś drobiazg, chyba źle zamocował drzwi. Ronny go wyśmiał, a jeśli było coś, co wkurwiało go na maksa, to właśnie fakt, że ktoś się z niego naśmiewa. Poczuł, jak pojawia się i pochłania go fala gniewu, tak samo jak kiedyś, kiedy był młodszy. Miał dziurę w pamięci, nie wiedział, co się potem stało. Na szczęście Ronny nie złożył na niego skargi, stracił jednak przez to jedyną dobrą pracę, jaką zdarzyło mu się mieć.

Od tego momentu rozpoczęła się ostra jazda w dół. Dla pieniędzy miał się różnych gównianych zajęć, a przez to znowu zaczął brać. A teraz pojawił się Brad... Dean wiedział, że znalazł się na dnie.

Włączył się do ruchu. We wstecznym lusterku dostrzegł wielką niebieską kurę na szyldzie restauracji. Zaczął się śmiać; nie potrafił powiedzieć, z czego.

– Co cię tak śmieszy? – spytał Brad.

– Nic. – Przestał chichotać i poczuł, że robi mu się niedobrze. Zawsze tak się czuł w towarzystwie tego faceta: huśtawka nastrojów między podnieceniem i rozdrażnieniem a kompletną rozpaczą. Przy Emily Dean dawał sobie prawo znalezienia w sobie tego, co dobre, za to w obecności Brada odkrywał wszystkie swoje odpychające i mroczne strony. Dean obawiał się, że tych złych rzeczy było znacznie więcej, że przyklejały się do niego jak smoła. Jeśli znowu wkroczy w to miejsce, nie będzie miał siły się stamtąd wydostać. Zło pociągnie go na samo dno, ale tym razem Dean zabierze ze sobą Emily.

– Może to nie jest dobry pomysł – powiedział.

Brad milczał przez jakąś chwilę. Wyrzucił niedopałek za okno.

– A znasz inny sposób, żeby oddać mi kasę?

Dean nie musiał nic mówić, obaj znali odpowiedź. Kiedy wjechali na główną drogę, znów usłyszał to grzechotanie w silniku. Ten wóz nie miał przed sobą zbyt długiego życia.

Emily nie zastała Deana, gdy wróciła do domu, ale widząc stan mieszkania, domyśliła się, że obijał się przez większość dnia. Telewizor był włączony, leciał w nim właśnie *The Oprah Winfrey Show*. W zlewie piętrzyła się sterta talerzy, a drzwiczki kuchenki mikrofalowej były szeroko otwarte. Dean nie wyniósł śmieci, mimo że go o to prosiła, i zaczynały już śmierdzieć. Na podłodze walały się jego gacie. Wszystkie żarówki w salonie, sypialni i łazience były włączone. Dean nie płacił czynszu za ten dom (ani za żaden inny), nie dokładał się też do rachunków, jednak najwyraźniej czuł się tu zupełnie swobodnie. Emily przypuszczała, że to jej wina – nie wymagała zbyt wiele od swojego faceta. Odkryła, że lepiej nie wymagać zbyt dużo od ludzi.

Kiedy zaczął u niej zostawać na noc, po powrocie do domu czekała na nią przygotowana przez Deana kolacja, czasami przynosił też dla niej kwiaty. Emily wciąż miała nadzieję, że jej chłopak znów zacznie wykonywać te drobne czynności, o których kiedyś nie zapomniał, takie jak pranie czy zmywanie. Nie pamiętała też, kiedy ostatnio zrobił coś romantycznego albo choćby wykazał się troskliwością.

Zabrała się za sprzątanie. Naprawdę nie znosiła bałaganu, kojarzył jej się z mieszkaniem matki. Od czasu gdy zaczęła wynajmować mały domek z jedną sypialnią, Emily udało się zgromadzić parę ładnych drobiazgów. Nic specjalnie kosztownego – kupiła na wyprzedaży w Pier 1 jasnoszarą kanapę i pasujący do niej czerwono-szary fotel. Jedna z poduszek była rozdarta, więc cena została znacznie obniżona. Emily po prostu odwróciła poduszkę na drugą stronę i w ogóle zapomniała o tym rozdarciu. Przedmioty nie musiały być doskonałe, by ją zadowolić.

Dean przyniósł piękny dywan, który dobrze harmonizował z wszystkimi meblami. Nie odważyła się zapytać, skąd go wzięł. Zainstalował też listwy oświetleniowe. Emily odnowiła stary stolik do kawy, który znalazła kiedyś na wyprzedaży garażowej. Była dumna z ich wspólnego salonu. W sypialni stało białe łóżko ze stelażem i komoda kupiona w dyskoncie Target. Emily pomalowała ściany na miodowy beż, a na jednej z nich powiesiła kilka oprawionych w ramki wspólnych fotografii. Domek był wygodny i czysty. Chciała, żeby taki pozostał, a Dean o tym wiedział, tylko najwyraźniej się tym nie przejmował.

– Mam na oku coś naprawdę niezłego – powiedział dziś rano. – Coś ekstra.

Ile razy już to powtarzał? Jego pierwszy „ekstra” pomysł polegał na kupowaniu i szybkim pozbywaniu się nieruchomości – i pojawił się akurat w momencie załamania rynku. Zresztą Dean i tak nie miał nawet ułamka kwoty niezbędnej do realizacji tego przedsięwzięcia. Potem myślał o otwarciu wypożyczalni skuterów wodnych nad pobliskim jeziorem, ale nie mógł zdobyć forsy ani na skutery, ani na pozwolenie, ani na niezbędne ubezpieczenie. Nie wiedziała, o co tym razem chodzi, Dean tego nie zdradził. Ostatnio też nic nie powiedział, kiedy przywłaszczył sobie czesne, które zwrócono Emily. Oczywiście nic z tych pieniędzy nie wynikło. Miała złe przeczucia, jeśli chodzi o te najnowsze pomysły, cokolwiek to było.

Kiedy spotkała Deana, pracował jako przedsiębiorca budowlany i całkiem nieźle zarabiał. Konstruowanie różnych rzeczy, naprawy – był w tym niezły. Wydawał się pracowitym, solidnym facetem. I rzeczywiście taki był, jeśli miał odpowiednią motywację, jeśli wiedział, że jest uczciwie wynagradzany. Niestety, przez swój charakter łądował się w różne kłopoty.

Emili usłyszała samochód parkujący na podjeździe. Podeszła do okna i zobaczyła Deana wysiadającego z jej rozklekotanego mustanga. Inny mężczyzna wysiadł od strony pasażera. Nie widziała go nigdy wcześniej. Poczula dziwną chęć podbiegnięcia do drzwi i zamknięcia ich na zasuwkę, jednak tego nie zrobiła. Stała przy telewizorze, trzymając w rękach bieliznę pozbieraną z podłogi, kiedy obaj weszli do środka.

– Zahaczyłem o restaurację – powiedział Dean na jej widok. Miał przepraszającą minę. – Powiedzieli mi, że już wyszłaś.

– Spóźniłeś się.

– Powinnaś była poczekać. – Znów to rozdrażnienie w głosie. Zachowywał się tak w obecności niektórych ludzi, tak jakby chciał wszystkim pokazać, kto tu rządzi. Wyszła z pokoju i włożyła brudne rzeczy do białego kosza stojącego w maleńkiej pralni. Nie obchodziło jej, czy to uprzejme z jej strony. Wyrzuciła śmieci, wróciła i zabrała się za zmywanie.

Dean stanął za nią.

– Przepraszam – szepnęła.

Nie odpowiedziała. Telewizor w sąsiednim pokoju grał głośniejsze. Przełączyli na jakiś mecz, słyszała metaliczny dźwięk okrzyków publiczności. Odkręciła kran, żeby spłukać naczynia przed ich umieszczeniem w zmywarce.

– Kto to jest? – spytała, nie odwracając się.

– Gość, którego kiedyś poznałem.

Wiedziała, co oznacza to określenie. Odwróciła się i spojrzała na Deana. – Czego od ciebie chce?

Wbił wzrok w podłogę. Dostrzegła pod jego okiem bliznę w kształcie półksiężyca – w miejscu, w które ojciec Deana uderzył go pięścią, przecinając skórę obrączką. Dean wspominał, że miał wtedy dwanaście lat.

Śmierdział dziś papierosami, mimo że w zeszłym tygodniu obiecywał, że rzuci palenie. Nie mogli sobie teraz pozwolić na kupowanie papierosów.

– Jak ci dziś poszło z napiwkami? – spytał.

Ciasno splótła ręce na brzuchu. Poszło jej całkiem nieźle. Musiała jednak w piątek zapłacić czynsz. – Tak sobie – skłamała. – A ile potrzebujesz?

– Parę stówek.

– Nie mam. Przykro mi.

Po drodze z pracy do domu zaczęła odwiedzać bank, żeby nie nosić przy sobie zbyt wiele gotówki. Dziś tego nie zrobiła, bo nie miała samochodu, zatem w portmonetce zostało jej prawie sto dolarów.

Dean spojrzał na nią.

– To ubierz się i jedź ze mną.

– Nie chcę.

– Kochanie... – powiedział Dean. Objął ją i zbliżył usta do jej ucha. – Proszę.

Wyglądał na zdesperowanego; Emily poczuła, że mięknie. Wiedziała, że on to zauważył.

– Załóż tę niebieską sukienkę. Pięknie w niej wyglądasz.

Odsunęła się od niego, weszła do sypialni i zamknęła drzwi. Serce waliło jej w piersi. Dlaczego była taka słaba?! Wyjęła z szafy niebieską kopertową sukienkę i założyła ją. W łazience uczesała włosy i lekko uszminowała usta. „Dość ładnie”, powiedziała jej matka, „choćby pospolicie”. Emily chwyciła czarną kopertówkę z lakierowanej skóry i pasujące do niej buty na płaskiej podeszwie, kolejne prezenty od Deana, na które na pewno nie było go stać. Pragnęła położyć się na łóżku i zasnąć, czuła zmęczenie po śniadaniowej zmianie, która zaczęła się wcześniej i jak zwykle była nerwowa. Spojrzała na puchową białą kołdrę i miękkie poduszki. Byłoby tak dobrze przez chwilę odpocząć. Postanowiła jednak wrócić do Deana, bo wiedziała, że on tego chce.

Uśmiechnął się szeroko, gdy ujrzał ją w drzwiach, wyglądało to bardziej na wyraz triumfu niż czułości.

– To jest moja dziewczyna, Emily – powiedział. – E... a to mój stary kolega, Brad. Dorastaliśmy razem na Florydzie.

Dean odsiadywał wyrok na Florydzie, spędził trzy lata w poprawczaku za udział w rozboju z użyciem broni. Mówił Emily, że wyjechał na północ po to, by uciec od dawnego życia, ale ona zastanawiała się, czy naprawdę da się uciec od tego, kim się kiedyś było. To chyba raczej

niemożliwe.

Wyciągnęła dłoń do Brada, a ten uściśnął ją delikatniej, niż się można było spodziewać. Miał długie jasne włosy, nieuczesane i niedomyte, które opadały mu na ramiona. Miał także kocią bródkę wymagającą przyszczyżenia. Mógł być kiedyś przystojny, jednak w wyrazie jego ust, w jego wąskich oczach czaiło się coś podłego. Patrzył na Emily z nieukrywanym pożądaniem. Odwróciła się i podeszła do Deana, który otoczył ją zaborczo ramieniem.

– Bardzo mi miło – oznajmił Brad. Czyżby powiedział to z drwiną?

Dean prowadził, Brad zajął miejsce obok niego, a Emily na tylnym siedzeniu. Nikt nic nie powiedział aż do momentu, gdy zjechali z głównej drogi na osiedle, kierując się kartonowymi znakami wskazującymi drogę do prezentowanego domu.

– Popatrz na to – rzucił Dean.

Stały tu wielkie domy, jeden wspanialszy od drugiego, zbudowane z cegły i kamienia, niektóre miały aż dwa piętra. Gdy Emily poznała Deana, dorabiała sobie w firmie sprzątającej. Znajdowali się teraz w okolicy, w której zdarzało jej się pracować.

Nie była w stanie uwierzyć, że można tak żyć – niektórzy mieli w piwnicy salki multimedialne i siłownie, a główne sypialnie z łazienką były większe niż każde z mieszkań, w których do tej pory mieszkała; kuchnie czasami wyglądały, jakby wyjęto je wprost z restauracji, choć były nieskazitelnie czyste – Emily przyjeżdżała co tydzień i widziała, że nikt z nich w ogóle nie korzysta. Ale najbardziej szokowały ją pokoje dziecięce: szafy wypełnione markowymi ciuchami, komputery, iPody, konsole do gier, półki pełne książek i sterty zabawek.

– Obrzydliwość – oświadczył Dean. Brad burknął coś z sąsiedniego fotela.

Emily wcale nie uważała tego za obrzydliwość. Dlaczego ciężka praca, sukces i wygodne życie miałyby być czymś złym? Na ogół ludzie, u których sprzątała, byli całkiem sympatyczni. Jasne, raz na jakiś czas trafiał się jakiś snob, zwykle jednak były to normalne rodziny – ludzie zbyt ciężko pracujący, zbyt zajęci, żeby jeszcze myśleć o sprzątanym.

Kiedy była w takim domu, nie zazdrościła mieszkającej w nim żonie o wymanikiurowanych paznokciach, ubierającej się w stylowe ciuchy. Zazdrościła dzieciom, a zwłaszcza córkom, bo były tu kochane, były chciane. Te dziewczynki otaczano czułością. Rodzice powtarzali im, że są ważne, śliczne i mądre, i że mogą osiągnąć wszystko, czego tylko zapragną. Wierzyły w to, zatem było to prawdą. Emily dotykała ich ubranek i przytulała ich lalki, szczególnie starannie układała pościel na ich łóżkach. Zastanawiała się, czy obecna dookoła miłość nie jest jak magiczny pył, czy choć trochę nie przylgnie także do niej.

Gdy podjechali do prezentowanego domu, dostrzegli już kilka zaparkowanych samochodów. Tak było najlepiej – kiedy w środku znajdowały się inne osoby, a pośrednik był zajęty odpowiadaniem na pytania i pokazywaniem wyposażenia lokalu.

Dean wysiadł i przesunął fotel do przodu, aby Emily mogła wyjść z auta.

– Ładnie wyglądasz – powiedział. Sam przebrał się w wyprasowane chinosy i intensywnie niebieską koszulę typu oxford, z czerwonym jedwabnym krawatem, który Emily kupiła mu w prezencie na gwiazdkę. Zatrzasnął drzwi i oboje ruszyli podjazdem w stronę domu.

– Dzięki, Emily – szepnął Dean. – Wiesz, jak bardzo cię potrzebuję.

– Dean, czego on chce? – spytała po raz drugi.

– Wiszę mu trochę kasy.

– Ile? – Poczowała gniew i rozczarowanie.

– Nie pytaj.

Emily ujęła Deana pod rękę i na moment, zanim weszli do środka, poddała się nastrojowi tej chwili. Obydwoje byli elegancko ubrani i wyobraziła sobie, że stanowią młode małżeństwo z klasy średniej, tuż po ślubie, poszukujące swojego pierwszego wspólnego domu. Dean miał świetną pracę, zarabiał furę pieniędzy. Był prawdziwą gwiazdą w swojej firmie. Emily oczekiwała pierwszego dziecka. Nie była jeszcze pewna, czy nadal będzie pracować, gdy pojawi się potomstwo. Wyobraziła sobie, że otwiera wielkie drewniane drzwi pełna nadziei, że właśnie ten budynek, albo jakiś inny, jeszcze lepszy, stanie się ich domem. Wczuła się w rolę takiej kobiety. Czym się zajmowała? Była nauczycielką. Tak, to najlepszy pomysł. Nie zarabiała wprawdzie tyle co mąż, ale uwielbiała swoją pracę. Sprawiało jej radość kształtowanie młodych umysłów, przekazywanie dzieciom wiedzy niezbędnej do odniesienia sukcesów w życiu. Wychowanie przedszkolne, przecież taka była jej specjalizacja. Kiedyś do tego wróci. Na pewno.

Znaleźli się w holu o wysokości trzech kondygnacji, co niezwykle przypadło Emily do gustu. Wysokie pomieszczenia oznaczały bogactwo: jeśli ktoś mógł sobie pozwolić na tyle zupełnie pustej przestrzeni, to musiał mieć forsy jak lodu. Schody stromo pięły się pod górę przy ścianie, prowadząc na półpiętro. Emily wyobraziła sobie, jak sunie po nich w pięknej wieczorowej sukni, podczas gdy Dean czeka na nią przy wyjściu, ubrany w smoking. Posadzka z twardego drewna wydawała się solidna. Jednak największe wrażenie zrobiły na Emily świeże kalie umieszczone w wysokich wazonach, wielkie dekoracyjne bukiety, które musiały kosztować fortunę, a które mogły przetrwać jedynie około tygodnia. Emily uwielbiała patrzeć na świeże kwiaty, uwielbiała ich zapach, mimo że przypominały jej o tym, że nic pięknego i delikatnego nie trwa wiecznie. Jeśli stać cię było na to, żeby otaczać się roślinami, które ktoś raz w tygodniu wyrzucał i wymieniał na nowe, to twoje życie musiało być udane.

Emily i Dean nie musieli uzgadniać planu działania, robili to przecież już wiele razy. Postarają się, żeby agent ich zobaczył, wezmą ulotkę i buteleczkę wody. Emily zachwyci się dwustronnym kominkiem, widocznym z kuchni i otwartej jadalni, a Dean powie, że bardzo mu się podoba rozkład pomieszczeń, tylko niepokoi go to półpiętro, między innymi z powodu dziecka. Emily zdziwi się ilości naturalnego światła w domu i zapyta, w jaki sposób właścicielom udaje się zachować czystość okien dachowych. Będzie rozczarowana, że obok basenu nie ma jacuzzi.

Jeśli pośrednik jest starszą osobą, natychmiast wyczuje, że ma do czynienia z ludźmi pozbawionymi funduszy, zwłaszcza gdy zobaczy ich samochód. W zależności od charakteru zacnie ich ignorować albo wprost przeciwnie, uważnie obserwować. Za to młodszy pracownicy byli wciąż naiwni i pełni optymizmu. Większość z nich raczej sama nie dysponowała takimi pieniędzmi, nie wiedziała jeszcze, jak one wyglądają, nie znała ich zapachu.

Tym razem agentka była młoda, prawdopodobnie niewiele starsza od Emily. Wyglądała na zdenerwowaną. Dean zajął jej uwagę, wypytywał o różne rzeczy dotyczące domu. Kiedy został zbudowany? Przez jakiego dewelopera? Czy w pobliżu znajdowały się jakieś prywatne szkoły? Emily skierowała się na górę. Większość sprzedających dbała o ukrycie cennych przedmiotów na czas prezentacji, więc raczej nie uda się znaleźć poniewierającej się biżuterii. Na ogół w takich domach były sejfy, a jeśli nie, zamykano cenne przedmioty na klucz w szkatułkach i szufladach, chociaż kiedyś Emily udało się znaleźć bardzo drogi zegarek na nocnym stoliku. Właściciele starali się chować wszystkie zdjęcia, tak aby potencjalni nabywcy mogli łatwiej wyobrazić sobie, że to oni mieszkają w tym domu. To również ułatwiało zadanie Emily – nie musiała patrzeć na twarze ludzi, których okradała.

Emily uznała, że w takim domu z czterema sypialniami powinny być trzy łazienki i toaleta. Interesowała ją jednak tylko główna łazienka. Większość ludzi cierpiała na jakieś dolegliwości, na które lekarze przepisywali silne środki przeciwbólowe: migrena, problemy z kręgosłupem, skrócenia, złamanie, leczenie kanałowe zębów. I większość tych leków nie stosowała, a przynajmniej nie używała całych opakowań, więc buteleczki oxicontinu i vicodinu pozostawały w apteczkach. Niektórzy po prostu o nich zapominali, inni nie wiedzieli, jak się ich pozbyć w bezpieczny sposób. Jeszcze inni, jak przypuszczała Emily, trzymali leki na wszelki wypadek, jak armię pomarańczowych żołnierzy w zielonych czapeczkach, gotowych do walki z bezsennymi nocami, zespołem lęku uogólnionego i niespodziewanymi bólami zębów.

Kiedy Emily pracowała w firmie sprzątającej, miała swobodny dostęp do takich apteczek przez cały dzień. Łatwo było sprawdzić w kolejnych tygodniach, które lekarstwa zażywano, a których nie. Sprawdziała daty recept, liczyła tabletki. W każdym domu udawało się znaleźć coś ciekawego... Ambien był popularnym lekiem na bezsenność, ativan zwalczał stany lękowe. Oczywiście dochodziły do tego prozac,

ritalin, zoloft i lit. Z tymi było trudniej, bo osoby, które stosowały te leki, zwykle przyjmowały je regularnie i dokładnie wiedziały, ile tabletek znajdowało się w każdym opakowaniu. Gdyby musiały uzupełnić zapas przed terminem wyznaczonym przez lekarza lub firmę ubezpieczeniową, na pewno zapaliłoby się im światelko ostrzegawcze. Zauważyłyby, że ktoś im podkrada tabletki. Emily zdążyła się już o tym przekonać w dość przykry sposób.

Krażyła po sypialni, przyglądając się książkom na półkach. Weszła do dodatkowego pomieszczenia, w którym właściciele domu urządzili wygodną salkę telewizyjną. Meble były tu drogie, czuła to dotykając ich obić.

Główną łazienkę oglądała teraz jakaś inna dwójka zainteresowanych, oboje właśnie zachwycali się parowym prysznicem i marmurowymi podłogami. Emily opadła na dwuosobową sofę i spojrzała na wierzchołki klonów i platanów za oknem, udając, że podziwia widok. To było miejsce, do którego przychodzili domownicy, gdy dzieci już spały. Przynosiło się kieliszek wina i wyglądało na zewnątrz, relaksowało. Można było porozmawiać o tym, co przydarzyło się w ciągu dnia – że dzieci znów narozrabiały, a szef okazał się palantem.

Gdy klienci w końcu wyszli, Emily udała się do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Musiała się pospieszyć, na pierwszym piętrze dało się słyszeć głosy kolejnych osób. Główna sypialnia była jednym z najważniejszych pomieszczeń w domu.

Emily nie musiała zachowywać szczególnej ostrożności, tak jak wówczas, gdy pracowała jako sprzątaczką. Wtedy brała tylko jedną, dwie tabletki z każdego opakowania, w zależności od tego, ile jeszcze zostało w buteleczce. Nosiła w kieszeni małe torebki, dbając o rozdzielenie i oznaczenie wszystkich leków. Dean wytłumaczył jej, że zarabia się więcej, jeśli klienci wiedzieli, co kupują. Środki przeciwbólowe i antydepresanty były najdroższe. Leki na ADD też były w cenie. Diler Deana jednak mógł wziąć wszystko, z przeznaczeniem na tak zwane „cocktail parties”. Stawiało się miskę lekarstw, a uczestnicy imprezy zażywali wszystko, co się w niej znajdowało, nie mając pojęcia, jakie środki przyjmują. Głównie robiły to dzieciaki. Kompletnie wariactwo. Emily nie mogła pojąć, jak ktoś mógłby wziąć tabletkę, nie wiedząc, co to za lek i jakie jest jego działanie.

Otworzyła szafkę i zaczęła przetrząsać jej zawartość. Leki na przeziębienie. Zabrała sudafed, bo można go było użyć do produkcji innych narkotyków, zawsze jest na niego zapotrzebowanie. Stał tam jeszcze motrin, tylenol i pudełko imodium, żaden z tych leków do niczego się nie nadawał. Na dwu najwyższych półkach były wyłącznie leki na receptę. Bingo! Emily nie przyglądała się nawet etykietkom, wrzuciła wszystko do torebki. Sprawdzą to w samochodzie. Kiedy wyszła z łazienki, w pokoju nie zastała nikogo, więc zbiegła po schodach na dół, gdzie Dean wciąż rozmawiał z agentką.

– Do tego dom jest porządnie zbudowany – mówiła dziewczyna – w przeciwieństwie do wielu innych budynków. Czasami ściany są cienkie jak papier, słychać wszystko, co się dzieje w sąsiednich pokojach. Tu jest inaczej.

– Rzeczywiście – przytaknął Dean. – Bardzo solidna konstrukcja.

Zostali oprowadzeni po całym budynku. Deanowi spodobał się gabinet, w którym stało duże dębowe biurko i ergonomiczny fotel. Emily bardzo przypadł do gustu pokój dziewczynki, był w nim domek dla lalek i łóżko z baldachimem. Agentka dała Deanowi wizytówkę i poprosiła o podpisanie formularza i podanie adresu e-mail. Będzie się z nimi kontaktować, żeby powiadomić o innych ofertach. Pan Greg Glass z małżonką, dneglass@hotmail.com – Emily ucieszyła się, kiedy to napisał. Z jakiegoś powodu sprawiło jej to przyjemność.

Gdy wracali do samochodu, była gotowa przekazać Deanowi wiadomość, którą chciała się z nim podzielić. Odwróciła jednak na chwilę głowę i dostrzegła przypatrującą się im z ganku agentkę. Gdy znów spojrzała przed siebie, Brad opuścił szybę w samochodzie. Widziała jego zwieszoną dłoń z papierosem między palcami. Poczuła nagle coś dziwnego, niewielki przypływ paniki, obawę, że nie będzie w stanie ani pójść do przodu, ani się cofnąć. To nie był moment na ogłaszanie dobrych wieści. Emily nie wiedziała, czy taka chwila w ogóle nadejdzie.

Droga Kate!

Ostatnio na Heart Island było zimno. Woda w tym roku w zasadzie nie zdążyła się ogrzać. Pamiętaj, żeby zabrać ze sobą odpowiednie ubrania, nie tak jak w zeszłym roku. Czy Sean nauczył się choć trochę pływać kajakiem? Może uda się zorganizować jakąś wycieczkę bez konieczności holowania kogoś z was do brzegu.

Wiem, że Brendan i Chelsea skarżyli się na brak sygnału telewizyjnego, niestety to się nie zmieniło. Możesz znowu zabrać przenośny odtwarzacz DVD, żeby oboje mieli trochę rozrywki. Dodam, że na wyspie mamy teraz za to zasięg sieci komórkowej, więc Chelsea powinna być nieco mniej ponura. Jest bardzo nieregularny, nie potrafię powiedzieć, dlaczego, ale to zawsze coś.

Jutro będę robić ostatnie zakupy żywnościowe, więc jeśli masz jakieś specjalne wymagania, daj mi znać – bo innej okazji może nie być. Staramy się unikać niepotrzebnych podróży na ląd. Menu na ostatni tydzień wakacji będzie ustalone, chyba że teraz zgłoszisz uwagi. Czy Chelsea jest nadal niby-wegetarianką? Czy Brendan w ogóle jada COKOLWIEK poza makaronem zapiekany z serem? Domyślasz się, że na Heart Island trudno przejmować się wszystkimi drobiazgami. Mam nadzieję, że dzieci to rozumieją, kiedy będą starsze. I wciąż spodziewam się, że w wypadku twoim i Theodore'a stanie się to w miarę szybko – ha-ha!

Kate przebiegła wzrokiem resztę e-maila i przez chwilę czuła przemożną chęć, żeby na moment się położyć. Często – a może zawsze? – tak się czuła, kiedy kontaktowała się z matką. Ukryte zniewagi nieco złagodzone czułymi słówkami i złośliwościami udające żarty zawsze skutecznie pozbawiały Kate energii.

Twoja matka działa jak świetny snajper – mówił Sean. – Wiesz, że zostałam trafiona, tylko nie masz pojęcia, z której strony padł strzał. Możesz tylko leżeć w bezruchu i wykrwawiać się na śmierć.

Pytanie tylko, dlaczego Birdie wciąż czuła potrzebę szukania celu i oddawania strzału. Jeśli coś jej się na ten temat powiedziało, zbywała to zdaniem w stylu: „Oj, Kate, nie bądź taka drażliwa”. Typowy podwójny cios: najpierw kogoś zranić, a potem zachowywać się tak, jakby okrzyk bólu był słabością rannej osoby. Kate nie mogła mieć żalu do Theo, że nie chciał już odwiedzać wyspy. Prawdę mówiąc, nie była na niego zła; była zła na siebie.

– W tym roku też rozbijemy namiot? – spytał Brendan.

Kate drgnęła. Siedziała w gabinecie, przy biurku, plecami do drzwi – tak, wiedziała, że to bardzo złe *feng shui*. Podobno jeśli siedzi się tyłem do wejścia, odwracało się energetycznie od nowych przedsięwzięć i nowych możliwości, a ewentualni wrogowie zyskiwali sposobność, by się do nas zakraść – przynajmniej tak twierdził specjalista od *feng shui* w artykule opublikowanym w jednym z wielu czasopism poświęconych upraszczaniu życia. Kate uznała, że coś w tym jest, ale jakoś nigdy nie zabrała się za przestawianie mebli. Dlaczego ułatwianie sobie życia zawsze wydawało się takie skomplikowane i wymagało tyle wysiłku? Dlaczego zawsze brakowało czasu, żeby się tym zająć?

– Nie wiem – powiedziała. Zamknęła pocztę i obróciła się, żeby spojrzeć na syna.

Kate nienawidziła biwakowania. Spanie na zewnątrz, gdzieś w lesie, wydawało jej się głupie, skoro można było znaleźć miejsce w budynku, we własnym łóżku. Jaki to miało sens? Żeby poczuć się jak prawdziwy turysta? Wielu ludzi oddałoby wszystko, żeby móc się przespać pod dachem.

– Zobaczmy, jaka będzie pogoda – powiedziała. Starła się, by jej głos brzmiał optymistycznie.

– Co się stało? – spytał Brendan.

Dzieci Kate wyczuwały subtelne zmiany jej nastroju, nigdy nie potrafiła niczego przed nimi ukryć. Cieszyło ją to z wielu powodów, bo przecież nigdy niczego przed dziećmi ukryć nie chciała. Przynajmniej poważnych spraw – wiedziała, jak bardzo może to być toksyczne dla rodziny. Z drugiej strony, dzieci nie musiały wiedzieć o wszystkim, co w danym momencie działo się w jej głowie, prawda?

– Nic.

– Kłamiesz. – Brendan opadł na kanapę stojącą przy biurku i położył stopy na poduszkach. Nawet z tej odległości Kate była w stanie dostrzec, że jej syn ma spuchnięty staw skokowy. Opuchlizna dookoła kostki zrobiła się ciemnofioletowa.

Brendan był jak mały buldożer: wytrzymały, silny i niezniszczalny. Upadki i wypadki, które zdarzyły mu się w ciągu jego krótkiego życia, były spektakularne, ale jakoś zawsze potrafił wstać o własnych siłach, natychmiast gotowy do kolejnych przygód. Dziś zwichnął sobie kostkę podczas meczu, a teraz wyraźnie kużykał.

Nie obejrzeni meczu do końca, musieli spędzić godzinę w ambulatorium niedaleko ich domu. Kiedy skręcił nogę, a ona pocieszała go leżącego na boisku i przykładając lód do kostki, zaczęła się zastanawiać – egoistycznie i z poczuciem winy – czy nie był to dobry pretekst, aby odwołać wyjazd. Lekarz jednak nie stwierdził złamania ani pęknięcia kości, tylko bolesne zwichnięcie.

– Gdzie masz okład? – spytała.

– Jest za zimny.

Logika dziesięcioletka była wzruszająca.

– Powinien być zimny, Brendan.

Rzucił jej poważne spojrzenie.

– Odpoczywam od niego.

Kate wstała i weszła do salonu, gdzie jej syn porzucił na podłodze torebkę lodu, po czym wróciła do gabinetu. Umieściła delikatnie okład na kostce chłopca. Brendan nawet nie podniósł głowy znad konsoli.

Sean kupił niedawno to urządzenie Brendanowi, głównie dlatego, że poczuli się oboje do tego zobligowani, kiedy Sebastian zupełnie bez okazji podarował Chelsea iPhone'a. To był ostatnio jeden z poważniejszych punktów spornych w relacjach Kate z byłym mężem – czy powinien on dawać Chelsea wyszukane prezenty bez zgody jej matki oraz Seana.

Mimo że było ich na to stać, Kate i Sean świadomie starali się nie dawać dzieciom wszystkiego, co chcieli i wtedy kiedy chcieli. Chelsea i Brendan mieli swoje listy prezentów, i każde z nich otrzymywało w końcu to, co się na nich znajdowało, zwykle na urodziny, pod choinkę, albo z okazji jakiegoś sukcesu w szkole, po odłożeniu części pieniędzy we własnym zakresie, czy też po zasłużeniu na upominek w jakiś inny sposób; zdarzały się oczywiście także niespodzianki. Ponieważ jednak jej były poczuł niespodziewane pragnienie pozyskania dla siebie Chelsea – teraz, kiedy już nie pił i „mierzył się ze swoimi dawnymi błędami” – nie wspominając o jego ogromnym poczuciu winy, zaczął ofiarowywać jej różne rzeczy – iPhone'a, sterty ciuchów, markowe torebki.

– Mam prawo dawać swojej córce prezenty! – oświadczył w czasie dzisiejszej ożywionej rozmowy. Kate nie potrafiła dobrze uzasadnić, dlaczego nie należało wręczać Chelsea upominków, na które sama kazałaby jej poczekać, albo na które Chelsea musiałaby zapracować, i w jaki sposób zakłócało to zasady równego traktowania obojga dzieci. Nie dało się wyjaśnić skomplikowanych reguł dobrego i troskliwego wychowania komuś, kto nigdy nie potrafił pomyśleć o nikim innym, wyłącznie o sobie.

Teraz, z bliska, kostka Brendana wyglądała jeszcze gorzej niż na boisku. Kate położyła na niej delikatnie dłoń i usiadła obok chłopca na kanapie.

– Posłuchaj, kolego – powiedziała. – Może powinniśmy pomyśleć o odwołaniu wycieczki.

Brendan uniósł szeroko otwarte oczy.

– Będzie ci trudno na wyspie z tą kontuzją – dodała. Była beznadziejną matką. Podjęła bezczelną próbę wykorzystania kontuzji syna jako pretekstu do wymaganiania się od tego wyjazdu.

– W porządku, mam – oświadczył Brendan i szybko usiadł. – Nie jest tak źle.

Wstał, żeby to udowodnić. Nie potrafił powstrzymać grymasu bólu. Opadł z rezygnacją na kanapę. Kate objęła go ramieniem i przyciągnęła do siebie.

– Lubię tam być – powiedział.

Kate poczuła, że ogarnia ją smutek. Też uwielbiała tam przebywać.

Na Heart Island było coś magicznego, coś pięknego, co pojawiło się na długo przed tym, nim rodzina jej matki weszła w posiadanie wyspy, i pozostanie tam jeszcze wiele lat po śmierci ich wszystkich. Żadna ze złych historii, które miały miejsce na wyspie, albo zdarzyły się z jej powodu, nie mogła tego zmienić. I nie chodziło tylko o wspaniałe powietrze i krystalicznie czystą wodę jeziora, o skaliste wybrzeże czy szum wiatru w koronach drzew. Nie chodziło też o ciszę rozbrzmiewającą dźwiękami, ani nawet o chmary motyli. To było coś, czego Kate nigdy nie potrafiła wyjaśnić lub zdefiniować, ale to coś przyciągało ją na wyspę za każdym razem, mimo że równie wiele spraw ją od tego miejsca odstręczało. Theo najwyraźniej dał już sobie z tym spokój. Kate nie umiała tego zrobić, nie mogła tego zrobić.

Spojrzała na zegarek. Pora odebrać Chelsea. Powiedziała o tym Brendanowi.

– Chcesz odwołać wyjazd? – spytał. – Przeze mnie?

Wyglądał na bardzo smutnego, bardzo rozczarowanego.

– Nie – odparła. Zmierzyła jego miękkie, rozczochrane włosy. – Wszystko będzie dobrze.

Mysłała, że chłopiec uśmiechnie się z ulgą, ale zmarszczył brwi.

– Dlaczego nie chcesz tam jechać? – spytał. Miał mądre piwne oczy, które w odpowiednim oświetleniu zmieniały kolor na zielony, oraz piaskowe włosy, tak jak jego siostra, jednak jego czupryna była dzikim, nieokiełznanym kłębowiskiem loków. Na nosie i policzkach, ku ciągłej irytacji Brendana, gnieździła się gromada piegów.

– Chcę – powiedziała Kate. – To skomplikowana sprawa.

Wzruszył ramionami, przestał go to już interesować.

– Mogę pooglądać telewizję?

Ostatnio Kate zaczęła pozwalać Brendanowi zostawać samemu w domu, kiedy miała coś do załatwienia. Był rozgarniętym i raczej godnym zaufania chłopakiem, a poza tym doszła do wniosku, że nie nabroi zbyt wiele w ciągu pół godziny, zwłaszcza wtedy, gdy mu się powie, że może gapić się w telewizor. Zawsze jednak czuła jakiś podskórny niepokój, kiedy wychodziła z domu.

– Tak, ale zamów pizzę mniej więcej za dwadzieścia minut. Nie zapomnij o tym.

Prawdopodobieństwo, że Brendan zapamięta, o co go poprosiła, wynosiło mniej więcej pięćdziesiąt procent. Chelsea będzie musiała do niego kontrolnie zadzwonić z samochodu.

Dziś wieczorem wszyscy zaczną się pakować. Jutro zapanuje pośpieszna krzątanina, załatwianie różnych spraw w ostatniej chwili, upychanie rzeczy w walizkach i kłótnie na temat tego, co można zabrać, a co musi zostać w domu. W niedzielę rano wsiądą do samochodu i ruszą na północ. Kate spróbowała sobie przypomnieć, jak ekscytowała się podróżą, kiedy była dzieckiem, jak Brendan. Nie potrafiła tego zrobić. Dziś odczuwała właściwie tylko lęk.

Nic się nie wydarzyło. Początkowo Chelsea była lekko oszołomiona; piła koktajl bananowy i zastanawiała się, czy on w ogóle przyjdzie, i czy będzie taki super jak na zdjęciu. Czasem oczekiwanie wydawało się najfajniejsze.

Czekały zatem, otoczone ciężkim aromatem cynamonowych bułeczek, emocjonując się za każdym razem, gdy widziały kogoś, kto mógł być Adamem McKee. Obok przelewał się nieprzerwany strumień mam z dziećmi, krążyły grupki chłopaków i dziewczyn spędzających piątkowe popołudnie w centrum handlowym, jednak nikt do nich nie podszedł. Pojawiło się dwóch chłopaków w dziurawych dżinsach i z nastroszonymi włosami, z których każdy mógł być osobą ze zdjęcia, jednak jeden miał tatuaż, a drugi przekłuty nos. Zresztą w wypadku żadnego z nich nie miały pewności i nie zdecydowały się do niego pomachać. Podniecenie powoli opadało.

Lulu obiecała, że nie będzie flirtować z Adamem, jeśli się pojawi. Poza tym obiektem jej westchnień był Conner Lange, który do niej wciąż wydzwaniał. Miała nadzieję, że Conner na jesieni zaprosi ją na bal absolwentów. Wolała atletów, a nie alternatywnych, punkowych chłopaków. Chelsea nie przepadała za sportowcami, w ogóle nie znała się na grach zespołowych i nie wiedziała, dlaczego wszyscy tak bardzo się tym fascynują. Lubiła facetów interesujących się sztuką i muzyką, takich, którzy czytali wiersze i rozumieli je.

– I dlatego nikt ci się nie podoba – stwierdziła kiedyś Lulu. – Nikogo już takie sprawy nie obchodzą.

– niektórych facetów obchodzą – odparła Chelsea. Czy miała rację? Jej ojciec taki był. Adam McKee też wyglądał na chłopaka, który mógłby się tym interesować.

– Może i tak – przyznała Lulu. – Ale to same świry. Albo geje.

Dzisiaj Chelsea nie chciała się wdawać w kłótnię. Porozmawiały za to o konieczności poprawienia się Lulu z algebry w tym roku. Chelsea obiecała, że jej pomoże po powrocie z wyjazdu, jeśli Lulu obieca przyłożyć się do roboty i spędzać mniej czasu na fejsie.

– A, ta wyspa – powiedziała Lulu i dopiła resztę wody. Za nic nie pozwoliłaby sobie na koktajl. – Znowu tam jedziesz.

– To rodzinne spotkanie – odparła Chelsea. – Jeździmy tam co roku.

– A co ja mam robić przez resztę lata? – Lulu wycelowała i wrzuciła pustą butelkę prosto do kosza na śmieci.

– To tylko tydzień przed rozpoczęciem szkoły.

– Domyślam się. – Lulu wyglądała na nieco smutną i Chelsea ogarnęły wyrzuty sumienia. Nigdy nie zaprosiła Lulu na wyspę, choć jej przyjaciółka bywała na innych wycieczkach z rodziną Chelsea. Heart Island to jednak coś innego. Nie wiadomo dlaczego, Chelsea nie potrafiła sobie wyobrazić Lulu w tym miejscu.

Lulu nie miała zbyt wielu przyjaciółek. Obie wiedziały, dlaczego tak jest: Lulu była atrakcyjna, a zarazem wredna. Niezbyt dobre połączenie. Większość dziewczyn nienawidziła jej od pierwszego wejrzenia. Chelsea nigdy się nie zastanawiała, dlaczego nie onieśmiela jej uroda Lulu ani dlaczego Lulu nie traktuje jej źle. Po prostu od kiedy sięgała pamięcią, zawsze się przyjaźniły.

– Robi się późno – powiedziała Chelsea. Rozejrzała się po raz ostatni po przestronnej części restauracyjnej, wielkim bijącym sercu galerii handlowej. Wszystkie arterie prowadziły w to gwarne miejsce, pełne ludzi pożerających wszystkie potrawy, których tak nie znosiła jej matka. Rozejrzała się po kolejnych stolikach. Nie znalazła Adama McKee. Poczuła w równym stopniu rozczarowanie i ulgę.

– Nie przyjdzie.

Lulu zerknęła na zegar i skinęła głową.

– Cóż... – W tym momencie normalnie Lulu wygłosiłaby jakąś złośliwą opinię o tym chłopaku, że to jakiś palant albo biedak, bo przecież chodził do szkoły publicznej. Tym razem jednak Lulu była dziwnie milcząca. Chelsea otworzyła aplikację Facebooka na swoim telefonie. Adam niczego nie napisał na jej tablicy, ani nie wysłał jej żadnej wiadomości. Powiedziała o tym Lulu, która właśnie klikała coś na swoim telefonie i chyba jej nie usłyszała.

– Powinnyśmy już iść – dodała.

Podniosła torbę zawierającą rzeczy, które kupiła na wyjazd – kilka fajnych pulowerów z polaru i parę wodoodpornych butów firmy Keen. Lulu zarzuciła Chelsea, że kupione przez nią ciuchy są kompletnie bezpłciowe. Na Heart Island jednak nie było dla kogo się stroić. To jedna z tych rzeczy, które Chelsea odpowiadały na wyspie: zupełny brak jakiegokolwiek przymusu, by być fajnym w każdym sensie tego słowa.

Lulu spojrzała na wyświetlacz swojego BlackBerry i zachmurzyła się. Chelsea zerknęła na zegar. Mama zacznie świrować, jeśli się spóźnią.

Za moment pewnie zadzwoni.

– Idziesz?

Lulu zostawała u Chelsea na noc, bo jej rodzice zaplanowali wieczór w mieście z okazji rocznicy ślubu. Mimo że dziewczyny spędzały wspólnie prawie każdy weekend, tym razem Lulu nie była chyba specjalnie z tego powodu szczęśliwa. Chelsea podejrzewała, że ma to jakiś związek z Connerem Lange. Wiedziała, że jej koleżanka ostatnio parę razy wymykała się z domu, a u Chelsea raczej nie mogło to się udać.

– Aha – powiedziała Lulu. – Sorry.

Znów ten ton: złość i próba jej ukrycia.

– Co się stało? – spytała Chelsea.

– Nic. – Lulu zebrała swoje rzeczy. – Tylko moi starzy to straszne dupki.

Rodzice Lulu byli nieuchwytni jak duchy. Ojciec zarządzał funduszem hedgingowym, a matka była chirurgiem plastycznym. Mieli mnóstwo pieniędzy, ale najwyraźniej bardzo mało czasu dla Lulu. Rodzina Lulu wyjeżdżała na wycieczki do Europy albo do egzotycznych miejsc w tropikach, na przykład na Fidżi. Lulu rzadko opowiadała o tych podróżach i nigdy nie chwaliła się zdjęciami.

Gdy wychodziły z centrum, Chelsea objęła Lulu, a Lulu oparła głowę na jej ramieniu. Kogo obchodził jakiś Adam McKee albo Conner Lange, kiedy przyjaciółki miały siebie nawzajem?

Mama Chelsea siedziała przed budynkiem w range roverze, z włączonym silnikiem, i gapiła się w niebo przez otwarty szyberdach. Przez chwilę Chelsea miała wrażenie, że matka wygląda jakoś inaczej niż zwykle. Wydawała się niższa, młodsza, prawie obca – ładna kobieta o blond włosach, w wielkim SUV-ie, czekająca na coś albo na kogoś. Sprawiała wrażenie smutnej i nieco zagubionej. Z jakiegoś powodu Chelsea poczuła dreszcz niepokoju. Kiedyś pytała mamę: kim byłaś, zanim się urodziłam? Kate opowiadała o dorastaniu w Nowym Jorku, o nauce w college'u, o ślubie. Zawsze brzmiało to jak jedna z opowieści na dobranoc, wymyślanych specjalnie dla Chelsea. No bo jak mama mogła kimś bez niej być albo cokolwiek bez niej robić? To nie wydawało się możliwe.

Gdy Chelsea podeszła bliżej, domyśliła się, że jej matka prawdopodobnie próbowała medytować, zaczerpnąć kilka uspokajających oddechów w sposób, którego nauczyła także córkę. Chelsea bardzo często tak robiła – kiedy była spanikowana albo nadmiernie podniecona, albo kiedy chciała utrzymać dobry nastrój. „Wdech”, mówiła do siebie, wciągając powietrze, „wydech”. Nie miała pojęcia, dlaczego działało to na nią odprężająco, dlaczego czas zaczynał wolniej biec, ale to się sprawdzało.

Chelsea otworzyła drzwi, a Kate odwróciła się w jej stronę z szerokim uśmiechem i znów była jej normalną mamą, jak zwykle ucieszoną, że widzi swoją córkę. Lulu i Chelsea schyliły się, by ucałować Kate na powitanie i po chwili wnętrze auta wypełniło się gwarem ich głosów. Ani Lulu, ani Chelsea, nie zamierzały opowiadać Kate o Adamie McKee, rozmawiały więc o wszystkim innym.

Chelsea zastanawiała się, co będzie na kolację. Pewnie pizza, bo był piątek, a może Taco Bell, jeżeli Brendan znów postawił na swoim. Mama wymieniała z Lulu uwagi na temat Connera Lange. Kate dostrzegła Connera na drugim boisku, kiedy przyglądała się treningowi Brendana, jeszcze zanim ten fajtłapa zwichnął sobie nogę. Kate zgadzała się, że chłopak jest bardzo przystojny.

– Ale czy jest inteligentny? Czy to porządny człowiek? – musiała oczywiście zapytać.

– Jasne – stwierdziła Lulu, chociaż Chelsea wiedziała, że jej przyjaciółki w ogóle nie obchodzą takie sprawy. – Pewnie, że tak.

Chelsea poczuła wibrację telefonu w torebce. Wyjęła go i przeczytała zawartość okienka, które pojawiło się na wyświetlaczu.

„Adam McKee przesłał ci wiadomość”. W milczeniu otworzyła Facebooka. „Nie udało mi się dotrzeć do centrum”, napisał. „Ale co robisz dziś wieczorem?”.

Poczuła dreszcz podniecenia i szybko wetknęła telefon do kieszeni. Powie o tym Lulu później, chciała przez chwilę zachować to dla siebie. Wiedziała, że wiadomość – gdy tylko opowie o niej Lulu albo mamie – przestanie być tak wyjątkowa jak teraz, kiedy stanowiła jej małą tajemnicę. Przystojny chłopak chciał wiedzieć, co robi dziś wieczorem... Chelsea pragnęła cieszyć się przez parę minut, zanim ktoś zacznie prawić jej morały, a Lulu wyśmieje jakiś wpis znaleziony na jego stronie. „Wdech”, pomyślała, „wydech”.

Joe jednym uchem słuchał prognozy pogody w radiu, odpowiadając jednocześnie na maile za pomocą telefonu – nawyk, który doprowadzał Birdie do szału. Nie było żadnego uzasadnienia, żeby nie przeczytać informacji meteorologicznych na komputerze, jej mężowi jednak z jakiegoś powodu prognoza radiowa wydawała się atrakcyjniejsza. Preferował stacje obcojęzyczne, bo uważał się za poliglotę, choć nim nie był – jego znajomość francuskiego była przeciętna, nieco lepiej było z hiszpańskim. Poza tym, niezależnie od języka, w jakim podawano prognozę, nie słuchał jej zbyt uważnie. Często zdarzało mu się podejmować zupełnie nietrafione decyzje dotyczące tego, kiedy można wypłynąć łodzią na jezioro, ponieważ akurat niedosłyszał albo niedokładnie rozumiał przekazywane komunikaty. Birdie chciała uniknąć katastrofy, więc musiała mu zwracać na to uwagę, a to zawsze kończyło się strasliwą kłótnią. Birdie mówiła płynnie po francusku i nie najgorzej sobie radziła z hiszpańskim.

– Jak ci się dzisiaj pływało? – spytał Joe.

– Nieźle.

– Nie zajęło ci to dużo czasu.

Birdie nie odpowiedziała.

– Zdaje się, że w weekend będzie ładna pogoda – dodał Joe, nie zwracając uwagi na jej milczenie.

Prognoza wcale nie przewidywała ładnej pogody. Zapowiadano silne burze z piorunami, czego potwierdzeniem było coraz bardziej ciemniejące niebo nad łądem. Gdyby tylko Joe wyjrzał na zewnątrz, zauważyłby to. Czy to nie Benjamin Franklin powiedział, że ludzie dzielą się na dwie kategorie: znających się pogodzie i pozostałych?

Kiedy Birdie poznała Joego – wydawało się, że było to całe wieki temu – od razu wiedziała, że wyjdzie za niego za męża. Była wtedy na imprezie świątecznej, do udziału w której zmusiły ją przyjaciółki. Belle, Patty i Joan zapakowały do drzwi jej mieszkania i wyciągnęły ją z łóżka. Miały ze sobą butelkę szampana i czerwoną sukienkę wieczorową „pożyczoną” ze sklepu Macy’s. Wzięły ją na kredyt, miały zamiar poukrywać metki i uważać, żeby jej nie zalać drinkami, a następnie zwrócić w poniedziałek.

Birdie ukrywała się w maleńkiej kawalerce na Manhattanie, na Bank Street. Wówczas o tym nie wiedziała, ale cierpiała na depresję. Depresja była jej osobistym potworem, z którym ciągle musiała mierzyć się w ciągu swojego życia, jednak wtedy dotknęła ją po raz pierwszy na poważnie. Birdie przeżyła właśnie upokarzające rozstanie z narzeczonym i była przekonana, że już nigdy nie wyjdzie za męża. Jej życie okryło się całunem – nie czarnym, lecz szarym. Szarością, która wypierała wszystkie inne kolory, pozbawiając ją energii i duszy. Ogarniały ją szare myśli. Wiedziała, że będzie marnieć w sekretariacie aż do śmierci. Była o tym przekonana, chociaż miała zaledwie dwadzieścia trzy lata.

– Jeśli będziesz tu sobie leżeć, świat nie stanie się lepszy – powiedziała Joanie.

– Owszem, powiedziałabym nawet, że się pogorszy – potwierdziła Belle.

Wszystkie wydawały się takie ładne i radosne – założyły eleganckie sukienki, miały spięte włosy, czerwone usta, białą gładką cerę... Czy rzeczywiście były tak piękne, jakimi je zapamiętała? A może chodziło o to, że były młode, pełne oczekiwań, kiedy wszystko było jeszcze przed nimi?

Birdie pozwoliła, by przyjaciółki ją umalowały i spięły jej długie jasne włosy w gustowny koczek. A sukienka – musiała to przyznać nawet mimo przygnębienia – była wręcz fantastyczna.

– Leży jak ula! – oświadczyła Patty. – Och, Birdie, jest cudowna!

Co się stało z tą przyjaźnią, z tym bezinteresownym, pogodnym, pełnym czułości poczuciem koleżeństwa? Czy przeminęło jak tapirowane fryzury, jak głupia moda, którą teraz wszyscy wyśmiewali? Wszystkie bliskie relacje Birdie z innymi kobietami popsuły się z upływem lat. Nie do końca wiedziała, dlaczego się tak stało. Ta bez troska i serdeczność, które im towarzyszyły, kiedy wszystkie były sobie równe, kiedy dopiero zaczynały życie, gdzieś się ulotniła. Decyzje przerodziły się w konsekwencje, opinie stały się osądami, a podziw zmienił się w zawiść. Zawiść zatruwa wszystko, podobnie jak cytryna powoduje zwarzenie mleka.

Po chwili szły już mroźnymi ulicami miasta. Wszystkie nosiły brzydkie, praktyczne jesionki z tweedu i wełny, niemodne już od dwóch sezonów, bo żadna z nich nie mogła sobie pozwolić na coś nowego. W Stork Club dziewczyny natychmiast pozbyły się okryć, jak kłopotliwych krewnych z Brooklynu. Oczywiście wszystkie co do jednej urodziły się i wychowały właśnie na Brooklynie, ale uważały się teraz za dziewczęta z Manhattanu, które nie pamiętają już o peryferyjnych dzielnicach. Miały wykształcenie i pracę, małe mieszkania w Greenwich Village lub w Upper East Side. Wtedy jeszcze mężczyźni płacili za drinki i jedzenie; dziewczyna mogła nieźle żyć, dysponując niewielką kwotą, dopóki nie znalazła męża. Dla niektórych Nowy Jork w 1960 roku był jak wielki sklep ze słodyczami.

Z tego wieczoru Birdie najbardziej zapamiętała wszechobecne migotanie światła – bożonarodzeniowe lampki na drzewach, cekiny na sukienkach, błyszczki na ustach, bąbelki szampana... Kwartet jazzowy grał nowoczesne przeróbki tradycyjnych kołęd. I wtedy pojawił się Joe – wyższy i potężniejszy niż inni mężczyźni; było widać, że to nie jest jego miejsce. Bawił się równie dobrze jak inni, ale miał w sobie coś, co go wyróżniało i odróżniało. Patrząc na ludzi, mrużył w pewien sposób oczy. Trudno powiedzieć, czy był rozbawiony, czy zniesmaczony. Birdie z jakiegoś powodu uznała to za bardzo interesujące.

Kiedy jego wzrok padł na Birdie, coś w jego spojrzeniu zmusiło ją do cichego westchnienia. Birdie była piękna tego wieczoru. Wtedy by tego o sobie nie powiedziała, ale dostrzegała to teraz na swoich starych fotografiach. Była szczupła i miała ładną figurę. Joe twierdził, że go oczarowała, w tej swojej szkarłatnej sukience, z czerwonymi ustami. Przerwał rozmowę, w której uczestniczył, i ruszył w jej kierunku, jak gdyby został przyciągnięty liną przez tłum ludzi. Mężczyźni, z którymi rozmawiał, odwrócili głowy, po czym zaczęli się śmiać i wymieniać żarty. Joan, Patty i Belle zachichotały, zaczęły szeptać między sobą i oddaliły się w inną stronę. Zespół grał właśnie skoczną wersję *Jingle Bells*. I w tym momencie Birdie poczuła się swobodnie i wesoło po raz pierwszy od wielu tygodni.

– Jesteś zbyt ładną dziewczyną, żeby pracować w naszej firmie – stwierdził Joe. W tamtych czasach należało to uznać za czarujący komplement.

Co mu odpowiedziała? Tego już nie pamiętała. Przypominała sobie tylko uczucie, z jakim spojrzała mu w oczy. Był silny, uczciwy, mógł się nią zaopiekować. Poznała to po kształcie jego szczęki, szerokich dłoniach, masywnym karku. Ogarnęła ją ulga tak wielka, że aż zakręciło jej się w głowie. Po raz pierwszy poznała kogoś, kto potrafił zapewnić jej oparcie, i uznała to, niesłusznie, za miłość od pierwszego wejrzenia. Oczywiście to się zdarzyło, zanim poznała prawdę o miłości i małżeństwie, prawdę o życiu jako takim.

Teddy do mnie zadzwonił – powiedział Joe. Nalał Birdie filiżankę kawy i zmieszał z idealną ilością mleka. Dobrze wiedział, jaką kawę należy przygotować żonie. – Nie przyjedzie. – Joe starał się, żeby zabrzmiało to swobodnie, ale wiedziała, że jest zły.

Nie ogolił się dzisiaj. Kiedy byli młodzi, Birdie uważała, że Joe wygląda rano bardzo seksownie, zanim jeszcze skończy poranną toaletę. Nie myślała w ten sposób o swoim mężu już od bardzo dawna.

– Tak? – Znów ogarnął ją przytłaczający smutek. Kiedy w zeszłym tygodniu rozmawiała z Teddym, miała przeczucie, że syn może odwołać wizytę. Dwukrotnie wspominał, że jest strasznie zapracowany.

– Podobno jest zavalony robotą, nie może wyjechać – powiedział Joe. – Zachowuje się tak, jakby miał prawdziwą pracę!

Teddy prowadził własne przedsiębiorstwo, firmę konsultingową, cokolwiek to znaczyło.

– Joe, przestań. Wiesz przecież, że on ma prawdziwą pracę – powiedziała Birdie. – Odnosił spory sukces.

Jej mąż tylko wydał z siebie nieżyczliwe parsknięcie.

– Czym on się teraz zajmuje? – spytała Birdie. Teddy opowiadał jej o swojej firmie, ale prawdę powiedziawszy, Birdie nie rozumiała, o czym mówił, wspominał o jakichś systemach i infrastrukturach.

Joe wzruszył ramionami, przyglądając się ekranowi swojego telefonu. Zawsze się na niego gapił, tak jakby to, co tam widział, było znacznie bardziej interesujące od życia wokół niego.

– To coś związanego z komputerami.

Birdie przypuszczała, że Joe doskonale wie, czym zajmuje się firma Teddy'ego, ale po prostu, z tylko sobie znanego powodu, przez złośliwość, udawał, że tak nie jest. Joe i Teddy jakoś nigdy nie potrafili się dogadać. Nawet gdy Teddy był małym chłopcem, jej mąż miał problemy w kontaktach z synem. Teddy dorastał, ale wydawał się bardzo delikatny i wrażliwy, w znaczący sposób różnił się od mocnych i silnych mężczyzn, jakimi byli Burke'owie. Szczupły i ostrożny, spokojniejszy i bardziej kreatywny, przypominał raczej członków rodziny ze strony Birdie. Wszelkie próby zabawy z Teddym, które podejmował Joe – baseball, piłka, wędkowanie, golf – kończyły się zwykle tak, że chłopiec przybiegał wyplakać się na kolanach matki. „Dlaczego musisz być tak surowy, Joe?“, pytała Birdie setki razy. Mąż wściekał się wtedy: „Co się dzieje z tym chłopakiem? Jest kruchy jak porcelanowa laleczka!“.

Joe przez całe swoje zawodowe życie pracował jako inżynier w branży lotniczej. Wiedział, na czym polega proces szczegółowego projektowania prowadzący do wytworzenia konkretnego przedmiotu, najlepiej wykonanego ze stali, a do tego pozornie zaprzeczającego prawom fizyki. Mąż Birdie uważał, że jeśli owocem ludzkich działań nie był jakiś materialny produkt, to nie wykonano żadnej pracy. Teddy nie potrafił przedstawić ojcu żadnych namacalnych efektów swoich działań, więc Joe postanowił udawać, że ich nie rozumie. Chodziło o kodowanie, czy też programowanie, coś w tym rodzaju. Birdie wiedziała, że to intratny biznes, Teddy odniósł sukces.

Oczywiście problem nie dotyczył jedynie Teddy'ego i jego pracy.

Kate nie osiągnęła prawie niczego, a Joe znajdował dla córki wyłącznie pochwały i wyrazy czułości. „Och, nasza Kate jest taka cudowna, jest wspaniałą matką, zawsze się z nami kontaktuje“ – itp., itd. Może dlatego, że Kate była dziewczynką, Joe miał wobec niej mniejsze oczekiwania i w przeciwieństwie do Birdie nie był rozczarowany ani zaskoczony, że córce nie udało się niczego rozsądnego zrobić ze swoim życiem.

– Trudno, nieważne – powiedziała Birdie, choć wcale tak nie uważała. – Zawsze, kiedy tu przyjeżdża, wygląda, jakby zaprzętał sobie głowę czymś innym.

Prawdę powiedziawszy, Teddy był ciągle rozkojarzony, nawet kiedy nie mieszkał na wyspie. Nie, to nie było właściwe określenie – wydawał się odległy, wyobcowany. W czasie rozmowy telefonicznej czuło się, że właśnie robi coś innego albo myśli o czymś innym, i na pewno nie jest zainteresowany tym, co Birdie ma do powiedzenia. Kiedy przebywali razem, próbowała spojrzeć mu w oczy. Zawsze odwracał spojrzenie.

– On nie lubi tej wyspy. Zresztą nigdy jej nie lubił – powiedział Joe.

– Wyspa nie jest dla każdego.

Wiele razy zdarzało jej się to mówić o różnych ludziach. Nie każdy pasował do tego miejsca, do tego stylu życia. Przetrawianie na Heart Island wymagało odrobiny hartu ducha. Birdie oczywiście go nie brakowało, miała to we krwi.

Jakby czytając jej w myślach, Joe dodał:

– Chyba wyjadę do miasta na parę dni.

Birdie dopiła kawę i wstawiła filiżankę do zlewu.

– Dobrze.

Kłótnia nie miała sensu. Birdie mogła powiedzieć, że potrzebuje pomocy męża przy sprzątanii i zakupach, albo wspomnieć, że przyjeżdża Kate z rodziną. Czy Joe nie chciałby zobaczyć się ze swoją księżniczką i jej prześwietnym potomstwem? Zdaje się, że tylko Birdie przejmowała się faktem, że każde z dzieci miało innego ojca. Jeden z nich był obrzydliwym pijakiem, cudzołożnikiem i beznadziejnym pisarzem. A Sean? Co można było o nim powiedzieć? Birdie nie spodziewała się, że Kate zwiąże się z człowiekiem tego rodzaju. Kiedyś Kate – Katherine Elizabeth Burke, cóż za piękne nazwisko, prawdziwie królewskie! – mogła mieć każdego, kogo chciała, i zostać, kim tylko zapragnęła. Stworzono jej idealne warunki, miała znakomite wykształcenie – i postanowiła to zmarnować.

Gdyby Birdie zaprotestowała, Joe zostałby na wyspie z poczucia obowiązku. Skończyłoby się to jednak jakąś awanturą, i tak wyjechałby pełen złości. Joe Burke zawsze musiał postawić na swoim: albo dostawał to, czego chciał, albo brał to siłą.

– Wróć jakoś w środę tygodnia, żeby zobaczyć Katie i dzieciaki.

– I Seana.

– A, tak, oczywiście. – Pojawiło się słynne zmużenie oczu Joego Burke'a. – Seana również.

Birdie zastanawiała się, czy nie powiedzieć mu o tym, co zobaczyła – o tej postaci, człowieku na wyspie. Ogarnęły ją jednak wątpliwości. Co naprawdę widziała? Czy tam rzeczywiście ktoś stał? A może to jakiś dziwny skutek pogarszającego się wzroku i działania wiatru? Nie miało sensu opowiadanie o tym Joemu, żeby miał sposobność wykazać się opiekuńczością, o ile jeszcze żywił takie uczucia. Mógłby nawet ją wyśmiać. Zawsze uważał, że Birdie panikowała, że zbyt często była przestraszona albo zdenerwowana. Nie zwracała na to uwagi.

– Wezmę prysznic i odwiozę cię na przystań – powiedziała. – Przy okazji zrobię zakupy na resztę tygodnia. „Widzisz?“, dodała w myślach. „Nie potrzebuję cię. Nie potrzebuję nikogo“.

– Nie ma pośpiechu – odparł Joe.

Znów wpatrywał się w ekran swojego nowego iPhone'a i sprawdzał pocztę. Był strasznie dumny z posiadania tego urządzenia, chwalił się zdjęciami dzieci, pokazywał ciekawe, zakupione przez siebie „apki“. Birdie nie potrafiła powiedzieć, dlaczego nienawidzi tego gadżetu – często wyobrażała sobie przerażenie, jakie pojawiłoby się na twarzy męża, gdyby wyrwała mu telefon z ręki i cisnęła go przez okno ich mieszkania albo jadącego samochodu, lub wrzuciła do szklanki. Joe wyszedł do sypialni, nie podnosząc głowy znad wyświetlacza. Gdyby to zrobił, mógłby dostrzec, że Birdie z trudem powstrzymuje łzy.

Emily znów miała złe przecucia. Znów pojawił się ten narastający niepokój, nieuzasadniona panika, przez którą wygadywała głupoty, a przedmioty leciały jej z rąk.

Zysk z ukradzionych przez nią leków był niewielki. Za buteleczkę adderallu, mieszaniny amfetamin stosowanej w leczeniu ADD, i opakowanie ativanu, leku uspokajającego, dostali po pięćdziesiąt dolarów, czyli około pięć dolarów za tabletkę. Reszta fiolek zawierała jedynie stare antybiotyki, które nie miały żadnej wartości. Potrzebowali tak naprawdę oxycontinu – jedna drażetka kosztowała co najmniej dwadzieścia dolarów. Idealnie by było, gdyby uśmiechnęło się do nich szczęście i znaleźliby ampułki z morfiną stosowaną przez chorych na raka. Na przedmieściach ludzie gotowi byli dać co najmniej pięćdziesiątkę za jedną sztukę. Emily widziała morfinę tylko raz. Trafiała się bardzo rzadko.

Czekała w samochodzie, gdy Dean i Brad zanieśli lekarstwa do małego kilkunastopiętowego domku, w którym mieszkał diler Deana. Budynek wyglądał jak wszystkie domy na osiedlu, w robotniczej dzielnicy przypominającej jej własną.

Wzdłuż ścieżki rosły nieprzycięte krzewy, pod drzwiami leżała wycieraczka z powitalnym napisem, a na jednej z szyb umieszczono naklejkę dla strażaków, żeby wiedzieli, gdzie przebywają dzieci. Na trawniku znajdowała się piaskownica w kształcie żaby, na podjeździe leżał przewrócony trójkołowy rowerek. Na tylnej kanapie zaparkowanego obok minivana Emily dostrzegła dwa foteliki. Gdyby nie wiedziała, nie zgadłaby, kto tutaj mieszka. Jednak na jezdni widać było czarną tłustą plamę, utworzoną z zacieków oleju i płynów pochodzących z wielu starych, zdezelowanych aut. Ludzie, którzy tu przyjeżdżali, żeby odebrać albo zostawić towar, pozostawili po sobie trwały ślad.

Dean wyłączył silnik, ale Emily nie chciała go wołać i prosić o kluczyki, żeby mogła sobie posłuchać radia. Nie chciała, żeby Brad znalazł okazję do odwrócenia głowy. Ilekroć zerkła na niego, patrzył na nią z paskudnym uśmieszkiem.

Siedzieli tam bardzo długo. Emily musiała się zdrzemnąć, bo nagle przestraszył ją dźwięk zamykanych drzwi. Patrzyła, jak obaj mężczyźni idą podjazdem. Po minie Deana, po jego uniesionych, sztywnych ramionach poznała, że nie jest zadowolony. Nie poszło im dobrze. Obaj nie odzywali się po drodze.

Teraz znów byli u niej w domu, a Brad siedział na jej kanapie i położył nogi na jej stoliku, ściskając udami puszkę piwa. Oglądał jakiś program dla majsterkowiczów i zdawał się być nim całkowicie pochłonięty, a może po prostu był na haju. Widziała, że połknął jedną z pastylek, kiedy Dean na niego nie patrzył. Nie wiadomo, co jeszcze wziął. Miał zepsute zęby – żółte, próchniejące – takie, jakie mają ci, którzy biorą metę. Metamfetaminowy uśmieszek, tak to nazywali.

– Posłuchaj, Em – powiedział Dean. Mówił szeptem, położył dłonie na jej ramionach. Stali w kuchni. Zamówił pizzę i litrową butelkę pepsi, bo Brad oświadczył, że jest głodny. Dlaczego Dean wydawał pieniądze, skoro podobno tak bardzo ich potrzebował? – Jedyne rozwiązanie, by splawić tego gościa, to dać mu trochę kasy.

– Ile dostaliście za leki? – spytała.

– Dwie setki. – Dean miał przy sobie jeszcze jakieś leki na sprzedaż, oprócz tych, które ukradła Emily. Domyślała się, że zabrał je podczas poprzedniego dnia otwartego w innym domu, kiedy nie chciała mu towarzyszyć, bo musiała iść do pracy do restauracji. – Wszystko mu oddałem.

– OK – odparła. – Musisz mi w końcu powiedzieć, ile mu wisisz.

Dean popatrzył na sufit, a potem znów spojrzął na Emily i przestąpił z nogi na nogę, jak zwykle, kiedy był zestresowany. – Dwa tysiące.

Emily westchnęła.

– Nie mam tyle. Przecież wiesz.

– A kto ma?

Wtedy to się zaczęło, pojawiło się to uczucie, wrażenie, że stoi na brzegu morza i patrzy na wzbierającą falę przypiływu. Groźna ściana wody zbliżała się do niej, a ona nie potrafiła biec na tyle szybko, żeby uciec i nie miała siły, żeby ją powstrzymać.

– Nikt – odparła.

Dean wzniosł oczy.

– No, pomyśl.

Czy chodziło mu o matkę Emily?

– Nigdy nam tyle nie da – odpowiedziała. – Nie chce pożyczać mi nawet na czynsz, od kiedy się tu wprowadziłem. Teraz nawet ze sobą nie rozmawiamy.

– Nie mówię o twojej matce! – Znów patrzył na nią zimnymi niebieskimi oczami, jego mocne spojrzenie przeszywało ją na wylot. Kiedy go poznała, uważała go za najprzystojniejszego faceta na świecie. Wydawał się jej także najczulszym i najbardziej romantycznym mężczyzną, i gdzieś w głębi duszy nadal nim był. Chyba.

– A o kim?

Pogładził jej włosy i odgarnął pasemko, które opadło Emily na oczy. Mogła przez parę minut liczyć na jego czułość.

– W „Niebieskiej Kwoce” zarabiają tyle w ciągu jednego dnia. Sama tak powiedziałaś.

Pomyślała: „O Boże. Dlaczego mu o tym mówiłam?”

– Nie – odparła. – Nie mogę jej poprosić o taką kwotę. Daj spokój!

– Wcale nie powiedziałem, że masz ją o coś prosić.

Emily robiła już różne rzeczy na prośbę Deana; rzeczy, których robić nie chciała i których szczerze potem żałowała. Oszukała ludzi, którzy jej zaufali, a innych zawiodła w mniejszym lub większym stopniu. Od kiedy poznała Deana półtora roku temu, trzykrotnie straciła pracę, rzuciła szkołę i popadła w konflikt z matką, tylko dlatego, że nie potrafiła odmówić Deanowi. Dlaczego tak się stało? Nie bała się przecież samotności, prawdę mówiąc, często wolała być sama. Czy to miłość? Czy tak się zachowuje człowiek zakochany? Czy miłość wymaga sprzeniewierzenia się samemu sobie? Zdaniem Emily nie powinno tak być.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Dean.

Próbowała się od niego odsunąć, ale mocniej przytrzymał jej głowę.

– Posłuchaj. – Jego głos bardziej przypominał teraz syk niż szept. – Wiesz, za co Brad kiblował? Po napadzie z bronią w rękę?

Nie odpowiedziała. Dean nie oczekiwał odpowiedzi.

– Za pobicie ze skutkiem śmiertelnym. Pokłócił się z kimś o kasę i wrąbał mu tak mocno, że gość umarł trzy dni później.

Emily była w stanie to sobie wyobrazić.

– Emily, boję się – dodał Dean. – A ty nie boisz się tego człowieka? Tego jak na ciebie patrzy? Dajmy mu to, czego chce, żeby się od nas odczepił.

Emily nie odpowiedziała, słowa uwięzły jej w gardle.

– Ona idzie dziś wieczorem do banku po zamknięciu restauracji, prawda? – Skąd o tym wiedział?! Przecież Emily mu o tym nie mówiła! – Zamykają o dziewiątej, ogarnięcie wszystkiego zajmuje jej jeszcze godzinę.

Emily spojrzała na zegar na mikrofalówce. Było parę minut po ósmej. Nie odezwała się, nie była w stanie nic powiedzieć.

– Będzie mieć przy sobie utarg z całego tygodnia, w takiej bankowej kopercie. Mąż Carol nie zostaje z nią, idzie do domu.

Emily zrozumiała, że Dean obserwował „Niebieską Kwokę”. Trudno było w to uwierzyć, bo przecież wiedział, jak lubiła to miejsce i jak lubiła Carol. Zaczęła też się zastanawiać – choć nie potrafiła o to zapytać – czy na pewno Dean był w ogóle winny Bradowi jakieś pieniądze. Od jak dawna to przygotowywał? Czy pojawienie się Brada było tylko pretekstem, żeby zrobić coś tak strasznego? Może planował to już od jakiegoś czasu?

Emily zaczęła gorączkowo myśleć, próbując zapanować nad ogarniającym ją niepokojem. Zastanawiała się, co może teraz zrobić. Mogłaby powiedzieć, że potrzebuje czegoś z samochodu i uciec do matki. Matka by ją przygarnęła, a Emily wezwałaby policję. Mogłaby też ostrzec Carol... Jeśli udałoby się zabrać im samochód, nie byłiby specjalnie groźni. Ale co Brad by wtedy zrobił Deanowi?

Nie, nie mogła spotkać się z matką, nie była w stanie opowiedzieć jej o Deanie i przyznać się do tego, jakie prowadziła życie. Powiedziała jej dziś, że Dean miał rozmowę o pracy. Przez wiele miesięcy kłamała na jego temat, pozostawiała wiadomości o spotkaniach w sprawie pracy, o tym, że chłopak chyba jej się oświadczy, że przynosi kwiaty. Miała jeszcze jedną wiadomość do przekazania, ale odkładała to na dzień, w którym wszystkie kłamstwa dotyczące Deana okażą się jednak prawdziwe.

– Żebyś się nie przeliczyła, kochanie – mówiła matka podczas ostatniej wielkiej kłótni. – Taki facet nigdy nie robi tego, czego od niego oczekujesz! Będziesz dalej czekać, aż w końcu pozbawi cię nawet nadziei.

– Nie znasz go.

– Naprawdę? – Martha rzuciła Emily smutne, ostrzegawcze spojrzenie. I wtedy właśnie Emily zaczęła krzyczeć; ciągle pamiętała to uczucie, kiedy zaczęła trząść się z gniewu i wreszcie eksplodowała.

Emily splotła ręce na brzuchu.

– Dean, nie rób tego – powiedziała. Nienawidziła siebie za to, że płacze, ale nie była w stanie powstrzymać łez. – Proszę!

– Nie mam wyboru! – rzucił napastliwie. – I ty też nie masz, chyba że chcesz, żeby mnie załatwił, bo mu nie oddałem kasy!

Emily poczuła w gardle suchy ucisk strachu.

– Mam osiemset dolarów na koncie – powiedziała trochę zbyt głośno, bo ogarnęła ją panika. Zniżyła głos. – To wszystko. Odłożyłam na czynsz, ale możesz sobie to wziąć.

Dean przetarł oczy; to kolejna rzecz, którą robił, kiedy był zestresowany albo podniecony.

– Za mało.

– Powiedziałeś, że dałeś mu dwieście. To razem tysiąc.

– Połowa to za mało.

Emily czuła, że Dean już podjął decyzję, musiał zawrzeć jakąś umowę z Bradem. Dean miał otrzymać swoją działkę, Emily domyślała się tego po jego minie. Mimo to musiała spróbować.

– Brad może wziąć mój samochód. Jak się doliczy ten tysiąc, wyjdzie więcej niż jesteś mu winien. Uczciwy układ.

Dean potrząsnął głową i odsunął się od Emily.

– Nie rozumiesz tego. Nie chcę twojego samochodu.

Brad stał w drzwiach do kuchni. Emily popatrzyła mu w oczy; były puste, pozbawione wyrazu. To najgorszy, najbardziej przerażający rodzaj człowieka: ktoś, kto umie ukrywać swoje uczucia i nie zdradzać ich spojrzeniem. Albo ktoś, kto w ogóle niczego nie czuje. Zdążyła już poznać takich ludzi, nieśli ze sobą tylko nieszczęście. Zabierali, co się dało – wszystko, co chciało się osiągnąć, wszystkie głupie marzenia – i deptali to bez żadnej przyczyny.

– Przyniosę rano pieniądze. Możesz zabrać samochód i kasę i sobie iść – powiedziała. – To proste.

Brad skrzywił usta i parsknął gardłowym śmiechem.

– Nie. Wiem, że Carol będzie miała w tej kopercie dziesięć kawałków.

– Nieprawda! – Emily nie potrafiła powstrzymać drżenia głosu, ale otarła łzy. – Nie tak dużo, Dean przesadził!

– Bzdura! – rzucił Dean. Klepnął ją mocno w rękę. Emily cofnęła się o krok.

Brad spojrział na Deana, a potem na Emily, i chyba uznał, że to ona jest lepszym źródłem informacji.

– W takim razie ile? – spytał.

– Nie mam pojęcia – odparła i lekko wzruszyła ramionami. – Klienci już nie płacą tak często gotówką. Teraz to głównie plastik... Najwyżej parę setek.

– Ona kłamie! – oświadczył Dean. W jego głosie pojawiła się złość małego chłopca, który właśnie traci nad sobą panowanie. – Kłamie! Widziałem tę kopertę, jest taka gruba. – Kciukiem i palcem wskazującym pokazał wielką literę U, machając Emily przed nosem.

Brad pokręcił głową i coś głośno trzasnęło w jego szyi. Zerknął na zegar. Za dwadzieścia dziewięć.

– Idziemy – powiedział.

Emily spojrzała na Deana, który znów wpatrywał się w podłogę. Kiedyś, dawno temu, czuła się przy nim bardzo bezpieczna, przekonana, że w jej życiu nic złego już się nie stanie. Czuła się świetnie przez te pierwsze kilka miesięcy, kiedy oboje ciężko pracowali, a ona do tego chodziła także na zajęcia. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że Dean ma problem z prochami. Leżała przy nim w łóżku, wtulona w jego zgięte ramię, i chciało jej się płakać z radości, że nie wszyscy mężczyźni okazywali się potworami, przed czym ostrzegała ją matka, i że jej życie wcale nie było beznadziejne.

– Kocham cię, Em – szeptał wtedy Dean. – Postaram się tobą dobrze zaopiekować.

Powinna była to przewidzieć. Naprawdę powinna była to przewidzieć.

Dziewczyny w pokoju Chelsea zachowywały się podejrzanie cicho, a Brendan rozciągnął się na kanapie i oglądał telewizję. Kiedy był młodszy, potrafił przez cały wieczór męczyć Chelsea i Lulu, próbując dotrzymać im towarzystwa i domagając się zabaw, w których nie chciały uczestniczyć, a kiedy złamały jakieś zasady, skarżył się rodzicom. W pewnym momencie dał sobie spokój i zaczął je ignorować, chociaż Kate zauważyła, że chłopiec ukradkiem gapił się na Lulu przez całą kolację. Udawał obojętność, jednak one dalej go nie zauważały – dzieliła ich zbyt duża różnica wieku, dla szesnastolatki Brendan z trudem mieścił się w definicji człowieka. Brendan i Chelsea byli sobie dość bliscy, gdy przebywali w swoim towarzystwie. Chelsea w stosunku do przyrodniego brata zachowywała się bardzo opiekuńczo, o ile w pobliżu nie było akurat jej koleżanek, z kolei Brendan traktował ją niemal z uwielbieniem. Na wyspie oboje potrafili cieszyć się swoją obecnością. To ich łączyło, oboje uwielbiali to miejsce i ciągle chcieli poznawać jego zakamarki.

Walizka była już prawie wypełniona rzeczami, ale Kate wciąż nie czuła się przygotowana do wyjazdu. Rodzice upierali się, by wszyscy przebierali się do kolacji. Nie mogła po prostu wziąć ze sobą wygodnych sportowych ciuchów, odpowiednich do warunków panujących na wyspie. Potrzebowała właściwej odzieży na każdy wieczór, zresztą tak jak i pozostali członkowie rodziny, z wyjątkiem Seana, który kategorycznie odmawiał zmiany stroju. Uważał ten rytuał za pretensjonalny i dziwaczny. Pierwszy mąż Kate całkowicie podporządkowywał się wymaganiom i zwyczajom teściów, jednak Sean sprzeciwiał się im przy każdej okazji. Zupełnie go nie interesowało, co sobie o nim pomyślą. Ich zamożność nie robiła na nim wrażenia ani nie wpływała na jego zachowanie, jak to się działo w przypadku większości ludzi, a do tego odmawiał udawania kogoś innego. Kate patrzyła na męża z uznaniem, nie tylko zresztą z tego powodu.

Sama jednak uważała, że podczas odwiedzin na wyspie – co zdarzało się na tyle rzadko, na ile pozwalała przyzwoitość – należy się rodzicom odrobina szacunku i wypada przestrzegać ustalonych przez nich reguł. Wiedziała, kim są i dlaczego czują potrzebę uporządkowania swojego życia. Nie zawsze jej się to podobało, ale rozumiała to. Rodzice – z różnych powodów – chcieli zachować kontrolę nad swoim otoczeniem, a gdy ktoś znalazł się w strefie ich wpływów, również musiał się z tą kontrolą liczyć. Kate nauczyła się akceptować ten fakt i postępować w sposób, którego Theo nigdy nie umiał, a Sean nie chciał się nauczyć.

– Nie przepracowuj się. – Sean rozciągnął się wygodnie na łóżku. Starła się na niego nie patrzeć, żeby nie czuć pokusy porzucenia swojego zajęcia i dołączenia do męża.

– Nie przepracowuję się – odparła.

– Oddychasz płytko – powiedział Sean. Kate wyczuła, że się do niej uśmiecha.

Walizka Seana była już zamknięta i stała teraz spokojnie w kącie pokoju. Będą na wyspie przez siedem dni, więc Sean zapakował siedem kompletów ubrań, osiem zmian bielizny – zawsze lepiej mieć zapasowe gacie – i osiem par skarpetek. Dokładnie wiedział, co będzie nosić w poszczególne dni. Przygotował parę mokasynów i parę wodoodpornych butów turystycznych. Tym razem, wyłącznie po to, by wytrącić innych z równowagi, zapakował jeszcze spodnie od garnituru i białą koszulę typu oxford. Raz przebierze się do kolacji tylko po to, by rozdrażnić teściów, którzy kompletnie nie wiedzieli, czego się po nim spodziewać. Zostawił trochę miejsca w walizce na kosmetyczkę, bo Kate nigdy jej nie potrafiła zmieścić w swoim bagażu. Równie sprawnie spakował torbę Brendana. Kate i Chelsea będą wypychać kolejne rzeczy do walizek aż do momentu wrzucenia ich do bagażnika. I chociaż zabiorą wszystko, co się da, ciągle będą uważały, że to za mało.

– Widziałem maila od twojej matki – powiedział Sean.

– Daj spokój.

– Odpisałem jej, przedstawiając nasze wymagania i zalecenia dietetyczne.

Przerwała pakowanie i spojrzała na męża.

– Jakie zalecenia dietetyczne?!

Sean obdarzył ją swoim ulubionym uśmiechem kota z Cheshire. Kate, chociaż rzeczywiście czuła się zapracowana, również się uśmiechnęła. Jak mogła nie uśmiechać się do męża? Miał naturę łobuziaka, podobnie jak ich syn. Sean miał ciemne, krótko ostrzyżone włosy, a Brendan kędziory w kolorze ciemny blond, Sean miał oczy ciemnobrązowe, a Brendan kryształowe, piwne; poza tym byli do siebie podobni jak dwie krople wody: taki sam ostry nos, śmiejące się oczy, takie same, pełne usta. Oto jej chłopaki, zdobywcy serc niewieścich – za to obaj lojalni, zabawni i pełni czułości. Tak różni od jej ojca, brata, albo byłego męża. Kate była wdzięczna losowi, a może raczej szczęśliwa, że udało się jej zmądrzeć i odnaleźć właściwą drogę w życiu.

– Jesteś paskudny – powiedziała. Rzuciła w męża parą skarpetek. Złapał je z łatwością i odrzucił jednym płynnym ruchem. Był atletycznie zbudowany – kolejna cecha, która go odróżniała od pierwszego męża Kate. Sprawność fizyczna Sebastiana ograniczała się do umiejętności nalania sobie drinka i zapalenia papierosa. Miał głównie przymioty umysłowe, choć nie ze wszystkich korzystał we właściwy sposób.

– I bardzo ci to odpowiada – odparł Sean. To prawda. Kate przerwała pakowanie i położyła się obok niego. Sean kroczył przez świat swobodnie, pewnie, z humorem, czego Kate bardzo mu zazdrościła. Przytuliła się do niego mocno w nadziei, że choć trochę udzieli się jej wewnętrzny spokój męża. Sean objął ją i poczuła jego zapach.

– Nie przejmuj się. Upijemy się i jakoś to przetrwamy.

– Przestań.

Punktualnie o szóstej podawano drinki i od tego momentu rodzice Kate zaczęli się solidnie upijać martini albo innym cocktailem, który został wybrany na dany wieczór. Do składającej się z trzech dań kolacji podawano wino, a kiedy na stole pojawiał się deser, nastrój uczestników zależał już tylko od matki i od tego, czy była zadowolona, czy ponura, czy była zła na ojca, czy też akurat uwzięła się na kogoś innego.

Tak się składa, że cierpiała na tym jedynie Kate. Tata żył we własnym świecie i dawno temu nauczył się nie zwracać uwagi na Birdie. Sean uważał wszystkie dziwactwa teściów za szalenie zabawne, a Chelsea i Brendana uwielbiano i chwalono na co dzień tak bardzo, że żadne ewentualne pasywno-agresywne zachowania ze strony babci nie były w stanie im zaszkodzić. Zostawała zatem tylko Kate – oraz Theo, jeśli akurat tam był – którzy musieli chodzić jak na paluszkach i odpowiednio reagować na nastroje matki.

– Możemy odwołać wyjazd – powiedział Sean. – Kontuzja Brendana to świetny pretekst.

– Nie mogę sprawić zawodu dzieciakom. – Zabrzmiło to bardzo nieszczerze, nawet dla samej Kate. To zwykły wykręt, bo wszystko było przecież znacznie bardziej skomplikowane.

Sean objął ją w talii.

– Wiesz, Kate... – Zamilkł na moment, jakby szukał właściwych słów. – Czasami nie ma nic złego w sprawianiu innym zawodu. Nie ma nic złego w tym, że powiemy „nie”, jeśli nie chcemy czegoś zrobić.

Na poziomie rozumowym Kate wiedziała dobrze, że to prawda, tyle że w wypadku rodziny jakoś nie potrafiła tego przyjąć do wiadomości.

– Nie chcesz tam jechać? – spytała.

Sean podniósł się na łokciu i spojrzał w sufit, a potem ponownie na Kate.

– Nie wiem. Chyba nie – odpowiedział. – Uwielbiam tę wyspę i wiem, że tak samo jest z tobą i dziećmi. Ale koszty są zbyt wysokie.

Leżący na komódce telefon zaczął dzwonić. Sean nie ruszył się, żeby go odebrać.

– Mógłbyś go wyłączyć – powiedziała Kate. Skinęła głową w kierunku grającego, wibrującego urządzenia. Nie było dziesięciu minut, żeby

nie wydało ono jakiegoś dźwięku.

– Mógłbym – przyznał Sean. – Ale nie wiem, czy ma taką funkcję.

Sean był przez cały czas podłączony do sieci, gotowy reagować na żądania klientów, odbierać telefony w sprawie oferowanych przez niego nieruchomości, rozmawiać z rzeczoznawcami i pośrednikami kredytowymi. Świetnie potrafił znajdować czas wyłącznie dla rodziny, nie był jednym z ludzi, którzy nie umieją odlecić się od laptopa czy smartfona. Jednak z powodu kryzysu i chaosu na rynku nieruchomości musiał pracować ciężiej niż zwykle, zarabiając przy tym znacznie mniej niż kiedyś. Potrzebował odpoczynku.

– Posłuchaj, możemy w niedzielę wyjechać, dokąd tylko chcemy. – Zatoczył ręką koło. – Po prostu wsiądziemy do samochodu i odjedziemy.

Jako para nigdy nie mieli zbyt dużo wolności. Chelsea była jeszcze małą dziewczynką, kiedy się spotkali i pobrali, a parę lat później pojawił się Brendan. Nigdy nie nocowali w innym miejscu niż dzieci, a Kate nawet nie marzyła o podróżach. Pomysł, żeby wsiąść w samochód, choćby i z dziećmi, i pojechać, dokąd im się żywnie spodoba, obudził w Kate niespodziewaną tęsknotę.

Oczywiście gdyby tak zrobili, dzieci natychmiast by się obraziły, a jej rodzice byliby wściekli i rozczarowani. Kate wcale nie była pewna, czy potrafiła dobrze się bawić, gdy wszyscy inni czuli się nieszczęśliwi. Czy to mówiło coś o jej charakterze? Być może.

– W przyszłym roku – oznajmiła. – W przyszłym roku pojedziemy gdzieś indziej, na przykład na Hawaje albo do Europy, w jakieś wspaniałe miejsce, tylko we czwórkę.

Sean rzucił jej sceptyczne spojrzenie.

– Obiecujesz?

– Obiecuję. – Powiedziała to szczerze.

Im dłużej myślała o tym planie, tym bardziej się do niego przekonywała. Zakomunikuje to wkrótce swoim dzieciom i rodzicom. Wszyscy będą mieli rok, by przyzwycząć się do myśli, że zrobią sobie odpoczynek od wyspy. Theo miał rację, Kate naprawdę nie musiała tam jeździć każdego lata. Wyspa nie zniknie nawet wówczas, gdy ona się na niej nie pojawi. Poczła się swobodniej, mogła łatwiej poradzić sobie z planowanym wyjazdem, skoro wiedziała, że w przyszłym roku nie będzie musiała spędzać tygodnia w niewoli rodziców. Były także inne powody, dla których ta pora nie będzie odpowiednia na wizyty na wyspie.

Wstała i wróciła do pakowania, zabierając kolejne rzeczy z wielkiej sterty zgromadzonej na krześle. Bluza z polaru, czarna sukienka ołówkowa, para adidasów, para butów na wysokim obcasie.

– Moglibyśmy nawet wyjechać do Azji – powiedział Sean. Ściągnął laptop ze stolika. Zaraz rozpocznie wyszukiwanie i wkrótce przedstawi najlepsze i najdroższe wycieczki. W normalnej sytuacji Kate by go powstrzymała, ostudziła jego entuzjazm, nie pozwoliłaby na zbyt dużą ekscytację. Tym razem nie zamierzała tego robić.

– Albo na jedno z tych pięciogwiazdkowych afrykańskich safari! – dodał. – Myślę, że dzieci są już na tyle duże, że by im się to spodobało.

– Wiesz co, skarbie? – odezwała się Kate. – Dokądkolwiek zechcesz.

– Świetnie – odparł Sean. – Bardzo podoba mi się twoje podejście.

Kate cieszyła się, że jej mąż jest w tak świetnym nastroju. I niespodziewanie z większym optymizmem pomyślała o zbliżającej się podróży. W tym roku przecież wzięła udział w kursie żeglarskim. No i zrobiła coś jeszcze, coś niezwykłego, dzięki czemu wkrótce wszystko się zmieni.

Po powrocie z wyspy Kate weźmie przykład z brata. Pojawi się nieco więcej dystansu i częściej będzie można od niej usłyszeć słowo „nie”.

Chyba nie chcesz mu podać numeru telefonu?!

Zwykle to nie Lulu wykazywała się ostrożnością. Chelsea spojrzała znad ekranu laptopa na swoją przyjaciółkę, która zerkała na nią z dołu, z różowego siedziska, w którym spoczywała, zajęta malowaniem paznokci u nóg na jaskrawy różowy kolor.

– A niby czemu nie? – Chelsea rozciągnęła się na łóżku. Zdrętwiały jej stopy od siedzenia po turecku z komputerem na kolanach.

– No bo przecież to jest... no, wiesz. W realu. Musisz z nim rozmawiać, i w ogóle. – Ponownie spojrzała na swoje paznokcie.

– I co? Czy nie o to właśnie chodzi? – Mówiła to samo, co Lulu wcześniej w galerii.

– Niekoniecznie – odparła Lulu. – Jesteś na fejsie i jest bezpiecznie, nie mogą do ciebie tak naprawdę dotrzeć. Wiedzą o tobie tylko tyle, ile chcesz, żeby wiedzieli.

– Przez telefon też nie mogą do mnie dotrzeć.

– No tak, ale to już wrota do prawdziwego świata – stwierdziła Lulu. – Kiedy już ktoś ma twój numer, pogada z tobą, usłyszy twój głos, następny krok to spotkanie.

Chelsea wymieniła wiele wiadomości z Adamem, szczególnie instruowana przez Lulu, jak zachować dystans, ale nie przesadzić, jak być uwodzicielską, ale nie wyjść na zbyt łatwą.

– I do ciężkiej cholery, nie bądź taką mądralą! Inteligencja nie jest sexy. – Chelsea nie lubiła gierki. Chciała być po prostu sobą i poznać kogoś, kto również chciał być sobą. Powiedziała o tym Lulu.

– Nikt nie jest sobą – oświadczyła Lulu. – Wszyscy się popisują, zwłaszcza faceci.

– To nieprawda – odparła Chelsea bez przekonania.

Lulu wzruszyła ramionami.

– Szczerze, Chaz, jesteś jedynym prawdziwym człowiekiem, jakiego znam.

Chelsea nie wiedziała, o co chodzi jej koleżance. Z drugiej jednak strony nie musiała prosić Lulu o wyjaśnienia. Wielu uczniów ich szkoły, Blair Academy, miało potwornie bogatych rodziców, zresztą Lulu również. Wszyscy nosili wprawdzie mundurki, ale dziewczyny miały markowe torebki i drogie buty – liczyły się tylko to, co miałaś i jaki samochód starzy kupili ci na siedemnaste urodziny. Pewna lubiana dziewczyna z najstarszej klasy umieściła na YouTube filmik o tym, jak rodzice robią jej niespodziankę w postaci nowego porsche. Chelsea pokazała go mamie i tacie w nadziei, że podsunie im to pomysł zakupu jakiejś niezłej bryki.

– O kurde – powiedział Sean. Tylko tyle był w stanie z siebie wydusić.

– Możesz sobie marzyć, dziewczyno – dodała Kate i wyszła, śmiejąc się, z pokoju.

– Dzięki, mamoo! – zawołała wtedy Chelsea. – Dzięki serdeczne!

Kto spędził ferie w Paryżu? Kto wyjechał na narty do Vail? Ile kosztowała sukienka na bal na koniec roku szkolnego? I czy już masz nowego iPhone'a 5? Właśnie takie sprawy były istotne dla uczniów Blair Academy. Chelsea jakoś udawało się być ponad tym wszystkim, przypatrywać rywalizacji z boku. Oczywiście sama nie miała nic przeciwko fajnym drobiazgom, lubiła też męczyć rodziców o rzeczy, które chciałaby dostać.

„Nie jesteś taka nadęta jak inne dziewczyny w Blair, jesteś inna, widzę to”, napisał jej Adam McKee.

„Skąd on może wiedzieć”, zastanawiała się Chelsea, „że nie jest taka jak inne dziewczyny? I czy rzeczywiście tak było?”

Chelsea usłyszała wibrowanie telefonu przyjaciółki i rzuciła jej pytające spojrzenie. Lulu zawsze otrzymywała ciekawe wiadomości: od swoich byłych, od dalekich krewnych oraz od dziewczyn, które uważały, że Lulu chce ukraść im chłopaka. Lulu jednak nic nie powiedziała. Po chwili Chelsea sama dostała wiadomość od Adama.

„Czy chcesz się spotkać dziś wieczorem?”. Ogarnęło ją lekkie podniecenie. Przeczytała wiadomość na głos, a Lulu uśmiechnęła się po raz pierwszy tego wieczoru.

– No i? – spytała. – Wchodzisz w to? Mogę zadzwonić do Connera. Spotkalibyśmy się we czwórkę.

– Czekaj – powiedziała Chelsea. – Przecież mówiłaś coś o „wrotach do realnego świata”? Jeśli się z nim spotkam, to będzie naprawdę

realny świat.

– No... jeżeli naprawdę ci się podoba, zróbmy to.

– Jasne, moi starzy chętnie się na to zgodzą. – Chelsea roześmiała się krótko. – Na pewno.

– A kto powiedział, że muszą o tym wiedzieć?

Lulu ponownie spojrzała na ekran telefonu i zaczęła wstukiwać wiadomość. Ta dziewczyna żyła w świecie fantazji, w którym wszyscy rodzice w ogóle nie zauważają, że ich dzieci przychodzą do domu i z niego wychodzą. Chelsea nie mogła nawet spędzić nocy u Lulu, gdy jej matka dowiedziała się, że rodziców przyjaciółki rzadko można zastać wieczorem, a gosposia i zarazem opiekunka wychodzi o ósmej. Oczywiście było to trzy lata temu, obie były już teraz w takim wieku, że mogły zostawać same. Jednak nie na noc – upierała się mama.

– Boisz się? – spytała Lulu, gdy Chelsea nie odpowiedziała na jej pytanie.

Brzmiało to jak prowokacja. Lulu szybko uniosła głowę, uśmiechając się złośliwie i mrużąc oczy. Czyli rzeczywiście podpucha. Chelsea znów poczuła ten niepokój, który ostatnio pojawiał się w związku z przyjaciółką, kiedy Lulu czegoś chciała, a ona nie mogła jej tego ofiarować.

Niedawno za namową Lulu próbowały wymknąć się z domu. Sean przyłapał je, jak wychodziły przez okno pokoju Chelsea po jednej ze składanych drabin przechowywanych pod łóżkiem na wypadek pożaru. Kiedy już udało im się dotrzeć na dół, co nie było wcale łatwe, a na dodatek trochę niebezpieczne, zobaczyły go na trawniku. Dziwne, bo stał i spokojnie jadł loda z soku owocowego. Sprawiał wrażenie ubawionego całą sytuacją. Musiał akurat być w kuchni i usłyszeć, jak dziewczyny rozkładają drabinę, która głośno uderzyła o ścianę domu. Nie rozmawiali więcej o tym wieczorze, więc Chelsea nie była pewna, w jaki sposób ojcu udało się je nakryć. To zdarzyło się całkiem niedawno, przed paroma tygodniami.

– Nic z tego, drogie dziewczyny – oświadczył wówczas. – Przykro mi.

Odprowadził je z powrotem do domu bez żadnych ceregieli ani wymówek. Nawet jeśli opowiedział Kate o tym zdarzeniu, rodzice nigdy nie poruszali tego tematu, co zapewne oznaczało, że Sean jednak zachował to dla siebie. Inaczej mama na pewno narobiłaby straszego rabanu. Odbyłyby się długie, przeciągające się ponad miarę rozmowy o uczciwości i zaufaniu, o utracie przywilejów, a być może o szlabanie na wyjścia. Tata nie świrowałby w ten sposób, to nie było w jego stylu. Zachowywał się tak, jakby próba ucieczki – i to z kłamotami – nie była niczym niezwykłym, a jej udaremnienie po prostu jego obowiązkiem.

– Lulu, nie mogę – powiedziała Chelsea. – Jeśli on nas znowu złapie, powie o tym mojej mamie.

Lulu wzniosła oczy, wyglądała na rozczarowaną.

– No to napisz mu: przepraszam, ale nie dam rady – odparła z irytacją.

Chelsea zaczęła już wklepywać rozwlekłe wyjaśnienia, że tak, bardzo by chciała się zgodzić, ale jej rodzice są naprawdę surowi, a poza tym zwykle nie spotyka się z kimś, kogo jeszcze nie zna, i tak dalej. Po chwili skasowała całą treść, zastosowała się do sugestii Lulu i zamknęła komputer.

I tak po prostu – zniknął. Już nie istniał. Lulu miała rację, by nie podawać mu numeru telefonu, bo wtedy rzeczywiście stałyby się częścią realnego świata, nie dałoby się go wyłączyć. Byłby czymś więcej niż słowami na ekranie.

Usłyszały delikatne pukanie do drzwi.

Chelsea rozejrzała się szybko dookoła. Papierosów Lulu nie było nigdzie w zasięgu wzroku, telewizor był włączony, nastawiony na kanał Lifetime, ale ze ściszym dźwiękiem.

– Proszę – rzuciła Chelsea.

Sean wychylił głowę zza drzwi.

– Wszystko u was w porządku?

– Tak – odparła Chelsea. – Siedzimy sobie.

– Niczego nie kombinujecie?

– Niby co? – spytała Lulu, otwierając szeroko oczy.

– To świetnie. – Sean uśmiechnął się. – Doskonale.

Zamknął drzwi.

– Jest niezły! – oświadczyła Lulu.

– Ej! – rzuciła Chelsea. Lulu nie po raz pierwszy wygłaszała komentarze na temat Seana, było to strasznie wkurzające. – Przestań!

Przez chwilę było słychać tylko odgłos stukania Lulu w klawiaturę jej telefonu. Chelsea przyglądała się przyjaciółce, podziwiała delikatny łuk jej szyi, opadającą linię ramion. Niespodziewanie poczuła niechęć, Lulu zaczęła ją irytować.

– Chaz, słyszałaś kiedyś o oprogramowaniu szpiegującym?

Lulu założyła różowy T-shirt należący do Chelsea – znacznie lepiej na niej leżał; włosy upięła niedbale, wciągnęła też starą parę dresowych spodni Brendana – i mimo to wyglądała doskonale. Miała świeżą cerę i jasne zielone oczy z długimi rzęsami. Nawet w pożyczonych ciuchach prezentowała się fantastycznie. Lulu wyglądała świetnie nawet gdy płakała, kiedy było jej niedobrze albo kiedy pociła się na zajęciach wf. „Bóg jest bardzo niesprawiedliwy, jeśli chodzi o rozdzielanie urody” napisał ojciec Chelsea w swojej pierwszej powieści. Z jakiegoś powodu zapamiętała to zdanie.

– Jasne.

– I jesteś pewna, że rodzice ci tego nie zainstalowali na laptopie?

Chelsea zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Nie ma mowy – stwierdziła w końcu. – Nigdy by czegoś takiego nie zrobili. – Zerknęła na swój komputer. Zgrabne urządzenie leżało niewinnie na kołdrze.

– Zastanawiałam się nad tym wieczorem, kiedy chciałyśmy się wymknąć – powiedziała Lulu. Usiadła na łóżku obok Chelsea, przytulając się do niej. – Pamiętasz, wymienialiśmy maile z Gwen o imprezie, pytałyśmy, gdzie to jest. Napisałyśmy, że będziemy próbowały uciec przez okno. No a dzisiaj... Ten chłopak spytał, czy nie chciałabyś się z nim wieczorem spotkać.

Chelsea nie potrafiła sobie wyobrazić, że jej matka mogłaby zrobić coś takiego. Kate była z zasady szczerą w każdej sprawie.

– I tak to działa? Mogą sprawdzić, co właśnie robisz na komputerze?

Lulu wzruszyła ramionami.

– W sumie nie wiem.

– A twoi rodzice coś takiego ci zainstalowali?

– No weź! Moi starzy nie patrzą, co robię, nawet jeśli jestem z nimi w tym samym pokoju. Założę się, że mogłabym przy stole w kuchni zapalić jointa, a matka uchylałaby tylko okno!

Nie było aż tak źle, Lulu lubiła przesadzać. Jej rodzice byli nawet całkiem fajni, tylko trochę roztargnieni i zapracowani. A ostatnio przykręcili córce śrubę i zaczęli nieco dokładniej kontrolować jej wyjścia. Dziś zresztą mama Lulu dzwoniła, żeby sprawdzić, czy jej córka naprawdę jest u Chelsea. Zdarzyło się to po raz pierwszy.

– No dobrze, może nie twoja mama – dodała Lulu. – Ale Sean? Myślę, że mógł to zrobić.

Ulubiony tekst Seana brzmiał: „Ufamy ci, Chelsea; po prostu nie ufamy nikomu innemu”. Powiedział to pewnie milion razy, bo ciągle odmawiali wszystkim jej prośbom. „Nie, nie możesz jechać na koncert The Killers z koleżankami, zawieziemy cię, a potem odbierzemy”. „Nie, nie możesz iść z Lulu do miasta na zakupy, pójdziemy z wami”. „Nie, nie możesz iść na imprezę, dopóki nie zapytamy innych rodziców, kto

jeszcze na niej będzie". Czy nie męczyło ich to ciągle mówienie „nie“?!

– Nie ma mowy – powtórzyła Chelsea.

– Tylko pytam. Nie pozwoliłabym na to moim rodzicom, zwłaszcza jeżeli jeden z nich nie byłby nawet moim prawdziwym ojcem.

Chelsea poczuła, że jej policzki robią się aż gorące ze złości, ale pojawiły się też inne uczucia – smutek i zażenowanie.

– To jest mój ojciec! – oświadczyła. – W każdym ważnym sensie tego słowa!

Mimo że powiedziała to szczerze, słowa wydały się puste, jakby tylko powtarzała to, co jej rodzice mówili setki razy. Zabrzmiały jak tekst, który wypowiada się nawet wtedy, kiedy nie wierzy się w jego treść, zatem jest zupełnie pozbawiony znaczenia.

– Jezu, Chelsea. – Lulu zachmurzyła się. – Czy zawsze musisz być taka doskonała?

Doskonała?! Chelsea daleko było do doskonałości. Spojrzała na Lulu myśląc, że przyjaciółka będzie się z niej śmiać, jak gdyby chodziło o jakiś żart, ale Lulu gapiła się z ponurą miną w przestrzeń.

Chelsea nigdy nie wiedziała, jak się zachować, gdy Lulu wpadała w taki posepny nastrój, więc zachowała milczenie. Pogłodziła telewizor i ułożyła się obok koleżanki. Po chwili Lulu otoczyła Chelsea ramieniem i wszelkie złe emocje gdzieś zniknęły. Znowu było tak jak zawsze: dwie najlepsze przyjaciółki, bliższe sobie niż siostry.

Zamknawszy cicho drzwi od pokoju Chelsea, Sean stał jeszcze przez chwilę na korytarzu. Słyszał, że Brendan gra u siebie w jakąś grę wideo, a Kate robi coś na dole w kuchni. Lubił tę wieczorną porę, spokojne godziny po kolacji i przed pójściem spać. Wydawało mu się, że to czas, w którym prowadzi się właściwe życie, kiedy kończy się męczący dzień pracy i zajęcia szkolne, a rodzina wreszcie zbiera się pod jednym dachem. Uwielbiał rozmowy i śmiechy przy kolacji, pomoc przy odrabianiu lekcji i wspólne oglądanie filmów, popcorn i odprowadzanie dzieci do łóżek. Czekał na chwile spędzane z Kate, kiedy przyglądali się całemu dniowi, analizowali, planowali, rozmawiali o pracy, dzieciach i wszystkim innym. Kiedyś myślał, że w życiu chodzi o coś więcej, że życie toczy się na imprezach, że to przygody, podróże, dziewczyny i nocne eskapady z kolegami, ale to nie była prawda. Wszystko, czego kiedykolwiek pragnął i szukał, znajdowało się właśnie tu, teraz, w tym domu. Szedł po schodach przykrytych dywanem i stwierdził, że przydałoby się odmalować korytarz.

Ściany między pokojami wypełniała cała galeria fotografii przedstawiających ich dwoje i dzieciaki podczas różnych zajęć i ważnych wydarzeń – fantastyczny gol Brendana, Chelsea na koniu, ślub Seana i Kate, Kate stojąca na skałach Heart Island. Sean szczególnie lubił stare zdjęcie, na którym Chelsea siedziała na barana na jego ramionach i trzymała swoje małe rączki na jego czole.

W jego pamięci był to konkretny, rozpoznawalny moment, w którym Chelsea stała się jego córką. Kiedy poznał Kate, dziewczynka miała cztery lata i na początku wydawała się jakąś obcą formą życia, wprawdzie śliczną, ale dziwną i nieprzewidywalną. Sean nigdy wcześniej nie musiał opiekować się inną osobą, nie miał nawet własnego zwierzęcia. Kate była pierwszą kobietą, z którą związek traktował poważnie, jednak zupełnie nie miał pojęcia, jak postępować z drugą ważną osobą.

Chelsea należało oczywiście traktować jak normalnego człowieka – była wyjątkowo bystra i miała już całkiem wyrobiony pogląd na świat. Była także maleńka i impulsywna, wciąż czegoś potrzebowała i potrafiła rozryczeć się z byle powodu; fascynująca a trochę irytująca, kochana, ale odrobinę przerażająca. Potrafiła zmienić się w kipiący wulkan – kiedy czuła się nieszcześliwa, świat musiał zatrzymać się w miejscu. Chelsea i Kate mieszkały same przez pewien czas, bo ojciec Chelsea na długo przed jej urodzeniem pogrążył się w pijaństwie. Do tego dziewczynka nie zamierzała z nikim dzielić się swoją mamą. Dlatego na samym początku Sean i mała kruszynka zajmowali się, jak to nazywała Kate, wypracowywaniem więzi.

To zdarzyło się, gdy Kate po raz pierwszy zostawiła córkę pod opieką Seana, stanowili wówczas parę już od ponad roku. Sean nie przypominał sobie powodu nieobecności Kate, pamiętał tylko wzruszenie z powodu zaufania, jakim został obdarzony – uznał wówczas, że ich związek wkroczył w nowy etap. Dyspozycje były jasne: Chelsea może obejrzeć fragment *Małej syrenki*, ale nie więcej niż dwadzieścia minut. Kate zostawiła córce obiad: kurczaka, brokuły i porcję makaronu zapiekanego z serem, Sean musiał to jedynie podgrzać. Potem może pomóc Chelsea w myciu zębów, przeczytać trzy wybrane przez nią bajki, a następnie odprowadzić ją do łóżka. Kate spisała to wszystko na kartce, ale Sean znał procedurę: zdarzało mu się wcześniej kłaść dziecko, chociaż Kate siedziała wtedy w sąsiednim pokoju.

Po trzeciej bajce opatulił dziewczynkę i ucałował ją w policzek. Nie protestowała, ale też nie odwzajemniła pocałunku.

– Kocham cię, Chelsea – powiedział szczerze, naprawdę szczerze. Rzeczywiście kochał Kate, kochał też Chelsea, i mówił jej o tym codziennie. Nigdy dotąd mu nie odpowiedziała, ale to nie miało znaczenia.

– Ale nie jesteś moim tatusiem – powiedziała to swobodnie, jakby chciała zyskać pewność, że ta kwestia została wyjaśniona.

– Nie jestem – potwierdził. – Wiem o tym.

– Mam już tatusia. – Musiała jeszcze uściślić na wszelki wypadek.

– Tak. Wiem, kochanie.

Jej oczy zrobiły się ogromne, a potem wzięła głęboki oddech. Jej łyzy rzuciły Seana na kolana – zupełnie dosłownie. Ukląkł przy jej łóżku. Chelsea mogła drzeć się wniebogłosem z wielu dziwacznych powodów i w takich sytuacjach Sean marzył jedynie o schowaniu głowy pod poduszkę i przeczekaniu, aż ryk się skończy. Wiedział jednak, że prawdziwe łyzy pojawiały się wówczas, gdy coś rzeczywiście sprawiało jej ból.

Położył dłoń na czole dziewczynki.

– Nie muszę być twoim tatą, żeby cię kochać i się tobą opiekować, prawda?

Chelsea niepewnie kiwnęła głową, ale wciąż roniła swoje wielkie łzy. Czy istniało coś bardziej wzruszającego, bardziej przygnębiającego niż naprawdę nieszcześliwe dziecko? Chyba nie.

– Możemy wymyślić jakiś nasz własny sposób – dodał i uśmiechnął się nieporadnie.

Chyba przez chwilę się nad tym zastanawiała. Sean otarł jej oczy rękawem.

– To znaczy zostaniemy przyjaciółmi? – spytała. Znowu gwałtownie wciągnęła powietrze do płuc.

– Mniej więcej.

Niech tak będzie. Jeśli istnieje przyjaźń polegająca na tym, że jest się gotowym rzucić pod nadjeżdżający pociąg, żeby kogoś uratować, to właśnie o taki rodzaj przyjaźni chodzi. Tak wtedy pomyślał, choć oczywiście tego nie powiedział na głos.

W ciągu pierwszego roku kontaktów z Kate i Chelsea Sean odnalazł w sobie jakieś dziwne, pierwotne uczucie, silną potrzebę opiekuńczości, chronienia słabszych. Dopóki nie spotkał się z nimi, żeby pokazać dom – tamten dzień prezentacji zmienił jego życie – raczej o takich sprawach nie myślał. Zarabiał wielkie pieniądze, sprzedając nieruchomości w okresie boomu na rynku, pił z kolegami i regularnie spotykał z kolejnymi przypadkowymi dziewczynami. Co roku wybierał się na ekstrawaganckie wycieczki z dawnymi kumplami z akademika: nurkowanie w klatce na Wielkiej Rafie Koralowej, trekking szlakiem Inków, zjazdy na linach w Kostaryce albo snowboard w Alpach. W ogóle nie przejmował się nadciągającymi nieuchronnie czterdziestymi urodzinami. Życie to impreza! Ślub, dzieci? A po co? – Kiedy wreszcie dorońiesz, Sean? – dopytywała się jego matka. Odkąd związał się z Kate i Chelsea, nie zadała tego pytania ani razu.

– OK – oświadczyła Chelsea. – Możemy zostać przyjaciółmi.

I załatwione. Pociągnęła nosem, kiwnęła głową i otarła ręką oczy, żeby pozbyć się ostatnich łez.

– Mogę się napić soku? – spytała.

Te jedwabiste blond włosy i twarz aniołka z zaróżowionymi policzkami... Pokonała go od razu. Tego wieczoru zrozumiał, że wpadł na dobre, zakochany na zawsze w obu kobietach. Jasne, nie był tatą Chelsea, ale ona była jego córką w sensie, którego nie potrafił i nie musiał wyjaśniać.

Nawet gdy pojawił się Brendan, Sean nie kochał własnego syna bardziej niż Chelsea. Stwierdził, że bycie rodzicem nie polega wcale na biologii i więzach krwi – chodziło o radosną chęć poświęcania się, podporządkowywania własnych pragnień potrzebom innych ludzi. Kiedy

kochało się swoje dzieci, było się gotowym oddać wszystko, by zapewnić im bezpieczeństwo i szczęście, nie zwracało się uwagi na inne sprawy, na rzeczy, które odeszły w przeszłość. Przynajmniej tak stało się w jego wypadku.

Kate nie byłaby zachwycona, gdyby dowiedziała się, że zainstalował oprogramowanie szpiegujące na laptopie Chelsea. Dyskutowali już kiedyś o tym, i chociaż Kate nie była zupełnie temu przeciwna, wykazała się przesadną wrażliwością. „To trochę obrzydliwe. Wolę mieć nadzieję, że zechcą z nami rozmawiać!”. Szczerze powiedziawszy, Sean też nie był specjalnie zadowolony z tego powodu. Winę ponosił za to pewnie jego stary przyjaciel, Brian, który bez wątpienia miał lekkiego świra na punkcie ochrony swoich bliźniaczków.

Początkowo Sean uznał, że Brian zdecydowanie przesadza z obowiązkami rodzicielskimi, ale już wkrótce sam szukał w sieci informacji o „spyware” i ani się obejrzał, jak je zainstalował. Postanowił ukryć to przed Kate. Rzeczywiście szpiegował Chelsea i przyłapał ją na próbie wymknięcia się z domu. Wcale nie był z siebie dumny i nie uważał tego za wybitne osiągnięcie w karierze rodzica. Chociaż... złapanie ich wtedy na trawniku było strasznie zabawne. Chyba poradził sobie nieźle z tą sytuacją.

A teraz zadajmy sobie pytanie: kim, do ciężkiej cholery, jest Adam McKee?!

Sean usiadł ponownie przy biurku i spojrzał na ekran. Widział teraz rozmowę Chelsea na Facebooku.

„Nie jesteś taka jak inne dziewczyny w Blair. Jesteś inna”. No litości! Jaką gierkę rozpoznał ten młody człowiek? Jeśli w ogóle był młodym człowiekiem... Sean wrzucił jego nazwisko do Google’a i nie udało mu się niczego znaleźć. Kiepsko. Chociaż z drugiej strony, czego się można dowiedzieć w sieci o uczniu szkoły średniej, jeśli nie jest jakimś sportowcem, o którym piszą gazety, nie jest karany, nie jest zarejestrowanym przestępcą seksualnym albo nie zatrzymano go ostatnio za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwości?! Może brak wiadomości to dobra wiadomość.

– Co robisz? – Kate weszła do ich wspólnego gabinetu i położyła się na sofie.

– Ściągam pornosy. – Sean zamknął podgląd ekranu komputera Chelsea. Już się zresztą odłączyła, po tym, jak przekazała panu Adamowi McDupkowi informację, że nie uda jej się dziś przyjść na spotkanie. Rozsądna dziewczyna. Zapewne naszyły ją wspomnienia jego znakomitej akcji na trawniku.

– Ha, ha – odparła Kate. – Chyba skończyłam już pakowanie.

Sean kliknął strzałkę i wrócił do serwisu biura organizującego wyprawy turystyczne, który wcześniej czytał, podglądając Chelsea.

– Co z kostką Brendana?

– Mocno spuchła – powiedziała Kate. – Jutro zadzwonimy do lekarza.

Kontuzja Brendana wyglądała niestety coraz gorzej, stłuczenie przy kostce zmieniło się w wielki czarno-niebieski siniak. Sean starał się nie robić sobie zbyt wielkich nadziei z tego powodu – zresztą byłoby to paskudne. Brendan był wyjątkowo odporny fizycznie, zwłaszcza jeśli miał odpowiednią motywację. Poza tym najbardziej z całej rodziny uwielbiał Heart Island, pomijając oczywiście Birdie, która – jak się Seanowi zdawało – kochała jedynie tę wyspę.

– Na razie mam trzy propozycje dotyczące naszej wielkiej przyszłorocznej podróży – powiedział. Energia płynie tam, gdzie kierujesz swoje intencje, brzmiała jedna z ulubionych maksym joginów, którymi kierowała się Kate. Sean lubił patrzeć, jak jego żona wygina i rozciąga swoje giętkie ciało, przybierając niemożliwe pozycje. Sam był wyjątkowo mało elastyczny, ledwo potrafił dotknąć stóp. Nie miało to jednak znaczenia. Prawdziwy mężczyzna nigdy się nie ugina!

– Opowiedz mi o nich – powiedziała Kate. Sean spełnił jej prośbę.

Wyspa majaczyła w oddali jak wielkie ciemne wybrzuszenie wśród szarości wietrznego popołudnia. Czekala na nią. Zawsze tak było, gdy Birdie tam przybywała. Już w dzieciństwie wiedziała, że to miejsce należy do niej. Wszyscy odeszli, jeden po drugim, teraz wyspa została tylko dla Birdie.

Jej siostra nie żyła. Birdie od dawna nie rozmawiała ze swoim starszym bratem, Gene'em. „Zabierz sobie tę cholerną skałę, pasujecie do siebie!” – krzyczał. W trakcie zacieklej walki o spadek po ojcu Gene zrezygnował z Heart Island. Zresztą w miarę upływu czasu Birdie udało się dostać prawie wszystko, co pragnęła odzyskać: biżuterię matki, obrazy... Ludzie nigdy nie doceniali jej wytrwałości. Brat mógł sobie zabrać stare samochody, kolekcję płyt i zabytkowych instrumentów – zawsze miał takie przyziemne upodobania.

Burza, na którą się zanosilo, w końcu nie nadeszła, skończyło się jedynie długotrwałą mżawką. Silne podmuchy wiatru trochę utrudniały podróż powrotną na wyspę. Komuś mniej przyzwyczajonemu do żeglowania mogłoby zrobić się niedobrze – jednak nie Birdie. Sprawnie podpłynęła do pomostu, przycumowała swoją małą łódź i zaczęła wyładowywać zakupy.

– Nie wymagaj od siebie zbyt dużo, Birdie – powiedział Joe, gdy rozstawali się na stacji kolejowej. – I nie wymagaj zbyt wiele od innych.

Nie wiedziała, co mu na to odpowiedzieć. Czy miała zrezygnować z robienia zakupów, przygotowywania jadłospisu i planowania następnego tygodnia? Miała nie odbierać czystej pościeli z pralni i nie zmieniać wszystkich pościeli? Nie szorować łazienek i nie wstawiać świeżych kwiatów do wazonów? Spytała go o to i Joe natychmiast zamknął się w sobie, wycofał się.

– Dobrze – powiedział. Obdarzył ją obojętnym cmoknięciem w policzek i wszedł do pociągu. Birdie nie czekała na jego odjazd, wsiadła po prostu do samochodu i pojechała do supermarketu. Na męża i tak nie mogła liczyć. Swoją gnuśnością sprawiał tylko, że miała jeszcze więcej pracy. W mieście zatrudniali ludzi do pomocy – sprzątaczką przychodziła dwa razy w tygodniu, czasami pojawiała się kucharka. Odbierano pranie, a potem przywożono je do mieszkania. Tutaj Birdie była zdana na siebie, musiała sama o wszystko zadbać. Dlaczego nikt tego nie doceniał?

Wyładowała zakupy i pranie z łodzi na pomost, a potem zaczęła wędrówkę do głównego domu, wzięwszy ze sobą tyle, ile była w stanie udźwignąć. Będzie musiała obrócić dwa, trzy razy, żeby sobie wszystko przenieść. Była jeszcze na pomoście, kiedy ponownie go zobaczyła. Tym razem stał na werandzie jej domu.

Kto to był?

Teraz, pośród szarówki i wycia wiatru, wiele godzin po odjeździe Joego, Birdie nie czuła się już tak odważna. Zamarła ze ściśniętym żołądkiem i z bijącym sercem. Mężczyzna nie poruszał się, Birdie również. Nie dostrzegała jego twarzy, widziała jedynie ciemną plamę. Odłożyła torby i zaczęła się cofać.

W pewnym momencie straciła równowagę i upadła na pośladki, opierając się na łokciach, żeby uchronić się przed stoczeniem w dół i uderzeniem głową o twarde deski. Usłyszała jego śmiech. Zabrzmiało jak śmiech kobiety – był to głos, który udało jej się rozpoznać.

– Birdie! – Jakieś inne, ciche wołanie zabrzmiało z oddali. Kto to taki?

Postać zniknęła we wnętrzu domu. Birdie stwierdziła, że nie może się ruszyć. Usłyszała znajomy dźwięk skrzypnięcia i zatrzaśnięcia zewnętrznych drzwi. Chciała krzyknąć: wynoś się z mojego domu! Nie potrafiła jednak wydobyć z siebie słów.

– Birdie, nic ci się nie stało?! – Wiatr znów przyniósł daleki okrzyk.

Odwróciła się i zobaczyła młodego człowieka na sąsiedniej, południowej wyspie. Energicznie machał ręką i krzychał coś, czego nie była w stanie dosłyszeć.

Powiedział jej kiedyś, że okna jego gabinetu wychodzą na jej pomost. „Widzę, jak przyplływają i odpływają”, powiedział. Zirykowało ją to. Wolala nie wiedzieć, co ten człowiek widzi, a czego nie widzi. Dlatego zresztą nie miała w okolicy zbyt wielu znajomych.

Nie potrafiła mu teraz odpowiedzieć. Gwałtowny ból promieniował z jej łądźwi aż do końca prawej nogi. To rwa kulszowa, zmora jej życia. Birdie położyła się na plecach i patrzyła, jak ten młody człowiek – jakżeż on się nazywał? – wsiada do swojej łodzi i pędzi przez szeroką na niespełna dwieście metrów cieśninę, która oddzielała obie wyspy. A tak, jasne, John Cross – wydawca, który podobno znał byłego męża Kate.

Zacumowała łódź i podbiegł do niej pomostem. Już nie pamiętała, jak to jest być takim młodym i sprawnym, mieć pewność, że da się pokonać każdą przeszkodę napotkaną na drodze.

– Birdie, co się stało?! – Mężczyzna przykucnął obok niej. – Możesz się ruszać?

Pomyślała: czy nie powinien mówić do mnie per „pani Burke”? Czy nie okazałby w ten sposób więcej szacunku? Młodzi ludzie zachowywali się teraz tak swobodnie i poufale, jakby wszyscy byli sobie równi.

– Panie Cross – powiedziała Birdie, kiedy udało jej się odzyskać głos. – Ktoś jest na mojej wyspie. Widziałam go już dzisiaj. Teraz stał na werandzie domu. Proszę zawiadomić policję.

Cross spojrział na nią niepewnie, po czym omiół wzrokiem wyspę.

– Jesteś pewna? – spytał. – Powiedz, czy uderzyłaś się w głowę?

– Młody człowieku! – odparła Birdie. – Nie uderzyłam się w głowę i jestem całkowicie pewna tego, co widziałam.

Obdarzył ją uprzejmym uśmiechem i pomógł wstać.

– Oczywiście. Zaraz to zrobię.

Birdie popatrzyła na swój dom. Mokre brązowe dachówki lśniły, a w wielkich panoramicznych oknach odbijały się drzewa rosnące na wyspie Johna Crossa. Spodziewała się, że zobaczy tamtą postać za szybą.

Cross wyciągnął telefon z kieszeni wiatrówki i zadzwonił na komisariat. Sygnał sieci komórkowej był tu w najlepszym razie nieregularny, ale Crossowi udało się połączyć. Gdy skończył rozmowę, Birdie oznajmiła:

– On jest w moim domu. – Chwyciła Crossa za przegub. – Widziałam, jak wchodził głównym wejściem.

Znowu ten wyraz twarzy, to niedowierzanie i wyrozumiałość, którą młodzi obdarzali ludzi starych. Nagle okazywało się, że świat należy do dzieci – lekarze, prawnicy, sąsiedzi byli przerażająco młodzi, a do tego wydawało im się, że posiadli jakąś wiedzę, której ty nie miałaś. Nagle twoje obyczaje i poglądy okazywały się przestarzałe, wspomnienia niewyraźne, a opinie głupie lub wynikające z niedoinformowania.

Cross był mężczyzną o dużym nosie i słabo zarysowanej szczęce, jego włosy sprawiały wrażenie niedomytych. Spojrział na dom.

– Pójdę tam – powiedział.

Chyba nie czuł się zbyt dobrze w roli bohatera. Człowiek pokoju, nie wojownik... Ale w końcu czegoż można się spodziewać po kimś, kto pracuje w branży wydawniczej?!

– Proszę tego nie robić – powiedziała Birdie. – Zaczekajmy na policję.

– Zaraz wrócę. – Pewnie pomyślał, że Birdie się boi i że nie chce zostać tu sama. Może rzeczywiście tak było. Ruszył jednak, zanim zdołała go zatrzymać. Może należało wspomnieć o broni schowanej w szafce nad lodówką? Ale Cross był szybki, dotarł już do schodów na werandzie, a po chwili wszedł do środka.

– Halo? – usłyszała jego głos. – Czy ktoś tu jest?

Zniknął we wnętrzu domu, ale tym razem nie usłyszała głośnego skrzypnięcia ani trzaśnięcia. Nic zresztą dziwnego. Tamte dźwięki

pochodziły z czasów, gdy była jeszcze dzieckiem z innego domu, przeznaczonego obecnie dla gości. Główny budynek był nowy, przy wejściu zainstalowano hydrauliczny samozamykacz, a zawiasy zostały porządnie naoliwione. Drzwi zamykały się teraz z cichym świstem. Birdie poczuła, że do jej oczu napływają łzy, a w duszy otwiera się otchłań smutku i niepewności, którą zapamiętała z dzieciństwa. Co właściwie zobaczyła? Co usłyszała? Co się z nią teraz działo?

Po paru minutach John Cross pojawił się ponownie na werandzie.

– Pusto! – zawołał. – Sprawdzę zaraz drugi budynek i szybko oblecę całą wyspę. Nic ci nie jest?

Tylko machnęła do niego dłonią z obawy, że zawiedzie ją głos. Mężczyzna spojrzął w dal i wskazał w stronę łądu.

– Policja już płynie, Birdie. Wszystko się zaraz wyjaśni.

Podążyła za jego wzrokiem i dostrzegła białą motorówkę, która szybko zmierzała w ich kierunku. Na płaskim daszku osłaniającym kabinę migąło czerwone światło. Birdie miała mokre włosy. W fałdach plastikowych toreb leżących na pomoście zaczęły gromadzić się małe kałuże wody. Taka właśnie była mżawka: potrafiła człowieka nieomalże oszukać i przekonać, że wcale nie pada. Birdie podniosła kaptur i skrzyżowała ramiona na piersi.

Gdy łódź znalazła się nieco bliżej, Birdie dostrzegła za sterami starego Rogera Murphy'ego i poczuła lekką niechęć. Roger pochodził z okolicy, z łądu, ale był mieszkańcem miasteczka, a nie jednym z letników, takich jak rodzina Birdie. Poznali się dawno temu. Zdaje się, że teraz zajmował wysokie stanowisko w policji, ale Birdie pamiętała go jako młodego człowieka zatrudnionego na przystani w Blackbear, pomagającego jej ojcu w ładowaniu towarów na łódź. Musiał bardzo się ucieszyć z okazji przyjazdu na Heart Island. Każdy tak się zachowywał. Nie było gdzie zacumować, bo przy pomoście znajdowały się już dwie łodzie, dlatego policjant musiał przywiązać motorówkę do łodzi Johna Crossa.

– Birdie Heart... – powiedział. – Dawno się nie widzieliśmy.

Przeszedł do łodzi Johna. Birdie podała mu rękę, żeby nie stracił równowagi, kiedy wchodził na pomost. Czas nie obszedł się z nim zbyt łaskawie – Roger miał wielki brzuch, a jego twarz pokrywała gęsta siatka zmarszczek. Jego cera miała ziemiste zabarwienie charakterystyczne dla osób, które nie odżywiają się zbyt dobrze.

Birdie Heart. Nie myślała o sobie w ten sposób od bardzo wielu lat. Co za głupie imię! Co chciała osiągnąć matka, nazywając ją w ten sposób? To słodkie, ładne imię dla słodkiej, ładnej dziewczynki... Tylko matka Birdie mówiła o córce, że jest słodka, a oprócz matki jedynie Joe twierdził, że jest ładna. Elegancka, fascynująca, atrakcyjna... Birdie słyszała te określenia. Jednak nigdy nie czuła się piękna, jak choćby Katherine, Chelsea czy Caroline. I tak nie miało to nigdy dla niej znaczenia. Urodą dziś nie dawało się zbyt wiele załatwić, mimo że ludzie wciąż gonili za pięknem.

– Teraz już Birdie Burke, Rogerze – powiedziała. Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie, a przynajmniej miała taki zamiar. Joe zawsze twierdził, że kiedy Birdie chce się uśmiechnąć, krzywi twarz w grymasie. – Dlaczego zawsze taksujesz ludzi wzrokiem, skąd ten drwiący uśmiech? – Birdie nie miała pojęcia, o czym on mówi.

– Tak, oczywiście, oczywiście. – Roger chrząknął i spojrzął w kierunku domu. – Twój sąsiad, John Cross, mówił, że ktoś jest na wyspie. Jakiś włamywacz?

John wyszedł spomiędzy drzew i zbiegł na pomost. Mężczyźni uścisnęli sobie ręce.

– Sprawdziłem oba budynki i noclegownię. Obszedłem też wyspę dookoła; nikogo nie widziałem. – Cross sprawiał wrażenie nieco zasanapanego. – Chyba nikogo tutaj nie ma.

Obaj pomogli Birdie zanieść zakupy i pranie do domu. Przynajmniej jakiś pożytek z tego, że wystraszyła się na śmierć. Birdie była zmęczona, a jej schorzenie dawało mocno o sobie znać, więc nie oponowała, kiedy Roger wyjął jej torbę z dłoni.

W domu przygotowała kawę i opowiedziała Rogerowi, co zobaczyła rano i ponownie po południu. Nie wspomniała o skrzypieniu zewnętrznych drzwi, i tak obaj sądzili, że postradała zmysły, że była już stara i stuknięta. Czemu ma potwierdzać ich podejrzenia? John Cross najwyraźniej czuł się tu potrzebny, bo kręcił się po domu, patrzył na obrazy wiszące na ścianach, wyciągał książki z półek, przyglądał im się i ostrożnie wstawiał na miejsce. Wścibstwo! John był wścibskim facetem. Przyglądając się, jak gość dotyka jej przedmiotów, Birdie przypomniała sobie, że słyszała, jakoby Cross interesował się nieco historią wysp. Nie pamiętała dokładnie, co o nim mówiła ta starsza kobieta ze sklepu na przystani; wspominała, że Cross jest spokrewniony z jakimś ekscentrykiem, który tu mieszkał wiele lat temu. Powiedziała też, że zadawał mnóstwo pytań, nazwała go nawet straszonym gadułą. Wywlekał sprawy, o których ludzie woleliby zapomnieć. Birdie wyczuła jakąś dwuznaczność w głosie sklepikarki, jakby kobieta chciała zachęcić ją do plotkowania. Birdie jednak nie zajmowała się plotkami, uważała, że to dla niej uwłaczające.

– Mieliśmy tu parę włamań, przypadków wandalizmu, na pewno o tym słyszeliście – powiedział Roger Murphy.

Siedział przy długim, dębowym stole jadalnym. Krzesło było chyba dla niego zbyt małe; Birdie wyobraziła sobie, że gdyby mocno przycisnął plecami ażurowe oparcie, połamałoby się w drzazgi. Pamiętała Rogera, gdy był młodym człowiekiem. Często nie nosił wtedy koszuli, jego umięśnione ciało miało kolor palonego cukru. Birdie i Caroline zawsze chichotały, kiedy przyglądały się, jak tankował łódź lub pomagał wyładować bagaże z ich samochodu. Wydawał się atrakcyjnym, energicznym mężczyzną. Było w nim coś, co kojarzyło się z prostolinijnością i ciężką pracą – tak bardzo był różny od bogatych gogusiów z prywatnych szkół, których spotykały na co dzień. I chociaż teraz na jego czole i pod oczami pojawiły się głębokie zmarszczki, a on sam stał się tylko wspomnieniem młodego człowieka, którego zapamiętała, wciąż potrafiła wyobrazić go sobie takim, jakim był kiedyś. Ciekawe, co widział Roger, kiedy patrzył na nią.

– Te włamania zwykle mają miejsce późną jesienią, albo po pierwszych roztopach, kiedy na wielu wyspach nie ma jeszcze nikogo.

John mruknął coś potakująco. Birdie nie odezwała się. Słyszała o tym. Ale osoba, którą zauważyła, nie była ani waleśającym się nastolatkiem, ani wandalami.

– Co pan zobaczył ze swojej wyspy, panie Cross? – spytał Roger.

– Siedziałem przy biurku. Przez okno widzę część wyspy Burke'ów i ich pomost. Widziałem, jak Joe i Birdie odpływają, i widziałem, że parę godzin później Birdie wróciła sama. Zauważyłem, że się przewróciła, wtedy od razu tu przyptynałem.

Roger coś zapisał w małym notatniku oprawionym w skórę.

– A przy domu?

– Od siebie nie widzę domu.

Dzięki Bogu chociaż za to, pomyślała Birdie. W końcu po to się mieszka na wyspie, żeby zyskać odrobinę prywatności, nieprawdaż?

– Usłyszałaś coś, Birdie? – spytał Roger.

– Co miałam usłyszeć? – Nie chciała, by zabrzmiało to tak nieprzyjemnie.

Policjant spojrzął na nią ze zdziwieniem i lekko wzruszył ramionami.

– Na przykład odpływającą łódź.

– Nie, nic takiego nie słyszałam – potrząsnęła głową.

– Nie widzę innej możliwości – powiedział Roger. – Ktokolwiek to był, musiał uciec łodzią zacumowaną po drugiej stronie wyspy.

„Chyba że to wszystko ci się jedynie przywidziało...”, Birdie była pewna, że tak właśnie myślał Roger, tylko nie chciał tego powiedzieć. Gotowa była upierać się, że kogoś rzeczywiście zobaczyła, człowieka z krwi i kości, zarówno rano, jak i teraz. Nie była wariatką ani nie cierpiała na demencję. Nie chciała jednak rozpoczynać kłótni. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że nikomu nie udałoby się przycumować po drugiej stronie wyspy, gdzie wybrzeże było skaliste i niebezpieczne. Sceptyczny wyraz twarzy Johna Crossa świadczył o tym nader dobitnie.

– Być może – powiedziała Birdie bez przekonania.

Roger uznał, że należy jeszcze raz obejść wnętrza obu domów i noclegowni, a także ponownie przejść się wokół wyspy. Zastanawiała się, czy to dlatego, że chciał zaspokoić ciekawość i obejrzeć nowy dom. Towarzyszył mu John Cross. Wsadził ręce do kieszeni kurtki z ponurą i zdecydowaną miną. Była to skądinąd droga kurtka Burberry, kupiła kiedyś taką Theodore'owi. Zwrócił ją ze słowami: bardzo ci dziękuję za prezent, mam, ale nie jest w moim stylu.

Birdie była pewna, że niczego ani nikogo teraz nie znajdą, że nie wykryją żadnych śladów obecności obcych osób. I rzeczywiście niczego nie znaleźli, nie wykryli żadnych śladów. Dobrze, że nie było tu Joego, który zrobiłby jej awanturę z powodu zawracania innym ludziom głowy i wywoływania niepotrzebnego zamieszania. Wszyscy by sobie trochę pożartowali, otworzyliby parę puszek piwa...

– Cóż, na pewno nikt nie przyplynie tu dziś wieczorem – stwierdził Roger. – Idzie wielka burza.

Chmury zasnuwały niebo przez cały dzień. Wydawało się, że w ogóle się nie poruszają – nad łodem wisiała gruba czarna płachta.

– Zostajesz tu dzisiaj sama? – spytał Cross. Patrzył na Birdie z irytująco zatroskanym wyrazem twarzy.

Szttywno kiwnęła głową. Przeżyła wiele burz na tej wyspie na długo przed jego urodzeniem.

– Poradzę sobie – powiedziała. – Naprawdę. I przepraszam za to zamieszanie. Nie mam pojęcia, kto to mógł być, ani gdzie zniknął.

– Po to jesteśmy – oświadczył Roger i delikatnie klepnął ją w rękę. Niezdarnie przelał przez łódź Crossa do swojej motorówki. – Naładujcie baterie w radiu, bo może dziś zabraknąć prądu – dodał. – Kiedy burza się rozszaleje, linie telefoniczne na pewno zostaną zerwane, jak zwykle. Wiem, że podobno mamy tu teraz zasięg, ale raczej nie wszędzie.

Birdie nie była w stanie nigdzie zadzwonić od momentu ich przybycia. Komunikowała się z mężem głównie za pośrednictwem poczty elektronicznej. Joe kupił im obojgu bezprzewodowe modemy, dzięki którym mieli dostęp do Internetu na swoich laptopach. Za to telefon stacjonarny działał bez problemów, choć nie było to regułą.

– To ma coś wspólnego z górami – Roger dalej opowiadał o komórkach i słabym zasięgu, mimo że Birdie przestała go już słuchać. – Mam nadzieję, że macie zapas paliwa do generatorów i łodzi. Jeżeli nie, to przystań jest ciągle otwarta. Burza jest na razie parę godzin stąd, na wschodzie.

John spojrział na niebo, a potem na swój dom. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Był tu od niedawna; oboje – on i jego żona – mieli jeszcze małe doświadczenie, zarówno jako wodniacy, jak i mieszkańcy wysp. Cały ich sprzęt – łódź, kajaki, ubrania – był drogi i pochodził prosto ze sklepu. Birdie nie pamiętała, czym się zajmuje ta kobieta, nie zwróciła na nią większej uwagi, kiedy przyplłynęli tu na chwilę, żeby się przedstawić. W każdym razie była mała i pulchna. Nie miała zbyt wiele do powiedzenia.

– Masz mój numer, prawda, Birdie? – spytał Cross.

– Tak, mam, dziękuję – odparła. Gdzieś go zapisała. Chyba w szufladzie biurka. Znajdzie go, jeśli okaże się potrzebny, ale raczej się nie okaże.

Roger odplynał jako pierwszy. Patrzyła, jak John Cross przepływa na drugą stronę cieśniny, cumuje łódź do pomostu i wysiada na brzeg. Pomachał do niej, pokazał gestem, że może do niego zadzwonić, a potem zniknął.

Birdie spojrzała ponownie na wysokie sosny i szczyty dachów widoczne wśród zieleni. Słyszała odgłos łodzi obijającej się o pomost. W oddali mruczał generator, który wraz z bateriami słonecznymi zasiliał wszystkie urządzenia na wyspie – wszystkie odbiorniki w domu, pompę i grzejniki. Zdała sobie sprawę ze swojego odosobnienia. Została sam na sam z wyspą. Wreszcie czuła się dokładnie tak – mówiła to wszystkim wielokrotnie – jak pragnęła się czuć.

Emily wiedziała, że ludzie dokonują wyborów, rozumiała to. Postanowiłaś radzić sobie w szkole, ucząc się pilnie i przestrzegając reguł. Wybierałaś zawód i osiągałaś sukces albo odnosiłaś porażkę, w zależności od tego, jak bardzo się starałaś. Wybierałaś osobę, która zostanie twoim mężem, decydowałaś, czy chcesz mieć dzieci, a jeśli tak, to ile. Wszystkie takie decyzje były ze sobą powiązane, splecione, zależne od siebie, jeden wybór wpływał na inny. Czym był ten kłębek sznurka? Twoim życiem. Wszystko to brzmiało słusznie i pięknie. „Nie zawsze możesz mieć wpływ na to, co się zdarzy, ale to ty decydujesz, jak sobie z tym poradzisz”. Tak zwykła mawiać matka Emily – i wydawało się to sensowne, z tym że w życiu, w prawdziwym życiu, było nieco inaczej. Chwile wymykały się spod kontroli, wyglądały na coś, czym w rzeczywistości nie były. Popelniało się błędy, a ich konsekwencje bywały nieodwracalne. Zdarzały się również zbiegi okoliczności.

Emily zastanawiała się nad tym, siedząc na tylnym siedzeniu swojego samochodu. Dean zajął miejsce za kierownicą, a Brad znów znalazł się na fotelu pasażera. Była potwornie spięta i obawiała się, że zaraz zwymiotuje. Żołądek wywracał się jej na drugą stronę, czuła smak żółci w gardle. Często jej się to zdarzało, także w dzieciństwie. Gdy była zbyt zdenerwowana lub zmartwiona, gdy sprawy przybierały naprawdę bardzo, bardzo zły obrót, po prostu rzygała. Zawsze potem czuła się jeszcze gorzej.

W restauracji zostało paru późnych klientów. Emily rozpoznała małżeństwo, które kilka razy miała okazję obsługiwać. Niedawno urodziło im się dziecko: śliczna, słodka mała dziewczynka. Dziś wieczorem umówili się na randkę. Od czasu, gdy córeczka skończyła pół roku, raz na dwa tygodnie wynajmowali opiekunkę. Zawsze wyglądali na bardzo nakręconych, podekscytowanych, że udało im się gdzieś wyjść, nawet jeśli chodziło tylko o burgera w „Niebieskiej Kwoce”. Emily podobał się sposób, w jaki ten mężczyzna patrzył na swoją żonę, kiedy składała zamówienie – tak jakby była najbardziej fascynującą istotą, jaką kiedykolwiek spotkał. Kiedy siedzieli w restauracji, Emily słyszała ich śmiechy i szepty. Pewnego razu zauważyła, jak kobieta wyjęła stopę ze swojego buta i delikatnie dotknęła łydki męża.

Emily patrzyła, jak wsiadają do samochodu. Mężczyzna nie otworzył żonie drzwi i rzucił mu pełne wyrzutu spojrzenie ponad dachem auta. Uśmiechnął się do niej z zakłopotaniem, obiegł samochód, po czym w teatralnym geście wyciągnął rękę i złożył głęboki ukłon, gdy żona zajmowała miejsce na siedzeniu. W chłodnym wieczornym powietrzu jej śmiech zabrzmiał dziwnym echem.

– Mąż Carol ciągle tam jest – powiedział Dean. – Widzę jego samochód.

Nowy charger Paula stał zaparkowany przed wejściem. – Parkuj z tyłu! – ciągle narzekała Carol. – To są miejsca dla klientów – burczała.

– Ależ złotko, wtedy nikt nie zobaczy mojej nowej bryki, którą podarowała mi najśladza mamusia!

Carol zawsze z uśmiechem odpowiadała:

– Ty wariacie!

– Oni nie są bogaci – powiedziała Emily. Wiedziała, że Dean tak myśli, i chciała go przekonać, że jest inaczej. Dean raczej wrogo odnosił się do osób zamożnych, jakby miały coś, na co raczej on sam zasługiwał. Może gdyby Emily potrafiła go przekonać, że ma do czynienia z dwójkiem normalnych, ciężko pracujących w swojej firmie ludzi, dałby im spokój.

Dean odwrócił się i spojrzał na dziewczynę.

– Pieprzysz. Przecież byliśmy u nich w domu.

W grudniu Carol i Paul urządzili u siebie wielkie przyjęcie bożonarodzeniowe dla krewnych, znajomych i pracowników. Emily czasem przypominała sobie ten dom. Nie dlatego, żeby był szczególnie luksusowy, nic z tych rzeczy. Był wręcz mały w porównaniu z nieruchomościami dostępnymi na rynku. Nie odnosiło się tam wrażenia, że wszystko jest nowiutkie, że każdy sprzęt został wybrany z katalogu, za to Emily wiedziała, że każdy mebel i element wystroju, a nawet ręczniki do rąk w łazience, zostały starannie dobrane przez gospodarzy. Paul amatorsko zajmował się fotografowaniem, dlatego na ścianach wisiało dużo oprawionych zdjęć z podróży w różne strony świata, a niektóre przedstawiały dzieci i wnuki. Wszystkie poduszki, narzuty i okucia idealnie dopasowano do otoczenia. Dwa buldogi francuskie, Max i Ruby, radośnie dreptały wokół gości, domagając się pieszczot i kawałków jedzenia z suto zastawionego stołu. Obok łóżka w głównej sypialni każdy z psów miał swoją wielką pluszową poduchę z wyszytym imieniem.

– No popatrz na to! – powtarzał wtedy Dean. W jego głosie było coś dziwnego, coś bardziej mrocznego niż zwykła zazdrość.

W domu Carol wszystko naprawdę lśniło. Wnętrze rozświetlały dwie wielkie choinki i mnóstwo zgromadzonych ozdób oraz dekoracji. Na przyjęcie przyszła cała masa znajomych, członków rodziny, dawnych pracowników, którzy nie stracili kontaktu z gospodarzami, kontrahentów restauracji, sąsiadów. Carol witała każdego z takim samym entuzjazmem. To był jej dom, to tutaj wychowało się oboje jej dzieci. Carol i Paul poświęcali swój czas, energię i miłość, aby stworzyć piękne miejsce, w którym każdy, kto ich znał, czuł się mile widziany. To był dom, o jakim Emily do tej pory mogła tylko marzyć; dom, jaki kiedyś sama miała nadzieję sobie urządzić. Kiedy teraz siedziała na tylnym siedzeniu swojego samochodu, tamten dzień wydawał się jej bardzo, bardzo odległy.

– Paul idzie – rzucił Dean i z ulgą wypuścił powietrze z płuc.

Emily patrzyła, jak mąż Carol wychodzi z budynku, zamyka za sobą drzwi i przekręca klucz w zamku. Chciała krzyknąć, chciała spróbować wydostać się z samochodu. Wyobrażała sobie tę scenę, słyszała swój głos rozdzierający ciszę, widziała, jak biegnie w stronę Paula. Jednak nic nie zrobiła. Była sparaliżowana, stłamszona swoim strachem.

– A co będzie, jeżeli rozpozna mój samochód? – spytała.

– Nie widzi nas stamtąd – odparł Dean.

Był bardzo pewny siebie. Zawsze taki się wydawał, nawet jeśli po raz kolejny okazywało się, że nie miał racji. Nigdy nie tracił pewności. Zdaniem Emily wcale nie byli tak daleko, te parę drzew między samochodem i restauracją to za mało, żeby się ukryć. Cicho pomodliła się o to, żeby Paul spojrzał w ich stronę. Błagała o to. Nic z tego. Emily poczuła kolejną falę mdłości, gdy Paul uruchomił silnik swojego auta i szybko odjechał w przeciwnym kierunku.

– Słuchajcie, oni chcieli robić to inaczej – powiedziała. – Paul miał zabierać pieniądze do banku codziennie, nie tylko w piątek wieczorem.

Dean znów odwrócił twarz, żeby spojrzeć na Emily. Brad wpatrywał się w Deana. Nie odezwał się ani słowem, odkąd wyszli z domu. Gdy zaparkowali, tylko siedział jak mumia i gapił się w budynek restauracji.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś – powiedział Dean.

– A dlaczego miałabym mówić?

Rzucił jej ponure, groźne spojrzenie. Emily czekała na jego reakcję, choć nie wiedziała, czego się spodziewać. Dean właściwie nigdy jej nie uderzył. Raz potrząsnął nią bardzo mocno, raz popchnął, potem jednak było mu strasznie przykro, nawet się rozplakał. I później był dla niej bardzo miły, przez cały tydzień był niezwykle kochany i troskliwy do tego stopnia, że była wręcz zadawalona, że coś takiego się wydarzyło. Nawet matka nigdy nie uderzyła Emily, ale przecież zranić można nie tylko ciosem pięści, prawda? Słowa potrafią być bardziej bolesne. I takie rany jakoś nigdy nie mogą się zabiścić. Jak to mówią: można wytrzymać kije i bicie, słowa kaleczą na całe życie.

– Obyś się myliła. – Dean wysiadł z samochodu i przesunął fotel, żeby Emily mogła wysiąść. – Wylaż.

Zawahała się i zastanowiła, co by zrobił Dean, gdyby nie chciała ruszyć się z miejsca, gdyby zaczęła krzyknąć i narobiła zamieszania. Poczula na sobie wzrok Brada. Odwróciła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Przez chwilę w nie patrzyła, znów były tak przeraźliwie puste, że musiała odwrócić wzrok, byle tylko nie wciągnęła ją czarna dziura, która kryła się we wnętrzu tego człowieka.

Dean chwycił ją za rękę i wyciągnął z samochodu. Przez chwilę stawiała opór, ale w końcu się poddała. Uścisk dłoni Deana sprawiał jej

ból. Stała przed chłopakiem i roztarła rękę, starając się powstrzymać łyzy bólu i wściekłości.

– Dlaczego to robiasz, Dean?! – zniżyła głos do szeptu. – To jest złe!

Przez moment coś przemknęło przez jego twarz: przygnębienie, strach, smutek. Po chwili zniknęło. Emily zdała sobie sprawę, że Dean jest na haju. Miał szkliste, otoczone czerwonymi obwódkami oczy. Nie miała pojęcia, co wziął, mogła to być kombinacja dowolnych leków, które dziś udało im się zdobyć. Mężczyzna, którego kochała i któremu ufała, który miał się nią zaopiekować, gdzieś zniknął. Gdyby tylko mogła mu powiedzieć, jak go kochała w te dni, kiedy oboje skończyli pracę, kiedy wracał zmęczony do domu i wspólnie przygotowywali kolację... Nigdy nikogo nie obdarzyła taką miłością, jaką kochała Deana właśnie w takie wieczory.

– Emily, teraz zapukasz do drzwi, OK? – powiedział Dean. – Kiedy Carol otworzy, wejdiesz do środka i sprzedasz jej jakąś smutną historyjkę. Powiesz, że nie masz komu się zwierzyć, że potrzebujesz przyjaciółki i tak dalej. Wiesz, że Carol cię nie wyrzuci.

To prawda. Oczywiście, że nie wyrzuci, bo właśnie taką osobą była Carol – dobrą, życzliwą kobietą. Dean i Brad wykorzystają jej instynkt opiekuńczy i chęć niesienia pomocy. Zrobią jej krzywdę, okradną ją – bo oni z kolei byli właśnie takimi ludźmi.

– Po paru minutach powiedz, że chcesz do łazienki – dodał Dean. Na pewno to wszystko starannie sobie zaplanował. Dlatego przyjeżdżał odebrać Emily po pracy, dlatego zaprzyjaźnił się z ludźmi z kuchni. Nawet Paul zaprosił go na zaplecze i pokazał mu gabinet. Przez cały czas Dean planował skok. Emily nie miała o tym pojęcia. – Kiedy tam już będziesz, otwórz tylne drzwi.

„Kim jest ten facet?“, zastanawiała się Emily. Zimnym, brutalnym człowiekiem. Przestępcą. Narkomanem. Czy zawsze taki był? Czy jej matka wiedziała o tym od samego początku? Skąd mogła to wiedzieć, skoro Emily nie dostrzegła zupełnie nic?

– Potem wróć do niej i zajmij jej uwagę.

Emily nadal milczała, zabrakło jej słów.

– Jeśli uda ci się ją odciągnąć od biura, nikomu nic się nie stanie. Nie będzie kłopotów, jasne? To twoje zadanie: zadbać o to, żeby Carol nic się nie stało. – Dean schylił się. – Nie znasz tego faceta – szepnął jej do ucha. – Nie masz pojęcia, do czego jest zdolny, kiedy przyjdzie co do czego. Uwierz mi.

Emily nie była pewna, czy jej chłopak mówi o Bradzie, czy o sobie. Dean ścisnął ją za ramię, czuła jego nieświeży oddech.

– Nie przejmuj się ich forsą, są ubezpieczeni. Pilnuj tylko, żeby tej suce nikt nie rozwalił łba.

Emily cała trzęsła się ze strachu. Jeśli zostanie z nimi, jeśli zrobi to, co kazał jej zrobić Dean, może Carol nie stanie się nic złego. A jeśli spróbuje uciec, żeby poprosić o pomoc, co może się wydarzyć? Zaczyna ją gonić? Najbliżej jest na stację benzynową, to mniej więcej półtora kilometra stąd. Ile potrzeba czasu, żeby tam dotrzeć? Co najmniej dziesięć minut. Jeśli zawiadomi policję, przyjadą za kolejne pięć, dziesięć minut. W ciągu kwadransa może wydarzyć się bardzo dużo – i wcale nie wiadomo, czy Brad i Dean pozwolą jej uciec.

– Dobrze – powiedziała. – OK.

Dean uśmiechnął się z ulgą.

– OK? Naprawdę?

Skinęła głową, a Dean pochylił się i pocałował ją w czoło.

– Grzeczna dziewczyna.

Emily zgięła się w pół i zymiotowała na ziemię tuż obok jego stóp.

– Chryste, Em! – powiedział Dean z obrzydzeniem. – Ogarnij się trochę!

Gdy Emily dotarła do drzwi „Niebieskiej Kwoki” i zaczęła w nie pukać, łyzy sływały jej po policzkach i wcale nie musiała udawać, że jest bliska hysterii. Przez szybę widziała, że na twarzy Carol pojawiły się oznaki wewnętrznej rozterki: najpierw zaniepokojenie, a potem cień podejrzliwości, który jednak szybko zniknął. Carol znała Emily, ufała jej, po prostu była zmęczona, nie chciała zajmować się cudzymi dramatami o dziesiątej wieczorem. Jednak w końcu znużenie ustąpiło zatroskaniu.

– Emily? Kochanie, co się stało? – Carol otworzyła drzwi i spojrzała ponad ramieniem dziewczyny. Czy ich zobaczy? Czy domyśli się, że gdzieś tam się czają, żeby ją za chwilę obrabować?

Emily weszła do restauracji, a jej szefowa zamknęła drzwi i przekręciła klucz. Już ich kiedyś okradziono, nie tutaj, w New Jersey, ale w knajpie, którą mieli w Nowym Jorku. Dlatego stali się ostrożniejsi i zainstalowali na zewnątrz budynku monitoring. Emily nie była pewna, czy jej chłopak o tym wie. Czy kiedyś wspomniała mu o kamerach? Chyba nie; nie miała przecież powodu, żeby to robić.

– Przepraszam – powiedziała drżącym, załamującym się głosem.

Carol zaprowadziła ją do boks przy oknie.

– O co chodzi? Co się stało?

To był ten moment, dokładnie teraz, zanim jeszcze stało się coś złego. Emily znała takie chwile. Właśnie teraz mogła podjąć decyzję, mogła powiedzieć: „Carol, musisz zadzwonić na policję. Mój chłopak i jakiś inny ćpun, który wyszedł z więzienia, czekają przed restauracją i zamierzają cię okraść. Nie miałam wyboru, musiałam z nimi tu przyjechać, ale kazali mi otworzyć tylne wejście i wpuścić ich do środka, żeby mogli zabrać twoje pieniądze. Nie chcę tego zrobić, musisz zawiadomić policję!”.

Tak właśnie należało się zachować, było to dla Emily zupełnie oczywiste. Jednak tego nie zrobiła. Dean zostałby wówczas aresztowany i trafiłby do więzienia, a może usłyszeli by syreny i zdążyli uciec. Co by się wtedy z nią stało? Dean domyśliłby się, że to ona ich zdradziła, i nienawidziłby jej do końca życia. Czy zrobiłby jej krzywdę? Może i nie, ale nie potrafiłby powstrzymać Brada. Jeśli Emily im pomoże, to zabiorą pieniądze, Brad zniknie, a ona może podjąć próbę przekonania Deana, żeby znalazł pracę i ułożył sobie życie. Wszystko by się wtedy wyprostowało... W końcu Paul i Carol byli ubezpieczeni, parę tysięcy dolarów nie miało dla nich aż tak wielkiego znaczenia.

Emily wśliznęła się między plastikowe ściany boks. Opowiedziała Carol wymyśloną historyjkę o kłótni z Deanem, która zrobiła się nieprzyjemna. Nie przestając płakać, powiedziała też, że matka przestała się do niej odzywać. Bardzo jej przykro, że zwraca Carol głowę, ale naprawdę musiała z kimś pogadać. Czy Carol i Paulowi zdarzały się takie awantury?

– Nie, aż tak nigdy się z Pauliem nie kłóciłam – odrzekła łagodnie Carol. – Ale byłam w takim burzliwym związku, kiedy byłam mniej więcej w twoim wieku. Moim zdaniem sytuacja rzadko się zmienia na lepsze. Kiedy ktoś już raz cię zrani, może to zrobić po raz kolejny. A wtedy będzie już tylko gorzej.

Emily wiedziała, że Carol ma rację. Pokiwała głową, a z jej oczu wciąż lały się łzy.

– Na początku tak nie było... Wydawał się wspaniałym facetem.

– Kochanie, na początku oni zawsze są wspaniali. W ten sposób cię zdobywają.

– Nie chcę z nim zrywać, kocham go. Ale czuję się tak, jakbym musiała zdradzić samą siebie, jeśli z nim zostanę.

Emily wcale nie zamierzała czegoś takiego mówić. Zrobiło jej się przykro, kiedy wypowiedziała te słowa – były zbyt szczere. Nie wiedziała nawet, że odczuwa to w taki sposób, ale rzeczywiście tak było, i to już od pewnego czasu. Związek z Deanem sprawił, że robiła rzeczy złe. Stała się kimś, kim wcale nie chciała być – także w tym momencie.

– To niedobre uczucie – odparła Carol. Emily domyślała się, że ta kobieta wie, o czym mówi. – I nie ma nic wspólnego z miłością.

Emily trochę się wkurzyła. Przecież naprawdę kochała Deana! Nikt jej nie przekona, że jest inaczej. W przeciwnym razie dlaczego robiłaby dla niego to wszystko? Nie potrafiłaby, jeśli w głębi duszy nie byłaby przekonana, że Dean jest dobrym człowiekiem. Gdyby tylko oboje mogli wrócić do tego, co dobre, i zapomnieć o całej reszcie, daliby sobie radę. Poczuli, że wraca poczucie sensu, wraca nadzieja. Za parę minut to wszystko się skończy, a potem Emily postara się uratować swój związek.

– Mogę skorzystać z łazienki? – spytała.

– Oczywiście – odparła Carol. – Zrobię ci kakao.

Emily weszła do wąskiego korytarza, w którym dziś potłukła szklanki z wodą. Miała wrażenie, że to zdarzyło się parę tygodni temu; tak wiele zmieniło się między nią i Deanem od tego czasu. W łazience ochlapała twarz wodą i spojrzała w lustro. Starła spod oczu czarne smugi rozmazanego makijażu. Nie zносиła oglądać swojego odbicia w lustrze. Miała nieciekawe brązowe oczy; w ostrym fluorescencyjnym blasku jej cera wydawała się ziemista i przezroczysta. Mysie korzonki włosów zdradzały fakt, że jej blond włosy były jedynie tanią podróbką.

Zostawiwszy odkręcony kran, żeby Carol myślała, że nadal tam jest, Emily wyśliznęła się z łazienki i szybko pobiegła korytarzem do kuchni. Całe górne oświetlenie zostało wyłączone, tylko lampy nad zlewem i piekarnikiem paliły się spokojnym, przyćmionym pomarańczowym światłem, zupełnie innym niż w czasie największej krzątaniny w godzinach pracy restauracji. Przyjemnie było znaleźć się w tym miejscu po zamknięciu lokalu, panował tu miły nastrój.

Emily podeszła do metalowych drzwi. Ostatnia okazja – pomyślała, patrząc na nową, wciąż złotą i błyszczącą, zasuwkę. Ostatnia okazja, żeby zrobić to, co trzeba. Z domów, które sprzątała, kradła już różne rzeczy dla Deana: lekarstwa, biżuterię i gotówkę. Przekazywała mu także kody do alarmów – do domu pewnej rodziny, u której pracowała jako opiekunka do dzieci, a która wyjechała wtedy do Disney World, i jeszcze do sklepu z odzieżą, w którym była zatrudniona przez miesiąc. Wtedy to wydawało się zupełnie abstrakcyjne, teoretyczne, inaczej niż dziś. Nie uważała tego za zdradę, chociaż tak naprawdę powinna, bo wszyscy ci ludzie coś jej powierzyli i wszystkich oszukała – z powodu Deana. Dlaczego? Czy zrobiłaby to, gdyby nie chodziło o miłość? Przekręciła blokadę i odciągnęła zasuwkę, po czym szybko odeszła od drzwi. Nie chciała nawet myśleć o tym, jak straszną rzecz robi.

Kiedy wróciła na korytarz, zobaczyła Angela. Stał ze słuchawkami w uszach i powolnymi, niemal czułymi ruchami, szorował podłogę mopem. Zaskoczony uniósł wzrok i spojrzał na Emily. Uśmiechnął się szeroko, gdy ją rozpoznał. Wyciągnął słuchawkę z prawego ucha.

– Cześć – powiedział. – Co tutaj robisz?!

Nie powinno go tu być. Chociaż z drugiej strony miało to sens: Paul nie zostawiłby Carol samej w restauracji, ktoś musiał jej pomóc w zamknięciu lokalu. Emily nie była w stanie odezwać się ani przybrać równie radosnej miny. Angelo patrzył na nią przez chwilę ze zdziwieniem, a uśmiech na jego twarzy stopniowo gasł. Po chwili jego spojrzenie powędrowało ponad ramieniem Emily w stronę kuchni. Otworzył szeroko oczy. Emily nie musiała odwracać głowy, żeby się domyślić, że tylnymi drzwiami wchodzą właśnie Brad i Dean.

Brendan już zasnął. Dziewczyny oglądały film w pokoju Chelsea, przytulone do siebie na łóżku jak szczenięta. Kate pamiętała tę fizyczną bliskość, która towarzyszyła nastoletnim przyjaźniom, a która pojawiała się ponownie w kontaktach z małymi dziećmi. To było naturalne połączenie ciał, świadectwo, że stworzono nas przede wszystkim po to, byśmy nawzajem się przytulali i dzielili miłością, obdarowywali wsparciem. Kiedyś Kate sprawiało radość, gdy któregoś z dzieci przychodziło do łóżka i spędzało noc z nią i Seanem, zresztą wciąż się to zdarzało. Nawet Chelsea, na pozór stojąca ponad tym wszystkim, czasami spała z Kate, gdy Seana nie było w domu.

Kate domyślała się, że w świecie Chelsea coś się wydarzyło, słyszała podekscytowane szczebioty i konspiracyjne szepty dochodzące z pokoju córki. Była pewna, że musi to mieć coś wspólnego z chłopakami. Kate starała się nie wtrącać, nie chciała udawać, że jest jedną z nich. Nie była taką matką.

Sean odebrał telefon i poszedł do swojego gabinetu. Słyszała niskie tony w jego „profesjonalnym” głosie, różniącym się od „kumplowskiego” tonu zarezerwowanego dla kolegów, głośniego i pełnego ironii, a także tego „ojcowskiego”, łagodnego, lecz stanowczego. No i od ciepłego i mocnego głosu, który był przeznaczony dla niej. Kate lubiła tę część wieczoru, kiedy wszyscy gromadzili się bezpiecznie w domu. Czuła się wtedy tak, jakby mogła wreszcie złapać oddech, który wstrzymywała przez cały dzień. Mogła poczytać albo pooglądać z Seanem telewizję, albo też, jak dzisiaj, usiąść na powietrzu przy basenie z kieliszkiem wina i po raz pierwszy w ciągu dnia cieszyć się odrobiną spokoju.

Próbowała dodzwonić się do matki, żeby zapytać, czy nie trzeba czegoś ze sobą przywieźć oraz żeby zapewnić, że cokolwiek Birdie przewiduje w jadłospisie, będzie im to odpowiadało. Nikt jednak nie odbierał telefonu. Nie było w tym nic niezwykłego: czasami matka nie podnosiła słuchawki, wyłączała nawet automatyczną sekretarkę, żeby nikt nie mógł zostawić wiadomości. Kate sama była teraz matką i nie potrafiła zrozumieć takiego zachowania. Dlaczego ktoś miałby unikać kontaktu z najbliższymi, nawet jeśli ma już dorosłe dzieci?

Ten rys był charakterystyczny dla rodziny ze strony matki: silna potrzeba odosobnienia, upodobanie do samotności. Było w tym coś zimnego i małostkowego. Bezwzględne próby odseparowania się od ludzi, gotowych ofiarować swoją miłość, powodowały głębokie, bolesne konflikty między matką i jej rodzeństwem – do tego stopnia, że Kate nie utrzymywała już kontaktów ze swoim wujem ani żadnym z kuzynów.

Większość relacji rodzinnych rozbiła się o skały Heart Island. Wuj Gene i Birdie toczyli ostry spór w sądzie dotyczący testamentu pozostawionego przez dziadka Jacka, a po zapadnięciu wyroku przestali się do siebie odzywać. Pod koniec życia ciocia Caroline opuściła miejsce, które zawsze tak bardzo kochała. „Przykro mi, Kate, ale przez Birdie wszystko dookoła staje się takie paskudne. To już nie jest to samo miejsce, co kiedyś, przynajmniej dla mnie”. Kate przekonała się później, że te urazy to zaledwie czubek góry lodowej.

Sierpień tego roku był wilgotny i duszny, jednak po całym dniu biegania po klimatyzowanych pomieszczeniach Kate cieszyła się prawdziwym powietrzem. Wdech. Wydech. Nagle uświadomiła sobie, że jest całkowicie wyczerpana.

„Ty jesteś zmęczona?”, zapytałaby na pewno matka. „A co takiego robiłaś przez cały dzień?”. Birdie, która tak naprawdę nigdy nie musiała pracować, ale która nie była również typową niepracującą matką, czuła wyłącznie odrazę wobec ludzi, którzy jej zdaniem robili mniej niż ona. „Macierzyństwo to przecież nie zawód, prawda?”.

Dzień Birdie był zawsze wypełniony gorączkową krzątaniną: intensywnymi zajęciami z osobistym trenerem, różnymi spotkaniami instytucji charytatywnych, na które poświęcała najwięcej czasu, wystawnymi obiadami natury „służbowej”, a do tego zabiegami pielęgnacyjnymi niezbędnymi do utrzymania doskonałej kondycji, takimi jak manicure, pedicure, pielęgnacja twarzy, woskowanie i Bóg wie, co jeszcze. Theo i Kate w zasadzie byli wychowywani przez opiekunki – cały szereg anonimowych postaci, bo Birdie miała kłopoty z utrzymaniem pracowników. Zanim dzieci zdążyły się przyzwyczaić do kolejnej osoby, ta już rezygnowała z pracy. Birdie kategorycznie zaprzeczała, że tak się dzieje. „Oczywiście, że korzystałam z pomocy. Bóg mi świadkiem, że na ojca nie można było nigdy liczyć. Ale wychowywałam was tylko ja” – mówiła. Może matka w to wierzyła, ale nie było to prawdą. Mimo to nikt nie krytykował Kate za brak osiągnięć zawodowych równie surowo, jak Birdie.

W pewnym momencie ludzie, w tym także jej rodzice, przestali się dopytywać, co zamierza zrobić ze swoim życiem. Jeśli zbliżała się do czterdziestki i nie dokonałaś niczego, czym można by się pochwalić, wszyscy uznawali, że prawdopodobnie na nic już w twoim przypadku nie można liczyć. Początkowo pytania były pełne entuzjazmu i nadziei: „Jaką masz specjalizację na studiach? Co zamierzasz robić po ukończeniu szkoły?”. Potomstwu Joego i Birdie Burke’ów stawiano wysokie wymagania. Piękna córka bogatej nowojorskiej rodziny filantropów mogła przecież osiągnąć wszystko... Matka zawsze to powtarzała, tak jakby samo pochodzenie Kate stanowiło przepustkę do kariery.

W miarę upływu lat, gdy moment ukończenia szkoły coraz bardziej odchodził w przeszłość, pytania stały się nieco bardziej ostrożne: „Czy zastanawiałaś się nad tym, czym chciałabyś się zająć? Zawsze tak dobrze pisałaś...”. Rodzice uważali, że mogłaby pracować w wydawnictwie. A potem, oczywiście, musiała pojawić się przedwczesna, nieplanowana ciąża. Dalej burzliwy, powszechnie komentowany rozwód z Sebastianem... Patafianem, jak go często Kate nazywała – jeśli ktoś nosił takie imię, po prostu musiał stać się rozlazłym palantem! Po rozstaniu z mężem Kate przeprowadziła się na przedmieścia w New Jersey i wyszła za pośrednika handlu nieruchomości.

Przestała uczestniczyć w przyjęciach organizowanych przez rodziców, a właściwie to rodzice przestali ją zapraszać na te przyjęcia. Po trzydziestce Kate nie stanowiła już atrakcyjnego eksponatu, nie dało jej się prezentować z dumą. Stała się „po prostu matką”. Tak właśnie odpowiadała na pytanie, czym się obecnie zajmuje. – Och – mówiła z lekceważącym uśmiechem. – Jestem po prostu matką.

Rozmówcy doskonale wiedzieli, co należy w takiej sytuacji powiedzieć: „Acha... no cóż, to przecież najważniejsza praca na świecie!”. Po tym, jak Maria Shriver wystąpiła u Oprah i oświadczyła, że matki stanowią awangardę ludzkości, z ludzi wręcz wylewał się szacunek. Do tego w artykule zamieszczonym w jakimś czasopiśmie napisano, że wartość pracy niezatrudnionej matki wycenia się na 110 tysięcy dolarów rocznie. Wiele osób chętnie powtarzało te dane – Kate słyszała je co najmniej trzy razy, choć sama nigdy tego artykułu nie przeczytała – tak jakby miały jakiegokolwiek znaczenie.

Prawdę powiedziawszy, chciała robić bardzo wiele rzeczy. Uważała się za pisarkę, dużo tworzyła w czasach uniwersyteckich – opowiadania, dramaty, wiersze. Usłyszała nieco pochwał, a także słowa zachęty od profesorów. Po szkole jednak pojawił się Sebastian. Spotkała go na jednym z przyjęć organizowanych przez rodziców, którzy potem zdecydowanie zaprzeczali, że zostało to przez nich ukartowane, byli jednak szczęśliwi, kiedy córka się z nim związała.

Sebastian był już sławny; jego pierwsza powieść należała do tych nielicznych wyjątków, kiedy książka jest wychwalana przez krytyków i jednocześnie wspina się na szczyty list bestsellerów. Zarobił mnóstwo pieniędzy i zaczął się męczyć nad kolejną powieścią, wobec której oczekiwania były bardzo wysokie. Kate wzruszały jego niepokoje twórcze, na początku w ogóle nie przyszło jej do głowy, że mąż ma problem z alkoholem. Właśnie skończyła studia, a picie to przecież ulubiona rozrywka studentów, więc nie dziwiło jej, że Sebastian pije co wieczór przy kolacji – często w jakimś znakomitym lokalu – a potem zaczyna włączyć się po knajpach – tych mrocznych, najlepiej poniżej poziomu ulicy – i w końcu wraca opustoszałymi ulicami chwiejnym krokiem, chichocząc, do mieszkania na Second Avenue, czasami dopiero wówczas, gdy niebo rozświetlał pierwszy brzask. Zatraciła się zupełnie w cieniu męża. Jego sukces i jego ambicje były jak czerwony olbrzym, który już znacznie powiększył swoje rozmiary i stał się niebezpiecznie niestabilną gwiazdą. Inne obiekty migoczące w tej samej galaktyce nie miały zbyt dużych szans.

Przeczytał kiedyś fragment jej tekstu. „To ładne, Kate. Tak delikatnie prowadzisz narrację...”. Cóż jednak innego mógł powiedzieć

dziewczynnie młodszej od niego o dziesięć lat – a dokładniej dwanaście – która leżała obok w łóżku, naga, i wpatrywała się w jego twarz, gdy czytał? I co to właściwie miało znaczyć? Kate uznała, że Sebastian nie miał zbyt dobrego zdania o jej pisaniu, bo słyszała, jak określał styl podziwianych przez niego autorów jako męski, szerszy, mistrzowski albo hipnotyzujący. Czy na jakimś poziomie podświadomości nie wiedziała już wtedy, że wiążąc się z Sebastianem, nie ma prawa do żadnych własnych ambicji ani talentu? Jeśli chciałaby stać się kimś innym niż tylko jego największą i najbliższą wielbicielką, zakłóciłoby to delikatną równowagę w ich związku, który zaczęłyby zmierzać ku zagładzie. Kate była od niego uzależniona i nie mogła się zgodzić na taki rozwój wypadków.

A potem pojawiła się Chelsea, kolejna supernowa na firmamencie trzeciej dekady życia Kate. Związana z Sebastianem i Chelsea, z ich potrzebami, wśród ich miłości do niej i jej miłości do nich – a na wczesnym etapie związku z Sebastianem tej miłości było bardzo wiele – Kate bez żalu pozwoliła swoim prawdziwym ambicjom zamilknąć na pewien czas. Jednak w latach, które mogły być najlepsze dla jej rozwoju, tuż po uzyskaniu dyplomu, dość inteligentna dziewczyna, która chciała pisać, a być może nawet miała do tego talent, nie robiła tego, nie mogła się zająć tworzeniem.

Rodzice Kate wprost uwielbiali Sebastiana, on zaś wiedział, jak sprawić, by tańczyli, jak im zagra. Potrafił zachowywać się dokładnie tak, jak od niego oczekiwano. To jedna z jego rozlicznych umiejętności.

Pieniądzy nigdy nie brakowało – dysponowali majątkiem rodzinnym Sebastiana, pojawiła się nieprzyzwoicie duża zaliczka za książkę – kwoty tego rodzaju zarezerwowane były dla przystojnych mężczyzn, absolwentów Princeton, tak młodych, że ich talent wydawał się aż zdumiewający. Do tego dochodził fundusz inwestycyjny Kate. Prawdę mówiąc, Kate nie musiała już nigdzie pracować, i tak miała zabezpieczoną przyszłość. Dobrze ustawione dziecko nigdy nie musi walczyć, szukać drogi ani spełniać swoich marzeń, nagrodę dostaje już na starcie. W opowiadaniu *Czarodziej Piękności* Nathaniel Hawthorne napisał: *Nagrody za wszelkie ważne dokonania trzeba szukać w sobie, bo inaczej nie otrzyma się jej wcale*¹. Nawet jeśli była to jedna z prawd życiowych, kto jeszcze w nią wierzył? W próżnym i zepsutym świecie, gdzie ceniono jedynie bogactwo, urodę i sławę, któż zwracał uwagę na ważne dokonania?

Kate poczuła dotyk dłoni na ramionach.

– Hej, czemu tak spoważniałaś?

Odwrociła głowę i spojrzała na męża. Uśmiechnął się do niej i schylił, żeby ją pocałować. Przypomniała sobie wtedy scenę ze *Spider-Mana*, najbardziej romantyczny filmowy pocałunek, jaki zdarzyło się jej widzieć. Tylko usta – cała namiętność i pożądanie skupione w ustach, reszta ciała gdzieś zniknęła.

Sean przysunął drugi rozkładany fotel i usiadł obok Kate, prostując swoje długie nogi. Poszukała jego dłoni. Splótł palce z jej palcami.

– Kiedy tam przyjedziemy, powiesz im? – Pytanie pojawiło się nagle, ale rozmawiali na ten temat wystarczająco długo, by Kate domyśliła się, o co chodzi.

– Raczej nie. – Westchnienie Kate zrodziło się gdzieś głęboko w jej wnętrzu. – Nie wiem.

Sean milczał. Nie zamierzał narzucać jej swojego zdania, wiedząc jaka to delikatna i osobista kwestia. Oto bowiem wiele lat po tym, jak świat przestał oczekiwać, że Kate coś – cokolwiek – konkretnego osiągnie, dokonała czegoś: napisała książkę. Zawarła niedawno umowę z agentem, który miał ją reprezentować, a wkrótce potem o jej dzieło zaczęło zaciekle walczyć kilka wydawnictw.

Nie była na tyle próżna, by sądzić, że to zamieszanie ma jakikolwiek związek z jej talentami literackimi. Podejrzewała, że chodzi raczej o powszechnie znany fakt, że była żoną pisarza. Dzięki wspomnieniom jej byłego męża ludzie z branży zachowywali się tak, jakby ją znali, choć z daniem Kate książka Sebastiana należała raczej do beletrystyki, a nie literatury faktu.

Kradnąc czas, gdy dzieci były w szkole, pisząc kolejne strony w nocy, gdy wszyscy pozostali domownicy już spali, Kate udało się w końcu osiągnąć to, co zawsze chciała. Ukończenie powieści zajęło jej ponad rok. Było jednocześnie trudniejsze i łatwiejsze, niż się spodziewała.

Dramat rodzinny, tak mówiono o tej książce, redaktor Kate wielokrotnie użył tego określenia. Fabuła została skonstruowana wokół prawdziwej historii – zdaniem wydawcy, było to bardzo korzystne. Czytelnicy najwyraźniej pragnęli zajrzeć do twojego salonu i oglądać horror, który nazywałaś życiem, niezależnie od tego, czy widzieli zmyślenie, prawdę, czy też jakieś ich połączenie. Zresztą kto dziś potrafił to odróżnić?

– Będę musiała wyczuć sytuację – powiedziała.

Jej mąż wolną ręką wystukiwał na podłokietniku rytm *staccato*. Zwykle robił to, gdy był zdenerwowany lub podekscytowany. To jedno z pierwszych zachowań, które Kate u niego dostrzegła, drobna oznaka świadcząca o tym, że Sean nie zawsze był łagodnym, luzackim facetem, za jakiego go wszyscy uważali. Czasami się martwił, a czasami był rozemocjonowany jak dziecko.

Kate spojrzała na niego. Sean wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo.

– Co się stało?

– No... – zaczął. – Mam dwie wiadomości: dobrą i złą.

Uniół ręce nad głowę, przeciągnął się i spojrzał na Kate. Nie była w stanie nic wywnioskować z jego miny.

– O co chodzi? – zapytała. Poczuli, że ogarnia ją niepokój.

– Pamiętasz ten pięćsetmetrowy dom w hiszpańskim stylu kolonialnym na Poplar? Ten, który nam się tak bardzo podobał?

Ach, nieruchomości... Dobrze.

– Tak, oczywiście, pamiętam.

– Właściele postanowili go wystawić na sprzedaż. Chcą, żebym się tym zajął. Zdaje się, że są znajomymi Hamiltonów, którzy uznali, że tylko ja nadaję się do tej roboty.

Sean nie potrafił powstrzymać się od szerokiego uśmiechu. Uwielbiał swoją pracę, świetnie znał rynek nieruchomości: działki, mieszkania własnościowe, budynki. Był swatem, który pośredniczył w zawieraniu udanych związków między rodzinami i ich wymarzonymi domami. Zakochiwał się w swoich ofertach, nie przestawał o nich gadać, a jego entuzjazm był wręcz zaraźliwy.

To jedna z pierwszych cech, które urzekły Kate: Sean z pasją podchodził do swojego zajęcia. Jego sukces zawodowy był dla niego wartością, znaczył bardzo wiele. Ostatnimi laty rynek dotknęło największe załamanie w historii, co mocno uderzyło w Seana. Kate poczuła teraz ten sam przypływ podniecenia, który ogarniał ją, gdy widziała radość swoich dzieci.

– Sean, gratuluję! To fantastyczna sprawa! – powiedziała. – A zła wiadomość?

Jego uśmiech nieco przygasł.

– Są bardzo zdeterminowani. – Sean uniół brwi. – Chcą zrobić pierwszą prezentację już w niedzielę.

Dopiero po chwili Kate zrozumiała, co to oznacza.

– Ach... – odparła. – Jasne.

Nie czuła rozczarowania ani złości, czuła lęk. Nie wiedziała, czy w tym roku poradzi sobie sama z wyspą, a raczej ze swoimi rodzicami. Sean musiał zauważyć wyraz jej twarzy. Przestał się uśmiechać i szybko uniół dłoń.

– Powiedziałem, że zaplanowaliśmy rodzinny wyjazd i że musimy skonsultować się z żoną. Wystarczy jedno twoje słowo, a powiem im, że musimy przełożyć to na przyszły tydzień.

Kate uniosła wzrok ku gwiazdom. Będzie ich widać znacznie więcej na niebie w Adirondack – nieskończone morze błyszczących światełek. Dzieci pójdą spać, a Kate i Sean położą się na skałach i będą wpatrywać się w ten bezmiar piękna, przeniknięci ciszą i spokojem tego miejsca, ciesząc się z całkowitego odcięcia od zgiełku współczesnego świata.

– Moim zdaniem nic się nie stanie – kontynuował Sean, bo Kate nie odezwała się. – Przyjadę do was w poniedziałek. Brendan trochę z mną odpocznie i zyskamy dodatkowy dzień na wyleczenie jego kontuzji. Dotrzemy w poniedziałek na kolację, no, najpóźniej we wtorek rano.

Spóźnimy się tylko o dzień!

Wyglądał na bardzo zadowolonego, ożywionego, był jak dziecko, które chce dostać szczeniaka.

– W porządku – powiedziała Kate i spróbowała się uśmiechnąć. – Nie ma sprawy.

– Naprawdę, Kate... – Sean mocniej ścisnął jej dłoń. – Powiedz tylko słowo, a przekażę im, żeby znaleźli kogoś innego.

Sean powiedział to szczerze – chociaż bardzo chciał zostać, zrezygnowałby, bez żadnych pretensji, gdyby tylko Kate o to poprosiła. Taki po prostu był. I właśnie dlatego nie mogła tego od niego żądać, nawet jeśli bardzo pragnęła. Nie powinna kurczowo trzymać się męża, traktując go jako ostatnią deskę ratunku.

– A nie chciałbyś się odciąć? – spytała. – Potrzebujesz trochę odpoczynku.

– Tak, wiem. Ale... – zaczął.

– Dobrze, w porządku – przerwała, ściskając jego rękę. – Zajmij się tym.

Od dłuższego czasu Sean nie miał oferty, do której byłby tak entuzjastycznie nastawiony. Z reguły sprzedawał lokale zajęte przez bank, nieruchomości o cenie niższej niż wartość zadłużenia hipotecznego, a także zaniedbane budynki, których właściciele nie mieli środków na ich utrzymanie i ogalacali je ze wszystkiego w trakcie wyprowadzki, zabierając sprzęty domowe, armaturę, a nawet drzewka z ogrodu. W okresie hossy Sean pośredniczył w sprzedaży domów marzeń. Dziś te marzenia rozbiły się o bruk i trzeba było je zaoferować temu, kto gotów był za nie najwięcej zapłacić.

– Naprawdę? – spytał Sean.

– Naprawdę.

Schylił się i znów pocałował Kate. Jak mogła się nie zgodzić? Pobyt na wyspie był dla niego kolejnym obowiązkiem, wykonywanym pod surowym nadzorem jej rodziców.

– Zajmuje się handlem nieruchomościami?! – spytała matka z taką pogardą w głosie, że chyba zwiędły wszystkie kwiaty w okolicy. Ktoś, kto zarabiał na życie sprzedawaniem czegośkolwiek, był zdaniem Birdie gorszy nawet od pomocy domowej. A przecież każdy tak naprawdę coś sprzedawał... Zresztą Kate uważała, że nie ma nic złego w byciu pomocą domową – praca to praca. Do tego ojciec Birdie, dziadek Jack, dorobił się fortuny właśnie na handlu nieruchomościami...

– Ach, ale on je kupował! – mówiła Birdie – To inni ludzie zajmowali się sprzedażą na jego zlecenie. – Istniała zatem jakaś istotna różnica, której sens umknął Kate. Nie wiadomo dlaczego, matka chciała po prostu czuć się lepsza od innych.

– Na wyspie jest teraz zasięg – zastanawiał się na głos Sean. Jego umysł przeszedł w tryb planowania. – Będę mógł stamtąd wszystko załatwić. Jeśli klient zechce obejrzeć lokal, Jane to zorganizuje. I wrócimy akurat na drugą prezentację w następnym tygodniu.

– Jasne – odparła Kate. – Świetny pomysł.

Potem Sean opowiedział o domu, o sklepionych pomieszczeniach i niesamowicie zaaranżowanym otoczeniu basenu, o wyłożonej marmurami głównej łazience, prysznicu parowym i luksusowej kuchni, i jeszcze o czterech wielkich sypialniach, z których dwie miały własną łazienkę. Na pewno chodził wokół tego domu od dłuższego czasu. Ekscytował się dachem pokrytym prawdziwymi dachówkami, garażem na trzy samochody, salą telewizyjną, a nawet kołatką z maszkaronem. Wręcz piał z zachwytu... Normalny, heteroseksualny facet zakochany w sztuce użytkowej – Kate uważała to za urocze. Poznała go, kiedy prezentował jej dom, w którym teraz mieszkali. Mówił wtedy: „Potrzeba tu trochę pracy, ale struktura jest solidna”. O Seanie można było powiedzieć to samo. Podczas prezentacji zachowywał się trochę jak palant, ale jeszcze zanim minęła godzina, Kate wiedziała, że jego struktura jest rzeczywiście w porządku.

– Może powinniśmy go kupić? – spytała.

Sean rzucił jej zdziwione spojrzenie. Jeszcze przed ślubem uzgodnili, że fundusz Kate zostanie przeznaczony na dzieci, na ich wykształcenie i najważniejsze potrzeby w trakcie dorastania – chociaż Chelsea i Brendan nie mieli pojęcia, że te pieniądze istnieją. Jeśli chodzi o Kate i Seana, mogli użyć tych środków w sytuacjach awaryjnych, a także później, na emeryturze, o ile okażą się niezbędne, starając się jednak przekazać jak największą część dzieciom oraz różnym organizacjom charytatywnym. „Chcę zbudować przyszłość wspólnie z tobą, a nie żyć z tego, co zarobili twoi rodzice” – powtarzał Sean. Kate kochała go za to. Sebastianowi nigdy coś takiego nie przyszłoby do głowy. Dla niego pieniądze były jak rzeka, bez początku i bez końca. Unosił się w ich nurcie, nie miały specjalnego znaczenia.

W ostatnich latach, ponieważ dochody Seana uległy zmniejszeniu, oboje musieli nieco bardziej polegać na oszczędnościach Kate, żeby opłacić czesne w prywatnych szkołach, do których uczęszczały dzieci. Sean nie był zbyt zadowolony z tego powodu. Nigdy wcześniej nie był tak bliski załamania i zamknięcia się w sobie.

– Nie chodzi mi o fundusz – dodała Kate. – Sprzedamy ten dom, wykorzystamy zaliczkę za książkę i przekażemy duży zadek.

Sean powoli kiwnął głową, jakby zastanawiał się nad tym pomysłem, choć Kate wiedziała, że nie bierze takiego rozwiązania pod uwagę.

– Płacilibyśmy trzy razy większy podatek od nieruchomości – powiedział. Bardzo praktycznie podchodził do takich kwestii, w odróżnieniu od Sebastiana, dla którego pieniądze nie miały żadnej wartości, dopóki nie zostały wydane. Nic nie mogło zaspokoić jego apetytu – Kate żyła ciągłą obawą: co teraz będzie chciał robić, co zapagnie sobie kupić? Nie chodziło wcale o to, czy ich na to stać, czy nie. Musiała zmierzyć się z jego wewnętrznym głodem, którego nie dało się w żaden sposób nasycić. Wszystkiego mu było mało.

– Poza tym kocham nasz dom – dodał Sean, jak zawsze wykazując się wiernością.

– Zatem to będzie flirt: och, kochanie, masz cudowną kołatkę! Ale nie weźmiesz rozwodu i nie ożenisz się ponownie?

– Cóż mogę powiedzieć? – Sean ujął dłoń żony. – Chyba potrafię związać się tylko z jednym domem.

Zaliczka za powieść Kate była imponująca, jednak nie oszałamiająca. Kate otrzymała pokaźną kwotę i ze wstydem musiała przyznać, że to pierwsze pieniądze, jakie udało się jej zarobić w dorosłym życiu. Była zaskoczona, jak wielką przyjemność sprawia uzyskanie wynagrodzenia za swoją pracę. Stwierdziła, że przynajmniej w tej kwestii matka miała rację.

Sean wrócił do gabinetu, żeby przefaksować umowę nowym klientom, a Kate weszła po schodach na górę. Theo zrezygnował z wyjazdu, a teraz okazało się, że Sean i Brendan przyjadą później. Kate dostała wiadomość od ojca: „Musiałem uwolnić się od twojej matki. Przygotuj się, bo coś chyba ugryzło ją w dupę. Zobaczymy się w środę. Prawdopodobnie”. Można się było tego spodziewać; rodzice Kate nie byli w stanie wytrzymać ze sobą na Heart Island dłużej niż parę dni.

Pomyślała, że ojciec mógłby zadzwonić, a nie wysyłać SMS-a. Tak zachowywali się ludzie, którzy chcieli przekazać jakąś informację, ale nie zamierzali o niej rozmawiać. Ojciec doskonale potrafił unikać odpowiedzialności. Ciekawe, Theo sądził, że Joego i Kate łączyła bliska więź, że Kate była jego ulubienicą. Nawet Birdie kiedyś zdarzyło się okazać zazdrość z powodu ich relacji. Kate rzeczywiście kochała ojca, zawsze odnosił się do niej z czułością i wyrozumiałością. Problem w tym, że tata był jak słońce: z jednej strony ciepły i opiekuńczy, a z drugiej odległy i nieosiągalny, a czasami nawet podobnie jak ono – ostry i bezlitosny. Paradoksalnie, Kate czuła się w pewien sposób bardziej związana z Birdie. Matka przynajmniej angażowała się emocjonalnie, nawet jeśli tylko po to, żeby okazać się kompletną żoną.

Kate zapukała do drzwi pokoju Chelsea i wkroczyła do środka, nie czekając na zaproszenie. Chelsea dość gwałtownie zatrzasnęła laptopa. Film, który dziewczyny oglądały, najwyraźniej został zatrzymany.

– Co się stało, mamo? – Chelsea była słodką, niewinną dziewczyną z szeroko otwartymi oczami. Hm, ciekawe.

Kate opowiedziała o ucieczce mężczyzn z Heart Island.

– W niedzielę pojedziemy tylko we dwie.

– Brendan zwariuje – stwierdziła Chelsea łagodnie. – Ale trudno.

– Mogę pojechać z wami?

Chelsea i Kate jednocześnie zwróciły spojrzenia na Lulu, która z zakłopotaniem wzruszyła ramionami. Lulu nie miała żadnych zahamowań.

Praktycznie mieszkała w tym domu, była najlepszą przyjaciółką Chelsea od czasów przedszkolnych. Kate nie zawsze cieszyła się z wpływu, jaki Lulu wywierała na jej córkę, ale lubiła tę dziewczynę, wcale nie tak obytą ani pewną siebie, za jaką chciała wobec wszystkich uchodzić.

– No nie wiem, Lulu – powiedziała Kate. – To inna wycieczka niż zwykle. Heart Island to nie jest miejsce dla każdego.

Lulu była z nimi w Disney World, widziała Wielki Kanion, razem z rodziną Burke'ów-Abbottów była nawet na Karaibach – Kate nigdy nie zmieniła swojego nazwiska, ani z powodu Sebastiana, ani z powodu Seana.

– Dam radę – oświadczyła Lulu. – Będzie fajnie. Poza tym wie pani przecież, że babcia Chelsea mnie uwielbia.

Chelsea roześmiała się. Ulicznica, trzpiotka, łajza... takich oto słów zdążyła użyć Birdie, żeby opisać Lulu, oczywiście nigdy w jej obecności. Matka Kate jednak nie potrzebowała słów, żeby okazać swoją niechęć. Lulu najwyraźniej się tym nie przejmowała. Chyba sprawiało jej przyjemność działanie na nerwy wyjątkowo drażliwej osoby, jaką była Birdie.

– Zastanowię się nad tym – stwierdziła Kate. Zerknęła na córkę, która chyba myślała o czymś innym, wpatrując się z lekko zachmurzoną miną w sufit. Kate nie wiedziała, o co może jej chodzić. – Zobaczymy.

– Da mi pani znać – odparła Lulu i wróciła do stukania w telefon, chronicznej choroby nastolatków.

– Zadzwoń do twojej matki.

– Oleje to. – Lulu nawet nie uniosła głowy znad komórki.

Kate uważała przestrzeganie zasad korzystania z urządzeń elektronicznych za równie istotne, jak chodzenie do łóżka o odpowiedniej porze i ograniczanie spożycia słodyczy. To była jej osobista, rodzicielska wersja „teorii rozbitych okien”. Inaczej mówiąc, jeśli nie kontrolowało się drobiazgów choćby w minimalnym stopniu, nie należało mieć nadziei na zapanowanie nad sprawami poważnymi. Chelsea i Brendan nie mogli wysyłać SMS-ów ani grać na komórce przy stole, kiedy ktoś z nimi rozmawiał, no i zanim nie skończą odrabiać lekcji. To kwestia odpowiedniego określenia priorytetów.

Gdy Kate ponownie spojrzała na Chelsea, dostrzegła, że córka patrzy na nią w typowy dla niej uważny, wrażliwy sposób. Nawet kiedy Chelsea była jeszcze niemowlakiem, Kate wydawało się, że dziecko potrafi czytać w jej myślach.

– W porządku, mam. – Chelsea obdarzyła Kate łagodnym, uspokajającym uśmiechem. – Damy sobie radę.

– Tak – odparła Kate. Klasnęła w dłonie i również spróbowała radośnie się uśmiechnąć. – W babskim gronie.

Co jest, kurwa?! – rzucił Angelo.

Otworzył ze zdziwieniem usta, ale uniósł mopa w obronnym geście. Emily odwróciła się i ujrzała dwóch mężczyzn w maskach wchodzących tylnymi drzwiami. Poczła nagły przyptyw strachu – niemal krzyknęła – zanim uświadomiła sobie, że to rzeczywiście Brad i Dean. Angelo chwycił ją za rękę, przyciągnął i zasłonił swoim ciałem. Na pewno nie domyślił się jeszcze, o co chodzi, i starał się ochronić Emily. Przez krótką, przerażającą chwilę panowała cisza, gdy Brad wyciągnął rewolwer z kieszeni spodni.

– Emily? – Carol zbliżała się gdzieś z tyłu.

– Carol, nie podchodź – zdołała wykrztusić Emily. Jej głos brzmiał inaczej niż zwykle, jak gdyby dobiegał spod powierzchni wody. Usłyszała, jak Carol zatrzymuje się i wzdycha z wrażenia.

– Chcemy tylko pieniędzy! Nikomu nic się nie stanie! – Emily rozpoznała głos Deana.

– Angelo, Emily – rzuciła Carol opanowanym, spokojnym tonem. – Cofnijcie się w moją stronę i pozwólcie im przejść. Usiądziemy w sali jadalnej i będziemy czekać, aż skończą.

Powiedziała to tak, jakby mówiła o wizycie montera od kablówki albo hydraulika. Cała trójka zaczęła wycofywać się korytarzem. Brad szedł w ich stronę, Dean trzymał się z tyłu.

– Pieniądze są w płóciennej kopercie na biurku. Za tamtymi drzwiami po prawej – powiedziała Carol. – Całkiem sporo gotówki. Usiądziemy i poczekamy, aż wyjdziecie.

Emily pomyślała, że ktoś, kto nie znał Carol, kto nie wyczuł tego lekkiego drżenia w jej głosie, nigdy by się nie domyślił, że ta kobieta się boi.

Usiedli we troje w sali restauracyjnej przy jednym z czteroosobowych stolików. W korytarzu rozległy się głośnie kroki Deana i Brada, którzy poszli do biura. Obok cicho szumiała lada chłodnicza. Carol zabębniła palcami w blat stołu, oddychała szybko i płytko. Przez pewien czas nikt nie odezwał się ani słowem. Emily poczuła na sobie wzrok Angela.

– Wpuściłaś ich! – powiedział. Sprawiał wrażenie rozczarowanego, smutnego, ale nie był na nią zły.

– To twój chłopak, prawda? – spytała Carol. – Poznałam go po głosie.

– Nie – skłamała Emily. – To nie on.

Wystarczył jeden krok, by to wszystko rozwiązać, i oczywiście Emily go nie wykonała. Teraz już wszyscy byli kompletnie załatwieni. Nie potrafiła spojrzeć Carol w oczy, wpatrywała się w blat między jej wyprostowanymi palcami.

– Zaufałam ci, Emily.

Emily już kiedyś słyszała to zdanie; też zostało wypowiedziane smutnym tonem, pełnym rozczarowania. Zawsze napełniało ją to wstydem. Pomyślała o wszystkich posiłkach, które przynosiła jej Carol, o wszystkich przejawach życzliwości i słowach wsparcia. Nawet dzisiaj, mimo że szefowa musiała być zmęczona i nie miała ochoty na słuchanie opowieści o cudzych nieszczęściach, otworzyła drzwi i wpuściła Emily do środka. Emily czuła teraz jedynie bezdenną rozpacz i żal.

Angelo powoli wstał i podszedł do kontuaru.

– Nie można im na to pozwolić.

– Przestań, Angelo – odpowiedziała Carol. – Usiądź. Pieniądze nie mają znaczenia.

On jednak trzymał już w dłoni pistolet z ponurą, zdeterminowaną miną.

– Do jasnej cholery! – rzuciła Carol. Jej głos zmienił się w pełen gniewu syk. – Ten durny pistolet! Odłóż go!

– Pozwolisz, żeby cię okradli? – spytał Angelo z wściekłością i oburzeniem. – Pozwolisz im tak po prostu wejść z ulicy i zabrać pieniądze, które zarobiłaś?!

Dopiero teraz Emily zdała sobie sprawę, że Angelo jest bardzo młodym człowiekiem. Nie dostrzegała tego wcześniej, mimo że widziała go każdego dnia w pracy. Była od niego starsza, a przecież nie skończyła jeszcze dwudziestu trzech lat. To zaledwie dzieciak.

– Tak! – odpowiedziała Carol. – Jeśli chcą tylko pieniędzy, to niech je sobie wezmą. Nasze życie jest więcej warte, ich zresztą też. Usiądź!

Ich zresztą też? Carol troszczyła się także o Brada i Deana... Emily wpatrywała się w Carol, starając się zrozumieć, jak ktoś będący w sytuacji tej kobiety jest w stanie myśleć o czymś takim.

Angelo wrócił do stołu, ale wsadził pistolet za pasek spodni

– Daj mi go – poleciła Carol. Wyciągnęła rękę nad stołem.

– Jeśli stąd wyjdą, pozwolę im odejść, przysięgam! – powiedział chłopak. – Położył dłoń na dłoni szefowej i oboje zmierzyli się wzrokiem. – Ale nie dam im nikogo skrzywdzić.

– Angelo... – Carol obdarzyła go uśmiechem, jakby był najbardziej rozczulającą i najsmutniejszą istotą, z jaką miała do czynienia.

– Obiecuję.

Carol cofnęła dłoń i splotła ręce na piersi. Powoli pokiwała głową ze smutkiem.

– O mój Boże...

– Idziemy – powiedział Dean, który pojawił się w drzwiach. Emily uznała, że to potwornie głupie z jego strony. Przecież mieli udawać, że ona nie ma z tym nic wspólnego! I co teraz?! Mają się rzucić do ucieczki?!

I nagle z potwornym, paraliżującym przerażeniem zdała sobie sprawę, że żadne z nich w ogóle nie przemyślało całej akcji – ani Brad, ani Dean, a na pewno nie Emily. Brad i Dean byli ćpunami, którzy potrzebowali kasy. Nie zaplanowali niczego, nie przewidzieli żadnych skutków swoich działań. Posłuzyli się Emily: zabrali jej samochód, wykorzystali fakt, że znała ten lokal i że miała dobre stosunki z Carol. Emily była idiotką, która zgodziła się wziąć w tym udział. Miała teraz kompletnie, konkretnie przerąbane. Przypomniały jej się szklanki z wodą i kostkami lodu spadające na podłogę, rozbijające się na tysiące kawałków. To samo teraz działo się z jej sercem. I z jej życiem.

– Nie musisz z nimi iść. – Angelo spojrzał na Emily.

– Zamknij się, kurwa! – rzucił Dean. – Idziemy!

– Emily, jeśli to zrobisz, to będzie twój koniec – powiedziała Carol. – Cała twoja przyszłość legnie w gruzach. Możesz jeszcze tego uniknąć.

Emily spojrzała na nią i dostrzegła w jej oczach smutek i lęk. Ręce Carol drżały, prawdopodobnie myślała teraz o dzieciach; dorosłych dzieciach, które były już na studiach, ale wciąż mieszkaly razem z nią. Zdołała mimo to zatroszczyć się o Emily, dziewczynę, która nadużyła jej zaufania i przyjaźni.

– Zamknij się! – warknął Dean. Sprawiał wrażenie spanikowanego, jego głos nagle stał się nieco wyższy. – Idziemy!

– Zostaw ją! – powiedział Brad, który pojawił się za nim. – Musimy stąd spadać.

Emily wiedziała, że nie mogą jej zostawić – jeśli by to zrobili, opowiedziałyby policji o wszystkim. Gdyby nie chciała iść, Brad musiałby zabić nie tylko ją, ale także Angela i Carol. Brad trzymał rewolwer, a w drugiej dłoni kopertę z pieniędzmi.

Emily wstała. Angelo zrobił to samo. „Przestań”, powiedziała do niego bezgłośnie. „Nie bądź głupi, pozwól mi odejść”, dodała w myślach. Dostrzegła coś na jego twarzy, może współczucie. Po chwili zrozumiała. To nie Angelo był głupi, tylko ona. Brad i Dean po prostu chcieli,

żeby Emily wyszła z tego pomieszczenia, zanim Brad zacznie strzelać.

Angelo odwrócił się, wyciągając broń zza paska. Jego twarz zmieniła się w ponurą maskę pełną determinacji, zaciśnięte usta utworzyły cienką linię. Emily widziała krople potu na jego czole, przerażenie w jego czarnych oczach, złoty krzyżyk, który miał na szyi. „Nie rób tego, proszę!”.

Potem obraz rozmazał się, ostre szczegóły zniknęły gdzieś wśród feerii światła i dźwięku. Emily nie wiedziała, kto wystrzelił pierwszy, ale odgłos wystrzału – ogłuszający, potworny hałas – przeszył ją na wylot. Szybko zasłoniła uszy i przykucnęła na podłodze, marząc o tym, by zwinąć się w kłębek tak mały i tak ciasny, że zupełnie by zniknęła. To trwało dalej. Strzelanina i krzyki... Ciągnęło się w nieskończoność.

Gdy wszystko się uspokoiło, w głowie Emily wciąż rozbrzmiewał wysoki, brzęczący dźwięk. Otworzyła oczy i zobaczyła ciemną, wściekle czerwoną plamę rozkwitającą na białym fartuchu Angela. Pobladała, oszołomiona Carol osunęła się na stół i ciężko upadła na podłogę, przewracając po drodze krzesła. „To nie jest prawda”, myślała Emily, nawet wówczas, gdy Carol już leżała nieprzytomna na ziemi. „To nie dzieje się naprawdę!”.

Brad i Dean gdzieś zniknęli, słyszała ciężki odgłos ich kroków. Angelo był ranny, ale ruszył za nimi korytarzem. Emily podczołgała się do Carol i chwyciła jej dłoń.

– Wstawaj, wstawaj! – słyszała swój głos, mimo ciągłego dzwonienia w uszach. – Carol, błagam! Przepraszam...

Emily widziała krew na swojej bluzce i na dłoniach, na ścianie i na podłodze. Tak wiele krwi? Skąd tam się wzięła? Jak to się stało? Czula jakiś zapach, odrobinę słodki i metaliczny. Boże. Proszę, spraw, by to okazało się snem. Rozbrzmiały trzy kolejne wystrzały, a potem zapadła cisza.

Emily zacisnęła mocno powieki. Chciała oślepnąć; pragnęła, żeby ta rzeka krwi wypływała właśnie z niej, a wszystko dookoła, cały świat, stał się ciemnością.

– No już, Em. – Dean wrócił do sali i teraz szarpał dziewczynę za ramię. Emily wciąż przytulała się do leżącej w bezruchu Carol. Przynajmniej było spokojniej, przynajmniej skończył się ten potworny, koszmarny krzyk. Kto mógł tak krzyczeć?! Emily uświadomiła sobie, że to ona wydawała ten wrzask.

Dean podniósł ją z podłogi. Opierała się, kopała go i krzyczała, gdy wynosił ją na ramieniu z restauracji. Znajdowali się w środku koszmaru. Carol nadal leżała bez przytomności, Angelo osunął się na ścianę z dłońmi skierowanymi w górę.

– Nie, nie, nie, nie... – powtarzała bezwiednie Emily, czepiając się ścian rękami i zdobiąc je trzema długimi krwawymi śladami. – Nie, błagam, nie!

– Każ jej się zamknąć!

W otaczającej ją mgłę rozpoznała głos Brada. Nienawidziła go. Dlaczego nie zginął? Dlaczego to nie on leżał w kałuży krwi na podłodze? Dlaczego tacy ludzie zawsze byli górami?

– Uspokój się, Em – odezwał się Dean. – Wszystko w porządku.

Nic głupszego nie mógł powiedzieć. Emily zaczęła się śmiać. Nic już nigdy nie będzie w porządku! Powinien to zrozumieć nawet ćpun na haju. Po chwili jej śmiech zmienił się w szloch.

– Nie żartuję – powiedział Brad bardzo spokojnym głosem. – Każ jej się zamknąć, albo ja to zrobię.

Emily nie była już w stanie więcej wykrzyczeć i wypłakać. Dotarli do samochodu. Na zewnątrz zdążyło się zrobić chłodno, owiał ją przyjemny podmuch wiatru. Zbliżał się chłodny front, przestało być duszno, zanosilo się na deszcz.

– Proszę, nie płacz. Uspokój się. – Dean odstawił ją delikatnie na ziemię i ujął jej twarz w dłoń. Oto on, człowiek, którego kochała i który miał ją otoczyć opieką. Ale na to było już za późno. – To wszystko miało inaczej wyglądać...

Odsunął fotel, żeby mogła wsiąść. Emily opadła na siedzenie. Jej twarz, jej włosy, jej ręce były pokryte krwią. Wytarła się kurtką. Pamiętała, że ją rzuciła z tyłu na wypadek, gdyby zrobiło jej się zimno w restauracji, bo często tak się zdarzało. Miała wrażenie, że było to w jakimś innym wszechświecie, w którym Emily przejmowała się drobiazgami takimi jak przeziębienie.

Obaj mężczyźni weszli do auta. Brad rozsunął zamek w kopercie. Dean oparł głowę o kierownicę. Emily dostrzegła w jego oczach łzy. Usłyszała, jak jej chłopak głośno wypuszcza powietrze z płuc. Z pewnością nie chciał, by sprawy potoczyły się w ten sposób. Gdyby nie Angelo, wszystko mogłoby się udać. Słodki, głupiutki Angelo... Gdyby w restauracji były tylko Emily i Carol, Brad i Dean weszliby do środka i wyszli niezauważeni. Dopiero po pewnym czasie ktoś by spostrzegł, że pieniądze zniknęły. Tak to wszystko miało wyglądać.

Emily wyobraziła sobie, że właśnie tak się stało, że wpuściła Deana i Brada do środka i wróciła, żeby dalej rozmawiać z Carol, a po pewnym czasie pożegnała się z nią, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Zostawiłaby otwarte tylne drzwi, żeby Carol nie podejrzewała jej o kradzież. Brad dostałby swoją kasę i wyjechałby, nigdy by już o nim nie usłyszeli. Dean składał jej wcześniej obietnice, miał postarać się o jakąś pracę. Wszystko wyglądałoby tak, jak na początku. Dlaczego tak się nie stało?!

– Stary, tu jest pięć kawałków – powiedział Brad. – Pięć kawałków!

Emily nie wiedziała, czy jest zadowolony. Dean mówił o dziesięciu tysiącach, ona wspominała o paru setkach, więc skradziona kwota była dokładnie pośrodku. Pięć tysięcy to niewiele. Nawet Emily, która nie posiadała nic, potrafiła to zrozumieć. Nie da się za to kupić domu, porządnego samochodu, ani nawet nieźle pożycz przez parę miesięcy. Uznała jednak, że dla narkomana taka kwota to jak wygrana w totolotka. Za tyle forsę można przez jakiś czas naćpać się do syta.

– Weź to – powiedziała. – Weź to i zostaw już nas w spokoju!

Brad odwrócił się gwałtownie ze wściekłą miną.

– Cholera – rzucił Dean, powstrzymując Brada przed powiedzeniem lub zrobieniem tego, co zamierzał zrobić. – Słyszeliście?

Emily usłyszała. Gdzieś w oddali rozległo się wycie syren. Poczula nagły przypływ strachu, a jednocześnie ulgi. Może Carol albo Angelo przeżyli, może któreś z nich zadzwoniło na policję.

– Tam musiał być jakiś alarm – powiedział Brad, rzucając Emily oskarżycielskie spojrzenie, jakby to ona była odpowiedzialna za przygotowanie i wykonanie tego koszmarnego planu. Emily nie miała pojęcia, czy w restauracji jest alarm. Jeśli tak, nie poinformowano o nim pracowników. Dźwięk syren zbliżał się do nich i był teraz zdecydowanie głośniejszy.

– No i na co czekasz, ćwoku?! – rzucił Brad. Powiedział to cichym, ale pełnym wściekłości głosem. – Jedź!

Dean uruchomił silnik. Emily odwróciła głowę i zastanawiając się nad tym, co powiedziała jej Carol, patrzyła, jak „Niebieska Kwoka” znika w oddali.

W każdych zawodach Caroline zajmowała ostatnie miejsce. Była najmniejsza, najbardziej niezdarna i najłatwiej wybuchwała złością. Gdy biegła, zawsze musiała się potknąć, gdy bawiła się w chowanego, zawsze musiała się głośno roześmiać. Próbowwała oszukiwać w grach planszowych i wpadała we wściekłość, gdy ktoś ją na tym przyłapał. A do tego nigdy, przenigdy nie zamykała jej się buzia. Gene był najstarszy, Caroline najmłodsza. Birdie była drugim dzieckiem swoich rodziców.

W jej wspomnieniach zawsze darli ze sobą koty. Gene był wyjątkowo apodyktyczny, wciąż starał się wszystkimi rządzić, udawał dojrzalszego, starszego i mądrzejszego, niż był w rzeczywistości. Zresztą jako pełnoletni mężczyzna nadal tak postępował. Caroline z kolei uwielbiali wszyscy. Potrafiła zachować się paskudnie, zepsuć Birdie każdy moment radości i przyjemności, żeby już po chwili, wobec dorosłych, odgrywać aniołka. Jakżeż oni się nią zachwycali! Buzią cherubinka, złotymi lokami i tymi bardzo, bardzo błękitnymi oczami... Nawet wówczas, będąc dzieckiem, Birdie uważała to za wstrętne. Ludzie tak łatwo dawali się zwieść pięknej twarzyczce.

Na wyspie bawili się czasami w zamek. Birdie zawsze chciała być królową, a Gene – królem. Nigdy jednak nie mieli ochoty rządzić razem – jeśli akurat Gene był władcą, Birdie musiała wejść w rolę służącej, a jeśli Birdie zostawała królową, Gene stawał się rycerzem na jej rozkazach. Caroline zawsze wolała być małą księżniczką, co wszystkim odpowiadało. Leżała sobie w hamaku i spletała kwiaty na swoją koronę, a kiedy była nieco starsza, bazgrała w pamiętniku. Zabawa zawsze kończyła się awanturą: Birdie i Gene zaczynali się bić i któreś z rodziców musiało ich rozdzielać.

– Co się z wami dzieje? Dlaczego nigdy nie potraficie się dogadać?! – pytała załamana matka. – Wychowujemy was tak, byście się kochali!

Birdie musiała przyznać, że rzeczywiście tak było. Rodzice, Lana i Jack, traktowali dzieci z miłością i czułością. Nigdy nikogo nie faworyzowali ani nie stawiali po jednej ze stron w sporach, choć oczywiście oboje ubóstwiali najmłodszą Caroline. Nawet Birdie, mimo że nie znosiła siostry z tego powodu, była w stanie uznać to za normalne. Nie przypominała sobie, żeby kłótnie rodziców były czymś więcej niż banalnymi sprzeczkami. Może raz mamie zdarzyło się trzasnąć drzwiami, ale nigdy nie toczyła z ojcem słownych i fizycznych bitew, jakie Birdie przeżyła w trakcie małżeństwa z Joem. Birdie i Gene nie przejęli zatem złych zachowań od rodziców, najprawdopodobniej po prostu nie było między nimi właściwej chemii. Birdie nigdy nie lubiła brata, nigdy nie chciała, żeby zwyciężył, mimo że był większy i starszy, no i był chłopakiem.

Przechowywała w domu album, dużą oprawioną w płótno księgę, w której mama pieczołowicie poukładała wszystkie fotografie z czasów ich dzieciństwa. Każde zdjęcie zostało starannie przymocowane papierowymi narożnikami, pod każdym znajdował się opis skreślony starannym charakterem pisma mamy.

– Ważne, żebyście miały ten album, żebyście zawsze pamiętały swoje dzieciństwo – mawiała, nie wiedząc o tym, że niewiele jest rzeczy, których przynajmniej Birdie pragnęłaby mniej.

To odgłos skrzywienia zewnętrznych drzwi, który dziś usłyszała, skłonił ją do poszukania albumu w pudełkach przechowywanych w niedogowni. Wiało coraz mocniej, gdy Birdie ruszyła ścieżką prowadzącą z głównej budynku z latarką w dłoni i rewolwerem w kieszeni.

Mimo wszystko nie bała się. Nie zamierzała się bać na Heart Island, ta wyspa należała do niej. Przekreśliła klucz w zamku, otworzyła drewniane drzwi i włączyła światło. Powitał ją chłód nieużywanego, nieocieplonego baraku. Było to niewielkie, ale przytulne pomieszczenie: przy lewej ścianie stał stolik, a po obu stronach dużego panoramicznego okna znajdowały się gustowne piętrowe łóżka. Był tu też mały kominek i kameralny kącik do siedzenia. Wszystkie sprzęty zostały przykryte bawełnianymi narzutami, bo z niedogowni nie korzystano zbyt często.

Birdie wiedziała, że album gdzieś tu jest. Joe proponował, żeby położyć go na stoliku kawowym, tak aby goście mogli zobaczyć, jak kiedyś wyglądała wyspa i porównać czarno-białe fotografie przedstawiające budynki i krajobraz ze wspaniałymi, profesjonalnymi kolorowymi zdjęciami zamieszczonymi w leżącej obok książce, w której ich dom na Heart Island został uznany za jedną z architektonicznych pereł w okolicy. Tom nosił tytuł *Najpiękniejsze domy na wyspach Adirondack*.

Joe chciał to zrobić wyłącznie po to, aby zaspokoić swoje ego. Bardzo pragnął pochwalić się przed znajomymi, w jaki sposób zmienił pierwotny budynek w przyzwoity domek dla gości i wspomnieć, że sam zaprojektował główny dom. Wszyscy musieliby wówczas przyznać, że pozostawił na wyspie niezatarty ślad. Podobno miał być to prezent na dwudziestą rocznicę ślubu, ale w tym momencie ich małżeństwa ekostawaganckie prezenty trochę przestały mieć sens. Nowy dom jednak rzeczywiście bardzo przypadł Birdie do gustu. Przynajmniej do niedawna nie nawiedzały jej tam duchy z przeszłości.

Znalazła album w trzecim pudle, które otworzyła. Carol bardzo pragnęła go odzyskać, wciąż o to się dopytywała przez wiele lat, zwłaszcza po śmierci matki. Jednak Birdie, choć nie mogła patrzeć na ten przedmiot, ukrywała go przed siostrą, nawet gdy ta znalazła się na łóżu śmierci. „Szukałam wszędzie, Caroline. Przepraszam, ale nie mam pojęcia, gdzie on jest”. Birdie ogarniały ogromne wyrzuty sumienia, gdy tylko sobie o tym przypominała. Był to okrutny, zimny, pełen złej woli przejaw braku życzliwości, potwierdzający wszystkie najostrejsze, najbardziej rozpaczliwe oskarżenia, jakie rzucała siostra. Ale skoro Birdie za taką osobę uważano, dlaczego miałaby zachowywać się inaczej?

Wyjęła album z pudełka oznaczonego napisem „Pamiętki” i odwróciła głowę, gdy dotarł do niej ostry zapach pleśni oraz kurzu, który uniół się w powietrzu. Kichnęła donośnie i usiadła na podłodze z księgą na kolanach.

Według rodzinnej opowieści mama odziedziczyła wyspę w spadku po stryju, który wygrał ją w pokera od poprzedniego właściciela, oczywiście pijanego. Birdie nie wiedziała, czy ta historia jest prawdziwa, ale tak twierdziła mama, która opowiadała także o duchach z wyspy. Birdie myślała o tym od czasu incydentu na przystani.

Matka widziała małą dziewczynkę, która bawiła się na golasa w pobliżu skalistego brzegu, gdzie Birdie zawsze wskakiwała do wody. Dziecko ukazywało się, gdy nadciągała gęsta mgła. Czasami w najwyższym punkcie wyspy, nazywanym przez dzieci Skalą Widokową, pojawiała się młoda kobieta, która stała i patrzyła w stronę lądu.

– Niepokoi się – mówiła mama. – Czeka na kogoś, kto nigdy nie przybędzie... – Był jeszcze jakiś starszy mężczyzna, ciągle w ruchu, niestrudzenie okrążający wyspę podczas pełni księżyca.

Matka była delikatną kobietą, często cierpiącą na potworne bóle głowy i napady migreny, przez które musiała spędzać czas w zaciemnionych pomieszczeniach. Oprócz niej tylko Caroline twierdziła, że widzi na wyspie duchy. Oczywiście nikt jej nie wierzył, bo była ulubienicą mamusi, gotową zrobić i powiedzieć wszystko, żeby sprawić jej przyjemność.

Podobnie jak nigdy nie wierzyła w Świętego Mikołaja – Gene postarał się o to dość wcześnie – ani w wielkanocnego zajęczka, Birdie nigdy nie uwierzyła w duchy, o których opowiadała matka. W czasie letnich miesięcy spędzanych w kolejnych latach na wyspie ani razu nie zobaczyła czegoś, co choć trochę przypominałoby ducha.

Czasami w środku nocy żalobne wołanie sowy budziło w niej paniczny lęk. Włączyła wtedy do łóżka Caroline, która chroniła ją ciepłem swojego ciała.

– Nie bój się, Birdie – mówiła łagodnie. – Nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić. – Birdie w to wierzyła, bo chociaż siostra była od niej o dwa lata młodsza i znacznie drobniejsza, zawsze miała w sobie więcej odwagi i zawziętości. Jednak aż do dziś Birdie nie widziała na Heart Island niczego, czego nie potrafiłaby zrozumieć albo wyjaśnić.

W głównym domu rozbrzmiał dźwięk dzwonka telefonu, niskie brzęczenie pośród ciszy. To musiała być Kate, bo Joe nie zawracałby sobie

głowy żadnymi kontrolnymi telefonami, a Theo zdążył zadzwonić już wcześniej, żeby poinformować o swojej decyzji. Zresztą nikt inny nie telefonowałby o tak późnej porze. Myśląc o Caroline, Birdie poczuła irytację z powodu Kate. Kate i Caroline zawsze były jak papużki-nierozłączki – nawet jej własna córka wołała towarzystwo ciotki... Birdie nie chciało się biec do domu. Niech Kate poczeka do jutra rana z tym, co chce jej powiedzieć. Jeżeli ona również wpadła na pomysł, żeby opuścić matkę, może przekazać wiadomość w innym momencie, kiedy Birdie nie będzie się czuła tak bezradna, jak teraz.

Birdie przerzucała grube strony albumu przedzielone zakurzonymi arkuszami pergaminu. Oto całe rodzeństwo, szeroko uśmiechnięte dzieci o chudych nogach i rozczochranych włosach; Gene w zabawnych krótkich spodenkach i kamizelce, Birdie i Caroline w dobranych sukienkach. Naprawdę były kiedyś takie małe, takie drobne? I Gene, śliczny chłopiec o jasnobłond włosach, śniadej cerze i błyszczących zielonych oczach, potem stał się zabójczo przystojnym mężczyzną, zanim pieniądze i sukces nie zmieniły go w grubasa. Jednak nawet wówczas wszyscy i tak zdawali się go uwielbiać.

Caroline była porcelanową laleczką, która zmieniła się w ładną kobietę, a może nawet w prawdziwą piękność. A Birdie... Czy naprawdę na każdym zdjęciu miała tak zachmurzony wyraz twarzy? Albo minę, którą dało się odczytać wyłącznie jako pełną wrogości? Owszem, znalazło się kilka fotografii, na których się uśmiechała, ale był to wymuszony uśmiech do zdjęcia, sztywny i nienaturalny, wydawało się, że w każdej chwili może zniknąć, jeśli migawka nie otworzy się i zamknie wystarczająco szybko. Często miała przymknięte oczy. Pewnego razu, gdy już od dawna były dorosłe, Caroline oskarżyła Birdie, że robi to umyślnie, że specjalnie chce zepsuć każde rodzinne zdjęcie.

– Mam wrażliwe oczy – tłumaczyła się Birdie. – Mrugam, gdy widzę błysk flesza. – Nie była to jednak prawda. Birdie nie znośiła pozować do zdjęć, zwłaszcza razem z Caroline, która zawsze wydawała się taka piękna, nieuchronnie młodsza i bardziej radosna. Obok siostry Birdie wyglądała jak czarownica.

– Czy ty nie umiesz niczego z siebie dać, Birdie? – Tak brzmiało jedno z ostatnich pytań, które zadała jej Caroline. Birdie do tej pory nie była pewna, o co jej chodziło. Przecież poświęcała znaczną część życia na działalność dobroczynną.

Na wyspie zapadały gęste, całkowite ciemności. Jednak jeśli nieba nie zakrywały chmury, mogło się wydawać, że większość miejsca na firmamencie zajmują gwiazdy. Dla dziewczyny z miasta rozgwieżdżone niebo stanowiło najwspanialszy widok na świecie. Dziś jednak nie było widać ani gwiazd, ani księżyca; wszystko przesłoniła gruba warstwa chmur, które nadciągnęły z oddali, groźne, choć na razie uspione. Za panoramiczną szybą Birdie dostrzegała inne wyspy jako odległe punkty światła. Nad stałym łądem połyskiwała poświata. Gdy księżyc zniknął, noc na Heart Island była czarna. Światło latarki zdawało się przecinać aksamitny całun, który spowił wszystko dookoła. Przez małe okno wychodzące na główny budynek Birdie widziała tylko oświetloną werandę. W domku dla gości było zupełnie ciemno.

Birdie znalazła w albumie zdjęcie, którego szukała. Dawno temu stary dom był jedyną budowlą, jaka znajdowała się na wyspie, nie licząc wychodka. Gene zawsze musiał wyprowadzać dziewczęta do łazienki w nocy, rozespany, poirytowany, z latarką w dłoni. „No pośpiesz się, Birdie! Zimno mi!”. W domu były trzy sypialnie. Rodzice oczywiście zajmowali tę największą. Birdie i Caroline spały w mniejszej, sąsiedniej izbie. Gene, ku swojej radości, jako najstarszy z rodzeństwa zajmował pokój na poddaszu. Na fotografii Birdie dotykała starych drzwi. Niezależnie od tego, jak często oliwiono zawiasy, wydawały przeciągłe skrzywienie i zatrząskkiwały się z hukiem, jeśli nie trzymało się klamki, czego zawsze domagała się mama. Nawet jeśli starali się zamykać je cicho, znajdowały sposób, by wyrwać się z ręki i walnąć o futrynę. „Dzieci drogie, drzwi! Proszę!”.

W nocy słychać było różne odgłosy. Ojciec chrapał. Fale uderzały łodzią o pomost. Caroline zawsze oddychała spokojnie i równo, pogrążona w głębokim śnie. A kiedyś, pewnej nocy, rozległo się skrzywienie drzwi. Birdie obudziła się, jej świadomość zarejestrowała echo tego dźwięku, choć poza nim w domu panowała cisza. Kto mógł wychodzić w środku nocy, kiedy wszyscy spali?

Birdie wydostała się z łóżka i na bosaka wyszła z pokoju. Księżyc w pełni świecił wysoko na niebie i wszystko wokół spowijała srebrzysta poświata. Birdie zajrzała do sypialni rodziców; ojciec leżał na plecach, bez koszuli, z szeroko rozłożonymi rękami. Matka gdzieś zniknęła.

Nawet jako dziecko Birdie potrafiła pokonać strach. Wyszła na zewnątrz, na pokryte drzazgami deski werandy, prosto w nocny chłód. Widziała, jak mama schodzi na przystań w białej nocnej koszuli połyskującej w świetle księżyca. Wyglądała bezcielesnie, niczym duch. Birdie chciała ją zawołać, ale nie mogła tego zrobić, wyobrażała sobie swój głos przecinający ciemności, unoszący się w powietrzu, pewnie wszyscy by się wówczas obudzili... Ruszyła zatem za mamą.

Lana wsiadła do łodzi, odwiązała cumy i w ciszy przepłynęła na drugą stronę cieśniny. Na brzegu wyspy, na której mieszkał teraz John Cross z żoną, stał jakiś mężczyzna; wtedy nie było tam jeszcze pomostu. Rzuciła mu linę, a on przyciągnął łódź do brzegu.

Birdie patrzyła, jak mama wpada w otwarte ramiona tego dziwnego człowieka, a potem unosi twarz, bladą i jaśniejącą w księżycowym blasku. Westchnęła i nieomal krzyknęła z zaskoczenia, gdy mężczyzna – ciemnowłosy, wysoki, szczupły – przycisnął usta do ust mamy. Birdie zdawało się, że chce ją zjeść, połknąć w całości, choć ona najwyraźniej nie stawiała oporu, biel jej nocnej koszuli została niemal całkowicie pochłonięta przez czerń jego płaszcza.

Nieznajomy i Lana zniknęli po chwili wśród drzew. Birdie pomyślała wtedy, że nigdy nie widziała, by jej rodzice całowali się w ten sposób, albo choćby odrobinę podobny. Czasami pojawiał się skromny całus w policzek czy muśnięcie warg. Tacie zdarzało się klepnąć mamę w pośladek, a ona odgarniała mu włosy z czoła. Ale mocny pocałunek w usta – nigdy. Birdie nie potrafiła sobie wyobrazić swojej mamy jako osoby tego rodzaju, przedmiotu wielkiej namiętności, kogoś, kto odwzajemnia takie uczucie równie mocno. Zeszła na pomost. Postanowiła zaczekać na powrót mamy. Drżała z zimna, udało jej się znaleźć w skrzyni na pomoście stary koc. Usiadła w jednym z drewnianych foteli, w których czasami obserwowali zachody słońca. Czekala długo, jednak mama wciąż nie wracała.

Birdie musiała w końcu zapaść w sen, bo gdy otworzyła oczy, słońce pojawiło się już na horyzoncie. Łódź była starannie przycumowana do pomostu, jakby donikąd nie odpływała. Czy mama mogła przejść obok śpiącej córki, nie dostrzegłszy jej, albo po prostu pozostawić ją na pomoście?

– Birdie! Birdie! – rozległo się wołanie. Birdie spojrzała w górę i dostrzegła mamę stojącą na werandzie. Była ubrana w obcisłe białe spodnie i bluzkę w niebiesko-białe paski, na nogach miała czerwone top-sidery.

– Mamo! Jestem tutaj!

– Birdie Heart! – wykrzyknęła mama, gdy ją zauważyła. Zbiegła po schodach. – Co ty tu robisz, na litość boską?! Okropnie mnie przestraszyłaś – dodała, gdy się spotkały. Birdie znalazła się w jej ramionach. Cieszyła się jedną z tych rzadkich chwil, w których poświęcano jej całą uwagę.

– Szukałam cię po całej wyspie – powiedziała Lana, ściskając mocno córkę. – O mój Boże, Birdie, kompletnie przemarzałaś.

– Widziałam cię z nim, mamo – oznajmiła Birdie i przycisnęła głowę do ramienia matki. – Popłynęłaś łódką na tamtą wyspę. On cię całował. Kto to jest?

Lana odsunęła się nieco i ujęła twarz Birdie w dłonie. Uśmiechała się miło, z rozbawieniem.

– Oj, Birdie... Nie kochanie, musiało ci się to przyśnić.

– Nie – oświadczyła Birdie. – To nie był sen.

– Oczywiście, że był, kochanie. – Mama powiedziała to bardzo lekko, pewnym głosem. Objęła córkę ramieniem i zaprowadziła ją do domu. Birdie dygotała z zimna i czekała, że mama coś jeszcze powie na ten temat, ta jednak przez całą drogę milczała. Gdy weszły do domu, Lana szybko zajęła się córką i owinęła ją kocem leżącym na kanapie. Birdie uważnie przypatrywała się matce, która przygotowywała jej kakao w aneksie kuchennym stanowiącym część głównego pomieszczenia na dole. Pozostałe dzieci jeszcze spały.

– Widziałam cię! – powtórzyła Birdie. Wiedziała już, że mama nie zamierza w ogóle o tym rozmawiać, ale chciała zrozumieć, co oznaczała

scena, której była świadkiem.

Mama miała ciemne, puszyste włosy; gdy potrząsnęła głową, opadły jej na ramiona. Żadne z dzieci nie odziedzyczyło tych olśniewających loków, wszystkie miały delikatne, cienkie złote kędziory.

– Na tamtej wyspie nikt nie mieszka – powiedziała matka odrobinę bardziej surowym głosem. – Przecież wiesz.

Rozespany i rozczochrany ojciec wyszedł z pokoju.

– Co się stało?

– Znalazłam śpiącą Birdie na pomoście. – Jakiś delikatny cień przemknął przez jej twarz, ale po chwili wrócił jej wspaniały uśmiech. – Nasza córeczka myśli, że uciekłam na sąsiednią wyspę na potajemną randkę.

Ojciec otworzył szafkę, drapiąc się po głowie.

– Naprawdę?

– Tak... – Birdie zauważyła, że bez troski ton matki nie jest szczery. – Oczywiście musiało jej się to przyśnić.

Tata nie odzywał się przez chwilę. Birdie wiedziała, że zaraz zarzuci mamę pytaniami. Ojciec był bardzo dociekliwym człowiekiem.

– Jest jeszcze mleko w proszku? – spytał. Czy w jego głosie pojawiła się jakaś sztywność, obcość? Czy ta obojętność też była udawana?

Birdie oczekiwała od ojca nieco innej reakcji. Wprawdzie nie okazywał zwykle zbyt wiele emocji, ale jednak... Dopiero po chwili zrozumiała, że po prostu jej nie uwierzył. To rzeczywiście brzmiało niewiarygodnie, przecież nikt nigdy na tamtej wyspie nie mieszkał. Wtedy w okolicy w ogóle nie było zbyt wielu ludzi.

Jednak Birdie nie miała żadnych wątpliwości.

– On ją pocałował! – oświadczyła. – Inaczej niż ty!

Ojciec uniósł brwi. Po chwili oboje wpatrywali się w Birdie, tata miał nachmurzoną minę. Twarz mamy nie zdradzała żadnych emocji: Lana uniosła kąciki ust w uśmiechu, ale oczy pozostały puste.

– To było jak w filmie – dodała Birdie, bo najwyraźniej rodzice nie wiedzieli, co mają powiedzieć. Myślała, że się zdenerwują, ale oboje zaczęli się śmiać. Poczula, że do oczu napływają jej łzy złości i wstydu.

Lana, chichocząc, podeszła do córki i podała jej filiżankę kakao.

– No cóż, Birdie... – powiedziała, siadając na sofie. – Zdaje się, że zobaczyłaś jakieś duchy tej wyspy.

Birdie podniosła się i pobiegła do pokoju, trzaskając drzwiami i budząc Gene'a i Caroline. Kiedy siostra spytała ją, dlaczego płacze, Birdie nie chciała odpowiedzieć. Jakiś czas później usłyszała ich wesołe śmiechy przy śniadaniu. Nikt jej nie uwierzył. Nikt nie wziął jej w obronę.

Nawet teraz, mimo że skończyła siedemdziesiąt pięć lat, wciąż odczuwała gniew i złość, jakby to wszystko zdarzyło się wczoraj. Do dziś irytował ją śmiech rozlegający się w sąsiednim pomieszczeniu, nawet jeśli wiedziała, że w ogóle jej nie dotyczy.

Dlaczego właściwie przyszła do noclegowni po ten głupi album? Lampka stojąca na stoliku świeciła słabym, migoczącym światłem. Na zewnątrz wiało coraz mocniej, zanosilo się na deszcz, w powietrzu unosił się charakterystyczny, lekki zapach. Zbudowali noclegownię już dawno temu z myślą o dzieciach, które mogły tam spać podczas odwiedzin na wyspie. Kiedyś, dawno temu, Birdie miała nadzieję, że Chelsea i Brendan potraktują to miejsce jako swoje własne, jako okazję do przeżycia przygody.

– To jeszcze dzieci, mamó – powiedziała Kate tym pełnym irytacji i wyższości tonem, który chyba zawsze pojawiał się w rozmowach z Birdie. – Nie śpią w innym budynku niż my.

Teraz zdała sobie sprawę, że dzieci były wtedy jeszcze małe: Chelsea miała dziewięć lat, więc Brendan musiał mieć mniej więcej cztery. Może trzy.

Wówczas jednak odpowiedziała:

– A cóż im tam złego może się stać?

– Mamo! – zawołała Kate i spojrzała na nią, jakby miała do czynienia z osobą pozbawioną zasad albo idiotką. – Litości!

Kate zawsze rozpieszczała swoje dzieci. Pewnie dlatego, że nie znalazła nic lepszego do roboty, mogła poświęcać im swoją uwagę. Dzieci nie miały więc na razie okazji tu nocować, wołały przebywać z Seanem i Kate w domku dla gości. Noclegownia zmieniła się w coś w rodzaju schowka na pościel, magazynu i przechowalni starych przedmiotów należących do jej rodziców, a także oprawionych w ramki zdjęć, na które Birdie nie mogła już patrzeć, ale których nie była w stanie wyrzucić. Znajdowały się tutaj również stare ubranka noszone w dzieciństwie przez Birdie, Caroline i Gene'a. Były już zniszczone i zjedzone przez mole, nie nadawały się nawet do oddania na jakąś zbiórkę. Zostały zatem w skrzyni, w której leżały przez całe dziesięciolecia.

Na ostatniej karcie albumu Birdie znalazła kolejne zdjęcie, którego szukała. Pozostawało gdzieś w jej pamięci, jak wiele innych rzeczy związanych z dzieciństwem, o których starała się nie myśleć. Wspomnienia odżyły dzięki wydarzeniom dzisiejszego dnia. Obok każdej fotografii znajdowały się skrupulatne notatki wykonane ręką mamy: *Gene i Birdie: pierwsze zajęcia żeglarskie! Lana i Jack (Mama i Tata), ceremonia odnowienia ślubu! Caroline, nasz kochany kwiatusek!* Wszystkie zdjęcia oprócz jednego wykonano w lecie. Nigdy nie przyjeżdżali na wyspę w zimie, dopiero później Joe ocieplił budynki, żeby mogli tu mieszkać o każdej porze roku. Wraz z nadejściem jesiennych chłódów Heart Island stawała się dla Birdie tylko wspomnieniem lata, czymś nieosiągalnym, prawie niewyobrażalnym – aż do wiosennych roztopów.

Zdjęcie przedstawiało matkę stojącą obok wysokiego, ciemnowłosego mężczyzny. Był szczupły i blady, miał pociągłą twarz. Lana siedziała na bujanym fotelu – Birdie pamiętała, że znajdował się kiedyś na werandzie – mężczyzna stał za jego oparciem. Patrzył w bok, w górę, gdzieś w dal. Mama wpatrywała się w obiektyw. W sytuacji nie było nic niestosownego, nic, co sugerowałoby zażyłość obu osób. A jednak... Jednak mama lekko uniosła kąciki ust. Lewą dłoń zacisnęła na podłokietniku, prawą unosiła w stronę mężczyzny, który odsuwał rękę. Wyglądało to tak, jakby tuż przed zwolnieniem migawki dotykali się dłońmi. Na parapecie leżała wąska warstwa śniegu. Lana przyjechała tu w zimie. Kiedy to się zdarzyło? Birdie nie przypominała sobie, żeby mama wyjeżdżała gdziekolwiek sama.

Obok zdjęcia nie było żadnego podpisu wykonanego delikatnym, krągłym, pochylonym pismem mamy. Fotografia nie pasowała do pozostałych letnich, radosnych ujęć. Było w niej coś dziwnego i niepokojącego. Zaczęły spadać pierwsze krople deszczu, Birdie słyszała, jak rozbijają się o blaszany dach. Wyjęła zdjęcie z albumu, wyskoczyło z narożników z cichym trzaskiem. Odwróciła je. Mama napisała na drugiej stronie: *To nie był sen, kochanie. Przepraszam.*

Sean strasznie dużo gadał przez cały poranek. Oboje z Kate wiedzieli, że tak się dzieje, kiedy jest zdenerwowany albo dręczy go poczucie winy. Dziś zdarzyło się i jedno, i drugie. Był zdenerwowany – i podekscytowany – z powodu prezentacji domu. Czuł się winny i niespokojny, bo dziewczyny same ruszały w drogę na północ. Brendan marudził albo kuśtykał, przy czym obie czynności wykonywał z zaangażowaniem zależnym od tego, kto akurat na niego patrzył i komu mógł się poskarżyć na niesprawiedliwość sytuacji, w której się znalazł.

– Czy masz nawigację? Czy poprawnie wpisałaś adres? Czy macie wystarczającą ilość jedzenia na drogę? Naprawdę zabierasz Lulu? Nie pozwól, żeby matka wlała ci na głowę. Obiecuję, przyjedziemy tuż po was. Będziemy tam dziś wieczorem, a najpóźniej jutro rano. – Sean nawijał jak opętany. Ilekroć próbował przestać, jakaś nowa mądrość wypływała z jego ust. – Przepraszam. Zbyt dużo gadam.

Kate nie odzywała się zbyt często. Oboje wiedzieli, że tak się dzieje, kiedy jest zdenerwowana lub dręczy ją poczucie winy. Denerwowała się wyjazdem na wyspę bez Seana i było jej przykro, że musi zostawić w domu Brendana. Jej milczenie odniosło tylko jeden skutek: Sean mówił jeszcze więcej, daremnie próbując wypełnić ciszę między sobą a żoną.

– Wszystko w porządku, kochanie. Damy sobie radę, nie przejmuj się.

Dzieci awanturowały się o to, czy Chelsea ma zabrać iPada, żeby oglądać filmy podczas wycieczki, czy też urządzenie powinien zatrzymać Brendan, który mógłby sobie wówczas trochę pograć.

– Ty masz iPhone'a! – wrzasnął niespodziewanie Brendan, gdy kłótnia osiągnęła apogeum. – Nie potrzebujesz iPada, wszystko już masz! Ona dostaje wszystko! Ona zawsze wszystko dostaje!

– Dosyć! – Głos Kate nabierał nieoczekiwanej wysokości i mocy, gdy była zagniewana. Wszyscy troje obrócili głowy i spojrzeli na Kate. – Chelsea, Brendan! Wymyślcie sposób, żeby podzielić się tabletem, albo oddam go biednym dzieciom!

Dzieci obserwowały ją z otwartymi ustami, gdy zatrzasnęła pozostałe naczynia w zmywarce. Jeszcze nie minęła szóstka, podłogę pokryły złote plamy porannego światła. Sean podszedł do żony i położył dłonie na jej szczupłych ramionach. Tym razem były napięte i uniesione w górę.

– Przepraszam – powiedziała Kate po chwili. Wzięła głęboki oddech i rozluźniła nieco ramiona pod wpływem dotyku męża. – Przepraszam, że krzyknęłam. Ale zróbcie, jak powiedziałam.

– OK – rzuciła Chelsea. Usiadła na jednym z kuchennych krzeseł, z uwagą i niepokojem wpatrując się w matkę. Zwykle to Chelsea ustępowała, to jej bardziej zależało na spokoju. Zdaniem Seana miało to zapewne związek z wojnami, jakie toczyły się między Kate i Sebastianem. Typowe zachowanie dziecka w środku konfliktu. Z kolei Brendan nigdy nie musiał występować w roli mediatora ani starać się o akceptację walczących ze sobą stron. – Zatrzymaj go.

Chłopak równie trudno przyjmował zwycięstwo jak porażkę. Zabrał iPada i wybiegł z pokoju – na tyle szybko, na ile pozwalała mu jego paskudna kontuzja. Chelsea podążyła za nim, zerkając jeszcze przez ramię na matkę.

– Wszyscy jesteśmy zestresowani – powiedziała Kate, gdy dzieci wyszły. Podniosła dłoń i potarła czoło.

– Poradzą sobie – odparł Sean. – My też sobie poradzimy. Jutro o tej porze nie będziemy już o niczym pamiętać. Wkrótce razem odpoczniemy na wyspie.

– Jasne. Rzeczywiście strasznie się odprężymy.

– Posłuchaj... Nie możesz po prostu poczekać do jutra? Pojechalibyśmy wszyscy razem.

Jeszcze zanim skończył zdanie, wiedział, że to zły pomysł. Już dostrzegał zmarszczone z niepokoju czoło Kate. Za żadne skarby świata nie mogła zawieść rodziców, zmuszać ich do czekania na cokolwiek, czego pragnęli. Wszyscy musieliby wówczas zmierzyć się ze sławetnym załamaniem nerwowym Birdie o maksymalnej sile rażenia.

– Nie – odparła Kate. – Rzeczy mamy już w samochodzie, obie jesteśmy gotowe. Wcale nie chcę go tu zostawiać, ale lepiej, żeby miał dodatkowy dzień odpoczynku.

– OK. Wszystko dobrze się skończy.

Kate przytuliła się do Seana.

– Naprawdę?

– Oczywiście. – Mocno przycisnęła ją do siebie. – Oczywiście!

Po raz pierwszy oboje spotkali się właśnie w tym domu, który był wówczas pusty, poprzedni właściciele wyprowadzili się gdzieś na zachód. Pośrednicy nie robili wtedy na ogół specjalnych przygotowań, nie ustawiali wynajętych mebli, żeby potencjalni klienci mogli wyobrazić sobie, jak będzie wyglądać dom, kiedy już się do niego wprowadzą. Ściany wprawdzie wymagały odmalowania, a podłogi były stare, ale chodziło o ładny budynek w dobrej okolicy. Przy ówczesnej sytuacji na rynku dałoby się go sprzedać niezależnie od nakładu pracy, jaki należałoby włożyć w remont.

Asystentka umówiła spotkanie i Sean czekał na ganku domu, gdy podjechały Kate i Chelsea. Najpierw zobaczył Kate wysiadającą ze starego, ale dobrze utrzymanego mercedesa, który zatrzymał się obok jego nowiutkiego porsche spyder. Nie była w jego typie: ładna kobieta o włosach w kolorze pszenicy i zgrabnej figurze. Miała na sobie sukienkę w kwiatki, legginsy i dżinsową kurtkę. Miła i sympatyczna – czyli dziewczyna, jaka spodobałaby się jego matce. Seana jednak nie interesowały sympatyczne dziewczyny. Rudowłosa laska, z którą się wtedy spotykał, narobiła trochę zamieszania w jego życiu. Miała metr osiemdziesiąt wzrostu, była modelką specjalizującą się w bieliznie i bez wątplenia lubiła perwersje. Prawdę mówiąc, nie mógł wówczas myśleć o niczym innym.

Potem zobaczył Chelsea na tylnym siedzeniu samochodu. Była nadąsana, przyciskała do siebie pluszowego pieska. Przy drzwiach mercedesa odbywały się jeszcze jakieś negocjacje.

– Jeszcze ten jeden. – Sean usłyszał słowa Kate. – Potem pójdziemy na lody.

Pamiętał, że pomyślał wtedy, że na tym właśnie polega problem współczesnych rodziców: zawsze uciekają się do przekupstwa albo prowadzą negocjacje. Z Seanem nikt niczego nie uzgadniał, kiedy był mały. Musiał robić, co mu kazano, albo dostawał lanie.

Jednak gdy ruszyły w jego stronę, coś się wydarzyło. Kate uśmiechnęła się i uściśniła mu dłoń, choć tak naprawdę na niego nie spojrziała. Chelsea skrzywiła się, najwyraźniej niewzruszona jego serdecznym i, jak sądził, pełnym wdzięku powitaniem: „Cześć, księżniczko!”. Tamten facet, ten, którym wtedy był Sean, był zupełnie beznadziejnym palantem. Chelsea nie miała jeszcze czterech lat, a od razu to zauważyła.

Było w nich coś innego, nawet dziś nie potrafił tego dobrze opisać. Chodziło o sposób, w jaki dziewczynka trzymała rękę matki, jak opierała się o jej nogę. O to, jak między sobą szeptały, gdy przechodziły do kolejnych pomieszczeń.

– Zobacz, jaki fajny, duży schowek. – mówiła Kate.

– Zmieszczą się tu wszystkie moje zabawki – zauważyła Chelsea pragmatycznie.

– Będziesz się dobrze bawić w tej wannie – powiedziała Kate.

– O tak – odpowiedziała Chelsea. – Na pewno!

– Mój tatuś nie będzie tu mieszkać – oświadczyła Chelsea Seanowi, kiedy byli w kuchni. – Teraz jestem tylko z mamą.

– Aha – odparł Sean.

– Przepraszam – powiedziała Kate. Uśmiechnęła się, widząc jego zakłopotanie.

- Tak się zdarza – dodała Chelsea i uniosła rękę do góry, gotowa wyjaśnić problem. – Czasami dorośli już nie chcą ze sobą mieszkać.
- Zgadza się – potwierdził Sean.

Kiedy znów spojrzła na Kate, odniósł wrażenie, że klientka przypatruje mu się w sposób, do którego nie był przyzwyczajony. Wyglądało to tak, jakby starała się zrozumieć, z jakim człowiekiem ma naprawdę do czynienia.

- Ma pan dzieci? – spytała.

- Nie – odparł. – I na razie nie zamierzam. Ale myślę, że kiedyś się zdecyduję. Mam nadzieję, że będą tak ładne i mądre, jak ta dziewczynka. – Dodał ostatnie zdanie, żeby nawiązać lepszy kontakt z klientką. Taka sztuczka handlowa: przede wszystkim buduj relację. Chelsea znów zrobiła nadąsaną minę, a Kate powoli skinęła głową i po chwili na jej twarz powrócił rozbawiony, wyrozumiały uśmiech. Czyżby odrobinę lekceważący? Pewnie uważała, że jest od niego inteligentniejsza. Może rzeczywiście tak było.

- Podoba mi się ten dom – powiedziała. Oparła ręce o granitowy blat kuchenny, ten sam, przy którym stali w tym momencie. – Najładniejszy, jaki oglądałam w tym tygodniu. Czuję się tu... bezpieczna.

Nie do końca wiedział, co miała na myśli. Nie chodziło na pewno o okolicę ani o nowy system zabezpieczeń. Raczej o coś innego, coś poważniejszego. Rzeczywiście, na pewno ten dom był ładny, choć Sean nie zastanawiał się nad tym zbyt, dopóki nie zobaczył w jego wnętrzu Kate. Nie był wielki ani ekstrawagancki, jak niektóre inne nieruchomości, które niedawno udało mu się sprzedać w tej okolicy, na bogatych przedmieściach New Jersey. Miał solidną konstrukcję i był dobrze zbudowany, w odróżnieniu od tych nowych McWilli, które może i wyglądały fantastycznie, ale miały ściany o grubości kartonu, a listwy i mocowania zaczynały odpadać mniej więcej po roku.

To był prawdziwy dom. Dzięki odrobinie miłości można było go przekształcić w dom w innym sensie tego słowa.

- Proszę zaproponować cenę – powiedział Sean. – Właściciele chcą bardzo szybko zawrzeć transakcję.

Zawsze to mówił klientom, ale w tym wypadku była to prawda. Kate podała kwotę, całkiem pokazną. Nie zaniżała ceny, zorientowała się w rynku i wiedziała, ile wart jest taki dom. Jeszcze tego samego popołudnia właściciel z radością przyjął ofertę, udało się uniknąć standardowego przerzucania piłeczki. A wcześniej, zanim wyszli z budynku i się pożegnali, Sean już wiedział, że to miejsce jest przeznaczone właśnie dla Chelsea i dla Kate. Zdarzało się coś takiego między ludźmi i domami. Jeśli chodzi o rynek nieruchomości, Sean wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia.

Akurat tego dnia umówił się na drinka ze swoją rudą pięknoscią – dziś już nie potrafił sobie przypomnieć jej imienia. Na pewno była to nazwa jakiegoś miesiaca. April, May, June? Nie mógł się skupić podczas tej randki, był nieobecny, a przecież czekał na nią z ogromnym podnieceniem przez cały tydzień. Tego wieczoru, i każdego następnego również, myślał o Kate.

- Obiecuj mi tylko jedno – odezwała się, przywołując go do rzeczywistości. Za oknem dostrzegł ogromnego cadillaca escalade wjeżdżającego na podjazd.

- Co tylko zechcesz.

- Nie wsiadaj do samochodu, jeżeli będziesz zmęczony albo jeżeli coś ci się opóźni. Poczekaj do rana.

- Nie martw się – dodał. Dziś powiedzieli to chyba sobie już dziesięć razy.

- Obiecuj!

- Obiecuję.

W ciszy poranka rozległo się trzaśnięcie drzwi auta. Dzieci zbiegły po schodach, robiąc niewyobrażalny wprost harmider. Po chwili zbrzmiał dzwonek u drzwi, a wkrótce potem Chelsea i Lulu przenosiły wielkie, wypchane walizki do samochodu Kate. Matka Lulu pomachała dłonią, jednak nie wysiadła z cadillaca, rzadko jej się to zdarzało. Już zresztą rozmawiała z kimś przez komórkę; uśmiechała się, ale coś innego pochłaniało jej uwagę.

Seana niespodziewanie ogarnął smutek, gdy przyglądał się odjeżdżającemu spod domu samochodowi, nie potrafił dobrze wyjaśnić jego przyczyn. Tę kobietę coś omija, pomyślał. Wtedy jednak rozległ się sygnał jego komórki. SMS od współpracownicy, Jane, kolejnego rannego ptaszka, który miał przed sobą wielki dzień. Już po chwili sam wysyłał jej wiadomość, dźwigając jednocześnie torbę Kate do auta. Żona coś do niego mówiła, ale nie do końca ją rozumiał.

- O co chodzi, kochanie?

Wkrótce dziewczyny znalazły się w samochodzie, Kate zaczęła manipulować przy nawigacji, nastolatki zajęły się chichotaniem i gadaniem. A potem Sean już ścisnął i całował je na pożegnanie.

- Kocham was. Nie kłóć się z matką. Zapnijcie pasy. Poczytaj jakąś książkę, na litość boską, nie niszczone mózgu tymi urządzeniami!

- Dlaczego nie mogę pojechać? – spytał Brendan, przytuliwszy się do Kate.

- Chciałabym, żebyś dzisiaj odpoczął, zrobił sobie okłady i poczuł się lepiej – odpowiedziała, mierzwiąc jego rozczochrane włosy. – Przyjedziesz z tatą. Dotrzymasz mu towarzystwa.

Sean wyczuł w jej głosie niepokój i brak pewności. Brendan na pewno też to usłyszał. Dzieciaki to potrafiły – wiedziały, co cię trapi. Chłopiec jeszcze przez chwilę obejmował Kate, a potem pokuśtykał w stronę schodków i nadąsany stanął przy drzwiach. Dziewczyny śmiały się na widok czegoś, co zobaczyły na tablecie Lulu – problem iPada został rozwiązany, oczywiście Lulu zabrała swojego. Sean nachylił się przy drzwiach od strony kierowcy.

Kate potrafiła poświęcać mu całą swoją uwagę; sprawiała, że czuł się jedynym mężczyzną na świecie, nawet jeśli wszystko dookoła pograżało się w chaosie. Była jedyną znaną mu osobą, której uwagi ustawicznie nie odciągały ekrany urządzeń elektronicznych. Miała telefon komórkowy, jednak rzadko z niego korzystała. Nienawidziła wysyłać SMS-ów.

Dziś rano spojrzął w lustro i stwierdził, że wygląda na bardziej zmęczonego i zestresowanego, niż to odczuwał. A jednak Kate wciąż patrzyła na niego tak, jakby był najwspanialszym facetem na ziemi.

- Jesteś świetny – powiedziała. Sean znał ten uśmiech. – Rozwalisz ich podczas prezentacji.

Właśnie wtedy, w tym momencie, był niemal gotów rzucić to wszystko w diabły. Mógł oddać ofertę Jane, przekazać jej odpowiedzialność za transakcję i pomóc po powrocie. Mógł wziąć obie walizki i wskoczyć do samochodu razem z dziewczynami. Ruszyliby w drogę do miejsca, w którym niekoniecznie pragnęli się znaleźć. Po drodze jedliby śmieciowe żarcie, a dzieciaki kłóciłyby się przez cały czas, ale przynajmniej byłiby razem.

Nie zrobił tego jednak – ze stu powodów, które wszystkie łączyły się ze sobą i trudno było je rozdzielić. Ostatni rok w pracy był dla niego porażką. Pragnął sam zarobić pieniądze, a nie tylko korzystać z funduszu Kate. Nie chciał też jechać na wyspę i spotykać Joego – pana na włościach, uosobienia sukcesu – w sytuacji, w jakiej się obecnie znajdował. Nie miałyby oporów przed wyjazdem, jeśli potrafiłby pochwalić się jakimś osiągnięciem. Sean nawet nie zdawał sobie sprawy, że trapią go właśnie takie problemy, dopóki nie pojawiła się ta oferta.

Kate musiała dostrzec emocje na jego twarzy. Uniosła dłoń i dotknęła jego policzka.

- Nie martw się – powiedziała po raz kolejny. Sean uwielbiał błądosić jej cery, różowe usta, zimny blond jej włosów. – Będzie dobrze. Może właśnie teraz powinienam sama odbyć tę podróż.

To prawda. Kate musiała zmierzyć się na wyspie z wieloma sprawami i o wielu rzeczach opowiedzieć swoim rodzicom. Sean chciałby tam z nią być, i wkrótce będzie, ale może rzeczywiście potrzebowała trochę czasu wyłącznie dla siebie.

Pocałował ją po raz ostatni i stanął obok Brendana. Objął syna ramieniem i obaj patrzyli, jak Kate odjeżdża. SUV zakręcił na końcu ulicy, Kate nacisnęła klakson, w oknach pojawiły się trzy machające dłonie. Po chwili samochód zniknął.

- Słabe to jest – oświadczył Brendan. Pochylił kędzierzawą głowę i z odrazą przypatrzył się opuchniętej kostce. Sean zgadzał się z nim całkowicie, ale udało mu się powstrzymać przed wypowiedzeniem tego na głos.

Gdy Emily obudziła się wśród przyćmionego mlecznego światła, przez parę minut nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się teraz znajduje. W takich chwilach jej życie było pustką. Mogła być w swoim własnym łóżku, mogła mieć przed sobą cały dzień – najpierw miły gorący prysznic, potem przygotowanie śniadania i wyjście do pracy. Powoli jednak wracała do rzeczywistości i sens tego, co się wydarzyło, potworność tego, co zrobili, opadły strasznym brzemieniem na jej duszę. „O Boże!”, pomyślała chyba po raz setny. „Boże, nie!”.

Leżała sama w zaniedbanym pokoju w motelu. Co to za miejsce? Jechali na północ, tyle zdołała zapamiętać. Dean coś jej dał, jakąś tabletkę, którą bez oporów połknęła, nie mając pojęcia, co to takiego, mimo że dzień wcześniej nigdy by się na to nie zdobyła. Teraz już jej nie obchodziło, co się z nią stanie. Najważniejsze, że w końcu przyszedł sen, który okrył ją swoim czarnym płaszczem.

Mglisto przypominała sobie, że Dean niósł ją na rękach z samochodu, i jeszcze wrażenie, że nie może podnieść się o własnych siłach. Wciąż czuła się dziwnie zamroczona, miała ciężkie ręce i nogi, nie potrafiła jasno myśleć. Czy Dean ją tu zostawił? Emily nie potrafiła uwierzyć, że mogło tak się stać. Co w takiej sytuacji by zrobiła? Wróciłaby do domu, zgłosiła się na policję i przyjęła odpowiednią karę. Staralaby się jakoś zadośćuczynić za wyrządzone krzywdy. Próbowana nie myśleć o restauracji, o podłodze zalanej krwią, jednak ten obraz ciągle pojawiał się w jej głowie. Nie wiedziała, czy będzie jeszcze kiedykolwiek w stanie myśleć o czymś innym.

Splotła ręce na brzuchu i zwinęła się w kłębek.

– Przepraszam – wyszeptwała. – Przepraszam.

Wtedy ktoś nacisnął klamkę i wszedł do pokoju. Dostrzegła wysoką, ciężką sylwetkę Brada. Zacisnęła powieki i udawała, że śpi. Jej serce zaczęło bić mocniej, gdy usłyszała kliknięcie zamykanych drzwi. Gdzie jest Dean?

Brad stanął u stóp jej łóżka. Odgłos jego oddechu mieszał się z cichym szumem samochodów pędzących autostradą. Brzmiało to jak ocean, który Emily widziała ostatnio, gdy miała kilkanaście lat. Gdzieś na zewnątrz grał telewizor, trzasnęły jakieś inne drzwi. Całe ciało Emily drżało w napięciu. Nie wiedziała, czy Brad to zauważył.

– Wiem, że nie śpisz.

Dziewczyna ze wszystkich sił starała się pozostać w bezruchu.

– Wstawaj. Nie możemy tu dłużej zostać.

Jego głos brzmiał nieco inaczej, był łagodniejszy. Otworzyła oczy.

Brad wyglądał lepiej, widocznie wziął prysznic. Wciąż patrzył jednak tym bezmyślnym wzrokiem, który tak bardzo ją niepokoił. Miał inne ubranie niż to, które nosił wczoraj wieczorem, chyba założył koszulę Deana. Emily przypominała sobie, że wpadli na chwilę do niej do domu. Szlochała na swoim łóżku, a Dean wrzucał ciuchy do sportowej torby. – Em, bądź już cicho. Uspokój się, proszę – powtarzał.

– Gdzie jest Dean? – spytała. Starala się mówić spokojnym głosem, nie mogła przy nim okazywać strachu.

– Pojechał kupić trochę rzeczy i zatankować auto. – Brad oparł się o ścianę, jakby kompletnie nic go nie obchodziło. – Lepiej, żeby nas nie zobaczyli razem. Policja wie, że były trzy osoby.

Policja. Ściagała ich policja... Emily znalazła się tak daleko od tego, co pragnęła osiągnąć i czego oczekiwała od życia, że nie potrafiła tego wszystkiego uznać za całkowicie realne.

– Nie znają naszych nazwisk?

– Na razie nie. – Przechesała dłonią włosy i rzucił jej puste spojrzenie.

– Oni... zginęli? – Emily z trudem wypowiedziała ostatnie słowo. Poczuła, że coś się w niej zapada, że zaczyna wypełniać ją straszliwa pustka.

– Chłopak nie żyje. – Głos Brada nie zdradzał żadnych emocji, nawet strachu. – Kobieta jest w śpiączce.

Do Emily powoli zaczęła docierać świadomość, że Angelo zginął z jej winy. Przypomniała sobie złoty krzyżyk na jego szyi i niemądry uśmiech, którym zawsze ją witał. Carol walczyła o życie... Emily pomyślała o Paulu, o tym, jak bardzo musiał być teraz zrozpaczony i przerażony.

– Czy mówili o tym w wiadomościach? – zapytała. – Słyszałeś?

Próbowała wyobrazić sobie, jak jej matka ogląda w telewizji relację ze zdarzeń. Czy przypomni sobie, że córka pracowała właśnie w tym lokalu? Czy spróbuje się z nią skontaktować? Emily oddałaby wszystko, żeby móc teraz zadzwonić do matki. Nawet surowa reprymenda byłaby lepsza niż to uczucie swobodnego spadania, które jej teraz towarzyszyło.

– No, a niby skąd o tym wiem?

Nie odpowiedziała, zamknęła tylko oczy. Brad usiadł na łóżku, nie spuszczać z niej wzroku. Dlaczego Dean porzucił ją tutaj z tym potworem?! Przecież go dobrze znał, a mimo to zostawił swoją dziewczynę na jego pastwę.

Brad rozciągnął się na łóżku obok Emily i zaczął przesuwać palcem wzdłuż jej ręki, tam i z powrotem. Leżała w absolutnym bezruchu. Zasada: nigdy nie uciekaj przed bezdomnym psem. Czuła jego zapach, zapach mydła i papierosów.

– Zostaw mnie w spokoju – powiedziała.

Brad roześmiał się i nie był to przyjemny odgłos.

– Zabawna jesteś – rzucił. – Ale na bycie grzeczną dziewczynką jest już trochę za późno.

Usiadła i podciągnęła kolana, kryjąc głowę w ramionach. Nie zamierzała go słuchać.

– Byłaś z nami od samego początku tej roboty. To ty otworzyłaś drzwi. Szczerze mówiąc, nie wierzyłem, że to zrobisz, ale jednak zrobiłaś.

Wypowiedział więcej słów, niż zamienił z nią od wczoraj, od momentu pierwszego spotkania w jej mieszkaniu. Nie spodziewała się, że ten facet może sklecić aż tyle zdań.

– Pierdol się – powiedziała, unosząc głowę. – Pierdol się. I tyle.

Chwytał ją za włosy. Emily uniosła dłonie, usiłując złapać go za ręce. Brad zbliżył swoją twarz do jej twarzy. Na policzku, pod zarostem, miał głęboką czerwoną bliznę, wokół jego oczu pojawiły się czerwone obwódki.

– Jesteś zepsuta do szpiku kości, tak samo jak my – syknął jej do ucha. Czuła na szyi jego gorący oddech, zarost na podbródku Brada był szorstki jak papier ścierny. – Tylko nie potrafisz się do tego przyznać.

– Puść mnie! – syknęła. Po chwili krzyknęła głośniejszym głosem: – Puść mnie!

W następnym momencie siedział już na niej okrakiem, przygniatając całym ciężarem jej uda i przyciskając ręce do łóżka. Musiał ważyć jakieś pięćdziesiąt kilo więcej niż Emily. Był tak silny, że właściwie nie mogła się ruszyć. Jednocześnie przeszył ją gniew, strach i wstyd. Opuściła ją siły, zrobiło jej się niedobrze.

– Puść mnie – powtórzyła. Jej głos zmienił się w szepot, jak w jednym z tych snów, w których chciała krzyczeć i bronić się, ale nie była w stanie tego zrobić. Brad schylił się i mocno przywarł ustami do jej ust. Emily czuła jego zęby, jego ciepły język. To nie był pocałunek, a raczej przejaw zwierzęcego, gwałtownego głodu. Brad stęknął niczym dzik i przyłgął wargami do jej szyi. Emily zaczęła szlochać, usiłując wyrwać się napastnikowi. Gdy ponownie spróbował ją pocałować w usta, niewiele myśląc ugryzła go mocno w wargę. Ryknął z bólu i odsunął głowę. Emily pozostał na języku smak jego krwi.

– Ty głupia dziwko! – powiedział bardziej rozbawionym niż wściekłym tonem. Uderzył ją mocno w twarz.

Krzyknęła przeciągle, bezskutecznie próbując go z siebie zepchnąć. Właśnie w tym momencie do pokoju wszedł Dean. Stał przez chwilę w drzwiach, po czym rzucił się na Brada. Był niższy i lżejszy, jednak wściekłość dodała mu sił. Zaczął walić pięścią w tył głowy Brada. Emily przetoczyła się na bok, a obaj mężczyźni spadli z łóżka. Dean wskoczył na Brada i w amoku okładał bezlitośnie pięściami jego twarz, dopóki Emily nie udało się odciągnąć go od ofiary.

– Przestań! – krzyknęła. – Przestań!

Brad leżał w bezruchu, a z rozcięcia na jego twarzy lała się krew. Dean dyszał ciężko.

– Coś ci zrobił? – zapytał między jednym a drugim oddechem.

– Nic mi nie jest – odparła Emily. Nie poznała własnego głosu. Bolała ją szczeka, zaraz pewnie spuchnie i pojawią się siniaki.

Brad jęknął cicho, ale nadal się nie poruszał.

– Chryste! – rzucił Dean. Chwyił się za głowę. – Mamy całkowicie przerąbane. Kompletnie, zupełnie przejebane. Em, co my teraz zrobimy?!

Chociaż Emily była niemal chora z wściekłości na niego i na siebie, otoczyła Deana ramionami i mocno przytuliła. Przycisnęła głowę do jego szyi, chwyciła palcami jego miękką bawełnianą koszulę. Miała wrażenie, że tonie i że musi złapać się Deana. W jej głowie wciąż rozbrzmiewały słowa Brada. Czy to, co o niej powiedział, było prawdą?

– Gdzie są pieniądze? – spytała. Wydawało się, że to pytanie przyszło gdzieś z zewnątrz.

– Pod fotelem w samochodzie.

– A broń? Też tam?

Dean powoli kiwnął głową. Emily wiedziała, że to kolejna z tych ważnych chwil: mogli teraz zawrócić i oddać się w ręce policji. Brad nie stanowił w tym momencie zagrożenia. A to on nacisnął spust broni, która zraniła Carol i zabiła Angela. Dean i Emily byli wprawdzie współsprawcami przestępstwa, ale przecież działali pod przymusem... Na pewno musiał istnieć jakiś sposób, żeby wytłumaczyć to, co się wydarzyło, i dlaczego wszystko wymknęło się spod kontroli.

Drzwi do pokoju były uchylone, do wnętrza wpadała wąska smuga światła. Emily wciąż miała ciężką głowę, czuła się zamroczone po tym leku, który dał jej Dean. To światło było jak latarnia morska, jeśli Emily podąży w jego stronę, zostanie uratowana. Będzie musiała ponieść surową karę, ale jakoś to przetrzyma.

– Nie mogę znów trafić do więzienia – powiedział Dean, jak gdyby czytał w jej myślach. Nie odezwała się. – Ale ty możesz się wycofać, Emily – dodał. – Nie zrobiłaś nic złego, zmusiliśmy cię. Uwierzą ci, jeśli im to powiesz.

Emily oparła się o ścianę, skierowawszy spojrzenie na Brada, który wciąż leżał w bezruchu. Nie była pewna, czy żyje. Nie odważyła się podejść bliżej i przekonać o tym osobiście. Nadal czuła bolesny uścisk jego dłoni, jego zęby na szyi. Miała nadzieję, że nie żył. Nie żył i zmierzał już do piekła.

Nie wiedziała, jak długo tam oboje siedzieli, zatopieni w ponurych myślach. Niespodziewanie Brad wydał z siebie ciche stęknienie. Dean spojrział na niego. Brad próbował się podnieść. Uniósł dłoń i ramię, ale po chwili znów opadł na podłogę. Nie wstanie zbyt szybko. Może już nigdy się nie podniesie, pomyślała Emily z nadzieją.

Nagle coś jej przyszło do głowy: powinni go udusić! Załatwić raz na zawsze. Zerknęła na poduszki leżące na łóżku i wyobraziła sobie, że bierze jedną z nich i robi z niej użytek, że przyciska ją z całej siły do twarzy Brada, przez pewien czas czuje jego konwulsje i podrygiwania, aż w końcu z tego człowieka zupełnie ucieka życie.

– Emily! – zawołał Dean. Patrzył na nią z przerażeniem. – Co ty kombinujesz?! W ogóle nie jesteś do siebie podobna...

Emily otrząsnęła się i wstała. Pozbierała rzeczy: torebkę i komórkę, której bateria wyczerpała się wiele godzin temu. Weszła do łazienki i spojrzała w swoje odbicie w lustrze. Założyła dziś czyste ciuchy, ale były już poplamione krwią. Miała krew we włosach, w zmarszczkach na nosie, pod paznokciami. Myła się przez kilka minut. Zostawiła poplamioną ściereczkę do rąk i ręczniki w umywalce. Nie potrafiła usunąć krwi spod paznokci.

Gdy wróciła do pokoju, zobaczyła Deana opierającego się o ścianę, jakby wypłynęła z niego cała energia.

– Musimy zrobić zakupy – powiedziała.

– Już zrobiłem, są w samochodzie... – urwał. – Słuchaj, przepraszam, że cię z nim zostawiłem.

Mogło być mu przykro z bardzo wielu powodów. Nie miała pojęcia, dlaczego postanowił ją przeproszać właśnie za to.

– Jedźmy stąd – powiedziała.

– Dokąd? – Dean spojrzął na nią niepewnie. – Ja już nie mogę wracać, Emily. Nie chcę gnić w pudle. Nie dam rady.

Wyglądał teraz bezradnie jak mały chłopiec. Umył się, założył nową koszulę. Miał krótko ostrzyżone jasne włosy i nieco ciemniejszy zarost na twarzy. I te jasne, niebieskie oczy, dzięki którym zawsze sprawiał wrażenie młodego, uczciwego człowieka.

– Znam jedno miejsce – powiedziała Emily.

Dean spojrzął gdzieś w bok.

– Wracaj – stwierdził. Wstał i podszedł do Emily. – Podrzucę cię gdzieś i zadzwonisz na policję. Powiesz im, że cię wypuściliśmy.

Położył jej dłonie na ramionach i przyciągnął do siebie. Oparła się o niego całym ciężarem ciała. Do czego miała wracać? Czekają ją potępienie z powodu tych strasznych wydarzeń, w których brała udział. Jeśli nawet nie trafiłaby do więzienia, musiałaby ponownie zamieszkać u matki, która dawno twierdziła, że wszystko źle się skończy, była wręcz o tym przekonana. Emily porzuciła szkołę. Straciła pracę. Został jej tylko ten biedny, żalony Dean.

– Nie zostawię cię. – Emily nienawidziła siebie, swojej słabości i rozpacz.

Dean ujął jej twarz w dłonie i odgarnął włosy z czoła.

– Wynagrodzę ci to – oświadczył. – Zobaczysz!

Sądząc po poważnej minie, z jaką to powiedział, Dean naprawdę wierzył, że może mu się udać. Gdyby sytuacja nie była tak tragiczna, Emily mogłaby się nawet roześmiać.

Ilekoć przyjeżdżałam na przystań, przebiegał przeze mnie przyprawiający o zawrót głowy dreszcz podniecenia. Wiedziałam, że oczekuje mnie kilka słonecznych tygodni wypełnionych długim leżeniem w łóżku, kąpielami w zimnej wodzie, piknikami i grą w karty. Spodziewałam się przesiadywania do późna w nocy, biwakowania na łonie natury, opowieści o duchach i zabawy w berka z latarkami. Szkoła i związane z nią reguły i wymagania stawały się odległym snem. Wysiadaliśmy z samochodu i pędziliśmy do czekającej na nas łodzi z kabiną, a Mama wołała nas z powrotem, prosząc o zabranie rzeczy z samochodu i błagała, żebyśmy ostrożnie chodzili po pływającym pomoście. Pewnego razu Gene wpadł do wody i dostał takich dreszczy, że przez całe lato chodził przeziębiony. Przynajmniej tak to zapamiętałam. Gene do dziś przysięga, że został popchnięty przez Birdie, a ona – jakżeby inaczej – zaprzecza. Nigdy nie byłam pewna, któremu z nich mam wierzyć, nawet teraz, kiedy należałoby już zapomnieć o wszystkich dzieciennych awanturach.

A potem wszyscy ładowaliśmy się na pokład – Tata zajmował miejsce za sterami, Mama kładła mu dłoń na ramieniu. My, dzieci, siedzieliśmy na rufie, w zapiętych kamizelkach ratunkowych. Jakże ona się ożywiła, gdy zaczęliśmy się zbliżać do wyspy! Całe zmęczenie i napięcie widoczne na jej twarzy zniknęło; na jej ustach gościł nawet uśmiech, który pozostawał tam przez całe lato. Nie oznaczało to, że na co dzień, w domu, sprawiała wrażenie nieszczęśliwej. Po prostu czuła, że właściwym dla niej miejscem jest wyłącznie Heart Island, że wszystkie komórki jej ciała tęsknią za tą wyspą. Dla Mamy każde lato oznaczało powrót do domu, do jej prawdziwej natury. Nowy Jork czegoś ją pozbawiał, na Heart Island ładowała akumulatory. Wyspa dodawała sił nam wszystkim, stawaliśmy się tam innymi ludźmi.

Kate spędziła mnóstwo czasu nad pamiętnikiem cioci Caroline, więc знаła już całe jego fragmenty na pamięć. Gdy razem z Chelsea i Lulu dotarły na przystań i znalazły miejsce do parkowania, powróciły do niej właśnie te zdania, chociaż wcale nie podzielała odczuć Caroline.

– Naprawdę trafiliśmy na zupełnie odludzie – powiedziała Lulu i wysiadła z samochodu. Była nieco zdenerwowana, z niepokojem wpatrywała się w wodę.

– Mówiłam ci, Lulu – odparła Chelsea. Wyciągnęła ręce wysoko nad głowę i wesoło uśmiechnęła się do przyjaciółki. – Żadnych porządných sklepów w promieniu wielu godzin jazdy.

– Mój telefon nie działa. – Lulu podniosła komórkę i pokazała ją Chelsea, która uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Sygnał nie jest tutaj zbyt mocny – odezwała się Kate. – Podobno na wyspie trochę się poprawiło.

Czuła lekki dreszcz niepokoju, rodzaj podskórnyego napięcia, które zawsze poprzedzało odwiedziny u matki. Czy Birdie znowu coś powie na temat jej wagi albo ubrania? Pozwoli sobie na złośliwość dotyczącą siwych włosów pojawiających się na jej głowie, albo zauważy, że powinna odwiedzić fryzjera? „Długie włosy nigdy nie pasowały do twojej twarzy, Kate”. Na zdjęciach wykonanych w dzieciństwie miała zawsze po chłopięcemu krótką, nierówno obcięta grzywkę. Pamiętała straszne awantury, które wybuchły, gdy Birdie zmuszała ją do strzyżenia albo wykonania trwałej i pozostawienia krótkich, ciasnych loków, podczas gdy Kate chciała mieć długie włosy. Gdy tylko wydostała się spod opieki swojej matki, pozwoliła im rosnąć, tak jak zawsze pragnęła.

– Och, Katie... – powiedziała wtedy ciocia Caroline. – Wyglądasz zupełnie jak twoja babcia, Lana. Miała wspaniałe włosy, podobnie jak ty. – Kate zawsze czuła się bezpiecznie i swobodnie w obecności Caroline; wyobrażała sobie, że w taki właśnie sposób niektóre osoby nawiązują więź ze swoimi matkami.

– Mamo... – odezwała się Chelsea. Kate zdała sobie sprawę, że stoi przy bagażniku swojego samochodu i błądzi gdzieś myślami, a tymczasem dziewczyny czekają na otwarcie kłapy, chcąc pomóc przy wyładowywaniu bagaży. Wzięła głęboki oddech. Powietrze było świeże i wilgotne, pachniało zielenią. Przystań otaczały wysokie drzewa – sosny, platany, klony – oraz niskie wzniesienia pogórza masywu Adirondack. Cisza wzmacniała każdy dźwięk: dzwonienie fałów o maszty, plusk wody, odgłos nadpływającej motorówki, chrzęst żwiru pod stopami. Kate otworzyła bagażnik.

Gdy Chelsea i Lulu wyładowywały walizki, przypatrywała się łodzi przybijającej do pomostu. Za jej sterami siedziała Birdie. Matka Kate – jak zwykle – idealnie dobrała strój do okoliczności: jasnoczerwona nieprzemakalna kurtka, krótkie białe spodnie i granatowe top-sidery. Rozjaśnione blond włosy – oczywiście farbowane; nikt już nie pamiętał ich naturalnego koloru, a Birdie nie zdradzała tej informacji – przycięta w schludną fryzurę „na chłopaka”, prosto i skutecznie. Jej ładna twarz pokryta była siatką głębokich zmarszczek. Birdie nie zamierzała poddawać się operacjom, uznając to za przejaw próżności; przynajmniej w tym zgadzała się z Kate.

Wyglądała niezłe, jak zwykle. Była niesamowicie szczupła i bez wątpienia sprawiała wrażenie osoby majątnej. Szła pomostem w ich kierunku, unosząc dłoń w geście powitania, z kwaśnym uśmiechem na twarzy, tak dobrze znanym Kate. Nie ucieszy się zbyt na widok Lulu, ale Kate się tym nie przejmowała. Lulu miała w sobie coś uspokajającego. Kate uznawała roztaczaną przez tę dziewczynę aurę absolutnej pewności siebie i jej niewzruszoną obojętność – nawet jeśli częściowo udawaną – na wzgardę okazywaną przez Birdie za godne podziwu, a nawet inspirujące. Od tego pokolenia można było się sporo nauczyć...

Chelsea podbiegła do babci, a ta mocno ją uściskała. Z jakiegoś powodu Birdie obdarzała wyjątkową czułością jej dzieci, mimo że nie potrafiła ofiarować tego swojemu potomstwu. Kate uznała, że świadczy to o pewnej zmianie charakteru matki, choć być może chodziło jedynie o to, że ewentualny brak osiągnięć wnuków nie miał wpływu na jej poczucie własnej wartości. Nie musiała traktować ich jak kiepskiej wersji siebie samej.

– Witaj, kochanie – powiedziała Birdie, podchodząc do Kate, po czym beznamiętnie pocałowała ją w policzek.

– Cześć, mamo – odparła Kate. Zamknęła kłapę bagażnika i schyliła się, by unieść jedną z walizek, a zarazem nie widzieć krytycznego spojrzenia matki.

– Dobrze wyglądasz, moja droga. Nie jesteś już tak szeroka w biodrach jak kiedyś.

– Tak... Dziękuję, mamo.

Dostrzegła, że dziewczyny wymieniły zdziwione spojrzenia. Lulu rozkaszała się, a Chelsea zaczęła się śmiać. Jedynie ktoś obdarzony znakomitym słuchem mógłby wychwycić ukryte w udawanym kaszlu Lulu słowo „zdzira”.

Twarz Birdie zeszywniała, gdy jej wzrok spoczął na Lulu.

– Cóż – odezwała się, mrużąc oczy. – To pewna niespodzianka.

Kate poinformowała matkę, że Sean i Brendan przyjadą trochę później, a Lulu została zaproszona do udziału w wyjeździe.

– Pomyślałam, że Chelsea i Lulu mogą spać w noclegowni. Kiedy chłopaki w końcu dotrą na miejsce, mogą zamieszkać razem ze mną w domku dla gości.

Birdie zmarszczyła brwi.

– Byłoby miło, gdybyś mnie jednak o tym uprzedziła. Noclegownia była używana tylko jako magazyn, na razie nie nadaje się do zamieszkania.

– Próbowałam się do ciebie dodzwonić. Prawdę mówiąc, już od piątku wieczorem. Ale poradzimy sobie.

– No cóż... Telefon nie działa.

– Od kiedy?

– Od paru dni. – Kate od zawsze potrafiła rozpoznać, kiedy Birdie kłamie. – No, właściwie od poprzedniej nocy.

– Dzień dobry, pani Burke! – powiedziała Lulu z udawanym entuzjazmem. – Czy mogę panią nazywać babcią?

– Nie możesz.

Chelsea i Lulu znów zaczęły chichotać, a Birdie spojrzała na nie ze zdziwieniem, nie wiedząc, co uznały za tak zabawne. Uniosła dłoń do szyi.

– Chyba niewiele już się z tym teraz da zrobić. Nie wiem też, co będzie z jedzeniem.

– Nie powinno być problemów, skoro chłopcy jeszcze nie przyjechali. Prawda, mam? – Kate starała się nie denerwować ani nie okazywać irytacji w głosie, okazało się to jednak bardzo trudne. Dlaczego Birdie nie potrafiła przyjąć rzeczy takimi, jakie są?

– Nie przejmuj się tym, babciu – powiedziała Chelsea. Objęła Birdie ramieniem i ucałowała ją. W kontaktach z nią zachowywała się lekko i swobodnie, czego nie potrafiła jej matka. Na ustach Birdie pojawił się nieśmiały uśmiech. – Lulu w ogóle nic nie je.

Zniosły walizki do łodzi i umieściły je na pokładzie, po czym Birdie rozdała wszystkim kamizelki ratunkowe. Wsiadły do łodzi i Kate odwiązała cumę.

– Chciałabyś poprowadzić, Kate? – spytała Birdie. W jej głosie dało się wyczuć nutkę złośliwości.

Zarówno w przeszłości, jak i dziś, ten temat stanowił kość niezgody między Kate i jej matką. Kate w zasadzie nigdy nie lubiła otwartych wód, nie radziła sobie zbyt dobrze jako sternik. Kołysanie fal wprowało ją w niepokój, zwłaszcza w łódce z kabiną, która wydawała się jej z założenia niestabilna, mimo że w rzeczywistości tak nie było. Umiała pływać, ale nie należało to do jej ulubionych zajęć. Woda była żywiołem cichym i zdradzieckim, który mógł człowieka wciągnąć, mógł go pochłoniąć. Potrafiła to zrobić wówczas, gdy pływak czuł się najbardziej odprężony. W jednej chwili unosiła się spokojnie na falach, a w następnej twoje płuca były już pełne wody. Atak paniki i walka o życie nie trwały długo. Nie miałaś wyjścia, trzeba było uznać wyższość tego straszego, cichego ciężaru.

– Jasne – odparła Kate. Na twarzy matki pojawił się wyraz zaskoczenia i powątpiewania. Birdie odsunęła się i za sterami stanęła Kate, która sprawnie wycofała łódź z miejsca postojowego, a potem wyprowadziła z przystani na jezioro.

– No tak – powiedziała Birdie. – Kolejna niespodzianka.

Kate nie oczekiwała, że jej matka będzie zadowolona. Birdie potrafiła cieszyć się jedynie wówczas, gdy komuś innemu coś nie wychodziło. Kate udało się jednak zapisać na zajęcia żeglarskie, wspólnie z Chelsea jeździła do szkoły w Connecticut. Obie radziły sobie na wodzie całkiem nieźle, ucąc się nawigacji, wpływania na przystań, wiązania węzłów i postępowania w nagłych wypadkach.

Gdy wypłynęły z zatoki, Kate dostrzegła wyłaniający się zarys brzegów Heart Island. Wyspa wydawała się tym razem jakaś inna. Kate wiele razy pokonywała tę drogę, zawsze wtedy kłębiły się w jej głowie różne uczucia. Po raz pierwszy jednak występowała w roli sternika łodzi, która tam zmierzała.

Na pomoście razem z Birdie wyładowały walizki, a Chelsea i Lulu, krzycząc z radości, popędziły po skałach w górę. Powinny tu zostać i pomóc, ale Kate cieszyła się, że obie dziewczyny zachowują się tak spontanicznie i swobodnie. Czasami odnosiła wrażenie, że nastolatki spędzały życie, wpatrując się w ekrany różnych urządzeń, albo w drodze, wciąż przewożone z jednych zajęć na inne. Dobrze, że tutaj mogły się tak zrelaksować. Nawet Kate czuła się na wyspie bardziej swobodna niż gdziekolwiek indziej.

Po dotarciu na przystań wysłała Seanowi wiadomość: „Orzeł wyładował”. Odpisał: „Nie pozwól, by zatopiła w Tobie swoje szpony. Ciesz się tym, co kochasz, resztę po prostu ignoruj”. Jak zwykle, mąż oferował Kate mądrą i prostą radę. Dlaczego tak trudno było się do niej zastosować?

– Czemu tata wyjechał? – spytała.

Matka nie odpowiedziała, wpatrywała się intensywnie w główny budynek.

– Mam? – Birdie lubiła być nazywana matką, ale dopóki Kate nie poszła na studia, kazała do siebie mówić „mamusiu”. Kate potrafiła używać słowa „matka” tylko wtedy, kiedy była na nią zła.

– Któż może wiedzieć, dlaczego twój ojciec robi to, co robi? – Birdie nie powiedziała tego szorstkim tonem, jak należało się spodziewać. Dziś wydawała się raczej smutna. Kate przyjrzała się jej nieco uważniej. Czyżby wyglądała na szczuplejszą, drobniejszą? Zauważyła, że Birdie porusza się dość sztywno, być może znów odezwała się jej rwa kulszowa. Wiedziała, że lepiej o to nie pytać. Birdie nie lubiła rozmawiać o swoich fizycznych słabościach.

– Na co patrzysz? – spytała Kate. Matka nie odrywała wzroku od domu.

– Na nic – odpowiedziała. Kiedy znów spojrzała na córkę, uśmiechała się nieszczerze. – Żle spałam, ta burza była naprawdę gwałtowna.

Jadąc na przystań, Kate widziała połamane gałęzie leżące przy drodze i jedno przewrócone drzewo. Wyspa wyglądała, jakby ktoś ją właśnie wyszorował do czysta, jak zwykle po dużym deszczu. Kate pamiętała, jak przerażające i gwałtowne wydawały się jej burze, kiedy była dzieckiem, jak głośno wtedy huczały grzmoty i trzaskały błyskawice. Zawsze wysiadał prąd i natychmiast przestawało działać połączenie telefoniczne. Zastanawiała się wówczas, jak uciekną z wyspy, jeśli zajdzie taka konieczność, na przykład gdy piorun uderzy w dom i wybuchnie pożar, a wody jeziora będą niespokojne.

– Potrafię poprowadzić łódź w każdą pogodę – mówiła wówczas Birdie, żeby uspokoić obawy dziecka. – Robiłam to już.

– Zgadza się – potwierdzał ojciec. – Natura jeszcze nie wymyśliła klęski żywiołowej, która byłaby w stanie pokonać twoją matkę.

– Tutaj nigdy nie musisz się niczego bać – dodawała Birdie. – Zawsze jesteś bezpieczna.

Kate nie wiedziała, co mama ma na myśli. Przecież były otoczone wodą, często odcięte od świata, zdane na kaprysy pogody. Już dwa razy zdarzyło się, że pożar spustoszył jedną z wysp. Ale skoro mama tak mówiła, Kate musiała jej uwierzyć.

– Dobrze sobie poradziłaś z łodzią, Katherine – powiedziała Birdie. Unikała jednak wzroku córki, jakby wypowiedzenie pochwały sprawiło jej ból.

– Razem z Chelsea byłam na szkoleniu.

– Cóż... Najwyższy czas.

Kate wyrzuciła oczami z irytacją.

Wspólnie wnieśli bagaże do domu. Kate postarała się zabrać najcięższe walizki i przekonała matkę, że warto obrócić dwa razy. Birdie nie protestowała. Kiedy sądziła, że Kate na nią nie patrzy, kładła rękę na plecach i krzywiła się z bólu. Dlaczego ona musi tłamsić wszystko w sobie? – zastanawiała się Kate. Dlaczego nie potrafi okazać słabości, nawet przed własną córką? Chciała już coś powiedzieć, jednak rozmyśliła się.

– Może ci pomóc, mam? – spytała Chelsea, doganiając Kate, która właśnie wracała na pomost.

– Tak. – Z tyłu dobiegł głos Lulu. – Przyniesiemy resztę.

Kate przez chwilę chciała zbyć ich prośbę: „Nie, idźcie pobiegać, dziewczyny”. Pamiętała jednak, jak sama się kiedyś czuła, gdy była młodsza i oferowała pomoc, a stykała się z odmową. W kontaktach z Birdie zawsze oznaczało to poczucie odrzucenia: „Nie potrafisz tego zrobić dobrze, zrobię to sama”. Zresztą to nie tylko kwestia intuicji: matka wiele razy użyła dokładnie takich słów. Pragnienie bycia osobą, która jest w stanie zrobić wszystko samodzielnie, która nie chce niczyjej pomocy, to chyba kolejny przejaw potrzeby kontroli nad otoczeniem.

– Jasne, Birdie, odgrywaj rolę męczennika – często powtarzał ojciec Kate. – To naprawdę urocze. – A nawiasem mówiąc, jaką rolę wyznaczył sobie? Ciągle przed telewizorem, albo z książką w ręku i uniesionymi nogami. Kate nigdy nie widziała, żeby zmywał naczynia, mył podłogi albo ścierał łóżka. Czyżby dał sobie spokój na długo przed tym, zanim urodziły się dzieci?

– Świetny pomysł, moje drogie – powiedziała Kate i objęła obie dziewczyny ramionami. – Dziękuję.

Resztę drogi Chelsea i Lulu pokonały lekkim, tanecznym krokiem, biegnąc po skałach zupełnie bez obawy, że stracą równowagę. W blasku słońca wyglądały jak leśne skrzaty. Śmiały się, gdy głośno wbiegły na pomost, a echo ich kroków i wybuchów radości rozbrzmiewało w całej zatoce. Kate odwróciła się i spojrzała w kierunku domu. Na werandzie stała Birdie. Ręką osłaniała oczy przed słońcem. Kate nie była w stanie

stwierdzić, czy jej matka się uśmiecha, czy ma ponurą minę.

Mówi Birdie Burke, z drugiego brzegu cieśniny. – Birdie siedziała przy biurku w swoim pokoju. Słyszała głosy Chelsea i Lulu, śmiech dziewcząt przypominających dźwięk rozbrzmiewających gdzieś w oddali dzwonek. Kate była teraz w domku dla gości, gdzie rozpakowywała bagaże i szykowała miejsce do spania.

– A, dzień dobry – powiedział John Cross. – Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziała Birdie. Mocniej ścisnęła słuchawkę. – Jak sobie poradziłeś w czasie burzy?

Birdie nie spała przez większość nocy; nawałnicy towarzyszyło wycie porywistego wiatru. Jednak nie tylko z powodu pogody aż do wczesnych godzin porannych przewracała się z boku na bok. Chodziło o intruza, o zdjęcie, o zbliżający się przyjazd Kate i jej rodziny... Nie potrafiła uspokoić umysłu. Zawsze tak się działo, nigdy nie umiała zachować kontroli nad kłębiącymi się w jej głowie myślami. A teraz jeszcze doszła do tego rwa kulszowa, ten ogień spływający z kręgosłupa wzdłuż nogi, przez który traciła dech w piersiach. Nie był to może ból o takim natężeniu, jak przy porodzie, ale paskudnie go przypominał. Na wyspie miała tylko tylenol, który w żaden sposób nie mógł ulżyć jej cierpieniom.

Mimo burzy i bólu w końcu udało jej się usnąć, mniej więcej o trzeciej nad ranem. Poranek był pogodny i rześki, wiatr nie wyrządził żadnych widocznych szkód w budynkach, wokół leżały jedynie porozrzucane liście i gałęzie drzew. Ból także zniknął – równie szybko jak się pojawił.

– Nieźle – powiedział John Cross. – Żadnych strat. A jak u ciebie?

– Wszystko u nas w porządku. John, dziękuję za wczorajszą pomoc. Trochę jestem zakłopotana całą tą historią.

– Od tego przecież są sąsiedzi – odparł Cross. Wydawał się nieco nieobecny i rozkojarzony. Birdie oczekiwała, że w trakcie rozmowy telefonicznej okaże się nieco bardziej gadatliwy. Spotkała go dotąd kilka razy i zawsze sprawiał na niej wrażenie gawędziarza.

– Myślałam właśnie... – zaczęła. Nagle poczuła, że to głupie. Nie dokończyła zdania i w słuchawce zapadło krępujące, przedłużające się milczenie.

– Widziałem, że niedawno wróciłeś ze swoją rodziną – powiedział w końcu Cross.

– Tak. – Birdie chciała wyjaśnić, że Lulu nie należy do rodziny, ale przecież nie było to istotne.

– Może byćście wszystkie do mnie wpadły na drinka pod wieczór? Około piątej?

Birdie przyjęła zaproszenie, choć w normalnych okolicznościach by je odrzuciła. Zwykle nie lubiła nawiązywać bliższych kontaktów z sąsiadami. Nie radziła sobie bez Joego, który miał szczególny dar prowadzenia rozmowy i wprawiania całego towarzystwa w dobry humor, zwłaszcza kiedy zdarzyło mu się trochę wypić.

– Myślałam właśnie – powtórzyła – o twojej wyspie.

– Tak?

– O jej historii i poprzednich właścicielach.

– Aha – odparł Cross, ale nie powiedział nic więcej.

Birdie musiała gadać dalej, żeby wypełnić ciszę.

– To trochę mój konik, lubię poznawać dzieje naszych wysp.

Tak rzeczywiście było, Birdie zdołała posiąść sporą wiedzę o niektórych miejscach z ciekawą przeszłością. Wysepka po drugiej stronie cieśniny, niezamieszкана od kiedy Birdie sięgała pamięcią, do tej pory nie wzbudzała jej zainteresowania. A może podświadomie unikała tego tematu?

Po drugiej stronie linii znów przez dłuższą chwilę panowała cisza.

– John?

– To zabawne, że o to pytasz, Birdie – odezwał się Cross. – Też od jakiegoś czasu zbieram informacje. Dowiedziałem się całkiem sporo o tej wyspie.

Birdie pomyślała, że sąsiad mógłby zdradzić nieco więcej szczegółów, ale powiedziała tylko:

– Chętnie porozmawiam o tym z tobą dziś wieczorem.

Tak naprawdę chciała zadać mu parę pytań, jednak nie zamierzała okazywać niecierpliwości. Nie mogła przecież dopuścić, by ktokolwiek pomyślał, że może zaferować jej coś, czego potrzebowała lub pragnęła.

– Zatem doskonale – powiedziała swobodnym tonem. – Do zobaczenia o piątej.

Wyszła z pokoju i natknęła się w połączonej z salonem kuchni na Kate. Po obu stronach pomieszczenia znajdowały się panoramiczne okna, wysokie od podłogi do sufitu, przez które można było podziwiać otoczenie. Zieleń drzew, błękit nieba i szarość skalistych wysepek tworzyły tu naturalnie piękne, kojące tło.

– Chcesz herbaty? – spytała Kate.

– Poproszę. – Birdie usiadła na sofie i obserwowała córkę krzątającą się w kuchni. Miała kłopot z usiedzeniem na miejscu, kiedy przebywała tutaj inna osoba. Przechyliła się do przodu i ułożyła czasopisma na stoliku do kawy, wykonanym z klonowego drewna. Poprawiła poduszki na pluszowej sofie. Zauważyła, że wiszący nad długim stołem jadalnym żyrandol zrobiony z poroża – wybrany przez Joego – wymaga odkurzenia, i że niektóre książki z wysokich regałów, przeglądane wcześniej przez Johna Crossa, znajdują się teraz w niewłaściwym miejscu. Wstała, by je przestawić.

Podeszła do barku stojącego przy stole, chcąc sprawdzić ilość alkoholi w butelkach. Szkockiej zostało już niewiele, a porto nikt nie otwierał od wielu miesięcy. Wróciła na kanapę, spoglądając na córkę.

– Niech trochę naciągnie – powiedziała, gdy Kate przelała wrzątek z czajnika do imbryka. – Filiżanki z tego serwisu są w szafce po prawej stronie zlewu.

Kate zajrzała do szafki, ale Birdie domyśliła się, że jej córka nie widzi filiżanek, po prostu stoi i patrzy. Czy zawsze wszystko trzeba robić samemu?

– Dobrze – powiedziała. Wstała i poszła do kuchni. – Usiądź już. Zajmę się tym.

Kate z kamiennym wyrazem twarzy, nieobcym także jej ojcu, bez słowa zajęła miejsce, które przed chwilą opuściła matka. Kiedyś Birdie podsłuchiwała, jak Joe mówił do Kate:

– Nieważne, o co chodzi, pozwól jej to zrobić. I tak nigdy jej do końca nie zadowolisz, a ona będzie ci to ciągle wypominać. – Wspomnienie było bolesne, ale tak to zwykle bywa ze wspomnieniami.

Wyjęła filiżanki, spodeczki, tacę i łyżeczki, aby skompletować serwis. Z lodówki wzięła mleko i cukiernicę, po czym zaniósła wszystko do stolika. Kate zdjęła z blatu czasopisma – które jej mama przed chwilą równo ułożyła... zresztą, nieważne. Birdie postawiła na nim tacę z przyjemnym brzęknięciem.

Zdawała sobie sprawę, że Kate pozbawiona nadzoru zrobiłaby herbatę od razu w kubku, a potem wyrzuciła torebkę do śmieci. Jednak z jednej torebki umieszczonej w imbryku można było zrobić wiele filiżanek herbaty, a sam rytuał podawania tego napoju niósł ze sobą spokój i pozwalał skupić myśli. Pokolenie Kate nie doceniało już takich rzeczy. Wszystko odbywało się w pośpiechu; chodziło o znalezienie najkrótszej drogi między dwoma dowolnymi punktami. Po co brudzić filiżanki, spodeczki, łyżeczki, imbryk, tacę, skoro wszystko da się załatwić za pomocą kubka? Po co gotować wodę w czajniku, co zajmuje dziesięć minut, skoro można podgrzać ją w mikrofalówce w dwie minuty? A przecież istniały właściwe sposoby wykonywania różnych czynności. Robienie ich w odpowiedni sposób samo w sobie wynagradzało wszelkie trudy. Młodzi ludzie nie pojmowali już takich spraw.

– Popłyniemy na Cross Island o piątej – powiedziała. Wlała herbatę do filiżanki i podała ją Kate.

– Tak? Myślałam, że nie spotykamy się z sąsiadami.

Kate i Theodore zawsze chcieli bawić się z dziećmi z sąsiednich wysp, jednak Birdie nigdy na to nie pozwalała. Kiedy byli starsi, sami zabierali łódź. Birdie irytowała myśl, że spoufalają się z synem dozorczy albo córkami kapitana przystani. Dzieci nigdy nie dostrzegały granic dzielących różne klasy. Nie można im było wytłumaczyć, dlaczego niezręczne jest wspólne spożywanie posiłków z pewnymi osobami, a potem wydawanie im poleceń, jeśli byli pracownikami. Kate i Theo uważali swoją matkę za straszną snobkę.

– On zna Sebastiana – powiedziała Birdie, czekając na jakąś reakcję Kate, ta jednak pozostała obojętna. Spojrzała tylko znad filiżanki i spytała:

– Skąd?

– Zdaje się, że obracają się w tych samych kręgach wydawniczych. A co właściwie słysząc u Sebastiana?

– Nie pije. Ale poza tym w ogóle się nie zmienił.

– Ożenił się ponownie?

Kate wzruszyła ramionami.

– Mieszka z kimś. Ta kobieta jest w porządku, jest miła dla Chelsea, a to przecież najważniejsze.

– Hmm – mruknęła Birdie. – Co za szkoda...

Gdyby Kate była młodsza, odgryzłaby się matce. „Co przez to rozumiesz?”. Domagałaby się wyjaśnień. Potem nastąpiłaby na pewno jakaś kłótnia. Jednak macierzyństwo najwyraźniej złagodziło charakter córki, choć może „złagodziło” nie było właściwym określeniem. Kate nabrała dystansu, już nie angażowała się emocjonalnie tak łatwo. Theo zachowywał się podobnie. Oboje powoli odsuwali się od Birdie i jej wpływów. Może tak zachowują się wszystkie dorosłe dzieci, a może dotyczyło to tylko jej potomstwa? Znajomi Birdie zawsze wydawali się bardzo zajęci wnukami, opiekowali się nimi, planowali wakacyjne wyprawy z całą rodziną, przygotowywali do odwiedzin albo sami wybierali się do swoich dzieci. Birdie starała się nie myśleć o tym, że rzadko planuje tego rodzaju przedsięwzięcia wspólnie z Theo czy Kate. Oboje przyjeżdżali wprawdzie na wyspę i wpadali na chwilę, kiedy była w mieście, ale nic poza tym.

Kate odchyliła plecy i wygodnie rozsiadła się na sofie, zakładając nogę na nogę.

– Świetnie. Mam na myśli twoje plany na wieczór – powiedziała, ignorując zaczepkę matki. – Rozumiem, że dziewczyny zostaną na wyspie.

– Oczywiście! – Birdie nie wyobrażała sobie, żeby ta ulicznica wzięła udział w spotkaniu, jakby była członkiem rodziny. I nie musiała tego mówić, Kate o tym wiedziała.

Niespodziewanie Birdie zapragnęła opowiedzieć córce o wczorajszych wydarzeniach. Jakaś jej część chciała podzielić się opowieścią o albumie z fotografiami i wspomnieniem z dzieciństwa; zauważyć, że to wszystko się ze sobą wiąże. Birdie czuła, że musi się komuś zwierzyć z tego, co wciąż kołatało się w jej głowie, niczym świergot przerażonych ptaków, uwięzionych na strychu i chcących wydostać się na zewnątrz. Nie potrafiła jednak ubrać tych myśli w słowa.

– Ona nie jest taką złą dziewczyną – stwierdziła Kate, komentując uwagę dotyczącą Lulu, której Birdie nie wypowiedziała na głos.

– Miałam nadzieję, że to będzie spotkanie rodzinne. – Birdie przyglądała nogawkę spodni i spróbowała przybrać nieco urażoną minę.

Jej córka wzniosła oczy, jakby trudno było o głupszą wypowiedź.

– Przecież jest. A przynajmniej będzie, gdy pojawią się tu tata, Sean i Brendan.

Birdie prychnęła z niezadowolaniem. – Dlaczego zawsze wydajesz ten dźwięk?! – dopytywał się Joe. – Dlaczego po prostu nie powiesz, co myślisz?

– Theodore zrezygnował z przyjazdu – powiedziała. – Domyślasz się, dlaczego?

– Powiedział, że nie może się wyrwać z pracy. – Kate skierowała wzrok za okno. Birdie sądziła, że jej córka powie nieco więcej, ale Kate tylko wypila kolejny łyk herbaty.

– Wierzysz w to?

Kate rzuciła matce chłodne spojrzenie i lekko uniosła brwi.

– A dlaczego mam nie wierzyć, mam? Potrafisz znaleźć inny powód, dla którego nie chciałby tu przyjechać? – Z tonu jej głosu można było wywnioskować, co naprawdę myśli.

Birdie nie odezwała się. Na zewnątrz rozległ się krzyk jednej z dziewczyn – mógł być okrzykiem przerażenia albo radości. Birdie widziała ją za oknem. Szły wzdłuż brzegu na tle rozświetlonego słońcem nieba. Wyglądały wprost uroczo: szczupłe postaci z rozpuszczonymi włosami, o twarzach rozjaśnionych południowym światłem. Birdie nie pamiętała już, jak to jest, gdy jest się tak młodą osobą. „Ty nigdy nie byłaś taka młoda!”, powiedziałyby bez wątplenia Joe. I być może miałby rację.

– Napisałam książkę – odezwała się Kate. Powiedziała to spokojnie, niemal z zadumą. Birdie ledwo ją usłyszała, ale znaczenie słów do niej dotarło.

– Naprawdę?

– Tak. – Kate z powagą spojrzała na swoją filiżankę. – Zawsze chciałam pisać, ale do tej pory nigdy mi się nie udało tym zająć.

Birdie wiedziała, co to znaczy chcieć coś robić, ale nigdy tego nie osiągnąć. W dzieciństwie miała nadzieję, że zostanie tancerką. Zaczęła nosić baletki, kiedy miała cztery lata. Powiedziano jej, że nie ma odpowiedniej budowy ciała, że jej nogi są zbyt krótkie i ma zbyt szeroki tors. Sylwetka nie była wystarczająco smukła, Birdie nie odznaczała się naturalną postawą, chociaż miała talent, wszyscy to przyznawali. Biologia jest niestety bezlitosna.

– Tak w życiu bywa – powiedziała Birdie. Kate spojrzała na nią z zaskoczeniem. Jakiej odpowiedzi się spodziewała?

– Tak. Rzeczywiście, tak bywa.

– Masz swojego agenta? – Birdie poczuła dreszcz niepokoju, choć nie potrafiła powiedzieć, z jakiego powodu. – Twój ojciec zna parę osób.

– Mam swojego agenta. – Kate uśmiechnęła się zdawkowo. – I znalazłam wydawcę, a właściwie prawa do książki sprzedano na aukcji. Ukaże się w lecie przyszłego roku.

Birdie poczuła, że ogarnia ją zaskoczenie, a potem niespodziewanie pojawia się ledwo zauważalny przypływ zazdrości.

– Tym razem przywoziłaś ze sobą mnóstwo wiadomości. – Powiedziała to nienaturalnym tonem, sama to usłyszała.

– Chyba rzeczywiście przywoziłam.

– No cóż, gratuluję, kochanie. Na pewno cieszysz się, że wreszcie odkryłaś swoje powołanie. – Zobaczyła, że niepewny uśmiech na twarzy Kate gaśnie i zrobiło jej się przykro. – Jakiego rodzaju jest to książka?

– To powieść – odparła Kate. – Historia rodzinna. Caroline przekazała mi swoje pamiętniki i dzienniki spisane przez babcię Lanę. Te pamiętniki... zainspirowały mnie.

– Napisałaś o naszej rodzinie?! – Birdie była niemal przerażona.

– Nie, nie – szybko powiedziała Kate i uniosła dłoń. – Nie o nas. Niezupełnie.

Birdie nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. Nie dopytywała się o fabułę powieści ani o wysokość zaliczki, nie umiała zadać też innych pytań, które na pewno zadaliby podekscytowani i dumni rodzice. A przecież wiadomość sprawiła jej radość, Birdie czuła się dumna z córki. Na pewno tak było.

Nie wiadomo dlaczego, zapragnęła po prostu pożegnać się i wyjść.

– Cóż... – odezwała się po chwili niezręcznego milczenia. – Pójdę sprawdzić łódź.

– Dobrze, idź.

Kate bardziej przypominała Caroline niż Birdie, co w pewnym sensie dało się wytłumaczyć, bo zawsze wolała przebywać w towarzystwie ciotki niż swojej matki. Była ładną dziewczyną w podobnym typie co Caroline: miała zadarty nos, pełne usta i zaróżowione policzki. Birdie zastanawiała się, co jeszcze powinna dodać. Co powiedziałyby w takiej sytuacji Caroline? Jakieś egzaltowane, górnolotne zdanie, może opinię pełną życzliwości. Birdie jednak, jak zwykle zresztą, nie potrafiła zmniejszyć dystansu, jaki dzielił ją od dzieci.

Jej filiżanka stała nietknięta na tacy.

– Zawołaj mnie, jeśli będziesz potrzebować pomocy. – Kate odwróciła spojrzenie od okna.

– Dlaczego miałabym potrzebować twojej pomocy? – spytała Birdie. Szybko podniosła się z miejsca i założyła kurtkę. Nie chciała, żeby to zabrzmiało w ten sposób. Chciała tylko powiedzieć, że poradzi sobie sama; przecież już w dzieciństwie potrafiła sobie poradzić. Nie była wcale mniej sprawna niż kiedyś, mimo upływu lat. Jednak w powietrzu wciąż wisiały wypowiedziane ostrym tonem słowa i ich niezamierzony sens, a Birdie nie miała ochoty się tłumaczyć. Nie powinna się nikomu tłumaczyć.

– Oczywiście, że nie potrzebujesz – stwierdziła Kate i znów odwróciła wzrok. Podniosła jedno z czasopism i zaczęła je kartkować. Birdie szybko opuściła pomieszczenie.

Emily pamiętała, że odwiedzała tamto miejsce dwukrotnie, mniej więcej o tej porze roku, jeszcze zanim liście zaczynały żółknąć, gdy wciąż było upalnie, ale letnie dni stawały się coraz krótsze. Jako dziecko zawsze cierpiała na chorobę lokomocyjną. Kręciła się niespokojnie na tylnym siedzeniu, nawet jeśli wszystkie okna były otwarte i chłodziło ją świeże powietrze. Zdarzyło się jej zwymiotować w samochodzie.

Nie to jednak najbardziej utkwiło Emily w pamięci. Wspominała przede wszystkim tego człowieka i to, jak matka zmieniała się w jego obecności w zupełnie inną osobę. Przy nim robiła się radosna, wybuchała śmiechem jak młoda dziewczyna. Miał na lewej dłoni błyszczącą złotą obrączkę i grubą złotą bransoletkę. Pachniał inaczej niż mężczyźni, których znała – ci kojarzyli się z wonią papierosów i wódy. Pachniał perfumami.

– To właśnie zapach pieniędzy, kochanie – powiedziała matka, gdy Emily jej kiedyś o tym wspomniała. – Zapach mnóstwa, mnóstwa pieniędzy.

Zawsze był mocno opalony, jego uśmiechnięte oczy iskrzyły się morską zielenią. – „Gdzie jest moja mała Em?” – wołał, a ona biegła w jego objęcia. Unosił ją wysoko, jakby była lekka jak piórko, a potem mocno przytulał. Ile miała lat, gdy ostatnio go widziała, kiedy ostatnim razem tam ją zabrał? Cztery, pięć? Wtedy, podczas ostatniej wizyty, coś się wydarzyło. Coś strasznego. Nie pamiętała dokładnie, co – słyszała podniesione głosy, hałas wydawany przez rzucane i rozbijające się przedmioty. Później już nigdy nie zobaczyła swojego ojca.

– On nas nie chce, Emily – powiedziała wtedy mama. – Nie chce nas już więcej widzieć.

Ponieważ od tej pory ojciec nigdy nie kontaktował się z Emily, nie dzwonił, nie przysyłał pocztówek ani prezentów, Emily nie miała powodu sądzić, że było inaczej. Przychodził do niej jako władca snu w postaci jasnej, srebrzystej zjawy, tuż przed zaśnięciem. Stał się tylko jednym z jej snów.

W życiu matki pojawiali się inni mężczyźni, i byli całkiem fajni. Emily nie miała żadnych złych wspomnień związanych z użyciem przemocy. Ale byli jedynie rysunkowymi postaciami, które pojawiały się i znikaly, pozostawiając po sobie wyłącznie parę kiepskich zdjęć i tanich lalek, których wcale nie pragnęła dostać w prezencie.

– Musimy pozbyć się auta – powiedział Dean.

Jechali już bardzo długo. Motel, w którym zostawili Brada, znajdował się gdzieś w New Jersey. Właśnie wjechali do miasteczka o nazwie The Hollows, gdzie zatrzymali się, żeby zatankować samochód i coś zjeść w McDrive'ie.

– Będą go szukać – dodał Dean.

Emily też już o tym myślała, jednak nie odezwała się. Nie chciała kraść samochodu, a musieli to zrobić, jeśli mieli zamiar kontynuować ucieczkę. Może podświadomie pragnęła, żeby ich zatrzymano, żeby to wszystko wreszcie się skończyło? Dziewczyna w okienku dziwnie im się przypatrywała, być może opublikowano jakiś list gończy. Po chwili Emily zrozumiała, że kelnerka musiała przyglądać się jej spuchniętej szczęce. Z zakłopotaniem osłoniła twarz dłonią, a wtedy dziewczyna odwróciła spojrzenie.

Dean zjechał na pobocze.

– Co robisz?

– Zauważyłem fajny wóz.

– Nie – odparła. – Jedź dalej. Jeśli ukradniemy komuś samochód spod domu, zgłoszą to na policję, a policja zacznie szukać właśnie tego auta. Znajdą niedaleko stąd mustanga i domyślą się, że to my. Lepiej coś zabrać z jakiegoś parkingu. Mam rację?

Uznała, że to logiczny plan, ale Dean nie wyglądał na przekonanego. W końcu co ona mogła wiedzieć o kradzieżach samochodów, albo o tym, czego może szukać policja?

W radiu usłyszeli, że nie jest znana tożsamość napastników, którzy obrabowali „Niebieską Kwokę”, zabili młodego pracownika i pozostawili właścicielkę lokalu w stanie krytycznym. Kamera monitoringu zarejestrowała dwóch zamaskowanych mężczyzn wchodzących tylnym wejściem, a potem opuszczających restaurację z młodą kobietą zatrudnioną w restauracji. Uważano, że jest ich zakładniczką. Carol na pewno nie obudziła się jeszcze ze śpiączki, więc nie mogła temu zaprzeczyć. A Angelo... nigdy już nikomu niczego nie powie.

Dean nie zatrzymał samochodu. Od opuszczenia motelu dało się z nim dogadać, ale zaczynał już się denerwować i robić rozdrażniony. Zapamiętała obgryzał kciuk podczas całej podróży.

– Daleko jeszcze? – spytał.

Emily spojrzała na ekranik nawigacji przymocowany pośrodku deski rozdzielczej. Kolejny dziwny prezent od Deana; nie miała pojęcia, skąd go wytrzasnął, ale urządzenie było nowe, w oryginalnym pudełku. Wozila je w samochodzie na wypadek, gdyby kiedyś okazało się potrzebne. Myślała, że nigdy tak się nie stanie – nie wybierała się przecież w miejsca, których nie odwiedziła wcześniej setki razy. Teraz jednak GPS rzeczywiście się przydał.

– Niedaleko – odparła.

Przez wiele lat ludziom, którzy pytali ją o ojca, odpowiadała, że tata nie żyje. Mówiła, że zginął w wypadku samochodowym, gdy była małą dziewczynką, i że go nawet nie pamięta. Rozmówcy, zwłaszcza osoby dorosłe, przyjmowali to ze smutkiem. Zyskiwała ich uwagę i współczucie, co jej odpowiadało. Prawda była prostsza: matka Emily miała romans z żonatym mężczyzną, a Emily była owocem tego romansu. Kiedy żona ojca się o tym dowiedziała, wybuchała straszliwa afera. Aby uratować małżeństwo, ojciec musiał obiecać, że nigdy już się z nimi nie spotka. I dotrzymał obietnicy. Taką historię udało się Emily złożyć z niewielkich fragmentów opowiedzianych przez matkę, z podsłuchanych rozmów między mamą i ciotką. Nosiła jego nazwisko, które było inne niż nazwisko matki.

Gdy Emily miała trzynaście lat, na komódce mamy znalazła czek. Opiewał na kwotę pięciuset dolarów, a u góry blankietu widniało nazwisko ojca i jego adres – informacje podane czarno na białym, słowa wydrukowane na kawałku papieru. Ojciec istniał, był człowiekiem z krwi i kości posiadającym konto w banku. Zawsze wyobrażała sobie, że mieszka w jakimś niedostępnym miejscu, bardzo daleko stąd. Nigdy nie myślała o nim jak o kimś bliskim, prowadzącym normalne życie.

Pokiwała głową, patrząc w okno, gdy nagle poczuła zapach dymu i benzyny. Wyprostowała się w fotelu. Coś takiego już się kiedyś zdarzyło. Po chwili silnik auta zaczął się krztusić, a potem zaterkotał i zgasł.

– Kurwa! – wrzasnął Dean. – Kurwa mać!

Skierował toczące się nadal auto na pobocze, gdzie wkrótce się zatrzymało. Dean kilkakrotnie spróbował przekręcić kluczyk w stacyjce. Po chwili w silniku rozległ się straszliwy chrzęst. Dean otworzył maskę i w niebo uniosły się wielkie kłęby czarnego dymu. Kaszląc, wysiedli z samochodu. Dean zasłonił usta i klnąc zajrzał pod maskę. Oboje nie znali się zupełnie na samochodach, ale chyba tylko Emily zdawała sobie z tego sprawę.

Po paru minutach bezproduktywnego wpatrywania się w silnik Dean wyprostował się, rozkaszlawszy się jeszcze bardziej. Było już ciemno, widzieli tylko przyćmione światło latarni przy opustoszałej drodze. Otaczały ich jedynie drzewa. Na końcu długiego podjazdu do czyjegós domu stała stara, przekrzywiona skrzynka pocztowa.

– I co teraz? – spytał Dean. Echo jego głosu zabrzmiało w nocnej ciszy. W krzakach coś się poruszyło. Emily spodziewała się, że jej chłopak będzie na nią wściekły, że zacznie się wydierać, co zwykle robił, kiedy sprawy przybierały zły obrót. Była na to przygotowana, ale kiedy na niego spojrzała, wyglądał na równie zagubionego i zrozpaczonego co ona.

- Może to już koniec. Przegraliśmy. Musimy zgłosić się na policję. – Nie zamierzała mówić tego na głos, ale słowa przyszły do niej same.
- Nie – odparł cicho Dean. – Nie mogę tego zrobić.

Usiadł na trawie na poboczu i ukrył twarz w dłoniach. Emily usiadła obok niego i oparła głowę o jego ramię. Nie dotrą tam, dokąd zmierzali. To miejsce nie istniało. Jak wszystko, czego kiedykolwiek pragnęła, było zbyt daleko, by mogła go chociażby dotknąć. Miała nadzieję, że pojedą tam i przeczekają zimę. Myśl o tym, że może znaleźć się tam razem z Deanem, mieszkać z nim, że będą tylko we dwoje, choćby przez krótki czas, sprawiała, że promieniała radością. Z tym miejscem wiązały się same dobre rzeczy. Nawet ludzie nieszczęśliwi, tacy jak jej matka, znajdowali tam szczęście.

– I co teraz zrobimy? – spytał Dean.

Emily chciała odpowiedzieć, że nie ma pojęcia, gdy usłyszała nadjeżdżający samochód. Nie zastanawiając się, weszła na jezdnię. Dean schylił się i zajrzał do samochodu. Widziała, że bierze torbę z pieniędzmi i tę większą, w której znajdowały się wszystkie zakupy. Za paskiem schował rewolwer.

Emily patrzyła na zbliżające się światła i zaczęła machać rękami. Dean jeszcze raz zajrzał do wozu, a potem usunął się z pola widzenia.

Zachowywali się tak, jakby robili to nie po raz pierwszy, mimo że Emily nie miała żadnego planu. Wcześniej zaciesała włosy do tyłu, udała jej się też usunąć resztki krwi spod paznokci. Wiedziała, że wygląda na młodą, schludną osobę, miała tylko siniaka na twarzy. Któżby się nie zatrzymał, widząc zagubioną dziewczynę przy zepsutym samochodzie na nieoświetlonym odcinku drogi?

Nadjeżdżające auto, okazałych rozmiarów rdzawoczerwony SUV, zatrzymało się. Emily pobiegła w jego kierunku. Nie widziała osoby siedzącej za kierownicą i nie miała pojęcia, co się teraz wydarzy. Nie wiedziała, co powie, kiedy dotrze do samochodu. Niektóre chwile zdawały się rozciągać w nieskończoność, trwały wiecznie i były pełne różnych możliwości. Było w tym coś przerażającego, ale równocześnie ekscytującego.

Z mamą łączyło mnie coś, czego brakowało w jej kontaktach z Birdie i Gene'em. Chociaż trudno doszukać się w tym winy, mojej czy mamy, mam wrażenie, że Birdie, a być może także i Gene, mieli mi to trochę za złe. Istniała między nami więź wykraczająca poza związek matki z córką. Dlatego właśnie mnie mama ofiarowała swoje dzienniki. Sądzę, że chciała, abym poznała ją jako człowieka, jako Lanę – młodą kobietę, która podejmowała różne decyzje i czasami popełniała błędy – nie zaś jedynie jako matkę. Chciała, żebym dowiedziała się więcej o niej samej, o jej radościach i smutkach, wzlotach i upadkach. Nie można poznać własnej matki od tej strony, dopóki samemu nie osiągnie się odpowiedniego wieku. Być może da się to zrobić dopiero po jej śmierci.

Jesteś jedyną osobą, którą mogłabym nazwać córką, Kate. Dlatego właśnie tobie przekazuję mój pamiętnik i zapiski Lany. Wiem, że potrafisz zrozumieć i docenić to, co zostało w nich zapisane – być może nie ma nikogo innego, kto byłby w stanie to zrobić. Wiem, że nie będziesz osądzać ani mnie, ani swojej babci. Mówiłaś mi kiedyś, co jest twoim największym koszmarem: że pewnego dnia staniesz się taka jak Birdie. Na pewno, na pewno nigdy taka nie będziesz! W ogóle nie jesteś do niej podobna, nie przypominasz też zbyt swojemu ojcu. Myślę, że jesteś doskonałym wynikiem ich niedopasowania. W jakiś sposób, kochanie, udało ci się odziedziczyć najlepsze cechy obojga rodziców.

Słowa Caroline rozbrzmiewały w głowie Kate, od kiedy znalazła się na wyspie. Przyjechała tu po raz pierwszy po zakończeniu pisania powieści i mogła spojrzeć na to miejsce w inny sposób – nie oczami dziecka, lecz dorosłej osoby.

Kate wciąż żyła wydarzeniami opisanymi na kartach pamiętników Lany i Caroline, a powietrze wydawało się wprost naelektryzowane zarejestrowanymi przez obie kobiety wspomnieniami. Zapisane słowa mieszały się z własnymi reminiscencjami Kate ze wszystkich spędzonych tutaj letnich miesięcy. Wyspa ożyła w sposób zupełnie dotąd niespotykany.

Kate wiedziała teraz o miejscu, które stanowiło azyl jej matki, więcej niż sama Birdie. Przyjmowała to ze smutkiem, obawą i odrobiną złośliwej satysfakcji.

Chciała się z nią tym wszystkim podzielić, chociaż wiedziała, że nie będzie to łatwe. Chwila, kiedy obie siedziały nad imbrykiem herbaty, wydawała się wprost wymarzona, by opowiedzieć o pamiętnikach Caroline i Lany, o opisanych w nich sprawach i o tym, jak bardzo okazały się dla Kate inspirujące. Prawdę mówiąc, przywozła te zapiski na wyspę z zamiarem przekazania ich swojej matce, ta jednak właściwie uciekła, nie wysłuchawszy Kate do końca. Odpowiedni moment – mimo że nieco krępujący i zupełnie inny, niż Kate sobie wyobrażała – minął.

Birdie przekazała dziewczętom dokładne instrukcje dotyczące przygotowania posiłku. Kate dodatkowo wyszczególniła wszystkie reguły, których miały przestrzegać, gdy ona razem z Birdie popłyną na drugą stronę cieśniny:

– Posprzątajcie po sobie. Pozmywajcie naczynia przed kolacją. Sprawdźcie, czy w sałacie nie ma ziemi. Wyłączcie piekarnik, kiedy szynka się upieczę. I nie pal w domu, Lulu! – Kate wcześniej zauważyła Lulu nad brzegiem z papierosem w dłoni. Ucieszyła się, że Chelsea nie dołączyła do przyjaciółki.

Gdyby to zależało od Kate, zabrałaby je na Cross Island, Birdie uważała jednak, że dzieci nie powinny uczestniczyć w spotkaniach towarzyskich z dorosłymi. Poza tym Lulu najwyraźniej już żałowała, że zdecydowała się tu przyjechać.

– Chyba mówią pani, że jest tu zasięg – powiedziała. Dziewczyna miała teraz na sobie kwiecisty fartuch, który kazała jej założyć Birdie. Był dla niej za duży. Wyglądała w nim jak dziecko, którym zresztą była.

– Najwyraźniej sygnał nie jest stabilny – odparła Kate. Lulu rzuciła jej puste spojrzenie. – Pojawia się i znika – wyjaśniła Kate. – Prawdopodobnie to wina burz. Albo gór?

Lulu zerknęła na wyświetlacz telefonu.

– Tak?

Chelsea wyjęła jej komórkę z dłoni i odłożyła na blat z dala od koleżanki.

– Zostaw już to, Lulu. Pomóż mi robić sałatkę.

Lulu rzuciła tęskne spojrzenie na swój telefon, a potem niechętnie wróciła do bieżących zadań.

– Co mam zrobić? – Sprawiała wrażenie zupełnie dezorientowanej.

Kate usłyszała bardzo dobrze znany, wysoki odgłos gwizdka. Wyjrzała przez okno i dostrzegła Birdie siedzącą w łódce przy pomoście. Nawet z daleka można było wyczuć jej zniecierpliwienie z powodu konieczności oczekiwania. Przez całe życie Kate jej matka używała na wyspie tego gwizdka, by przywołać dzieci do domu niezależnie od tego, gdzie się akurat znajdowały. Kiedyś uważali to za wyjątkowy despotyzm i brak szacunku, teraz było to wręcz nie do zniesienia. Przecież Kate od jakiegoś czasu była dorosła, prawda? Niestety gdy tylko znajdowała się w strefie wpływów Birdie, poczucie dorosłości zniknęło.

– Wzywa cię – powiedziała Chelsea.

– To zupełnie porąbane! – oświadczyła Lulu. Kroiła właśnie marchew. – No litości, za kogo ona się uważa?!

– Jak możesz to znosić, Kate? – dopytywał się Theo. – Słyszę ten cholerny gwizdek w nocnych koszmarach! – Kate powinna była domyślić się, że po zeszłorocznej wizycie jej brat więcej tu nie przyjedzie. – Może kiedy ich już nie będzie. Może wtedy wrócę. – Powiedział to bez żadnych emocji w głosie podczas pojednawczej rozmowy, którą zdążyli odbyć przed jej wyjazdem. Theo wróci na wyspę dopiero po śmierci rodziców... Jakie to smutne, pomyślała wtedy. Strasznie smutne.

Kate zeszła na pomost i wsiadła do łódki, która zakołysała się pod jej ciężarem. Znowu poczuła dreszcz niepokoju.

– Czekałam – oznajmiła Birdie.

– Wszyscy to zauważyli, mammo. Słyszałyśmy twój gwizdek.

Birdie prychnęła z irytacją i odpaliła silnik.

– Mogę go obejrzeć? – spytała Kate i wyciągnęła rękę. Birdie zdjęła gwizdek z szyi i podała go córce. Kate przyjrzała się smukłemu, srebrzystemu przedmiotowi, błyszczącemu w świetle wieczoru. Był ciepły od dotyku ciała jej matki. Po chwili bez zastanowienia wrzuciła go do wody. Birdie wyglądała na przerażoną.

– Jak... Jak mogłaś?! Przecież to sygnał alarmowy!

Kate zrobiło się przykro, poczuła lęk, który pojawiał się zawsze wtedy, kiedy przeciwstawiała się matce. Tym razem postanowiła nie zwracać nań uwagi, tak jak sobie obiecywała. Zastąpiło go dziwne zadowolenie.

– Jeśli coś się wydarzy, mammo, spróbuj krzyknąć – powiedziała. – W innych sytuacjach po prostu cierpliwie poczekaj, skoro sama tego oczekujesz od innych. Musiałam porozmawiać z dziewczynami – dodała. – Nigdy dotąd nie zostawały same na wyspie.

– Mam inne gwizdki – odezwała się Birdie. Nie spuszczała oczu z Kate. Chyba wciąż była w szoku, po tym co się zdarzyło. Rysy jej twarzy nieco się wydłużyły.

– To dobrze. Nie próbuj tylko ich używać, żeby mnie przywołać.

Fale uderzały o burty łodzi. Nad nimi jastrząb zataczał powolne, spokojne kręgi.

– Nie sądziłam, że to dla ciebie aż tak uwłaczające – powiedziała Birdie.

– Mammo! – odparła Kate. Nie chciała już rozmawiać na ten temat, jednak nie mogła pozwolić, by ostatnie słowo należało do matki. – Jak mogłaś tego nie zauważyć?!

Spojrziała na wyspę Crossów i dostrzegła stojącego na pomoście Johna, który machał do nich ręką. Birdie mówiła, że to znajomy Sebastiana, jednak Kate nie przypominała sobie ani jego nazwiska, ani twarzy z dawnych czasów. Świątek wydawniczy nie był duży, właściwie wszyscy się znali. Kate nie zetknęła się jednak z tym człowiekiem.

Gdy dotarli do brzegu, Birdie trzymała pod pachą butelkę wina i przybrała już towarzyską minę. Stała uśmiechy, prawiała komplementy, prowadziła uprzejmą rozmowę.

– Ależ to solidny pomost! Kto ci go zbudował? Och, cóż za piękny dom! Uwielbiam te panoramiczne okna. Też mieliśmy kiedyś taki wiatrowskaz, ale straciliśmy go w czasie burzy kilka lat temu.

Podczas pobytu w domu Crossów Birdie bez wątpienia zostanie uznana za wyjątkowo czarującą osobę o nienagannych manierach, do tego niezwykle zabawną. Jednak gdy tylko znów znajdzie się poza zasięgiem uszu gospodarzy, nie szczędząc złośliwości, powie Kate, co naprawdę myśli. Birdie Burke była bezlitosna w ocenach.

Dom Crossów rzeczywiście był piękny: wysokie sufity, wspaniałe widoki z okien, luksusowe dywany. Kate doszła do wniosku, że Sean byłby zachwycony i na pewno zażądałby oprowadzenia po wszystkich pomieszczeniach. Pod pewnymi względami dom był ładniejszy niż budynek na Heart Island – wygodniejszy, nowszy, bardziej przestronny; Birdie na pewno to zauważyła. Czy świadczyło to na korzyść Johna Crossa, czy wprost przeciwnie, zależało od jego oceny w innych obszarach?

– Jak się czujesz po wczorajszych wydarzeniach? – spytał Cross. Miał zaniepokojoną minę, którą Kate uznała za nie do końca szczerą, ale nie potrafiła powiedzieć, dlaczego.

– Ach, dobrze – odparła Birdie.

– A co się stało? – zainteresowała się Kate.

– Mama ci nie opowiadała? – Cross chyba nie zdawał sobie sprawy, że to niezręczne pytanie, choć mógł zadać je specjalnie. Birdie odwróciła się i udawała, że przypatruje się jakiemuś obrazowi na ścianie. – Myślała, że na wyspie pojawił się ktoś obcy. Przypłynęła policja.

– To nic ważnego – oznajmiła Birdie. – Po prostu umysł starszej kobiety już trochę szwankuje.

– No cóż... – powiedział John. – W naszej okolicy rzeczywiście zdarzały się włamania i przypadki wandalizmu. Nigdy nic nie wiadomo.

– Tak, pewnie masz rację – odpowiedziała Birdie. – Nie spotkamy się dziś z twoją żoną?

Szybka zmiana tematu... Dlaczego Birdie o tym w ogóle nie wspomniała?! Dziewczyny zostały same na wyspie. Kate zaczęła się niepokoić.

– Musiała skoczyć do miasta. – Cross przeczesła dłońią rzednące włosy. – Wróci na weekend.

– Mamo! – odezwała się Kate. – Co właściwie zobaczyłaś?

Birdie niechętnie opowiedziała o zdarzeniach poprzedniego dnia.

– Nie spałam zbyt dobrze, miałam wczoraj niski poziom cukru. – Wzruszyła ramionami. – Teraz, kiedy już trochę odpoczęłam, naprawdę myślę, że nikogo tam nie było.

Kate z powątpiewaniem popatrzyła na matkę. Birdie ani trochę nie wyglądała na wypoczętą. Była blada i osłabiona. Przez chwilę Kate żałowała, że wrzuciła jej gwizdek do jeziora. Trochę przesadziła, nie było to zbyt miłe.

– Czy powinniśmy być zostawiać dzieci same na wyspie? – zapytała.

– Och, Kate! – zachnęła się Birdie. Z wystudiowaną irytacją wzniosła oczy i spojrzała na Crossa. – Panikujesz jak histeryczka!

Cross wyglądał na równie zakłopotanego co Kate. Rzucił jej współczujące spojrzenie. Kate zrobiło się gorąco. Teraz doszła do wniosku, że należało raczej zostawić gwizdek, a wrzucić do jeziora matkę.

John Cross uspokajającym gestem położył dłoń na ramieniu Kate.

– Widać stąd waszą wyspę. Możemy tam dotrzeć w mgnieniu oka. Nie ma się czym przejmować, jestem tego pewien.

Kate przypomniała sobie, że telefon stacjonarny nie działa, a zasięg sieci komórkowej jest kiepski. Chelsea potrafiła obsługiwać radiostację, ale była ona schowana w trudno dostępnym miejscu w noclegowni.

Próbowała o tym nie myśleć, gdy gospodarz nalał wszystkim po kieliszku wina i wszyscy zasiedli na miękkich brązowych sofach, stojących naprzeciwko okna. Nie potrafiła jednak patrzeć w inne miejsce. Heart Island znajdowała się dokładnie pośrodku panoramy, za nią było widać rozległą toń jeziora, a w oddali kolejne wyspy. Zachodzące słońce malowało powierzchnię wody złotem, fioletem i różem. Kate dostrzegła dachy głównego budynku i domku dla gości. Blask zapalonych latarni rozświetlał ciemności między drzewami. John i Birdie zajęci byli pogawędką, a myśli Kate powędrowały do Chelsea i Lulu.

Wypiła spory łyk wina i niemal natychmiast poczuła wypełniające ją ciepło. Posiedzą tu jeszcze kwadrans, a wtedy Kate zacznie domagać się powrotu do domu, niezależnie od tego, czy przypadnie to do gustu jej matce. Na razie wpatrywała się w ciemniejące niebo. Nie była w stanie skupić się na rozmowie. Wcześniej udało jej się przez chwilę pogadać z Seanem przez komórkę. Na Skale Widokowej telefon działał całkiem nieźle, ale nie powiedziała o tym dziewczynom. Nie chciała, żeby biegały tam przy każdej okazji, żeby skorzystać z telefonu.

– Kostka nadal nie wygląda dobrze – poinformował ją Sean.

– Naprawdę? – Kate poczuła wyrzuty sumienia. Nie powinna była ich tam zostawiać. Trzeba było poczekać do poniedziałku, wtedy wszyscy przyjechaliby razem. Dlaczego tego nie zrobiła?

– Nie martw się – powiedział Sean, wyczuwając wątpiwości w jej głosie. – Na pewno sobie poradzi. Nasz chłopak jest twardzielem.

Zanim Sean przejął słuchawkę, Kate rozmawiała przez chwilę z Brendanem; jej syn wcale nie sprawiał wrażenia twardziela. Brzmiał raczej jak skrzywdzone dziecko, któremu brakowało mamy, ale starało się być dzielne.

– Nie powinniśmy być wyruszać bez was – powiedziała mężowi. Znów ogarnęło ją poczucie winy. – Przepraszam.

– Nic się nie stało – odparł Sean. Sam dźwięk jego głosu miał kojące działanie. Kate westchnęła do mikrofonu. – Wkrótce do was dołączymy. Nie ma o czym mówić.

– Podobno mój stryjeczny dziadek wygrał wyspę w pokera – mówiła Birdie. – Nie wiem, czy to prawda, ale Joe uwielbia opowiadać tę historię. Obecną nazwę wymyślili moi rodzice, oczywiście pochodzi od nazwiska ojca. Do tego z lotu ptaka widać, że wyspa ma kształt serca, zatem to całkiem ciekawy zbieg okoliczności.

Kate już wiele razy słyszała tę opowieść. Patrzyła na szeregi wypełnionych książkami regałów, które rozciągały się wzdłuż przeciwległej ściany. Dzieła Sebastiana znajdowały się na wysokości wzroku, z wyeksponowanymi okładkami. Ciekawe, czy John zrobił to specjalnie z okazji jej wizyty.

Nie zauważyła najnowszej książki byłego męża, nazywanej przez niego wspomnieniami. Jeśli Cross ją przeczytał, wiedział wszystko na jej temat, a przynajmniej tak mu się mogło wydawać. Poznał przedstawioną przez Sebastiana wersję jej osoby: popychadła, asystentki, a w końcu – uciekinierki. Na pewno był przekonany, że zna intymne szczegóły jej pierwszego małżeństwa i jego rozpadu. Nie odczuwała z tego powodu tak wielkiego zażenowania, jak wcześniej przypuszczała. W ogóle nie myślała o kobiecie przedstawionej w książce jak o sobie, uznawała ją za postać wymyśloną przez Sebastiana. A jeśli kiedykolwiek rzeczywiście była tą kobietą, tą dziewczyną, to na pewno przestała nią być. Osoba z książki to jedynie duch, smutne widmo pozbawione znaczenia.

– Nasz dom to pierwsza budowla na tej wyspie – powiedział John. Kate czuła na sobie jego spojrzenie, ale postanowiła wpatrywać się w swój kieliszek. – A sama wyspa była częścią majątku pozostawionego przez niejakiego Richarda Camerona. Czy coś ci mówi to nazwisko, Kate?

– Oczywiście. – Kate spojrzała na gospodarza. Uśmiechał się, jakby ukrywał jakiś sekret. Nazwisko nie tylko coś jej mówiło, ono wręcz krzyczało. Jeśli John to zauważył, nie dał tego po sobie poznać.

– A któż to taki? – spytała Birdie. Patrzyła ponuro na Crossa, lecz on nie spuszczał wzroku z jej córki. Kate była zaniepokojona, jednak nie

chciała tego okazywać i sprawiać mu satysfakcji. Wytrzymała jego wzrok i uśmiechnęła się lekko.

– Richard Cameron był znakomitym pisarzem, choć jego twórczość jest bardzo mroczna – wyjaśnił John. Skierował spojrzenie na Birdie. – Niektórzy szufladkują go jako autora prozy *noir*, ale w jego książkach po prostu występują wyraziste, przenikliwe zarysowane postaci. Za życia nie zyskał sławy ani nie osiągnął wielkiego sukcesu, mimo że pochodził z niezmiernie bogatej rodziny. Zmarł wiele lat temu. – Cross wypił łyk wina. – Obecnie jest uznawany za autora kultowego. I ma sporo sławnych fanów, w tym byłego męża Kate, który twierdzi, że Cameron wywarł na jego twórczość istotny wpływ.

– Naprawdę? – spytała Birdie, patrząc z zaciekawieniem na córkę.

– Tak – odpowiedziała Kate. – Rzeczywiście.

Birdie zazwyczaj z złąk rozkoszą uczestniczyła w rozmowach, które wprawiały inne osoby, a zwłaszcza Kate, w zakłopotanie. Z radością słuchała też wszelkich opowieści, które mogły się przydać w realizacji przedsięwzięcia stanowiącego jej konik, czyli wydawania magazynu poświęconego wspomnieniu i związanym z nimi historiom. Tym razem jednak zachowywała obojętność. Kate była przekonana, że jej matka musiała kiedyś już usłyszeć nazwisko Camerona, jednak teraz wyglądała na zdezorientowaną. Birdie stuknęła paznokciem w obrączkę na palcu, co jej się zdarzało, gdy była zdenerwowana lub zniecierpliwiona.

– Jego wnuczka twierdzi, że przyjeżdżał tutaj, żeby pisać – powiedział Cross. Wyglądał na człowieka gotowego gadać bez przerwy, nie zwracając uwagi na to, czy jego rozmówcy są zainteresowani tematem. – Przywoził ze sobą namiot i wystarczającą ilość zapasów, by przetrwać całe lato. Mam jednak wrażenie, że wymyśliła to, żeby podbić cenę.

Roześmiał się serdecznie. Birdie nie zamierzała się śmiać. Uporczywie wpatrywała się w Crossa z dziwnym błyskiem w oczach. Kate doszła do wniosku, że Birdie musiała już o tym słyszeć, przecież Sebastian chyba o tym opowiadał? To zresztą jeden z powodów, dla których tak chętnie przyjeżdżał na Heart Island, a potem robił wycieczki kajakiem na Cross Island. Fakt, nie rozmawiały o tym od wielu lat, a Birdie rzeczywiście zaczęła się już starzeć...

– W jaki sposób umarł? – spytała Birdie.

– Utopił się.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

– Tutaj?

John Cross z powagą skinął głową.

– Taka jest ogólnie przyjęta wersja wydarzeń. Richard Cameron zaginął któregoś lata. Znalezione jego ciało po wiosennych roztopach, gdy zostało wyrzucone na brzeg jednej z wysp.

Niespodziewanie wstał z miejsca i Kate drgnęła zaskoczona.

– Za chwilę wróć! – powiedział i wyszedł z pokoju. Kate słyszała jego ciężkie kroki na schodach. Birdie wpatrywała się w jakiś nieokreślony punkt na ścianie.

– Mamo? – odezwała się Kate. – Co się dzieje?

– Nic. – Birdie potarła skronie, jakby rozboleła ją głowa. – Wszystko w porządku.

Cross powrócił, niosąc oprawioną w ramkę fotografię, którą podał Birdie. Kate podniosła się i stanęła obok matki. Chciała stąd odpłynąć. Niepokoiła się o dziewczyny na wyspie, odczuwała napięcie, chciała wyjść, zanim ta kłopotliwa rozmowa się rozwinie albo znów ktoś wspomni o Sebastianie. John Cross sprawiał wrażenie typowego fana; człowieka, który zakochał się w pewnych popularnych autorach i darzył ich uwielbieniem niczym *groupies*. Z jakiegoś powodu Sebastian miał mnóstwo takich wielbicieli, podobnie jak Richard Cameron. Można ich było spotkać wszędzie, nawet tutaj.

– To on? – spytała Kate, zerkając matce przez ramię. Znała odpowiedź, widziała wiele zdjęć tego człowieka w Internecie, w trakcie zbierania materiałów.

John skinął głową.

– To bardzo ciekawe – powiedziała Birdie. Dla postronnych obserwatorów mogło to zabrzmieć lekko i swobodnie, Kate słyszała jednak napięcie w głosie matki. Ze zdziwieniem zauważyła, że dłonie Birdie drżą. Wiedziała, że lepiej nie zwracać na to uwagi.

Zdjęcie przedstawiało wysokiego, szczupłego mężczyznę ubranego w czarny płaszcz. Miał gęstą czupryną czarnych włosów i równie ciemne oczy, do tego upiornie bladą twarz. Fotografia musiała zostać wykonana na wyspie. Cameron opierał dłoń na pniu drzewa, w tle połyskiwała szarością i bielą tafla jeziora. Na ustach błąkał mu się cień uśmiechu.

– Podobno zawsze mieszkał tu sam – powiedział Cross. – To jego ostatnie zdjęcie, jedyna klatka na negatywie w aparacie, który znaleziono wśród jego rzeczy, nikt jednak nie wie, kto je wykonał. Morderstwo, samobójstwo, wypadek? Nigdy już nie poznamy okoliczności jego śmierci.

– W którym to było roku? – spytała Birdie.

– W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym.

Zapadło milczenie. Niespodziewanie Cross roześmiał się i uniosł kieliszek.

– No i czy nie jest to początek pięknej opowieści o duchach? Już na pewno rozumiecie, dlaczego po prostu musiałem kupić tę wyspę. A powiem wam, że uważam się za kogoś w rodzaju detektywa amatora.

Kate rzuciła mu ostre spojrzenie. Ten człowiek miał jakiś plan. Co właściwie chciał im powiedzieć? Dowiedział się w jakiś sposób o pamiętnikach? O jej powieści? Milczenie, które zapadło, stawało się coraz bardziej dokuczliwe i krępujące.

– Wiem, że Sebastian tu był – odezwał się w końcu Cross. – Na długo przedtem, zanim kupiliśmy to miejsce.

– Ach – powiedziała słabym głosem Birdie. – Niesamowite.

– Owszem – rzuciła Kate. Coś było nie tak z tym facetem. W ogóle jej się nie podobał. – John, jak właściwie poznałeś mojego byłego męża?

Musiała o to zapytać, nie dawało jej to spokoju. Cross odchrząknął i wbił wzrok w ziemię.

– No, po prostu... zostaliśmy znajomymi na Facebooku.

– Aha – powiedziała Kate z ulgą. Facebook, albo raczej Fakebook, jak lubił mawiać Sebastian. Miejsce, w którym można było się zaprzyjaźnić z ludźmi, których nigdy się nie spotkało albo których nie widziało się od dziesięcioleci. Cross to zwykły pozer. Powinna była się tego domyślić. – Pracujesz w branży wydawniczej?

– Razem z żoną uruchamiamy własną oficynę. Na początek chcemy ponownie wydać parę klasycznych powieści kryminalnych, w tym kilka od dawna nie wznawianych tytułów Richarda Camerona.

– To bardzo interesujące – stwierdziła Kate. Takie zdanie mogła wypowiedzieć Birdie, ale tym razem Kate to nie przeszkadzało. Chciała zachować dystans w stosunku do tego człowieka.

– Dobrze – powiedziała Birdie. Zdecydowany, stanowczy ton powrócił. Zwykle irytował Kate, teraz jednak poczuła się spokojniej. Birdie nigdy nie przedłużała wizyty w żadnym miejscu, jeśli miała zamiar wyjść. Kate przez grzeczność nie potrafiła wymigać się od niekończących się rozmów, kolacji i spotkań towarzyskich, takich jak to. – Widzę, że moja córka niepokoi się o dziewczęta, zwłaszcza po tym wszystkim, co usłyszała. Ja z kolei martwię się, że zepsują naszą kolację.

Jasne, mamo. To wszystko moja wina, pomyślała Kate.

– Już uciekacie? – spytał Cross. Dostrzegła, że twarz mężczyzny mocno poczerwieniała; nie wiedziała, czy to z powodu wypitego wina, czy też z jakiejś innej przyczyny. Nie zatrzymywał ich, odprowadził je do wyjścia. Kate szła pierwsza, za nią podążała jej matka.

– Masz naprawdę piękny dom – odezwała się Kate, nie odwracając głowy. Usłyszała z tyłu głucho uderzenie.
– O kurczę! – rzucił Cross. Na jego twarzy pojawiło się zaniepokojenie i zaskoczenie. Kate obejrzała się prędko i ujrzała Birdie leżącą na podłodze.

Moja mama mówi, że na wyspie mieszkają duchy – powiedziała Chelsea.

Lulu siedziała na wysokim stołku przy blacie. Była zupełnie beznadziejna, jeśli chodzi o prace kuchenne, ale całkiem sprawnie nakryła do stołu. Teraz wyglądała jak parodia samej siebie: jednocześnie piłowała paznokcie i bezustannie sprawdzała zasięg na swoim telefonie.

– A moja mama mówiła, że istnieje wróżka-zębuszka – odparła Lulu. Nie chciało jej się nawet podnieść głowy. – Czy nadal wierzymy we wszystko, co nam mówią? Chyba nie.

– Jest pewna kobieta, która spogląda na łąd ze Skały Widokowej, najwyższego punktu na wyspie – ciągnęła niezrażona Chelsea. – I mężczyzna, który krąży wokół wyspy. I jeszcze ktoś, ale zapomniałam kto. Opisała to w swojej książce.

Chelsea sprawdziła szynkę w piekarniku. Mięso chyba już się prawie upiekło. Zastanawiała się, czy je teraz wyjąć. Mama i babcia miały wrócić już dziesięć minut temu, więc czuła się trochę zaniepokojona. Nie przypominała sobie, żeby któraś z nich kiedykolwiek się spóźniła, a ponieważ brakowało zasięgu, nie mogła do nich zadzwonić. W końcu postanowiła wyjąć mięso z piekarnika. Sięgnęła po rękawice. Wyjęła skwiercząca brytfannę i z głośnym brzękiem postawiła na płycie.

Lulu z cieniem zainteresowania uniosła wzrok znad swoich paznokci.

– Ach, jasne. Skandalizująca powieść ujawnia wszystkie tajemnice...

– Nie. To fikcja. W pewnym sensie.

Chelsea w zasadzie nie powinna była czytać książki swojej matki, choć nikt też wyraźnie nie powiedział, że nie wolno jej tego robić. Zakradała się więc do gabinetu Kate i czytała powieść jeszcze w trakcie jej powstawania. Życie ojca zawsze zawierało tajemnice, mroczne miejsca, w które nie wolno jej było zaglądać, oraz fragmenty, które należało pominąć. Mama była jednak zawsze całkowicie szczerą. Chelsea nie dopuszczała do siebie myśli, że może istnieć coś, czego nie wie na jej temat. Wiedziała, że niektóre fragmenty historii zostały zmyślane, niektóre zaś oparte na faktach. Nie do końca potrafiła je rozróżnić, ale nie odważyła się o to zapytać wprost.

– Aha – powiedziała Lulu i wróciła do pielęgnacji paznokci. Nie lubiła czytać i nie interesowało ją nic, co byłoby związane z książkami, chyba że chodziło o *Zmierzch* albo *Harry'ego Pottera*, zresztą nawet w tym wypadku wołała filmy. – A ty? Rzeczywiście coś kiedyś zobaczyłaś? No wiesz, duchy? – spytała, mimo udawanej obojętności.

– Nie. – Chelsea żałowała, że nie może inaczej odpowiedzieć na to pytanie.

Wiedziała, że należy przykryć potrawy wyjęte z piekarnika folią aluminiową. Zrobiła to. Była trochę dumna z siebie, że udało jej się wykazać odrobiną inicjatywy. Czyż mama tego ciągle nie powtarzała? – Nie muszę cię prosić o sprzątnięcie ze stołu, wyniesienie śmieci i opróżnienie zmywarki – wymieniała nazwę czynności, której właśnie się czepiała. – W tym wieku powinnaś już sama zauważyć, co trzeba zrobić, i po prostu to zrobić. Wykaż się inicjatywą!

Chelsea wyjrzała przez okno. Dostrzegła czerwone i zielone światła nawigacyjne i białe oświetlenie daszku. Przez cieśninę płynęła łódź.

– Zejdę na pomost, żeby złapać cumy.

– Mam zasięg! – wykrzyknęła podekscytowana Lulu. Usiadła na kanapie i zaczęła niecierpliwie przebierać palcami. Nie zaferowała pomocy, co na pewno zrobiłaby Chelsea.

Słońce jeszcze całkowicie nie zaszło, ale było już na tyle nisko na niebie, że w miejscach osłoniętych drzewami robiło się ciemno. Chelsea ruszyła oświetloną ścieżką, ciesząc się, że zyskała parę chwil wyłącznie dla siebie. Miała wrażenie, że wyspa czekała na nią i miała jej za złe, że przywiozła ze sobą kogoś, kto nie tylko nie potrafi tego docenić, ale jeszcze odciąga jej uwagę.

Chelsea oprowadziła Lulu po wyspie i widziała, że jej przyjaciółka nie może zrozumieć, co tutaj jest takiego wyjątkowego. Próbowала opowiedzieć o motylach i o tym, że mniej więcej o tej porze roku można zobaczyć tysiące tych owadów, jednak Lulu chyba nie była w stanie pojąć, jaki to wspaniały, magiczny widok; była gotowa rozmawiać jedynie o Connerze Lange i wirtualnym chłopaku Chelsea, Adamie McKee, który nie odezwał się od czasu, gdy Chelsea napisała, że nie może się z nim spotkać. Teraz udawała, że jej to nie obchodzi, bo wiedziała, że gdy tylko Lulu odkryje, że jej koleżance na czymś zależy, zacznie jej to odbierać. Uczestniczyła w grze, której reguły ustalała Lulu, a Lulu robiła się ponura i złośliwa, jeśli pojawiała się coś, nad czym nie mogła uzyskać kontroli.

Chelsea zauważyła, że za sterami nadpływającej łodzi stoi jej matka. Babcia początkowo w ogóle nie dostrzegła, dopiero po chwili zobaczyła, że Birdie siedzi skulona z tyłu, podpierając głowę dłonią. Poczula wstrząs. Nie przywykła do oglądania Birdie w innej postaci, niż w ruchu, idealnie wyprostowanej.

Kate rzuciła cumę, nie opuszczając miejsca za sterami. Zgasila silnik, a jej córka przyciągnęła łódź i przywiązała linę do knagi.

– Co się stało? – spytała, pomagając matce wyprowadzić Birdie na pomost.

– Nic! – odrzekła Birdie. – Wszystko w porządku.

– Babcia nie czuje się najlepiej – powiedziała Kate energicznym tonem, z przesadną gorliwością, jak zwykle, gdy była bardzo zestresowana i nie chciała się do tego przyznać.

– Wyjęłaś mięso z piekarnika? – spytała Birdie. Jej głos brzmiał dziwnie, jakby mówiła przez sen. – Może za bardzo wyschnąć.

– Mamo... – Kate podtrzymała Birdie stojącą na pomoście.

– Wyjęłam – oznajmiła z satysfakcją Chelsea. – Owinęłam je folią.

Birdie wsparła się na ramionach Chelsea i Kate. Razem odprowadziły ją do domu. Powłóczyła nogami i po schodach musiały już ją właściwie wnosić jak pijaka. – Nic mi nie jest – powtarzała. – Puśćcie mnie.

Lulu uniosła głowę, gdy weszły do domu. Wstała i otworzyła drzwi do sypialni Birdie, spełniając polecenie Kate.

– Co się dzieje? – spytała. – Co się stało?

– Chelsea... – powiedziała Kate, stojąc u drzwi pokoju matki. – Poczekaj chwilę.

Pomogła Birdie się położyć. Chelsea bezradnie stanęła w drzwiach. Starła się nie wybuchnąć płaczem.

– Mamo... Nic jej nie jest? Mam kogoś powiadomić?

Kate nie odpowiedziała. Uniosła nogi Birdie i umieściła je na łóżku, po czym zdjęła jej buty.

– Nie powinniśmy wezwać lekarza? – spytała Lulu, która stanęła obok Chelsea.

– Nie wiem. – Kate otarła czoło dłonią. Wyglądała na wyczerpaną, straciła pewność siebie. Matki w takim stanie Chelsea również do tej pory nie widziała. – Poczekajcie moment. Sprawdźcie teraz łódź.

Chelsea i Lulu nie ruszyły się z miejsca, obserwując rozwój wydarzeń. Kiedy dorośli nie bardzo wiedzieli co robić, było to trochę niezwykle. Chelsea często odnosiła wrażenie, że jej ojciec, Sebastian, nie miał pojęcia, jak zajmować się różnymi rzeczami, jednak nigdy dotąd nie mogła tego powiedzieć o swojej mamie ani babci. Teraz sprawy nie wyglądały dobrze. Chciała zadzwonić do Seana i powiedzieć mu, żeby dał sobie spokój z tym pokazem i natychmiast tu przyjeżdżał.

– To nie był sen... – powiedziała Birdie.

– W porządku, mamo – odparła Kate. Na jej twarzy jednak pojawiło się zaskoczenie i niepokój. – Chelsea, Lulu... – Ton jej głosu stał się nienaturalnie stanowczy. – Zajmijcie się łodzią!

Chelsea szybko podeszła do drzwi i wyszła na zewnątrz. Zrobiło się już ciemno, powietrze ochłodziło się. Nie miała co robić przy łodzi, która została przecież przycumowana. Zakładanie plandeki nie miało sensu, skoro wkrótce może okazać się konieczne przetransportowanie Birdie na stały łąd. Domyśliła się, że jej mama po prostu chciała, by dziewczyny na chwilę zeszyły z jej oczu, dopóki nie podejmie decyzji, co

należy zrobić.

Lulu szła tuż za przyjaciółką.

– O co właściwie chodzi?

– Nie mam pojęcia – odparła Chelsea. Wdech, pomyślała. Wydech. – Chyba babci zrobiło się niedobrze.

Za zakrętem ścieżki Chelsea dostrzegła postać stojącą na krawędzi pomostu, ciemny słup na tle granatowego wieczornego nieba. Zatrzymała się gwałtownie, czując suchość w gardle. Lulu wpadła na nią.

– Kurka, co jest, Chaz?!

Chelsea chwyciła Lulu za rękę i cofnęła się o krok. Rozejrzała się prędko dookoła i zaczęła popychać koleżankę z powrotem w kierunku domu.

– Co jest?! – Lulu próbowała się odwrócić i spojrzeć Chelsea w oczy. Chelsea widziała jej bladą dziewczęcą twarz, oświetloną blaskiem księżyca. – Co się stało?!

– Ktoś stoi na pomoście – szepnęła. Nie odważyła się znów popatrzeć w tamtą stronę. Kto mógł być na wyspie, skoro przy pomoście znajdowała się tylko jedna łódź?

Lulu zerknęła przyjaciółce przez ramię, wciąż ściskając mocno jej dłoń.

– Nikogo nie widzę – powiedziała po chwili.

– Tam! – Chelsea obróciła się na pięcie.

Postać zniknęła. Pomost był pusty.

Właśnie w tym momencie zaczął padać deszcz.

Widok przystani nappełnił Emily irracjonalnym poczuciem ulgi. Gdy tylko usłyszała chrzęst żwiru pod kołami samochodu, ogarnęła ją pewność, że wszystko dobrze się skończy. Pozwoliła, by to uczucie całkowicie nią zawiądnęło.

Dean spał z otwartymi ustami, niedbale oparłszy głowę o szybę. Cicho chrapał. Emily nie wiedziała, jakim cudem potrafił zasnąć. Kiedy prowadził, a jej udało się na chwilę zamknąć oczy, natychmiast budził ją odgłos wystrzałów, przepychanka z Bradem albo widok zakrwawionego ciała Carol. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek znów będzie mogła normalnie zasnąć.

Może powinna wziąć to, co Dean – to, co jej dał wczoraj w nocy? Tyle że przynajmniej jedno z nich musiało mieć świeżą głowę. Emily wiedziała, że jej chłopak gdzieś schował paczkę tabletek. Łykał je ukradkiem, kiedy myślał, że Emily mu się nie przygląda. Nie miała zamiaru niczego mu mówić. Bardziej obawiała się o to, jak mógłby zachować się zestresowany człowiek uciekający przed policją, który potrzebowałby jakiegoś dopingu. Nie chciała nawet o tym myśleć.

Emily już od paru godzin nie słuchała serwisów informacyjnych. W ostatnich podawanych w radiu wiadomościach nie wspomniano o ich przestępstwie ani ucieczce. Całą godzinę słuchała doniesień odczytywanych przez prowadzącego: wojskowe myśliwce eskortowały pewien samolot, udaremniiono planowany atak terrorystyczny, trwał proces dwóch mężczyzn oskarżonych o wymordowanie rodziny, demokraci stracili większość w senacie w wyborach w połowie kadencji... Nie wspomniano ani słowem o napadzie z bronią w New Jersey, w którym zabito mężczyznę i zraniono kobietę, a którego sprawcy wciąż znajdowali się na wolności. Po zakończeniu serwisu zaczęła wyobrażać sobie, że to wszystko w ogóle nie miało miejsca, albo że w porównaniu z innymi strasznymi rzeczami dziejącymi się na świecie było zaledwie błahostką.

„Nie chcesz tego zrobić”.

Kiedy wjechała SUV-em na miejsce w odległym kącie parkingu i zgasła silnik, znów pomyślała o tamtym mężczyźnie, o tym, jak na nią patrzył – tak, jakby wszystko o niej wiedział. Jak przeciągnął dłonią wzdłuż brody, chyba zastanawiając się, skąd się wzięły siniaki i opuchlizna widoczne na twarzy Emily. Jego mina wskazywała, że poznał już setki biednych, żalosnych dziewczyn, które zmarnowały sobie życie, a ona jest tylko kolejną osobą w tym tłumie.

Jego samochód zatrzymał się przed Emily, która wtedy stała pośrodku jezdni i machała rękami. Początkowo nie widziała, kto siedzi za kierownicą, bo oślepiająco jasne światła auta były umieszczone bardzo wysoko. Kiedy podeszła do szyby od strony kierowcy, dostrzegła potężnego, barczystego, wysokiego mężczyznę. Patrzył na nią spokojnie, z zaciekawieniem. Po chwili zauważył mustanga i rozejrzał się, obserwując pobocze drogi. Rozsądny pomysł.

Opuścił szybę.

– Jakiś problem z samochodem? – spytał. Nie zdjął rąk z kierownicy. Ślubna obrączka na palcu jego prawej dłoni wyglądała na ciasną. Na desce rozdzielczej przyklejone było zdjęcie ładnej kobiety z młodym mężczyzną. Człowiek z fotografii wyglądał jak nieco młodsza i szczuplejsza wersja faceta siedzącego w samochodzie. Emily nie była w stanie udzielić odpowiedzi. Gapiła się na niego, na jego pokrytą zmarszczkami twarz, na widoczną wśród jasnobrązowych włosów siwiznę.

– Wszystko w porządku? – Emily zapomniała, że ma spuchniętą szczękę w miejscu, w którą uderzył ją Brad. – Czy coś ci się stało?

Dostrzegła Deana, który z rewolwerem w dłoni podszedł do okna od strony pasażera. Zastukał w szybę lufą i mężczyzna za kierownicą powoli obrócił głowę, żeby na niego spojrzeć. Nie cofnął się ani nie drgnął na widok Deana. Zmrużył tylko trochę oczy, kiedy ponownie skierował wzrok na Emily, lekko unosząc kąciki ust bez uśmiechu.

– O co wam chodzi?

– Wsiadaj z wozu! – rozkazał Dean.

Jego dziecięcy głos, przytłumiony przez szybę, brzmiał jak głos chłopca, który bawi się w policjantów i złodziei. Mężczyzna nie wyglądał na przestraszonego. Było w nim coś, co go wyróżniało. Tak, chyba tak: musiał być policjantem albo mieć coś wspólnego z wojskiem. Do „Niebieskiej Kwoki” przychodziło paru takich klientów. Emily zawsze ich lubiła, wyglądali na ludzi, którzy znają się na wielu rzeczach i potrafią zrobić coś, czego nie umiejają inni. Opowiadali różne niesamowite historie, otarli się o śmierć, poznali te strony życia, o których istnieniu inni nawet nie wiedzieli. Właśnie takie wrażenie sprawiał ten człowiek: spokojnego i doświadczonego.

Emily stanęła przed maską samochodu. Zakładała, że nie uruchomi silnika i nie zdecyduje się jej przejechać. Mężczyzna zwrócił na nią obojętne, taksujące spojrzenie.

– Nie chcemy nikomu zrobić krzywdy – powiedziała nieswoim głosem. Ten głos należał do kogoś innego; kogoś, kogo nie znała zbyt dobrze i kto wcale jej się nie podobał. – Chcemy tylko wziąć samochód.

Kierowca chyba zastanawiał się, jaki ma wybór. Po chwili otworzył drzwi i wysiadł z pojazdu. Był ubrany w bawełnianą kurtkę i dzinsy, nosił wygodne brązowe buty. Z kieszeni kurtki wystawała para roboczych rękawic. Sprawiał wrażenie silnego, porządnego człowieka, godnego zaufania. Emily nagle zapragnęła rzucić mu się w ramiona, opowiedzieć wszystko i pozwolić zawieźć się do aresztu, gdzie było jej miejsce. Właśnie wtedy mężczyzna powiedział:

– Nie chcesz tego zrobić.

– Nie chcę – odparła. – Przepraszam...

– Przestań gadać! – warknął Dean.

– Na świecie są źli ludzie – powiedział łagodnie nieznajomy. – Są też tacy, którzy z różnych głupich powodów muszą zadawać się ze złymi ludźmi.

– Zamknij się, staruszkule! – rzucił Dean. Okrążył samochód, przeszedł między Emily i mężczyzną i stanął przy drzwiach od strony kierowcy. Ręka, w której trzymał broń, drżała.

– A ja kim jestem? – spytała Emily.

Dean rzucił jej zirytowane spojrzenie: „Co ty robisz? Zamknij się!”.

– A jak myślisz?

– Daj mi telefon – rzucił Dean, unosząc broń.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni kurtki i podał Deanowi stary telefon z zamykaną klapką. Dean rzucił go na ziemię i zmiażdżył butem.

Większość ludzi pewnie okazałaby w jakiś sposób swoje emocje – wściekłość albo strach – niektórzy pewnie błagaliby, żeby ich nie zabijali. Ten facet zachowywał się spokojnie. Patrzył i czekał.

– Nie wiem, przed czym uciekacie. – Emily wiedziała, że te słowa są skierowane do niej. Mężczyzna tylko raz zerknął na Deana i od razu uznał go za beznadziejny przypadek. Dostrzegła to, gdy Dean przechodził między nim i samochodem. Chociaż jej chłopak miał broń, nieznajomy prawie na niego nie patrzył. – Wszystko jedno, przed czym, i tak daleko nie uciekniecie.

– Wsiadaj do wozu! – Dean rozkazał Emily. Pocił się, był coraz bardziej podniecony, przestępował z nogi na nogę. Emily zrobiła krok w stronę drzwi auta. Nie chciała, żeby jeszcze komuś stało się coś złego. Była jednak odrobinę zaskoczona, że mężczyzna nie stawiał większego oporu. Pomyślała o słowach wypowiedzianych przez Carol, gdy Angelo poszedł po broń. „Nasze życie jest więcej warte, ich zresztą też”. Miała rację. Nic, żadne kosztowności, nawet największa kwota pieniędzy, nie były warte więcej niż ludzkie życie. Emily rozumiała to

dopiero teraz, kiedy jej całe dotychczasowe życie się skończyło. Nie przypuszczała, że może mieć tak wiele do stracenia, zrobiłaby jednak wszystko, żeby wrócić do miejsca, w którym przynajmniej miała jakąś nadzieję na przyszłość. Ten facet nie zamierzał walczyć o swój samochód, skoro miał żonę i syna, którzy czekali na jego powrót do domu. Zdążył już zrozumieć, co jest w życiu ważne.

– Na pewno chcesz to zrobić? – spytał.

Emily zatrzymała się przy drzwiach.

– No, co jest, kurwa? – rzucił Dean. – Jedziemy!

Coś musiało z nią być nie tak. Ludzie zawsze chętnie udzielali jej nieproszonych rad. Może dlatego, że była taka młoda, albo z powodu wzrostu – mieściła się w rozmiarze cztery. Jakoś zawsze uznawali, że potrzebuje pomocy, chociaż ona uważała, że radzi sobie całkiem nieźle. To w końcu ona zatrzymała ten samochód i za chwilę mieli nim stąd odjechać.

– Nie zna mnie pan – powiedziała. To prawda, przecież nikt jej nie znał. Aż do wczoraj nawet ona sama nie miała pojęcia, do czego jest zdolna. Więc być może Brad nie mylił się w ocenie Emily.

– Dlaczego ciągle z nim gadasz?! – Dean wciąż trzymał wysoko rewolwer. Ciężko oddychał.

Mężczyzna spuścił wzrok i wykonał ruch, jakby chciał wsadzić dłonie do kieszeni.

– Ręce przy sobie! – krzyknął Dean. Miał piskliwy, dziewczęcy głos; Emily o mało co nie wybuchła nerwowym śmiechem. Dean nie znosił, kiedy ktoś się z niego śmiał. Gotów był nacisnąć spust, żeby ją uciszyć. Zamknęła oczy. Nie chciała patrzeć na to, co się teraz stanie. Jak można w jednej chwili czuć, że się panuje nad sytuacją, a w następnej całkowicie stracić nad wszystkim kontrolę? W jaki sposób normalne życie w ciągu jednego dnia może przerodzić się w kompletny chaos? Oparła głowę o drzwi auta. W tym momencie wszystko zdawało się zapowiadać tragedię. Emily była przygotowana na huk wystrzału.

– OK – powiedział mężczyzna. Emily odetchnęła. – Możecie zabrać samochód. Nie ruszę się, pozwolę wam odjechać.

Gdy Emily znów otworzyła oczy, gość wciąż wpatrywał się w swoje buty, unikając kontaktu wzrokowego z napastnikami. Widocznie uznał, że są nieobliczalni, że należy ich uspokoić i nie rozmawiać z nimi, dopóki nie zrobią kolejnego kroku. Emily wsiadła do samochodu. W środku było ciepło, fotele były duże i wygodne. Przyjemnie tu się siedziało; to chyba najładniejsze auto, w jakim się kiedykolwiek znalazła. Wszystko było tu czyste, gładkie, na desce rozdzielczej jasno świeciły czerwone, zielone i białe kontrolki. Wysprzątane, uporządkowane, dobrze utrzymane wnętrza. Dean wsiadł z drugiej strony i wystawił broń przez otwartą szybę. Przecież w ten sposób nie trafiłby nawet krowy! Czyżby o tym nie wiedział? Oznaczało to, że jest nie tylko złym człowiekiem, ale również idiotą. Starszy facet po prostu pozwolił im odjechać, to był jedyny powód, dla którego w ogóle udało się im wsiąść do tego samochodu.

– Oddaj mi rewolwer – zażądała Emily.

Schowała broń pod fotelem. Dean zamknął wszystkie drzwi i położył dłonie na kierownicy. Mężczyzna odsunął się na pobocze, żeby ich przepuścić, i Dean ruszył z rykiem silnika. Emily patrzyła, jak postać nieznajomego oddala się w bocznym lusterku. Po chwili już go nie było. Ciekawe, jak wróci do domu, musiał mieć przed sobą spory kawałek drogi, znajdowali się w końcu w szczerym polu.

– Powinniśmy byli go zabić – oświadczył Dean. W jego głosie brzmiała złość i żal, jakby to Emily była winna temu, że tak się nie stało. Może rzeczywiście tak było. „Tak, na świecie są źli ludzie”, chciała odpowiedzieć nieznajomemu. „Jasne, są też tacy, którzy wiążą się ze złymi ludźmi. Ale może czasami ci dobrzy potrafią trochę pomóc złym, żeby stali się trochę lepsi?”. Kto wie, czy nie wydarzyłoby się coś gorszego, gdyby nie była przez cały czas u boku Deana. Na przykład ten człowiek mógłby już nie żyć.

– Zidentyfikuje nas – dodał Dean. – Złożą to do kupy.

– Zanim gdziekolwiek dotrze, minie wiele godzin.

– Chyba że zatrzyma jakiś samochód.

– Nikt już się dziś nie zatrzymuje.

– On to zrobił – zauważył Dean.

– Nikt się nie zatrzymuje, widząc samotnego faceta idącego drogą. Dziewczynę może tak, a i to niekoniecznie.

Od tamtej pory milczała. Cieszyła się, że Dean nie jest zdolny do wyrządzenia krzywdy niewinnemu człowiekowi, wszystko jedno, z jakiego powodu. W „Niebieskiej Kwoce” strzelał tylko Brad. Przynajmniej tyle dobrego można było powiedzieć o Deanie: nie był zabójcą ani gwałcicielem.

Pomyślała o Bradzie. Wyciągnęła rękę, żeby włączyć radio i posłuchać wiadomości, ale Dean ją powstrzymał. Miał długie, cienkie palce, a skóra na jego dłoniach była zimna i sucha.

– Poczekaj – powiedział.

Tak naprawdę Emily też nie chciała tego wiedzieć. Nie chciała usłyszeć, co spotkało Carol i czy schwytano Brada. Nie interesowało jej, czego do tej pory dowiedziała się policja i czy szukali mustanga. Może przez jakiś czas oboje będą lepiej się czuli, nie znając odpowiedzi na te pytania.

Otworzyła schowek i zaczęła przeglądać starannie ułożone dokumenty. Znalazła dowód rejestracyjny. Jones Cooper – dobre, porządne nazwisko; nazwisko człowieka, który nigdy w całym swoim życiu nie zrobił niczego złego. Emily dostrzegła wciśnięty w kąt niewielki skórzany portfel. Otworzyła go i zobaczyła złotą odznakę. W miejscu, w którym normalnie znajdował się numer, umieszczono tabliczkę z napisem „w stanie spoczynku”. Zamknęła portfelik i włożyła go z powrotem na miejsce.

– Co tam jest?

Teraz, gdy jechali, Dean wydawał się spokojniejszy. Może po prostu znów połknął tabletkę. Nieważne, Emily nie chciała, żeby znowu się zdenerwował.

– Nic – odpowiedziała. Zamknęła schowek. – Tylko papiery. Rachunki i inne śmieci.

Dean nie odpowiedział, wpatrywał się w przednią szybę.

– Włącz już radio – powiedział w końcu. Emily spełniła jego prośbę.

Na szczęście Dean okazał się na tyle przewidujący, że zabrał nawigację z mustanga, dzięki czemu bez kłopotów dotarli na przystań. Dochodziła już północ, wokół panowała kompletna cisza. Na parkingu stało tylko kilka samochodów. Był ostatni tydzień sierpnia, większość letników zdążyła już wyjechać. Emily pamiętała, że tak się działo co roku: robiło się chłodno i woda stawała się zimna. Kiedy przychodziła zima, okolica była praktycznie wyludniona. Emily i Dean potrzebowali więcej zapasów, niż mieli w tej chwili, bo przecież musieli przygotować się do zimy. Emily nie chciała ryzykować, nie mogli się nigdzie zatrzymać, ktoś mógłby ich wtedy rozpoznać. Czowała się teraz sparaliżowana, pozbawiona sił. Jej plan nie przewidywał niczego po dotarciu na miejsce.

– To już tutaj? Dojechaliliśmy? – spytał Dean, prostując się w fotelu i rozglądając dookoła.

– Tak – odparła Emily. – Dojechaliliśmy.

Musieli jedynie znaleźć łódź, która zabierze ich na Heart Island.

CZĘŚĆ DRUGA Heart Island

Wyspa stanowiła dla każdego z nas osobną historię. Pisaliliśmy w głowach na jej temat nasze własne opowieści i przez to wyspa do każdego należała w inny sposób.

Dlatego kiedy nadszedł moment, by się nią podzielić, nie potrafiliśmy tego zrobić. Każdy uważał się za jedynego władcę tego miejsca, a pozostali członkowie rodzeństwa odgrywali jedynie drugoplanowe role w naszych wspomnieniach. Każdy wyobrażał sobie, że pewnego dnia Heart Island będzie należeć tylko i wyłącznie do niego. Ale tylko jedno z nas się nie myliło.

*Z pamiętnika Caroline Love Heart
(1940–2000)*

Może właśnie dlatego opowiedziała mi o sprawach, o których nie mogła opowiedzieć mojemu bratu i siostrze. O swoim romansie i o tych mrocznych wydarzeniach, które potem nastąpiły. Czekala na to do śmierci Taty. Tylko Mama i ja wiedziałyśmy, że wyszła za niego z wielu ważnych powodów, na przykład związanych z pozycją społeczną, chęcią założenia rodziny czy potrzebą przyjaźni, lecz namiętność do nich na pewno nie należała. W tamtych czasach, mówiła Mama, romantyczna miłość nie była najważniejszą przyczyną małżeństwa. W całym swoim życiu naprawdę kochała tylko jednego mężczyznę – człowieka, którego w żadnym razie nie mogła poślubić. „Romans” to jednak zbyt kiczowate określenie, by opisywać nim związek Mamy z Richardem Cameronem, zupełnie nieodzwoiercedlające tego, co do siebie czuli.

Nie ma ich już między nami i do tej pory tylko ja znalazłam prawdę. Teraz wiem, Kate, że ty również ją poznałaś. Mam nadzieję, że nie będzie to dla ciebie zbyt ciężkie brzemię. Jestem przekonana, że mogę ci zaufać i że nie będziesz ich osądzać, masz bowiem duszę poetki, podobnie jak ja. Jesteś w stanie wszystko zrozumieć. Zabawne, że w miarę upływu czasu nawet najważniejsze sprawy przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie. Kiedy to przeczytasz, mnie również już nie będzie. Czyż to nie śmieszne? Dawno, dawno temu rozgrywała się ta dramatyczna historia pełna straszliwego cierpienia, miłości i rozpacz. Teraz to jedynie sen, który wszyscy przeżyliśmy – straszny, cudowny sen.

Zanim Kate odnalazła zapiski Caroline, przeleżały w pudle w jej szafie ponad dwa lata. Karton ze swoim imieniem zabrała, kiedy wspólnie z Theo sprząkali mieszkanie po śmierci cici. Patrzyła, jak Sean niesie je do bagażnika czekającego przed budynkiem samochodu, a potem wnosi do ich domu. Nie potrafiła się zmusić, by do niego zajrzeć. Caroline zostawiła Kate i Theo wszystkie pieniądze i cały majątek, w tym nawet małe mieszkanie na Manhattanie, co oczywiście wzbudziło gniew ich matki.

– Siostrze nie zostawiła nawet jednej pary kolczyków! – zaliła się Birdie. A miała przecież wszystko, co można kupić za pieniądze i krzywiła się, jeśli ktokolwiek odważył się dać jej jakiegokolwiek prezent. W końcu ludzie przestali jej ofiarowywać cokolwiek, zwłaszcza dotyczyło to Caroline.

Gdy Caroline dożywała swoich dni, Birdie siedziała obok niej, czytając fragmenty książki, którą obie uwielbiały w dzieciństwie – *Rebeki ze Słonecznego Potoku*. Kate obserwowała swoją matkę, która spokojnie odczytywała kolejne strony umierającej siostrze. Widziała, że potrafi okazać czułość, do której nigdy wcześniej nie była zdolna, znalazła nawet w sobie dość siły, żeby potrzywać siostrę za rękę. Kiedy Caroline czuła się jeszcze dobrze, wystarczała im godzina, żeby jedna z nich wybiegała rozszalszczona z pokoju albo zalegała krępująca cisza, a jedna z sióstr rozpamiętywała to, co powiedziała – albo czego nie powiedziała – ta druga. Końcówka choroby Caroline była jedynym okresem w ich życiu, kiedy obie znajdowały się w tym samym pomieszczeniu i nie dochodziło w tym czasie do żadnej kłótni. Oczywiście ciocia była wtedy w stanie paliatywnym, prawie nieświadoma tego, co ją otacza.

– Mamo? – odezwała się wówczas Kate. W trakcie wojny między Birdie i resztą świata, w tym jej nieżyjącą siostrą, Kate zawsze próbowała znaleźć kompromisowe rozwiązanie. – Możesz wybrać sobie, co tylko zechcesz.

Caroline zostawiła całą szafkę biżuterii. Niektóre przedmioty miały pewną wartość materialną, inne wyłącznie charakter dekoracyjny. Wszystkie były duże, masywne, błyszczące – niosły zupełnie inną energię niż rzeczy, które Birdie lubiła i posiadała.

– Nie o to chodzi, nie rozumiesz? – Przez moment Kate zdawało się, że jej matka jest pogrążona w smutku. Jednak po chwili Birdie wrzasnęła do słuchawki: – Zawsze wyglądała jak Cyganka z tymi wszystkimi śmieciami na rękach i na szyi! I te długie spódnice, te idiotyczne szale! Jakby wyrzucono ją z cyrku!

Jak to możliwe, że Birdie się wścieka, skoro Kate jest pogrążona w żałobie? To przecież chore, jeśli matka przy okazji śmierci rodzonej siostry może myśleć jedynie o tym, że spotkał ją jakiś afront. Czy jej długie wizyty w szpitalu były przejawem hipokryzji? Czymś, co robiła, bo uważała, że tak wypada się zachować? Czy rzeczywiście potrafiła powściągnąć swoje humory ze względu na pamięć szczęśliwszych chwil, które przeżyła razem z Caroline? A może właśnie w taki sposób okazywała żalobę, a jej złość była formą rozładowania silnych emocji?

– Po co ci zatem jej biżuteria?! – Nic innego nie przyszło wówczas Kate do głowy. Matka rozłączyła się.

Kate wiedziała, że w pudełku są między innymi teksty literackie. Ponieważ Caroline publikowała swoje wiersze w różnych niewielkich czasopiśmiech, Kate przypuszczała, że znajdowały się tam oryginalne rękopisy, a także spisane historie, które ciocia wymyślała dla niej i dla Theo, gdy oboje byli dziećmi. Być może były też listy miłosne – Caroline przeżyła kilka namiętnych romansów; to kolejna sprawa, która doprowadzała Birdie do szału – kartki pocztowe oraz rysunki, które dostała właśnie od Kate i jej brata. Tego rodzaju przedmioty gromadziła bowiem Caroline – emocjonalne pozostałości po jej życiu; rzeczy, które Birdie nazywała rupieciami.

Kate nie mogła znieść myśli, że bogate, piękne życie wewnętrzne tej kobiety sprowadzało się do stert papierów zamkniętych w pudle. Zatem pudło czekało. Ilekroć zaglądała do schowka w swoim gabinecie, stało tam – jednocześnie zapraszało, oskarżało i błagało o ratunek. Aż któregoś popołudnia, gdy nikogo innego nie było w domu, zdecydowała się je otworzyć.

Dzienniki zostały zapieczętowane w mniejszym pudełku, umieszczonym wewnątrz większego opakowania. Było ono wciśnięte – być może specjalnie ukryte – na samym dnie, pod stertami listów, które tam zgodnie z przewidywaniami znalazła – oczywiście przewiązanych czerwoną wstążeczką – pod tomikami poezji i kopertami pełnymi starych fotografii. Kate znalazła też swoje ubranko do chrztu, owinięte białą chustką, a także dziecięce buki Thea. Na wieczku mniejszego pudełka widniał napis wykonany niedbałym, pochyłym pismem Caroline: „Wyłącznie do rąk Katherine Burke”.

Kate ogarnęła wyrzuty sumienia. Czuła, że to dość pilna sprawa – Caroline chciała, żeby Kate zapoznała się z zawartością pudełka, a ona tak długo zwlekała z jego otwarciem. I nawet wówczas, gdy trafiło wreszcie w jej ręce, nawet wiedząc, jak bardzo ciocia pragnęła, by Kate przeczytała te wspomnienia, zdecydowała się rozpieczętować paczuszkę dopiero po kolejnych kilku miesiącach. Dlaczego? Nie znała innej odpowiedzi, niż ta, że w głębi duszy czegoś się bała, gdy na nią patrzyła.

Nie przypuszczała, że w środku znajdzie różne tajemnice, wielkie i małe. Że kiedy już otworzy dzienniki Caroline i Lany i zacznie je czytać, ujrzy swoją rodzinę, swoją matkę i historię swojego życia w zupełnie nowym świetle. Dowie się o takich szczegółach małżeństwa swoich dziadków, jakich bez wątpienia nie znała nawet Birdie. Pozna też historię romansu babci z Richardem Cameronem, opowiedzianą przez nią osobiście. Wtedy nie mogła jeszcze wszystkiego wiedzieć, ale i tak obawiała się tego, co może kryć się w dziennikach.

Poplamione strony oprawionych w płótno pamiętników były całkowicie, od marginesu do marginesu, pokryte niemal identycznym pismem obu kobiet. Zapiski otworzyły w świadomości Kate drzwi, o których istnieniu do tej pory nawet nie wiedziała. Przyniosły odpowiedzi na pytania dotyczące jej matki, zrodziły też nowe wątpliwości. Kate niezbyt dobrze pamiętała swoich dziadków. Dzięki słowom Lany oboje zostali przywróceni do życia jako pełnokrwiste postaci, fascynujące, choć nie wolne od wad. Caroline stworzyła z kolei barwny obraz okresu dzieciństwa spędzonego na Heart Island. Kate mogła teraz inaczej spojrzeć na matkę: Birdie była drugim dzieckiem państwa Burke, szukającym sobie miejsca między obdarzoną urodą i wdziękiem Caroline oraz odznaczającym się ekspansywną, męską osobowością Gene'em, uosabiającym przyszłość rodziny. Kate nigdy dotąd nie zastanawiała się, jaka była jej matka w dzieciństwie i w jaki sposób kształtował się jej charakter.

Z wielu ważnych względów historii odkryte przez Kate stanowiły jej własną opowieść, mimo że większość bohaterów odeszła już dawno temu. A ponieważ była to jej historia, czuła że ma prawo, a nawet obowiązek, opowiedzieć ją innym. Ciekawe, czy Caroline domyślała się, że zapiski przekazane jej siostrzenicy przypomną jej o największym marzeniu: pragnieniu pisania. Kate przypuszczała, że rzeczywiście tak było,

ciocia doskonale o tym wiedziała.

– Czujesz się już lepiej, mamó? – Kate siedziała w małym kąciku wypoczynkowym obok wielkiego drewnianego łóża należącego do jej rodziców.

Z trudem udało im się rozstać z Johnem Crossem, który upierał się, że odwiezie je na wyspę. Birdie, kiedy już odzyskała przytomność, była wobec niego trochę nieprzyjemna.

– Ceniemy sobie naszą prywatność, panie Cross – oświadczyła, gdy sąsiad próbował jej pomóc wsiąść do łodzi. Wyglądał na nieco urażonego, kiedy pożegnały się z nim na ścieżce prowadzącej na jego pomost.

– Bardzo przepraszamy – powiedziała wtedy Kate.

– Nie przepraszaj w moim imieniu! – szepnęła od razu Birdie.

Teraz miała otwarte oczy, leżała na plecach z rękami splecionymi na brzuchu i wzrokiem utkwionym w suficie.

– Nic mi nie jest – oświadczyła. – Nie czułam się dobrze od wczoraj, od kiedy go zobaczyłam, a może nawet wcześniej. A potem ten atak bólu...

– Więc ktoś tu rzeczywiście był?

– Tak – odparła Birdie. – Nie. – Zmarszczyła czoło, westchnęła z irytacją. – Nie wiem. Naprawdę nie wiem, co widziałam.

– Opowiedz mi, co się stało.

Kate chciała dotknąć bladej, delikatnej dłoni Birdie, spoczywającej na kołdrze i zwróconej palcami do góry, jednak nie mogła się na to zdobyć. Nie umiała dotykać swojej matki w ten sposób, nie była przyzwyczajona do bliskości fizycznej. Potrafiła jedynie szybko ucałować mamę w policzek, może także lekko ucisnąć jej kościste ramiona. Dzieci Kate przyklejały się do niej przy każdej okazji, nawet teraz, podczas gdy wielu znajomych wciąż narzekało, że ich dorastające dzieci nie są w stanie znieść choćby przebywania z rodzicami w tym samym pomieszczeniu. Kate wciąż całowała córkę i syna w buzie, wciąż jednoczyła się z nimi w mocnym, przeciągającym się uścisku. Birdie była chłodna jak lód. Jeśli dotykało się go zbyt długo, robiło się nieprzyjemnie.

Kate nie sądziła, że jej matka powie coś więcej. Spodziewała się raczej usłyszeć, że chce zostać sama. Birdie opowiedziała jednak o wczorajszych wydarzeniach, o postaci na brzegu, która zniknęła potem w domu. Brzmiało to dość niepokojąco i groźnie, jednak trudno przypuszczać, że wstrząsnęło to mamą do tego stopnia. Problemy ze wzrokiem czy nawet obecność kogoś obcego na wyspie to za mało, by pokonać niezrównaną Birdie Heart-Burke. Musiało chodzić o coś więcej.

– Co z pieczenią? Spaliły ją?

– Nie – odparła Kate. Nie miała pojęcia, czy to prawda. – Kolacja jest smaczna. Może lepiej się poczujesz, jeśli trochę zjesz.

Birdie spojrzała na Kate, a jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Kate wciąż milczała, czekając, czy mama ma coś jeszcze do powiedzenia, jednak Birdie zajęła się ponownie gapieniem w sufit.

Kate zdawało się, że usłyszała jakieś dźwięki, przytłumione jak głosy dzieci dochodzące zza ściany u niej w domu. Wyteżyła słuch, jednak ponownie zaległa cisza. Podeszła do okna i spojrzała w kierunku pomostu. Widziała jedynie ciemność. Gwiazdy zniknęły za grubą warstwą chmur.

– Znowu będzie padać – oznajmiła Birdie.

Dokładnie w tym momencie parę kropel deszczu uderzyło w szyby. To tylko mżawka; miejmy nadzieję, że nic większego. Kate nie cierpiała wyspy podczas burzy, zwłaszcza jeśli Sean i Brendan byli gdzieś indziej. W czasie nawałnicy czuła się odcięta od świata, uwięziona w tym miejscu.

– Jeśli już lepiej się czujesz, zajmę się przygotowaniem kolacji.

– Myślisz, że ktoś tu naprawdę był? – W głosie Birdie pojawił się niepokój. – Czy tracę już zmysły?

Wszystkie elementy wyposażenia jej pokoju – ściany, szafka, łóżko, na którym leżała – zostały wykonane z drewna. Wystrój wnętrza był rustykalny, myśliwski, niezupełnie odpowiadający gustom Birdie, ale za to zgodny z upodobaniami ojca. Joe uważał się za miłośnika natury, chociaż beznadziejnie się czuł poza Manhattanem. Mówił, że jest mistrzem sztuki kulinarnej, mimo że w mieście na ogół korzystali z usług kucharki lub chodzili do restauracji. Lubił też myśleć o sobie jak o wielbicielu opery, ale najczęściej twardo zasypiał już przed pierwszym antraktem. Oczywiście pragnął zbudować na wyspie wielki zrębowy dom – coś, co idealnie pasowało do jego własnego wyobrażenia o sobie – mimo że zawsze starał się jak najprędzej z wyspy uciec. Birdie, przygaszona i drobna, dziś jakoś nie pasowała do tego pomieszczenia.

– Na pewno nie tracisz zmysłów, mamó – powiedziała Kate. – Chociaż to nie znaczy, że rzeczywiście ktoś tu był.

– Aha, jasne – zachnęła się Birdie. Parsknęła z politowaniem. – Czyli wierzysz w te duchy, o których mówiła Caroline.

– Nie to miałam na myśli. – Kate starała się zachować cierpliwość, pamiętając, że jej matka nie czuje się zbyt dobrze. – Chodziło mi o to, że istnieją także inne wytłumaczenia.

– John Cross uważa, że zblizkowałam. Gdybyś tylko widziała, jak na mnie patrzył!

– Chyba nie lubię tego faceta.

Birdie zaskoczona uniosła brwi.

– Cóż, ja go z całą pewnością nie lubię – oświadczyła. – Irytują mnie nowobogaccy. Nawiasem mówiąc, skąd on właściwie może mieć pieniądze? Przecież nie z działalności wydawniczej. Jego żona musi niewątpliwie pochodzić z majątnej rodziny.

Kate nie mogła się nie roześmiać: niezależnie od sytuacji Birdie pozostawała sobą. Czyżby zagrzmiało? Nie, to tylko Chelsea i Lulu szybko i z tupotem wbiegały po schodach. Kate wyszła z pokoju, żeby je przywitać; gdy zamykała drzwi, Birdie zdążyła jeszcze wymamrotać:

– Te dziewczyny robią hałas jak stado nosorożców...

– Co się stało? – zapytała Kate. Obie były blade i nie mogły złapać tchu, jakby pędziły przez całą drogę od brzegu. Wymieniły tylko spojrzenia. Lulu z niepokojem odwróciła głowę i zerknęła w okno.

– Zachowujecie się, jakbyście zobaczyły ducha. – Kate spróbowała zażartować, ale dziewczyny nie roześmiały się. Rozejrzała się dookoła. Nie zauważyła tego, gdy przyprowadziła Birdie do domu, ale Chelsea i Lulu zdążyły już nakryć do stołu. Zawinięta w folię pieczona szynka leżała na płycie piekarnika, a na kuchennym blacie stała przygotowana sałatka. Kate poczuła dumę.

– Może rzeczywiście zobaczyłyśmy... – szepnęła Chelsea. Rzuciła niespokojne spojrzenie w kierunku drzwi pokoju Birdie. – Na pomoście.

Opowiedziała Kate o tym, co widziała: ktoś stał na pomoście; wysoki, szczupły mężczyzna. Zniknął po chwili. Czyli spotkanie podobne do tego, które opisała Birdie. Czyżby rzeczywiście ktoś tu przypłynął? Trudno w to uwierzyć. Wyspa była naprawdę mała, a teren skalisty i dość nieprzyjazny dla ludzi – poza polaną, na której stały budynki, oraz łączącą je oświetloną ścieżką – był raczej dziki, gęsto porośnięty drzewami i pełen kamieni. Brakowało nawet miejsca, w którym dało się bez problemu rozbić namiot. A jednak ostatnio dwie osoby trzykrotnie widziały kogoś w różnych miejscach, o różnych porach dnia.

Lulu dygotała, być może ze zdenerwowania, być może z zimna. Kate wyciągnęła rękę, a dziewczyna wpadła w jej ramiona i przytuliła się mocno. Wydawała się zaskakująco małym, drobnym dzieckiem.

– No dobrze – powiedziała Kate. – Chyba nie mamy wyjścia. Dzwonię na policję.

Lulu potrząsnęła głową.

– Nie uda się pani. Miałam zasiężyć chyba tylko przez minutę, teraz znowu zniknął.

– Skorzystamy z radia – stwierdziła Kate i ruszyła do wyjścia.

– Mamó! – odezwała się Chelsea, unosząc dłonie w geście bardzo przypominającym gest Seana. Zarówno mąż Kate, jak i jej córka woleli unikać niepotrzebnych dramatów. – Nie jestem pewna, co tak naprawdę zobaczyłam.

W normalnych okolicznościach Kate w ogóle nie pomyślałaby o powiadamianiu kogokolwiek. Ściszym głosem opowiedziała dziewczynom o tym, co przydarzyło się wczoraj Birdie, zerkając co jakiś czas na drzwi do jej pokoju. Birdie przecież nie chciała im o tym mówić. Chelsea i Lulu słuchały Kate ze zdumieniem.

– Na wyspie nikogo nie ma! – oznajmiła Lulu. – To kawał skały na końcu świata. A ja nie widziałam tego, co zauważyła Chelsea. – Jej głos drżał, skierowała wzrok w dół, wyglądało to tak, jakby próbowała przekonać samą siebie.

– Byliśmy dziś w każdym zakątku wyspy – dodała Chelsea. – I nie zauważyliśmy niczego podejrzanego... Aż do tej pory.

Kate wyciągnęła telefon z kieszeni i stwierdziła, że Lulu nie myliła się w kwestii zasięgu. Zastanowiła się, czy nie byłoby warto obejść wyspy z latarką w ręku i sprawdzić wszystko samemu, nie chciała jednak zostawiać dziewczyn bez opieki. Starając się odpędzić złe przeczucia, podeszła do drzwi i zamknęła zasuwkę, po czym na wszelki wypadek się o nie oparła. Wydawały się cienkie, niesolidne, podobnie jak sama klamka i zamek. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek je zamykała na klucz, inne drzwi na wyspie także pozostawały otwarte, przynajmniej do momentu wyjazdu na zimę. Nigdy nie trzeba było się tym przejmować.

Chelsea podeszła do tylnych drzwi znajdujących się za stołem obiadowym i również je zarygłowała. Dziewczyny patrzyły na Kate, jakby miały nadzieję, że wie, co należy zrobić. Duchy, włamywacze, matka wpadająca w demencję, dzieci z halucynacjami. Lista możliwości nie była zbyt optymistyczna. Wdech. Wydech.

A może jednak chodziło o coś innego? Wyspa sprawiała, że wszelkie problemy stawały się bardziej skomplikowane i przerażające, niż były w rzeczywistości. Łatwo wpaść w panikę przy tych wszystkich niespodziewanych, gwałtownych burzach, tysiącach nieznanych odgłosów, grze światła i cieni. Kate jako osoba dorosła musiała wykazać się spokojem. „To jest tygiel”, pisała Caroline. „Wszystko tutaj ukazuje swoją prawdziwą naturę i nie zawsze wygląda to pięknie”.

– Słuchajcie – powiedziała Kate. – Zjedźmy teraz kolację. Będziemy sprawdzać komórki, a jeśli tylko pojawi się sygnał, wezwiemy kogoś na pomoc.

– OK – stwierdziła Chelsea. Wcale nie wyglądała na przekonaną, że to najlepszy plan. – Mówiłam, że być może tak naprawdę tylko mi się wydawało, że coś widziałam.

– No właśnie – odparła Kate. – No właśnie.

Birdie zrezygnowała z kolacji, więc we trójkę zjadły w milczeniu posiłek na tylnej, zadaszonej werandzie, osłoniętej przed wiatrem. Czarne, dzikie drzewa szumiały na tle nieba. Jeszcze zanim Kate podała lody na deser, rozpadało się do tego stopnia, że odgłos kropel rozbijających się o dach zaczął przypominać tupot setki tańczących ludzi.

Matka Emily, Martha, była kiedyś piękną kobietą. W latach sześćdziesiątych pracowała nawet jako modelka, pozowała do zdjęć w katalogach firmowych. Była szczupłą, podobnie jak Emily, ale przy tym wysoka i dystygowana. Miała wielkie kocie oczy, długie, szerokie usta i wystające kości policzkowe. Emily często przyglądała się zdjęciom z portfolio matki, zastanawiając się, co się stało z tą dziewczyną z fotografii, tak urzekającą, pewną siebie, elegancką i pełną wdzięku. Gdzie ona się podziała?

Nie chodziło jedynie o przemijającą urodę, wyglądało to tak, jakby uciekło z niej całe światło, jakby kolejne rozczarowania zupełnie wysały z niej życie. Kobieta, którą Emily знаła na co dzień, nie była w ogóle podobna do tamtej osoby. Skóra jej twarzy stała się sucha i obwisła, a wokół ust pojawiły się głębokie zmarszczki. Nie został nawet cień Marthy, wspaniałej modelki, Marthy zakochanej w Joem Burke'u, Marthy, która miała przed sobą całe życie. Tamta dziewczyna była jak Holly Golightly, stała się postacią fikcyjną. Była kimś, kto może jedynie żałować, że nie istnieje, kimś, kto może przetrwać jedynie we wspomnieniach.

Problemy z tarczą zniszczyły figurę Marthy. Palenie papierosów wydłużyło rysy jej twarzy i wyłobilo głębokie bruzdy w cerze. Picie sprawiło, że stała się nerwowa i wpadła w depresję. Mimo to Emily ją kochała, takie rzeczy nie miały przecież znaczenia dla córki. Gdyby tylko mama nie zachowywała się tak wrednie... Echo jej słów wciąż brzmiało w uszach Emily jak bolesne uderzenia.

– Jesteś beznadziejna! – mówiła, kiedy Emily nie zrobiła czegoś tak, jak trzeba. – Masz manię wielkości – dodawała, gdy Emily opowiadała jej o swoich marzeniach, o tym, że chce zostać tancerką, naukowcem albo gwiazdą filmową. Zdarzały się też dni, kiedy matka nie wychodziła z łóżka i wykrzykiwała rozkazy z wnętrza swojego ciemnego pokoju.

Gdy Emily była małą dziewczynką, często marzyła o spotkaniu tej młodej kobiety z fotografii. Była to osoba szczęśliwa i życzliwa, uśmiechnięta i swobodna. Dziewczyna z kieliszkiem szampana na kocu rozłożonym na trawie, dziewczyna z naręczem róż, dziewczyna siedząca na kolanach Świętego Mikołaja, uśmiechająca się w sposób, który sugerował, że czasami warto być niegrzecznym. Właśnie teraz Emily pragnęła zadzwonić do tamtej kobiety, powiedzieć: „Mamo, zrobiłam coś złego, mam straszne kłopoty”. A ona by odpowiedziała: „Wracaj do domu, kochanie. Ja się wszystkim zajmę”.

Niestety, nic takiego się nie stanie. Matka stwierdziłaby: „Ty idiotko! Co najlepszego narobiłaś?! Mówiłam ci, że złamiesz sobie życie!”.

A najgorsze w tym wszystkim jest to, że miałyby rację.

Emily i Dean weszli na pływający pomost. Każde z nich niosło torbę – Emily miała nieco zapasów, a Dean worek z pieniędzmi i bronią. Fale czarnej jak smoła wody mocno uderzały w pomost, który kołysał się pod ich stopami. Pogoda była kiepska, chłostał ich silny wiatr, a krople deszczu wbijały się w twarze niczym igły. Może to nie jest właściwa pora. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy tu przyjeżdżała. Może to znak. Emily krzyknęła do Deana, że chyba powinni przenocować gdzieś indziej. Nie usłyszał jej albo po prostu nie chciał odpowiadać. Od samego rana był nerwowy i poirytowany.

Deszcz rozpadał się na dobre, gdy wreszcie udało im się znaleźć łódź, w której ktoś zostawił kluczyk. Dean zauważył łódź o nazwie „Szczęśliwy traf”. Emily zawsze lubiła to określenie. Chodziło o nieoczekiwane, miłe wydarzenia, o zaskakujące, ale radosne sytuacje. Albo coś w tym rodzaju.

– Ktoś taki na pewno gdzieś schował zapasowy kluczyk – stwierdził Dean, gdy przeczytał tę nazwę. Powiedział to z sarkazmem, tak jakby wszyscy ludzie poszukujący dobra byli głupcami, którzy zasługują jedynie na to, by odebrać im ich własność. Ale rzeczywiście, kiedy rozpiął planckę i wszedł do środka, znalazł kluczyk pod ławką sternika.

To również Emily pamiętała z czasów poprzednich odwiedzin w tym miejscu: właściciele łodzi i samochodów często zostawiali kluczyki w pojazdach i nie zamykali drzwi. Miejsce było odcięte od świata i wszyscy tu znali się nawzajem, jak mówił ojciec. Emily bardzo się to wtedy spodobało, zwłaszcza kiedy przypominała sobie o kratkach w oknach domu jej matki, położonego w kiepskiej dzielnicy. Co należałoby zrobić, żeby zamieszkać w miejscu, w którym nie trzeba zamykać mieszkań i odgradzać się od otoczenia?

Wrzucali rzeczy do łodzi, gdy nagle usłyszeli okrzyk i ujrzeli snop światła latarki, który zbliżał się w ich kierunku. Dean prędko wyciągnął rewolwer z torby i zatknął go za pasek spodni. Błyskawica przecięła niebo nad odległymi wzgórzami, za przemierzającym się frontem burzowym. Emily znów poczuła ukłucie obawy i iskierkę nadziei.

– Ja z nim porozmawiam – powiedział Dean. Wspiął się ponownie na pomost i pomachał ręką do nadchodzącego człowieka, tak jakby nie było zupełnie nic dziwnego w tym, że tu przebywa. Emily skamieniała ze strachu. Stała w bezruchu w kołyszącej się łodzi. Odejdź, powtarzała w myślach. Proszę cię, proszę, odejdź!

Na pomoście pojawił się zakapturzony mężczyzna.

– Co tu się dzieje?

– Dobry wieczór! – rzucił Dean. – To my, Anne i Rob Glassowie. Uczestniczymy w wymianie domów, płyniemy na Heart Island.

Emily nie dostrzegła twarzy nieznanego, ale wyobrażała sobie jego minę pełną nieufności i niedowierzania.

– Nic nie słyszałem o żadnej wymianie. O ile wiem, Burke'owie są ciągle na wyspie. I mamy już środek nocy!

Miał szorstki, opryskliwy głos, jednak Emily nagle ogarnęło uniesienie. Czy to znaczy, że Joe tam jest? Wyobraziła sobie, że biegnie w jego ramiona, daje się zamknąć w ich mocnym, ciepłym uścisku. „Moja mała Em!”. Zadrżała. Całe jej ubranie, od kurtki aż po bieliznę, było kompletnie przemoczone.

– Wiem – odparł Dean i roześmiał się krótko. Kłamstwo przychodziło mu bardzo łatwo, nawet Emily była gotowa mu uwierzyć. – Trafiliśmy na paskudną pogodę i trochę pobłądziliśmy... to przez tę cholerną nawigację. Komputery ciągle się mylą, prawda?

Obcy przez chwilę nie odzywał się. Ciekawe, czy zauważył, że Dean trzyma dłoń przy biodrze. „Pozwól nam odpłynąć”, błagała w duchu Emily. Ile zarabia nocny strażnik? „Pozwól nam odpłynąć...”.

– Ta łódź nie należy do Burke'ów.

– Jasne, jasne! – odparł Dean. – Ale powiedzieli nam, żebyśmy wzięli „Szczęśliwy traf”, że kluczyk jest pod fotelem. No i rzeczywiście był.

– Uniósł kluczyk w górę. Mężczyzna milczał. Dean był tak pewny siebie, tak przekonujący, że Emily miała nadzieję, że strażnik da im spokój, może tylko przekaże jakieś ostrzeżenie dotyczące pogody.

– Muszę to sprawdzić.

– Nie rób tego, człowieku – powiedział Dean. – Sam mówiłeś, że jest późno.

Ton jego głosu zmienił się, przestał być przyjazny, pojawiła się groźba. Drobną różnicą w intonacji, ale serce Emily zaczęło walić jak młot, a w głowie poczuła pulsowanie krwi.

Dean wyciągnął broń. Mężczyzna zaczął się cofać.

– Nie ruszaj się – rzucił Dean. – Zostań tam, gdzie stoisz.

Ochroniarz uniósł ręce w górę, kierując snop światła latarki prosto w niebo. Otoczyły ich ciemności.

– Rzuć mi cumy – powiedział Dean.

– Że co?

Dean obrzucił Emily wrogim spojrzeniem.

– Linę mi rzuć, na litość boską! – powiedział ostro. – Czy jest coś, co potrafisz zrobić dobrze?

Strażnik skorzystał z chwili nieuwagi Deana i zaczął biec w stronę łądu. Biegł powoli, utykał. Dean ruszył za nim. Emily patrzyła, jak pędzą po pomoście, który teraz zaczął gwałtownie bujać się na wodzie pod uderzeniami ich stóp.

Dean doskoczył do strażnika, gdy ten dobiegał już do brzegu. Obaj upadli. Emily wydawało się, że ogląda jakąś odległą scenę na niewielkim ekranie, dziwny film w zwolnionym tempie, z wyciszonym dźwiękiem.

Emily doszła do wniosku, że prawdziwa przemoc jest czymś niezgrabnym, niezdarnym, a zderzeniom ludzkich ciał nie towarzyszy hałas. Po chwili usłyszała wysoki, niemal dziewczęcy krzyk, który przeszył ją na wylot; w jakiś sposób rozumiała, że to pierwotny okrzyk bólu. Drgnęła, ocknęła się z transu, w który przed chwilą wpadła, i ruszyła w kierunku dźwięku. Potknęła się kilka razy na rozkołysanym pomoście. Miała wrażenie, że odległość między nią a dwoma mężczyznami staje się coraz większa.

– Dean! – wrzasnęła. – Przestań!

Nie do końca wiedziała, co miał przestać robić: nie widziała, co właściwie dzieje się w tej chwili, miała jedynie pewność, że jest to złe i podłe.

Gdy była już blisko, usłyszała odgłos wystrzału. Ostry, krótki dźwięk, którego echo rozeszło się dookoła i zostało całkowicie pochłonięte przez deszcz. Zatrzymała się. Dean sapał ciężko, siedział okrzakiem na ochroniarzu.

– Głupi skurwysynu! Czemu musiałeś uciekać? Chciałem cię tylko związać!

Sprawił wrażenie smutnego i rozpaczzonego, jak mały chłopiec. Emily nagle poczuła do niego ogromną nienawiść.

– Co ty zrobiłeś?! Co ty zrobiłeś?! – Jej wysoki głos rozciął ciemności. Dean drgnął i obrócił głowę. Przyciśnięty do ziemi mężczyzna nie ruszał się, miał rozłożone nogi, jakby uciekał dziwnym, pokręconym krokiem. Żywi potrafia rozpoznac martwych.

– A co niby miałem zrobić?! – wybuchnął Dean. Wstał i zbliżył się do Emily. – Chciał wezwać policję. Przecież jakoś musiałem go powstrzymać!

Cofnęła się o krok i uderzyła go mocno w twarz. Spojrzał na nią ze zdumieniem i przerażeniem. Uniósł dłoń i dotknął policzka.

– Zobacz, do czego doprowadziłeś! – wrzasnęła. Wyrzucała z siebie kolejne słowa jak wtedy, kiedy kłóciła się z matką. Wściekłość i rozpacz sprawiały, że nie potrafiła powstrzymać się od krzyku. – Straciliśmy przez ciebie wszystko! Załatwiłeś nas! Jak mogłeś, Dean?! Kochałam cię...

– Emily...

Zaczęła okładać pięściami jego tors, wymierzając z furii jeden cios za drugim. Krzyczała, że chciała z nim tyle w życiu osiągnąć, pytała, dlaczego to zrobił, powtarzała, że przecież mogli mieć wszystko, czego zapragnęli. Stali w deszczu, błyskawice i uderzenia piorunów tylko wzmagaly jej rozpacz. Dean nie ruszał się i czekał, aż wreszcie wyczerpana Emily, którą już rozboleły ręce od kolejnych uderzeń, oparła głowę o jego pierś i zaczęła szlochać. Objął ją ramionami.

– Przepraszam, Em. – Powtórzył to wiele razy. – Bardzo mi przykro.

– Jestem w ciąży! – wykrztusiła z płaczem. Nie tak należało to powiedzieć, takie słowa wydawały się zbyt słabe, żeby Dean zrozumiał, o co jej chodzi, dlatego dodała: – Noszę w sobie twoje dziecko!

Przycisnęła ją mocniej do siebie. Poczuła drżenie jego ciała. Najpierw myślała, że zaczął się śmiać, po chwili jednak zrozumiała, że on także płacze. Stali zalewani strugami deszczu, krople wody rozbijały się o deski pomostu i o falochron, a łodzie kołysały na swoich miejscach. Trwałoby tak pewnie bez końca, gdyby Emily nie dostrzegła zbliżającej się w ciemnościach kolejnej postaci. Wysoki mężczyzna szybko zmierzał w ich kierunku.

– Dean... – powiedziała Emily. – Ktoś tu jest.

Dean obrócił się na pięcie i ponownie wyciągnął broń. Emily poczuła ucisk w żołądku, gdy w świetle lampy dostrzegła tego człowieka. Miał podbite, opuchnięte oczy i szczękę, a włosy zlepione w długie strąki okalały jego twarz. Patrzył wciąż w ten sam sposób: pustym, pozbawionym uczuć wzrokiem, uśmiechał się chytrze, bez radości. Brad zatrzymał się, widząc rewolwer i ciało leżące na ziemi.

– Zawsze byłeś tępy jak przecinak, Dean. Nie powinieneś być mi mówić, gdzie jest przystań. Za cholere bym was nie znalazł.

– Brad... – Dean uniósł wolną dłoń. – Nie miałeś prawa dotykać mojej dziewczyny.

– Powiedziałeś mu o tym miejscu?! – spytała Emily. Nie mogła w to uwierzyć. – Kiedy?

– Zamknij się – syknął Dean.

Zmieszanie i wściekłość malujące się na jego twarzy wystarczyły za wszelką odpowiedź. Zrozumiała, że i tak mieli tu przyjechać. Wszystko było częścią planu, który Dean opracował wspólnie z Bradem. Znienawidziła sama siebie za to, że pokochała kłamcę, zdradziła Carol i dopuściła do tego, by niewinny chłopak stracił życie. Popelniła błąd, dzieląc się z tym człowiekiem swoimi marzeniami o wyspie. A teraz, kiedy już zabrał jej wszystko, postanowił zabrać także te marzenia. I bardzo dobrze, bo Emily zasługiwała na to, by wszystko stracić.

– Gdzie jest forsa? – spytał Brad. – Chcę dostać swoją działkę.

– Nic z tego – odparł Dean. – Wszystko spierdoliłeś, stary. Nie było żadnych ofiar w planie.

– Oddaj mu pieniądze – szepnęła Emily. – Jakie to ma teraz znaczenie?

– To wszystko, co mamy! – Miał rację. Mieli tylko te pięć tysięcy dolarów, poza tym pod każdym względem stracili wszystko, co mieli.

Brad był szybki, zbyt szybki dla Deana. Kiedy go zaatakował, Dean niezdarnie uniósł broń. Rewolwer spadł na pomost i o mało co nie zsunął się w czarną toń jeziora. Brad rzucił się, próbując go złapać, a Dean skoczył na Brada. Emily znów zaczęła krzyczeć.

– Przestańcie! Przestańcie! – Spojrzała w ścianę deszczu. – Pomocy! – jęknęła. – Na pomoc!

Dlaczego nikt się nie pojawiał? Dlaczego otaczały ich tylko mroczne cienie gór i deszcz? I dlaczego lało tak strasznie, że jej głos ginął w strugach wody?

Emily pomyślała o ucieczce, o tym, żeby pozostawić obu walczących mężczyzn i pozwolić im się pozabijać. Mogła teraz to zrobić. Pojawiła się kolejna okazja na podjęcie decyzji i tym razem Emily mogła dokonać słusznego wyboru, mogła uczynić to, co należało. Zaczęła powoli odsuwać się tyłem od Brada i Deana, a kiedy poczuła stabilny grunt pod nogami, puściła się biegiem.

Zatrzymała się nagle, słysząc w ciemności huk wystrzału. Dźwięk był tak głośny, że zdawał się zagłuszać szum ulewy. Schowała się za jednym z aut stojących na parkingu, za czerwoną toyotą. Usiadła na mokrym żwirze, słyszała teraz tylko własny ciężki oddech. Po chwili pojawił się chrzęst czyichś kroków.

– Emily! – W tym głosie była jakaś chora słodycz, dziwaczny zaśpiew. – Hej, Emily!

Ze swojej kryjówki Emily zdołała dostrzec, że Brad trzyma rewolwer i przyciska go do głowy Deana. – Mój stary kumpel Dean mówi, że twoja rodzina jest bogata, potwornie bogata. Że twój tatuś ma kupę kasy.

Poczuła, jak w jej gardle wzbiera szloch. Przycisnęła dłoń do ust.

– Dean powiedział, że na wyspie są ukryte pieniądze i biżuteria.

Emily wstała, chociaż wiedziała, że nie powinna tego robić, że musi przy najbliższej okazji ponownie ruszyć do uciezki.

– To nieprawda! – zaprotestowała. – Nieprawda i tyle.

Z tego, co wiedziała, rzeczywiście nie była to prawda. Nie słyszała nic na ten temat i nigdy nie mówiła Deanowi niczego, co mogłoby podsunąć mu taką myśl. Powiedziała tylko, że Heart Island jest miejscem pełnym skarbów, ale miała przecież na myśli motyle i wspaniałe zachody słońca, wszystkie cudowne wspomnienia, dziko rosnące kwiaty. Tylko o to chodziło. Czyżby Dean ją źle zrozumiał? Czy był tak zupełnie pozbawiony uczuć, że nie wiedział, o czym Emily mówi?

Brad zbliżał się do Emily, otaczając ramieniem szyję Deana i przystawiając mu rewolwer do skroni. Dean próbował chwycić rękę napastnika, ale nie był w stanie się odezwać. Wyrwał się z uścisku Brada i bezskutecznie usiłował go kopnąć.

– Dean zbierał informacje od pewnego czasu, odkąd tylko mu opowiedziałaś o tym miejscu. Tak samo, jak obserwował tę restaurację, w której pracowałaś. Teraz wie o wyspie więcej niż ty.

Dean zabrał Emily chyba już wszystko. Chciał wszystko zniszczyć.

Nie powstrzymywała już dłużej łez, przestała nawet próbować.

– Dlaczego ktoś miałby trzymać pieniądze albo biżuterię na wyspie?! – spytała. Boże, obaj byli idiotami! Wrednymi, zdolnymi do morderstwa głupcami pozbawionymi odrobiny rozumu. – Przyjeżdżają tam tylko na lato. Przez większość roku wszystko jest zamknięte.

Brad chyba się nad tym zastanawiał. Dean wydał zduszony jęk, wciąż próbując się uwolnić.

– A kto wie, gdzie bogaci ludzie trzymają swoją forszę? – powiedział Brad, nieco zbity z tropu.

– Trzymają ją w banku! – Emily niemal wypluła z siebie te słowa. – Żeby tacy szaleńcy jak wy nie mogli położyć na niej swoich brudnych łap!

– W noclegowni jest sejf – odezwał się Dean, któremu udało się w końcu wydobyć głos. Przeczytałem to w książce. *Najpiękniejsze domy na wyspach Adirondack*, czy jakoś tak.

– Zamknij się, Dean! – rzuciła Emily. Co za idiota! Jaka znowu książka? Na wyspie nie ma żadnej „noclegowni”, cokolwiek to miało znaczyć! Facet nie wiedział, o czym mówi.

Brad pozwolił sobie na złośliwy uśmiešek, jakby przyłapał ją na kłamstwie, jednak wyglądał na nieco mniej pewnego siebie.

– Podobasz mi się, Emily. Nie chcę zabić twojego chłopaka ani nikogo, kogo znajdę na tej wyspie. Ale wiesz, że mogą to zrobić.

Mężczyzna zastrzelony przez Deana wspominał, że Burke'owie są na Heart Island. Czy to prawda, czy ojciec Emily znajdował się rzeczywiście niedaleko, wystarczyło tylko wsiąść do łodzi?

– A jeżeli myślisz, że nie wiem, jak się tam dostać, to się mylisz – dodał Brad. – Planowaliśmy to od bardzo dawna, co nie, Dean?

– Idzie burza – powiedziała Emily słabym głosem. – Nie damy rady.

– Dean i ja wychowaliśmy się na wodzie. Przecież o tym wiesz. A może Dean ci nie wspominał, od jak dawna się znamy? Uwierz mi, nie widziałas prawdziwej burzy, dopóki nie przeżyłaś sztormu na Florydzie.

Emily wyobraziła sobie, że patrzy na wszystko z góry i widzi trzy osoby stojące na przystani, przerażający trójkąt spleciony ze złych zamiarów i potwornych błędów. Usiłowała zrozumieć, jakie pozostały jej wyjścia, te dobre i te złe, co teraz może zrobić, a co chciałaby zrobić. Czula jednak pustkę w głowie. Nie było innej ścieżki niż ta, którą podążała. Nie było innego rozwiązania niż pójście naprzód. Nie mogła uciec i pozostawić wyspy na pastwę tych dwóch facetów, a zwłaszcza Brada. Nie – musi dotrzeć tam wraz z nimi. Musi uratować to, co się da, z miejsca, które tak bardzo kochała. Może gdzieś głęboko w jej duszy wciąż kryła się mała dziewczynka, która miała nadzieję, że ta podróż będzie wprawdzie mroczną, krętą i pełną niebezpieczeństw, ale jednak drogą do domu.

Dziewczyna nie wyglądała na zakładniczkę – zauważył Jones Cooper.

– Mam nagrania – odparła agentka specjalna Eliza Griffin. Była młoda, bardzo młoda; na pewno zbyt młoda, by pełnić tę funkcję. Gdy Jones wszedł do komisariatu, pomyślał, że trafił na dzień akcji „Zabierz córkę do pracy”. Od kiedy do FBI przyjmowano dzieci?! – Krzyczała, gdy wynosili ją z restauracji.

– No cóż, od tamtej pory coś się zmieniło.

Przed wszystkim był wkurzony z powodu SUV-a. To niezły wóz, splecony, w dobrym stanie. Poza tym Cooper miał wrażenie, że mógł zrobić nieco więcej, niż pozwolić tym ludziom tak po prostu odjechać.

Szczerze powiedziawszy, gdy tylko zobaczył dziewczynę na drodze, domyślił się, kim ona jest. Od wczoraj monitorował policyjne częstotliwości i śledził rozwój wypadków. Miał przeczucie, że przestępcy ruszyli na północ i doszedł do wniosku, że mogą uciekać właśnie przez The Hollows. Teraz, jakby nie miał innych zmartwień, musiał odpowiadać na pytania agentki federalnej, która była ponad dwukrotnie od niego młodsza, ale za to uważała się za dwa razy inteligentniejszą, niż była w rzeczywistości. Właśnie takie sprawiała wrażenie – osoby bezczelnej, przemyślanej i przekonanej o własnej nieomyślności, co mogło sprowadzić na nią jedynie kłopoty. Wszyscy młodzi ludzie tak się zachowywali, Jones kiedyś też, choć w mniejszym stopniu. Było to jednak naprawdę bardzo dawno temu.

– On miał broń, prawda? – Wpatrywała się w swój notatnik.

– Prawda.

– I powiedział pan, że dziewczyna miała posiniaczoną twarz, jakby ktoś ją uderzył. – Agentka bezwiednie chwyciła swój ciemny kucyk, przerzucała go przez ramię i okręcała włosy wokół palca.

Skinął potakująco głową. Chciałby uwierzyć, że taka sympatyczna młoda dziewczyna jest zakładniczką. Rzeczywiście ktoś jej mógł czymś grozić, a Jones tego nie zdołał zauważyć. Nie sądził jednak, żeby tak było. Na pewno widział jej rozpacz: życie wymykało jej się spod kontroli i teraz dryfowała na oślep.

– Działała pod przymusem. – Agentka poprawiła palcem okulary w ciemnych oprawkach. Większość młodych kobiet nosiła dziś soczewki kontaktowe albo decydowała się na laserową korekcję wzroku. Jones zaczął się zastanawiać, dlaczego Eliza Griffin wybrała okulary. Oprawki zdominowały jej twarz; kiedy się na nią patrzyło, były pierwszą rzeczą, która zwracała uwagę. Może właśnie o to chodziło.

– No cóż... – powiedział. – Może w pewnym sensie tak było. Wątpię, żeby to ona zaplanowała tę akcję, ale teraz jest razem z tamtym facetem. Kocha go i uważa, że może go uratować.

Dziewczyna spojrzała na niego z wyraźnym powątpiewaniem.

– A skąd pan niby o tym wie?

Wzruszył ramionami.

– Doświadczenie, intuicja. Nie po raz pierwszy coś takiego się zdarza.

Agentka obdarzyła go uśmiechem, który zapewne uznała za uprzejmy, a który tak naprawdę był pełen wyższości.

– Znajomy Deana Freemana twierdzi, że już od pewnego czasu przygotowywał ten napad i że poprosił swojego przyjaciela, Brada Campbella, o przyjazd z Florydy i pomoc w przeprowadzeniu akcji.

Jones Cooper nie uważał tego za prawdopodobne. Znał ten typ faceta: rozrabiaka, ale słabego charakteru i niezbyt roztropny. Nie potrafiłby zaplanować napadu ani żadnego podobnego przedsięwzięcia. To mógł być rzeczywiście jego pomysł, jednak bez kogoś, kto to wszystko ogarnie, nie odważyłby się wprowadzić go w życie ani nie znalazłby odpowiedniej motywacji.

– Nie wyglądał na tytana intelektu – powiedział Jones. – Był niespokojny, spanikowany. Nie jestem pewien, ale mógł być na jakichś prochach.

– Kamery znajdujące się w restauracji zarejestrowały dwóch mężczyzn wchodzących tylnym wejściem, którzy wyszli tą samą drogą, zabierając ze sobą dziewczynę. Mówi pan, że zauważył tylko dwie osoby?

– Zgadza się.

– Widziano ich w motelu na południe od Hollows – powiedziała agentka Griffin. – Według zeznań świadków Emily Burke i Dean Freeman odjechali we dwoje. Kiedy tam dotarliśmy, znaleźliśmy ślady walki: przewracane meble, krew na dywanie i na ścianach. Nikogo już tam jednak nie było.

Jones nie wiedział, dlaczego ta dziewczyna mu to wszystko mówi. Czy chciała się dowiedzieć, co o tym sądzi, ale w taki sposób, żeby nie zadawać tego pytania wprost?

– Pewnie pokłócili się o pieniądze – powiedział. – Zawsze ktoś uważa, że należy mu się więcej niż innym.

Eliza Griffin popatrzyła na niego tak, jakby powiedział coś zabawnego.

– Też tak pomyślałam. Mogło również chodzić o dziewczynę. Bójka o dziewczynę?

– Możliwe – przyznał Jones. Emily Burke była bardzo ładną kobietą.

– A co pan jest w stanie o niej powiedzieć?

– Była trzeźwa. Dość opanowana. Jak mówiłem, moim zdaniem nie jest zakładniczką. Wyglądało na to, że lepiej sobie radzi z sytuacją niż chłopak. Jeszcze chwila i ten gość się zupełnie rozleci.

Agentka wyprostowała się na krześle i zerknęła w akta leżące przed nią na stole. Jones podążył za jej wzrokiem i przyjrzał się zdjęciom Freemana z kartoteki.

– To najcięższe przestępstwo, jakie do tej pory popełnił. Jeszcze jako nieletni był oskarżony o udział w napadzie na Florydzie, ale nikt nie odniósł wtedy obrażeń i to nie on użył broni. Parę lat temu w New Jersey doszło oskarżenie o posiadanie środków odurzających z zamiarem dystrybucji. Ten napad to wkroczenie na zupełnie nowy obszar.

Jones pomyślał o tamtej dziewczynie. Dlaczego zadawała się z takim facetem? Jeśli miałby nieco więcej czasu, a ten pajac nie machał tak swoim gnatem, mógłby z nią trochę pogadać. Chciała wyjść z tego bagna, w które wdepnęła, domyślił się tego po jej zachowaniu. Żona Jonesa, Maggie, wysmiała by go. „Jeszcze jedna księżniczka w opałach? Nie możesz się żadnej oprzeć, nawet kiedy ukradnie twój samochód!”.

– Nie domyśla się pan, dokąd się teraz wybierają?

Już go o to pytała dwa razy.

– Nie – odparł. – Ale przypuszczam, że będą dalej jechać na północ.

– Wkrótce się dowiemy – powiedział Chuck Ferrigno, który był naczelnym detektywem na komisariacie policji w The Hollows. Zajął to stanowisko prawie dwa lata temu, gdy Jones przeszedł na emeryturę. Siedział teraz w kącie pomieszczenia i stukał w klawiaturę swojego BlackBerry. – Ludzie z LoJack powiedzieli, że aktywują urządzenie i podadzą nam położenie wozu w ciągu godziny.

– Zabrali mi auto cztery godziny temu. Mogli się już go pozbyć – powiedział Jones.

To był główny powód, dla którego zrezygnował z walki o explorera. Kazał zainstalować moduł w zeszłym roku, kiedy zdobył licencję prywatnego detektywa, przypuszczając, że może się przydać. Oczywiście było to częścią jego wyobrażenia, jak wygląda praca w tym zawodzie. Nie prowadził żadnego dochodzenia od ponad sześciu miesięcy, z wyjątkiem sporadycznych konsultacji, których udzielał uskarżającemu się na brak personelu komisariatowi. W ubiegłym roku zajmował się dwiema niewyjaśnionymi sprawami.

– Jeśli nawet tak się stało – powiedziała agentka – będziemy bliżej ich odnalezienia niż w ciągu ostatnich dwóch dni. Wstała z krzesła i wyciągnęła dłoń. – Dziękuję za pomoc, panie Cooper. I za zachowanie zimnej krwi w tej sytuacji.

On również wstał i podał jej rękę. Eliza Griffin ścisnęła ją mocno, choć jej palce wydawały się drobne i delikatne.

– Myślę, że można się z nimi dogadać. Zwłaszcza jeśli uda się pani przekonać tę dziewczynę.

– Panie Cooper... – odezwała się, jakby miała zamiar wygłosić mu wykład. – Ci ludzie dokonali napadu z użyciem broni, w którym zginął jeden mężczyzna, a kobieta znajduje się w stanie śpiączki. Użyjemy wszelkich niezbędnych środków, żeby ich zatrzymać.

Poczucie wyższości wręcz ją rozsadzało. Przekłucie tego balonu nie sprawiłoby Jonesowi większych trudności, jednak nie chciało mu się tego robić.

– Oczywiście – powiedział i podniósł dłoń w ugodowym geście.

– Panie Ferrigno, niech pan przekaże ludziom z firmy LoJack mój numer telefonu i poprosi o kontakt. – Zebrała akta ze stołu i przycisnęła je do piersi. – Ja i mój zespół będziemy czekać na parkingu na informację o miejscu ich pobytu.

– Zrobi się – odparł lekko Chuck. – Zaraz powinniśmy to mieć.

Wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami.

– Chryste, czy my też byliśmy tacy młodzi i głupi?! – spytał Chuck po chwili.

– Nie – odparł Jones. – Zawsze byliśmy geniuszami takimi jak teraz.

– Właśnie tak mi się wydawało. – Chuck potarł czoło. Za każdym razem, gdy Jones się z nim spotykał, facet miał mniej włosów i przybywało mu trochę centymetrów w pasie. Ta robota wszystkim odbijała się na zdrowiu.

– Podwiesz mnie do domu? – spytał Jones.

Ferrigno uniósł ze zdziwieniem brwi.

– Nie chcesz tu zaczekać na rozwój sytuacji?

Prawdę powiedziawszy, Jones nie miał czego szukać w domu. Maggie właśnie odwoziła ich syna, Ricky'ego, z powrotem do szkoły. Jones po chwili ponownie usiadł na krześle. Pracował tu przez tyle lat i spędził wiele godzin w pokoju przesłuchań, lecz dziś po raz pierwszy wystąpił w roli odpowiadającego na pytania.

– Jasne – powiedział. Poczul dobrze znany dreszczyk emocji. – Czemu nie?

– Myślę o tym drugim obywatelu. – Chuck postukał długopisem w blat stołu.

– Brad Campbell – powiedział Jones.

– To naprawdę kawał drania. Widziałeś jego kartotekę?

– Tak. – Napad z bronią w rękę, pobicie, usiłowanie gwałtu, kradzież samochodu – niekończąca się lista przestępstw. To, że znajdował się teraz na wolności, stanowiło żywy dowód nieskuteczności prawa karnego. Facet taki jak Brad Campbell zawsze w końcu kogoś zabije, sam zostanie zabity albo spędzi resztę życia w więzieniu. Proste jak drut.

– Chłopak miał rozwalone knykcie – powiedział Jones. – Musieli się bić, jak powiedziała agentka Griffin.

– Wiesz co? – odparł Chuck. – Miejmy nadzieję, że rozstali się w zgodzie, bo w przeciwnym razie gość na pewno ich szuka, zwłaszcza jeżeli to oni zabrali forszę.

Wyspa, wyspa, wyspa... Odkąd Lulu sięgała pamięcią, Chelsea wciąż mówiła o wyspie. W wyobraźni Lulu to miejsce rozrosło się do ogromnych rozmiarów, niczym jakaś baśniowa kraina, do której dostęp miała tylko Chelsea. Była doskonała, piękna i niedostępna – Lulu nigdy tam nie zapraszano. Domyślała się, że jej przyjaciółka nie chce jej tam widzieć, że na Heart Island jest coś, co Chelsea pragnie zachować tylko dla siebie. Lulu zawsze jej w duchu zazdrościła wyspy, choć za żadne skarby świata nie chciałaby się do tego przyznać. Dawała do zrozumienia, że doroczna wycieczka, na którą musiała wyjechać Chelsea, to coś potwornie beznadziejnego, ale tak naprawdę co roku czekała na zaproszenie, które się nie pojawiało.

Teraz, kiedy się tu wreszcie znalazła, czuła się zdeorientowana. Wyspa okazała się jedynie kawałkiem skały pośrodku szarego, zimnego jeziora. Jasne, było na niej dużo drzew, świeże powietrze i w ogóle. Tylko że panował tu jakiś dziwny klimat, czuło się odosobnienie, samotność. Brakowało telewizji, nie działały komórki, a Internet dostępny przez modem Chelsea był tak wolny, że w zasadzie nie warto o nim wspominać. To wkurzające! A co najgorsze, nie było tu Connera Lange.

Prawdę mówiąc, Lulu wprosiła się na wyspę tylko po to, żeby mu dokuczyć. Wkurzył się trochę, kiedy ich plan wyciągnięcia Chelsea z domu spalił na panewce. Tego wieczoru chciał, żeby Lulu zostawiła Chaz i przyjechała sama. Odbывała się właśnie impreza, na którą starsi uczniowie z innej szkoły przynieśli alkohol. Lulu strasznie chciała tam iść, pobyć z Connerem, nieźle zaszaleć i odrobinę się zapomnieć, jednak nie zamierzała nigdzie się ruszać bez Chelsea.

Napisała mu: „Nie zostawię Chelsea, zrozum to wreszcie”.

„Świetnie”, odpisał. „Do zobaczenia innym razem”.

Właśnie wtedy przyszła mama Chelsea i Lulu wprosiła się na wyjazd na wyspę. Pokaże temu facetowi, jak mało dla niej znaczy. Metoda okazała się skuteczna – zostawił jej już około setki wiadomości. Teraz jednak Lulu była odcięta od świata, a ta zdzira z drugiej klasy, Bella, zaczęła się podwalać do Connera. Przynajmniej on tak twierdził.

Na dodatek babcia Chelsea okazała się kompletną suką. Całe to miejsce traktowała jak jeden wielki tor przeszkód pełen reguł. Pysznic – najwyżej pięć minut – tak jakby Lulu mogła umyć włosy i skorzystać z odżywki w ciągu pięciu minut! Nie spłukuj toalety za każdym razem, kiedy robisz siku – obrzydliwość! Zakręć kran, kiedy myjesz zęby. Ostrożnie chodź po skałach i nie krzycz zbyt głośno, nawet w czasie zabawy. Woda jest zbyt zimna, żeby się w niej kąpać... A do tego musiały razem z Chelsea zajmować się przygotowaniem kolacji! I to miały być niby WAKACJE?!

Mama Chelsea rozpałała kominek w domku dla gości. Teraz obie dziewczyny siedziały skulone przy ogniu, a Kate próbowała dodzwonić się do Seana. Chelsea co chwila brała do ręki pogrzebacz, żeby podsyć ogień, tak jakby ciepło było w stanie zlikwidować głęboki niepokój, który je ogarnął. Niestety to nie działało.

Łączność wróciła na krótki czas i Lulu zdążyła chwilę pogadać z Connerem.

– Kocham cię – oświadczył. – Wracaj.

– Nie mogę. Nie dam rady stąd uciec.

Właśnie wtedy powiedział, że Bella zaczęła z nim flirtować. Czyli: jeśli Lulu nie było pod ręką, znajdzie się ktoś inny. Coś takiego właśnie próbował jej powiedzieć, prawda?

Udała, że ją to nie obchodzi.

– Ach tak? – spytała. – To niezła laska. Spróbuj z nią, słyszałam, że chętnie pójdzie z każdym.

– Pragnę tylko ciebie, kochanie.

Kłamał. Zachowywał się jak dziwka. Skumałby się z każdą laską, która go zechce. Wszyscy faceci to dziwki.

Po pewnym czasie Chelsea przeniosła się na kanapę z książką i Lulu uświadomiła sobie, że znów ogarnia ją pustka. Zwykle czuła się spokojna i bezpieczna, kiedy Chaz była obok. Jednak nawet jej przyjaciółka w tym miejscu zachowywała się inaczej, stała się trochę nieobecna, bardziej zainteresowana samą wyspą niż Lulu.

Ciekawe, czy wiedziała, że została okłamana. Lulu zaczęła o tym myśleć i ogarnęło ją przerażenie.

– Nie denerwuj się, Lulu – powiedziała Chelsea.

Chaz sądziła, że Lulu przejmuje się Connerem i Bellą. Patrzyła na nią sponad książki z uspokajającym uśmiechem. Ta dziewczyna ciągle coś czytała. Lulu nie rozumiała, co takiego fajnego jest w książkach. Te wszystkie słowa wypełniające kolejne strony, czyjeś kłamstwa wydrukowane na papierze... N-U-D-A!

– Nie denerwuję się. – Lulu próbowała zastosować to samo podejście, co w wypadku Connera. Niestety Chelsea nie dało się oszukać. – Ona nie dorasta mi do pięt.

– Oczywiście, że nie – odparła jej koleżanka. – Nikt nie dorasta. Wiesz przecież.

– Wiem.

W tym momencie Lulu była niemal gotowa przyznać się Chelsea do kłamstwa. Nie potrafiła jednak się na to zdobyć. Położyła głowę na poduszce, którą przyniosła sobie na podłogę, i zamknęła oczy. Wprawdzie nie dostrzegła tego, co Chelsea zauważyła na pomoście, ale sam widok jej miny wystarczył, żeby się przestraszyć. Od tamtej pory Lulu wszystkiego się bała, podskakiwała, słysząc najdrobniejszy dźwięk, mimo że jeszcze niedawno wyśmiewała się ze swojej przyjaciółki, która wierzyła w duchy.

W tym miejscu było coś dziwnego. Panowała przytłaczająca cisza, a kiedy zniknął zasięg w komórce, wydawało się to umyślnym działaniem, tak jakby wyspa chciała ich odciąć od świata. Lulu miała ochotę powiedzieć to na głos, jednak spodziewała się, jakiego komentarza może oczekiwać od Chelsea. – Naoglądałaś się zbyt dużo horrorów!

– Dlaczego tak lubisz tę wyspę? – zapytała. – Nie rozumiem tego.

Wpatrywała się w wysoki belkowany sufit, słuchając bębnienia deszczu o dach. Za oknem była tylko ciemność, Lulu widziała w szybie jedynie odbicie wnętrza pomieszczenia. Chelsea nie od razu odpowiedziała na pytanie. Lulu zerknęła na przyjaciółkę, która wpatrywała się w przestrzeń.

– Nie muszę tu nikogo udawać – powiedziała w końcu Chelsea. – Nie muszę być kimś innym niż w rzeczywistości.

Odpowiedź zaskoczyła Lulu. Kiedy niby Chelsea musiała być kimś innym, niż była?! Zadała jej to pytanie.

– No wiesz... Nie muszę depilować nóg ani się malować. Mogę ubrać się w cokolwiek i nikt się do tego nie przyczepi. Nie muszę o siebie specjalnie dbać.

Pomysł, że Chelsea musiała jakoś specjalnie dbać o siebie, wydał się Lulu dość zaskakujący.

– Wyglądasz doskonale – stwierdziła. – Nie musisz w ogóle się starać.

– Tak, jasne. – Chelsea głośno westchnęła i po chwili dodała: – Już potem nie napisał. Po tym, jak mu powiedziałam, że nie mogę wyjść z domu i się z nim spotkać.

Lulu domyśliła się, że Chelsea mówi o Adamie McKee i ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Była beznadziejną przyjaciółką.

– Zapomnij o nim – powiedziała. – To na pewno jakiś dupek. Nie zasługuje na ciebie.

– Aha. – Chelsea sprawiała wrażenie zupełnie nieprzekonanej. – Chyba tak.

Lulu znów chciała jej to powiedzieć i znów nie potrafiła się na to zdobyć.

– Idę spać. – Wstała i ruszyła do swojego pokoju. Chciała, żeby Chelsea poszła razem z nią, żeby mogła się zwinąć w kłębek obok swojej przyjaciółki i zasnąć tak jak kiedyś, kiedy były młodsze. Chelsea jednak nie ruszyła się z miejsca.

– OK. Jeszcze trochę poczytam i zobaczę, czy mamie uda się dodzwonić do taty. – Chelsea wydawała się nieobecna, była niespokojna od czasu wydarzeń na pomoście, jakby myślała o sprawach, o których nie zamierzała rozmawiać.

Podłoga w pomieszczeniu była zimna; Lulu wiedziała, że czeka na nią twarde i nieprzyjemne łóżko.

– Wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest. – Chelsea powiedziała to tonem, który sugerował coś zupełnie przeciwnego. Lulu stała jeszcze przez chwilę, ale Chelsea wróciła do książki. Poszła więc do swojego pokoju, schowała się w pościeli i ciasno owinęła kołdrą. Była tak zmęczona, że nawet mimo różnych spraw, które ją trapiły – ta głupia wyspa, niewierny chłopak, duchy, no i ta straszna rzecz, którą zrobiła swojej przyjaciółce – od razu zapadła w głęboki, mocny sen.

Coś obudziło Kate w środku nocy. Co to mogło być? W ciszy panującej dookoła pobrzmiwało jeszcze echo jakiegoś dźwięku. Deszcz przestał padać. Chelsea leżała przytulona do matki, obejmując ją w tali. Wśliznęła się do pokoju tuż po tym, jak Kate zgasła światło. Teraz lekko pochrapywała.

W blasku księżycy wyglądała jak wówczas, gdy była małym dzieckiem: miała jasną cerę, gładkie czoło, była pograżona w niewinnej, nieprzeniknionej drzemce. Nie przesładowały jej żadne koszmary, zawsze spała spokojnym, głębokim snem. Brendan zamartwiał się z byle powodu i wciąż budził w nocy, kiedy się niepokoił. Odziedziczył tę cechę po Kate.

Wsluchiwała się w ciszę, ale nie zarejestrowała żadnego odgłosu. Wyśliznęła się z łóżka i cicho podeszła do okna. Widziała ciemne, nieruchome sylwetki głównego budynku i noclegowni.

Doszła do wniosku, że rano wsiądą do łodzi i popłyną na ląd, żeby porozmawiać z policjantami. Coś dziwnego działo się z wyspą, spokój tego miejsca został zakłócony. Kate wyczuwała to, choć nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego tak jest. Caroline uważała, że wyspa ma własne uczucia i nastroje. Kate nie posunęłaby się aż tak daleko, ale rzeczywiście tym razem coś było nie tak.

Skrzyżowała ramiona i popatrzyła za okno, na poruszające się korony drzew i płynące po niebie chmury, na równy trójkąt dachu domu rodziców, na błyszczącą tafelę wody. Ponownie pomyślała o okrążeniu wyspy z latarką w dłoni. Co jednak robi, jeżeli wśród drzew rzeczywiście ukrywa się jakiś intruz? Na dodatek będzie musiała zostawić dziewczyny same.

Gdy Kate i Theo byli dziećmi, wymykali się z łóżek i w ciemnościach biegali dookoła wyspy. Wyposażeni w latarki odwiedzali wszystkie znane miejsca, które pod osłoną nocy odkrywali na nowo. Nigdy przy tym się nie bali – czuli, że są chronieni, bezpieczni, że nic złego nie może im się przydarzyć. Caroline opowiadała o duchach mieszkających na wyspie, ale ani Kate, ani Theo nigdy ich nie zobaczyli, mimo że oboje bardzo się starali.

Kate chodziła od okna do okna, patrząc na wyspę z różnych stron. Widziała zachodni brzeg i główny budynek po południowej stronie. Na wschodzie były tylko drzewa i ścieżka prowadząca na Skalę Widokową. Właśnie w tym miejscu, według zapisków Lany, jej romans z Richardem znalazł swoje mroczne zakończenie. Kate zastanawiała się, czy czytanie i pisanie o tym człowieku – chociaż nie w bezpośredni sposób – mogło przywołać go do życia. Czyżby to właśnie Richard Cameron wędrował po wyspie, starając się przypomnieć o sobie po tylu latach nieobecności? Chelsea i Birdie opisywały postać podobną do osoby, którą Kate widziała na zdjęciach. Tyle że to nie mógł być on! To tylko niemądre wyobrażenia produkowane przez przepracowany umysł. Mimo to Kate była ciekawa, co powiedziałaby ciocia Caroline. Na pewno uznalaby, że to rzeczywiście Cameron i zażądałaby przeprowadzenia seansu albo skonsultowałaby się z tabliczką ouija. „Richard, czy to ty?“, zapytałaby ducha. „Przykro nam, że musiałeś tyle wycierpieć“.

Kate była ciekawa, co jej matka wie na temat romansu Lany i czy w ogóle poznała tę historię. Birdie wyglądała na szczerze zdziwioną, kiedy John Cross wymienił nazwisko Camerona, tak jakby nigdy wcześniej o nim nie słyszała. Ale czemu w tak emocjonalny sposób zareagowała na opowieść sąsiada? Czy stało się tak dlatego, że postać ze zdjęcia przypominała jej osobę, którą rzekomo zobaczyła wczoraj na wyspie? A może chodziło o coś więcej, o jakieś domysły, jakieś wyparte z pamięci wspomnienia? Gdyby Kate rozpoczęła z Birdie rozmowę na ten temat, przyznałaby tym samym, że wie niemal wszystko o tym związku, że poznała nawet okoliczności jego zakończenia w wersji przedstawionej przez babcię Lanę. Nie była pewna, czy już jest gotowa rozmawiać o tych wszystkich sprawach. Historia romansu, mocno zmieniona na potrzeby powieści, była jednak osnową jej fabuły. Kate musiała porozmawiać z matką, zanim książka pojawi się na rynku.

Teraz, w spokoju, na swojej wyspie, Kate zadała sobie pytanie, czy John Cross mógł coś wiedzieć o jej powieści. Światek wydawniczy był bardzo mały. Nie sądziła, żeby Cross miał dostęp do jej rękopisu na tak wczesnym etapie, ale pewnością mieć nie mogła. Oczywiście wszystkie wydarzenia i nazwiska zostały w znacznym stopniu pozmienniane, a przebieg akcji wymyślony, jednak pojawiały się też przeblęski rzeczywistości. Kate była bardzo szczerą w trakcie pracy z redaktorem, więc mogły rozejść się jakieś plotki. Najlepsza beletrystyka to taka, którą czyta się jak literaturę faktu. Najskuteczniejsze kłamstwa zawierały w sobie ziarno prawdy.

Zamyśliła się tak mocno, że na początku prawie w ogóle tego nie dostrzegła. Coś ruszyło się wśród drzew. Jakiś cień początkowo pozostawał nieruchomy, a potem przesunął się i skrył między pniami. Serce zamarło jej w piersi, poczuła suchość w gardle. Po chwili wszystko zniknęło, nic się już nie poruszało, została tylko nieprzenikniona cisza, która pojawiła się na długo przed przyjściem Kate na świat, a która zniknie wiele lat po śmierci wszystkich mieszkańców wyspy. Co to było?!

W ciszy szybko pobiegła do wiatrołapu i założyła dzinsy, buty i kurtkę. Z półki nad umywalką zdjęła latarkę i raketnicę. Pistolet sygnałowy może nie był najlepszą bronią, ale Kate pewniej się czuła, trzymając masywne urządzenie w dłoni.

Wyszła z budynku, zamykając drzwi na klucz. Czuła strach, ale także złość: ktoś obcy wkroczył na jej teren. Maszerując w ciemnościach doszła do wniosku, że przypomina Birdie bardziej, niż gotowa była się do tego przyznać.

Birdie nie spała zbyt dobrze. Zapadała raz po raz w niespokojną drzemkę, by po chwili nagle się obudzić. Nie potrafiła wstać z łóżka. Słyszała, jak dziewczyny cicho rozmawiają, a potem jedzą kolację. Słyszała, jak sprzątają po posiłku, oczywiście zużywając zbyt wiele wody. Czyżby nie wiedziały, że pompa jest zasilana baterią słoneczną? Domyśla się dopiero wtedy, gdy odkręca kurek i nic już z niego nie poleci.

Potem wszystkie wróciły do domku dla gości, a Birdie znowu – nareszcie! – została sama. Denerwowały ją wszelkie dźwięki. Zawsze tak się zachowywała: nigdy nie mogła znieść harmidru wywołwanego przez Gene'a i Caroline ani odgłosów żywiołowej bieganiny Kate i Theo czy ich śmiechu. Taki hałas brzydził ją i sprawiał jej ból. Zapewne czyniło to z niej jakiegoś potwora, osobę niezdolną do zaakceptowania oznak radości innych ludzi. Nie potrafiła jednak zmusić się do innej reakcji.

Bardzo chciała opowiedzieć Kate o swoich wspomnieniach z dzieciństwa i o tym, że na zdjęciu pokazanym przez Johna Crossa był ten sam mężczyzna, którego fotografia znajdowała się w albumie pozostawionym przez mamę. Ten sam mężczyzna, który ją wtedy całował i być może – być może – ten sam, którego Birdie widziała teraz na wyspie. Ale jak mogła w ogóle komuś o tym opowiedzieć?! Ona sama uważała tę historię za szaleństwo.

Kim był ten człowiek dla mamy? Oczywiście kochankiem, to jasne. Lecz co to tak naprawdę oznaczało? Pamiętała ten pocałunek – pocałunek filmowy, pełen uniesienia. Właściwie to przez całe życie czekała, by ktoś ją pocałował w taki sposób. Nigdy nie dostała tego od Joego, a teraz nie mogła już liczyć, że kiedykolwiek coś takiego jeszcze się wydarzy.

Tylko niektóre kobiety potrafiły ofiarować i otrzymywać w zamian tyle uczuć. Birdie wiedziała, że do nich nie należy, że nie jest osobą pełną życia i namiętności. Była szczupła i koścista, jej ciału brakowało miękkości, źle reagowała na dotyk. Miała wąskie usta, jak gdyby przeznaczone jedynie do wypowiedziania ostrych słów, pouczeń i skarg. Całkowicie różniła się od swojej matki, zażywej, uczuciowej kobiety.

Co innego Caroline. Caroline była bardzo podobna do mamy, równie radosna, tak samo rozemocjonowana i roześmiana. Siostra musiała

odziedziczyć po Lanie wszystko, skoro Birdie nie dostała nic: miała raczej pociągłe, zimne rysy charakterystyczne dla rodziny jej ojca, sztywną sylwetkę, ściągniętą twarz, lodowatobłękitne oczy.

– Dlaczego nie mogą być tak szczupła jak ty, Birdie? – narzekała zawsze Caroline, mówiąc o walce, którą toczyła z własnym ciałem wciąż pragnącym zwiększać swoją objętość. Za to Birdie kiedyś, dawno temu, oddałaby wszystko za bujny biust Caroline, jej wydęte wargi, zaróżowione, pełne policzki. Chorobliwa szczupłość stała się modna dopiero niedawno.

Kiedy deszcz przestał na chwilę padać, chyba udało jej się trochę zdrzemnąć. Przez rozpraszające się chmury dotarł na wyspę blask księżyca. Birdie śniła o matce i Richardzie Cameronie, całujących się na brzegu. Śniła o swoim ojcu, bardzo dobrym, ale zawsze nieobecny człowieku. W snach Birdie przemykał gdzieś chyłkiem, szybko, z wyprostowanymi plecami. Nigdy nie widziała jego twarzy, nigdy nie udawało się powstrzymać jego biegu. Śniła też, że obok niej zjawił się Joe. – Ach, Birdie – powiedział. – Czy musisz być taka zimna?! – Łatwo mu tak mówić. Wcale nie była zimna, w żadnym razie! To on był nieczułym człowiekiem, który nigdy nie wspierał Birdie wtedy, kiedy powinien to zrobić. To, co najlepsze, zawsze wolał ofiarować innym ludziom. I podobnie jak mama, kochał inną osobę bardziej niż tę, którą poślubił. Teraz, kiedy dowiedziała się, że to, co zobaczyła wiele lat temu, nie było snem, stało się to dla Birdie jasne.

Czy miało to teraz znaczenie? Wszyscy już odeszli: matka, ojciec, Richard Cameron. Nawet Joe w pewien sposób odszedł; uczucie, które ich łączyło, zniknęło gdzieś wiele lat temu, pozostała jedynie korzystna dla obu stron relacja natury biznesowej. Nie, to jednak ma znaczenie, pomyślała Birdie, bo wyspa wszystko pamięta. Miłość i kłamstwa nie umierają nigdy. Ich pokłosie wzrasta w kolejnych pokoleniach niczym bluszcz, który oplata wszystko i w końcu nas dusi.

Caroline wiedziała! Nagle Birdie uświadomiła sobie to z całą jasnością. Wreszcie zrozumiała, dlaczego siostra mówiła pełnym wyższości, porozumiewawczym tonem w tych rzadkich chwilach, kiedy rozmawiały o rodzicach. Pozwalała sobie wtedy na drobne aluzje. „Są sprawy dotyczące mamy, o których w ogóle nic nie wiesz”. Albo: „Małżeństwo naszych rodziców wcale nie jest takie udane”. Kiedy Birdie dopytywała się o szczegóły, Caroline udzielała wymijających odpowiedzi, a potem po prostu wychodziła z pokoju. Birdie uważała, że jej siostra albo histeryzuje, albo próbuje jej dać do zrozumienia, że to ona zawsze była ulubionym dzieckiem Lany. Tak jakby dało się o tym zapomnieć.

Caroline wiedziała o romansie, bo usłyszała o nim od mamy. Spośród wszystkich przykrości, jakich Birdie doznała, właśnie ta sprawiła jej największy ból. Caroline zabrała ze sobą do grobu tajemnice powierzone przez mamę, która nie zechciała ich zdradzić starszej córce. Rzeczywiście, Birdie nie uzewnętrzniała miłości, czułości i życzliwości, jednak jej siostra ukrywała przed światem najważniejszą tajemnicę: prawdę o matce i o tamtej nocy. Wiedziała o Lanie to, czego nie wolno było wiedzieć Birdie. Czyżby mama nie rozumiała, że to Birdie kocha ją najbardziej? Jak mogła tego nie zauważyć?

Birdie tkwiła w sieci splecionej z myśli i marzeń, gdy nagle coś – jakiś odgłos – wyrwało ją ze snu. Usiadła prosto w łóżku i wyteżyła słuch. Cisza, żadnych dźwięków. Wiedziała jednak, że coś jest nie tak. Wyczuwała to w kościach, podobnie jak przeczuwała nadchodzący deszcz. Położyła się ponownie i czekała w bezruchu.

Chelsea obudziła się i zobaczyła, że jej mamy nie ma w łóżku. Przewróciła się na plecy i nasłuchiwała. Lulu oddychała głęboko w sąsiednim pomieszczeniu, ale poza tym nic się nie działo. Mamy nie było także w łazience. Gdzie zniknęła? Chelsea wstała i podeszła do okna. Zobaczyła snop światła latarki poruszający się wśród drzew. Pewnie Kate poszła sprawdzić, jak się czuje Birdie.

Zanim opuściły główny budynek, zapytała:

– Chcesz, żebym tu z tobą została, mamó?

– Nie wygłupiaj się! – odparła ostro Birdie.

Chelsea kochała babcię, ale zdenerwowało ją, że ktoś w ten sposób odzywa się do mamy. Nie pożegnawszy się z Birdie, wyszła, obejmując Kate ramieniem. Mama nigdy nikogo tak nie traktowała, nawet gdy była zła. W ogóle nikt z najbliższej rodziny Chelsea tak się nie zachowywał – ani Sean, ani nawet Brendan. Sebastian był rzeczywiście do tego zdolny. Wciąż to pamiętała, mimo że teraz chuchał na nią i dmuchał. Pamiętała wiadomości dla mamy, które zostawiał w poczcie głosowej, gdy był w ciągu – jego jad i wściekłość były wręcz namacalne. Nie lubiła jednak o tym myśleć, te wydarzenia należały do przeszłości, a mama zawsze powtarzała, że przeszłość już minęła. Chelsea bardzo odpowiadała myśl, że wszystkie brzydkie i okropne rzeczy znikają, kiedy nadchodzi ich pora. Są zmywane jak zamki z piasku z nadejściem przyptywu.

Weszła do sąsiedniego pokoju, żeby zajrzeć do Lulu. Jej przyjaciółka mocno spała. Chelsea wyjęła telefon z jej dłoni. Lulu jęknęła, przewróciła się na drugi bok i okryła szczelnie kołdrą.

Lulu udało się porozmawiać z Connerem i chyba była zadowolona, że chłopak nadal ją lubi i nie porzucił jej dla Belli.

– Ona nie dorasta mi do pięt – powiedziała wcześniej. Smutek, który pojawił się na jej twarzy sprawił jednak, że Chelsea nie do końca jej uwierzyła. Było jej przykro z powodu problemów Lulu, nie po raz pierwszy zresztą.

– Oczywiście, że nie – powiedziała jej wtedy. – Nikt nie dorasta. Wiesz przecież. – Lulu spojrzała na nią z wdzięcznością, jednak w jej oczach pojawiło się coś jeszcze. Wyglądało to zupełnie jak wyrzuty sumienia, ale może Chelsea jedynie tak się zdawało.

Podobnie jak wówczas, gdy zobaczyła tę postać na pomoście. Jak można być w jednej chwili w stu procentach przekonany, że coś się widzi, a w następnej mieć tyle wątpliwości? Bała się wtedy, chciała stamtąd uciec, ale po chwili to coś zniknęło i już w momencie, w którym razem z Lulu pędziły w stronę domu, poczuła się głupio, tak jakby wszystko sobie zmyśliła.

Chelsea zawsze chciała zobaczyć na Heart Island duchy, o których istnieniu przekonana była ciocia Caroline, choć Chelsea raczej nie dawała temu wiary, podobnie jak nigdy tak naprawdę nie uwierzyła w Świętego Mikołaja. Akceptowała tę historię przez wiele lat, bo bardzo pragnęła, żeby okazała się prawdziwa: latający renifer, Mikołaj wpadający przez komin i fakt, że wiedział, czy byłaś grzeczna czy nie. Wszystko to zupełnie nie trzymało się kupy, ale Chelsea w końcu zgodziła się na tę bajkę, ponieważ czuła taką potrzebę. Może coś podobnego wydarzyło się tego wieczoru: skoro przez tyle lat chciała uwierzyć, zobaczyła wreszcie to, co pragnęła zobaczyć.

Podobnie zresztą rzecz się miała z Adamem McKee. Połączenie działało bardzo krótko, ale zdążyła sprawdzić, czy Adam nie zostawił jej wiadomości. Nie zostawił. Niczego też nie napisał na swojej stronie.

– Zapomnij o nim – powiedziała Lulu. – To jakiś dupek.

Chelsea niestety nie zapomiała. Wciąż nosiła w sobie rozczarowanie niczym wirusa grypy żołądkowej. Co było z nią nie tak?! Faceci uganiaли się za Lulu, robili wszystko, żeby zwrócić na siebie jej uwagę, chociaż ich wykorzystywała, poniżała i porzucała. Lulu zajmowała się co chwilę kolejnym chłopakiem i wpadała w obsesję na jego punkcie, jak teraz w przypadku Connera. A kiedy już była pewna, że gość do niej należy, natychmiast traciła nim zainteresowanie.

Chelsea właściwie nigdy nie miała i prawdopodobnie nigdy nie będzie mieć chłopaka. „Nie jesteś taka, jak inne dziewczyny”. Cisza panująca w sieci sprawiła, że coś, co uważała za komplement, nabrało nagle innego znaczenia. Nie była taka, jak inne dziewczyny... Była dziwolągiem, wariatką. Nikt jej nigdy nie zechce.

– Co się dzieje? – Lulu stanęła za Chelsea i dotknęła zimną dłonią jej pleców. Chelsea drgnęła zaskoczona. – Gdzie jest twoja mama?

– Chyba poszła zajrzeć do babci. – Chelsea nie odwróciła głowy, wciąż wpatrując się w okno.

Lulu podeszła bliżej. Dygotała.

– Zimno mi – powiedziała.

Chelsea popatrzyła przez szybę na główny budynek. Nie widziała już podskakującej smugi światła z latarki Kate, ale w domu nie zapaliły się żadne lampy. Działo się coś, czego Chelsea nie potrafiła do końca zrozumieć, jakby ktoś zaczerpnął powietrza i wstrzymywał oddech. Czowała jakąś dziwną energię.

Lulu chwyciła Chelsea za rękę i odciągnęła od okna.

– Ona za chwilę wróci. Chodź, przytul się do mnie. Ogrzej mnie.

Weszły do łóżka Kate i przytuliły się do siebie pod kołdrą. Włosy Lulu pachniały truskawkami. Kiedy obie były młodsze, często spały razem w tym samym łóżku. Chelsea była przyzwyczajona do fizycznej bliskości przyjaciółki, która lubiła się do niej przytulać. Razem uczyły się nawet całować. Zdarzyło się to jednak dawno temu, już na ten temat nie rozmawiały, dziś nie wypadało o tym mówić. Było to dość krępujące, a nawet gorszące, wtedy jednak odbierały to jako coś przyjemnego i pięknego. Chelsea uważała, że ich zachowanie nie miało żadnego podtekstu seksualnego, jednak kiedy sobie o nim przypominała, robiło jej się gorąco.

– To miejsce jest naprawdę beznadziejne – oświadczyła Lulu. Wyglądała na przygnębioną i załamana.

Chelsea nie odezwała się. Jeśli ktoś nie wiedział, na czym polega urok Heart Island, miał prawo tak uważać. Rozumiała to. Ludzie, których kochała – Sean, wujek Theo, a w pewnym sensie także jej ojciec – mieli podobne zdanie na temat wyspy, ale żaden z nich nie nienawidził jej całkowicie. Po prostu pobyt tutaj zawsze wiązał się z wieloma przykrościami. Chelsea podsłuchiwała kiedyś, co wujek mówił mamie:

– To trochę tak, jak zakochać się w narkomance. Wiesz, jaka potrafi być dobra, kiedy rzeczywiście jest dobra; wiesz też, że jest naprawdę piękna. Ale nie równoważy to jej najgorszych stron.

– Jesteśmy tu uwięzione – dodała Lulu.

– Nie jesteśmy. – Chelsea nie była pewna, czy nie skłamała. Najwyraźniej wiele osób było więźniami Heart Island albo swoich wyobrażeń dotyczących tego miejsca.

– Twoja mama mówiła, że jezioro jest bardzo niespokojne. Nie możemy wrócić na ląd.

Chelsea wiedziała, że to prawda, chociaż kiedyś już przeżyła ucieczkę z wyspy podczas gorszej pogody, kiedy zbliżała się jeszcze groźniejsza burza niż dziś i rodzice uznali, że jedynym rozwiązaniem jest powrót do domu, póki to jeszcze możliwe. Podróż była straszna. Sean zaciskał kurczowo dłonie na sterach, Chelsea i Brendan przyłgnęli do Kate, a woda przelewała się przez burty niewielkiej łodzi unoszonej i rzucanej przez wysokie fale.

Birdie została wtedy w domu i musiała przeczekać burzę, przez co spędziła sama na wyspie cały tydzień. Chelsea rozplakała się, nie chciała zostawić babci.

– Tak postanowiła – powiedziała wówczas Kate. – Musimy to uszanować.

Chelsea nie potrafiła tego wtedy zrozumieć. Nadal zresztą nie rozumiała, dlaczego Birdie chciała zostać sama.

– Ona bardziej kocha wyspę niż nas! – Brendan starał się przekrzyknąć wiatr. Ani Kate, ani Sean nie skomentowali jego słów.

– Za jakiś czas będziemy mogły odpłynąć – powiedziała teraz Chelsea. – Nie przejmuj się. Nic nam się nie stanie, jesteśmy bezpieczne.

– Jasne – prychnęła Lulu. – Nie licząc duchów albo jakiegoś świra łączącego po wyspie.

Chelsea milczała. Strach Lulu był zaraźliwy. Może rzeczywiście były teraz uwięzione? I może nie dało się w żaden sposób wezwać pomocy? W awaryjnym radiu należało ładować akumulatory. Nie wiadomo, czy ktoś o tym pamiętał, skoro wszyscy spodziewali się, że komórki będą działać – a oczywiście nie działały.

Chelsea leżała i nasłuchiwała, czekając na powrót matki. Zanim Kate pozwoliła Lulu wziąć udział w wyjeździe, zaprosiła córkę do swojego pokoju.

– Naprawdę chcesz, żeby z nami pojechała, czy może wolisz od niej odpocząć? – spytała.

Mama siedziała wtedy ze skrzyżowanymi nogami na wielkim fotelu przy kominku. Chelsea poczuła, że ogarnia ją oburzenie, chciała stanąć w obronie przyjaciółki, jednak złość szybko minęła. Czyżby rzeczywiście pragnęła spędzić tydzień bez kontaktu z Lulu?

– Nie wiem – powiedziała. – Chyba chcę, żeby z nami pojechała.

– Dlaczego?

– Beze mnie będzie samotna.

Kate zacisnęła usta i spojrzała na córkę smutnym wzrokiem.

– Zabawianie Lulu nie jest twoim obowiązkiem – stwierdziła. – Czy wyjazd będzie dla ciebie przez to lepszy czy gorszy?

– Lepszy? – Wyszło z tego pytanie. Kate zmarszczyła brwi. – Lepszy – powtórzyła Chelsea nieco pewniejszym głosem. – Chcę, żeby z nami pojechała na wyspę.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Nie kłamała. No, przynajmniej nie okłamała mamy, być może okłamywała samą siebie. Bo przecież poczuła się nieco rozczarowana, gdy Kate pozwoliła Lulu na udział w wyjeździe. Może podświadomie pragnęła, żeby mama powiedziała: „Przepraszamy, Lulu, ale to wyjazd rodzinny”. I dlaczego Chelsea nie podzieliła się z Kate tymi wątpliwościami? Wyglądało to tak, jakby nie umiała otwarcie przedstawić swojego zdania.

– Chaz? – Lulu dotknęła jej głowy; delikatnym, spokojnym gestem pogładziła jej włosy.

– Tak?

– Muszę ci coś powiedzieć.

Lulu mówiła nieśmiało, przesłodzonym głosem, jak zwykle, kiedy zrobiła coś okropnego.

– Co takiego? – Chelsea przygotowała się na coś poważnego. Nie miała pojęcia, o co może chodzić. Takim samym tonem Lulu opowiadała o utracie dziewictwa i wtedy, kiedy przyznała się do zapalenia jointa. Co to mogło być tym razem?

– Ten chłopak... Adam McKee...

– Tak? – Boże. Chelsea poczuła, że kielkuje w niej strach. Co teraz usłyszysz? Że Lulu go zna, że z nim spała, że też z nim flirtowała w sieci i uznała, że jej się podoba?!

– On nie istnieje. To nie jest prawdziwy chłopak.

– O czym ty mówisz?!

Chelsea zadała to pytanie, ale już wiedziała, że Lulu nie kłamie. Oczywiście, że nie mógł być prawdziwy. Inteligentny, uprzejmy, wrażliwy, miłośnik sztuki i muzyki – tacy faceci nie istnieli. Tacy, którzy uważali Chelsea za fajną dziewczynę, lepszą od innych. Powinna była się tego wcześniej domyślić.

– To Conner zrobił tę stronę. To on ci przesyłał te wiadomości.

A tego akurat się nie spodziewała. Poczuła jednocześnie wściekłość i wstyd.

– Dlaczego?! – Z trudem wydobyła głos ze ściśniętego gardła.

– Prosił, żebym się jakoś od ciebie wymknęła. Pomyśleliśmy, że jeżeli się znajdzie ktoś, kto będzie chciał się z tobą zobaczyć, zgodzisz się to zrobić.

Tylko Lulu domyślała się, jakiego rodzaju chłopaka Chelsea chciałaby spotkać, tylko ona dokładnie wiedziała, jakich słów należy użyć w wiadomości. Inaczej niż Chelsea, która teraz nie miała pojęcia, co powiedzieć. Złość i rozczarowanie były zbyt silne. Nie byłaby w stanie się odezwać, nie wybuchając płaczem.

– Przepraszam, Chelsea – powiedziała Lulu. – Conner chciał zaprosić kolegę z innej szkoły, kogoś, kogo mogłabyś poznać. Skorzystaliśmy z jego zdjęcia. Uznałaś, że jest fajny...

Chelsea nadal się nie odzywała. Szybko przeglądała w myślach wszystko, co napisała Adamowi. Jakie informacje o sobie podała? Co zdradziła Lulu i jej durnowatemu chłopakowi, czego oboje dotąd nie wiedzieli? Szczerze mówiąc, najbardziej żenujący był entuzjazm, z jakim się na tego gościa rzuciła.

– Nie wściekaj się na mnie – powiedziała Lulu. – Nie wiedziałam, że naprawdę ci się spodoba. Nie myślałam w ogóle, że interesują cię faceci.

– Bo nie interesują. – Chelsea znów się udało wydobyć głos z gardła.

Nie przypuszczała, że będzie w stanie mówić tak swobodnie i spokojnie. Zawsze potrafiła ukrywać swoje uczucia, chować je głęboko przed ludźmi. Tak było bezpieczniej. Nikt się wtedy nie domyślał, że istnieje sposób, aby ją skrzywdzić. Nauczyła się tak robić w dzieciństwie, żeby nikt, kto nie zasługiwał na jej zaufanie, nie mógł zobaczyć jej łez.

– Chelsea...

– Naprawdę nie interesują! – Spróbowała się roześmiać, ale jej zduszony śmiech był dość żalony. – Prawie już o tym wszystkim zapomniałam. – Wiedziała, że nie brzmi to wiarygodnie, bo przecież wspominała o tym przed pójściem spać. Słyszała oddech Lulu.

– Daj spokój – powiedziała Lulu. – Przepraszam.

Niektórzy ludzie dobrze znali Chelsea. Sean, Kate i właśnie Lulu. Przed nimi nie mogła i nie chciała niczego ukrywać. Dlatego tak bolesny był fakt, że teraz musiała odgradzić się myślami od swojej najlepszej przyjaciółki.

Czuła, że Lulu patrzy na nią w ciemności. Widziała zarys jej głowy, okrągłe ramiona. Lulu położyła dłoń na ręce Chelsea. Delikatność tego gestu niespodziewanie obudziła w Chelsea coś mrocznego i złego.

– Naprawdę – powiedziała. – Nic się nie stało. Nie jestem taka jak ty. Nie jestem pindą, która polecą na każdego przystojnego faceta, jaki się nawinie.

Od razu pożałowała tych słów, ale niestety już padły, raniąc boleśnie każdą z nich, ich echo wciąż rozbrzmiewało dookoła. Lulu nie odezwała się ani słowem, po prostu wyszła z łóżka, a potem z pokoju.

Chelsea jeszcze nigdy nie czuła się tak samotna.

Zmęczenie Emily było jak nieznośny ciężar, który musiała dźwigać na plecach i którego nie mogła się pozbyć. Nigdy jeszcze tak bardzo nie pragnęła zasnąć. Chciała położyć głowę na czymś miękkim i pogрузić się we śnie na wiele godzin. Wszystko było jednak inne, nic nie wyglądało tak, jak w jej wspomnieniach. Wyspa była ciemna i zimna, stały tu trzy budynki, nie dwa. I rzeczywiście przebywali tu ludzie. Czy znajdował się wśród nich jej ojciec, który gdzieś teraz spokojnie spał? Emily patrzyła na kolejne domy, zastanawiając się, gdzie może go znaleźć. Pewnie w tym największym, po lewej stronie. Przez moment odczuwała coś w rodzaju ulgi, jakby właśnie dotarła do domu po długiej, męczącej podróży.

– Otwórz oczy, Emily – powtarzała zawsze jej matka. – Zobacz to, co jest tuż przed tobą.

Pogoda zrobiła się wprost straszna. Ledwo udało im się tu dostać – Dean stał za sterami, a Brad przystawiał mu do pleców rewolwer. Woda przelewała się przez burty łodzi, kołysanej silnym wiatrem.

Wkrótce po wypłynięciu z przystani dostrzegła ciemny, masywny cień Heart Island. A może to było tylko złudzenie? Emily wiedziała, że to największa wyspa na jeziorze i po wyjściu na otwarte wody powinna znajdować się dokładnie na wprost. Siedziała cicho obok Deana, który nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy. Jednak jej złość już zdążyła się ulotnić, czuła jedynie odprężenie.

Wreszcie, po ciągnącej się w nieskończoność podróży, uderzyli w skały w jedynym miejscu, do którego dało się przybić. Emily była przekonana, że za chwilę w budynkach na wyspie zapalą się światła – hałas był tak głośny, a siła uderzenia tak ogromna – jednak nic się nie wydarzyło. Emily nie wiedziała, czy kadłub uległ uszkodzeniu, czy też woda znajdująca się na dnie wlała się od góry.

Teraz łódź leżała przechylona na kamienistym brzegu; Brad wyszedł z niej pierwszy, starając się nie odwracać plecami do Deana i Emily, którzy po chwili podążyli za nim.

Brad ukrył pieniądze w łodzi, co zdaniem Emily było kretyńskie, bo przecież mogły zatonać, albo zostać zabrane przez fale. Pięć tysięcy dolarów... Razem z Deanem schránili sobie życie dla pięciu tysięcy dolarów. Pomyślała o funduszu na studia, który ustanowił jej ojciec. Środkami zarządzała matka, więc Emily nie miała pojęcia, ile tego jest.

– Wystarczy na opłacenie studiów i na dobry początek po ich ukończeniu – powiedziała kiedyś Martha. – Nie miałam tego, kiedy byłam w twoim wieku. Gdybym dostała coś na start, może nie popełniłabym tylu błędów.

Emily nie wiedziała, o jakie błędy chodziło i w jakim stopniu wpłynęły one na losy matki. Oczywiście o to zapytała. W odpowiedzi usłyszała tylko:

– Powiem ci, gdy będziesz starsza. – Matka nigdy jednak nie spełniła obietnicy.

– I co teraz zrobimy? – spytał Dean.

Brad nie odpowiedział od razu, rzucił im tylko pozbawione wyrazu spojrzenie. Zastanawia się, czy powinien nas teraz zabić, pomyślała Emily. Zastanawia się, czy mu się do czegoś przydamy. Odprężenie znikło, pojawiła się desperacja. Emily musiała jakoś ich uratować. Nie siebie i Deana, tylko siebie i swoje dziecko.

Dean chwycił się za głowę. Nienawidziła go. Co w nim widziała?! Co było w nim takiego, że się w nim zakochała? Dean był jak narkotyk, od którego się uzależniła. Świetny za pierwszym razem, ale za każdym następnym emocje były już tylko nędzną kopią początkowego odurzenia. Co mówiła Carol? „Oni zawsze na początku są mili. Tak cię zdobywają”.

Emily splotła ręce na brzuchu. W zeszłym miesiącu nie miała okresu, a tydzień temu, po kolejnym dniu bez miesiączki, wykonała test. Wynik był pozytywny. Emily zaszła w ciążę w tym samym wieku, co jej matka, mimo wielu ostrzeżeń, które od niej usłyszała.

Było w tym coś nierealnego. Nie czuła jeszcze związku z nowym życiem, które właśnie zakiełkowało w jej wnętrzu. Zawsze lubiła patrzeć na kobiety w ciąży, pulchne, promieniejące radością, świadome istnienia dziecka, które noszą w sobie. Patrzyła z zachwytem, jak ostrożnie siadają na krzesła, jak w opiekuńczym geście kładą dłonie na brzuchu. Wcale nie czuła, że stała się jedną z nich; to było jakieś oszustwo, a może sen.

– Dobrze – odezwał się Brad. Zdawało się, że do czegoś ich jeszcze potrzebuje. – Powiem wam, co teraz zrobimy.

Gdy Kate weszła do pokoju, Birdie siedziała przy stole nad zaparzoną herbatą. W półmroku mogło się wydawać, że ta drobna, przygarbiona postać to znacznie starsza kobieta, która pozbyła się kostiumu młodszej, bardziej witalnej osoby noszonego w ciągu dnia.

– Co robisz, mamę? – Kate zamknęła za sobą drzwi.

– Wspominam.

Odpowiedź była krótka, ale bardziej treściwa, niż Kate spodziewała się uzyskać. To chyba zaproszenie do rozmowy? Birdie zdawała się czekać na Kate, jak gdyby wiedziała, że się tutaj pojawi – tylko matki potrafią w ten sposób odgadnąć, co i kiedy będą robić ich córki. Tworzyło to między nimi jakąś osobliwą więź, pomimo całego dystansu, który je zawsze dzielił.

– Wydawało mi się, że coś... kogoś widziałam – powiedziała Kate. – Dlatego postanowiłam do ciebie zajrzeć.

– Ty też zaczynasz widzieć różne rzeczy?!

– Nie. Nie sądzę. – Może wcześniej faktycznie coś zauważyła, ale nie dostrzegła nic podejrzanego, kiedy szła oświetloną ścieżką. Padał deszcz, wiatr uginał gałęzie, słyszała tylko własne kroki na kamienistej drodze. Świeciła latarką między pnie drzew, ale udało jej się jedynie przestraszyć dzikiego królika, który pokicał gdzieś w ciemność. Czuła samotność, odosobnienie. Cokolwiek poprzednio zobaczyła, nie było już po tym śladu, gdy maszerowała z domku gościnnego do głównego budynku.

Opowiedziała o tym matce, ale Birdie chyba nie słuchała. Kate usiadła naprzeciwko niej. Po raz kolejny stwierdziła, że krzesła przy tym stole są twarde, niewygodne i nieprzyjazne.

– A co wspominasz? – spytała.

Położyła na stole latarkę i rakiетnicę. Birdie ustawiła lampę tak, że jej światło padało w bok, jakby nie mogła znieść jej blasku. Na ścianie pojawiły się dziwne, upiorne cienie. Deszcz wciąż padał, jego krople bębniły o dach i szyby.

– Co ona ci powiedziała na temat Richarda Camerona i mojej matki?

Kate zadrżała. Spodziewała się tego pytania, choć jednocześnie było ono nieoczekiwane. Znała odpowiedź, miała ją na końcu języka, a zarazem ukrywała ją gdzieś w głębi duszy.

– Kto? – zapytała jeszcze Kate, choć wiedziała, kogo Birdie ma na myśli.

– Caroline. Byłyście nierozłączne jak para złodziejasków.

Birdie doskonale umiała przemycić złośliwość. Para złodziejasków! Jeśli kiedykolwiek ktoś coś Birdie zabrał, to tylko rzeczy, które uznała za niepotrzebne. Najsmutniejsze było to, że Birdie mogła kiedyś zbliżyć się i do Kate, i do Caroline, gdyby tylko udało jej się nieco opuścić ochronną zasłonę i otworzyć się na innych. Obie przez całe życie czekały na możliwość pokochania Birdie i uzyskania jej miłości.

– To prawda, byliśmy sobie bliskie.

Birdie prychnęła, raczej ze smutkiem niż irytacją. Na stole leżał album ze zdjęciami, ten, który Caroline od dawna chciała odzyskać. Birdie zawsze twierdziła, że zaginął. Jak widać, nie do końca była to prawda. Musiał być przez cały czas przechowywany w noclegowni.

Matka Kate otworzyła go na ostatniej stronie i położyła ozdobioną biżuterią dłoń na fotografiach. Kate zawsze podziwiała dłonie Birdie – białe, o długich palcach, usiane delikatnymi żyłkami widocznymi na prześwitującej skórze, zawsze z doskonale wypielegnowanymi

paznokciami. W miarę upływu lat nabrały królewskiego dostojęstwa. Kate odziedziczyła dłonie po rodzinie Burke'ów: zawsze uważała je za szerokie, zbyt niezgrabne, by można je uznać za atrakcyjne u kobiety.

„Rodzina twojego ojca ma chłopskie korzenie”, powtarzała często Birdie. Dlatego Kate uważała, że ma ręce farmerki, przeznaczone do ciężkiej pracy. Wyobrażała sobie pokolenia grubokościstych kobiet, uderzających pranie kijankami, przewijających dzieci, dojących krowy, pracujących na polu, przyrządzających gulasz, podających do stołu. W innym stuleciu sama mogła być jedną z nich.

– Birdie sądzi, że każdy, kto zarabia na życie, jest wieśniakiem – mawiał ojciec. – Ale moja rodzina pomogła zbudować ten kraj, niosła go na swoich barkach. Możesz być z tego dumna. – Kate nie wiedziała, czy to prawda; jej dziadek ze strony ojca pracował na Wall Street, a prapradziadek na kolei. Wydawało się, że rodzina Burke'ów zawsze znajdowała sposób na pomnożenie majątku, nawet jeśli niekoniecznie pracowali na roli.

– Dawno temu, kiedy byłam jeszcze dzieckiem, widziałam ich razem – powiedziała Birdie. – Richarda Camerona i twoją babcię. Mama wymknęła się w nocy z domu i spotkała z tym człowiekiem na wyspie, na której John Cross niedawno zbudował dom. Jeszcze przedwczoraj wieczorem sądziłam, że to był sen. Tak zresztą mówiła; powiedziała, że mi się to przyśniło.

Birdie odwróciła zdjęcie i Kate mogła przeczytać zdania napisane ręką Lany. *To nie był sen, kochanie. Przepraszam.*

– Przez tyle lat czułam wstyd, kiedy przypominałam sobie tamten poranek – powiedziała Birdie. – Wszyscy mnie wyśmiewali, drwili ze mnie, a ja naprawdę widziałam, jak mama wymyka się do Camerona. – Kate drgnęła, gdy Birdie położyła dłoń na jej dłoni. – Co o tym wiesz?

Kate cofnęła rękę. Zdarzało się, że gorąco pragnęła kontaktu z matką, teraz jednak z trudem go zносиła.

– A czy to ma jakieś znaczenie, mamo?

– Ma! – odparła Birdie. – Muszę to wiedzieć.

Kate uważała tę historię za romantyczną, wprawdzie tragiczną i bardzo burzliwą, ale na swój sposób piękną. Wiedziała, że matka nie podzieli jej zdania, dla niej będzie to opowieść o zdradzie i niewierności. Birdie na pewno uzna ją za odpychającą i niemoralną, dokonując przy tym surowej oceny głównych postaci. Wyda wyrok na Lanę i Richarda, a może nawet i Jacka.

Kate nie miała jednak teraz wyboru. Nie mogła mieć kontroli nad tym, jak inni ocenią romans babci z Richardem Cameronem.

– Byli kochankami. – To słowo zabrzmiało słabo, pospolicie; nie opisywało dobrze jej opinii na temat tego związku. – Poznali się tutaj, na wypach, kiedy byli jeszcze dziećmi. Zakochali się w sobie.

Wydawało się to bardzo proste. W swoich pamiętnikach Lana przedstawiła obraz dwojga młodych ludzi, pływających w jeziorze i wspinających się po skałach, którzy już wtedy wiedzieli, że są sobie przeznaczeni. W tej chwili Kate nie czuła się na siłach, żeby opowiedzieć o tym matce. Przywiozła te pamiętniki dla niej, ale na razie schowała je w pokoju na górze. Uznała, że jeśli nie będzie w stanie porozmawiać z Birdie na ten temat przed wyjazdem, przekaże jej informację o zapiskach już po powrocie do domu. Czasami w kontaktach z własną matką Kate zachowywała się jak tchórz.

– Ale w końcu wyszła za dziadka, który pochodził z lepszej rodziny i był lepszym człowiekiem – dodała Kate. – Próbowała zerwać z Richardem Cameronem, jednak nie potrafiła tego zrobić. Cekał na nią tutaj każdego lata aż do śmierci.

Birdie powoli wypuściła powietrze z płuc i przez dłuższy czas milczała. Znów zaczął padać deszcz.

– Czy mój ojciec o tym wiedział? – spytała w końcu.

– Coś wiedział, ale nie jestem pewna, co. Wiem tylko tyle, ile Caroline i Lana napisały w swoich pamiętnikach.

– Zawsze myślałam, że się kochali. – Birdie sprawiała wrażenie pogrążonej w smutku. – Ich związek był pełen czułości...

– Babcia kochała dziadka Jacka – powiedziała Kate. Caroline miała inne zdanie, ale Kate z nią się nie zgadzała. – Na pewno. Byli wspaniałymi przyjaciółmi, podziwiała go, uważała go za partnera na całe życie, ojca jej dzieci. Ale nie sądzę, by przeżywała z nim to, co z Richardem. Byli innymi mężczyznami, każdego kochała w inny sposób.

Birdie milczała, wpatrując się w blat stołu.

Kate kontynuowała:

– Z drugiej strony jej związek z Richardem był burzliwy, nieprzewidywalny. Dochodziło nawet do przemocy. Kiedy musiała podjąć decyzję, kiedy trzeba było wybrać jednego z nich, postanowiła wyjść za Jacka.

Kate przypomniała sobie zapiski Caroline. *Wybrała normalność, bezpieczeństwo, ten łagodny i spokojny rodzaj miłości, jaki mógł zaoferować ojciec. Wystarczało jej to pod wieloma względami, lecz równocześnie nigdy nie przestała pragnąć Richarda – aż do jego śmierci. Męczyła się przez cały rok, ożywając jedynie w lecie. To był ich wspólny, skradziony czas. Zastanawiam się, czy ojciec nie wiedział o tym romansie przez te wszystkie lata; może była to umowa, dzięki której mógł mieć żonę przez pozostałą część roku.*

– Powiedziała ci to wszystko? – spytała Birdie. – Zwierzyła ci się?

– Nie. Nie za życia. Przeczytałam to w pamiętnikach, które mi przekazała.

Birdie gwałtownie odchyliła się na krześle. W przyćmionym świetle jej twarz wydawała się pustą maską, kompletnie pozbawioną emocji. Kate знаła matkę na tyle dobrze, by wiedzieć, że jej złość zbiera się jak burza. Gniew wybuchnie później, w zupełnie nieprzewidywalnym momencie, wybranym tak, aby wyrządzić jak największe szkody.

– I nie pomyślałaś, że mnie również to może zainteresować?

– Szukałam sposobu, by ci o tym powiedzieć. Wiedziałam, że cię to tylko zrani. Wydawało mi się, że tego nie zrozumiesz... albo im nie wybaczysz.

– Ta twoja książka... Chyba już wiem, o czym ona jest.

Kate uśmiechnęła się, choć przyszło jej to z trudem. Skąd ona mogła to wiedzieć? Czy Kate rozumowała w sposób tak oczywisty, była aż tak przewidywalna? Nie tak wyobrażała sobie rozmowę na temat książki. Miało być zupełnie inaczej, ale było to tylko marzenie, jedno z wielu związanych z osobą Birdie, która występowała w nim w roli dumnej, podekscytowanej i życzliwej matki. Byłoby niemądre liczyć na to, że Birdie z równym entuzjazmem podejdzie do historii, dzięki której w Kate ponownie obudziło się pragnienie pisania. Chciała opowiedzieć o emocjonalnej podróży, którą odbyła dzięki pamiętnikowi Caroline, a także o tym, w jaki sposób zapiski Lany stały się dla niej prywatnym oknem na świat z czasów zanim się urodziła. Nie mogła jednak tego zrobić. Dlatego powiedziała to, co zamierzała mówić wszystkim, którzy będą ją pytać, skąd czerpała inspirację do napisania powieści.

– Moja powieść to fikcja literacka. Jest zainspirowana rzeczywistymi wydarzeniami opisanymi przez Caroline w pamiętnikach, ale postaci i sytuacje zostały zmienione tak, że nie można ich zidentyfikować. Tak naprawdę nie przedstawiam prawdziwych osób ani wydarzeń.

– Wygodne tłumaczenie.

– Ale prawdziwe.

– Nie udawaj, że nie chciałaś mnie zranić! Zawsze do tego dążyłaś. Chciałaś wyrównać rachunki, bo byłam okropną matką!

To oskarżenie zabolowało. Kate poczuła, że napływają jej do oczu łzy. Jak to możliwe, że jej własna matka w ogóle jej nie zna?

– Mylisz się, mamo – powiedziała. – Pragnęłam w życiu wielu rzeczy, ale nigdy nie myślałam o zemście. Wiem, że starałaś się, jak umiałaś, wszyscy przecież chcemy jak najlepiej dla naszych dzieci.

– Och, jakże to miłe! – Birdie roześmiała się nieprzyjemnie, nie dodała jednak nic więcej.

Kate nie była pewna, co Birdie uznała za tak zabawne i godne pogardy. Dość dawno temu zrozumiała, że nie należy reagować na takie zaczepki sugerujące, że właśnie zrobiła lub powiedziała coś okropnego, niepoważnego lub obraźliwego. Zadała zatem pytania, które chciała zadać przez całe życie.

– Dlaczego tak się złościś, mamo? Dlaczego jesteś ciągle zagniewana na cały świat? Dlaczego odpychasz ludzi, a potem się dziwisz, że rzeczywiście cię opuszczają?

Wydawało się, że wypowiedziane słowa pochłonęły całą energię zgromadzoną w tym pomieszczeniu. Birdie zasłoniła twarz dłońmi.

– Nie wiem – powiedziała w końcu. – Naprawdę nie wiem.

Kate nie zdążyła okazać zdziwienia z powodu tej odpowiedzi, bo nagle rozległo się głośnie walenie do drzwi. Birdie zaskoczona uniosła głowę i spojrzała na Kate, która dopiero po chwili dostrzegła jakieś postaci stojące na werandzie. Widziała przez szybę dwie osoby.

– Kto tam? – spytała Birdie cichym, drżącym głosem. Kate podniosła się, ale Birdie sięgnęła przez stół i położyła dłoń na jej ręce. – Nie rób tego – powiedziała.

– Potrzebujemy pomocy. – Głos należał do dziewczyny, mówiła rozpaczliwym, przestraszonym tonem. – Rozbiliśmy łódź. Zgubiliśmy się.

Kate sięgnęła po raketnicę, ale Birdie znowu ją powstrzymała.

– W szafce leży rewolwer.

– Ktoś jest z tobą? – spytała Kate, sięgając po broń. Była zaskoczona, że rewolwer jest taki ciężki. Rzuciła okiem na bębenek i stwierdziła, że jest całkowicie załadowany.

– Mój narzeczony – rozległ się głos z zewnątrz. – Proszę nam pomóc, mamy straszny kłopot. Nasza łódź... tonie.

Kate spojrzała na matkę, która wstała od stołu i wpatrywała się intensywnie w drzwi. Wyciągnęła dłoń i Kate podała jej rewolwer.

– Mam otworzyć? – spytała. Birdie spojrzała jej prosto w oczy. Kate dostrzegała jej wahanie i niepewność.

– A mamy jakiś inny wybór? – powiedziała po chwili Birdie. – Są już na wyspie.

Kate domyśliła się, o co chodzi. Jeśli zapowiadało to problemy, to problemy zdążyły już tu dotrzeć. Granica została przekroczona i teraz jedynym rozwiązaniem było stawienie niebezpieczeństwu czoła. Podeszła do drzwi i otworzyła je.

Na werandzie stało dwoje zmokniętych, dygoczących młodych ludzi w wieku dwudziestu paru lat. Dziewczyna wyglądała na smutną i przerażoną. Mężczyzna był zdenerwowany, niespokojny; miał oczy przestępcy.

Później Kate, gdy wracała myślą do tej chwili, przypominała sobie swoje przecucie, że nie wróży to niczego dobrego.

Sean czuł, że powinien wyjechać od razu po zakończeniu prezentacji. Intuicja podpowiadała mu, że powinien odebrać Brendana od swojej matki i natychmiast ruszyć w drogę. Kate zapewniała jednak, że jeśli będzie zmęczony, może spokojnie poczekać do poniedziałku rano. Rzeczywiście był zmęczony, śmiertelnie zmęczony, z różnych zresztą powodów.

Nie spał poprzedniej nocy. Zastanawiał się wciąż nad planem pokazu – co podać do jedzenia i do picia, jakie elementy należy zaaranżować, co jeszcze trzeba uprzątnąć i poprzestawiać. Przez cały dzień biegał jak szalony: wszystko przygotowywał, montował tabliczki, wysyłał e-maile do najważniejszych klientów, dzwonił do ludzi, którzy kontaktowali się z nim w przeszłości. „To jeden z moich ulubionych domów”, powtórzył chyba milion razy. I rzeczywiście tak myślał.

Kiedy nadeszła czwarta, wszystko było zapięte na ostatni guzik. Sean nakręcił się red bullem, a Jane czekała w pełnej gotowości. To pierwsza nieruchomości w ciągu roku, której sprzedaż nie wynikała z rozpaczliwej konieczności. Sean przeczuwał w duchu, że to oznaka powrotu normalności na rynku. Nie potrafił powiedzieć dlaczego, w końcu wciąż trafiało się mnóstwo lokali zajmowanych przez banki, ale miał wrażenie, że wszystko zaczyna się od nowa.

Jednak czwarta minęła, potem przyszła piąta... Jedno małżeństwo szybko obejrzało dom. Sean przyjrzał się butom i torebce kobiety i wiedział, że przyszli tu jedynie z ciekawości. Nie mieli tyle pieniędzy, żeby choćby pomarzyć o takim domu jak ten. Sean stał przy oknie w wykuszu i obserwował przejeżdżające samochody, bez wątplenia zwabione wystawionymi znakami informującymi o prezentacji. Kierowcy zwalniali, ale nikt się nie zatrzymał, żeby zapoznać się z ofertą.

Zbliżała się szósta, Sean siedział na kanapie i patrzył przez panoramiczne okno na wspaniale zaaranżowane otoczenie basenu i jacuzzi. Już nie chciał mu się czekać przy wejściu.

O wpół do siódmej Jane oświadczyła:

– Jeżeli mnie nie potrzebujesz, to chyba bym już sobie poszła.

Jane była młodsza od Seana mniej więcej o dziesięć lat. Zwykle była pełna energii i nic nie mogło jej wyprowadzić z równowagi, dziś jednak i ona sprawiała wrażenie zmęczonej. Nie przeżyła jeszcze wlotów i upadków na rynku, pojawiła się w firmie w okresie boomu. Poprzedni rok okazał się bardzo trudny, dlatego klapa dzisiejszej prezentacji dla Seana stanowiła po prostu rozczarowanie, jednak Jane wyglądała na zdruzgotaną.

– To tylko pierwszy termin – powiedział Sean. Uśmiechnął się, jakby wygłaszał przemowę motywacyjną. Wiedział, że uśmiech nie wygląda na szczery, bo rzeczywiście taki nie był. – Nie zniechęcaj się.

– Nie zniechęcam się – odparła Jane. Machnęła dłonią i zmusiła się do przybrania nieco weselszej miny. – Naprawdę, nic się nie stało.

Była bardzo ładną, miłą dziewczyną, miała męża i małe dzieci, doskonale radziła sobie z klientami, ale traktowała to jako dodatkowe zajęcie. Całą jej uwagę pochłaniało teraz przebywanie w domu i odgrywanie roli matki, co było godne pochwały. W końcu niewiele osób chciało teraz prowadzić taki tryb życia.

– Zobaczysz – powiedziała, zabierając swoją torebkę i termiczny kubek do kawy. – Za tydzień będzie tu prawdziwy tłum.

– Na pewno.

Ruszyła do wyjścia, ale zatrzymała się i spojrzała na Seana. Miała burzę kręconych miedzianych włosów, jej twarz pokrywały piegami. Wszyscy ją uwielbiali, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Umiejętność nawiązania kontaktu z wszystkimi klientami to dobra cecha u sprzedawcy. Jeśli pośrednik jest zbyt seksowny albo przystojny, klienci tej samej płci znienawidzą go, a klienci płci przeciwnej będą próbować go poderwać. Jane mieściła się dokładnie pośrodku skali: dość atrakcyjna, ale rzeczowa i konkretna, godna zaufania. Typowa energiczna mama z sąsiedztwa.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Tak. Jest nieźle. Dom wygląda dobrze, cena jest odpowiednia. Za tydzień będzie większy ruch. – Sean wstał, żeby ją odprowadzić.

– Miłej podróży – powiedziała. – Spróbuj się zrelaksować. Zadzwoń natychmiast, gdy tylko coś się pojawi.

I po chwili już jej nie było. Sean patrzył, jak wsiada do jednego z nowszych modeli BMW i odjeżdża. Mąż Jane nieźle zarabiał, pracował w branży finansowej. Dziewczyna nie musiała się martwić o przyszłość. Dobrze, że przynajmniej z tym nie miała kłopotu.

Kiedy samochód zniknął, Sean pozwolił, by opadło z niego napięcie. Był zbyt doświadczonym pośrednikiem, żeby do tego stopnia przejmować się nieudaną prezentacją, a jednak się przejął. Opróżnił półmisek z przekąskami, wziął baniak wody i zaniósł wszystko do samochodu. Zadzwoił do właścicieli i powiedział, że sprawa rozwija się powoli, że dziś nie było zainteresowanych ofertą, ale ogłoszenia zaczną pojawiać się już w poniedziałek, więc na pewno w przyszłym tygodniu coś się wydarzy. Prawdę mówiąc, wcale nie był o tym przekonany.

Zakończył rozmowę i wtedy dało o sobie znać zmęczenie. Nie było żadnego powodu, by dziewczyny jechały na wyspę same. I tak nie czuł się z tym zbyt dobrze, ale znakomity dzień prezentacji mógłby to wynagrodzić. Ponieważ nic z tego nie wyszło, uznał, że zmarnował czas i sprawił zawód Kate. Próbował się do niej dodzwonić, jednak od razu włączała się poczta głosowa, zatem rozładowała się jej bateria albo zniknął zasięg. Kate na pewno by się odezwała, skoro znajdowała się w innym miejscu niż Sean i jedno z ich dzieci. Po raz pierwszy poczuł dreszcz niepokoju.

Kiedy przyjechał odebrać Brendana, chłopak wyglądał jak siedem nieszczęść. Miał bardziej spuchniętą kostkę i czuł większy ból niż wówczas, gdy Sean przywiózł go do swojej matki.

– Co słychać, kolego? – spytał. – Odpocząłeś sobie dziś trochę?

– Tak – odparł Brendan. – Tylko dalej mnie boli.

Ruszyli do domu. Sean zdawał sobie sprawę, że powinni już teraz rozpocząć podróż na wyspę. Brendan mógłby pospać w samochodzie i dojść do siebie na miejscu. Jednak już dwukrotnie w podobnej sytuacji Sean zasnął za kierownicą. Za pierwszym razem zjechał na pobocze i zatrzymał się bez żadnych problemów. Za drugim razem zaczynał już wjeżdżać na przeciwległy pas ruchu, zdążył odbić dosłownie w ostatniej chwili. W aucie były z nim wtedy Kate i Chelsea. Do dziś pamiętał ten skok adrenaliny i chwilę ulgi, gdy udało się uniknąć katastrofy. Nie mógł ponownie ryzykować. Brendan chętnie zgodził się poczekać do rana, a to oznaczało, że noga naprawdę go boli. Gdyby była z nimi Kate, odwołaliby wyjazd, ona jednak już dotarła na wyspę.

W domu Sean dał Brendanowi tylenol i posadził chłopca przed telewizorem. Zamówił chińszczyznę i spróbował zadzwonić do Kate, potem do Chelsea, a potem do domu teściów. U dziewczyn od razu włączała się poczta głosowa, z kolei w telefonie Burke'ów wciąż odzywał się sygnał zajętego numeru. Łączność była jak zwykle fatalna, tak jakby wyspa chciała każdego odciąć od świata, pozostawić samemu sobie.

– Możemy zadzwonić do mamy? – spytał Brendan podczas kolacji.

Spróbowali ponownie. Bez skutku. – Chcę porozmawiać z mamą! – dodał chłopiec nieszczęśliwym głosem.

Sean okrył go kocem i przyłożył świeży kompres do kostki. Usiadł obok syna.

– Wiem, stary – powiedział. – Wkrótce nam się uda.

Dzieci były przywiązane do Kate znacznie mocniej, niż było to możliwe w przypadku Seana. To coś zarezerwowanego dla matek. Nie przyjmował tego z żalem, jemu też udało się wytworzyć szczególny rodzaj relacji z obojgiem dzieci. Kiedy jednak trzeba było kogoś

pocieszyć, potrafiła to zrobić wyłącznie mama. Co tam dzieciaki, nawet Sean chciał pogadać teraz z Kate i podzielić się swoimi problemami po beznadziejnym dniu. Chciał od niej usłyszeć: „Nie załamuj się, kochanie. To świetny dom i właśnie ty go sprzedasz”. Może to trochę nie w porządku, że wszyscy tak bardzo szukali oparcia w Kate, ale tak już po prostu było.

Chyba po raz setny zaczęli oglądać *Władcę Pierścieni* i obaj usnęli na kanapie. Kiedy Sean ponownie otworzył oczy, była już północ. Udało mu się zaprowadzić Brendana do jego pokoju i położyć go do łóżka. Gdy wrócił do salonu, usiadł przed komputerem i znalazł w skrzynce e-maila od Kate. Pisała, że zasięg jest nieregularny i Sean nie powinien się niepokoić, że nie może się z nimi skontaktować ani że ona się do niego nie odzywa.

Napisała jeszcze: „Sean, jeśli nie jesteś już w drodze, wyruszaj natychmiast. To miejsce... Nie chcę tu być bez ciebie. Mama nie czuje się dobrze i dzieją się dziwne rzeczy. Martwię się o Brendana. Co z jego kostką? Szkoda, że nie poczekałyśmy i nie przyjechaliśmy wszyscy razem”.

Odpisał: „Jestem zbyt wykończony, żeby dziś w nocy prowadzić. Prześpię się trochę i ruszę jeszcze przed wschodem słońca. Trzymajcie się. Kocham was i myślę o was”.

Odpowiedź nie nadeszła. Sean nastawił budzik. Chciał przespać cztery godziny, ale jeszcze długo leżał gapiąc się w sufit, na którym obok oprawki lampy pojawiło się cienkie jak włos pęknięcie. Przypomniał mu się fragment książki, którą kiedyś czytał Chelsea. *Rysy na suficie wnet się okazały królikiem – czy wierzycie? – długouchym, białym*². Co to mogło być? Ach, oczywiście, *Madeline*.

W końcu zamknął oczy i zasnął, zostawiwszy włączony telefon i laptopa na stoliku przy łóżku. Zaczął niespokojnie śnić. Znajdował się na wyspie z Kate. Stali na pomoście i patrzyli w stronę domu.

– Nie chcę tu już wracać – powiedziała Kate.

– Przecież nie musimy.

Gdy tylko to powiedział, dostrzegł płomień strzelające z dachu głównego budynku. Poczł gorący, gryzący dym.

– Dom się pali – dodał. Człł absolutny spokój.

– Ja to zrobiłam – odparła Kate. Nigdy wcześniej na wyspie nie była tak odprężona, jak teraz. – Chcę go zrównać z ziemią.

Telefon w kieszeni Seana dzwonił bez przerwy, wydając dziwny, bulgoczący odgłos, jakby elektroniczny szmer dobiegał spod wody.

– Nie odbierzesz? – spytała Kate. Sean nie mógł znaleźć komórki w żadnej kieszeni.

Dźwięk nie zniknął. Sean obudził się w końcu i dostrzegł, że to sygnał próby połączenia ze Skype’a. Na ekranie wyświetliło się okienko z napisem „Laptop Chelsea dzwoni...”. Rzucił się do klawiatury i kliknął przycisk „Odbierz”. Spodziewał się, że zobaczy Kate, ale na monitorze pojawiła się twarz córki. Chelsea była blada i wyglądała na zmęczoną, patrzyła na coś poza obiektywem kamery.

– Tato? – powiedziała. – Tato?

– Cześć, kochanie. – Sean bardzo ucieszył się na jej widok, poczuł ogromną ulgę. – Co tam się u was dzieje? Próbowałem przez cały wieczór się z wami skontaktować.

– Tato, posłuchaj... – Chelsea zbliżyła twarz do kamery, ale kierowała wzrok na obraz ojca na monitorze, a nie w obiektyw, więc wyglądało to tak, jakby spoglądała gdzieś w dół. W jej głosie pojawiła się jakaś dziwna nuta.

– Co się stało? – Sean poczuł pierwsze ukłucie niepokoju.

– Tato, na wyspie ktoś jest. Widziałam ludzi, którzy szli do głównego domu. Mamy kłopoty.

– O czym ty mówisz, Chelsea? – Chodziło o jakiś żart? Przecież to nie mogła być prawda. – Przestań mnie straszyć.

– Obudził mnie jakiś hałas. Wyrzłałam przez okno i zobaczyłam, że mama idzie do domu. A po chwili zauważyłam jeszcze dwie osoby. Nie wiem, co robić, tato. Telefony nie działają. Udało mi się uruchomić Skype’a z tym modemem, który od ciebie dostałam. Mam poszukać mamy?

– Nie, nie... – powiedział Sean. Poczł nagły przypływ adrenaliny, w jego żyłach pulsował czysty strach. – Nie rozłączaj się. Powiedz mi, co usłyszałaś. Zadzwoń na policję. – Zaczł gorączkowo szukać telefonu. Gdzie on jest? Leżał gdzieś na podłodze.

– Tato? – odezwała się Chelsea. – Usłyszałam jakiś huk. Jest straszna burza, ale to chyba nie piorun. Co mam zrobić?

– Chelsea, posłuchaj...

– Halo, słyszysz mnie?! – Sean widział, jak córka podnosi komputer i lekko nim potrząsa. – Ja nic nie słyszę.

– Chryste!

– Tato! – powiedziała Chelsea. – Boję się. Chyba stało się coś bardzo złego.

Po chwili obraz zastygł. Na ekranie pojawił się napis: „Rozmowa przerwana”.

Roger Murphy spał zawsze mocnym, głębokim snem. Kiedyś, dawno temu, kładł się w łóżku obok swojej żony, Lydii, o dziesiątej wieczorem, a budził dokładnie osiem godzin później, w tej samej pozycji, na plecach, z rękami nad głową. Kiedy jednak dwa lata temu Lydia zmarła po długiej walce z nowotworem, jego nową towarzyszką w sypialni stała się bezsenność. Poznał noc od strony, która wcześniej była mu obca. Wspólnie z Lydią prowadzili życie w ciągu dnia, jak wszyscy. Bez niej snuł się po domu w środku nocy, przeglądał stopy wspólnych fotografii, starych pocztówek i listów miłosnych, czekając na pierwszy brzask. Rozpacz była zbyt słabym, zbyt płytkim określeniem uczucia, które poznał po śmierci żony. Czuł się przepołowiony, wydrążony, stał się żywym trupem.

Kiedy Lydia w końcu odeszła, przyjął to z ogromną ulgą; jej choroba pochłonęła całe ich życie, przekształciła dom w szpital, a każdą półkę i każdą wolną powierzchnię w miejsce przechowywania butelek z lekarstwami, książek o sposobach walki z rakiem, leków holistycznych, CD do medytacji, a później także w miejsce stacjonowania elitarnego oddziału żołnierzy w armii leków przeciwbólowych – ampułek z morfiną, którą Roger nauczył się wstrzykiwać.

Lydia zmarła i Roger był szczęśliwy, przez kilka godzin odczuwał wręcz prawdziwą radość, ponieważ jego żona nie musiała już cierpieć. Było tak, jakby wyruszyła w cudowną podróż, a on tak bardzo cieszył się z tego powodu, że nie zdążył sobie uświadomić, co się stało: właśnie został nieodwołalnie opuszczony na zawsze. Przez następne dwa dni zastanawiał się, czy nie dołączyć do żony, okazał się jednak tchórzem, wolał pozostać na wpół martwy, wiodąc życie bez niej. To Lydia zawsze była odważna, to ona poszukiwała przygód i nie obawiała się ryzyka. Roger czekał na ziemi, podczas gdy ona skakała ze spadochronem, pędziła kolejką górską albo wspinała się na most. „Jesteś moją skałą na środku oceanu”, powtarzała. „Jesteś miejscem, w którym zakotwiczyłam”. Nie mieli dzieci. Po prostu jakoś nigdy im się to nie zdarzyło i żadne z nich nie poświęciło wiele czasu, żeby ustalić, dlaczego tak jest. To również nie było złe – nikt poza Rogerem nie powinien pozostawać w żałobie, miotać się, zastanawiać, jak dalej żyć, a przy tym wściekać, że wszystkim innym jest tak łatwo. Bóg mu świadkiem, że ktoś, kto szukałby pocieszenia po stracie Lydii, nie znalazłby go wówczas u Rogera.

Teraz już tylko żył z dnia na dzień. Miał prawo do pełnej emerytury, w dowolnym momencie mógł przejść w stan spoczynku. Wiedział, że oczekują tego jego przełożeni, a poza tym wszyscy uważają, że najlepsze lata ma dawno za sobą i stał się już tylko ciężarem. Miał prawie sześćdziesiąt pięć lat i niebezpiecznie stracił formę. Z drugiej strony nikt w policji nie znał tego miasta ani mieszkających tu ludzi lepiej niż on. Nikt nie miał co do tego wątpliwości, zresztą Roger i tak siedział głównie za biurkiem. Poza tym jeżeli zrezygnowałby z pracy, jedyne stałe elementy w jego życiu po śmierci Lydii, to co by z niego zostało?

Młodszy koledzy jeździli sporadycznie na interwencje związane z włamaniami, ostatnio był też napad z użyciem broni, zdarzały się przypadki przemocy domowej. To małe miasteczko o niewielkim wskaźniku przestępczości – młodzi policjanci siedzieli bezczynnie, czekając na przeniesienie w miejsce, w którym coś się dzieje. Jednak dziś to on wyruszył na Heart Island, chciał bowiem spotkać się z Birdie Heart, której nie widział od wielu lat. John Cross jasno dał mu do zrozumienia, że nie chodzi o zagrożenie życia. Roger mógł zająć się takimi zgłoszeniami.

Dzięki bezsenności odkrył przyjemność czytania. Zaczął kupować książki w sieci, bo porządnej księgarni nie było w promieniu wielu mil. Zgromadził już niezły stosik obok swojej leżanki przy kominku. Lydia ciągle męczyła męża, żeby pozbył się wreszcie tego fotela – był wyjątkowo paskudny, brązowy, po wielu godzinach bezmyślnego leżenia i drzemki odcisnęły się już w nim kształty właściciela. Według Lydii mebel wydawał dziwny zapach, ale Roger jakoś nigdy nie potrafił go wyczuć.

Teraz, kiedy żona odeszła, przesiadywał na leżance przez większość nocy i czytał powieści takich autorów, jak Lee Child, Michael Connelly, George Pelecanos, Stephen King i Elmore Leonard. Lubił klasyków gatunku, na przykład Rossa Macdonalda, Jamesa Lee Burke'a czy Raymonda Chandlera. Podobały mu się książki mroczne, ale łatwe w czytaniu, w których pojawiały się broń palna i kobiety. Autorami byli głównie mężczyźni. Patricia Highsmith była w porządku; wprawdzie to kobieta, lecz pisała jak mężczyzna. Kiedy brał do ręki książkę, chciał przenieść się w jakieś nowe miejsce, właściwie w dowolne miejsce.

Przeczytał niemal wszystkie powieści Richarda Camerona. Pisarz zwykł spędzać lato na wyspie, na której teraz mieszkał John Cross. Roger pamiętał, że gdy zobaczył Camerona w dzieciństwie, uznał go za dziwaka. Facet przyjeżdżał i odjeżdżał, nie wypowiedziawszy słowa podziękowania. Nigdy nie dał Rogerowi napiwku podczas tankowania na stacji paliw.

Ludzie mówili, że Cameron i pani Heart byli kochankami. Zdaniem Rogera nic nie potwierdzało tych pogłosek, zresztą zawsze starał się ignorować lokalne ploteczki. Oczywiście gdy znaleziono zwłoki Richarda Camerona, od plotek aż huczało. Niektórzy twierdzili, że Jack i Lana Heart odwiedzili wyspę na początku zimy, choć przytylnęli osobno. Podejrzewano, że ich przyjazd miał coś wspólnego ze śmiercią pisarza.

O tej porze roku Roger chodził do szkoły, więc nie zauważył niczego podejrzanego. Uznał, że języków do gadania jest aż za dużo, za to głów do myślenia wciąż brakuje – bardzo spodobało mu się to zdanie, przeczytane w jednej z książek. Z nudów ludzie poszukiwali wrażeń i sami wpadali w kłopoty. On zresztą też nie był lepszy.

Kiedy John Cross zapytał o Richarda Camerona, Roger opowiedział mu o wszystkich pogłoskach, które krążyły w tamtych czasach. Jakie to teraz miało znaczenie? Stara historia. Facet miał mnóstwo pytań, a Roger chętnie udzielił im nie odpowiedzi. Dlaczego Cross tak się tym interesował? Nie wiadomo. O nim także mówiono różne rzeczy, jedna z plotek głosiła, że był dalekim krewnym pisarza, ale on sam o tym nie wspominał.

Rodzinie Heartów zawsze poświęcano wiele uwagi. Caroline i Birdie były najpiękniejszymi dziewczynami, jakie Roger widział w życiu. Ich matka, Lana, z kaskadą falujących włosów i czerwonymi ustami wyglądała jak gwiazda filmowa. Siostry przypominały kwiaty, delikatne i smukłe, zawsze szły w towarzystwie znacznie od nich wyższego brata, Gene'a. Jack Heart miał tubalny głos i często się śmiał, bardzo chętnie dawał napiwki. Wszyscy ich uwielbiali – wydawali w miasteczku sporo pieniędzy i zawsze byli uprzejmi, w przeciwieństwie do innych letników z Nowego Jorku. Jeśli ktokolwiek rzeczywiście podejrzewał, że Heartowie mieli coś wspólnego ze śmiercią Camerona, nie powiadomił o tym władz. Richard Cameron był alkoholikiem i cierpiał na depresję. Jego śmierć nikogo nie zdziwiła, nikt z mieszkańców Blackbear po nim nie płakał.

Roger zaczynał właśnie czytać *Zdradliwą toń* Rossa Macdonalda, gdy zadzwonił telefon. Zerknął na zegar. Pierwsza w nocy. Nie pamiętał, kiedy ostatnio w środku nocy rozległ się dzwonek telefonu. Z niejakim wysiłkiem podniósł się, żeby odebrać połączenie.

Miło było zostać zaproszonym do domu; miło, że ktoś zaproponował miejsce przy stole i filiżankę herbaty. Emily było tak ciepło i czuła się tak odprężona, że gotowa była zapomnieć o Bradzie czekającym na zewnątrz.

Nie pamiętała tego domu; kiedy była mała, odwiedzała inny budynek. Wciąż gapiła się na Kate, domyślała się, że ona również jest córką Joego Burke'a. Chciała powiedzieć: „Jesteś moją siostrą”. To nie był jednak odpowiedni moment.

Druga kobieta, Birdie, patrzyła wprost na nią. Nigdy wcześniej się nie spotkały, Birdie nie mogła rozpoznać Emily, a mimo to intensywnie się w nią wpatrywała, jakby próbowała przypomnieć sobie, skąd ją zna. Może odkryła pewne podobieństwo dziewczyny do swojego męża. Cokolwiek dostrzegła, nie nastawiło jej to dobrze do Emily, która kulila się teraz pod jej surowym i nieugiętym spojrzeniem. Właśnie tę kobietę wybrał Joe, odrzucając Marthę. Emily nie rozumiała, jak do tego doszło. I gdzie on teraz może być? Jeśli byłby tutaj, jedna z kobiet chyba poszłaby go obudzić. Rozejrzała się dookoła, przyglądając się zamkniętym drzwiom i zastanawiając, czy jej ojciec śpi za którymiś z nich.

– Wynajęliśmy wyspę – powiedziała. – Ale po drodze się zgubiliśmy.

Brzmiało to niezbyt wiarygodnie, bo przecież było kłamstwem. Emily nigdy nie potrafiła dobrze kłamać, nawet jeśli wymagała tego konieczność.

– Jaką wyspę? – spytała Birdie.

– Cooke Island. – Emily na poczekaniu wymyśliła nazwę.

– Nigdy o takiej nie słyszałam – oznajmiła Birdie. – A przyjeżdżam tu przez całe życie. Musieliście dotrzeć do niewłaściwej przystani.

– Owszem – rzuciła Kate. Była życzliwsza, łagodniejsza. To ona zaproponowała herbatę i zaoferowała koc, to ona rozpałała w kominku. – Łatwo tu zgubić drogę, zwłaszcza w nocy.

Dean siedział w milczeniu obok Emily. Był spięty, czuła drżenie jego nogi. Mieli kogoś wyciągnąć na zewnątrz, gdzie czekał już Brad, który chciał po kolei unieszkodliwić wszystkich członków rodziny. Zamierzał ich związać, zabrać wszystkie pieniądze i cenne przedmioty, a także łup z „Niebieskiej Kwoki”, a potem wziąć łódź zacumowaną przy pomoście i odpłynąć z wyspy. Przynajmniej tak obiecywał; przysięgał też, że nikomu nie stanie się nic złego. Emily nie była na tyle głupia, żeby mu zaufać, zwłaszcza po tym, co do tej pory zrobił. Czekala na odpowiedni moment. Kiedy tylko pojawi się ojciec, powie mu prawdę, a on już się wszystkim zajmie. Tak właśnie to sobie zaplanowała.

– Obawiam się, że do rana jesteśmy tu uwięzieni – dodała Kate. – Miejmy nadzieję, że pogoda do tego czasu się poprawi i zostanie przywrócona łączność.

– Dziwne, że w ogóle wyruszyliście na nieznane wody w taką pogodę – powiedziała Birdie. – Większość ludzi poczekałaby na brzegu do rana.

– Rob wychowywał się na morzu. – Emily miała nadzieję, że jej uśmiech mówi: „Mężczyźni... Która z nas jest w stanie ich zrozumieć?”. – Uważał, że może nam się udać.

– Łódź, którą wynajęliśmy, czekała na swoim miejscu – powiedział Dean. – Mieliśmy ze sobą mapę. Wyglądało na to, że się uda.

Odezwał się po raz pierwszy, odkąd przedstawił się jako Rob. Emily użyła swojego drugiego imienia, Anne.

– Chciałabym zobaczyć tę mapę – powiedziała Birdie.

Dean wzruszył ramionami.

– Została na łodzi, która pewnie już jest do połowy w wodzie. – Emily była zdumiona, że w jego głosie nie ma śladu nieszczerości. Ile razy ją okłamał właśnie w taki sposób? Przychodziło mu to tak łatwo, chyba łatwiej niż mówienie prawdy.

– Powinniśmy się tym zająć – powiedziała Kate. Niebo za oknem rozświetliła błyskawica i rozległ się głośny grzmot.

– Poczekaj do rana – zaprotestowała Birdie. – Nie powinnaś wyłączyć w taką pogodę.

– Sądzę, że razem z Robem musimy spróbować uratować łódź.

Emily chciała wstać i powstrzymać Kate. Chciała krzyknąć: „Nie! Nie wychodź!”. Bała się jednak. Brad powiedział, że będzie podsłuchiwać przy drzwiach.

– Powiecie choć jedno słowo, które mi się nie spodoba, a pozabijam ich wszystkich – oświadczył. Akurat w to mogła uwierzyć.

Kate patrzyła na matkę, która ponuro zmarszczyła brwi. Mina starszej kobiety była surowa i pełna dezaprobaty. Emily potrafiła wczuć się w położenie Kate. Wiedziała, co to znaczy dorastać pod krytycznym okiem matki, a potem, przez resztę życia, doświadczać odrzucenia w każdej sytuacji.

– To nie jest dobry pomysł. Nie wyciągniecie jej, jeśli właśnie tonie.

– Ale możemy ją przywiązać – powiedziała energicznie Kate, tonem ucinającym wszelkie dyskusje.

– Czy tu jeszcze ktoś jest? – spytała Emily. – Ktoś, kto ma więcej siły?

Kate zmierzała już ku drzwiom, zakładając kurtkę przeciwdeszczową. Z jakiegoś powodu nie udzieliła Emily odpowiedzi. Była bardzo podobna do ojca. Zachowywała się w sposób zdecydowany i stanowczy, odznaczała się spokojem i pewnością siebie. Miała jasne blond włosy i ogorzałą cerę, podobnie jak Joe, i tak jak on roztaczała wokół siebie aurę dostatku i beztraski. Emily wiedziała, że sama nie przypomina Joego ani trochę. Nie odziedziczyła także urody po matce. Niespodziewanie zalała ją przyprawiająca o zawrót głowy fala zazdrości wobec tej kobiety, swojej przyrodniej siostry, która mogła mieć Joego Burke'a wyłącznie dla siebie. Przez chwilę w Emily złość walczyła ze smutkiem, że ich drogi zbiegły się właśnie w ten sposób. W innym życiu mogłyby być sobie bliskie. Gdyby sprawy przybrały nieco inny obrót, Emily nie byłaby teraz cieniem człowieka, którego życie za moment rozleci się na drobne kawałki.

– Czy ktoś jeszcze jest na wyspie? – Dean chyba wiedział, że to nieco dziwne pytanie. – Ktoś, kto mógłby nam pomóc?

– Nie – powiedziała Kate i odwróciła wzrok. – Nikogo więcej tu nie ma.

Kate Burke również nie potrafiła kłamać. Serce Emily zadrzało. On tu jest! On tu rzeczywiście jest! Kate skierowała spojrzenie na Emily. Przyglądała się jej badawczo i z zaciekawieniem.

– Oczywiście jest jeszcze John Cross – powiedziała szybko Birdie.

– Tak. – Kate wyjrzała przez okno, jakby chciała gdzieś wypatrzeć w ciemności wspomnianego mężczyznę.

– To nasz sąsiad – wyjaśniła Birdie. Mówiła nieco zbyt wysokim głosem, odrobinę nerwowym tonem. – Dość wścibski człowiek. Zdaje się, że obserwuje wszystko, co się u nas dzieje, ale za to bywa pomocny. Jeśli jest potrzebny, może w każdej chwili przyplłynąć.

Emily rozumiała, co usiłuje im powiedzieć starsza z kobiet: nie są tutaj tak samotne, jak wydawało się przybyłom. Jeśli goście mają złe intencje, muszą wiedzieć, że ktoś z sąsiedniej wyspy jest w stanie ich zauważyć. Obie kobiety czuły strach. W środku nocy na ich wyspie pojawiło się dwoje nieznanym – każdy by się tym przejął. A przecież Birdie i Kate nie znały nawet połowy prawdy.

– Powiedziała pani, że telefony nie działają – odezwał się Dean.

– Zawsze możemy dostać się łodzią na drugą stronę cieśniny – odparła Birdie. – Nawet przy takiej pogodzie. W końcu wam udało się dopłynąć tutaj z łądu.

Powietrze w pokoju wydawało się naelektryzowane.

– Dobrze. – Kate spjrzała na Deana. – To jak, idziemy?

Oboje wyszli na werandę. Emily usłyszała ich kroki na schodach, a po chwili zaległa cisza. Chciała za nimi wybiec, powstrzymać Brada przed zrobieniem tego, co zamierzał zrobić. Nie ruszyła się jednak z krzesła i tylko szczerzej owinęła się kocem. Po chwili poczuła na sobie spojrzenie Birdie.

Odwrociła głowę i popatrzyła na starszą kobietę. Birdie w ogóle nie była ładna. Emily nie umiała sobie wyobrazić, że kiedyś odznaczała się urodą, a jeśli tak, to na pewno nie w takim stopniu, jak jej matka.

– A teraz, skoro już wyszedł – odezwała się Birdie – może mi powiesz, kim naprawdę jesteście i o co tu właściwie chodzi?!

Łódź leżała na brzegu po wschodniej stronie wyspy, kołysana niespokojnymi falami, i powoli napelniała się wodą. Była przechylona na bok i Kate mogła dostrzec pęknięcie na kadłubie w miejscu, w którym uderzyła o skałę.

Kate zamierzała wyciągnąć liny z pokładu i przywiązać je do najbliższego drzewa. Doszła teraz do wniosku, że to niebezpieczny, a może nawet głupi pomysł. Wiatr znów się wzmógł, a kiedy krzyknęła do tego młodego człowieka, pytając go, gdzie mogą być cumy, tylko wzruszył ramionami. Na pewno wyjście na zewnątrz z obcym mężczyzną nie było najmądrzejszym rozwiązaniem, Kate chciała jednak zobaczyć ich łódź i sprawdzić, czy niespodziewani goście nie kłamią. Łódź rzeczywiście tu była i faktycznie została uszkodzona. Kate poczuła się odrobinę spokojniejsza. Może to naprawdę jedynie para młodych ludzi, którzy znaleźli się w tarapatkach.

Weszła do wody. Chłopak został na brzegu, wyglądał na zupełnie zdezorientowanego. Kate słyszała już tylko przeraźliwy świst wiatru, tłumiący wszystkie inne odgłosy. Nie widziała już twarzy tego człowieka, ukrytej w cieniu kaptura jego kurtki. Jej buty i nogawki spodni kompletnie przesiąkły zimną wodą, a stopy zaczęły już drętwieć.

Zawołała do niego jeszcze raz. Chciała, żeby pomógł jej przepchnąć kadłub nieco dalej od brzegu. Rob nie ruszał się z miejsca. Czyżby nie usłyszał? Serce Kate zabiło nieco szybciej. Jeszcze raz spojrzała na domek dla gości. Był nieoświetlony. Miała nadzieję, że dziewczyny już śpią i że nie wyjdą stamtąd aż do rana, a przynajmniej dopóki nie uda jej się ustalić, co się tutaj dzieje.

W świetle kolejnej błyskawicy można było zobaczyć całą wyspę jak za dnia. Rozległo się dudnienie grzmotu. Kate obeszła łódź od strony rufy. Dlaczego on tam wciąż stoi?! Miała już popchnąć kadłub, kiedy zauważyła nazwę: „Szczęśliwy traf”. Ze zgrozą uświadomiła sobie, że łódź należy do znajomych jej rodziców, którzy mieszkali na jednej z sąsiednich wysp. Na pewno nikomu nie wynajęli ani swojej wyspy, ani swojej łajby. Jasna cholera.

Niebo przecięła jeszcze jedna nić błyskawicy, migocząca jak lampa stroboskopowa, a po chwili nastąpił głośny łoskot. Piorun w coś trafił, lecz Kate nie mogła dostrzec, w co. Kiedy znów spojrzała na brzeg, Roba tam nie było. Oddychała płytko i szybko; sprawnie chwyciła cumy, wciąż przymocowane do knag, po czym wyszła z wody. Może uciekł, bo przestraszył się burzy – a może zrozumiał, że odkryła jego kłamstwo. Gdyby Kate była rozsądna, sama by się gdzieś teraz schowała.

Przeciągnęła liny i obwiązała je wokół pnia brzozy pochylonej nad powierzchnią jeziora. Łał gęsty, mocny deszcz, jego szum zagłuszał wszystkie dźwięki. Niebo zalała kolejna fala światła. Kate dostrzegła, że ktoś szybko biegnie w jej kierunku.

Zanim zdążyła zareagować, chwyciły ją czyjeś ręce i pociągnęły w stronę brzegu. Napastnik był wyższy i mocniej zbudowany niż człowiek, który zapukał wcześniej do ich drzwi. Był też niesamowicie silny, bez problemu podniósł Kate, choć krzyczała i wrywała się, usiłując uwolnić się z uścisku obejmujących ją ramion.

Umysł Kate był sparaliżowany paniką, ale obudził się w niej jakiś pierwotny instynkt, który kazał jej walczyć ze wszystkich sił. To jednak nie wystarczyło. Oddychała coraz trudniej i coraz płycej. Ręce mężczyzny ścisnęły ją jak imadło.

W świetle kolejnej błyskawicy dostrzegła stojącego na brzegu mężczyznę, który przedstawił się jako Rob.

– Rob! – spróbowała wrzasnąć, ale miała wrażenie, że wydobyła z siebie tylko szept. Nie była w stanie zaczerpnąć powietrza do obolałych płuc, a przed oczami zatańczyły jej białe gwiazdy. – Pomóż mi!

Młody człowiek ruszył w końcu w jej kierunku, trzymając w dłoniach zwój liny. Kate udało się krzyknąć, ale był to jedynie słaby, zduszony odgłos. Któż mógł ją zresztą teraz usłyszeć? Nastoletnia córka i jej przyjaciółka, albo siedemdziesięcioletnia matka?! Podczas burzy nie dotrze do nich żaden dźwięk. Kate była więc zdana wyłącznie na siebie. Pomyślała o Brendanie i Seanie, po raz setny wyrzucała sobie, że nie poczekała i nie przyjechała razem z nimi. Co zamierzali jej zrobić ci ludzie? Jej i pozostałym osobom na wyspie?

Rob jednak nie skoczył na Kate, tylko zarzucił pętlę wokół szyi większego mężczyzny i zaczął mocno ciągnąć linę. Napastnik niespodziewanie puścił Kate, która upadła na ziemię. Poczuła ogromną ulgę, gdy zniknął miazdzący ucisk jej piersi i mogła wreszcie zaczerpnąć tchu.

Przez moment leżała osłabiona i pozbawiona sił. Mężczyźni mocowali się ze sobą, a po chwili obaj upadli na ziemię. Każdy nerw w ciele Kate pulsował strachem, gdy obserwowała ten makabryczny taniec. Zaczęła powoli odczołgiwać się na bok, gdy nagle dostrzegła kolejny błysk i usłyszała ostry huk wystrzału.

Kate rozpoznała ten odgłos, bo jej matka właśnie tu, na tej wyspie, uczyła ją obsługi broni palnej. Nie miała jednak pojęcia, skąd padł strzał. Obaj mężczyźni wciąż toczyli na ziemi pojedynek, splątani w pełen wściekłości węzeł.

Ogłuszona hukami i wyciem wiatru, oszołomiona ostrym, przeszywającym ukłuciem przerażenia, Kate nie była w stanie niczego wymyślić ani zrobić. Mogła tylko posłuchać jedyne instynktu, jaki jej pozostał: musiała odnaleźć swoje dziecko. Zebrała wszystkie siły i zaczęła biec tak szybko, jak potrafiła, w kierunku domku dla gości.

Przez całe życie Dean Freeman pragnął tylko jednego: nie chciał zostać beużytecznym śmieciem, za którego zawsze uważał go ojciec. To pragnienie było teraz odległym wspomnieniem, snem, który kiedyś się przyśnił, a którego nie pamiętał już zbyt dobrze. Dean czuł się teraz zmęczony, było mu bardzo zimno. Brad stał nad nim jak jakiś upiór, ciężko dysząc i wpatrując się w swoją ofiarę. Kiedyś, dawno temu, byli przyjaciółmi, chociaż Brad zawsze zachowywał się jak zimny skurwiel. Ale Dean nawet go wtedy lubił. Kiedy na Clearwater Beach sęczyli piwo pod palmami, ukrywając skrzynkę pod kocem, żeby nie zobaczyli jej gliniarze, nie sądził, że tak potoczą się sprawy między nimi.

Bolało go tak bardzo, że nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Ból zaczynał się gdzieś na wysokości brzucha i promieniował ku nogom, rozchodząc się po ciele niczym niemy krzyk. Dean czuł, że z każdym oddechem z jego boku wylewa się coraz więcej krwi. Dotknął jej, była ciepła i gęsta. Nie bał się. Może powinien, ale nie potrafił. „Przepraszam cię, Emily”.

Jak to możliwe, że choć zawsze miał dobre zamiary, skończył tutaj, na tej skale pośrodku jeziora, ścigany przez policję? Kiedy spoglądał wstecz, dochodził do wniosku, że to wszystko przez tamten feralny dzień, kiedy pobił się z Ronnym. Gdyby wtedy udało mu się pohamować emocje, przyjął słowa krytyki i zrobić to, co trzeba, nic złego nigdy by się nie wydarzyło, bo w ciągu całego swojego życia potrafił znaleźć ukojenie jedynie wówczas, gdy pracował albo gdy przebywał z Emily. Widział, jak funkcjonują normalni ludzie – jak pracują, zakochują się, biorą ślub, zakładają rodzinę. Wiedział, jak żyją ludzie, którzy nie mają żadnego wielkiego planu do zrealizowania i których nie prześladowe wciąż jakieś widmo z przeszłości. Przez pewien krótki czas wydawało się, że Dean może zostać jednym z nich.

– Mów, gdzie jest sejf – powiedział Brad zachrypniętym, zmienionym głosem. – Tu stoją trzy budynki. W którym jest sejf?

Dean chciał mu odpowiedzieć, naprawdę chciał, ale nie potrafił. Wpatrywał się w cień stojący za Bradem, wysoką, ciemną plamę na tle nocnego nieba. Zastanawiał się, kto to może być i dlaczego stoi tutaj w deszczu.

– Możesz powiedzieć Emily, że ją przepraszam? – spytał Dean. Nie, właściwie nie wypowiedział tych słów na głos, powtórzył je w myślach. Żałował bardzo wielu rzeczy, ale najbardziej było mu przykro, że sprawił zawód swojej dziewczynie. Żałował, że porzucił szkołę i dał się namówić tamtym dupkom na udział w napadzie. Żałował, że połknął swoją pierwszą tabletkę, podobnie jak wszystkie następne. Jednak przede wszystkim zawsze pragnął być dobry dla Emily, czuł to na jakimś głębokim poziomie świadomości, chociaż nie umiał wyjaśnić, co to właściwie znaczy. Niestety nigdy nie potrafił tego osiągnąć.

– No odpowiadaj, debilu! – krzyknął Brad. Pochylił się i oparł całym ciężarem na ramię Deana, który poczuł, jak przeszywa go pocisk bólu, od brzucha aż po czubki palców u stóp. Wydał nieludzki krzyk; nie mógł uwierzyć, że jest w stanie wydobyć z siebie taki dźwięk, a Brad... Brad tylko uśmiechnął się i przystawił rozgrzaną lufę rewolweru do jego głowy.

Czarna postać podeszła bliżej i stanęła ponad głową napastnika. Może to tylko złudzenie, skoro Brad najwyraźniej niczego nie zauważył?

Dean cieszył się tylko z jednego powodu: przywiózł Emily do domu. Zawsze mówiła o tym miejscu, jakby to był jakiś raj. Idealizowała swojego ojca, który ją przecież zostawił i przez którego musiała spędzić beznadziejne dzieciństwo pod opieką Marthy – Dean nie znał wredniejszej, paskudniejszej suki niż ona. Faktycznie, intencje Deana nie były specjalnie szlachetne: chciał tu przyjechać, by odebrać to, co i tak powinno należeć do Emily. Chciał, żeby wszyscy ci ludzie ponieśli karę za to, że pozbawili jego dziewczynę szczęścia. Prawdę mówiąc, zaplanował to jeszcze na długo przed pojawieniem się Brada, który tylko ułatwił realizację przedsięwzięcia. Chociaż nie od razu myślał o tym, jako o „powrocie Emily do domu”, być może tak to się skończy: teraz, kiedy dotarła na wyspę, jej ojciec będzie musiał ją zaakceptować i udzielić jej pomocy. Jeśli nawet nie ze względu na samą Emily, to przynajmniej z powodu jej dziecka.

Dean zaczął płakać, rozbeczał się jak dziewczyna. Brad odwrócił twarz z obrzydzeniem. Ciemny cień zaczął rozplýwać się niczym mgłą i Dean poczuł, że opada na niego, że jest chłodny i przynosi spokój. Zamknął oczy i poddał się jego dotykowi. Pomyślał, że teraz nie powinno być gorzej niż w innych miejscach, w których do tej pory zdarzyło mu się być.

Kate wpadła do domku i zamknęła za sobą drzwi na zasuwkę, choć cienką, drewnianą, przeszkloną płytą i tak nie zdołałaby nikogo powstrzymać. Wyrzwała i zobaczyła ścianę deszczu – widoczność nie przekraczała paru metrów. Oparła się o drzwi i osunęła na podłogę, usiłując złapać oddech i nieco uspokoić umysł. Czowała ucisk w klatce piersiowej, każdy oddech sprawiał jej ból. Rozejrzała się – na wieszakach znajdowała się cała masa kurtek, pod ścianą piętrzyła się sterta butów. Woda z jej ubrania ściekała na podłogę. Kate próbowała zarejestrować otaczające ją szczegóły, żeby sobie stworzyć pełny obraz tej chwili. Chciała w ten sposób zapanować nad paniką, która ją ogarnęła. Nie udało się.

– Mamo? – Chelsea, drobna i przerażona, pojawiła się w przedsionku. – Co się stało?!

Usiadła obok Kate i wtuliła się w jej ramiona, nie zważając na to, że matka jest przemoczona do suchej nitki. Kate przycisnęła ją mocno. W pierwszym odruchu chciała skłamać: „Nic. Wszystko porządku. Wracaj do łóżka”. Myśli, że ma opowiedzieć Chelsea, co się przed chwilą stało i czego była świadkiem, nie dała się pogodzić z potrzebą zapewnienia ochrony i bezpieczeństwa swojemu dziecku.

– Widziałas go? Zobaczyłaś ducha?

Kate naprawdę wolałaby zobaczyć ducha. Opowiedziała córce, co się wydarzyło od momentu, gdy ktoś zaczął dobijać się do drzwi i pojawiło się dwoje rozbitek, o ile rzeczywiście nimi byli.

Chelsea wyprostowała plecy i ze spokojną, poważną miną wpatrywała się w matkę. Kiedy ta skończyła opowiadać, oświadczyła:

– Mamy rewolwer. Jest w głównym budynku.

Kate nie spodziewała się usłyszeć od niej akurat czegoś takiego.

– Znalazłyśmy go, kiedy przygotowujemy kolację – dodała Lulu, która do nich dołączyła.

– Schyl się – odezwała się Kate. – I chodź do nas. – Wyciągnęła rękę do Lulu, która podeszła do nich na czworakach. Wszystkie trzy wchycupnęły pod drzwiami. Nagle usłyszały odgłos kroków na werandzie. Chelsea cicho pisnęła, gdy rozległo się ciężkie stąpanie osoby wchodzącej po schodach, a potem idącej wzdłuż ściany domu. Dostrzegły cień przesuwaną się po szybie, pod którą siedziały. Kroki zatrzymały się w pewnym momencie.

Kate słyszała wyraźnie szum pulsującej krwi w uszach, płytki oddech przestraszonych dziewczyn, deszcz bębniący o dach. Ta chwila wydawała się zupełnie nierealna, jakby rozgrywała się we śnie. Kate pomyślała o raketnicy, którą zostawiła na stole w głównym budynku. Powinna była zabrać ją ze sobą, kiedy wychodziła sprawdzić łódź. Tutaj były bezbronne. Dobrze, że przynajmniej Birdie miała broń.

Wydawało się, że od chwili, kiedy siedziała tam i opowiadała matce o romansie Richarda Camerona i Lany Heart, upłynęło wiele dni. Sprawy, które jeszcze niecałą godzinę temu wydawały się ważne i niepokojące, stały się teraz zupełnie nieistotne. „Problemy pierwszego świata” – powiedziałby Sean. Rzeczy, którymi przejmowali się ludzie, którzy nie musieli się niczym przejmować.

Kate delikatnie odsunęła się od Chelsea i Lulu, które jeszcze przez chwilę się do niej przytulały, zanim pozwoliły jej przesunąć się dalej. Czołgała się, trzymając się poniżej linii okien w ścianie przedsionka.

– Mamo... – szepnęła Chelsea.

Kate uniosła dłoń. Musiała sprawdzić, gdzie on jest i co teraz robi. Nie mogła tak po prostu siedzieć i czekać, aż do nich przyjdzie – do trzech bezbronnych i przerażonych kobiet. Ostrożnie wysunęła głowę nad parapet. Zobaczyła, że mężczyzna stoi i patrzy w stronę głównego domu. Widziała pasma jego przemoczonych włosów, profil złamanego nosa, duże, kanciaste ramiona. Kto to był? Czego tutaj chciał? Obejrzał się w jej stronę. Zamarła. Wydawało się, że patrzy wprost na nią, ale stał jak skamieniały. Nie zwracał uwagi na padający deszcz. Wreszcie ruszył w kierunku schodów po drugiej stronie tarasu.

Kate patrzyła na niego, dopóki nie pochłonęły go ciemności. Musiał dostrzec stąd światło zapalone w domu rodziców, na pewno tam się wybierał. Poczowała przyływ czystej adrenaliny.

– Dziewczyny! – rzuciła. – Musicie dotrzeć do noclegowni i wezwać pomoc przez radio!

Kate nie chciała, żeby poszły razem z nią do głównego budynku – tam przecież było najbardziej niebezpiecznie – dlatego wolała wysłać je w przeciwnym kierunku, z dala od zagrożenia. Przynajmniej taką miała nadzieję.

– Jakiś czas temu zadzwoniłam do taty przez Skype’a – powiedziała Chelsea. – Nie słyszałam go i nie wiem, czy on mnie usłyszał, ale powiedziałam mu, że moim zdaniem ktoś jest na wyspie i że możemy mieć kłopoty.

– Dobrze – odparła Kate. Pomyślała o mężu, o tym, jak bardzo musi być w tej chwili zdenerwowany. Co teraz robi? Jeśli w ogóle słyszał, co mówiła Chelsea, na pewno zadzwoni do miejscowego komisariatu. – Gdzie on wtedy był?

– Chyba w domu.

Kate pamiętała, że mówiła mu, aby nie wyruszał w podróż, jeśli będzie zbyt zmęczony, by zasiąść za kierownicą. Przynajmniej raz zastosował się do jej rad. Oczywiście, tym razem miał powody, aby wziąć je sobie do serca, jeśli chciał być ostrożny i bezpiecznie dojechać.

Nachyliła się nad dziewczynami.

– Nie możemy zakładać, że Sean cię usłyszał. Dacie radę to zrobić? Dotrzecie do noclegowni i wezwiecie pomoc?

Lulu wbiła wzrok w ziemię, a po chwili spojrzała na Kate. Chelsea ujęła dłoń przyjaciółki.

– Zrobimy to – powiedziała.

– Pewnie – dodała Lulu. – Poradzimy sobie.

Kate była nieco zdumiona zdecydowaniem i siłą charakteru, które dostrzegła w oczach córki. Dziewczyna miała w sobie wystarczająco dużo z Birdie, żeby przetrwać najgorsze. W Kate też było trochę z matki. Wstała i sprawdziła zawartość kurtek na wieszakach. Znalazła to, czego szukała: dwa gwizdki, czerwony i srebrny. Powiesiła jeden z nich na szyi Lulu, a drugi dała Chelsea.

– Jeżeli stanie się coś złego, gwizdźcie, krzyczcie, naróbcie hałasu – powiedziała.

Lulu pobladła. Wyglądała teraz na przerażoną mimo pewności siebie, jaką okazywała jeszcze chwilę temu. Kate wiedziała, że może zaufać Chelsea, że jej córka zachowa spokój i robi to, co należy. Miała nadzieję, że Lulu również podoła temu zadaniu.

– Zostańcie razem, nie rozdzielajcie się. Kiedy już dotrzecie do noclegowni, zamknijcie drzwi na zasuwkę i nie wychodźcie stamtąd. Niezależnie od tego, co usłyszycie, zostańcie w środku.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała Chelsea.

– Twoja babcia tam jest. Sama.

Kate nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Nie miała pojęcia, co właściwie powinna zrobić, nie uważała jednak, że należy o tym wspominać. Chelsea i Lulu spojrzały na nią niepewnie, jakby wiedziały, że działa po omacku. Dziewczyny założyły buty i nieprzemakalne kurtki. Po chwili wszystkie razem wyszły z domku.

Mój mąż zawsze miał słabość do kobiet po przejściach – słowa Birdie wciąż dźwięczały w głowie Emily.

Kiedy była mała, zdarzały jej się nocne koszmary, w których spadała, ale nie te krótkie, nerwowe sny, w których machała rękami i nogami. Nie, te były długie i powolne. Wydawały się nie mieć końca, a Emily nie była w stanie zapanować nad ich przebiegiem. Leciała w dół, wciąż w dół. Właśnie teraz tak się czuła, kiedy patrzyła na Birdie.

– Pamiętam twoją matkę – oznajmiła Birdie. – Wydawało jej się, że wygrała los na loterii.

Emily przyjrzała się starszej kobiecie. Birdie siedziała idealnie wyprostowana, jej ramiona tworzyły linię prostą, łokcie lekko opierały się o stół. Spojrzenie miała chłodne i opanowane, jak menedżer na zebraniu zarządu albo sędzia przewodniczący obradom.

– I w ogóle nie wiedziała, że wszystko, łącznie z wyspą, należy do mnie.

Emily nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Joe nieźle zarabiał – dodała Birdie – jednak prawdziwy majątek pochodził od mojej rodziny. Joe nie zrezygnowałby z tego, na pewno nie z powodu czegoś tak błędnego jak miłość.

„A teraz, skoro już wyszedł, może mi powiesz, kim naprawdę jesteście i o co tu właściwie chodzi?!” W głosie Birdie było coś, co dawało nadzieję, że będzie w stanie zrozumieć Emily, a może nawet już zna prawdę. Bardzo chciała zwierzyć się tej kobiecie, może dzięki temu zostałaby tu zaakceptowana, przyjęta do rodziny. Może udałoby się skontaktować z Joem i jakoś to wszystko wyprostować. Jeśli ktokolwiek jest w stanie doprowadzić do porządku coś, co się tak paskudnie rozwaliło, to tylko on.

Emily początkowo milczała, więc Birdie dodała:

– Pomogę ci, moja droga.

– Zgubiliśmy się – powiedziała wtedy Emily. – Zabłądziliśmy.

I była to najszczęsza prawda.

Może Birdie zrozumie, że Emily wpadła w straszne kłopoty. Prawdę mówiąc, winę za to ponosił Dean. Sama na pewno by tu nie dotarła, gdyby nie on i to wszystko, co do tej pory zrobił i do czego ją zmusił. Może Birdie to zrozumie. I może, choć było w to bardzo trudno uwierzyć, może ona też kiedyś znalazła się w sytuacji, nad którą nie była w stanie zapanować, w towarzystwie mężczyzny, który podążał niewłaściwą drogą. Może też kiedyś potrzebowała kogoś, kto poda rękę i pomoże wydostać się z beznadziejnego bagna, w które wdepnęła. Emily prawie uwierzyła, że Birdie podświadomie wie, z kim ma do czynienia, i że to właśnie ona chce jej podać pomocną dłoń.

– Nazywam się Emily – powiedziała niemal szeptem. Birdie pochyliła się i zmrużyła oczy. – Emily Burke. Jestem córką Joego Burke’a.

Birdie zastygła. Emily mogłaby przysiąc, że kiedy spojrzała w oczy tej kobiety, dostrzegła opadające żelazne kraty. Jej twarz stała się maską bez wyrazu. Tarczą. Emily rozumiała, że popełniła potworny, potworny błąd.

Przez chwilę słychać było tylko deszcz walący o dach. Rozległ się grzmot.

– Mój mąż nie ma nieślubnego dziecka – oświadczyła Birdie. Jej głos nie zdradzał złości ani wzburzenia, to było po prostu beznamiętne stwierdzenie pewnego faktu.

– Ma! – Emily znalazła w sobie więcej siły, niż się spodziewała. – I chciałabym do niego zadzwonić. Mam kłopoty i potrzebuję ojca. Jest mi coś winien. Przynajmniej rozmowę.

Birdie uśmiechnęła się, ale bez zyczliwości. Raczej złośliwie. Emily poczuła, że ogarnia ją wstyd, a razem z nim gniew.

– Moja droga – odezwała się Birdie. – Joe Burke nie jest twoim ojcem. Domyślam się, że tak powiedziała ci twoja matka, a do tego nawet nadała ci jego nazwisko. To zupełnie w jej stylu, jeśli wziąć pod uwagę krzywdę, jaką chciała nam wyrządzić. Widzę, że ty także w to uwierzyłaś, jednak musisz wiedzieć, że wyniki testów były jednoznaczne. Nie mam pojęcia, kto jest twoim ojcem, ale na pewno nie jest nim mój mąż.

– Kłamie pani! – Emily poczuła nieoczekiwane drżenie w sercu i wzbierające w niej łzy. – Co roku dostawaliśmy czek, pieniądze na moją naukę!

Coś przebiegło przez twarz starszej kobiety. Gniew, zaskoczenie. Właśnie wtedy Birdie powiedziała, że jej mąż miał słabość do kobiet po przejściach. I mówiła dalej.

– Martha oszukała go. Normalnie byłaby tylko jedną z jego miłostek. – Birdie roześmiała się krótko. – Którego, uwierz mi, było sporo. Ale ponieważ sądził, że jest ojcem jej dziecka, mogła go zatrzymać dla siebie nieco dłużej. Doszło do tego, że zapragnęła czegoś więcej niż tylko potajemnych nocnych schadzek, czy też paru weekendowych wyjazdów, tyle że wtedy Joe już chciał się zająć kimś innym. Przypuszczam, że ona również uwierzyła, że jesteś jego córką.

– To nieprawda!

– Joego rozzulają też małe dziewczynki. – Birdie wciąż uśmiechała się nieprzyjemnie. Potrząsnęła ze smutkiem głową. Nie usłyszała słów Emily albo je po prostu zignorowała. – Nie dziwi mnie, że dawał Marcie pieniądze, ale gdybym o tym wiedziała, sprzeciwiłabym się temu kategorycznie. Chociaż mój mąż i tak nigdy nie zwraca uwagi na to, co mówię.

Na chwilę zapadła grobowa cisza. Birdie prychnęła.

– Joe postawił na swoim, a ja nie wykazałam się dostatecznym zdecydowaniem. To chyba kwestia pokoleniowa.

– Kłamie pani.

Emily nie potrafiła powiedzieć nic więcej. Wydawało się, że pustka, dziura, która otwierała się w jej wnętrzu, pochłonie ją w całości. Przeżyła już wiele strasznych niepowodzeń, ale nie mogła stracić wszystkiego, co miała – nie wiedziała, kim się stanie bez wspomnień związanych z ojcem. Bez tego magicznego miejsca nie pozostawało w jej życiu już nic pięknego, tylko popioły.

– W każdym razie pieniądze zadowolili twoją matkę. – Birdie bawiła się medalionem w kształcie serca, który nosiła na szyi. Przesuwała palcami po zameczku. – Nigdy już się do nas nie odezwała, więc w pewnym sensie warto było trochę poświęcić. Oszczędziło mi to dalszych upokorzeń.

– On nas nie chce, Emily – powiedziała wtedy mama. – On już cię nie potrzebuje. – Emily nosiła to w sobie przez cały czas: przekonanie, że ojciec ją odrzucił. Przybrało to w jej duszy postać skalistej jamy, doliny, którą przez całe życie chciała czymś wypełnić. Dlatego przyjechała na Heart Island. Szukała ojca. Miała nadzieję, że tu będzie i że wyzwoli ją od tych strasznych rzeczy, które zrobiła.

– Dlaczego tu przyjechałaś? – spytała Birdie, czytając w jej myślach. – Czego się spodziewałaś? Myślałaś, że zostaniesz przyjęta do rodziny?

– Niczego nie myślałam. – Zabrzmiało to słabo, niezbyt mądrze. Emily znów była w gabinecie dyrektora z powodu wagarów, albo właśnie tłumaczyła się kobiecie, której ukradła obrączkę, albo próbowała wyjaśnić szefowi, wkrótce byłemu szefowi, dlaczego myszkowała po biurze. Znowu czuła się winna, znowu chciała, żeby ktoś zrozumiał jej intencje. Miała powody, uzasadnione powody, żeby postępować tak, jak postępowała, a przynajmniej tak jej się wydawało. Potem, kiedy ktoś poddawał je szczegółowej ocenie, wszystkie te powody zawsze wydawały się niezwykle błęde, z gruntu złe.

Emily szybko wstała od stołu. Birdie odsunęła się, a na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie i niepewność. Emily z przerażeniem rozumiała, że ta kobieta się boi, że nie jest pewna, co może zrobić jej niespodziewany gość.

Na stole dostrzegła raketnicę. Pistolet był duży, masywny, wyglądał jak zabawka. Birdie na siedząco nie mogła go dosięgnąć. Emily rzuciła się do stołu i chwyciła broń. Birdie wstała i cofnęła się o kilka kroków w stronę kuchni.

– Nic pani nie zrobię – powiedziała Emily. Spojrzała na pistolet trzymany w dłoni. – Nie chciałam tego robić.

– Zdecydowanie za późno na takie deklaracje.

Emily usłyszała na zewnątrz jakiś hałas, głośnie trzask, różniący się od odgłosów burzy, wystarczająco donośny, by nie zagłuszył go szum wiatru i deszczu. Zatrzęsła się ze strachu. Co on zrobił?!

Wybiegła z domu, uciekając przed przerażonym spojrzeniem tej okropnej kobiety i przed jej kłamstwami. Biegła między spadającymi z nieba ścianami deszczu. Pośliznęła się, jej prawa stopa odjechała w górę na jakimś gładkim kamieniu. Uderzyła o ziemię tak mocno, że straciła dech w piersi. Leżała, próbując złapać oddech, gdy z deszczu wyłoniła się jakaś postać.

– Co ty jej zrobiłeś?! – wrzasnęła Emily. – Co ty jej zrobiłeś?

Mężczyzna schylił się i brutalnie uniósł ją w górę. Jęknęła z bólu i wściekłości, usiłując odepchnąć jego dłoń. Dopiero po chwili zrozumiała, że to nie Dean. To był Brad.

Na jego twarzy dostrzegła odbicie wszystkich podłych i obrzydliwych rzeczy, które spotkały ją w życiu. Niemal z ulgą przyjęła moment, kiedy chwycił ją za głowę i zaczął ciągnąć w kierunku domu. Nie była w stanie mu się przeciwstawić, młóciła go pięściami, kopała, ale miała wrażenie, że wali w gruby pień nieruchomego, wrośniętego korzeniami w ziemię drzewa.

– Kto jest w domu? – krzyknął jej do ucha.

– Nikt! – jęknęła. – Nikogo tam nie ma.

– Pieprzysz.

Chwycił ją mocniej i Emily poczuła potworny ból na ciemieniu. Myślała, że Brad za chwilę wyrwie jej wszystkie włosy. Mimo to spróbowała się bronić. Zaparła się piętami w miejscu, Bradowi udało się jednak ją przewrócić. Upadek znów był bolesny, znów nie mogła złapać tchu.

Przygniótł ją całym ciężarem ciała.

– Wiesz, gdzie jest sejf?! – warknął groźnym, niskim głosem. Kolanami mocno przyciskał zgięcia jej łokci.

– Zejdź ze mnie! – krzyknęła Emily z wściekłością.

– Emily, powiedz mi tylko, gdzie jest ten pierdolony sejf! – Chyba był zmęczony, oddychał nierównymi sapnięciami. – Co cię obchodzą ci ludzie?!

– Dobrze – odparła Emily po chwili. – Pokażę ci.

Kłamała, nic nie wiedziała o żadnym sejfie.

– Wiedziałem, jaka jesteś, kiedy tylko cię zobaczyłem. – Znów pojawił się ten potworny, obrzydliwy uśmiech.

Te słowa całkowicie pozbawiły Emily energii, poczuła, że słabnie. Walczyła przez całe życie, płynęła pod prąd, który chciał ją unieść w miejsce pełne rozpacz i rozczarowania. Była przekonana, że może osiągnąć coś lepszego. Myliła się. Znalazła się tutaj, na tej wyspie, która w jej wyobraźni była czymś podobnym do raj, a okazała się najgorszym koszmarem, jakiego kiedykolwiek zaznała. Emily przyniosła ze sobą zniszczenie i chaos.

Właśnie wtedy, w momencie, w którym już chciała się poddać, myśl o dziecku, które nosiła w sobie, przestała być tylko i wyłącznie abstrakcją. Wołał ją jakiś głos, oferując jej coś, o czego utracie była już przekonana: nadzieję. Dzięki nadziei odkryła w sobie nieoczekiwane siły.

Brad znów chwycił Emily mocno za włosy i szarpnął ją w górę. Coś strzeliło w jej szyi.

– Nie próbuj mnie tylko, kurwa, wydymać – rzucił. – Bo inaczej spalę tu wszystko do gołej ziemi.

Emily zebrała wszystkie siły, wydobyła z siebie gardłowy jęk i zaczęła okładać Brada pięściami. Zamierzała z nim walczyć. Z nim i ze wszystkim, co w niej rzekomo zobaczył.

Sean zadzwonił do matki, która od razu przyjechała do ich domu, żeby zostać z Brendanem. Pędził teraz autostradą, skąpaną w żółtawym świetle. Ruch był niewielki. Sean nieco przekraczał dozwoloną prędkość, powtarzając sobie, że prawdopodobnie nic się nie stało, po prostu pewna nastolatka czegoś się przestraszyła w środku nocy.

Nawet jadąc sto dwadzieścia na godzinę i wyprzedzając nieliczne o czwartej nad ranem samochody, miał wrażenie, że porusza się wolno jak żółw, że czas uległ wydłużeniu i zwiększyła się odległość do przejechania, jakby ktoś chciał go zupełnie zdezorientować. Podczas ostatniej rozmowy Roger Murphy powiedział, że jedzie już na przystań i że zadzwoni ponownie, jeśli się czegoś dowie. Sean z trudem powstrzymał się od wybrania jego numeru. Postanowił za to zadzwonić do teścia.

– Zadzwonił do Joego! – poinstruował system wybierania głosowego.

– Dzwonię do Joego – oznajmił automat. Przynajmniej tym razem zadziałał.

Telefon dzwonił, a samochód dalej mknął autostradą. Krajobraz wzdłuż drogi zmienił się w ciemną smugę oznaczoną latarniami. Działo to hipnotyzująco.

– Joe Burke. – Starszy pan zawsze odzywał się tak, jakby był w ustawicznej gotowości. Sean jak zwykle poczuł onieśmienie, kiedy usłyszał ten głos, niczym rekrut wobec sierżanta albo pracownik na dywaniku u dyrektora naczelnego, czy uczeń wobec nauczyciela. Nigdy tego nie odczuwał w kontaktach ze swoim ojcem ani innymi osobami. Na dodatek niczego Joemu nie zawdzięczał, nie skorzystał z jego pieniędzy, diabła tam – nigdy nie pozwolił, żeby Joe zapłacił za niego w restauracji. A mimo to...

– Mówi Sean. – Urwał na chwilę, zastanawiając się, czy nie dodać: twój zięć.

Joe jednak od razu spytał: – Co się stało?!

Sean przedstawił sytuację, słuchając jego oddechu po drugiej stronie linii.

– Zadzwoniłeś na policję? – spytał Joe, gdy Sean skończył opowiadać. Teść w ogóle nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego, może był nawet nieco poirytowany.

– Tak – odparł Sean. – Ja też już jestem w drodze.

– Nie panikuj. – Tak właśnie zachowywał się Joe, który starał się być spokojny, opanowany i lubił przeanalizować sytuację przed podjęciem działania. Sean oburzył się jednak, że ktoś mu zarzuca przesadną reakcję. – Próbowałeś skontaktować się z Birdie?

– Od wczorajszego wieczoru usiłuję się do niej dodzwonić.

– A dlaczego nie pojechałeś razem z nimi?

– Miałem prezentację. – Słowa niemal uwięzły Seanowi w gardle. Brzmiało to idiotycznie, wręcz beznadziejnie. I takie zresztą było. Dlaczego z nimi nie pojechał? Albo dlaczego dziewczyny na niego nie poczekały? Co takiego było w tej głupiej, pieprzonej wyspie i w obrzydliwych rodzicach Kate, że wszyscy musieli zawsze dostosowywać do nich swoje plany?! Nieważne, jakie były powody, w tym roku robili to po raz ostatni. – Obowiązki zawodowe, Joe.

Teść tylko prychnął, co musiało oznaczać lekceważenie. A przecież sam zajmował się przede wszystkim pracą i praca zawsze była dla niego najważniejsza. Tyle że nie uznawał zajęć innych ludzi za równie ważne.

Sean nie zamierzał teraz o tym dyskutować.

– Dlaczego wyjechałeś? – spytał. Zdziwiło go trochę, że powiedział to tak gniewnym tonem. – Miałeś przecież tam być.

Pewnie mógł się wytłumaczyć jednym z wielu „ważnych powodów” – partią golfa, sesją masażu albo „biznes lunchem”. Joe wiele lat temu przeszedł na częściową emeryturę, ale wciąż zachowywał się tak, jakby miał mnóstwo bardzo istotnych zadań do wykonania.

– Duszę się na wyspie – oświadczył. – Przytłacza mnie konieczność przebywania tam z Birdie.

Sean nie skomentował tych słów. Nie potrafił, bo chyba były to jedyne prawdziwe, szczerze zdania, jakie w ciągu ponad dziesięciu lat usłyszał od teścia. Obyło się tym razem bez rozwlekłych opowieści zmierzających do pochwalenia się jakimiś sukcesami, zwyczajowych uprzejmości i żartów oraz opinii na temat pogody. Może tak reagował człowiek obudzony w środku nocy; nie ma się wtedy czasu na założenie odpowiedniej maski.

– Jasne – stwierdził w końcu Sean, bo nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

– Zatem powiadomiłeś policję. – Sean usłyszał szelest pościeli. – Wyślą tam kogoś?

– Rozmawiałem z Rogerem Murphym. Miał popłynąć na wyspę.

– I ty też jesteś w drodze, więc wszystko jest pod kontrolą. Zadzwonił do mnie, gdy tam dotrzesz.

– A ty co zamierzasz zrobić?

– Wracam do łóżka, synu. Daj mi znać, czy mamy się czym martwić. Niewiele mogę teraz zrobić.

Joe rozłączył się. Po chwili głuchej ciszy Sean zaczął się śmiać. Nie po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, skąd właściwie wzięła się Kate i w jaki sposób stała się taka, jaka była. To prawdziwy cud!

– Zadzwonił do Kate.

– Dzwonię do Kate.

– Cześć, to ja! – Miała mocny, wyraźny głos i Sean poczuł przypływ ulgi. Po chwili jednak usłyszał: – Nie mogę teraz rozmawiać. Zostaw wiadomość.

Starał się nie okazywać przykrego rozczarowania.

– Halo, tu Sean. – Przechesał dłonią swoje krótkie ciemne włosy. Teraz były sztywne i rozczochrane. – Chciałem tylko powiedzieć, że cię przepraszam. Przykro mi, że z wami nie pojechałem, że nie poprosiłem was, żebyście na mnie poczekały. Już do was jadę. Nie wiem, czy coś złego się u was dzieje, czy Chelsea przestraszyła się czegoś zupełnie bez powodu, ale jestem w drodze. Brendan został w domu z moją mamą. Jeśli nawet na miejscu okaże się, że chodzi o jakieś idiotyczne nieporozumienie, wracacie ze mną do domu. A wiesz dlaczego? Bo musimy odpocząć od waszych rodziców i od Heart Island. Naprawdę musimy odpocząć. Zgoda?

Był wyczerpany, roztrzęsiony i chyba zachowywał się trochę śmiesznie. Może Joe miał rację, może rzeczywiście panikował. Miał nadzieję, że to lepsze niż brak reakcji. Nie chciał być facetem, który nie robi nic, kiedy osoby, które kochał, mogą go potrzebować.

– Kate, kocham cię. Bardzo cię kocham.

Po drugiej stronie coś zatrzeszczało. Sean nacisnął przycisk na kierownicy i zakończył połączenie. Do przystani w Blackbear zostały jeszcze niecałe dwie godziny. Nadepnął nieco mocniej pedał gazu.

Kate podeszła ścieżką do głównego budynku. Deszcz nieco zelżał, ale wciąż słychać było strugi wody rozbijające się o skały. Po drugiej stronie cieśniny, na Cross Island, było ciemno. Podczas dobrej pogody dało się tam dopłynąć w dziesięć minut. Osoby stojące na brzegu mogły porozumieć się krzykiem. Jednak druga wyspa wydawała się w owej chwili odległą planetą, całkowicie niedostępną.

Patrzyła, jak Chelsea i Lulu oddalają się od domku i nieoczekiwanie ogarnął ją spokój. Doskonale wiedziała, co powinna zrobić: musi zdobyć broń, zabrać matkę i wywieźć wszystkich z wyspy, nawet jeśli oznaczałoby to wypłynięcie na jezioro w czasie burzy.

Kate zawsze obawiała się otwartych wód. Radziła sobie dobrze w basenie, niewielkim i przewidywalnym zbiorniku wodnym, jednak rozległy przestwór morza albo jeziora o nieodgadnionej głębokości, kryjący w sobie mroczne tajemnice, sprawiał, że wpadała w panikę.

W dzieciństwie nie chciała pływać na Heart Island, podczas nieuniknionych podróży łodzią trzęsa się ze strachu i często robiło się jej niedobrze. Kategorycznie odmawiała wsiadania do kajaka. Birdie była wściekła, że Kate nie chce zeskoczyć z pomostu i pływać razem z całą rodziną. Pewnego razu, w przystępie irytacji, Birdie zepchnęła córkę do wody.

– Potrafisz przecież pływać, Katherine! – krzyknęła. Kate pamiętała, że ciemne fale jeziora zdawały się ją wtedy pochłaniać, ściągać na dno.

W panice zaczęła połykać wodę, w głowie miała pustkę z przerażenia. Ojciec skoczył za nią, wyciągnął ją na pomost, a potem przytrzymał, gdy wymiotowała wodą i żółcią. Birdie stała obok ze skrzyżowanymi rękami, z paskudnym grymasem złości i dezaprobaty na twarzy. Jakże Kate nienawidziła wtedy swojej matki!

– Umiesz pływać, Katherine – powiedziała wtedy Birdie. Podeszła bliżej do Kate i Joego. – Wiesz przecież, że umiesz!

– Zamknij się, Birdie! – rzucił Joe. Kate przytuliła głowę do jego piersi. Myślała: „Gdyby nie ty, ona pozwoliłaby mi utonąć”.

– Wolisz, żeby pokonał ją strach? – Birdie była oburzona, jakby ktoś wyrządził jej krzywdę. – Stawiamy czoła rzeczom, których się boimy, Kate, w przeciwnym razie zostaniemy przez nie całkowicie stłamszeni!

Kate słyszała okrzyki mew i dobiegający z oddali szum generatora.

– Chcesz wszystkim udowodnić, jakim jesteś potworem?! – spytał Joe.

– Co za absurd! – oświadczyła Birdie. Odeszła w charakterystyczny dla siebie sposób, tupiąc o pomost swoimi wielkimi stopami; cała jej postawa i emanująca z niej sztywność sprawiały, że przypominała wielki wykrzyknik. Zawołała jeszcze: – Jestem potworem, bo nie chcę, żeby moja córka stała się płacziwym kaleką stojącym na brzegu życia!

Joe podniósł Kate i owinął ją ręcznikiem, po czym zaprowadził do domu. Ile lat mogła wtedy mieć? Chyba dziesięć.

– Co się stało? – spytał.

– Ona mnie popchnęła – powiedziała Kate.

– Wiem. Ale dlaczego nie popłynęłaś?

Kate nie potrafiła mu odpowiedzieć. Nie wiedziała, dlaczego tak się zachowała. Woda wydawała się taka czarna, taka gęsta. Chciała ją ściągnąć w dół, w głębinę.

– Nie wiem. Bałam się.

– A czy przypadkiem nie zrobiłaś tego tylko po to, żeby ją wkurzyć? – Ojciec powiedział to łagodnym tonem. – Może nie popłynęłaś, bo wiedziałaś, jak bardzo ona tego chce?

– Nie. Bałam się – powiedziała stanowczo. Ale już wtedy zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem ojciec nie miał racji, czy w głębi duszy naprawdę tak nie myślała.

Dygotała z zimna, miała sine, pokryte gęsią skórą dłonie. Pod gołymi stopami czuła twarde, pokryte drzazgami deski pomostu.

– W porządku, dziecko – powiedział ojciec. – Już jest w porządku.

Na werandzie uklęknął przed nią i odgarnął mokre włosy z jej twarzy.

– Ona kocha to miejsce i chce, żebyś ty też je pokochała – dodał. – Chce być pewna, że tu wrócisz i będziesz się nim opiekować, kiedy jej już zabraknie.

Kate miała tylko dziesięć lat, ale wiedziała, że ojciec próbuje usprawiedliwić coś, czego w żadnym razie nie można wybaczyć. Chciał, żeby wszystko wyglądało lepiej i mniej strasznie niż w rzeczywistości.

– Ona kocha wyspę bardziej niż wszystko inne. Nawet bardziej niż nas – powiedziała.

– To nieprawda. – Ton głosu ojca stał się chłodniejszy. – Idź się teraz wysuszyć i przebrać na kolację. – Podniósł się i odwrócił w drugą stronę, spoglądając w kierunku pomostu. Wtedy Kate zdała sobie sprawę, że nie ma na świecie żadnego przyjaznego miejsca, w którym może znaleźć ukojenie i poczuć się bezpieczna. Ta świadomość często towarzyszyła jej w dzieciństwie, a także później, dopóki nie spotkała Seana.

Szła wzdłuż domu, gdy usłyszała wysoki, przenikliwy krzyk. Przyłgnęła do pokrytej gontami ściany, czując, jak jej serce zaczyna bić szybciej. Poczowała suchość w ustach. Wyjrzała zza węgła i w przyćmionym świetle padającym z werandy dostrzegła dwie postaci, mężczyznę i kobietę.

Większa była na pewno napastnikiem, zaciskała ręce na szyi drugiej osoby. Ta mniejsza bezradnie machała rękami i nogami, bezskutecznie próbując uwolnić się z uścisku. Jej bezsilność obudziła w Kate jakiś instynkt, silną potrzebę zapewnienia ochrony i bezpieczeństwa.

Ofiarą była dziewczyna, która przedstawiła się jako Anne. Wydawała się teraz malutka, jakby była zaledwie dzieckiem. Kate już wiedziała, jak silny i bezwzględny jest ten mężczyzna, który zaatakował ją wcześniej przy łodzi. Całe jej ciało pamiętało miazdzący uścisk jego rąk wokół klatki piersiowej.

Bez zastanowienia ruszyła w ich stronę i wpadła na tego faceta z całym impetem, na jaki pozwalały strach i wściekłość. Oboje upadli na ziemię i potoczyli się, zatrzymując gwałtownie na pniu drzewa. Kate poczuła ostry ból w boku, ale stłumiła go adrenaliną. Mężczyzna wskoczył na nią i przycisnął swoim ciężarem niczym głaz. Miał upiornie bladą twarz. Kate bezskutecznie próbowała go uderzyć i wydostać się spod jego ciała.

Usłyszała krzyk dziewczyny:

– Złaż z niej! Złaż z niej! – Kate uznała to za bezsensowne, nedorzeczne żądanie. Ten człowiek nie porzuci przecież swoich planów, które go tutaj przywiodły; nie dojdą teraz nagle do porozumienia. Panika wyciszyła inne myśli, gdy Kate próbowała złapać oddech. Dziewczyna wskoczyła na napastnika i zrzuciła go na ziemię. Kate dostrzegła raketnicę leżącą obok Anne i podczołgała się, by ją zabrać. Dotykała już pistoletu palcami, ale ten potwór znów na nią wskoczył, przygniatając jej dłoń i pozbawiając tchu.

Uderzyła mocno głową o kamienie. Na moment wszystko dookoła rozpadło się na kawałki, na układankę złożoną z dźwięku i ruchu: krzyk kobiety, oddech mężczyzny na twarzy Kate, zapach potu, krwi i deszczu. Potem nastąpił głośny wystrzał, pojawił się syk i ostry błysk pomarańczowego światła. Po chwili zapadła ciemność.

Joe Burke przestał kochać żonę tak dawno temu, że już nie pamiętał, jak to jest, gdy się czuje wobec niej coś więcej niż obojętność. Przyglądając się ich wspólnemu życiu – także wówczas, gdy wspominał wieczór, kiedy ją poznał – nie przypominał sobie momentu, w którym by ją tak naprawdę kochał.

Gdy po raz pierwszy zobaczył Birdie, dostrzegł w niej jakąś iskrę, jakąś energię, która zwróciła jego uwagę. Coś go w tej kobiecie pociągało – była szczupła, arystokratyczna, a zarazem pragmatyczna i inteligentna. Nie przypominała innych dziewcząt, które znał, schowanych w oparach perfum i pod makijażem, zakładających sukienki z krynoliną. Kiedy Birdie się uśmiechała, wyrażała w ten sposób prawdziwe emocje. Miała swoje zdanie, własne przemyślenia i pomysły, i wcale nie zamierzała tego ukrywać, żeby wydać się piękniejszą i bardziej atrakcyjną. Zachowywała się tak, jakby rzucała wyzwanie: „Spróbuj mnie zdobyć, jeśli sądzisz, że sobie poradzisz”. Joe Burke nie należał do ludzi, którzy nie podejmują wyzwań.

Okazała się właściwą osobą, odpowiednią dla jego rodziców: była atrakcyjna, pochodziła z bogatej rodziny, dziedziczyła majątek. Ślub z nią oznaczał „wżenienie się”, jak mawiała matka Joego. Ona i Birdie od razu się sobie nie spodobały. Może tak musiało się stać – matka dawała sobą pomiatać, nie protestowała, gdy mąż bił dzieci, pozwalała się zdradzać, a w końcu dała się przedwcześnie wpędzić do grobu. Nie, Joe na pewno nie był jednym z tych facetów, którzy pragną ożenić się z własną matką. Szukał interesującej, silnej kobiety, która byłaby go godna. Nie wiedział jednak wtedy, że Birdie, która spełniała te wymagania, była też osobą zimną i nieprzystępną. Zrozumiał to dopiero po długim czasie od złożenia przysięgi małżeńskiej, ale – w jego mniemaniu – przysięg należało dotrzymywać. Można nieco naciągać ich warunki, czasem nawet dość mocno, jednak nie wolno ich łamać.

Po telefonie od Seana nie był już w stanie zasnąć. Birdie i wyspa stanowiły jedność. Szczerze współczuł idiotom, którzy zechcieli przekroczyć tę granicę, jeśli tak rzeczywiście się stało. Jednak Kate i Chelsea były inaczej skonstruowane niż jego żona, nie czuły się w takim stopniu związane z Heart Island. Chelsea była rozsądną dziewczyną; jeżeli powiedziała, że coś jest nie tak, to pewnie miała rację.

Rozmowa z Seanem nie była pierwszą niepokojącą rozmową, którą Joe odbył tego dnia. Właśnie wrócił do ulubionego zgiełku i gwaru miasta, porzucając uciążliwy spokój panujący na Heart Island. Początkowo wyspa zawsze wydawała się bardzo przyjemnym miejscem, potem jednak zaczynała go coraz mocniej przytłaczać. Ta cisza, odosobnienie, niekończąca się litania żądań i skarg zgłaszanych przez Birdie... A do tego jej wręcz ogłuszające milczenie.

Martha nie kontaktowała się z nim od wielu lat, ale rozpoznał jej numer – wciąż tkwił w jego pamięci, wybierał go tyle razy bez zastanowienia. Głos po drugiej stronie linii przynosił mu kiedyś tak wiele radości, tak wiele ukojenia, a w końcu przysporzył tak wielu nieszczęść. Joe właściwie nie chciał odbierać: to nie mogły być dobre wiadomości. Z jakiego innego powodu postanowiłaby zadzwonić po tak długim czasie?

– Joe? – Miała starszy, bardziej chropawy głos, Joe zapamiętał go jako miły głos młodej dziewczyny. Wtedy Martha stanowiła całkowite zaprzeczenie Birdie: była łagodna, uległa, pełna entuzjazmu. Pamiętał jej smukłe ciało, dotyk aksamitnej skóry. Nawet teraz, całe wieki później, poczuł dreszcz podniecenia.

– Martha – odezwał się. Kiedyś mówił na nią Martie; urocze zdrobnienie bardziej wtedy pasowało do kobiety, którą była. – Czemu dzwonicz?

Wzięła głębszy oddech.

– Emily ma kłopoty. Straszne kłopoty.

Przypomniał sobie córeczkę Marthy, tak odmienną od jego Kate. Zawsze wiedział, że Emily nie jest jego dzieckiem, ale zgadzał się odgrywać swoją rolę, bo podobała mu się ta zabawa: zabawa w dom z dwiema osobami, które go tak bardzo potrzebowały, tak rozpaczliwie pragnęły. Często wydawało mu się, że Birdie mogłaby go zastąpić dowolnym mężczyzną, jednak w wypadku Katie było inaczej. Kiedy tylko się urodziła, spojrzał jej w oczy i poczuł się tak, jakby była z nim od zawsze. Jeśli chodzi o Emily – mówił do niej: „Moja mała Em” – kochał ją, lecz wiedział, że nie jest jej ojcem. Potrafił jednak ofiarować dziewczynce miłość, skoro ona go tak bardzo kochała.

– Jakie kłopoty? – spytał.

Martha powiedziała mu, co się wydarzyło. Nie mógł w to uwierzyć. Poczuł smutek, ogarnęły go wyrzuty sumienia. Jak gdyby wyczuwając jego emocje i chcąc je wykorzystać przeciwko niemu, Martha dodała:

– Emily potrzebowała ojca.

– Nie jestem jej ojcem, Martho.

– Ale mogłeś nim być.

Poczuł, że ogarnia go gniew, jak kiedyś, i powracają wszystkie słowa, które wypowiedział już tak wiele razy: „Wiedzielaś, że jestem żonaty. Mówiłem ci, że nie opuszczę rodziny. Zawsze wiedziałem, że to nie moje dziecko, ale i tak się o was troszczyłem. Wysyłałem ci pieniądze!”.

– Przykro mi – powiedział tylko. Bo właściwie cóż innego miałby powiedzieć? Słuchał jej płaczu po drugiej stronie. Nie powinna tego robić. Łzy sprawiały, że stawał się obojętny. Zawsze tak reagował.

– Chciałam, żebyś o tym wiedział, gdyby do ciebie przyjechała. Albo gdyby zadzwoniła.

– A niby dlaczego miałyby to zrobić? Jak może mnie w ogóle pamiętać?

Cisza w słuchawce była nader wymowna.

– Nosi twoje nazwisko – odezwała się w końcu Martha. – Nigdy nie miałam sumienia jej powiedzieć, że wcale nie jest twoją córką.

Słowa, ich sens, ich możliwe konsekwencje, powoli dotarły do Joego. Gdzieś w dole, na ulicy, zabrzmiała syrena wozu strażackiego.

– Więc przez cały czas sądziła, że jestem jej ojcem? I co jeszcze? Może myśli, że ją porzuciłem, że jej nie chciałem? Według ciebie ma to coś wspólnego z sumieniem?!

– Porzuciłeś ją, Joe. – Znowu ten przesłodzony, melodramatyczny ton, którym przemawiała, gdy sprawy przybierały zły obrót.

– Za to ty ją okłamałaś. Próbowowałaś nią manipulować, tak jak i mną! – Stare urazy udało się odgrzebać wyjątkowo szybko. Mogło się wydawać, że dawne rany i rozczarowania odeszły w niepamięć, ale wystarczyło je lekko odkurzyć i proszę bardzo, wracały, utrwalone przez czas, bardziej bolesne niż kiedykolwiek.

– Jeśli do mnie zadzwoni albo przyjedzie, dam ci znać – dodał.

– Joe... – spytała Martha. – Myślisz o mnie czasami?

– Martho... A ty myślisz czasami o kimś innym niż o sobie?!

Rozłączył się i trzasnął telefonem o blat. Po chwili go podniósł i walnął nim po raz drugi. Martha zadzwoniła ponownie, potem jeszcze raz, i jeszcze raz. W końcu aparat zamilkł. Joe poszedł na siłownię i ćwiczył ze swoim trenerem przez półtorej godziny, a później obaj wkroczyli na ring.

– Joe? – Młodszy mężczyzna był spocony i ciężko oddychał. Joemu też zrobiło się niedobrze z wysiłku. – Powiedz, czy coś cię gnębi?

Joe dwukrotnie zabierał Marthę i Emily na wyspę. Birdie uznała, że zrobił tak specjalnie po to, by ją zranić. Wtedy oczywiście temu zaprzeczał. Twierdził, że chodziło jedynie o sprzyjające warunki, o odosobnione miejsce, gdzie mogliby być sami, niezauważeni przez nikogo.

Niezbyt to się zresztą udało, bo widział ich kapitan przystani, który wprawdzie dostał od Joego solidny napiwek, ale widocznie zbyt mały, żeby powstrzymał się od mielenia jęzorem. Okazało się, że Heart Island miała swoją historię, już wcześniej rozegrał się tam inny romans, który nie zakończył się zbyt dobrze. Plotki w każdym razie dotarły do Birdie – Joe nie wiedział, w jaki sposób – no i wtedy zaczęła się rozpierducha.

Jednak czas spędzony na wyspie z Marthą i Emily Joe wspominał częściej, niż skłonny był się do tego przyznać. Bez Birdie, bez narzuconych przez nią reguł, wyspa stawała się spokojnym, przyjaznym miejscem, w którym mógł odpoczywać z Martie i swoją małą Em. Mógł odetchnąć, po prostu odetchnąć, i żyć tam w sposób, który nigdy nie był możliwy z Birdie. Żona wciąż poddawała go ocenie, krytykowała sposób spędzania przez niego czasu i wskazywała, co zrobił, a czego nie zrobił, żeby jej pomóc w rozlicznych zajęciach i domowych obowiązkach. Martie nigdy nie interesowało, czy w zlewie leżą niepozmywane naczynia i czy łóżko jest posłane. Nie przejmowała się, jeśli jedli na kolację kanapki z tuńczykiem albo pieczone ziemniaki z grilla i pili piwo z butelki.

Joe pamiętał skąpane w słońcu dni pod koniec lata, kiedy Birdie wracała do miasta, żeby przygotować się do kolejnego sezonu zbiórek dobroczynnych i do świąt. Wspominał je z przyjemnością i z tęsknotą. Dzięki wyspie mógł sobie wyobrazić, że mieszka z Marthą i Emily; miał okazję zastanawiać się, co by było, gdyby kiedyś wybrał inne życie i inną kobietę. O tej porze roku Birdie była przez cały czas zajęta i nie przejmowała się akademią golfa, wyjazdami służbowymi ani cymkolwiek, co Joe akurat wymyślił. Musiał jedynie w określonym dniu i określonej porze stawić się w odpowiednim miejscu odziany w smoking, po czym udać się z żoną na jakiś przeciągający się charytatywny bankiet na rzecz Afryki, AIDS albo szkół w biednych dzielnicach. Wcześniej nie był jej do niczego potrzebny.

Na Heart Island towarzyszyła mu też mała Em, której nie trzeba było wymyślać rozrywek i która z radością zajmowała się kolorowaniem obrazków, pływała razem z Marthą i Joem albo spała sobie na kocu. Dni Theo i Kate w domu, poza wyspą, były tak wypełnione różnymi zajęciami – lekcjami tenisa, jazdy konnej, baletem, kółkiem teatralnym – że dzieci nie wiedziały, czym jest czas wolny. Zawsze musiały coś robić, zawsze potrzebowały jakichś rozrywek. To chyba była wina Joego. Akurat tego mogły się nauczyć od niego, bo na pewno nie od Birdie, która właściwie od dnia ślubu była ustawicznie strasznie zabiegana. „Tato, zabierzesz mnie na kajak? Tato, pobawisz się z nami w chowanego? Tato, rozbijesz nam namiot?”. Czasami myślał, że dzieci potrzebowały ciągłego ruchu po to, by nie zwróciła na nie swojego krytycznego spojrzenia Birdie, która na pewno znalazłaby powód, żeby się do czegoś przyczepić.

Dzisiaj, po rozmowie z Marthą i po zajęciach na siłowni, Joe spotkał się na kolacji ze swoim starym kolegą, Alanem. Niezbyt uważnie słuchał jego opowieści o pieniądzach utopionych w akcjach, o nowym sprzęcie narciarskim i o synu, który kończył akademię medyczną, ale chciał zostać członkiem „Lekarzy bez granic”, choć Alan wydał na jego edukację ogromne kwoty.

– I wszystko po to, żeby dzieciak zwiął do jakiegoś pieprzonego kraju trzeciego świata i opiekował się tubylcami!

Joe myślał o Emily, zdanej teraz wyłącznie na siebie i na łaskę jakiegoś gnojka, który rozwalił jej życie. I jeszcze o tym, jak mogłoby to życie wyglądać, gdyby ten jeden raz zrobił to, co chciał, a nie to, co musiał, ani to, co uważał za konieczne. Był ciekaw, czy Emily wspomina jeszcze wyspę i dni, które tam spędziła. Chyba nie, raczej już niczego nie pamiętała. Nie mogła zapamiętać, była wtedy małą dziewczynką. Nie знаła Heart Island, to miejsce nie rzuciło na nią uroku, jak na wiele innych osób. To przecież jedynie wyspa pośrodku jeziora, która nie ma takiej mocy. W ogóle nie ma żadnej mocy.

Z okna swojej sypialni Joe widział Chrysler Building. Zawsze uwielbiał ten widok: budynek w stylu art déco, który przypominał o pięknie i splendorze Nowego Jorku. Joe wstał z łóżka, założył kaptcie i podszedł do okna. W dole biegła Park Avenue już zatłoczona samochodami, mimo że minęła dopiero trzecia nad ranem. Zawsze zdumiewały go tłumy ludzi żyjących tak blisko siebie, przeżywających wszystkie możliwe odcienie życia w każdym kwartale ulic, na każdym piętrze. Niezależnie od pory dnia zawsze ktoś dokądś pędził z jakiegoś powodu. Dokąd oni wszyscy zmierzali? Czy nie zdawali sobie sprawy, że nic tak naprawdę nie ma znaczenia?

Podniósł komórkę i zadzwonił na wyspę. Usłyszał tylko szybki sygnał zajętości, co oznaczało, że linia jest uszkodzona. Często się to zdarzało.

W dole zabrzmiał dźwięk klaksonu, a w oddali rozległo się wycie syren. Joe Burke stał przy oknie z telefonem w dłoni i patrzył.

Matka zawsze powtarzała, że życie sprowadza się do zaledwie paru chwil, paru decyzji. Te decyzje, zwykle podejmowane w ułamku sekundy, mają wpływ na wszystko, co stanie się później. Takich momentów nie dawało się wyraźnie uchwycić, stawały się widoczne dopiero wówczas, gdy trzeba było się zmierzyć z ich konsekwencjami. Emily patrzyła na racę wzbijającą się w niebo i rozświetlającą otoczenie nierzeczywistą pomarańczową poświatą. Zastanawiała się, czy wszystkie takie ważne chwile w jej życiu już minęły. Na pewno tak było. Jedyne, co mogła zrobić, to rozegrać resztę partii tymi kiepskimi kartami, które pozostały jej w ręku.

Brad zniknął w ciemności, uciekł jak przerażone zwierzę. Miał przecież rewolwer, co się z nim stało, dlaczego go teraz nie użył? Ile strzałów oddał w restauracji? Cztery, może pięć, więc miał jeszcze jeden albo dwa naboje. A może strzelał później? Czy skończyła mu się amunicja? I gdzie jest Dean?!

Kate leżała w bezruchu na ziemi. Emily czuła na twarzy zimne krople deszczu, czuła też nieznośny ból szyi w miejscu, w którym Brad zaciskał dłoń. Traciła już siły, gdy nagle pojawiła się Kate, która zrzuciła z niej napastnika. Dlaczego to zrobiła? Dlaczego ryzykowała swoim życiem, żeby uratować Emily?

– Trzymaj ręce tak, żebym je widziała. – To ta stara kobieta. Emily upuściła raketnicę i odwróciła się. Birdie miała w dłoni broń, prawdziwy rewolwer. Emily uniosła ręce i patrzyła na nią w milczeniu. Nie odezwała się, była wyczerpana i oszołomiona.

Birdie coś powiedziała do Emily, kiedy szybko do niej podeszła. Emily nic nie zrozumiała, słuchała w tym czasie szumu drzew, poddała się dotykowi deszczu. Było ciemno, wyspa wyglądała zupełnie inaczej niż w jej wspomnieniach, Emily rozpoznała jednak jej pieśń, dźwięk, który wydawała, kiedy wszystko inne trwało w milczeniu.

Birdie uklękła obok córki i położyła jej dłoń na szyi, odgarnęła jej włosy.

– Katherine – odezwała się. – Zostań ze mną! – Gdy spojrzała ponownie na Emily, na jej twarzy malował się gniew. – Pomóż mi zanieść ją do domu – rzuciła ostro.

Brzmiało to jak polecenie wydane krnąbrnej służącej przez panią domu, pełne wściekłości i pogardy. Emily wykonała je, działała zupełnie automatycznie. Wciąż zastanawiała się, gdzie może być Dean – mógłby im teraz pomóc. Z trudem udało się podnieść Kate i wciągnąć ją po schodach. Z rany w boku Kate lała się krew, która zabrudziła ubranie Birdie, Emily również. Wielkie czerwone krople spadały na podłogę, pozostawiając smugę od drzwi do dywanu. Emily pomyślała, że ktoś to będzie musiał posprzątać.

Kate jęknęła cicho, ale nie otworzyła oczu. Birdie wybiegła z pomieszczenia i po chwili wróciła z apteczką. Działała spokojnie i z determinacją, wcale nie zachowywała się jak kobieta, która właśnie patrzy na swoje prawdopodobnie ciężko ranne dziecko. Wyjęła rolkę bandaży i opakowanie środka odkażającego.

– Katherine Elizabeth! – powiedziała. Emily usłyszała w jej głosie cały jej strach i żal. – Otwórz oczy!

Kate wciąż leżała w bezruchu i nie odzywała się. Była bardzo, bardzo blada. Emily co chwila zerkała na drzwi. Birdie położyła rewolwer na stole obok Kate. Emily mogła go chwycić i ruszyć w pogoń za Bradem, być może także odnaleźć Deana. Oparła się jednak tylko o ścianę, bo ponownie dopadło ją wstydliwe znużenie. Najbardziej pragnęła wrócić na wyspę i zobaczyć taki dom, jaki pamiętała, a nie to dziwne miejsce, tak odmienne od wszystkiego, co знаła.

Wiesz, gdy już zdamy sobie sprawę, jacy oni są źli, jest już za późno, żeby coś zrobić – powiedziała Lana.

Siedziały przy tym samym stole, przy którym po południu zasiadły Kate i Birdie, między nimi stał ten sam serwis do herbaty. Budynek był jakąś wyjętą ze snu hybrydą starego domu pamiętanego przez Kate z dzieciństwa i zachowanego na starych fotografiach, oraz nowego domu, który zbudował jej ojciec. Czuła się jednak całkowicie rozluźniona, wiedziała, że jest u siebie.

– Młoda dziewczyna – kontynuowała Lana – łatwo może pomylić namiętność z miłością.

Uroda tej kobiety była pełna harmonii. Lana miała ciemne, wyraziste oczy i mlecznobiałą cerę, którą odziedziczyła po niej Birdie. Delikatna linia szyi i ramion, połysk włosów i eleganckie palce dłoni tworzyły niespotykane połączenie gracji i niewinności. Kate była zafascynowana wdziękiem swojej babci.

– Wiem – odparła Kate. – Wydawało mi się, że kocham Sebastiana. Nikt nie potrafiłby mnie przekonać, że jest inaczej.

Lana położyła dłoń na jej dłoni. Ciepły, czuły gest, dzięki któremu dotarła do niej fala współczucia okazanego przez babcię.

– Początkowo wydaje ci się, że płyniesz – powiedziała Lana. – Dopiero po chwili zdajesz sobie sprawę, że przeciwny prąd znosi cię na otwarte morze.

– Tak – powiedziała Kate. – Właśnie tak było.

Światło za oknami było nienaturalnie jasne i Kate musiała zamykać oczy, jednak nawet wówczas palące promienie przenikały przez jej powieki. Pod czaszką czuła rozdzierający ból, jego natężenie niebezpiecznie rosło. Kate niepokoiła się coraz bardziej. Zaczynała powoli nabierać przekonania, że wydarzyło się coś strasznego.

– Kiedy ja próbowałam go porzucić, nie pozwolił mi odejść – stwierdziła Lana. Kate nie potrafiła jej odpowiedzieć, ból stawał się nieznośny. – Wcale nie dlatego, że mnie tak kochał. Po prostu bardzo potrzebował ode mnie czegoś, czego nikt inny nie był w stanie mu dać. Potrafiłam wypełnić jakąś pustkę w jego wnętrzu. Zresztą chyba na tym właśnie polega miłość, prawda?

Rzeczywiście, w przypadku Kate i jej pierwszego męża wyglądało to podobnie – Sebastian chciał, żeby Kate oddała mu wszystko. Jego duchowe potrzeby wymagały złożenia ofiary, jakiej mógłby oczekiwać zagniewany bóg. Może z Laną i Richardem Cameronem było tak samo. Kate nie zapytała o to.

– Nie jestem pewna, czy potrafię ci dokładnie wytłumaczyć, o co chodziło – powiedziała jej babcia. – Ja również potrzebowałam tego, co Richard mógł mi dać, jednak bardziej pragnęłam Jacka i dzieci. To Birdie sprawiła, że podjęłam tę decyzję, choć nigdy jej tego nie powiedziałam. Myślę, że miała prawo się tego dowiedzieć.

Dlaczego Lana to teraz opowiadała? Kate знаła tę historię, przestudiowała pamiętnik babci, a co ważniejsze, potrafiła się z nią utożsamić. Bo właśnie miłość do Chelsea sprawiła, że podjęła decyzję o rozstaniu z Sebastianem. Mimo że Chelsea była jego rodzoną córką, Kate pragnęła ochronić dziecko przed jego pełną frustracją, chwiejną osobowością, przed napadami wściekłości i uzależnieniem.

– Nie chciałam go zabić, Katie. – Lana rozplakała się. – To był nieszczęśliwy wypadek.

– Broniłaś się, babciu. Walczyłaś o życie. To nie była twoja wina.

Wyraz wdzięczności, jaki odmalował się na twarzy Lany, wzruszył Kate do łez.

– Kochanie, postaraj się, żeby ona to zrozumiała. Kate, proszę, spróbuj, żeby to wszystko zrozumiała...

– Postaram się. Przyrzekam.

Szczerze powiedziawszy, Kate nie wiedziała, czy potrafi zmusić swoją matkę do zrobienia czegoś, czego ona zrobić nie chce. Złożyła głowę na kolanach babci, jej ciało było ciepłe i miękkie. Poczuła, że traci świadomość, że ból zelżał. Po prostu potrzebowała długiego snu.

Nie. Jednak nie, nie powinna teraz zasypiać. Miała jeszcze jakąś ważną sprawę do załatwienia. Tylko jaką?

– Katherine Elizabeth Burke, natychmiast otwórz oczy!

Lana zniknęła. W drzwiach stała Birdie z zagniewaną jak zwykle miną. Kate udało się usiąść. Sen powoli zniknął, a do jej świadomości zaczęła stopniowo docierać rzeczywistość. Czy matka musiała w każdej sytuacji zachowywać się tak cholernie apodyktycznie?!

– Katherine, przecież jestem twoją matką. Musisz mnie słuchać!
Kate zawsze była grzeczną dziewczynką. Spełniła polecenie.

Chelsea! – powiedziała Kate.

Wyprostowała się nagle z wyrazem przerażenia na twarzy, a po chwili jęknęła i chwyciła się za głowę.

Emily odsunęła się od obu kobiet i stanęła przy drzwiach. Niespodziewanie poczuła, że to miejsce i zgromadzone w nim osoby stały się jej obce, i że dotyczy to także niej samej. Gdzie jest Dean?! Ogarnął ją strach, który rozprzestrzenił się po całym ciele jak trucizna w krwiobieg. Na zewnątrz wciąż było ciemno. Czy w końcu nadejdzie dzień? Emily miała nadzieję, że kiedy na niebie pojawi się słońce, wszystko zmieni się na lepsze.

– Chelsea jest razem z Lulu w noclegowni – powiedziała Kate. – Kazałam im uruchomić radio i wezwać pomoc. Muszę po nie iść.

Noclegownia? Czy to jest ten budynek, w którym zdaniem Deana znajdował się sejf? Emily chciała już powiedzieć, że Brad może teraz właśnie tam skierować kroki. Zachowała jednak milczenie.

– Co to za człowiek? – spytała Birdie. – To nie jest ten mężczyzna, z którym tu przyszłaś.

Dopiero po chwili Emily zrozumiała, że Birdie mówi właśnie do niej.

– Gdzie on jest?! – Emily spojrzała na Kate. Kate i Dean wyszli stąd razem, ona wróciła tutaj sama. Jakiego imienia użył Dean, kiedy się przedstawił? – Mój n... n... narzeczony? Gdzie on jest?

Birdie szybko podeszła do Emily z rewolwerem w dłoni.

– Musisz nam natychmiast powiedzieć, co się tutaj, na litość boską, dzieje! Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie, ty też! Kto to taki?!

– Kimkolwiek jest, zastrzelił twojego chłopaka – powiedziała Kate. Wstała, przytrzymując się oparcia jednego z wysokich krzesłek przy barku. Była błada i rozdygotana, na jej bluzce widniała ciemna smuga krwi. – Czego on chce?

Sens jej słów nie dotarł do Emily w tym momencie.

– Chce pieniędzy – powiedziała. – Myśli, że na wyspie jest ukryty sejf. Właśnie w noclegowni.

– Noclegownia! – odezwała się Kate. Spojrzała z przerażeniem na Emily, która chciała im opowiedzieć całą tę okropną historię, chciała, żeby obie kobiety ją zrozumiały. Jednak wiedziała, że to niemożliwe.

– Dlaczego to zrobiłaś?! – spytała Birdie. Jej głos był pełen smutku i rozpaczy. – Dlaczego sprowadziłaś na wyspę ten koszmarny?

Emily nie umiała odpowiedzieć na to pytanie. Nie zamierzała tu niczego ze sobą przywozić. Marzyła jedynie, żeby tu przyjechać i znaleźć się w jedynym miejscu, w którym czuła się szczęśliwa i bezpieczna, gdzie czuła się kochana. Pragnęła odwiedzić ten śliczny dom z dzwoneczkami kołyszącymi się na wietrze, poczuć świeże powietrze o cudownym zapachu, być tam, gdzie niebo miało odcień błękitu, którego nigdzie indziej nie widziała. Dlaczego musiała ponieść za to karę?

Nie spróbowała udzielić odpowiedzi, po prostu obróciła się na pięcie i wybiegła prosto w ciemności. Nie obawiała się burzy ani Brada, ani tego, co ten człowiek może jeszcze zrobić. Usłyszała za sobą trzaśnięcie drzwi. Poczowała deski, a potem kamienie pod stopami. Kierowała się w stronę brzegu, tam na pewno jest Dean, na pewno na nią czeka. Nie pamiętała słów wypowiedzianych przez Kate, o tym, że Dean został zastrzelony. Wyparła je z pamięci.

Kiedy zbliżała do łodzi, dostrzegła na ziemi jakąś postać. Umysł Emily w ogóle nie chciał przyjąć do wiadomości widoku Deana leżącego w bezruchu w strugach wody. Ukłękła przy nim. Był już zimny, wciąż splatał ręce na zakrwawionym brzuchu, ale pobieliała, pozbawiona oznak życia twarz była rozluźniona i pełna spokoju.

Deszcz zmienił się w mżawkę. Gdzieś w oddali Emily usłyszała odgłos silnika motorówki.

– Dean... – powiedziała. – Dean, kochanie, nie rób tego.

Chwyciła go za kurtkę. Miała wrażenie, że stał się potwornie ciężki, jak gdyby ziemia już się dopominała o niego i ściągała w dół, do swojego wnętrza.

– Myślę, że to chłopiec – szepnęła. – Naprawdę tak myślę.

Kiedy oderwała ręce od jego piersi, były śliskie i mokre. W ciemnościach krew wydawała się czarna jak smoła. Emily zdała sobie sprawę, że kłęczy w kałuży, która wypłynęła z Deana, kałuży, do której wyciekło jego życie. Gdzieś w głębi jej trzewi zrodził się straszliwy jęk, krzyk bólu, rozpaczy i niewysłowionego żalu. Wyrzuciła go z siebie niczym wymioty. Nie potrafiła go powstrzymać, wcale nie chciała go powstrzymać.

Wstała i chwiejnym krokiem odeszła od ciała Deana, kierując się z powrotem do głównego budynku. Oszołomiona, ale kierowana straszliwym gniewem, maszerowała między drzewami, nie zwracając uwagi na otoczenie. Nie myślała już o dziecku, które nosiła w sobie. Weszła po schodkach na werandę i wkroczyła do wnętrza domu.

Nikogo już tu nie było, obie kobiety gdzieś zniknęły. Ile czasu spędziła nad brzegiem z Deanem? Rozejrzała się dookoła. Nienawidziła tego miejsca, wszystkiego, co nie przypominało wyspy z jej pamięci. Wyspa pozwoliła sobie wobec niej na okrutny żart. We wspomnieniach Emily jaśniała jak światło przewodnie, które pokazywało, czym mogło być jej życie. Okazało się to tylko kolejnym kłamstwem, podobnie jak to, co mówiła matka o jej pochodzeniu. Emily nie miała teraz ojca w zupełnie nowym sensie. Pozbawiono ją nawet wyobrazonego Joego Burke'a.

Zaczęła szlochać. Głębokie, szpumatyczne jęki wydobywały się z jej ciała, a rozpalona twarz pokryła się łzami. Gorączkowo otwierała kolejne szafki i szuflady w kuchni, aż w końcu obok piekarnika znalazła to, czego szukała: duże pudełko zapalek. Pod zlewem odkryła niewielką puszkę benzyny do zapalniczek. Przyjrzała się pluszowym kanapom, ścianom obwieszonym gustownymi grafikami i profesjonalnymi zdjęciami rodzinnymi, wyszywanym poduszkom oraz albumom na stoliku. Oto wszystkie fragmenty życia, które jej na chwilę pokazano, po czym bez żadnych skrpułów prędko zabrano sprzed nosa. Zamierzała obrócić to wszystko w popiół.

Chelsea przypominała sobie, jak jeszcze parę dni temu klóciła się z matką o sweter, który chciała założyć. Zastanawiała się wtedy, jak to jest, że jedno zdarzenie łączy się z następnym i powstaje życie, które się przeżywa. Teraz, gdy razem z Lulu przekroczyła próg noclegowni, myślała o tym, jak łatwo wszystko może ulec zniszczeniu, jak potrafią dojść do głosu mroczne sprawy i zmienić cały świat, który nas otacza. Starła się nie martwić o mamę, która gdzieś zniknęła wśród deszczu, nie mogła też myśleć o babci. Jedynie świadomość, że w domu jest broń, poprawiała jej nastrój. Mama ją znajdzie, a wtedy wszyscy będą bezpieczni.

Radio stało na stoliku na końcu pomieszczenia. Zaprowadziła tam zapłakaną Lulu, która przez cały czas trzymała ją za rękę. Przyjaciółka była przerażona. Chelsea nieoczekiwanie stwierdziła, że choć nadal jest na Lulu potwornie wściekła, to wciąż ją uwielbia. Podniosło ją to na duchu.

Kiedyś sądziła, że gniew oznacza brak miłości. Jej rodzice wciąż wściekali się na siebie. Była małą dziewczynką, gdy się rozwiedli, ale wciąż pamiętała brzmienie ich głosów i wyraz ich twarzy. Zawsze uważała, że gniew niszczy człowieka. Ostatnio zrozumiała, że czasami miłość i gniew splatają się ze sobą i tworzą jeden rodzaj emocji. Dowiedziała się o tym dzięki ojcu, bo właśnie coś takiego wobec niego czuła.

Włączyła radio. Urządzenie ożyło ze świstem. Nacisnęła przycisk nadajnika, zgodnie z tym, czego nauczyła się na kursie żeglarskim. Radio było bardzo podobne do sprzętu przeznaczonego do komunikacji ze stacjami brzegowymi, jaki zainstalowano na łodzi, na której pływała razem z matką.

– Heart Island do komisariatu policji w Blackbear – powiedziała. – Potrzebujemy pomocy. Troje obcych i łódź wyrzucona na brzeg.

Odpowiedział jej jedynie szum. Poczekała chwilę i powtórzyła wywołanie. Rozejrzała się, przyglądając się stosom pudeł, nigdy nie

używanych, piętrowym łóżkom, lodowce wyłączonej z kontaktu. Miejsce było puste i zimne, prycze i materace wydawały się niewygodne.

Znowu szum.

Lulu usiadła na podłodze obok Chelsea i oparła głowę na jej udzie. Chelsea pogłaskała włosy przyjaciółki, były tak miękkie, że ich dotknięcie sprawiło jej przyjemność, choć jeszcze godzinę temu najchętniej by je wszystkie powyrywała. Ponownie nacisnęła przycisk.

– Heart Island do komisariatu policji w Blackbear – powtórzyła. Jej głos drżał, straciła nieco pewność siebie. – Potrzebujemy pomocy!

– Dlaczego nie odbierają? – spytała Lulu. – Policjanci powinni odebrać, kiedy się do nich dzwoni.

Nagle z dala rozległ się męski głos, zagłuszany przez cichy szum:

– Komisariat w Blackbear. Słyszemy was, Heart Island.

– Na naszej wyspie są obcy ludzie. Pomóżcie nam! Odbiór.

Znów pojawiły się te szeleszczące dźwięki. Chelsea i Lulu równie dobrze mogły znajdować się na księżycu – odcięte od świata i nieosiągalne. Dlaczego on się nie odzywa?

– Czy w tej chwili jesteście bezpieczne?

Nie były. Wcale nie były bezpieczne, chyba po raz pierwszy w życiu.

– Na razie tak – powiedziała Chelsea. Musiała zachować się jak osoba dorosła, musiała być silna. I będzie. – Jestem z koleżanką w noclegowni. Moja mama próbuje znaleźć babcię na drugim końcu wyspy. Mówiła, że do domu przyszły dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Gdy próbowali uratować rozbitą łódź wyrzucaną na brzeg, jakiś inny mężczyzna strzelił do tego pierwszego.

Kiedy dostatecznie długo słuchało się białego szumu, zaczynało się pośród niego słyszeć głosy.

– Zrozumiałem, Heart Island – powiedział policjant. – Zostańcie na miejscu. Pogoda jest kiepska, ale wysyłamy łódź. Ludzie, którzy dotarli na waszą wyspę, to prawdopodobnie poszukiwani przestępcy. Bezwzględnie unikajcie z nimi kontaktu! Możecie zamknąć drzwi?

Po wejściu do budynku zamknęły drzwi na zasuwkę. Chelsea powiedziała o tym.

– Jeśli coś się zmieni, dajcie znać przez radio. Będę przy odbiorniku.

– OK – powiedziała Chelsea. Chciała coś dodać, chciała, żeby on powiedział coś więcej. Był jednak tylko głosem w radiu. Nie mógł jej pomóc. – Heart Island, bez odbioru.

Ściszyła dźwięk, żeby syk z głośnika nie był aż tak dokuczliwy. Przez chwilę jeszcze się weń wsłuchiwała.

– Jeśli mamy zginąć – powiedziała Lulu – nie chcę, żebyś była na mnie wściekła.

– Nie zginiemy! – odparła Chelsea. Podeszła do okna i wyrzuciła na zewnątrz. Chciała, żeby mama i babcia pojawiły się w tym momencie wśród drzew. Widać było jednak ciemność, a słyszeć jedynie szum poruszanych wiatrem liści.

– Naprawdę bardzo mi przykro, Chelsea. – Lulu stanęła za przyjaciółką i objęła ją w pasie. – To było strasznie głupie.

– Spodobał mi się – odparła Chelsea. – Czyli nie mógł być prawdziwy.

Lulu wtuliła twarz w jej ramię.

– Nie wiedziałam, że interesują cię faceci.

– Bo nie interesują. Ale nie spotkałam nigdy kogoś takiego jak on. Teraz już wiem, dlaczego: bo nie istnieje.

– Wybacz mi – powiedziała Lulu.

– Okłamałaś mnie. Wykorzystałaś to, czego się o mnie dowiedziałas, żeby mnie oszukać. – Chelsea powiedziała to i znów poczuła złość i ból. W sumie nie było to najgorsze, bo dzięki temu mogła oderwać się od rzeczy, które działy się tu i teraz.

– To nie tak! – powiedziała Lulu z nieszczyśliwą miną. Odsunęła się od Chelsea i usiadła na krześle obok radia, ciasno spletając ramiona.

Chelsea odwróciła się i spojrzała na koleżankę. Bez dotyku ciała Lulu zrobiło jej się zimno. – Naprawdę tak nie było!

– Było – upierała się Chelsea. Wiedziała, że zachowuje się wrednie, ale na razie nie miała zamiaru wybaczyć Lulu, jeszcze na to za wcześnie. Tej dziewczynie już zbyt wiele uszło na sucho.

– Wiesz, jak to jest być twoją przyjaciółką, Chelsea? – Lulu wpatrywała się w podłogę.

– Jak to jest być moją przyjaciółką?

– Tak. – Lulu uniosła swoje błyszczące oczy gwiazdy filmowej. – Co to znaczy przyjaźnić się z kimś tak idealnym?

Przez chwilę Chelsea myślała, że Lulu robi sobie z niej jaja. Spojrzała na nią i wiedziała, że tak nie jest.

– Wyglądasz fantastycznie, jesteś inteligentna. – Lulu uniosła dłoń i zaczęła wyliczać na palcach. – Masz super rodzinę. Twój rodzic cię kochają, a twój ojciec jest celebrytą. Masz naprawdę wszystko i w ogóle sobie z tego nie zdajesz sprawy!

Czy Lulu naprawdę była taka głupia?!

– Myślisz, że to takie fajne, że mam chłopaków? – spytała Lulu, podnosząc nieco głos. Ciszej dodała: – Lubią mnie, bo z nimi śpiam. I tyle. Rodzice nie mają dla mnie czasu, a brat co chwila idzie na odwyk. Ledwo daję sobie radę w szkole. Całe moje życie jest do dupy!

Chelsea podeszła do przyjaciółki. Lulu wstała i wtuliła się w jej ramiona.

– Przepraszam – powiedziała. Gwałtownie wciągnęła powietrze do płuc. – Nigdy bym cię nie skrzywdziła; nie zrobiłam tego, żeby cię skrzywdzić. Jestem idiotką.

W tym momencie usłyszały jakieś odgłosy przy drzwiach.

– Ciii – rzuciła Chelsea. Wyłączyła lampkę przy radiu. Stały w bezruchu i patrzyły, jak obraca się gałka u drzwi.

Lulu pociągnęła Chelsea w głąb jedynego pomieszczenia w budynku. Skryły się za grubą kamienną obudową kominka, wystającą mniej więcej na pół metra ze ściany. Przywarły do niej plecami i chwyciły się za ręce. Intruz już nie próbował przekręcić gałki, teraz zaczął ją rytmicznie szarpać, jakby gotów był dostać się do środka siłą. Po chwili zaległa mroząca krew w żyłach cisza. „Czy ja śnię?!”, pomyślała Chelsea. „Proszę, niech to okaże się snem!”. Lulu zaczęła ją ciągnąć za rękaw.

– Nie! Nie ruszaj się! Chelsea, proszę, nie ruszaj się!

Sięgnęła ręką, macając zimne kamienie kominka, aż znalazła stojak z kutego żelaza, na którym znajdował się pogrzebacz i ciężka łopata do wybierania popiołu. Dosięgała go opuszkami palców.

– Co ty wyrabiasz?! On cię zobaczy! – Gdyby jeszcze odrobinę wyciągnęła rękę, mogłaby coś złapać. Miałyby wtedy jakieś narzędzie do obrony.

Matka Chelsea powtarzała setki razy, że te drzwi nie powstrzymają nikogo, kto naprawdę będzie chciał tu wejść. Szyby w obu oknach, tym obok drzwi i tym drugim, przy łóżkach, można było łatwo stłuc. Nikt się tym do tej pory nie przejmował, na wyspie zawsze było bezpiecznie. Nikt obcy tutaj nie przyjeżdżał. Aż do dziś. Serce Chelsea waliło tak mocno, jakby było ptakiem, który usiłuje się wydostać z klatki. Jeszcze troszkę, jeszcze troszeczkę...

Rozległo się walenie, głośne uderzenia, jakby ktoś raz po raz kopał w drzwi. Oczywiście Lulu nie potrafiła powstrzymać się od krzyku. Chelsea drgnęła i sięgnęła ręką nieco za daleko, przewracając cały stojak. Wstrzymała oddech, gdy akcesoria głośno rąbnęły o kamienie paleniska i z hukiem spadły na podłogę. Chryste, skąd aż tyle hałasu?!

Łomotanie nagle ucichło. Chelsea i Lulu wstrzymały oddech. Ile czasu trwała ta cisza? Przedłużała się w nieskończoność. Chelsea słyszała tylko dzwonienie w uszach i cichy płacz Lulu. Opadła na kolana i wzięła pogrzebacz. Znów rozległo się walenie w drzwi, mężczyzna uderzał mocno i miarowo. Jeden: cały budynek niemal się zatrzęsł w posadach. Obie były dwiema małymi świnkami w domku z patyków, a na zewnątrz czaił się zły wilk: mój chuch i mój dmuch zwali w mig ściany te³. Dwa: zdjęcie przedstawiające dziadków spadło ze ściany, szkło rozbiło się w drobny mak. Chelsea uniosła pogrzebacz i podała łopatkę Lulu, która dygotała tak mocno, że o mało co nie upuściła narzędzia. Szufelka chyba była dla niej za ciężka, chyba nie była jej w stanie podnieść. Chelsea ledwo widziała twarz przyjaciółki w ciemności.

– O Boże, o cholera, to nie dzieje się naprawdę, Chaz, powiedz mi, że to nieprawda!

Trzy: Chelsea ruszyła ku drzwiom, a za nią Lulu. Uniosła pogrzebacz wysoko, jak kij do softballa. Co takiego powtarzał zawsze jej trener? Nie uderzaj piłki. Roztrzaskaj ją. Zetrzyj na proch. Wyślij jej strzępki w kosmos.

Kiedy jednak intruz osiągnął swój cel, kiedy rozwalił drzwi na pół i wetknął but przez dziurę, a potem próbował się przez nią przecisnąć, stał się ucieleśnieniem wszystkich koszmarów, które ją prześladowały, był wszystkim, przed czym dorośli ostrzegają dzieci. Oto on, obcy, człowiek, który chce ci zrobić krzywdę i odebrać cię rodzicom. Chelsea zastygła, nie mogła oddychać. Patrzyła, jak mężczyzna przeciska rękę przez otwór, a dłoń szuka gałki, żeby ją odblokować i otworzyć drzwi. To już koniec, pomyślała. Zginiemy.

Lulu, która jeszcze przed chwilą płakała, teraz wydała z siebie gardłowy wrzask, okrzyk wojenny. Szybko podeszła do Chelsea. Była w tej samej drużynie, co ona, i może także zapamiętała słowa trenera. Ujęła łopatkę jak kij i zaczęła nią tłuc rękę i nogę napastnika, jakby chciała przerobić je na kotlety.

Chelsea odzyskała oddech, ujrawszy i usłyszawszy, co robi jej przyjaciółka. Swobodną dłonią włożyła w usta gwizdek i zaczęła weń dmuchać ze wszystkich sił. Po chwili dołączyła do Lulu, pomagając jej okładać wielkiego złego wilka czającego się przy drzwiach.

Biegąc w kierunku noclegowni Kate usłyszała, że dziewczyna, która przedstawiła się jako Anne, wydaje z siebie potworny, przejmujący skowyt; jęk tak dziki, że aż wrzynający się w mózg. Kate wyobraziła sobie, jak Anne pochyla się nad zwłokami swojego chłopaka. Nawet w tym momencie potrafiła zrozumieć jej ból. Sądząc po wyrazie twarzy Birdie, ona też podzielała to uczucie.

Obie usłyszały właśnie odgłos prawdziwej rozpacz i wściekłości, jednak pochodził on z zupełnie innego świata. Kate myślała teraz wyłącznie o potworze, który zmierzał do noclegowni, gdzie znajdowały się Chelsea i Lulu. Świat zdawał się przeszkadzać obu kobietom w biegu, czas i przestrzeń uległy rozciągnięciu, wydłużyły się jak kleisty cukierek. Kate dwukrotnie wymiotowała, zanim dotarły do budynku.

– Ja je stamtąd zabiorę – oświadczyła Birdie, gdy jej córce zrobiło się niedobrze po raz drugi. To ona teraz miała przy sobie rewolwer.

– Idziemy razem – odparła Kate. Birdie mocno kulała, wcale nie poruszała się o wiele szybciej.

Kate odniosła wrażenie, że oprócz własnego urywanego oddechu słyszy odgłos silnika. Modliła się, żeby to była prawda, ale woda tutaj potrafiła zrobić z dźwiękiem różne dziwne rzeczy. Odległe, zupełnie niewidoczne łodzie słychać było tak, jakby przepływały tuż obok wyspy. Teraz wydawało się, że w ciemnościach wciąż rozbrzmiewa echo krzyku dziewczyny. Ale możliwe, że kapitan przystani dostrzegł racę albo Chelsea zdołała skontaktować się z policją.

– Czujesz dym? – Birdie zwolniła i odwróciła głowę w kierunku głównego domu.

Tak, Kate czuła dym. Spojrzała w tamtą stronę i przez moment dostrzegała złocistą poświatę. Po chwili znów zrobiło się ciemno. Nie ufała własnym oczom, wciąż w jej czaszce pulsował ból, a wzrok stał się dziwnie nieostry. Trzymała się na nogach jedynie dlatego, że musiała dotrzeć do Chelsea. Ognia na wyspie rzeczywiście należało się bać, ogień mógł zniszczyć wszystko: drzewa i budynki o drewnianej konstrukcji.

– To nic groźnego – powiedziała Kate. Nie przejmowała się domem, chciała tylko wywieźć wszystkich z wyspy i uciec od tego koszmaru, który tu zagościł. – Przecież potwornie leje. Zabierajmy dziewczyny i uciekajmy stąd.

Kiedy ruszyły ponownie, Kate usłyszała dźwięk, którego zawsze nienawidziła i którego się bała – przeraźliwy, paniczny świst gwizdka. Dopiero po chwili irytacja ustąpiła miejsca strachowi.

Zaczęła biec, a kiedy zbliżyła się do budynku, usłyszała krzyki dziewczyn. Dostrzegła, że drzwi wejściowe zostały roztrzaskane. Wbiegła po schodach, wołając Chelsea.

– Mamo!

Kate usłyszała przerażony głos córki i precyzyjnie się przez szparę w rozwalonych drzwiach. We wnętrzu było cicho, jedynym słyszalnym odgłosem był czyjś płacz. Włączyła światło i najpierw zobaczyła dziewczyny skulone pod oknem na przeciwległej ścianie. Po chwili dostrzegła mężczyznę, który ją wcześniej zaatakował, rozciągniętego na brzuchu na podłodze obok paleniska. Lulu ścisnęła żelazną szufelkę do kominka, a Chelsea pogrzebacz. Kate nie zamierzała sprawdzać, czy obcy jeszcze oddycha.

Dziewczyna mówiła, że chciał tu znaleźć sejf. Zdumiewające, że skądś się dowiedział o jego istnieniu. A najgłośniejsze w tym wszystkim było to, że niczego w nim nigdy nie przechowywano. No, może czasami Birdie wkładała tam biżuterię, żeby się nie zapodziała, ale zdarzało się to dość rzadko. Kate z mężem i dziećmi również nie przywozili na wyspę niczego wartościowego. Co mieliby tutaj trzymać?! Smutne, że ci wszyscy ludzie przytylnie odnaleźli skarb, który nigdy nie istniał. Smutne, że zupełnie bez sensu zmarnowali sobie życie.

Dziewczyny wyglądały na sparaliżowane, chyba bały się ruszyć. Obie wpatrywały się w intruza, jakby w oczekiwaniu, że za chwilę znów się podniesie.

– Już raz wstał – oznajmiła Chelsea. – Chyba nie jest martwy.

– Chelsea przydzwoniła mu w głowę pogrzebaczem – dodała Lulu. – To było niesamowite! Jakby waliła w piłkę na boisku.

Wyglądały na roztrzęsione, były na skraju hysterii.

– Dziewczyny – powiedziała łagodnie Kate. Spojrzały na nią. – Chodźmy stąd.

Chelsea podbiegła do matki, a razem z nią Lulu. Kate przygarnęła obie przyjaciółki i spojrzała na leżącego bezwładnie napastnika. Wyobraziła sobie, że zabiera córce pogrzebacz i wbija go temu bandycie prosto w serce. Był jak wściekły pies, świat bez niego stałby się lepszy. Chyba każdy by chciał tak zrobić, prawda? Zabić człowieka, który zamierzał skrzywdzić jego dziecko? Kate nie miała jednak w sobie tego czegoś, co pozwalałoby zamordować albo zranić człowieka leżącego bez przytomności na ziemi. To pewnie słabość charakteru – Birdie nie zawałałaby się wpakować mu kulkę w łeb, zwłaszcza, że to ona miała rewolwer. Tyle że jeszcze tutaj nie dotarła.

– Już dobrze – powiedziała Kate. – Nic nam nie grozi.

Całe napięcie i panika, którą odczuwała, zniknęły dzięki fizycznej bliskości Chelsea. Ramiona i klatka piersiowa Kate rozluźniły się, jej oddech stał się lżejszy. Myślała teraz wyłącznie o tym, żeby wydostać dzieci ze środka tego koszmaru, w którym się znalazły. Za chwilę właśnie tak się stanie. Za chwilę wsiądą do łodzi i uda się jej stąd wszystkich zabrać. Pociągnęła dziewczyny za sobą.

Kiedy wyszły z noclegowni, dostrzegły za drzewami jęzory ognia. Woń dymu była silna, wiatr z południa niósł ją w ich kierunku. Zatrzymały się, patrząc w zdumieniu na pożar. Kate usłyszała, że Chelsea znów płacze. Obok nich pojawiła się Birdie, która nie odezwała się ani słowem.

– O Boże! – krzyknęła Lulu. – Pali się!

Kate zdawało się, że kiedyś to już przeżyła, że widziała wcześniej płomienie wznoszące się wśród drzew i słyszała płacz dziewcząt, że czuła, jak Birdie opiera się o jej ramię.

Wiedziała, że nie czas teraz na łzy. Była zaskoczona, że nie odczuwa żalu z powodu utraty domu ani niczego, co się w nim znajdowało. Wszystko, na czym jej zależało, miała teraz przy sobie albo, na szczęście, znajdowało się to w bezpiecznym miejscu. Stwierdziła, że nie obchodzi jej fakt, że cała wyspa zmieni się w pogorzelnisko, byleby tylko udało im się wcześniej bez problemu stąd wydostać.

Birdie domyśliła się, że płonie główny budynek. Chociaż deszcz osłabił i zmienił się w niemal niewyczuwalną mżawkę, drzewa na wyspie były przesiąknięte wilgocią, więc może dzięki temu uda się powstrzymać żywioł. Kiedy była mała, razem z rodziną widziała ogień szalejący na sąsiedniej wyspie. Gdy płomienie dogasły, drzewa były już tylko czarnymi liniami odcinającymi się na tle nieba. Budynek był zniszczony, pozostał po nim jedynie zwęglony szkielet. Właśnie tego zawsze obawiała się najbardziej: wybuchu pożaru na Heart Island.

Miała przeczucie, że kiedyś Joemu uda się odebrać jej nawet tę wyspę. Obserwując ogień widoczny za drzewami, doszła do wniosku, że właściwie mogła to przewidzieć. Trzy młodsze kobiety stały w miejscu, łuna pożaru odbijała się w ich oczach. Birdie poczuła *déjà vu* – pamiętała tę scenę: trzy osoby wpatrujące się z przerażeniem w dal.

To chyba Caroline wspominała, że już tu kiedyś wybuchł pożar, stara chałupa należąca do stryja matki spłonęła po uderzeniu pioruna. Birdie właściwie nigdy nie słuchała swojej siostry, zawsze jej się wydawało, że mówi ona w innym języku, nieustannie szuka piękna i sensu tam, gdzie jest jedynie szara, zimna rzeczywistość. Caroline spodobałoby się, że wyspa płonie – no, przynajmniej nowy dom zbudowany przez Joego. Nawet Birdie potrafiła znaleźć w tym odrobinę poezji.

– Mamo? – odezwała się Kate. Jej przestraszony głos był pełen napięcia. – Nie możemy tędy wrócić na pomost.

To prawda, nawet jeśli ogień nie dotarł jeszcze do drzew, a mogło już się tak stać, poduszają się od dymu. Pożar mógł również rozprzestrzenić się na tyle, że odciął im ścieżkę na pomost, a to również wykluczało tę drogę ucieczki.

– Nie możemy – potwierdziła Birdie. – Musicie opłynąć wyspę dookoła.

Kate spojrzała w ciemność. Na twarzy córki Birdie dostrzegła obawę, która zawsze się pojawiała, kiedy Kate spoglądała na wodę. Tym razem jednak w jej rysach pojawiła się determinacja, której Birdie nie podejrzewała u swojego dziecka. Może jednak nie różniły się tak bardzo od siebie? Kate miała urodę Caroline i była otwarta jak Joe, ale siłą odziedziczyła po Birdie. Dlaczego nie udało się jej tego dostrzec wcześniej?

– Jesteś dzielna – stwierdziła. Dotknęła policzka Kate. – Zabierzesz dzieci na łódź.

Kate uniosła brwi z niepokojem.

– Co zamierzasz zrobić? Przecież płyniesz z nami!

– Nie – odparła Birdie i spojrzała na dom. – Muszę spróbować ugasić pożar.

– Mamo! – wzrok Kate podążył za spojrzeniem Birdie. Pożar wyglądał na tyle groźnie, że nikt normalny nie zdecydowałby się pójść w tamtą stronę. Ogień zawsze zmuszał człowieka do ucieczki. – Nie rób tego!

– Proszę. – Birdie nieco zaskoczyło westchnienie, które wyrwało się z jej piersi, ale udało się jej powstrzymać szloch. – Nie mam nic więcej. Tylko to miejsce.

– Masz nas, babciu – powiedziała Chelsea. – Masz rodzinę.

Wyraz twarzy wnuczki, oszołomiony i pełen smutku, niemal skłonił Birdie do zmiany planów. Lulu szła już w stronę brzegu. Ta dziewczyna przynajmniej miała w sobie instynkt przetrwania. Dwie pozostałe gotowe były zginąć, starając się uratować ludzi, którzy wcale nie chcą być uratowani.

– Spotkamy się na łodzi – powiedziała. – Obiecuję. Muszę zobaczyć, czy da się w jakiś sposób uratować dom.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale była pewna, że jej się nie udało. Nieważne, i tak kłamała, nie zamierzała spotykać się z nimi na pomoście. Nie zamierzała też gasić pożaru. Było na to już zbyt późno, widziała to. Co zatem chciała zrobić? Nie miała bladego pojęcia. Wiedziała tylko, że nie może stąd uciekać. Nie w takich okolicznościach.

– Nie rób tego! – powiedziała Kate. W jej głosie pojawił się błagalny ton, którego Birdie chyba nigdy wcześniej nie słyszała. Chciała podać córce rewolwer, ale ta odepchnęła jej dłoń. Kate podała jej także latarkę. – W wodzie na nic nam się nie przydadzą. Zaryzykujemy. Jeśli nie uda nam się dotrzeć do łodzi, popłyniemy na Cross Island.

Woda była lodowata. Musiały popłynąć szybko i energicznie, a Kate nigdy nie odznaczała się wytrzymałością. Teraz na dodatek była poważnie ranna.

– Kluczyk jest w stacyjce – powiedziała Birdie. – Musicie się pospieszyć.

Kate znów rzuciła to charakterystyczne spojrzenie, zarezerwowane wyłącznie dla niej – Birdie była o tym przekonana. Jej mina wyrażała gniew, smutek i konsternację, jakby motywów postępowania matki za żadne skarby nie dawało się pojąć. Ale to wszystko, Kate nie odezwała się ani słowem, nie zaprotestowała, nie chciała się kłócić. Nauczyła się już dawno temu – nie miała zresztą innego wyjścia – że z Birdie nie można dyskutować, jeśli podejmie już decyzję.

Kate pociągnęła Chelsea w kierunku wody.

– Babciu! – krzyknęła dziewczyna.

– Chelsea, musimy już iść.

– Nie możemy jej tak po prostu zostawić!

Birdie poczuła, że jej serce ściska żal, ale nie słyszała już odpowiedzi córki; uspokajający i rzeczowy ton jej głosu świadczył, że musiała pocieszać Chelsea. Ona zmierzała już w przeciwnym kierunku, w stronę domu. Kapitan nie ucieka z pokładu tylko dlatego, że statek idzie na dno. Birdie nie opuści Heart Island ani z powodu pożaru, ani ze względu na włamywaczy, ani z żadnej innej przyczyny. To może być wyłącznie jej decyzja.

Mamo... – powiedziała błagalnie Chelsea. – Proszę, zabierzmy ją stąd.

Kate pozbyła się kurtki i butów, a potem zdjęła córce bluzę. Grube warstwy zewnętrznej odzieży ściągnęłyby je na dno. Chelsea łkała. Kate nie mogła tego znieść, czuła wręcz fizyczny ból.

– Nie możemy, kochanie. – Położyła ręce na ramionach dziewczyny. – Jeszcze nie teraz. Kiedy już obie będziecie bezpieczne, wrócę po nią. Przrzekam.

Jak wytłumaczyć córce, że jeśli miałyby wybierać, kogo należy uratować, dzieci zawsze znalazłyby się na pierwszym miejscu, nawet przed Seanem, nawet przed nią samą? Tylko inna matka była w stanie do zrozumieć. Nie zamierzała ryzykować życiem dla Birdie – nie może tego zrobić, dopóki Chelsea nie znajdzie się w bezpiecznym miejscu.

Kate była potrzebna swoim dzieciom. Matce najwidoczniej nie.

– Ona zginie!

Chelsea mówiła takim tonem, kiedy była małą dziewczynką. Jej smutek był wtedy absolutny, pełen rozpacz i zarazem niewinny. Kate pomyślała o zdarzeniu sprzed wielu lat, kiedy jej córka znalazła martwą rybę z brzegu i zaniosła ją do oceanu.

– Zwracam ją Wszechświatowi – oświadczyła, uroczo przedrzeźniając słowa, które kiedyś usłyszała od matki. Wyprostowała się z przynębną miną. – Nie lubię, gdy umiera jakieś stworzenie.

– Nie – powiedziała teraz Kate. Nie chciała w to uwierzyć. Powoli wchodziła do lodowatej wody, ciągnąc za sobą Chelsea. – Birdie nie zginie. Nie ma niczego ani nikogo silniejszego niż ona.

– Chelsea, daj spokój! – zawołała Lulu. Łkała i trzęsła się z zimna. Złapała koleżankę, która wciąż oglądała się za Birdie, i pomogła wprowadzić ją do wody. – Ona chce zostać na tej wyspie! Pozwól jej tak zrobić.

W końcu Chelsea przestała się opierać i dobrowolnie ruszyła za nimi. Lulu wrzasnęła, gdy wskoczyła do wody. Kate także poczuła wstrząs, kiedy zimna woda dotknęła jej skóry. Starła się nie myśleć o tym, że ciemność dookoła niej zdaje się rozciągać w nieskończoność. Wiedziała, że nie należy zastanawiać się nad bezmiarem tej czerni, nad jej ciężarem, nad tym, że może łatwo pochłonąć człowieka. Wyrzuciła takie myśli z głowy.

– Płyncie tak szybko i energicznie, jak tylko potrafcie – powiedziała. – Nie oglądajcie się na mnie. Będę tuż za wami. Jeżeli pomost będzie się palić albo jeżeli zobaczycie kogoś na wyspie, płyncie na drugą stronę cieśniny.

Najlepiej gdyby udało się dotrzeć do łodzi. Jeśli się nie da, będą musiały popłynąć na Cross Island. Jezioro było niespokojne, ale na szczęście w osłoniętej cieśninie między dwiema wyspami robiło się nieco zaciszniej.

Opiekując się dziećmi, Kate często dochodziła do wniosku, że wszystko, czego się obawiała i wszystkie wady, które mogła mieć, w pewnym momencie przestawały mieć znaczenie. Jako matka była tym, kim musiała być i robiła to, co należało zrobić, aby pokonać kryzys – czy to mały, czy duży. Teraz adrenalina zagłuszała ból i zapewniała kontrolę nad jej ciałem. Kate właściwie nie czuła, że rzucają nią fale i że połyka duże ilości wody, kiedy uderza w nią kolejny przybój. Nie zwracała też uwagi na potworne zmęczenie rąk i nóg. Poruszała nimi ze wszystkich sił, obserwując unoszące się nad wodzie głowy obu dziewczyn. Woda miała chyba jakieś piętnaście stopni. Żeby zaczęła spadać temperatura ciała, wystarczy pewnie nieco ponad dziesięć minut.

Widziała płomienie, które sięgały już powyżej czubków drzew. Poczuła przyływ obezwładniającego strachu i smutku. Pomarańczowy blask ognia odbijał się w czarnej wodzie. Biały księżyc stał wysoko na niebie, pokrywa chmur powoli znikająca, widać było migotanie miliona obojętnych gwiazd. Starła się nie odrywać wzroku od Chelsea i Lulu. Pomost nie znajdował się daleko, już go widziała. Był pusty, pożar tam nie dotarł. Łódź z przykrytą kabiną kołysała się na falach i uderzała o pomost. Kate niemal krzyknęła z radości, gdy ją dostrzegła.

Właśnie wtedy Lulu zaczęła słabnąć. Kate dostrzegła, że głowa dziewczyny chowa się pod wodą, potem ponownie ukazuje na powierzchni, a po chwili znowu znika.

– Mamo! – dobiegł do niej słaby, spanikowany głos Chelsea.

Czysta adrenalina pozwoliła Kate niemal dwukrotnie przyspieszyć, dzięki czemu wkrótce dogoniła córkę. Chelsea starała się podtrzymać Lulu, która przestała się ruszać. Wprawdzie nie straciła przytomności, ale patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem. Kaszlała i pluła wodą.

– Nie poddawaj się, Lulu! – powiedziała Kate. – Już prawie jesteśmy na miejscu.

Chwyliła dziewczynę, obróciła ją i przytrzymała ramieniem za szyję, starając się w miarę możliwości utrzymać twarz Lulu nad powierzchnią wody.

– Płyn! – krzyknęła do Chelsea. – Płyn!

Życie wcale nie jest takie cenne, pomyślała Birdie, patrząc, jak płomienie pożerają od środka jej dom. Wszyscy byli przekonani, że jest inaczej. Może wydawało się ważne dla ludzi takich jak Caroline, która miała słabość do magicznego myślenia i sądziła, że każda chwila jest prawdziwym podarunkiem, wszyscy jesteśmy częścią jakiejś wielkiej duchowej sieci, a nasze działania mają wpływ na wszystkie pozostałe osoby, które do niej należą. Dla Birdie świat był twardy jak kamień. Nie istniało nic ponad to, co widać. I szczerze wierzyła, że gdy nadchodził czas, aby odejść, dalej nie było już nic. Żadnego niebiańskiego światła, żadnej „drugiej strony”. Koniec i tyle. Co w tym niby złego? Kto udowodni, że jest inaczej? Kiedy mówiła to ludziom, zwłaszcza mężowi, patrzyli na nią ze zdziwieniem, jakby nigdy im coś takiego nie przyszło do głowy.

Podciągnęła kołnierzyk golfu powyżej nosa, ale nawet wtedy czuła w gardle gryzący dym. Właściwie to nigdy nie lubiła tego nowego domu. Należał do Joego, był pomnikiem jego gigantycznego egoizmu. Dobrze, że się spali, ten pożar to bezpośrednia konsekwencja jego ugania się za spódniczkami, jego rozlicznych miłości.

Obok studni wisiały wiadra pożarowe, a ręczna pompa działała nawet wówczas, gdy generator był wyłączony. We wszystkich pomieszczeniach w budynku zamontowano gaśnice. Oczywiście mogły się przydać, jeśli ktoś znajdował się wewnątrz domu w momencie wybuchu pożaru, a do tego potrafił zachować zimną krew i szybko zareagować. Nawet gdyby Birdie pobiegła do pompy i wróciła z dwoma wiadrami, bo tyle była w stanie udźwignąć, niewiele by to pomogło.

Birdie dostrzegła światła nadpływającej policyjnej motorówki. Pewnie ze względu na pogodę zajęło im to aż tyle czasu. Deszcz ustał, ale jezioro było wzburzone, wiał silny wiatr. Można było przez radio poprosić o pomoc strażaków, ale przyplłynęliby zbyt późno, by dało się uratować dom. Może inne budynki uda się jeszcze ocalić.

Wbiegła po schodach na frontową werandę. Album ze zdjęciami, ostatnia pamiątka z dzieciństwa Birdie, zawierający jedyne egzemplarze fotografii jej rodziców i rodzeństwa, leżał wciąż na stole w jadalni. Gene i Birdie nie rozmawiali ze sobą od ponad dziesięciu lat. Brat był dla niej martwy, podobnie jak ona dla niego. I nawet jeśli małżeństwo jej rodziców było wyłącznie fikcją, nie chciała stracić ostatniej pozostałości po dawnych czasach.

Zewnętrzne drzwi były gorące, jednak Birdie udało się je otworzyć i wejść do środka. Płomienie pięły się po draperiach na przeciwległej ścianie i dochodziły już do podestu poddasza. Konstrukcja budynku trzeszczała, ramy obrazów pękały i wypadały pod wpływem temperatury. Birdie dostrzegła album na stole. A po chwili także dziewczynę leżącą na podłodze.

Chwyliła album i przycisnęła go do piersi. Oczywiście Birdie łzały, rozkaszała się pod wpływem dymu. Wiedziała, że nie ma zbyt dużo czasu

i bardzo szybko może się tu udusić. Portret wiszący nad kominkiem, przedstawiający Joego i Birdie na pomoście, młodszych, w wymuszonych pozach, zaczął płonąć.

– Kocham je obie – żalił się jej mąż wiele lat temu. – Martha jest kobietą, prawdziwą kobietą. W jej żyłach płynie krew, śmieje się, płacze, nie sztywnieje, gdy poczuje moje dotknięcie. Chryste, Birdie, chciałem cię kochać w taki sposób!

Nienawidziła go wtedy serdecznie. Każda chwila uniesienia, którą wspólnie przeżyli – a chyba były takie chwile? – stała się tylko odległym wspomnieniem. Birdie nie pamiętała już, na czym polega pożądanie wobec tego człowieka. Z całego serca pragnęła, żeby od niej odszedł i nigdy nie wracał. Jednak nie mogła na to pozwolić. Nie zamierzała przeżywać wstydu ani upokorzenia. Sama myśl o tym, że Joe porzuciłby ją dla ekspedientki, osoby zatrudnionej w butik, była nie do zniesienia.

– A kim ty właściwie jesteś, pieprzoną arystokratką? – krzyczał Joe. – Skąd niby pochodzisz?

Pochodziła ze znacznie bogatszej i lepszej rodziny niż on. Cały majątek należał do Birdie, to ona dysponowała naprawdę dużymi pieniędzmi uzyskanymi dzięki inwestycjom w nieruchomości podejmowanymi przez ojca. Nawet po dokonaniu podziału między Birdie, Gene'a i Caroline zostały jej miliony dolarów, choć nie wiedziała o istnieniu tych pieniędzy, kiedy byli jeszcze dziećmi.

Ojciec był mądrym człowiekiem i nigdy nie lubił Joego Burke'a. Zażądał, żeby Birdie zabezpieczyła swój spadek w umowie przedmałżeńskiej, co było wtedy jeszcze bardzo rzadko spotykanym krokiem. Wówczas tego nie rozumiała, ale zawsze robiła to, co kazał ojciec. W każdym razie gdyby Joe ją porzucił, w ogóle nie dostałby jej pieniędzy. Ani centa. Jasne, sam także nieźle zarabiał, jednak nie byłoby go już stać na penthouse na Manhattanie i jacht zakotwiczony na Long Island, skończyłyby się wyjazdy na narty do Szwajcarii. Koniec takich przyjemności! Dotyczyło to także wyspy, której tak naprawdę nigdy nie lubił, ale za to zawsze chętnie powtarzał: „A tak, mamy wyspę na jeziorze”. Kiedy zaczęli o tym dyskutować, okazało się, że nie potrafił z tego wszystkiego zrezygnować, nawet w imię „prawdziwej miłości”.

Dym gęstniał, Birdie kasłała coraz mocniej. Żar był ogromny, dom powoli zmieniał się we wnętrze pieca. Birdie spociła się jak mysz. Poczuła ból w zatokach przemieszczający się ku ciemieniu. Ile jeszcze ma czasu, zanim się udusi? Śmierć podobno przychodziła szybko – na szczęście szybko – i nie była bolesna. Ale nie, Birdie nie pozwoli Joemu tak łatwo się wykpić! Miała szczerzy zamiar go przeżyć. Wyszła na zewnątrz i rzuciła album. Słyszała, jak upada na ziemię z głuchym stukiem. Po chwili ponownie weszła do domu.

Chwyliła Emily za ręce. Była drobniutka, ale wydawało się, że waży tonę. Birdie musiała wyężyć wszystkie siły, żeby wydostać ją z pomieszczenia. Nie oglądała się już na płonącą budowlę, nie przejmowała ubraniami, meblami, a nawet biżuterią leżącą na nocnym stoliku. Zwlekła nieprzytomną dziewczynę po schodach i zaczęła ją ciągnąć po kamieniach. Na pewno będzie podrapana, to zejście nie było zbyt łagodne ani łatwe, Birdie nie miała jednak siły zrobić nic więcej. Taszczyła Emily w dół, coraz niżej, jak najdalej od domu, aż w końcu dotarła do dużych gładkich kamieni nad brzegiem, gdzie ją ułożyła. Dziewczyna jęknęła.

Nie, życie wcale nie było czymś cennym. Czasami jednak stanowiło karę, na którą się zasługiwało.

John Cross nie był pewien, co wyrwało go ze snu. Chyba jakiś trzask. Leżał przez chwilę, wsłuchując się w ciemność, jednak niczego nie usłyszał. Znów zaczynał zasypiać, gdy dostrzegł na zewnątrz dziwną pomarańczową łunę. Niepewnym krokiem zbiegł po schodach i podszedł do panoramicznego okna. Na Heart Island płonął dom. Początkowo John nie wierzył własnym oczom. Po chwili, jakby popchnęła go jakaś niewidzialna dłoń, wybiegł z domu i stanął na pomoście.

Po prawej stronie widział nadpływające powoli łodzie służb ratunkowych. Ich błyskające światła kołysały się na wzburzonej wodzie. Na Heart Island płomienie poruszały się niczym wysocy, gibcy tancerze, wznosząc się ku niebu. John stał na krawędzi pomostu sparaliżowany paniką, serce łomotało mu w piersi. Co powinien teraz zrobić? Co w ogóle może zrobić?!

Usłyszał jakieś głosy, ktoś krzyczał, czyżby wzywał pomocy? Bez zastanowienia rzucił się do odwiązywania cum. Nie miał doświadczenia w pływaniu na tak wzburzonych wodach, ale przecież nie mógł tak stać i się gapić, skoro ktoś miał kłopoty. Potoczył wzrokiem po powierzchni jeziora i dostrzegł płynące postaci. Echo ich krzyków dochodziło do niego w ciemności. Wiatr nieco ustał, ale woda była niespokojna. I lodowata. Nikt nie mógł w niej przebywać zbyt długo.

U uruchomił silnik swojej łodzi i wycofał ją z miejsca, dwukrotnie uderzając o pomost. Zwiększył obroty silnika, żeby nabrał mocy wystarczającej do odpłynięcia. Skierował reflektor na wodę. Dostrzegł dwie głowy unoszące się nad falami. Pływacy wyraźnie osłabli.

Powoli popłynął w ich kierunku. Łódź kołysała się i trzęsła. Cross poczuł falę nudności, ale udało mu się powstrzymać wymioty. Nie był przygotowany do udzielenia pomocy. Jak jednocześnie stać za sterami i wciągać tych ludzi na pokład, kimkolwiek są? W taką pogodę nie da się tu rzucić kotwicy, woda dostałaby się do środka i zatopiła łódź. Kiedy się zbliżył, zauważył, że jedna z osób rozpaczliwie macha ręką. Podpłynął jeszcze kawałek i dostrzegł, że to kobieta. Z zaskakującą dla niego samego zręcznością rzucił jej koło ratunkowe i przywiązał linkę do jednej z knag. Opuścił z boku drabinkę i rzucił się ponownie do sterów, żeby wyprostować łódź, która zaczęła odpływać od topielców. Obrócił ją. Widział, jak jedna z osób łapie koło, a potem chwyta drugą i obie zaczynają zbliżać się do burty.

Na pokład pierwsza wdrapała się dziewczyna, bardzo młoda i bardzo przerażona. Jej włosy były zlepione w strąki, mokre ubranie przyklejało się do jej szczupłego ciała.

– Lulu, moja przyjaciółka, tonie! – zawołała piskliwym, spanikowanym głosem. – Nie możemy jej wyciągnąć!

– Dasz radę przejąć stery?

– Tak – odparła.

– Spróbuj utrzymać łódź w miejscu.

Chwyła kierownicę z pewnością siebie nietypową dla osoby w jej wieku. John zszedł po drabince i dostrzegł Kate Burke, która usiłowała utrzymać nad powierzchnią wody głowę nieprzytomnej dziewczyny. Wszedł do wody, jedną ręką trzymając się drabinki, po czym złapał dziewczynę i wciągnął ją na pokład. Działał wyłącznie pod wpływem adrenaliny, w ogóle się nie zastanawiał, kiedy przenosił bezwładne ciało nad burty. Na szczęście nie było ciężkie. Gdyby wczoraj ktoś go zapytał, czy jest zdolny do czegoś takiego, zaprzeczyłby.

Pomógł także wejść Kate, która od razu ukłękła przy Lulu.

– Mamo! – krzyknęła nastolatka stojąca za sterami. – Nic jej nie jest?!

Kate zaczęła rytmicznie uciskać klatkę piersiową Lulu. John przyglądał się oszołomiony, jak Kate wykonuje zabiegi resuscytacyjne. Podszedł do zapłakanej dziewczynki i odciągnął ją od koła sterowego. Opadła na kolana obok swojej koleżanki.

– Lulu... – powiedziała. – Proszę!

John skierował łódź ku ratunkowej motorówce, którą wcześniej zauważył. Gdy zbliżał się do Heart Island, usłyszał charkot i kaszel dziewczyny leżącej na dnem łodzi. Kate i jej córka wydały okrzyk pełen ulgi i radości. John Cross zauważył, że drżą mu ręce. Jego serce pracowało jak silnik odrzutowy.

W niebo wznosiły się ogromne jęzory ognia. Był to najpiękniejszy i zarazem najstraszliwszy obraz, jaki zdarzyło mu się widzieć.

Birdie z trudem łapała oddech. Dziewczyna leżąca obok niej poruszyła się.

– Spaliłaś mój dom.

Emily nie odezwała się, nie wydała żadnego dźwięku. Birdie stwierdziła, że nie potrafi zdobyć się na prawdziwy gniew. Czula się pusta i zobojeźniała, jakby to wszystko przydarzyło się komuś innemu, jakiejś innej Birdie, w jakimś innym życiu.

I wtedy go dostrzegła. Stał tak jak wówczas, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Kim był? Czego tutaj chciał? Czy to jeden z duchów, o których opowiadała Caroline? To duch Richarda Camerona, który przyszedł straszyć Birdie. Jeśli umarł tamtego lata, kiedy widziała, jak całował jej matkę, to może była w pewien sposób odpowiedzialna za jego śmierć? Czy Cameron popełnił samobójstwo? A może to ojciec go zabił? Albo mama? Właśnie dlatego, że Birdie tej nocy odkryła ich romans? Nie, to tylko rozgorączkowana wyobraźnia podsuwa takie pomysły.

– Kto tam jest? – krzyknęła. – Czego chcesz?!

Wyjęła rewolwer zza paska i skierowała na obcego. Co za głupota, stara kobieta celuje w ducha, podczas gdy jej wyspa płonie. Ręce Birdie drżały. Gdyby była rozsądna, wskoczyłaby do wody i odpłynęła jak Kate i dziewczęta. Gdyby była rozsądna, zrobiłaby to już wtedy, razem z nimi. Czula jednak straszny ból i ogromne zmęczenie. Pomyślała: „Nie, po prostu tu usiądę i zobaczę, co się stanie”.

Dziewczyna pojękiwała, a cień ruszył w ich stronę. Zachowywał się jak żywy człowiek. To nie była zjawą.

Birdie usłyszała zbliżające się głosy. Ludzie krzyczeli, ktoś chyba wydawał komuś polecenia, ale mężczyzna nie zwracał na to uwagi. Podchodził coraz bliżej.

– Cofnij się – powiedziała Birdie. – Nie ruszaj się.

Kiedy wreszcie zobaczyła jego twarz, zrozumiała, że to wcale nie nieszczęsny Richard Cameron ani inny duch nawiedzający Heart Island, przynajmniej nie tym razem. Domyśliła się, że to mężczyzna, który ścigał Emily; ten, który szukał pieniędzy. W żadnym razie nie pragnął uzyskać zadośćuczynienia za jakieś urazy sprzed lat. Czego zatem chciał? Jeśli chodzi o pieniądze, o których mówiła Emily, to Birdie nie miała pojęcia, gdzie one są. Zamierzał zabrać dziewczynę? Do czego mu mogła być teraz potrzebna? W sejfie, który usiłował znaleźć, niczego nie było. Sejf był pusty, jak zawsze. Cały ten koszmar spowodowali ludzie, którzy potrafili tylko rabować, kraść, zabijać się nawzajem oraz podpałać, co się da. Birdie była wściekła, potwornie wściekła. Pozwoliła, by gniew wypełnił ją całkowicie, i dzięki temu udało się jej podnieść z ziemi.

– Mam broń – oświadczyła. Mimo wściekłości potrafiła wykrztusić tylko tyle.

Wiek temu jej ojciec nauczył ją, Caroline i Gene'a używać broni palnej. Stawiali wtedy rząd butelek na kamieniach i strzelali do nich z daleka. Birdie uwielbiała ten głośny huk, lubiła zapach kordytu drażniący nozdrza. Gene był beznadziejnym strzelcem, zawsze nerwowo reagował na odgłos wystrzału i odrzut. Za to siostry, kiedy już rozumiały, na czym ta zabawa polega, pudłowały bardzo rzadko. Birdie uwielbiała widok roztrzaskującego się na drobne kawałki szkła.

– Nie mam żadnych pieniędzy! – powiedziała. – Ani ja, ani ta durna dziewczyna.

Obcy zatrzymał się na chwilę.

– Gdzie one są? – zapytał. Jego głos przypominał warczenie psa.

– A skąd mam to wiedzieć? – odparła Birdie.

– Ja je mam – odezwała się Emily. – Tutaj. – Wskazała torbę, którą miała przymocowaną do paska. Birdie nie zauważyła jej, kiedy zabierała dziewczynę z płonącego domu. Emily uniosła klapkę i odnalazła płócienną kopertę. Wyjęła ją i rzuciła nieznanemu.

– Ile tam jest? – krzyknęła Birdie. – Czy to było warte tego wszystkiego?!

Sądziła, że mężczyzna weźmie pieniądze i zostawi ją i Emily w spokoju, że będzie chciał uciec. Każdy by przecież tak zrobił. On jednak nie podniósł koperty, wciąż zbliżał się w ich kierunku. Birdie wykrzyknęła kolejne ostrzeżenie, bez skutku. Uniosła rewolwer i wyceLOWAŁA w środek postaci. Obcy był coraz bliżej, wcale nie zamierzał się zatrzymać. Birdie nacisnęła spust.

Roger Murphy usłyszał odgłos wystrzałów. Echo tego dźwięku rozniosło się nad wodami zatoki. Roger z trudem wspinał się po skałach. Oddychał ciężko i starał się nie zignorować kółki, której klucie poczuł w boku. Nie lubił przypominać sobie, jak bardzo przestał o siebie dbać.

Dziewczyna Burke'ów – no, w zasadzie już nie dziewczyna – krzychała do niego z łodzi Crossa, że jej matka została na wyspie. Dla Rogera Kate wciąż była dzieckiem, znał ją przecież od urodzenia. Pamiętał też jej matkę, kiedy była młoda. Teraz Kate Burke sama została matką, a Birdie – starą kobietą. Wszystko się zmieniło, z wyjątkiem wysp, które były ciągle takie jak zawsze. Z jedną różnicą: bogaci ludzie zbudowali na nich swoje wielkie domy.

Miejscowi zawsze czuli pewną niechęć w stosunku do majątnych ludzi, którzy wykupywali wyspy. W czasach młodości Rogera wyspy należały do wszystkich, którzy na nie przyjeżdżali. Można było wziąć swoją starą, zniszczoną łódkę i wybrać jedno z wielu miejsc na piknik albo biwak, można było rozbić namiot. Teraz zostałyby to uznane za wkroczenie na prywatny teren.

Roger jednak zawsze się cieszył, kiedy w miasteczku pojawiali się wakacyjni goście. Widział, jak przybywają wczesnym latem, bladzi, zmęczeni. Parę miesięcy później wyjeżdżali opaleni i uśmiechnięci. Współczuł im, że muszą wracać do domu. Wiedział, że oni z kolei współczują jemu, że musi tu zostać.

Córki Heartów były nietykalne, pochodziły z innego świata. Mimo to lubił im się przypatrywać. Znów przypomniała mu się plotka, że Lana Heart zdradzała męża z Richardem Cameronem. Roger przeczytał jego książki i współczuł każdej kobiecie, która okazała się na tyle głupia, żeby z kimś takim się związać. Kobiety w jego powieściach to dziwki albo morderczynie. Wpadały w obłąd, umierały gwałtowną śmiercią, bito je i gwałcono. Cameron był dziwaczną, nieco upiorną postacią, nigdy się nie uśmiechał. Przyjeżdżał zawsze wczesnym latem, odjeżdżał, zanim nastąpiły chłody, aż któregoś roku pozostał tu na zawsze.

Rozległy się trzy kolejne wystrzały. Radio Rogera zatrzeszczało na jego biodrze. Usłyszał głos komendanta.

– Znaleźliśmy ciało na północno-zachodnim brzegu wyspy. Skradziona łódź „Szczęśliwy traf” jest zniszczona, zalana wodą.

Roger przesuwał się między drzewami. Dostrzegł dwie postaci leżące na ziemi i jedną siedzącą przy brzegu. Wyciągnął broń.

– Policja! – zawołał. – Nie ruszać się!

Zdaniem żony Roger miał tubalny głos. W tym momencie nie odniósł takiego wrażenia, jego okrzyk rozproszył się w ciemności. Mimo to siedząca osoba uniosła wysoko ręce.

– Trochę się spóźniłeś.

Roger rozpoznał ten głos.

– Birdie Burke? To ty?

– A niby kto? Patrz pod nogi. Chyba właśnie zabiłam ducha.

Roger spojrział na dogorywającego człowieka – postawnego, długowłosego mężczyznę. Ranny miał posiniaczoną twarz i kłatkę piersiową podziurawioną pociskami. Wydawał przerażające, bulgoczące dźwięki. Roger już je kiedyś słyszał: to odgłos śmierci, rżenie konającego. W blasku księżycy widać było czarny, mokry korpus. Roger słyszał kiedyś, że siostry Burke potrafiły niezłe strzelać. Ukłękł obok rannego, a wtedy nierówny oddech mężczyzny ustał. Roger przyłożył dłoń do jego szyi. Nie wyczuł pulsu, ciało było już zimne.

– Kto jeszcze jest z tobą? – spytał.

– Dziewczyna. Jedna z obcych.

Roger spróbował zorientować się w sytuacji. Zwykle w wypadku interwencji na wyspach chodziło o naćpane nastolatki uprawiające seks na plaży albo o włóczęgę, który zamieszkał w jednym z domów. Dziś mieli pożar i trupy. I to na Heart Island, którą zawsze uważał za tak sielankowe miejsce. Nie była największą wyspą na jeziorze, ale z jakiegoś powodu wydawała się najpiękniejsza.

– To nie duch? – spytała Birdie. – Ten człowiek jest prawdziwy?

Dziwne pytania. Roger uznał, że Birdie może być w szoku.

– Moim zdaniem całkiem prawdziwy.

Podszedł do niej. Nie wyglądała najlepiej, postarzała się od wczoraj. Wiatr przyniósł w ich stronę dym i Roger zaczął kaszleć.

– Pora stąd odpłynąć, pani Burke – powiedział i schylił się, żeby pomóc jej wstać. – Straż pożarna już jest w drodze. – Dziewczyna leżąca obok Birdie miała otwarte oczy, ale pustym wzrokiem wpatrywała się w niebo. – Czy ona może chodzić?

– Nie mam zielonego pojęcia – odpowiedziała Birdie. – Wyciągnęłam ją z domu i przytargałam aż tutaj. Sam ją spytaj.

Głośny huk ognia wypełniał ciemność. Trzaski i odgłosy pękania, jęki wydawane co jakiś czas przez płonący budynek brzmiały upiornie i osobliwie. Między drzewami i domem było sporo pustej przestrzeni, więc pożar trawił jedynie dom. Jeśli jednak statek pożarniczy nie dotrze tu szybko, strażacy zastaną całkowite zgłiszczą.

Roger chciał wezwać policyjną motorówkę, kiedy pojawił się John Cross. Sąsiad Birdie stał samotnie na swojej niewielkiej łodzi z przyczepnym silnikiem. Podpłynął tak blisko brzegu, jak to było możliwe. Wskoczył z liną w rękę i rozpryskując wodę, dotarł na ląd.

– Niech pani Burke wsiądzie pierwsza – powiedział Roger.

– Nigdzie się nie wybieram – oświadczyła Birdie upartym, nieznoszącym sprzeciwu tonem. Dygotała jednak mocno i z trudem powstrzymywała się od płaczu. Rogera ogarnęło współczucie, choć nigdy nie przypuszczał, że będzie współczuć komuś takiemu jak Birdie Burke. Jednak teraz stała obok niego stara, samotna kobieta, człowiek jak każdy inny.

– Owszem, wybierasz się. – Roger delikatnie popchnął Birdie w kierunku Crossa, który uniosł ją jak dziecko i ruszył do swojej łodzi.

– Proszę mnie natychmiast odstawić na ziemię, młody człowieku! – Pełen oburzenia okrzyk Birdie wzniósł się ponad inne odgłosy.

Roger spojrzął na kobietę leżącą u jego stóp. To niby miała być ta poszukiwana? Ta drobna, bezbronna dziewczyna? Miała otwarte oczy, ale patrzyła niewidzącym wzrokiem. Zniosła się paskudnym, suchym kaszlem, próbując oczyścić płuca z dymu. Po chwili obróciła się na bok i zaczęła szlochać. Roger popatrzył na nią z czułością, trochę tak, jak mógłby spojrzeć na ranne zwierzę.

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że dziewczyna nosi takie samo nazwisko jak rodzina, do której należy ta wyspa. Czyli w tej historii są jeszcze jakieś tajemnice... Miał wątpliwości, czy użyć kajdanek. Nie było zbyt bezpiecznie przewozić skutą osobę w małej łodzi. Emily nie wyglądała na groźnego przestępcę. Cóż, z drugiej strony, na wyspie były dwa trupy i płonął dom, więc to ona musiała teraz za to wszystko odpowiedzialność. Zamknął delikatnie bransolety kajdanek na przegubach dziewczyny i z pomocą Johna wsadził ją do łodzi.

– Nie ma już nic – powiedziała, gdy odpływali. – Zupełnie nic.

Roger Murphy usłyszał w jej głosie rozpacz i brak nadziei. Echo jej słów towarzyszyło mu jeszcze przez jakiś czas.

Birdie nie miała innego wyjścia, musiała patrzeć, jak płonie jej wyspa. Siedziały we trójkę w policyjnej łodzi, owinięte grubymi szarymi kocami, obserwując płomienie szalejące wokół głównego budynku. Najwyraźniej wielkie pióropusze wody strzelające ze statku strażackiego nie odnosiły skutku. Kiedy wydawało się, że przynajmniej część pożaru została ugaszona, ogień ożywał w innym miejscu.

Nigdy dotąd nie czuła się tak bezsilna. Trzymała kurczowo Kate za rękę. Chelsea położyła głowę na kolanach swojej matki. Słychać było jej cichy płacz, łkała od momentu, gdy Lulu została odwieziona łodzią do czekającego na nią ambulansu. Chelsea i Kate miały wkrótce do niej dołączyć.

Birdie nie płakała. Limit łez wyczerpała w momencie, gdy opuszczała wyspę. Szukała w sobie jakichś emocji, ale chyba już wszystko w jej wnętrzu zamieniło się w kamień.

– To był on – powiedziała. Nie zamierzała tego wypowiadać na głos, jednak słowa wyrwały się z jej ust. Uznała, że dobrze się stało. Nie mogła pozwolić, żeby ta myśl wciąż kołatała się w jej głowie, doprowadziłoby to ją do szaleństwa.

– Kto? – spytała Kate. Birdie zauważyła, że ona również nie płacze. Wszystko dookoła było zalane pomarańczowym światłem. Okrzyki zaaferowanych ludzi uczestniczących w akcji brzmiały jak odgłosy tajemniczych nocnych ptaków.

– Duch! – oznajmiła Birdie. – To był Richard Cameron.

– Mamo...

– Mówię poważnie. – Birdie spojrzała córce prosto w oczy. – To było ostrzeżenie. Zabrałam mu to, co najbardziej kochał. Teraz jesteśmy kwita.

– Niczego mu nie zabrałaś!

– Czyżby?

Po tych letnich miesiącach, po lecie 1950 roku – kiedy Birdie widziała swoją matkę z Cameronem, a potem znaleziono jego zwłoki – Lana już nigdy nie była taka sama jak wcześniej. Birdie w zasadzie nie potrafiła określić, co się zmieniło. Tak jakby było jej po prostu mniej. Powiedziała o tym Kate.

– Mimo wszystko to ona podjęła decyzję. Wybrała dziadka Jacka i waszą trójkę.

– Ale musiała to zrobić ze względu na mnie, z powodu tego, co wtedy widziałam.

– Nie, mamo – odparła Kate. – Dobrze, że dokonała wyboru. Postępowała źle, zdradzała wszystkich, także i siebie. Richard Cameron był człowiekiem brutalnym, ciągle wpadającym w depresję, a do tego alkoholikiem. Nigdy nie byłaby z nim tak naprawdę szczęśliwa.

Obie milczały przez chwilę.

– Wróciła potem w zimie – dodała Kate. – Myślę, że wtedy zrobiono to twoje zdjęcie z albumu. Chyba ustawili aparat na balustradzie werandy i włączyli samowyzwalacz. Tak to wygląda, prawda? Jakby jeszcze nie byli gotowi na trzask migawki. Nie sądzę, żeby tę fotografię zrobiła jakaś inna osoba.

– Mieliliśmy wtedy taki aparat – stwierdziła Birdie. – Wtedy w ogóle mało kto miał aparat. Ale my mieliśmy.

Kate zaczerpnęła powietrza w płuca i odetchnęła głęboko.

– W pamiętniku babcia zapisała wszystko, co wydarzyło się po tej nocy, kiedy ich przyłapałaś. Przywiozłam go dla ciebie.

– Nie. – Birdie uniosła dłoń. – Nie chcę wiedzieć.

– Muszę ci powiedzieć, co się stało.

– Nie teraz.

– Jeśli nie teraz, to kiedy?

– Być może nigdy – odparła Birdie.

Kate nie odezwała się. Splotła palce dłoni z palcami matki. Birdie mocno ścisnęła jej rękę.

– On wszystko niszczył – powiedziała Birdie. – I to jest jego spuścizna. Konsekwencje niewierności i zdrady. Wszystko płonie.

– Wszystko płonie – zgodziła się Kate. – Ale większość rzeczy da się odbudować.

Siedziały tak jeszcze przez pewien czas. W końcu chyba strażakom krążącym na barce pożarniczej dookoła wyspy udało się osiągnąć jakieś postępy i zapanować nad ogniem.

Chelsea chciała towarzyszyć swojej przyjaciółce, która wciąż musiała być przerażona i na pewno jej potrzebowała. Roger Murphy powiedział, że mogą wsiąść do łodzi, kiedy będą już gotowe, o ile poczekają potem na przystani, żeby odpowiedzieć na pytania policjantów. Zacumowała łódkę z kabiną z drugiej strony pomostu Crossa. Czekala tam, gotowa zabrać wszystkich na stały ląd.

– Zabiorę ją, mamo – powiedziała Kate. – Popłynij z nami. Niczego więcej już tu nie zobaczysz.

– Muszę zostać aż do końca.

– Mamo. – Kate wyciągnęła rękę. – Proszę...

Birdie jednak odwróciła się w stronę ognia, patrząc na płomienie wznoszące się w niebo.

Dlaczego ona zawsze chce być sama? – spytała Chelsea.

Kate patrzyła, jak jej córka spokojnie odwiązuje cumy, mimo że woda rzuca łodzią o pomost. W zachowaniu Chelsea nie było ani śladu strachu. Kiedy Kate spojrzała na czarną taflę jeziora, na płonącej wyspę, doszła do wniosku, że ona również nie odczuwa lęku. Nie boi się podróży łodzią ani otwartych wód, nie boi się także życia bez Heart Island takiej, jaką znała do tej pory.

Kate przypomniała sobie, że kiedyś, kiedy jeszcze Chelsea i Brendan byli małymi dziećmi, Birdie uparła się pozostać na wyspie w czasie największej burzy od dziesięciu lat. Kiedy odpływali, Kate przepełniały różne uczucia: złość, strach i smutek. Dziś potrafiła przyjąć decyzję matki bez emocji. Birdie, której motywacje postępowania zawsze były zagadką, nagle stała się mniej tajemnicza. Była równie zagubiona, jak każdy człowiek, równie głęboko związana ze swoją przeszłością i równie niepewna przyszłości, jak Kate. Ona także usiłowała choćby w nieznanym stopniu zapanować nad chaosem wynikającym z podejmowanych działań i ich konsekwencji.

– Babcia taka już jest.

– Ale tak nie powinno być – odparła Chelsea. – Ona porzuca nas dla tego miejsca.

– To nie takie proste – powiedziała Kate, choć już wiele razy zdarzało jej się odnieść podobne wrażenie.

– Właśnie, że proste.

– Z wiekiem dostrzegasz, że życie nie jest tylko czarne albo białe.

– Zawsze to powtarzasz.

Chelsea płakała w beznamiętny sposób, którego nauczyła się jako nastolatka. Gdy była małą dziewczynką, wybuchała przeraźliwym rykiem, dając upust złości, rozczarowaniu czy bólowi. Kate w pewnym sensie lubiła ten jazgot, bo był on dowodem odwagi, życia i siły ducha. Miała wrażenie, że każdy człowiek w ciągu swojego życia uczył się milczeć, powstrzymywać emocje, zachowywać je dla siebie. Wszystkie intensywne, negatywne uczucia przenikały do codziennego życia w inny, mniej oczywisty sposób. Człowiek zbyt dużo jadł albo pił, zbyt ciężko pracował, czasami prześladował innych, wdawał się w romanse, kradł, zabijał, potem uciekał przed policją.

Odpłynęła od pomostu. Dzięki kursowi żeglarskiemu wiedziała, jakie błędy się zwykle popełnia i jak można je naprawić. Wiedziała, na

czym polega otarcie się o pomost, jak się wycofać i spróbować jeszcze raz. Wiedziała, jak w ostatniej chwili uchronić się od zderzenia z innym statkiem i co należy zrobić, jeśli zderzenia uniknąć się nie da. Opanowała lęk przed różnymi sytuacjami i ich możliwymi konsekwencjami, a dzięki temu mogła bez obawy stanąć za sterami i zmierzyć się z otwartymi wodami. Miała pewność, że jeśli nawet wydarzy się coś złego, w większości przypadków sobie poradzi.

Wielki pożar jest jak egzorcyzm, jak oczyszczający oddech natury. W świecie przyrody pożary niszczyły stare i gnijące rośliny, umożliwiając regenerację, zakorzenienie się nowych nasion i wzrost. Bez ognia drzewa nie mogły się rozmnażać, ściółka uniemożliwiała kiełkowanie nowych roślin. Ogień niszczy jedynie wznoszone przez ludzi domy, ale je również można odbudować. Ze stratą zawsze wiąże się odnowa, zmiana skóry.

Może właśnie dlatego Kate nie potrafiła się rozpłakać, czuła jedynie podświadomy smutek. Być może to z powodu szoku, może załamanie przyjdzie później. Rozpacz i wspomnienie strachu związanego z ucieczką przed drapieżcą, płynięciem w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca i próbami uratowania Lulu przed zatonięciem – może to wszystko wróci jednocześnie, kiedy Kate znajdzie się na stałym lądzie. Teraz jednak, zmierzając na przystań, myślała tylko o jednym: jeśli istniało na świecie jakieś miejsce, które wymagało egzorcyzmów, była to właśnie ta wyspa.

Świat był dla Emily mglistym, nieostrym miejscem. Leżała w ambulansie z maską na ustach. Na zewnątrz stało dwóch umundurowanych policjantów. Ratownik poprosił ich o rozpięcie Emily kajdanek. Zgodzili się. Może wyczuli jej obojętność. Może wiedzieli, że nie ma dokąd uciec, a gdyby nawet miała, to i tak nie chciałoby jej się nigdzie ruszyć. Słuchała odgłosów rozlegających się na zewnątrz – energicznych kroków, okrzyków, czasami pokasywania albo krótkiego sygnału syreny. Słyszała szum policyjnych krótkofalówek i wylewające się z nich *staccato* słów i liczb. Czowała, że znajduje się w centrum zdarzeń, jakby krążył wokół niej rój pszczół. Ona jednak była jak oko cyklonu – spokojna, pusta, pozbawiona wnętrza.

Agentka FBI, Eliza Griffin, w końcu zniknęła, po zadaniu miliona pytań, na które jakimś cudem Emily udało się odpowiedzieć. Policjantka była niska i ciemnowłosa, skrywała oczy za grubymi okularami, nie przypominała żadnej z osób znanych Emily. Była ucieleśnieniem determinacji i pewności siebie. Na biodrze miała kaburę z bronią, na szyi nosiła odznakę, mówiła jak mężczyzna. „Wyrzuć to z siebie, Emily, opowiedz mi wszystko, od samego początku”. Emily niejasno zdawała sobie sprawę, że powinna poprosić o pomoc adwokata. Ktoś zresztą coś jej powiedział na temat prawa do kontaktu z prawnikiem. A może słyszała to w jakimś filmie? W każdym razie i tak zamierzała powiedzieć prawdę, tak zatem zrobiła.

Kiedy dostrzegła mężczyznę w drzwiach karetki, pomyślała, że to Joe. Miała nadzieję, że przyjdzie i powie, że ta stara kobieta kłamie, że Emily naprawdę jest i zawsze będzie jego córką, i że od tej pory on się wszystkim zajmie. Powinna się teraz przespać, a kiedy się obudzi, wszystko będzie już załatwione. To jednak nie był jej ojciec, tylko ten człowiek, któremu zabrali samochód. Jak on się nazywał? Nie pamiętała. Wydawało się, że było to wieki temu. Czy naprawdę minęło tylko kilka godzin?

– Jak się czujesz, Emily? – spytał mężczyzna.

– W porządku. Przepraszam – dodała. – Bardzo przepraszam za to wszystko.

Jej głos był stłumiony przez maskę tlenową, więc nie była pewna, czy ten człowiek ją rozumie. Słowa nie brzmiały w ogóle jak słowa, były raczej nieskładnym mamrotaniem, jak dźwięki wydawane przez dorosłych w kreskówce o Fistaszkach.

– Emily – odezwał się obcy. Wszedł do ambulansu i usiadł obok niej. Był wysoki i chyba nie było mu zbyt wygodnie, gdy siedział skulony w tym ciasnym pudle. – Jesteś teraz jedyną osobą, którą można postawić przed sądem. Dwaj pozostali sprawcy nie żyją. Potrzebujesz adwokata, rozumiesz? Nic więcej już nie mów FBI.

Dlaczego jej to powiedział? Przecież on też był policjantem, prawda? Może chodzi o jakiś podstęp? Pewnie chciał się zemścić za zrabowanie jego samochodu. A jednak nie wyglądał na faceta zdolnego do czegoś takiego. Jest dobrym człowiekiem, to widać. Pomyślała ponownie o Deanie, który został na ziemi w kałuży krwi. Kiedyś, dawno temu, też uważała go za dobrego człowieka, i może gdzieś w głębi duszy naprawdę nim był. Pomyślała też o ich dziecku, o tym, jak je zdradziła i zawiodła jeszcze na długo przed jego narodzinami. Wtedy zaczęła płakać, strumień łez lał się bez końca. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek uda jej się go zatrzymać.

– Nie znasz mnie – powiedział mężczyzna. – I jestem pewien, że trudno ci teraz komukolwiek zaufać, ale zrobiłaś parę nierozważnych kroków i masz trochę na sumieniu, więc potrzebujesz prawnika. Kogoś, kto cię przeprowadzi przez wszystko, co cię teraz czeka. Kiedy agentka przyjdzie ponownie, powiedz jej, że nie możesz z nią rozmawiać bez adwokata.

Kiwnęła głową, bo nie potrafiła wydobyć głosu ani znaleźć właściwych słów.

– Czy chcesz, żebym kogoś powiadomił?

Czy ktoś taki był? Dean odszedł. Matka znienawidziła ją do końca życia. Joe Burke nie był jej ojcem. Przez ułamek sekundy myślała o Carol, którą zdradziła i która teraz walczyła o życie. Emily na moment przytłoczył ciężar wyrzutów sumienia i wstydu. Nie, nie został już nikt. Pokręciła głową i dostrzegła smutek w oczach nieznanego. Odwróciła wzrok.

Mężczyzna coś jej wcisnął w dłoń.

– Nie wiem, jak mogę ci pomóc, Emily, ale jeżeli będziesz chciała o coś zapytać, zadzwoń.

Pojazd zakołysał się, gdy facet z niego wysiadał. Jakiś głos na zewnątrz powiedział:

– Zatrzymaj swój samochód jako dowód rzeczowy, Jones. Będę musiał cię podwieźć.

Emily trzymała w dłoni prostą białą wizytówkę z czarnym napisem: „Jones Cooper, prywatny detektyw”. Poniżej podano numer telefonu i adres e-mail. Wsunęła ją do kieszeni bluzki. Nie miała pojęcia, w jaki sposób ktoś mógłby jej teraz pomóc. Ale dodało jej to nieco otuchy, choć jedynie odrobinę.

Deski na pomoście zaskrzypiały. Birdie dostrzegła zbliżającego się Johna Crossa. Myślała, że z jakiegoś powodu musiał popłynąć do miasteczka. Stał obok łodzi i popatrzył na drugą stronę cieśniny. Ogień został opanowany, ale główny dom i wiele otaczających go drzew doszczętnie spłonęło.

– Co za koszmar! – powiedział pełnym trwogi szeptem. – Birdie, tak mi przykro. Jak mogę ci pomóc?

Chciała mu odpowiedzieć: „Możesz się zamknąć”. Nie życzyła sobie, by się nad nią litował ktoś, kto teraz sobie spokojnie stał na swojej wyspie, a jego dom i życie w żadnym momencie nie było zagrożone. Oczywiście nie mogła mu tego powiedzieć. Wyciągnęła z wody jej córkę i wnuczkę, a do tego jeszcze tę małą łajzę. Z pewnością poradziłyby sobie same, ale chyba powinna mu mimo wszystko okazać nieco wdzięczności.

– Nie jestem pewna, czy możemy cokolwiek w tym momencie zrobić. Ale dziękuję. Dziękuję, że pomogłeś mojej rodzinie. – Birdie miała nadzieję, że zabrzmiało to szczerze.

– *Mój dom spłonął* – powiedział. – *I nic już nie zastania księżycą*¹.

Znakomicie. Tego właśnie teraz potrzebowała. Haiku.

Wiedziona nagłym impulsem sięgnęła po album ze zdjęciami, otworzyła go i wyjęła tę fotografię. Podala ją Johnowi Crossowi. Nie wiedziała, dlaczego to robi, była to w końcu osobista pamiątka, tak bardzo dla niej ważna. A do tego nie lubiła się niczym dzielić. Mężczyzna wpatrywał się przez chwilę w zdjęcie, a potem spojrzał na Birdie z dziwnym blaskiem w oczach.

– Skąd to masz?

– To moja matka.

– Z Richardem Cameronem?

– Najprawdopodobniej tak.

Cross przez dłuższą chwilę przyglądał się fotografii, a potem spojrzał na Birdie.

– Może wejdziemy do domu?

Birdie była zmęczona i bardzo zmęczona, i rzeczywiście nie było już na co patrzeć, więc przyjęła podaną dłoń i ruszyła za gospodarzem do jego wspianego domu. Usiadła na kanapie, podczas gdy on przygotowywał jej herbatę. Po chwili zajął miejsce obok niej.

– Nie byłem wobec ciebie zupełnie szczerzy – wyznał.

– Tak? – Kompletnie jej nie interesowało, co ten człowiek ma do powiedzenia. Niebo za oknem było czyste. Trudno było uwierzyć, że w ogóle wieczorem padało. Zdawało się, że z wyspy emanuje blask, promieniuje jakiś żar. Birdie odbuduje ten dom, ale robi to po swojemu.

– Jestem wnukiem siostry Richarda Camerona. Był wujem mojej matki.

Powiedział o tym poważnym tonem, jakby sądził, że powinno mieć to dla Birdie znaczenie. Nie miało. Nieważne, kim Cameron był dla jej matki, ona uważała go jedynie za ducha. Dopiero niedawno poznała jego nazwisko. Przyjrzała się uważniej Crossowi. Nie przypominał w ogóle mężczyzny z fotografii, był blondynem, a Cameron miał ciemne włosy, był barczysty, a Cameron szczupły.

– Zagadka jego śmierci stała się dla mnie pewnego rodzaju obsesją. Zawsze krążyły plotki o romansie, ale nigdy nie słyszałem relacji z pierwszej ręki.

– Kto panu opowiadał o tych plotkach?

– Roger Murphy – odparł Cross. – W młodości pracował na przystani.

Birdie oczywiście go pamiętała. Był niezwykle przystojnym mężczyzną, ona i Caroline zawsze ukradkiem chichotały, gdy Roger pomagał ładować bagaże na łódź albo tankować paliwo. Był też prostolinijnym, pocziwym chłopakiem. Jednak ten chłopak i te dziewczyny dawno temu odeszły w przeszłość; równie dobrze można było przyjąć, że żadne z nich nie istniało.

Niespodziewanie opowiedziała Crossowi o tamtej nocy sprzed wielu lat i o tym, co wtedy widziała. To było wspomnienie, które należało tylko do niej, którym z nikim się nie dzieliła, czymś w rodzaju wstydliwego sekretu. Dziś nie potrafiła się powstrzymać od zrelacjonowania tych zdarzeń. Poczula satysfakcję na myśl o tym, że mimo wszystko miała rację, nawet jeśli oznaczało to rozwianie wszystkich złudzeń związanych z małżeństwem jej rodziców.

– To nie był sympatyczny człowiek – stwierdził Cross, gdy Birdie skończyła opowiadać. – Walczył z kliniczną depresją. Nie utrzymywał zbyt dobrych kontaktów z siostrą. Prawdę mówiąc, nienawidziła go.

– Słyszałam, że miał pewne problemy.

– Wie pani, co się z nim stało? – Cross zadał pytanie z zakłopotaniem, jakby wstydził się, że się tym interesuje.

– Nie – odparła. – Nie mam pojęcia. Oczywiście moja matka nigdy mi się z tego nie zwierzyła. Dopiero niedawno dowiedziałam się o tym romansie i zrozumiałam, co wtedy widziałam. Zawsze myślałam, że to był sen.

Nie powie mu nic więcej. Nie zdradzi żadnych szczegółów, to należało obecnie do Kate, to była jej opowieść: historia przekazana przez matkę siostrze Birdie, Caroline, a potem powtórzona Kate. Nawet Birdie, choć miała wszelkie powody do gniewu, rozumiała, że te zdarzenia musi teraz przedstawić jej córka. Dzięki jej talentowi literackiemu wszyscy zostaną sprawiedliwie osądzeni.

– Krąży jeszcze inna plotka – powiedział Cross. Uśmiechnął się zdawkowo. – Mówi się, że Kate napisała powieść, w której w niezbyt zawaolowany sposób prezentuje romans swojej babci ze sławnym pisarzem.

– Doprawdy?

– Podobno jest całkiem niezła.

– Oczywiście, że jest! – powiedziała Birdie. – To Katherine Elizabeth Burke. Wszystko, czego się podejmie, robi dobrze.

Cross uprzejmie skinął głową, unosząc filiżankę herbaty. Wyraz jego twarzy nie był jednak zupełnie szczery. Birdie uznała, że to zazdrość. Pewnie ten człowiek sam był pisarzem – pozbawionym sukcesów, zgorzkniałym i przekonanym, że wszyscy wydawani autorzy mają mniej talentu niż on.

– Musi pani być z niej bardzo dumna.

Birdie była przyzwyczajona do uszczypliwych uwag i tonu pełnego zazdrości. Nie zamierzała się tym przejmować.

– Chyba rzeczywiście jestem.

Na przystani panował straszny rozgardiasz, było pełno policyjnych radiowozów, karettek i wozów strażackich. Matka Chelsea właśnie wprowadzała łódź na miejsce, gdy nierówną drogą podjechała furgonetka stacji telewizyjnej. Pod jej kołami głośno zachrząścił żwir. Chelsea nie uporządkowała sobie na razie w głowie tego wszystkiego, co się dziś wydarzyło i wszystkiego, czego się dowiedziała. Jak to możliwe, że nic nie jest takie, jak myśleliśmy? Pod powierzchnią rzeczy skrywał się całkowicie odmienny wszechświat. Każdy przybierał jakąś maskę i opowiadał swoją historię, a za tą zasłoną znajdowało się zupełnie inne życie, niespokojna rzeka ukrytych udręk, utajonych win i niewygodnych prawd. Dlaczego tak trudno być tym, kim się rzeczywiście jest?

Chelsea nadal siedziała na dziobie, mimo że jej matka wyłączyła silnik i zajęła się cumowaniem. A kiedy już znalazła się na stałym lądzie, Chelsea miała wrażenie, że pochłonie ją panujący tu chaos.

– Wszystko w porządku? – spytała Kate. Usiadła obok córki i mocno ją objęła.

– Nie wiem.

– Jasne.

Tylko mama mówiła prawdę, całą prawdę o sobie. Niczego nie ukrywała, okazywała otwarcie wszystkie uczucia. Chelsea to dostrzegała i domyślała się, że czasami może to nie być łatwe.

– A ty? Jak ty się czujesz?

– Dobrze – odparła Kate. – Naprawdę dobrze.

– Jakim cudem?!

– Bo wszyscy, których kocham, są bezpieczni. I tak naprawdę nic więcej mnie nie obchodzi.

– A dom? A wyspa?

– Wyspa istniała przed moim urodzeniem i będzie istnieć, kiedy umrę. A dom... Cóż, zbuduje się nowy.

Kate powiedziała potem, że nowe życie nie może powstać, dopóki stare sprawy nie zostaną zniszczone. Chelsea wiedziała, że coś w tym jest, ale w żaden sposób jej to nie uspokoiło. Przypomniała sobie, jak kiedyś dostała od mamy śnieżną kulę z panoramą miasta, ładne sylwetki budynków w wielkiej bańce wypełnionej błyszczącymi płatkami. Kochała tę zabawkę. Pewnego dnia, podczas sprzątania, mama zrzuciła kulę z półki, a ta rozbiła się o blat biurka. Kawałki szkła były wszędzie, drobniutkie igielki poleciały na ściany, na łóżko i na dywan. Chelsea nie była już taka mała, żeby płakać z tego powodu, a jednak się poryczała.

– Bardzo przepraszam, kochanie – powiedziała wtedy mama. – Kupię ci nową.

– Ale ja nie chcę nowej! Chcę mieć tę, którą razem wybrałyśmy!

Chelsea chciała odzyskać zabawkę, którą mama zaniosiła do kasy i za nią zapłaciła; tę, która stała przez wiele lat na półce, tę, którą tyle razy brała do ręki i potrząsała, by zobaczyć srebrzyste drobinki wirujące wokół Statuy Wolności, Empire State Building, Chrysler Building, małych taksóweczek na ulicach. Pragnęła czegoś, co było częścią jej pokoju i częścią wszystkich wspomnień dotyczących tego miejsca. Nie mogła zrozumieć, jak można to zastąpić czymś innym. Nowy przedmiot przecież przypominałby jej tylko o stracie.

Kiedy Kate miała już dość marudzenia córki z powodu śnieżnej kuli, powiedziała:

– To tylko rzecz. Rzeczy nie są takie ważne, Chelsea. Tylko ludzie są ważni.

Chociaż Chelsea wiedziała, że to prawda, nie potrafiła się z tym pogodzić. Nawet teraz czasami wspominała swoją zabawkę, pamiętała, jaka była piękna i jak bardzo ją uwielbiała. Nieodwracalność straty zawsze uważała za zdumiewającą i frustrującą. „Niemądrze przywiązywać się do przedmiotów, kochanie. Wszystkiego będziemy musieli się kiedyś pozbyć”. Niby dlaczego? Kolejne pytanie, na które jakoś nikt nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

W powietrzu wciąż unosił się dym, zapach płonącego domu. Dom: kolejna rzecz, która zniknęła i której nic nigdy nie zastąpi. Cała historia wyspy będzie dzielić się na czas przed pożarem i po pożarze. W każdej stracie było coś nieskończonego, coś ponadczasowego. Zawsze można było stracić to, co się ma, ale rzeczy stracone nie zawsze dawało się odzyskać.

Nie potrafiła powiedzieć tego swojej matce, nie umiała znaleźć odpowiednich słów, żeby wyrazić własne emocje. Kiedy szła pomostem z Kate, żeby odszukać Lulu, czuła tylko niemiłą pustkę i bezradność. Dostrzegła swoją przyjaciółkę – drobną i samotną, siedzącą z tyłu ambulansu. Podbiegła do niej, padły sobie w ramiona.

– Przepraszam, przepraszam – zaczęła powtarzać Lulu.

Chelsea nie wiedziała, za co Lulu przeprosza – za wszystkie złe rzeczy, które wydarzyły się na wyspie, za pożar, a może za swoje kłamstwo i za kłótnię, która się niedawno odbyła. Nieważne, nic z tego nie miało już znaczenia. Chelsea zrozumiała, że jej mama rzeczywiście miała rację.

– Chelsea?

– Tak?

– To najgorsze wakacje w moim życiu.

W głębi duszy Chelsea pragnęła się roześmiać, nie potrafiła jednak tego zrobić. Rozplakała się, podobnie jak Lulu. Zastanawiała się, jak długo jeszcze będzie ją prześladować widok tego mężczyzny, wchodzącego przez wyłamane drzwi jak jakiś świr z horroru, albo krzyk Lulu, kiedy zaatakowała go łopatką, a on nie zamierzał ustąpić. I kiedy zapomni ból, który przeszył jej ramiona, gdy uderzyła go pogrzebaczem. Kiedy przestanie słyszeć ten obrzydliwy odgłos, który nastąpił po ciosie: trzask kości miażdżonych przez żelazny przedmiot.

– Dałyśmy temu facetowi niezłe popalić – powiedziała Lulu, nie przestając łkać. – Nie miałam pojęcia, że jesteś urodzonym zabójcą.

– Obciążenie rodzinne – odparła Chelsea. – Ze strony matki.

Dopiero wtedy obie roześmiały się niespokojnym, wariackim śmiechem, wciąż bardziej przypominającym płacz. Ale sprawiło im to przyjemność.

Kate patrzyła na obejmujące się dziewczyny i po raz pierwszy ogarnął ją prawdziwy smutek. Jej ciałem wstrząsnął głęboki dreszcz. Zaczęła dygotać, jakby gdzieś w jej wnętrzu znajdowało się źródło zimna. Po chwili zobaczyła samochód Seana. Mąż zaparkował i wysiadł, rozglądając się niespokojnie dookoła. Gdy napotkał jej wzrok, ruszył szybko w jej kierunku, obok policjanta, który usiłował go powstrzymać. Sean odsunął się od niego i wskazał na Kate. Funkcjonariusz w końcu pozwolił mu przejść.

– Co się stało?! Gdzie Chelsea? – Sean chwycił Kate za ramiona i przyciągnął do siebie.

– Tam. – Kate machnęła ręką. – Nic nam nie jest. A co z Brendanem?

– Został z moją matką. Co tu się dzieje? Czuję dym, czy mi się tylko wydaje?

– Nie wiem, od czego zacząć – powiedziała Kate.

– To może pani zacznie ode mnie? – Obok nich pojawiła się młoda agentka FBI, którą Kate już wcześniej widziała na wyspie. Przedstawiła się jako Eliza Griffin. – Czy jest pani gotowa odpowiedzieć na parę pytań dotyczących tego, co się wydarzyło na wyspie?

– Oczywiście.

– Chodźmy zatem w jakieś cieplejsze miejsce. – Agentka wyglądała jak nastolatka, miała pewnie dwadzieścia parę lat. Jakoś tak się działo: najpierw byłaś dzieckiem i nikt cię nie traktował poważnie. A potem niespodziewanie okazywało się, że ludzie znacznie młodszy od

ciebie zajmują odpowiedzialne stanowiska i trzeba słuchać ich poleceń. Dziwne uczucie.

– Chciałabym zostać z moją córką – powiedziała Kate. Było jej potwornie zimno. Bała się, że już nigdy nie poczuje ciepła.

– Potrzebuje pani pomocy medycznej?

Kate chciała zaprzeczyć, ale rzeczywiście potrzebowała pomocy. Została mocno uderzona w głowę, co pozbawiło ją świadomości, a potem odbyła ryzykowną kąpiel w lodowatej wodzie. Oparła się o Seana.

– Trzęsiesz się – powiedział jej mąż.

– Chciałabym po prostu to wszystko opowiedzieć – odezwała się Kate. Przeszli na tyły ambulansu, gdzie sanitariusz owinął ją kocem. W obecności Seana zaczęła opowiadać, co zaszło tej nocy. W skrócie opisała kolejne wydarzenia: burzę, pojawienie się obcych na wyspie, odkrycie łodzi wyrzuconej na brzeg, zamordowanie jednego z przybyszów przez drugiego, bieg do Chelsea, powalenie Kate na ziemię przez napastnika, próbę ucieczki wraz z dziewczynami w bezpieczne miejsce. Agentka zadawała pytania, a Kate odpowiadała na nie najlepiej, jak potrafiła. Ale był to tylko powierzchowny opis, relacja ze zdarzeń w porządku chronologicznym. Sens tego wszystkiego ukrywał się głębiej. Wiele się tu wydarzyło, lecz nie wszystko miało miejsce dzisiejszej nocy i nie powinno to być w ogóle istotne dla młodej agentki FBI, która pragnęła aresztować groźnych przestępców.

– Kim ci ludzie byli dla pani? – spytała Eliza Griffin. – Dlaczego przyplłynęli na wyspę?

Kate zawahała się. Chodziło przecież o sprawy rodzinne, prawda? Kiedy tu płynęły, matka wspomniała, że ta dziewczyna uważała się za córkę Joego. Kate domyślała się, że sprawa musi mieć drugie dno. Miała jakieś niejasne wspomnienie z dzieciństwa, gdzieś na krawędzi świadomości, choć nie potrafiła go przywołać. Chodziło o coś, o czym Birdie nigdy nie chciała nikomu mówić. Policja musiała jednak poznać prawdę.

– Ta dziewczyna sądziła, że mój ojciec, Joe Burke, jest również jej biologicznym ojcem. Nie wiem dlaczego. Myślę, że powinna pani o to zapytać moją matkę.

Informacja najwyraźniej nie zaskoczyła ani nie zdziwiła agentki Griffin, która zapisała coś w swoim notatniku. Za to Sean w zdumieniu otworzył szeroko usta. Wyglądał jak karykaturalne uosobienie zaskoczenia.

– Dlaczego zatem tu przyjechała? Myślała, że zastanie ojca na wyspie?

– Nie mam pojęcia. Chyba mężczyźni, z którymi przyplynęła, sądzili, że znajdą na wyspie sejf.

Może dziewczyna po prostu przybyła na wyspę po to, po co każdy tu przyjeżdżał – żeby znaleźć poczucie rodzinnej wspólnoty, swoje miejsce, w którym jest się szczęśliwym?

– Czy znała pani wcześniej Emily Burke? Czy ona kiedykolwiek próbowała nawiązać z panią kontakt?

Nieznajoma przedstawiła się jako Anne, ale Birdie użyła imienia Emily. Kate nie wiedziała, że dziewczyna nosi to samo nazwisko. Wydało jej się to trochę niepokojące.

– Nie. Nigdy.

Agentka przygryzła koniec długopisu i popatrzyła uważnie na Kate.

– Emily twierdzi, że pani matka uratowała ją z płonącego domu.

– Jeśli tak zrobiła – odparła Kate – to miała po temu powody.

Kate podejrzewała, że postępowanie matki nie wynikało z altruizmu ani współczucia. Birdie najprawdopodobniej chciała, żeby dziewczyna miała okazję ponieść karę za popełnione przestępstwa. To byłoby zupełnie w jej stylu: zaryzykować własnym życiem, aby potwierdzić żywione przez nią surowe przekonania dotyczące sprawiedliwości. Birdie uznałaby śmierć Emily za formę ucieczki.

– Myśli pani, że istnieje między nimi jakaś więź?

– Moja matka w zasadzie nie odczuwa więzi z nikim – powiedziała Kate. Po chwili zaczęła się śmiać. Śmiała się jeszcze głośniejsze, gdy agentka spojrzała na nią z pełnym zdziwienia uśmiechem.

– Oj... – rzucił Sean. Kate poczuła jego dłoń na ramieniu. Już kilka razy zdarzało jej się w ten sposób tracić panowanie nad sobą. Kiedy już puszczała tama, trudno było ją ponownie zamknąć. – Kate, wszystko w porządku.

Śmiech Kate szybko zmienił się w łkanie, gdy całe tłumione dotąd przerażenie, wściekłość i żal znalazły swoje ujście.

– Kate! – powiedział Sean. Wstrząsana głośnym szlochem wtuliła twarz w jego pierś. – Już dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Nawet w samym centrum tego chaosu, wśród błyskających świateł pojazdów ratunkowych i ciągle obecnego w powietrzu ostrego zapachu dymu, nawet mimo tego, że przed jej oczami pojawiły się białe gwiazdy, a wypełniona nimi przestrzeń zdawała się ją całkowicie pochłaniać, Kate wiedziała, że Sean ma rację.

Po tym, jak Birdie nas zobaczyła, wszystko musiało się zmienić. Tego wieczoru potwornie pokłóciłam się z Jackiem. W ciągu dnia cały czas zachowywaliśmy pozory, żeby nie niepokoić dzieci, kiedy jednak zasnęły, poszliśmy na Skalę Widokową. Musieliśmy zniżyć głosy do szeptu, ale nasza sprzeczka wcale nie była przez to mniej zażarta. Jack przedstawił mi ultimatum: albo porzucę Richarda, albo pożegnają się z rodziną. Latem Jack przypląwał na wyspę i odpływał do pracy, Richard i ja mieliśmy wieczory dla siebie, gdy dzieci szły spać. Czekaliśmy na mnie pod drzewami na północnym brzegu. Właściwie nie miałam wyboru... Powiedziałam Richardowi następnego wieczoru, że z nami już koniec. Wydawało mi się, że przyjął moją decyzję do wiadomości.

Listy, które do mnie słał przez całą jesień, były tak rozpaczliwe, że musiałam go odwiedzić. Powiedziałam Jackowi, że chcę pojechać do siostry, która zachorowała i nikt nie ma pojęcia, ile jej jeszcze pozostało życia. To była prawda, choć tylko częściowa. Rzeczywiście spędziłam cały dzień z rodziną i u nich przenocowałam, ale w drodze powrotnej do miasta zatrzymałam się na przystani i popłynęłam łodzią na wyspę Richarda. Było już zimno, zbyt zimno, by tam zamieszkać. Nie podobało mi się w tej okolicy; czułam, że nie powinnam tam być, kiedy woda ma szary kolor, a powietrze staje się lodowate. Gdy wypływałam, zaczęła się zadyмка, a na pomoście pojawiła się cienka warstwa śniegu. Przepęłniło mnie to smutkiem: Heart Island była jak letnie marzenie, w moich wspomnieniach nigdy nie panowała tam zima.

Spędziliśmy dzień w domu, wszędzie indziej było zbyt zimno. Nie mogłam zostać w jego namiocie i siedzieć przycupnięta przy ognisku. Zawsze nienawidziłam niskich temperatur. Domagałam się, żeby wrócił ze mną, nie chciałam tam go zostawiać, przygnębiętego, samotnego, zapadającego w ten mroczny stan, do którego zawsze tak go ciągnęło. Na tym polegał problem z Richardem – wolał ponurą ciemność od życia. Dlatego właśnie postanowiłam zostać z Jackiem. Biedny Jack... Zaslugiwał na kogoś znacznie lepszego niż ja. Był bardzo dobrym człowiekiem, a ja – okropną żoną.

Wszystko szło dobrze do momentu, w którym miałam odpłynąć. Wtedy Richard oświadczył, że nie pozwoli mi odejść, że nie może beze mnie żyć. Odpowiedziałam, że musi się teraz do tego przyzwyczaić, bo nie mogę już zdradzać nas wszystkich każdego lata. Chociaż wiedziałam, że to najgorsza rzecz, jaką mogę zrobić, oznajmiłam także, że już go nie kocham.

Tego żałuję najbardziej. Powinnam była dalej udawać i zabrać go do domu, do jego rodziny. Wiedzieli dobrze, jak udzielić mu pomocy, której potrzebował, jak poradzić sobie z tymi mrocznymi stanami, jak zachęcić go do pisania – bo właśnie dzięki pracy udawało mu się przepędzić wszystkie nękające go demony. Ale prawdę powiedziawszy, nie miałam już do tego serca. W lecie Birdie o mało co nas nie przyłapała... Do tego wszystkie dzieci bardzo mnie potrzebowały: Gene nie radził sobie w szkole, Caroline przechodziła w życiu bardzo niespokojny okres, a Birdie... Cóż, Birdie była małą rozszalowaną dziewczynką. Zachowywała się tak od tamtej nocy, jakby wiedziała, że skłamałam i do tego ją wyśmiałam. Biedna Birdie, zawsze zbyt dojrzała na swój wiek, zbyt inteligentna. Nigdy nie chciała uwierzyć w istnienie Świętego Mikołaja. W jej oczach widziałam wyrok, na który zasługiwałam.

Ironią losu jest fakt, że zawsze podejrzewałam, że Birdie może być dzieckiem Richarda. Tak bardzo różni się od pozostałej dwójki, jest tak stanowcza i nieustępliwa, bardzo łatwo wpada w złość albo rozpacz... Czasami odnajduję go w jej długich, cienkich palcach, bladej cerze, w linii jej ust...

Tego lata, gdy spędzałam czas nad jeziorem z dziećmi, Jacka przez długi czas nie było z nami. Spotykałam się z Richardem prawie każdej nocy, kiedy dzieci już spały. Birdie była z nich wszystkich zdecydowanie najbardziej przywiązana do wyspy, jakby to miejsce do niej należało, a ona stanowiła jego część. I w pewnym sensie to prawda, ponieważ właśnie tam została poczęta. Nie zastanawiam się jednak zbyt często nad tą kwestią. Jeśli nawet Jack coś podejrzewał, nigdy nic na ten temat nie powiedział. Doskonale to potrafiliśmy: odwracaliśmy się od spraw nieprzyjemnych i bolesnych, żyjąc dalej, jak gdyby nigdy nic się nie stało. Poznanie prawdy nie przyniosłoby nikomu nic dobrego.

Śmierć Richarda była wynikiem wypadku. A może działałam w obronie własnej? Toczyliśmy zażarte kłótnie także wcześniej, nawet zanim poznałam Jacka. Było w nas coś, co sprawiało, że kiedy przebywaliśmy razem, rozpały się namiętności. Kochaliśmy się, a chwilę później pojawiała się przemoc. Pragnęłam stamtąd odpłynąć. Chciałam, żeby Richard wyjechał ze mną, on jednak chwycił mnie za rękę i błagał, żebym została. Potem wpadł we wściekłość, twierdził, że nigdy go nie kochałam, obrzucił wyzwiskami, porównywał z wszystkimi kurwami i dziwkami z piekła rodem, które pojawiały się w jego powieściach. Nigdy nie zapomnę tego, co wtedy mówił: zabrałaś mi wszystko i przez ciebie jestem pusty, zawsze będę tęsknił, zawsze będę samotny. Z czasem zrozumiałam, że miał rację.

Zacząłam biec, a on ruszył za mną. Wspięłam się po kamieniach na Skalę Widokową. Dlaczego nie pobiegłam w kierunku łodzi? Pytałam o to samą siebie setki razy... Skąły był śliski, nie potrafiłam po nich dobrze się wspinać, upadłam po drodze kilka razy, w końcu jednak dotarłam na wierzchołek. Nie miałam już dokąd uciec.

– I co teraz? – spytał Richard, kiedy znalazł się obok mnie.

Tafla jeziora była czarna i spokojna, wysoko na niebie świecił nad nami biały księżyc, pojawiły się cienkie pasma ciemnoszarych chmur.

– Pozwól mi zawieźć się do domu. Potrzebujesz pomocy – powiedziałam.

Z jakiegoś powodu moje słowa go rozjuszyły i rzucił się na mnie. Gdyby chodziło tylko o mnie, nie stawiałabym oporu. Ale byli jeszcze Jack, Caroline, Birdie i Gene. Potrzebowali mnie, ja również ich potrzebowałam. Richard reprezentował mroczną stronę mojej duszy, oni stanowili tę jasną, dobrą część. Musiałam podjąć decyzję i ją podjąć. Walczyłam o swoje życie. Popchnięty przeze mnie Richard stracił równowagę i spadł ze Skąły Widokowej wprost do wody. Czy powinnam była skoczyć za nim, spróbować go odnaleźć w ciemnych falach jeziora? Owszem, powinnam, ale tego nie zrobiłam.

Wolałam go, mój pełen rozpaczny głos przecinał mrok jak ostrze noża. Jak długo tam stałam? Nie mam pojęcia. Po pewnym czasie usłyszałam odgłos płynącej łodzi i w jakiś cudowny sposób na wyspie pojawił się Jack. Powiedziałam mu. Opowiedziałam mu wszystko. A potem razem opuściliśmy Heart Island, opuściliśmy Richarda. Postanowiliśmy nigdy więcej na ten temat nie rozmawiać, chcieliśmy o wszystkim zapomnieć. Wiosną znaleziono jego zwłoki. Biedny Richard, wszyscy wiedzieli, jakim wrakiem człowieka się stał, jaką walkę toczył z demonami alkoholizmu i depresji. Nikogo nie dziwiło, że spotkał go taki koniec.

Jeśli nawet ktoś zauważył, że tego dnia płynęliśmy na wyspę i z niej wracaliśmy, to nigdy tego nie zdradził. Podejrzenia nigdy nie spadły na nas. Można by pomyśleć, że będą nas prześladować wyrzuty sumienia, ale szczerze powiedziawszy, nic takiego się nie stało. Jeśli mogę mówić wyłącznie w swoim imieniu – czułam się tak, jakby miłość do Richarda była jakąś straszną chorobą, która mnie dotknęła, a tamtej nocy na Heart Island zostałam z niej wyleczona. Wiem, że to okropne, ale taka jest prawda. Na co dzień nie mogę być szczerą, lecz tutaj jestem w stanie to napisać. Spotkałmi się na tych wyspach wiele lat temu, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi. Tam narodziła się nasza miłość i nie ma nic dziwnego w tym, że tam właśnie powinna była umrzeć.

A na czym właściwie polega różnica między beletrystką i wspomnieniami? Czy w każdej powieści nie ma elementów autobiograficznych, a w każdym pamiętniku trochę fikcji? Pamięć ludzka jest elastyczna, dwie osoby nigdy nie zrelacjonują przebiegu danego zdarzenia w ten sam sposób. Opowiadana przez nas wersja naszego życia do pewnego stopnia musi być zmyślona, zgodzi się pani ze mną?

Twarz dziennikarki prowadzącej radiowy wywiad częściowo zasłaniał wielki szary mikrofon. Panel kontrolny, na którym opierała dłonie, migotał czerwonymi i zielonymi światełkami, znajdował się na nim chyba milion maleńkich dźwigienek i wskaźników.

– Cóż... – odezwała się Kate. Nauczyła się unikać pośpiechu, gdy odpowiadała na pytania. – Wydaje mi się, że to zależy od sposobu, w jaki przedstawiamy nasze dzieło. Do jakiego stopnia jesteśmy uczciwi wobec siebie i wobec innych w tym, co napisaliśmy. Czy ubieramy

prawdziwe zdarzenia w kostium fikcji, aby uniknąć konsekwencji zaprezentowania naszej wersji prawdy, czy też twierdzimy, że wyidealizowana wersja naszego życia jest prawdziwa. Myślę, że to istotna różnica.

Prowadząca uśmiechnęła się lekko.

– Czym zatem jest pani powieść? Czy to fikcja oparta na faktach, czy też fakty ukryte w fikcji?

Kate odetchnęła głęboko. Tyle razy już słyszała to pytanie, że odpowiedź, której zamierzała udzielić, należało uznać za przygotowaną i przećwiczoną.

– Moja babcia rzeczywiście miała romans z Richardem Cameronem. Dzięki jej pamiętnikom, a także dziennikom mojej ciotki, poznałam jej wersję tego, co między nimi zaszło. Historia, którą opowiedziałam, została zainspirowana tym romanssem i zawartością zapisków, jednak nie stanowi wiernego opisu związku Lany Heart i Richarda Camerona. Co się faktycznie wydarzyło, tego właściwie nie wie nikt.

Nie była to cała prawda, ale również nie było to kłamstwo. Na tym właśnie polega literatura: świat realny i wymyślony mieszają się ze sobą, by stworzyć coś zupełnie nowego. Końcowego efektu w żadnym z tych światów nie dało się uznać za rzeczywistość.

– Krewni Richarda Camerona twierdzą, że wiedzą.

Tym razem to Kate obdarzyła rozmówczynię zdawkowym uśmiechem.

– Mają do tego prawo. Aktorzy dramatu jednak od dawna nie żyją, podobnie jak bliskie im osoby, które mogłyby zaświadczyć o przebiegu wydarzeń. Moim zdaniem ustalenie prawdy nie jest już możliwe.

– A co się stało z pamiętnikami?

– Niestety spłonęły w pożarze, który strawił dom na Heart Island, wakacyjną rezydencję naszej rodziny. Przywiozłam je ze sobą, aby w końcu poznała je także moja matka. Jednak nigdy nie miałam okazji jej ich przekazać.

Dziennikarka, zjawiskowo piękna kobieta o alabastrowej cerze i nieprawdopodobnie rudych włosach, wpatrywała się w Kate oczami w kolorze morskiej zieleni. Kate wytrzymała jej spojrzenie. Jak dotąd prowadząca była dość bezstronna, choć jej pytania dotyczyły sedna sprawy.

– Niektórzy mogą uznać to za bardzo korzystny zbieg okoliczności.

– Ja natomiast uważam, że to rodzinna tragedia.

Prezenterka spojrzała w notatki.

– Jak pani myśli, co się stało z Richardem Cameronem?

– Moim zdaniem był bardzo nieszczęśliwym człowiekiem, prześladowanym przez swojego osobistego demona, dwugłową hydrę depresji i alkoholizmu, a utrata Lany ostatecznie go dobiła. Przegrał wojnę, którą musiał toczyć w swoim wnętrzu.

– Zatem sądzi pani, że popełnił samobójstwo.

W pewnym sensie tak było, prawda? Zaatakował Lanę, a ona broniła się, chcąc przeżyć. W trakcie szarpaniny spadł ze skały. Babcia Kate tak to przynajmniej przedstawiła w swoim pamiętniku, bo należało przypuszczać, że jeśli Cameron chciałby uzyskać przewagę fizyczną nad Laną, mógłby to zrobić bez większego problemu. Jednak w powieści Kate bohater luźno przypominający Richarda odbierał sobie życie. Podczas szamotaniny w najwyższym punkcie wyspy docierało do niego, co właśnie próbuje uczynić: skrzywdzić – a może nawet zabić – jedyną kobietę, którą kochał. Kiedy zdawał sobie z tego sprawę, rzucał się na skały. Ta opowieść stała się dla Kate pewną wersją prawdy – jedyną, którą miała prawo powtórzyć innym ludziom. Zarówno Lana, jak i Caroline w jakimś sensie powierzyły Kate swoje sekrety. Nie zamierzała zawiesić okazanego zaufania ani opowiadać historii należących do obu kobiet, mogła przedstawić wyłącznie swoją własną.

– Tak, wydaje mi się, że to zrobił w ten czy inny sposób – odparła Kate. – Albo rozmyślnie, albo przypadkowo.

Na chwilę zapadło milczenie. Kate widziała, że światełka stojącego na blacie telefonu migają jak szalone.

– Członkowie rodziny Cameronów twierdzą, że widziano pani babcię i dziadka odwiedzających wyspę w zimie, przed odnalezieniem zwłok Richarda Camerona. Uważają, że pisarz został zamordowany, a pani dziadkowie są w to zamieszani.

– Nie ma absolutnie żadnych dowodów, że taka wersja wydarzeń jest prawdziwa – oświadczyła Kate. Te słowa również wypowiadała tak wiele razy, że z łatwością przeszły jej przez usta, jakby były standardowym tekstem w umowie. – To bezpodstawne plotki.

– Zatem tak je potraktujemy. Naszym gościem była dziś Kate Burke. Dziękujemy, że zechciała nam pani opowiedzieć o swojej nowej powieści zatytułowanej *Wyspa*. Bardzo dobrze się ją czyta i wiem, że podobną opinię ma również wielu naszych słuchaczy. Pani Burke będzie podpisywać dziś swoją książkę w księgarni Powell's, w naszym mieście, w Portland, o godzinie dwudziestej. Zapraszamy na spotkanie z autorką. Tu radio KXL, mówi Beth Grayson, słuchali państwo audycji Rozmowy o książkach.

Gdy Kate wyszła ze studia radiowego wprost w zimny, deszczowy dzień, czekał już na nią samochód. Odczuwała ten dziwny rodzaj wyczerpania, który występował podczas przedłużającej się podróży. Pamiętała, że Sebastian kiedyś uskarżał się na coś w rodzaju blokady mózgu, która pojawiała się, kiedy za dużo mówił o sobie i swojej twórczości. Człowiek zaczynał się czuć jak własna kopia, obiekt gorszej jakości wynikającej z wielokrotnego powielania.

Męczące były też późne spotkania, ciągłe podróże samolotem i obfite posiłki, na które Kate nigdy nie pozwalała sobie w domu. Na szczęście tym razem przyjechał do niej Sean, zostawiwszy dzieci u swojej matki. W innych miastach była sama. Czuła się wtedy jak astronauta na uwięzi unoszący się w przestrzeni kosmicznej.

Nie spodziewała się specjalnego zainteresowania swoją powieścią. Jednak incydent na wyspie wywołał trochę szumu w mediach, także z powodu historii małżeństwa Kate z Sebastianem. Książka wspinała się na szczyty list bestsellerów. Kate zastanawiała się, czy coś by się wydarzyło, gdyby nie te fakty, które nie miały nic wspólnego z jej twórczością. Pewnie niewiele.

Zaskakujące, że musiała tyle opowiadać o Lanie i Jacku. Sądziła, że te sprawy pozostaną wyłącznie w rodzinie. Całe to paskudne zamieszanie wywołał John Cross. Jego zdaniem zdjęcie, które z niewiadomych powodów pokazała mu Birdie, stanowiło dowód, że Lana Heart przynajmniej raz odwiedziła wyspę tej zimy, kiedy zniknął Richard Cameron. Jednak ta fotografia również zaginęła. Kate nie miała pojęcia, co się z nią stało, a matka nic na ten temat nie chciała powiedzieć.

– Co za diabeł podkusił mnie, żeby w ogóle rozmawiać z tym bufonem?! – narzekala Birdie, kiedy rozpoczął się ten cyrk medialny.

– Może po prostu chciałaś się tym z kimś podzielić – stwierdziła Kate, choć zadawała sobie to samo pytanie. Jej matka, która nigdy nikomu niczego nie dawała, która nie zdradzała żadnych tajemnic, pokazała najważniejszy dowód osobie w gruncie rzeczy nieznanemu. Kate uznała to za zdumiewające, jak zresztą wiele spraw związanych z Birdie.

– I ty się dziwisz, że nienawidzę ludzi...

– Nigdy się temu nie dziwiłam, mamo.

– Cóż – odparła Birdie. – Dziwiłaś czy nie, teraz już wiesz. Każdy myśli wyłącznie o sobie.

Pamiętniki rzeczywiście spłonęły w trakcie pożaru. Kate przywiozła je dla Birdie. Uznała, że matce to się należy. Teraz jednak zniknęły. Może to i dobrze – i tak nie chciała, żeby ktoś poza nią zapoznał się z treścią dzienników. Wszystko przecież zdarzyło się bardzo dawno temu, nikt już nie żył. Fabuła książki stanowiła fikcję, a podobieństwo do rzeczywistych wydarzeń i osób było niewielkie. To już opowieść Kate, nie Lany i Caroline.

Kiedy wróciła do hotelu, Sean właśnie konferował przez telefon z Jane, swoją współpracowniczką. Uniósł palec, gdy Kate weszła do pokoju. Postanowiła zatem wziąć prysznic i poczekać, aż jej mąż skończy rozmowę. Zawsze po udzieleniu wywiadu chciała zamknąć się w kabinie, tak jakby pragnęła zmyć z siebie przywdziewaną publicznie maskę. Nie uznawała takiej wersji Kate za prawdziwą. Uważała się za żonę, matkę, osobą piszącą do szuflady. Była przecież „po prostu matką”. Tę kobietę bardziej lubiła, ta kobieta wiedziała, co jest ważne i prawdziwe. Kate-pisarka myślała o wywiadach i spotkaniach z czytelnikami, o listach bestsellerów i recenzjach, które, nawiasem mówiąc,

były różne – niektóre entuzjastyczne, niektóre nieco mniej. Żyła w alternatywnym wszechświecie: miejscu, w którym nie można się dobrze odnaleźć i zadomowić.

– Wypadłaś świetnie! – oznajmił Sean, gdy wyszła z łazienki. – Jesteś w tym coraz lepsza.

– Tak, akurat wtedy, kiedy zbliżamy się do końca promocji.

Kate była ciekawa, jak wypadnie dzisiejsze spotkanie. Będzie kameralne, czy pojawi się tłum ludzi? Czytelnicy będą nastawieni życzliwie, czy raczej zajmą się rzucaniem oskarżeń? Czy ich pytania będą dotyczyć książki, czy też pożaru albo Richarda Camerona? Od zakończenia procesu Emily Burke pojawiało się wiele pytań z nią związanych. Co Kate sądzi o tej dziewczynie? Na jaką karę według niej Emily zasługuje?

Prawdę powiedziawszy, Kate potrafiła Emily jedynie współczuć. Emily została skrzywdzona przed ojca Kate i przez swoją rodzoną matkę, Marthę. Usłyszała kłamstwo, które zatruło całe jej życie. Związała się z odrażającymi ludźmi, zbrodniarzami, którzy ją wykorzystali i zmusili do popełnienia tych wszystkich podłości. Podczas pobytu w areszcie straciła dziecko.

Gdy Kate patrzyła na Emily w telewizji albo przyglądała się jej zdjęciu w gazecie, widziała niemal bezcielesną sylwetkę, kogoś całkowicie pokonanego. W tym tygodniu ogłoszono złagodzony wyrok, Emily miała trafić do więzienia jako współsprawczyni i osoba współwinna przestępstw popełnionych przez Deana Freemana i Brada Campbella. Kate uznała orzeczenie za niesprawiedliwe, co doprowadziło Birdie do szewskiej pasji.

– To dorosła kobieta! – oznajmiła matka Kate. – Sama podejmowała decyzje i były to złe decyzje. Nie można nikogo traktować łagodniej tylko dlatego, że miał nieudane dzieciństwo!

Birdie była zła, że Kate okazuje współczucie. Uznała to za rodzaj słabości. Czasami Kate, w trakcie długich dyskusji z matką dotyczących wydarzeń tamtej strasznej nocy i wszystkiego, co się z nimi wiązało – na przykład romansu Joego – Birdie kategorycznie odmawiała rozmów na ten temat: „To nie twoja sprawa!” – i trójkąta miłostego, w który uwikłani byli Lana, Jack i Richard – zastanawiała się, czy Birdie choć przez chwilę rozważała możliwość, że jest córką Camerona, który byłby wówczas dziadkiem Kate. Pamiętniki spłonęły i Kate nie wspominała już o treści zapisków babci. Co by to dało? Nie wiedziała, jakich użyć słów, żeby poruszyć ten temat w rozmowie z matką. Jak wiele innych kwestii, ta również pozostawała między nimi w sferze spraw niewyjaśnionych.

Kate usłyszała informację o wyroku Emily i zadała sobie pytanie, jaki naprawdę wybór miała ta dziewczyna. Jak mogła podejmować dobre decyzje, skoro nikt jej tego nie nauczył? Jak mogła związać się z właściwą osobą, skoro nie wiedziała, jak wygląda prawdziwy związek? Kate zastanawiała się, czy sama wybrałaby kogoś tak dla siebie nieodpowiedniego, jak Sebastian, gdyby miała szczęśliwsze dzieciństwo i gdyby potrafiła odróżnić pragnienie kontroli od miłości. Właściwie tylko dzięki potrzebie zapewnienia bezpieczeństwa córce zdołała zrozumieć, że Sean jest dobrym człowiekiem. Podjęła odpowiednią decyzję, ale nie musiała kierować się strachem czy desperacją, ani wybierać spośród setek naznaczonych smutkiem i samotnością możliwości, na które ludzie są czasami skazani. Kiedy myślała o dziecku straconym przez Emily Burke, czuła irracjonalny żal.

Nie mogła jednak dłużej roztrząsać tego tematu. I tak poświęciła zbyt wiele czasu na rozmyślanie i rozmowy o Heart Island. Jeszcze jedno spotkanie z czytelnikami, a potem wraca do prawdziwego życia. Jest potrzebna swoim dzieciom. Od tamtych wydarzeń minął już ponad rok, a Chelsea wciąż dręczyły koszmary. Po powrocie na wschodnie wybrzeże Kate razem z Seanem i dziećmi przeprowadzi się do nowego domu – do tego, w którym Sean tak się zakochał. Jako rodzina z dwiema zarabiającymi osobami mogli sobie na niego spokojnie pozwolić, bez konieczności korzystania z funduszu Kate. Chyba właśnie nadeszła pora na rozpoczęcie nowego rozdziału w życiu.

W młecznej szarości poranka, w chwilach tuż po otwarciu oczu, Emily niemal zapominała o tym, co pozwoliła zrobić ze swoim życiem. Przez sekundę, może dwie, poranny brzask niósł ze sobą tysiące możliwości. Każdy dzień rozpoczynał się cieniutkim promykiem nadziei. Jednak po chwili przygniatała ją ciężar prawdy, miażdżąc jej pierś i tłamsząc oddech. Utrata Deana, utrata dziecka, utrata samej siebie to zbyt wiele, by dało się normalnie funkcjonować. Emily tonęła w morzu rozpacz i smutku. Brnęła przez nie codziennie, zastanawiając się, czy jej życie kiedykolwiek będzie jeszcze wyglądać inaczej.

W jej dzieciennym pokoju znajdował się wciąż ten sam różowy kot z wystrzępionym ogonem, ten sam podarty plakat Backstreet Boys, białe biurko i krzesło pokryte naklejkami. Pomyślała o swoim domku, w którym najpierw mieszkała sama, a potem wspólnie z Deanem. Razem z matką sprzedawały wszystkie meble w serwisie Craigslist, aby pokryć przynajmniej część kosztów prawnych.

Wymierzono jej bardzo łagodną karę. Obrona stała na stanowisku, że Emily działała pod wpływem przemocy psychicznej. Taśma z nagraniem przedstawiającym krzyżącą Emily wynoszoną z „Niebieskiej Kwoki” oraz zeznanie złożone przez Jonesa Coopera, który wspomniął o jej posiniaczonej twarzy, zdawały się to potwierdzać. Była to jednak jedynie część prawdy i członkowie ławy przysięgłych najwyraźniej zdawali sobie z tego sprawę. Istniały momenty, punkty w czasie, kiedy oskarżona mogła zmienić bieg wydarzeń, lecz niestety nie podjęła właściwej decyzji. Miała spędzić rok na oddziale otwartym zakładu karnego dla kobiet, znajdującego się mniej więcej godzinę drogi od miejsca, w którym mieszkała.

Jej adwokatka podchodziła do tego z optymizmem.

– Możesz wykorzystać ten czas na uporządkowanie sobie wszystkich spraw – powiedziała. – To nie jest ciężki wyrok, choć nie obiecuję, że będzie ci łatwo. Możesz jednak to uznać za nowy początek.

Proces mógłby skończyć się znacznie gorzej dla Emily, gdyby nie Carol, która wniosowała o łagodny wymiar kary. Jej była szefowa prawie całkowicie doszła do siebie po doznanych urazach. Lekko kulała i trochę niewyraźnie mówiła, kiedy zeznawała przed sądem. Pojawiła się też na ogłoszeniu wyroku, ale nigdy nie odpowiedziała na listy, w których Emily błagała ją o przebaczenie.

– Widziałam, że przerasta ją sytuacja, w której się znalazła. Nie wydaje mi się, żeby wcześniej znała ich plany albo domyślała się, co się może zdarzyć – oświadczyła Carol. – Moim zdaniem została zmuszona do udziału w napadzie. I sądzę, że uznała wtedy, że mi pomoże, jeśli zrobi to, czego od niej oczekują. Emily zawsze była solidnym pracownikiem i dobrą dziewczyną. Rzeczywiście popełniła straszliwy błąd, ale nie zasługuje na surowy wyrok.

Carol uśmiechnęła się smutno do Emily, kiedy wychodziła z sali rozpraw. Emily potrafiła tylko rozplakać się w ławie oskarżonych. Zalała ją fala wstydu i wdzięczności, tak potężna, że zdolna całkowicie ją pochłonięć.

Emily zapisała się do programu dla skazanych, w którym mogła uczestniczyć w szkoleniu psów-przewodników dla niewidomych. Stanowiło to element planu resocjalizacji i pozwalało skrócić czas odbywania kary. Prawdę mówiąc, jedynie myśli, że jest w stanie zrobić coś, co pomoże innym ludziom, sprawiała, że chciało jej się wstawać rano z łóżka. Traktowała to jako pokutę. Jeśli ją odbędzie, być może uzyska prawo do odpuszczenia win.

Termin zgłoszenia do zakładu wypadła dopiero za tydzień. Emily wciąż powtarzała sobie, że jej życie rozpocznie się w tym dniu od nowa. Starła się nie myśleć o strasznych rzeczach, które działy się nawet w więzieniach o obniżonym rygorze.

– Będziesz wykorzystywana i poniżana, jeśli na to pozwolisz – mówiła prawniczka. – Osoby, które są tam osadzone, będą starały się zabrać ci wszystko, co się da, będą próbowały cię skrzywdzić. Jeżeli jednak okażesz się silna, jeżeli nie będziesz starała się za wszelką cenę pozyskać przyjaciółek, nie będziesz się wychylać i podejmiesz pracę, to może uda ci się przetrwać.

Emily spodziewała się, że matka ją potępi albo zmiesza z błotem, jednak nic takiego się nie stało. Wspierała córkę, pomogła jej znaleźć adwokata i przychodziła codziennie na rozprawy. Dzięki pieniądzązom od Joego, przeznaczonym pierwotnie na edukację Emily, udało się zatrudnić prawniczkę, która specjalizowała się w sprawach podobnego typu i była w stanie wywalczyć niższy wyrok związany z udziałem w specjalnym programie terapii zajęciowej. Joe nie kontaktował się z Emily, co początkowo sprawiło jej przykrość, aż w końcu zrozumiała, że człowiek, który w jej wyobraźni występował jako Joe Burke, to jedynie postać z bajki. Ten mężczyzna nie był jej ojcem. A co do funduszy na jej wykształcenie – nie miała pojęcia, dlaczego to robił, w końcu nie miał wobec niej żadnych zobowiązań. Emily była dla niego nikim. Jedynie małą dziewczynką, którą życzliwie potraktował w czasach, kiedy kochał jej matkę. Jego zachowaniami kierowały okoliczności, podobnie jak sytuacja Emily determinowała jej życie. Może w ten sposób chciał powiedzieć, że pokochałby ją, gdyby tylko wolno mu było to zrobić. Mógł być ojcem pod każdym istotnym względem, nawet jeśli nie łączyły ich więzy biologiczne. W to właśnie Emily postanowiła uwierzyć, chociaż nie miała żadnych powodów, by uznać, że tak rzeczywiście jest.

– Jeśli tylko ma się pieniądze, łatwo je dać – mówiła Martha. – Przekazanie pieniędzy może zostać uznane za dobry uczynek, nawet jeśli ktoś robi to tylko po to, żeby ludzie się od niego odczepili i jeśli chce zbudować mur, aby ochronić się przed wyrzutami sumienia. Można w ten sposób kontrolować innych. Kupić sobie spokój i trzymać ich na dystans.

Zdaniem Emily sprawa była prostsza: niektórzy woleli ofiarować pieniądze zamiast miłości, bo niczego innego nie umieli dać. Wypchany portfel i życie pełne wspaniałomyślnych gestów czynionych dzięki forsie wcale nie oznaczały posiadania życzliwej duszy i szlachetnego serca, a często coś zupełnie przeciwnego.

Emily wzięła prysznic, ubrała się i zeszła na dół, gdzie matka przygotowywała jej śniadanie. Od ogłoszenia wyroku nie rozmawiała ze sobą zbyt wiele. O czym zresztą miały rozmawiać? Skończyła się jedna długa podróż, a zaczynała nowa. Emily starała się teraz oszczędzać swoje wewnętrzne siły, a gadanie wydawało się jedynie marnowaniem energii.

Usiadła przy stole. Mama przyniosła jej kubek kawy i zajęła miejsce naprzeciw niej. Kuchnia, w której się znajdowały, była dość obskurna, sprzęt przestarzały, a wykładzina z linoleum tak wiekowa, że niezależnie od tego, jak mocno się ją szorowało, zawsze wyglądała na brudną.

– Wiem, że to moja wina, Emily – powiedziała Martha. Emily uniosła głowę i zobaczyła, że matka wpatruje się w blat stołu. U nasady jej włosów pojawiła się siwizna, miała pozadzierane skórki przy paznokciach, na bluzce widniała plama. – Przykro mi, że cię tyle razy zawiodłam. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

– Mamo... – Emily chciała odruchowo zaprotestować, powiedzieć, że nic się nie stało, że sobie poradzi. Ale czy właśnie na tym nie polegał jej główny problem? Zawsze starała się, żeby innym było dobrze, nawet jej kosztem, przez co wciąż czegoś jej brakowało w sferze emocjonalnej, duchowej. Zawsze szukała kogoś, kto wypełni tę pustkę w jej wnętrzu. I dlatego ludzie tacy jak Dean mogli jej tak łatwo wyrządzić krzywdę.

– Popełniłam w życiu błędy, straszne błędy. Zepsułam życie sobie i tobie – dodała Martha. – Chcę ci teraz pomóc przetrwać ten czas.

To prawda, matka Emily, poszukując miłości, również dokonywała niewłaściwych wyborów. Emily nie potrafiła jej potępić, mimo że wybuch słusznego gniewu był znacznie prostszym rozwiązaniem. Bardzo łatwo dostrzec grzechy innych ludzi i żądać od nich zadośćuczynienia. Zdecydowanie trudniej okazać współczucie, postawić się na czyimś miejscu i odnaleźć w sobie przebaczenie.

– Mamo, ja też popełniłam błędy. Ale teraz pójdzie mi lepiej.

Emily powiedziała to i poczuła, że coś się w niej otwiera. Coś, co było zamknięte od tego wieczoru, kiedy pomogła Deanowi i Bradowi obrabować „Niebieską Kwokę”. Po raz pierwszy od bardzo dawna Emily odkryła w sobie nadzieję.

Birdie stała na skałach na Heart Island i patrzyła, jak poranny brzask rozświetla niebo na horyzoncie. Nie zamierzała dzisiaj pływać, rwa kulszowa była teraz jej głównym utrapieniem. Wprawdzie pływanie stanowiło odpowiednią terapię wszelkich form bólu, jednak tego ranka Birdie nie chciała wchodzić do wody.

Uważnie przypatrzyła się szkieletowi konstrukcji nowego domu, który kazała zbudować. Wykorzystano stare fundamenty, ale to ona zaprojektowała sam budynek. Chciała mieć pewność, że z głównej sypialni będzie mogła oglądać wschody słońca. Chociaż tak wielu ludzi, w tym także i Joe, najwyraźniej wolało zachody, Birdie ceniła świt nowego dnia. Małe przypomnienie od Boga, że nawet po najciemniejszej nocy pojawia się światło.

Barka z robotnikami przypłynęła za parę godzin i po chwili cała wyspa będzie rozbrzmiewać odgłosami ich młotków i pił, ich donośnych głosów i muzyki. Przepłoszą ciszę i ptaki, ale tym razem jej to nie przeszkadzało. Warto poczekać, żeby zobaczyć nowy dom, dokładnie taki, jak sobie wymarzyła. Potem wreszcie zrobi się spokojnie, tym razem na nieco dłużej.

Birdie była sama na Heart Island. Kate wraz z rodziną wyjeżdżała w tym roku w jakieś niedorzeczne miejsce – gdzieś do Azji, czy może do Afryki. Mimo że w pewien sposób Birdie zbliżyła się do córki po wydarzeniach poprzedniego lata i po wydaniu jej książki, pojawił się też większy dystans. Kate częściej mówiła „nie”, rzadziej przyjeżdżała, a do tego oświadczyła, że na rok albo dwa odpocznie od wyspy. Kiedy Birdie zaczynała się nad tym zastanawiać, pojawiały się uczucia, które uznawała za krępujące – smutek, żal, osamotnienie – dlatego po prostu starała się na ten temat nie myśleć. Theo dzwonił raz na tydzień, lecz oznajmił, że już nigdy nie wróci na Heart Island. Powiedział, że powody powinny być dla niej jasne, ale nie miała pojęcia, o co mu chodziło. Kolejny temat, którego nie chciała roztrząsać.

Joe, na jej prośbę, tego lata pozostał w mieście. Już dawno minął czas, kiedy rozwód można byłoby uznać za właściwą i korzystną finansowo opcję, ale przez większość roku każde z nich żyło własnym życiem. Pojawiali się tam, gdzie powinni, jedli kolacje ze znajomymi. Na tyle jeszcze było ich stać. To chyba najlepsze rozwiązanie, prawda?

Birdie zeszła z fundamentów domu. Jej nerw kulszowy ostro zaprotestował, gdy zaczęła schodzić po schodkach. Sztywnym krokiem okrążyła dom i wkroczyła na ścieżkę prowadzącą na Skałę Widokową. Kazała tam zbudować małą altankę, miejsce, gdzie mogłaby usiąść i patrzeć na jezioro i inne wyspy, albo w drugą stronę, na stały ląd.

Widziała stąd wszystkie miejsca na wyspie, niezastłonięte przez drzewa. Sądziła, że Caroline bardzo by polubiła to miejsce, mogłaby tu siedzieć i pisać. Właśnie o swojej siostrze myślała Birdie, kiedy wpadła na pomysł postawienia tej budowli. To forma zadośćuczynienia z jej strony – niewystarczającego i oczywiście zbyt późnego. Nie można było wynagrodzić całego życia wypełnionego kłótniami, złymi słowami, nieporozumieniami i urazami chowanymi przez całe dziesięciolecie. Chociaż dziś nie potrafiła już sobie przypomnieć, o co tak zawsze się kłóciły. Przypuszczała, że chodziło o zazdrość. O to, co kto miał, a czego nie miał: urodę, miłość, dzieci, szczęście, zaufanie i czułość ze strony mamy, wyspę. Teraz takie problemy mogły wydawać się błahę, ale kiedyś na pewno tak nie było.

Birdie siedziała w altance i wspominała dzieciństwo na Heart Island, czas, zanim nastąpił wybuch złości i rozgoryczenia w relacjach z jej rodzeństwem – uczuć, które potem nie były tak gwałtowne, ale za to trwałe. Pamiętała, jak mogła bawić się w odgrywanie różnych historii, czytać, drzemać w hamaku albo wpatrywać w rozgwieżdżone niebo. Po prostu być w miejscu, które nie żądało od człowieka niczego, jedynie jego obecności. Właściwie przez całe życie próbowała dotrzeć do tych wspomnień. Nie była tylko pewna, czy to nie jest przypadkiem – jak mawiała Kate – fikcja, którą sama wymyśliła, idylliczna wizja świata, który nigdy nie istniał. Może wyspa była miejscem istniejącym wyłącznie tu i teraz, które nigdy nie mogło wyglądać tak, jak byśmy chcieli, albo tak, jak zachowaliśmy je w pamięci.

Dostrzegła go pod drzewami. Stał się jej towarzyszem życia na wyspie, zawsze gdzieś na skraju pola widzenia, zawsze nieostry. Czasami szła w jego kierunku i wtedy znikał. Już się go nie bała. Nie przynosił ze sobą zniszczenia, jak kiedyś uważała. Był tu jedynie obserwatorem, podobnie jak ona. Był kimś, kogo wspominała – z uczuciem, z żalem, z miłością – kimś, kogo nigdy już nie będzie mieć.

PODZIĘKOWANIA

Tak wiele dzieje się w duszy autora, zanim słowa trafią wreszcie na strony książki, że samo pisanie często wydaje się jedynie ostatnimi pięcioma procentami procesu twórczego. Potem, gdy powieść jest już gotowa, czeka ją jeszcze długa droga, zanim pojawi się w księgarniach. Pisanie jest podróżą, w którą autor wyrusza samotnie, jednak wydanie jego dzieła to już praca zespołowa. Bez wsparcia osób, które chciałabym tu wymienić, nie miałoby państwo tej książki w rękach.

Mój mąż, Jeffrey, i moja córka, Ocean Rae, stanowią niezmienny fundament mojego życia. Bez nich byłabym innym człowiekiem i inną pisarką. Codziennie dodają mi energii swoją miłością, śmiechem i radością. W tych zwariowanych czasach mogę znaleźć szczególny rodzaj spokoju, miejsce, w którym żyję i w którym czuję się najszczęśliwsza. Dziękuję, kochani, jesteście dla mnie wszystkim – na zawsze.

Najlepsi redaktorzy wiedzą, że autorzy to trochę nerwowi i odrobinę zwariowani ludzie, którzy znacznie lepiej radzą sobie we własnych głowach niż w świecie zewnętrznym. Redaktorzy potrafią wydobyć ze swoich autorów to, co najlepsze, prowadzą ich przez proces wydawniczy, a gdy powieść już pojawi się na półkach księgarskich, są razem z nimi, żeby ich wesprzeć. Pod tym względem miałam ogromne szczęście: Shaye Areheart jest utalentowaną i życzliwą osobą, która pomogła mi nadać kształt mojemu dziełu, a przy tym stała się oddaną i ważną przyjaciółką. To samo mogę powiedzieć o Johnie Glusmanie, moim redaktorze wewnętrznym z wydawnictwa Crown. Obojgu jestem wdzięczna za ich ogromny talent, za wsparcie i bezcenną przyjaźń.

Moja agentka, znakomita i wspaniała Elaine Markson, jest moją wierną zwolenniczką, niestrudzoną orędowniczką i cudowną przyjaciółką. Jej asystent, niezrównany Gary Johnson, pozwala mi zachować zdrowie psychiczne i zorganizować pracę, a przede wszystkim umie mnie rozbawić. Naprawdę nie jestem w stanie wymienić wszystkiego, co dla mnie robią każdego dnia, ani nie umiem ująć w słowach swojej nieskończonej wdzięczności. Mam nadzieję, że wiedzą, jak bardzo ich cenię.

Chciałabym także szczerze podziękować członkom znakomitego zespołu wydawnictwa Crown, a w szczególności takim osobom jak: Maya Mavjee, Molly Stern, Zachary Wagman, Jill Flaxman, Jay Sones, David Drake, Annsley Rosner, Sarah Breivogel, Linda Kaplan, Karin Schulze, Marysarah Quinn, Nupoor Gordon, Cindy Berman, Domenica Alioto, Christine Kopprasch, Jacqui Lebow, Christine Edwards, Andy Augusto oraz Kristen Fleming. Wprost trudno znaleźć właściwe słowa, by wyrazić uznanie wyjątkowemu, nieprzeciętnemu działowi handlowemu wydawnictwa. Przedstawiciele handlowi pracują na pierwszej linii frontu niezwykle konkurencyjnego, podlegającego ciągłym zmianom rynku. Wiem, że moje książki trafiają do czytelników w dużej mierze dzięki ich niestrudżonym wysiłkom podejmowanym w moim imieniu.

Moja rodzina i moi przyjaciele przez cały czas dodają mi sił w chwilach sukcesu i pomagają przetrwać trudne czasy. Dziękuję moim rodzicom, Joemu i Virginii Miscione, oraz mojemu bratu Joemu i jego żonie Tarze, za ich miłość, wsparcie i nieustającą promocję. Nie wydałam jeszcze żadnego tekstu, którego wcześniej nie przeczytałaby moja droga, wesoła i utalentowana Heather Mikesell. Marion Chartoff i Tara Popick, moje dwie najlepsze przyjaciółki, towarzyszyły mi na każdym etapie tej podróży.

Niniejsza książka stanowi fikcję literacką. Wymienione w niej nazwiska, postaci, przedsiębiorstwa, instytucje, miejsca i zdarzenia są wytworem wyobraźni autorki albo zostały przedstawione w fikcyjnym kontekście. Wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych oraz do rzeczywistych zdarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.

-
- [1](#) Nathaniel Hawthorne, *Czarodziej Piękności*, [w:] *Nowi Adam i Ewa*, tłum. Maria Skroczyńska, Warszawa 1982, s. 161.
 - [2](#) Ludwig Bemelmans, *Madeline*, tłum. Zofia Kierszys, Warszawa 1998, s. 29.
 - [3](#) *Trzy małe świnki*, *Three Little Pigs*, Walt Disney Productions, 1933 r.; autor polskiego dubbingu: Marek Robaczewski.
 - [4](#) Mizuta Masahide [w:] *Japońskie wiersze śmierci* tłum. Marek Has, Kraków 1991, s. 11.

Przekład: Tomasz Konatkowski
Redakcja: Maria Karpińska
Korekta: Justyna Techmańska, Ewa Waszkiewicz
Adiustacja: Sylwia Ciula
Projekt okładki: Izabella Marcinowska
Zdjęcie na I stronie okładki: Nilufer Barin / Arcangel Images
Skład i łamanie: Typo
Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-1726-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Marcin Kapusta / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow